

Jarosław  
**Urbaniuk**  
Łukasz  
**Orbitowski**

Pies i klecha  
Żertwa i inne historie



powergraph

Jarosław Urbaniuk Łukasz Orbitowski

## **Pies i klecha**

# **Żertwa i inne historie**



**powergraph**

Warszawa 2014

Jarosław Urbaniuk Łukasz Orbitowski  
Pies i klecha  
Żertwa i inne historie  
ISBN: 978-83-64384-16-5

Wydawca:  
Powergraph  
ul. Ceglowska 16/2  
01-803 Warszawa  
tel. 22 834 18 25  
e-mail: [powergraph@powergraph.pl](mailto:powergraph@powergraph.pl)  
[www.powergraph.pl](http://www.powergraph.pl)

COPYRIGHT © 2006-2014 by Jarosław Urbaniuk  
COPYRIGHT © 2006-2014 by Łukasz Orbitowski  
COPYRIGHT © 2014 by Powergraph  
COPYRIGHT © 2014 for the cover by Rafał Kosik

PROJEKT GRAFICZNY: Rafał Kosik  
ZDJĘCIE NA OKŁADCE: Jan Kosik  
REDAKTOR PROWADZĄCY: Kasia Sienkiewicz-Kosik  
REDAKCJA: Joanna Mika-Orządała  
KOREKTA: Elżbieta Olszewska

**Wyłączna dystrybucja:**



Firma Księgarska Olesiejuk Sp. z o.o. Sp.j.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki  
tel. 22 721 30 00 / 11

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie Zecer

# Spis treści

Żertwa

Hipoteza śladu

Ogień i blask

Głodomór

Więcej światła

# Żertwa

## Prolog

### Rok 1233

W chramie umierał stary człowiek.

Otaczały go misy z jedzeniem. Otulony w futra, dygotał z zimna. Zza drzwi dochodziło zawodzenie płaczek, furczał wiatr. Stary człowiek próbował głębiej wcisnąć kołpak na głowę, ale tylko przekrzywił go śmiesznie. Odsłonił białe ucho. Ogień płonący pośrodku świątyni oświeślał rozłożyste drzewo.

Płaczki na zewnątrz ucichły. Stary człowiek obrócił twarz do wejścia. Zasłona uchyliła się i w progu stanął wysoki mężczyzna w benedyktyńskim habicie. Oczy starego człowieka zwęziły się. Benedyktyn uklęknął przy umierającym.

— Przysiągłeś, synoczku — powiedział stary człowiek. Jego skóra już pożółkła, a nos się wydłużył. Mnich wybuchnął płaczem, przycisnął twarz do dłoni ojca, a ten szeptał — przysiągłeś, synoczku, przysiągłeś...

Umilkł. Mnich podniósł się nie bez wysiłku, zamknął zmarłemu oczy i, nie wykonawszy znaku krzyża, ruszył w głąb chramu. Spowita dymem świątynia sprawiała wrażenie większej niż w rzeczywistości. Nabrał garść ziół i spojrzął przed siebie. Wydało mu się, że na trzech konarach drzewa kora układa się w twarze i jedna z tych twarzy należy do ojca. Cisnął zioła do świętego ognia i nie oglądając się, wyszedł.

Na widok mnicha płaczki podniosły zawodzenie. Mężczyźni stali sztywno z opuszczonymi głowami. Benedyktyn rozkrzyżował ramiona, odchylił głowę i krzyknął:

— Czas nam raty!

Lament kobiet jeszcze się nasilił, mężczyźni zdawali się kurczyć, a z tłumu dobiegło wołanie: „Gorze nam, gorze nam!”. Mnich zgarbił się, jakby nagle lat mu przybyło, i zanurzył nasmoloną pochodnię w ogniu, wokół którego zgromadziły się płaczki. „Gorze nam! gorze nam!”, zawodzili mężczyźni, kobiety wyły i posypywały włosy ziemią.

Świątynia stanęła w płomieniach, mnich popatrzył jeszcze na ogień i odszedł, a ludzie rozstępowali się przed nim.

## I

1988

Jeśli mieszkanie porucznika Enki miało w sobie coś charakterystycznego, to chyba błyszcząca okleina odchodząca szerokim płatem od meblościanki. Najwięcej miejsca zajmował sam porucznik Enka, rozwalony na niskim łóżku. Jego włochata pierś wznosiła się i opadała, a wraz z nią drobna kobieca dłoń, której właścicielka spała głęboko, twarzą do ściany. Na stole stało opróżnione wino Klosterkeller, a obok dwa kieliszki, jeden pusty, a drugi w połowie wypełniony. Żaden obraz czy zdjęcie nie mącił bieli ścian, za to żyrandol ozdabiała damskie majtki, stanik zaś zwisał skromnie ze stopy samego gospodarza. Gdyby zły duch, poltergeist na przykład, wymiótł stos gazet spod telewizora i sam telewizor, kieliszki z winem oraz gospodarza z towarzyszką, a także przytwierdził okleinę na meblościance, można by odnieść wrażenie, że mieszkanie oddano do użytku wczoraj i czeka na właściciela, który uszanuje je bardziej niż porucznik Enka.

Enka miał inne zmartwienie – nie pamiętał bowiem, co wczoraj powiedział taksówkarzowi. Wiedział doskonale, że wyszedł od Rudego grubo przed dziesiątą, dobrze wstawiony, wiedział, że wsiadł do białego poloneza, a taksówkarz przypominał z profilu Karola Marksa (Enka utrzymywał, że Marks miał wyłącznie profil, z którejkolwiek strony by go nie oglądać). Porucznik Enka przywitał się grzecznie i powiedział: „Do mnie, czyli na Aleję Pokoju”. Następnie zawahał się i zmienił zdanie: „Nie, pojedzie pan na...”.

No właśnie – na tym kończyła się wiedza porucznika Enki. Nie miał pojęcia, jakie słowo padło i co wydarzyło się potem, o której wrócił i w którym towarzystwie. Rozmyślał tak chwilę, podniósł się i nachylił nad śpiącą. Włosy zasłaniały jej twarz. Porucznik Enka zastanawiał się właśnie, czy powinien je odgarnąć, gdy zadzwonił telefon.

— Czego? — wymamrotał do słuchawki.

— Zbieraj się do nas — głos Gruli brzmiał zbyt dobrze jak na wczesną porę — ale już, na raz, dwa, trzy. Dzwonili.

— Sam się zbieraj — poradził mu porucznik Enka.

— Stary wariuje. Z góry zadzwonili — wyjaśnił Grula. — Dostaje hyzia, więc nie marudź i rusz tyłek. Przecież...

Dziewczyna obróciła się.

— Jeśli chcesz mnie pocałować w dupę, adres znasz, a ja ci wyjaśnię, gdzie moja dupa się znajduje — rzekł słodko porucznik Enka. — Nie dziś. Nie teraz. Mam...

Jasne pukle zsunęły się, odsłaniając przepełnioną miłością twarz dziewczęcia. Oczy porucznika Enki rozszerzyły się gwałtownie.

— Rozumiem — powiedział. — To dla mnie zaszczyt, panie ministrze — dodał miękko, a Gula zakaszłał po drugiej stronie kabla.

— Co tam się wyrabia, Zbyszek?

— Zaraz będę, panie ministrze. — Porucznik Enka odłożył słuchawkę i rzucił w stronę dziewczyny — musimy się zbierać!

W czasie, który wystarczył porucznikowi do wskoczenia we wranglery, czarną koszulę i wojskową kurtkę, dziewczyna zdążyła włożyć majtki i zapiąć stanik. Enka wypchnął ją do przedpokoju, przed drzwiami wręczył zwinięte w kulkę ciuchy i nim zdążyła otworzyć usta, już stali na korytarzu, a Enka zamykał drzwi.

— Zbyszku, oszalałeś? — Jednocześnie próbowała utrzymać ubrania i chwycić się Enki. Podniosła głos — to ty myślisz, że tak można, tak po prostu, że mnie i ciebie...? Tak wyrzucić po prostu? Co? Że ja...

Porucznik Enka ujął jej twarz w dłoń.

— Kochanie — powiedział, patrząc jej prosto w oczy — Kiszczak, rozumiesz? Tyle tylko ci powiem. — Pocałował ją w czoło i powtórzył — Kiszczak.

Maślany wzrok odprowadzał porucznika Enkę, który skręcił na schody i pognął z dziesiątego piętra, skacząc po trzy stopnie.

\* \* \*

— Gula, czyś ty zwariował?

Nad głową Gruli grube litery układały się w napis „UCZCIWOŚĆ I SUMIENNOŚĆ WIZYTÓWKĄ SŁUŻB MUNDUROWYCH”. Zielonkawą warstwę farby olejnej przecinała gęsta pajęczyna pęknięć. Chudy młodzieniec przy biurku obok przerwał pisanie, popatrzył na Enkę i natychmiast skulił się nad maszyną. Pokój wypełnił rytm wystukiwany przez pojedynczy palec bębniącego w klawisze.

— Dbam o ciebie — oświadczył Gula.

— Nie chcę myśleć, co by się podziało, gdybyś przestał dbać. — Enka opadł na krzesło. — Co tu się wyrabia?

Podbródek Greli zafalował nad kołnierzem flanelowej koszuli.

— Przypomnieli sobie o tobie — rzekł. — Ikony.

— Nie wiem, co to są ikony. Wiem, co to jest wolne.

— Ikony. Z ikonami dewizy dla tych buców. Kanały, no, człowieku, nie pamiętasz?

— Przypomnieli sobie?

— Pamiętali cały czas.

— Powiem ci coś, Gula — wyszczerzył się porucznik Enka. — Nauczę nowego słowa. Słowo brzmi uprzejmość. Uprzejmy człowiek odbiera telefony, nieuprzejmy nie. Uprzejmy człowiek zaiwania przez miasto z kogutem i przez chodnik, a cham śpi dalej. Uprzejmy człowiek, koniec końców, dowiaduje się, że ktoś mu robi łaskę, że jest taki miły, zamyka mordę i słucha.

— Pojedziesz na wybrzeże — uśmiechnął się Gula.

— Podobno morze w październiku jest przepiękne — rozmarzył się Enka i nagle spoważniał. — Co się właściwie dzieje?

— Jest delikatna sprawa. — Gula podniósł się i zaczął spacerować po pokoju. Miał spodnie piramidy i doskonale szarą marynarkę. — Może uda się coś z awansem zrobić. Za długo tu tkwimy, nie? No, w każdym razie jest trup.

— Trup — powtórzył porucznik Enka.

— Ksiądz.

— Ksiądz — mruknął Enka. — No proszę, coś nowego.

— Wikary, konkretnie. Martwy. Paskudna sprawa. Nasz konsultant...

— Ubol?

— Wikary? No skąd!

— Znów mi z wikarym wyjeżdżasz, prymas ubol, nie? — prychnął Enka. — Konsultant mówię.

— Ksiądz.

— Ksiądz wikary?

— Ksiądz konsultant.

— Pieprzyć to. — Enka odchylił głowę. — Jaki znowu ksiądz?

— Czeka w drugim pokoju — wyjaśnił Gula. — Profesorek. Mądra głowa. Pojedziecie razem.

Porucznik Enka pogłaskał się po brodzie, wydał wargi, jakby chciał splunąć. Popatrzył poważnie na Grulę, a Gula zgarbił się i usiadł.

— Potrzebują kogoś błyskotliwego — wyjaśnił spokojnie. — No i padło na ciebie, więc nie wiem, o co się wku...



— Ja, co? — roześmiał się porucznik Enka. — Mam gacie pełne kału i tylko marzę o tym, by zapieprzać na drugi koniec Polski z jakimś klechą zboczeńcem, by rozgrzebać francowaty zgon niemniej francowatego syna Watykanu. Stary, czy ty mnie słyszysz w ogóle? Po co ja w tym wszystkim? Po co ten drugi? Czemu lokalni nie załatwią sprawy. Przecież...

— Martwy ksiądz — rzekł poważnie Gula.

— No i co?

— Martwy ksiądz — powtórzył — i my, i tamci potrzebujemy tego jak dziury w głowie.

*Stuk, stuk.* Samotny palec młodego milicjanta bił w czarne klawisze łuczniaka.

— No dobra — rzekł porucznik Enka — gdzie jest ten tamten?

\* \* \*

Ksiądz profesor Andrzej Gil należał do ludzi, którzy lubią czekać. Myślał kiedyś o świecie, w którym wszystko dokonuje się natychmiast: nie ma kolejek po cukier i bekon, na pierwszej randce pękają kondomy, a raz otworzona flaszka natychmiast się opróżnia. Wówczas ludzkie życie skurczyłoby się do dwudziestu lat gnania z wywieszonym ozorem – smakowanie świata zaś byłoby pospiesznym zgarnianiem szlamu: wszystkiego, co się pod ozór nawinie. Ksiądz profesor Andrzej Gil czekał więc spokojnie na niewygodnym krześle, nogę założył na nogę, ręce splótł pod brodą, a oczy utkwiał w zacieku na ścianie, aby nic nie rozpraszało przyjemności oczekiwania. Miał na sobie czarną marynarkę, koszulę z koloratką i sztruksowe spodnie.

Zabawne – dwaj gliniarze zmaterializowali się w drzwiach jednocześnie, jeden przepychał się przez drugiego i w końcu ten gruby przepchał szczuplejszego. Choć chudszy wcale taki chudy nie był. O ile wysoki grubas w idiotycznej marynarce budził tylko rozbawienie, o tyle w jego kumplu coś nie grało. Niby przysadzisty, a ruszał się płynnie, niby tępą mordą – a w oczach błyszczało coś więcej niż bystrość, niby niski, a nie powiesz: kurdupel. Dziwny facet, proszę, proszę.

Wysoki ostatecznie wszedł przodem, a jego kumpel stanął w drzwiach, jakby nie wiedząc, co robić.

— Panowie się poznają — powiedział gruby dryblas. — Byłoby dobrze.

Przysadzisty gość wyciągnął kosmatą łapę.

— Zbigniew Enka — zabrzmiało.

— Andrzej Gil.

— Słyszałem — porucznik Zbigniew Enka usiadł pod ścianą — że ksiądz jechał tutaj kawał drogi.

— Korki były.

— Korki.

Andrzej Gil wstał.

— Przysłał mnie tutaj biskup pomocniczy Rurak, jako konsultanta. Być może to się panu podoba, panie poruczniku. Być może nie.

— A co ten, biskup, księdzu właściwie powiedział?

— Usłyszałem, że praca z panem porucznikiem to przyjemność.

Porucznik Enka pomyślał chwilę i odparł:

— To szczerą prawdą.

Andrzej Gil przesłał mu boleściwe spojrzenie i poprawił marynarkę.

— Rozumiem dobrze, że pan zna świetnie swoją pracę — powiedział, a porucznik Enka uniósł brew — i nie wiem nawet, jak mógłbym pana, panie poruczniku, nauczyć czegokolwiek.

— Naprawdę ksiądz tak sądzi? — wtrącił Enka.

Grula wykonał niezdarne, pojednawczy gest — wyciągnął ręce przed siebie, jakby na znak, że wszystko będzie dobrze.

— Sądzę — powiedział Andrzej Gil — że żaden z nas nie chce tutaj być. A jednak jesteśmy. To powinno, panie poruczniku, dać panu do myślenia.

Zbigniew Enka spojrział na Grulę, na księdza Gila i na Grulę ponownie.

— Rozumiem — kiwnął głową — rozumiem, że ksiądz już wszystko sobie przemyślał.

\* \* \*

Enka cisnął teczkę z materiałami na tylne siedzenie poloneza.

— Porządna bryka, panie poruczniku — rzekł ksiądz.

W świetle poranka Andrzej Gil wydał się porucznikowi nienaturalnie blady. Był wyższy, niż się Ence początkowo wydawało, i miał śmieszne, chude ręce z dłońmi dyndającymi przy udach. Enka pokiwał głową. Wskazał księdzu miejsce obok kierowcy, ale Gil zajęty był podziwianiem kształtu maski.

— Nowa rzecz — odparł Enka.

— Niech pan jeszcze powie, że to rajdowa wersja — ksiądz Andrzej Gil po raz pierwszy się uśmiechnął. — Dwieście na godzinę?

— Sto osiemdziesiąt — przyznał porucznik. — No dobra, jedzie ksiądz, czy nie jedzie? — Zmrużył oczy. — Woli ksiądz z przodu czy z tyłu?

Ręka porucznika Enki zatoczyła łuk, od przedniego siedzenia do bagażnika. Wsiedli jednocześnie.

— Woził pan porucznik już jakichś księży? — zapytał pogodnie Andrzej Gil.

— Koledzy wozili.

Enka zapalił silnik, ruszyli. Ledwo wydostali się z Szerokiej, wbili się w korek na Bohaterów Stalingradu. Enka kłął pod nosem. Na Dietla korek stężał, więc porucznik wycedził coś o torbie, która pękła, nałożył koguta na dach i popruł chodnikiem.

— No, namęczyłem się, żeby go dostać. Genialna sprawa, w pracy i po pracy — powiedział. — Czym ksiądz jeździ?

— Nie mam samochodu.

— Może to i dobrze — mruknął Enka. — Po co ludziom tyle samochodów, no niech ksiądz patrzy, święto zmarłych za dwa dni, a ci już jadą. Mówię sobie, spokojnie, na własny pogrzeb każdy zdąży, ale nie, hołota musi, po prostu musi dymać na miasto całymi tuzinami, jedna kanalia z drugą byłaby chora, gdyby tego nie zrobiła. Myślał kiedyś ksiądz, czym Jezus by jeździł, gdyby żył dzisiaj? Grula twierdzi, że merolem, ale ja myślę, że nie ma racji. Niczym by nie jeździł, tylko siedział w domu, bo wyrzygałby się na widok zidiociałych owieczek w maluchach, syrenach i zaporozcach. Czy ksiądz...

Andrzej Gil uśmiechał się głupkowato.

— Czy ksiądz... — Enka ściszył głos. — No dobra, w takim razie może mi ksiądz powiedzieć, gdzie i po co właściwie jedziemy?

— Skąd pan porucznik myśli, że wiem? — zapytał Andrzej Gil, a Enka rzucił mu groźne spojrzenie. — Niech pan spróbuje sobie wyobrazić, że martwy ksiądz to problem nie tylko dla was. My, panie poruczniku, czyli Kościół, wprawiamy się w zatroskaniu, a teraz nie ma co udawać. Wie pan, co to profanacja? Wikarego znaleziono martwego na moście, ale ślady krwi były w kościele, ktoś próbował je zatrzeć. Nie wiadomo, czy nie będzie trzeba kościoła na nowo wyświęcać.

— Może ksiądz na mnie liczyć — rzekł porucznik Enka i machnął ręką, jakby trzymał w niej kropidło.

— Bardzo dziękuję, panie poruczniku. — Andrzej Gil kiwnął głową. — Wikary nazywał się Spiski, Marcin Spiski, pół roku pracował na parafii i ludzie raczej go lubili, aż ktoś mu gardło podciął. Duże, ostre narzędzie. Nikt nic nie widział, ludzie z proboszczem byli na cmentarzu po drugiej stronie wsi. Przenieśli ciało kilkaset metrów aż na mostek nad Gardzianką, ktoś musiał się namęczyć.

— Nie bardzo rozumiem — wtrącił Enka — na mój rozum cmentarze są przy kościołach.

— W Stachowartach są dwa kościoły. Jeden nowy i drugi przy cmentarzu.

— Nowy kościół, no proszę — Enka cmoknął. — Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Czy te owieczki Boże... — przerwał — Stachowarty... No dobrze, jak już ksiądz tyle wie, to proszę mi powiedzieć, czemu my tam jedziemy.

— Wolałbym, żeby pan porucznik sam przeczytał. — Andrzej Gil kiwnął głową, na znak, że chętnie by poprowadził. Enka nadał się tylko. — Wszystko utknęło. Naprawdę, niech pan poczyta sobie sam. Ja wiem mniej więcej, że wikarego ludzie lubili, a w okolicy kręciło się trochę podejrzanych osób. Jakiś domokrażca kury pozabijał przy plebanii, to ludzie go przepędzili. Tyle właściwie. Proboszcz mówił, że to musiał być ktoś obcy. Teraz kłócą się o zwłoki, bo chcą je pochować na parafii, ale rodzina się nie zgadza.

Milczeli przez chwilę.

— Ten wikary, Spiski — mruknął porucznik Enka — co z nim?

— Młody człowiek, pół roku pracował.

— Ja tam się na waszych świątkach i kościołach to nie bardzo znam, ale Stachowarty to chyba straszna dziura, nie?

— Dość dziwne miejsce — przyznał Andrzej Gil.

— To co, dwa kościoły w parafii i jeszcze stać ich na wikarego? Ja czegoś tu nie rozumiem.

— Ludzie są bogaci, a parafia stoi na uboczu, oddalona od innych kościołów. Zawsze mieli wikarego. Bogaci, jak mówię. Niedawno remizę ukończyli, plebania by się spodobała panu porucznikowi, jest biała i bardzo duża. — Andrzej Gil wyjął dwie teczki. — Organizacja partyjna do niedawna wzorowa, teraz, niestety, coś trzeszczy.

— Strasznie mało ksiądz wie jak na konsultanta. — Porucznik Enka zerknął na teczki.

— Mam tu trochę drobiazgu. — Gil otworzył pierwszą teczkę — Kuria udostępniła nam materiały na temat.

— No proszę. Co z proboszczem?

Andrzej Gil zanurzył się w materiałach.

— Nic szczególnego. Radosław Kolanda, po czterdziestce. Seminarium w Krakowie. Najpierw był wikarym, proboszczem został w osiemdziesiątym czwartym. Porządny człowiek, jak się wydaje — zawiesił głos — jak na księdza oczywiście.

Porucznik Enka parsknął.

— W ogóle wieś to oaza spokoju. Mądrzy ludzie żyją, panie poruczniku, sami się prawie skolektywizowali w latach czterdziestych, pracują na wspólnej ziemi, prawie że. Mają spółdzielnię produkcyjną. Jak już mówiłem, podstawowa komórka partyjna działa wzorowo.

— No, dwa kościoły mają.

— To jedna z najstarszych parafii w regionie — Andrzej Gil mówił z pamięci. — Był tam benedyktyński klasztor, ale spłonął jeszcze w średniowieczu. Kupka kamieni została. Ten stary kościółek też cudem uniknął ognia, ale już za rozbiorów. Parafia się spaliła cała. Wiem, bo przepadła wtedy masa cennych materiałów. Rozumie pan porucznik, kilkusetletnie księgi parafialne, dokumenty, wszystko poszło z dymem. Kościółek cudem ocalał. Niech pan zobaczy. Jest piękny.

Porucznik Enka zerknął na zdjęcie.

— Faktycznie. I co, cały czas tam cicho?

— Ludzie są spokojni — przyznał Gil — niech pan, panie poruczniku, poczyta sobie w naszych papierach. Nikt praktycznie nie wyjeżdża, a jak wyjeżdża, to wraca. Rozmawiałem z lokalnym prawnikiem, zdaje się reprezentuje interesy poszczególnych mieszkańców, ale nie ma za dużo roboty. Starszy facet. Prowadzi sprawy spadkowe, o grunty i takie tam. Jedną poważną robotę miał przy tych pożarach.

Porucznik Enka zerknął pytająco.

— Naprawdę nic pan nie czytał?

— Wyrwali mnie z łóżka — powiedział.

— Myślałem, że pan wie. Ludzie są spokojni — przypomniał Andrzej Gil — ale lubią poszaleć przy stypach. Raz spaliła się remiza, raz stodoła, raz dom.

— Trupy?

— Dwie wdowy. I raz młoda dziewczyna. Naprawdę, wielkie pożary. Wiem, bo zapytałem o to tego adwokata i mówił chyba z dziesięć minut. Wyglądał na szczerze zatroskanego. Rozumie pan porucznik, mała, spokojna wieś. Pożar to wydarzenie.

— Dlaczego? Z tego, co ksiądz mówi, w kółko tam coś się pali — Enka odpowiedział natychmiast i Gil nie mógł doszukać się złośliwości w jego słowach. W odpowiedzi, szczerze się roześmiał. — Ja tak księdzu od serca powiem, co myślę — ciągnął Enka. — Jeśli tam jest wszystko w porządku, to ja jestem Wyszyński, a ksiądz Albin Siwak.

Miasto gminne Olszynka przypominało porucznikowi Ence tysiąc innych spokojnych miast gminnych, które zjeździł, w których pił, spał i strzelał. Patrzył na asfaltowy plac, który wydawał się piaszczysty, na domy z pustaków, które wydawały się tekturowe, na ludzi, którzy wydawali się mniej niż ludźmi, i pomyślał, że może ktoś leci z nim w klipy – miasto gminne naprawdę jest jedno i powstaje zawsze tuż przed przyjazdem porucznika Enki gorączkową pracą robotniczych rąk w służbie kiepskiego dowcipu. Trzasnął drzwiami i przez plac miejski poszła fala uderzeniowa: gołąb poderwał się do lotu, ludzie odwrócili głowy, pies przyspieszył, w odrapanym oknie załopotwały firanki.

Komisariat mieścił się w brudnokremowym budynku wzniesionym i pomalowanym w latach sześćdziesiątych. Andrzej Gil uśmiechnął się na widok samochodu na milicyjnych rejestracjach, za to bez przedniego koła, trącił Enkę, a ten zacisnął zęby. Obok komisariatu widniał szyld pasmanterii, dalej fryzjer, sklep spożywczo-przemysłowy i mięsny. Przed mięsnym stał grubas w szarym fartuchu i palił.

— Książd lepiej popatrzy na to.

Andrzej Gil spojrział na bury budynek z oknami przypominającymi jamy i kolorowym szyldem z napisem „WRÓŻBY”, zrobionym z grubej pilśni i pomalowanym na złoto. Wzruszył ramionami.

— Bywa — oświadczył i poszedł na przystanek.

Enka uniósł rękę w geście pożegnania. Odprowadzał księdza wzrokiem i przyszło mu do głowy, że powinien go dawno rozgryźć i dziwne trochę, bo jeszcze tego nie zrobił.

Posterunkowy Remigiusz Tuta widział, jak porucznik Enka rozgląda się po placu, chwyta się pod boki, strzyka śliną, słowem, zachowuje się, jakby nie wiedział, dokąd idzie – a przecież wiedział. Tuta od razu rozpoznał oficera, był bowiem dobry w rozpoznawaniu ludzi. Wystarczy przyjrzeć się barkom. Szuja zawsze je przekrzywi, choćby wcześniej kij połknął, człowiek prawy, nawet z garbem, barki będzie trzymał równoległe do ziemi. Milicjant zaś ma proste barki, ale wydają się krzywe i trzeba wprawnego oka, żeby się połapać. Tuta rozpoznał porucznika właśnie po barkach. Pociągnął łyk zimnej herbaty i wiedział już, co robi. Gdy tylko ten facet wejdzie, pomyślał, dzień dobry, panie oficerze, bo jeśli tu przyjechał, to na pewno jest oficerem. I gość będzie rozłożony.

Porucznik Enka energicznie otworzył drzwi, Tuta podniósł się sztywno.

— Porucznik Zbigniew Enka — rzekł gość, nim Tuta się odezwał. — Potrzebuję pana pomocy.

Wargi posterunkowego Tuty kłapnęły w potwierdzeniu. Porucznik Enka poparzył na odrapane ściany: orzeł wyglądał, jakby zaraz miały mu odpaść

skrzydła, pękate, pokreślone teczki z papierami leżały w kupie pod ścianą. Wzrok porucznika przewędrował przez baterię kubków po kawie, przez łyżeczki zostawione w zaschniętych, brązowych plamach i spoczął na maszynie do pisania, w której brakowało klawisza z literą „d”. Pod biurkiem stały cztery butelki wódki, wszystkie pełne, a pod ścianą kartonowe pudło.

— Już, już, oczywiście — Remigiusz Tuta odzyskał głos. — Kawy może?

Enka pokręcił głową.

— Mielicie ostatnio trupa — rzekł Enka. — No to ja w sprawie tego trupa przyjechałem.

— Trup — powtórzył posterunkowy Tuta. Oczy mu się zwięzły. — No jasne, panie poruczniku. Pan Śpik. Wikary Śpik. Mam tu wszystko — porwał pękatą teczkę — i o nim, i o wsi pewno pan też chce wiedzieć wszyściuteńko. Pan pewno myśli, że jak skromnie, to zaraz nieporządnie. Juuuż — cmoknął — Stachowarty.

— Wiecie co? — Enka poparzył smutno na papierzyska śmigające w rękach posterunkowego Tuty. — Może lepiej zajmiecie się kołem od samochodu. Macie wróżkę, popytam.

Posterunkowy Tuta zrobił tak nieszczęśliwą minę, że Enka natychmiast pożałował swoich słów. Drzwi otworzyły się z hukiem i do komisariatu wparował wąsaty facet koło pięćdziesiątki, z malowniczym kolażem plam na tureckim swetrze. Twarz miał czerwoną jak radziecka flaga, z oczu bił zimny błękit Bajkału.

— Tutuś! — chrypnął. — No dajże szklaneczkę, dałyś, co? Wiesz, co to bydlę, Pustułko, nawywiijał?

Posterunkowy Tuta wystrzelił zza biurka, zmaterializował się tuż przed wąsaczem, syknął coś i pchnął go w kierunku drzwi. Gdy się odwrócił, ujrzał porucznika Zbigniewa Enkę na swoim krześle: Enka niedbale przeglądał papiery, a lewą ręką turlał butelkę wódki.

— Dobrze, posterunkowy Tutuś — rzekł Enka — to może wrócimy do naszego *corpus delicti* i nieszczęsnego denata.

— Tuta — rzekł głucho Tuta — Remigiusz Tuta.

— Powiesz mi wreszcie, co tutaj się wywija? — huknął Enka, a Tuta przypadł do biurka, sięgnął do papierów i zaraz cofnął rękę.

— Więc ksiądz Śpik...

— Wikary Spiski — poprawił Enka. — Chodźcie, Remigiuszu, do kościoła?

— Nie! Czasem — sapnął Tuta. — Panie kapitanie, widzi pan, z tym wikarym to nikt nic nie wie, obcy ludzie musieli. Nikt nie widział, ludzie byli na cmentarzu, to kawał drogi. Wszyscy się dziwią, tu każdy religijny, żeby księdza zabić. Jak to można?

— Słuchajcie mnie, Tuta. Ja to wszystko wiem. Opowiedz mi o Stachowartach.

— Stachowarty, no co ja mogę? Toż tam się nic nie dzieje. Dobrzy ludzie żyją, ja tam spraw nie mam. Raz chłopinie rękę przy pile przycięło, poza tym nic nie wiem, naprawdę.

— Pożary — przypomniał porucznik Enka.

— No były pożary, ale ja, panie kapitanie kochany, ja tu od dwóch lat jestem, to nie wiem, nic się nie spaliło, ale jak tego księdza zabili, to zaraz pomyślałem, że będą problemy. Jak przejmowałem teren, to też nikt się nie skarżył. Pan kapitan pójdzie, pan pójdzie, pan się ludzi popyta, to złego słowa na Stachowarty nie powiedzą! Ludzie ich lubią, no bo bez nich byłoby ciężko. Wie pan, co się w szpitalu tutaj dzieje? Okropne rzeczy, strach iść, i nawet jak moja rodzica, to u baby, aż wstyd powiedzieć, właśnie w Stachowartach. Nasz szpital jest straszny! Widział pan Waldka? Toż mu dziecko tam umarło. A stary doktor jeszcze chciał baby ze Stachowart przepędzić i pewno by to zrobił, ale umarł nagle, we własnym szpitalu. — Tuta dostrzegł, że Enka otwiera usta, by zadać pytanie. — Normalnie umarł, panie kapitanie, najpierw wrzód, potem zapalenie, to chłopu się zmarło i nie ma w tym żadnej tajemnicy.

— No dobrze. — Porucznik Enka wstał, strzelił palcami. — To jeszcze raz z tym wikarym poproszę.

— Ja nie wiem, czemu pana kapitana tu wezwali. Już z województwa przyjechali, pochodzili, ale skończyło się na tym, że porobili zdjęcia, trupa zabrali, i co, ani widu, ani słyhu.

Porucznik Enka z uśmiechem odstawił półlitrowkę, niby przypadkiem trącił pudło przy ścianie — zabręczało — i uściśnął spoconą rękę posterunkowego Tuty.

— Jesteście, Tuta, porządnym człowiekiem — spojrzał mu w oczy — bardzoście pomogli.

Wyminął go, położył dłoń na kłamce.

— Ja mogę jeszcze pomóc — rzekł Tuta rozbrajająco — tylko naprawdę nie wiem jak, panie kapitanie.

— Dobrze, że chcecie, Tuta — odparł porucznik Enka. — Dowiem się, w jaki sposób, i wtedy pomożecie.

Na dworze świeciło słońce i można by zapomnieć, że październik dobiega końca. Porucznik Enka szybkim krokiem ruszył w stronę samochodu, zastanawiając się, czy ksiądz Gil dotarł już do Stachowart i czego tam się dowiedział. Kątem oka dostrzegł, że wąsaty facet, zgarbiony, ukradkiem wchodzi do komisariatu.



Z początku, ksiądz Andrzej Gil nie wiedział, co dziwnego jest w Stachowartach. Może to, że zdawały wyskakiwać z lasu: krok wcześniej otaczały go złoto i brąz jesiennych drzew, krok dalej wyrastały kolorowe domy. Ksiądz przeszedł kilkadziesiąt metrów, nim zrozumiał, że to właśnie dzięki kolorom wieś odróżnia się od innych. Październik, szary miesiąc szarego peerelu, a tutaj, wiśniowe, dwuspadowe dachy, żywa zieleń okiennic, większość domów z drewna, pomalowana na jasnożółto, biało, nawet seledynowo. Płatki dookoła ogródków miały najczęściej barwę intensywnego brązu, trafiały się karmelowe, jeden wściekle niebieski.

Andrzej Gil szedł przez Stachowarty ujęty panującym tu spokojem. Większość mieszkańców najpewniej jadła właśnie obiad, nieliczni, mijani na poboczu, kłaniali się nisko, mówiąc „pochwalony”. Kobiety miały na głowach kolorowe chusty i nosiły spódnice z mnóstwem wielobarwnych pasów. Sprawiały wrażenie lekko zaskoczonych widokiem mężczyzny w koloratce, ale największą uciechę miały dzieci: roje brzdąców podążały tropem księdza, kryjąc się za drzewami, w chaszczach, wpadając za domy i wybiegając z drugiej strony. Dzieci jak dzieci, w luźnych spodniach dresowych, znoszonych koszulkach i koszulkach polo, a im dłużej Gil na nie patrzył, tym bardziej ganił się za to, że widzi w nich coś niepokojącego. Jakby skóra mogła być zbyt biała i zbyt naciągnięta na kościach, śmiech zbyt bezpośredni, a krok mechaniczny.

Na przykład dziewczyna z naprzeciwka: na oko ledwo po dwudziestce, ale już po dzieciach. Szła szybko, posłała księdzu zdziwione spojrzenie, zaraz się skłoniła, a Andrzej Gil nabrał wrażenia, że pod piegowatą skórą skrywa się choroba i policzek skruszyłby się, gdyby tylko mocniej go dotknąć.

— Którędy do kościoła? — zapytał.

— Pochwalony! — powtórzyła. — A do którego kościoła, starego, czy nowego? Bo dwa kościoły mamy!

— Na plebanię.

— Jak na plebanię to prosto — wyjaśniła — do nowego kościoła. Ale będzie ksiądz musiał całą wieś przejść.

Ruszył więc dalej. Domy stały daleko od siebie, odgrrodzone pasami schnącej trawy, drzewami i ogródkami. Można by między jednym a drugim sporą stodołę postawić, pomyślał Andrzej Gil i dostrzegł, że dziewczyna biegnie od płotu do płotu, równoległe do niego, wystarczająco blisko, żeby widział jej uśmiech, i zarazem dość daleko, by nie dostrzegł wyrazu jej oczu. Nie wiedział czemu, ale był pewien, że są smutne.

Dziewczyna miała białą spódnicę do ziemi, zakrywającą stopy, i jasną bluzeczkę na ramiączkach – za lekką na październik. Poruszała się płynnie, jakby sunęła nad ziemią, a kępki trawy falowały przed nią. Wywijiała giętkim kijkiem, niby goniąc przed sobą psa lub inne zwierzę, a co chwilę podskakiwała, klaszcząc w powietrzu, i księdzu wydawało się, że nad jej głową widzi wirujący punkcik, bardziej jednak podobny do płątka sadzy niż do motyla. Śpiewała, a ten śpiew dochodził do drogi:

*A Łado gardzina Jesze,*

*Łado, Jesze, Kija, Nija.*

*Łado i Leli, Jasza, Tija.*

*Jesza, Łado i Leli, Jaja.*

*A, Łado! A, Jiesz!*

Melodia bez melodii, wiatr wplatał się w słowa, a księdzu coś brzmiało znajomo. Nie wiedział, czy to ten rytm senny, czy sama barwa głosu, czy wreszcie same słowa. Przystanął i z wahaniem poszedł w stronę dziewczyny. Im śpiew brzmiał głośniejsz, tym księdza większy ogarniał niepokój. Dziewczyna spostrzegła nieznanego, zatrzymała się, urwała pieśń w środku nuty i ksiądz Gil poczuł dziwną pustkę, jakby nagle zatkało mu uszy.

— Niech będzie pochwalony! — powiedziała śpiewnie i ksiądz Gil miał wrażenie, że mówi to zupełnie inna dziewczyna. Chciał zagadać jeszcze o drogę do plebanii, ale tylko uśmiechnął się sztucznie i zawrócił. Dopiero na drodze zorientował się, że kieszeń marynarki, w której trzymał dłoń, jest mokra.

\* \* \*

Plebania z daleka przypominała konglomerat gigantycznych białych klocków – z bliska okazała się przysadzistym budynkiem o wielkich oknach, otoczonym przez ogród i czerwone czapy drzew. Obok stała szopa, biała, niezgrabna – za to duża.

Kobieta, która otworzyła, musiała być szczerze zaskoczona.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — powiedział Andrzej Gil, a gospodyni patrzyła na niego, jakby był upiorem albo cyrkowym dziwadłem. Kiedyś musiała być bardzo piękna, teraz zmarszczki opłotły jej oczy, ale, gdyby księdzu Andrzejowi wolno było oceniać takie sprawy, stwierdziłby, że biust wciąż ma prężny, a nogi proste jak droga do nieba.

— Zastąłem może księdza proboszcza?

Andrzej Gil wszedł do środka. Gospodyni puściła go przodem i powiedziała:

— Jest w ogrodzie, zaraz przyjdzie. Zaraz go zawołam, powiem wszystko, że jest ksiądz... — zawiesiła głos — ksiądz...?

— Andrzej Gil.

Popatrzyła, niezdarnie dając do zrozumienia, że nazwisko cokolwiek jej mówi. Pięć minut później Andrzej Gil siedział w przestronnej kuchni, pił herbatę i kontemlował ludowego świątka spoglądającego bezmyślnie znad szafki. Proboszcz wytoczył się z głębi domu z koszykiem pełnym ziół.

— Niech będzie pochwalony — powiedział i zaraz dorzucił, nie czekając na odpowiedź: — smakuje księdzu herbata? Sam przyrządzam. — Potrząsnął koszykiem. — Herbata to moja pasja.

— Na wieki wieków, amen — odparł Andrzej Gil. Proboszcz zdawał się rozsadzać kuchnię. Bardzo wysoki i barczysty, chodził, kiwając się na boki. Twarz miał ogorzałą i poważną, choć śmiesznie wysunięta szczeka ujmowała trochę z groźnego wyglądu. Dłonie bardziej nadawały się do wrywania drzew niż przycinania krzewów. Pod paznokciami zagnieździła się ziemia. Proboszcz miał też nogi tak grube, że sprawiały wrażenie napuchniętych.

— Małgosiu — zawołał gospodynię — Małgosia zrobi gościowi obiad. Na pewno ksiądz jest głodny.

Andrzej Gil nie miał powodu, by kłamać. Proboszcz poopowiadał o trudach prowadzenia wiejskiej parafii, które mogą wynagrodzić tylko uczciwi wierni, i o tym, że najważniejsza jest zżyta społeczność. Mówiąc, cmokał i kaszłał, a ksiądz Gil odpowiadał półsłówkami. Na stół wjechał najpierw rosół z makaronem, zaraz po nim potrawka z kurczaka i mizeria z ogórków szklarniowych. Proboszcz odkroił sobie mały kawałek mięsa, nałożył ziemniaków na widelec, przełknął.

— Więc z czym ksiądz do mnie przychodzi?

\* \* \*

— O to wszystko mnie już pytano — proboszcz lubił siedzieć z nogą założoną na nogę i głową lekko spuszczoną tak, że wydawał się niższy niż w rzeczywistości. — Nie widziałem, nie byłem, nikt nie widział.

— Ksiądz chyba rozumie, że nie jestem milicjantem.

Proboszcz zamrugnął i pokiwał głową.

— Nie jestem milicjantem, ale jeśli ma ksiądz jakieś podejrzenia, szczególnie delikatnej natury, może byłoby lepiej, żeby ksiądz podzielił się nimi ze mną.

— Jest ksiądz sam? — wypalił proboszcz.

— W tej chwili tak.

— Powiem tyle, że to był ktoś z zewnątrz. W zeszłym tygodniu, ktoś tu się kręcił. Jakiś łachudra, ankiety robił, próbował włamać się na plebanię. Odgrażał się, że wróci. Jest jeszcze... — Chrząknął. — To może za chwilę. Przykra sprawa. — Spojrzał smutno na Andrzeja Gila. — Czy ksiądz przyjechał zamknąć nasz kościół?

Andrzej Gil lekko opuścił powieki.

— Nie ja zamykam kościoły — powiedział. — Czy tam dokonano morderstwa?

— Nie wiadomo. — Proboszcz nachylił się do Andrzeja Gila. Sprawiał wrażenie szczerze zatroskanego. — Przecież znaleźli go przy moście, ale milicja uparła się, że w kruchcie są ślady krwi. Pewno są. Mówili, aż boję się o tym myśleć, że są przy ołtarzu. Co wtedy?

— Biskup może zamknąć kościół. Na pewno będzie trzeba go wyświęcić.

— Ja wiem, ja wiem — przyznał proboszcz — przecież w nim mszy nie odprawię. Przeniosłem się do starego kościółka. Co powiedział biskup?

— Nie rozmawiałem jeszcze z biskupem — przyznał Andrzej Gil, jakby kiedykolwiek miał taki zamiar. — Powiedział ksiądz: stary kościół.

— Mamy taki. Tamtego używaliśmy, odkąd rzeka zmieniła bieg. W tym nowym to straszny kłopot. A tamten zabytkowy, bardzo stary.

— Wiem — rzekł ksiądz Gil.

Proboszcz otarł rękawem pot z czoła. Tęsknie spojrział w stronę koszyka z ziołami.

— Mamy mieć niedługo inspekcję z gminy. Będą też strażacy. Kościółek jest z drewna, suchy jak próchno, a w środku tyle cennych rzeczy. Wszystko może pójść z dymem, a tego już nie odratujemy. Raz już cudem ocalał, dawno temu. Boję się, że władze każą go zamknąć. Jakby lato było, mógłbym jakiś ołtarz może... ale zima za pasem.

— Co na to konserwator zabytków?

— Nie wiem. — Proboszcz wzruszył ramionami. — Może to i dobry człowiek. On myśli o przedmiotach, a ja o ludziach.

Zapadło milczenie. Proboszcz ożywił się nagle i zaproponował wino.

— Podziękuję. — Gil wstał. — Może będzie dobrze.

Proboszcz rozpromienił się.

— Póki co pokaże mi ksiądz kościoły? — rzucił Gil, niby obojętnie, patrząc na świątka.

— Kościoły? — Proboszcz złączył dłonie na brzuchu. — A po co zaraz kościoły? Przecież nieszczęsnego Marcina zabili w nowym. — Przygryzł wargi i zaraz się uśmiechnął. — Oczywiście, ma ksiądz rację. Pokażę oba kościoły.

\* \* \*

Proboszcz Kalanda musiał przystawać co kilka kroków. Pochylał się jakby zamierzał kaszlnąć, ale tylko ze świstem wydmuchiwał powietrze. Andrzej Gil próbował na niego nie patrzeć i wodził wzrokiem po domach – kolory zdawały się głębsze niż w południe, ludzi było więcej, kłaniali się nisko, a ksiądz nie mógł się nadziwić ozdobom kobiet. Mężczyźni wypadali przy nich szaro, tak jak inna wieś bladła przy pastelowych barwach stachowarckich domów. Nie pozbył się dziwnego wrażenia, że w ludziach czai się jakieś złamanie – w ich kościach, w kroku, może zwyczajnie nieszczęście ich przygniotło?

Naprzeciw kościoła wznosił się budynek szkoły podstawowej. Akurat Kalanda znów stanął, a Andrzej Gil zderzył się z szczupłym mężczyzną po trzydziestce. Mężczyzna odruchowo rzucił „szczęść Boże” i podreptałby dalej, gdyby nie ksiądz Gil, który zawołał, aby się zatrzymał.

— Pan jest nauczycielem? — zagadnął, a mężczyzna rozchylił ze zdziwienia usta, jakby zapomniał o przeźroczyściej siatce z zeszytami.

— To ksiądz profesor Andrzej Gil — pospieszył z wyjaśnieniami proboszcz. — Przyjechał aż z Krakowa, żeby zobaczyć nasz kościół. A to Robert Hardaj od klas pierwszych.

Nauczyciel odstawił siatkę i podał rękę: Gil nie znosił takiego uścisku, właściwie nie był to uścisk, ale międlenie miękkiego mięsa.

— To już ksiądz wie — Hardaj miał głos doskonale obojętny. Gil był przekonany, że gdyby belfer musiał błagać o życie, wydobywałby z siebie to samo buczenie na jednym tonie. — Takie nieszczęście — stwierdził Hardaj — takie nieszczęście.

— Znał pan wikarego?

— Wszyscy przecież go znali. I każdy chyba lubił...

No, ktoś to go jednak nie lubił, pomyślał ksiądz Gil.

— Uczył religii, dzieci go uwielbiały. Sam nawet odnowił salkę przy parafii, ze szkoły pożyczylimy ławki. Pół roku był z nami, niby krótko, tak naprawdę dużo, a tak zupełnie szczerze, za krótko. Nigdy coś takiego się nam nie zdarzyło, bo widzi ksiądz, ja w tej szkole piętnaście lat pracuję, a wszyscy prawie są starsi ode mnie. Tak już jest, ludzie nawet po studiach wracają — Hardaj rozgadał się, a Gil

pożałował, że w ogóle go zatrzymał — czasem i po wielu latach. Tak samo lekarz, tak nauczyciele, nie zapomnieli, skąd są.

Hardaj otwierał usta do następnego zdania, gdy proboszcz zgromił go wzrokiem. Nauczyciel uśmiechnął się głupkowato, poderwał siatkę i począpał między domy.

— To dobry człowiek — rzekł przejęty Kalanda. — Wszyscy tutaj są podenerwowani.

— Nic dziwnego — przyznał obojętnie Andrzej Gil.

— To dobry człowiek — powtórzył proboszcz, po czym wydobył klucz od kościoła.

\* \* \*

Andrzej Gil przekroczył obrysowany na biało ślad po krwi i wszedł w czerwień. Początkowo nie rozpoznał jej źródła, cofnął się i wpadł na proboszcza. Kalanda położył mu dłoń na ramieniu – wszystko będzie dobrze. Tylko że wszystko było czerwone: nawa, ławy, paskudny obraz ze świętą trójcą, ołtarz i ściany. Kalanda zapalił światło i niezwykły efekt zniknął. Tworzyło go słoneczne światło, wpadające przez czerwone kwiaty na witrażach. Te kwiaty o ogromnych płatkach, podobnych do płatów mięsa, nie spodobały się księdzu Gilowi, a jeszcze bardziej nie spodobał mu się obraz za blatem ołtarza.

Gil twierdził, że w seminariach duchownych powinni uczyć estetyki, a przynajmniej nazw kolorów: niebo nad głową Pana Jezusa było seledynowe, a trawa – brązowa – chyba schła pod dotykiem boskiej stopy. Nad głową Zbawiciela fruwał gołąbek z laurowym liściem, a na wszystko spoglądał Bóg Ojciec, wzrokiem karczmarza, któremu właśnie rozniesiono lokal na cztery wiatry. Kościół parafialny w Stachowartach był pod wezwaniem Świętej Trójcy.

Ksiądz Gil przyklęknął, przeżegnał się i zobaczył, że proboszcz Kalanda pada na kolana. Popatrzył jeszcze chwilę i poprosił o wskazanie drogi do zakrystii.

— Myślałem trochę o tej sprawie — rzekł Gil po chwili, krążąc po pomieszczeniu. — Obiecuję ci, że w piśmie do ordynariusza wspomnę też o problemach księdza. Nie wiem, co na górze postanowię.

Proboszcz Kalanda siedział na ludowym krześle. Dłonie złączył na kolanach.

— Tak — mruknął — dobrze, ja to rozumiem.

Odwrócił głowę.

— Wiem, co biskup Rurak myśli — podjął Gil. — U niego to łączy się w spójną całość. Morderstwo. Zbezczeszczone kościół. Ta tajemnicza zbrodnia i, w jej cieniu, zamknięcie kościoła.

— Jezu — wyrzucił Kalanda — przecież ja mówię cały czas, że co ja mogę, że nic nie wiem, przecież nie można karać tylko za to, że nie byłem, nie patrzyłem, nie mogłem. Biskup nie zrozumie? Ja to nieważne, ale przecież o ludzi chodzi, czy ksiądz tego nie rozumie? — Wyciągnął ręce. — To dobrzy ludzie, prości ludzie. Zawsze żyli spokojnie, blisko siebie, i zawsze był nasz kościółek. — Spróbował się podnieść, ale zachwiał się i padł na kolana. Gil pochylił się, a Kalanda wczepił się w niego, przyciągnął i mówił, nie kryjąc łez — dobrze, powiem, nie powinienem, ale powiem. To dobra kobieta. To pewno nie ona, ale powiem, skoro trzeba. Powiem.

Puścił wreszcie Gila, wdrapał się na stołek i mówił dalej, ocierając twarz rękawem:

— Mamy taką Jadźkę, Jadźka to nie zły człowiek, dużo wycierpiała. Najpierw umarł jej mąż, też dobry człowiek, a siedem lat temu, Jezus Maria — przeżegnał się — jej córka zmarła straszną śmiercią. Spaliła się, rozumie ksiądz? Na stypie, w stodole, schowała się, nikt nawet nie wiedział... A właśnie jej narzeczonego chowali, już na ślub byli umówieni, pamiętam, dobry Boże... — Zgarbił się, łokcie wepchnął między kolana. — No zwariowała od tego i z nożem po wsi lata. Czasem, rzadko, tylko ostatnio było gorzej. Milicja sama do tego doszła, ale jej w końcu nie zabrali. Z niej nic ksiądz nie wyciągnie, a i tak zabiorą ją do szpitala — kaszlnął — na zawsze. Teraz ludzie ją karmią, inaczej by umarła, i właśnie mówili, że to może ona, bo w wikarym diabła się dopatrzyła. Ale nikt nie wie. Takie nieszczęście, każdy by oszalał — wstał gwałtownie — martwy mąż, spalona córka.

Gil pokiwał głową, a proboszcz wygrzebał chustkę z materiału. Przetarł oczy. Gilowi zrobiło się go żal.

— A stypy? — zapytał łagodnie. — Słyszałem o tym.

— Stypy. Są stypy.

— Pożary na stypach. Trupy.

— U nas na każdej stypie jest cała wieś, stąd stodoły przeważnie. To dobrzy ludzie, ale jak nieszczęście, to lubią popić. No to stąd pożary.

— Czemu ksiądz na to pozwala? — zapytał Gil, a Kalanda skrzywił się, jakby właśnie otrzymał cios na odlew.

— A co ja mogę? — rozłożył ręce. — Znaczący mogę, ale ci ludzie tak zawsze robili. Ja też tu byłem wikarym i proboszcz nieboszczyk zaraz na wstępie mówił, że nie można występować przeciwko tradycji, bo tradycja to dobro w ludzkich sercach. — Targnęły nim dreszcze, kaszlnął, błyszcząca plwocina wylądowała na podłodze, a Kalanda rozryczał się na nowo. — Ale teraz już rozumiem, że trzeba,

po tym, co się stało. Ja to zrobię. — Chwytał księdza Gila za marynarkę i natychmiast puścił. — Jeśli to ma pomóc, to ja to zrobię.

Oczy powiększyły mu się nagle, rozejrzał po zakrystii i podreptał, kołyszając sadłem, za róg. Księdza Gila dobiegł szum wody. Gdy Kalanda pojawił się ponownie, był jeszcze bardziej czerwony, ale trząsał się mniej.

— Ja bardzo przepraszam — wykrztusił.

Gil, który niewiele zrozumiał z tego co usłyszał, a jeśli coś zrozumiał, to tyle, że powinien poczuć się winny, poklepał Kalandę po przyjacielsku. Proboszcz westchnął głęboko i zapytał, czy mają teraz iść do starego kościoła.

— Nie chce ksiądz odpocząć? — upewnił się Andrzej Gil, a Kalanda zaprzeczył ruchem głowy.

— Spać? — wyszeptał. — Jak mam spać?

Nim wyszli, zgasił światło, i ostatnim, co ksiądz Andrzej Gil zapamiętał z wizyty w kościele Trójcy Świętej, był czerwony blask spływający z witraża wprost na jego stopy.

\* \* \*

Porucznik Enka nabrał przekonania, że posterunkowy Tuta sprawdziłby się podczas przesłuchań i najtwardszy nawet opozycjonista śpiewałby jak na roratach. Pierwszym, co Enka zrobił po zaparkowaniu w Stachowartach, była wizyta w budce i wlanie w siebie litra szczyń, choć zapłacił za piwo. „Tuta, tuta”, dźwięczało mu w głowie, nazwisko jak stukot pociągu, „tuta, tuta”, męcząca menda, jeden z tych gnojków, którzy płaszczą się przed każdym, a potem okładają własne dzieci osiką, głupek, dureń, buc. Enka czuł się zmęczony. Zmęczył go też obiad – ziemniaczana papka i kotlet tak cienki, że można by przez niego świat oglądać.

Zadzwoił do Gruli i zdenerwował się jeszcze bardziej.

— Stachowarty? — mówił Enka do słuchawki. — Jestem w Stachowartach, patrzę sobie po ludziach i nic mi się tu nie podoba.

— Może po prostu nie lubisz wsi? — zagulgotał Grula.

— Dopiero przyjechałem.

— A ksiądz?

— Ksiądz to mądrała, ale zęby sobie tutaj połamię. Nie wiem, co on teraz robi. Wsadziłem go w autobus. Miał zapuścić żurawia między katabasy.

— To coś ty robił przez trzy godziny?



— Co robiłem? Właściwie nie wiem. Spotkałem idiotę stulecia, niejakiego Tutę, robi tutaj za handlarza udającego milicjanta, tak mnie bałwan wymęczył, że nie wiem właściwie, co się dzieje. Straszny człowiek, zresztą klecha nie lepszy. Przecież jego można moczem przeciąć w najgrubszym miejscu, mówisz do niego i mówisz, a on może i zrozumie, ale nie przyswoi, zrobi swoje.

— Przesadzasz.

— Znasz ten typ człowieka, który zamiast oczu ma dwa drogowskazy? No to taki gość. A teraz stoję sobie w tej dziurze i im dłużej patrzę, tym lepiej rozumiem, że sprawa jest beznadziejna. Poczytałem akta, klecha z kimś zadarł, to ten ktoś go zabił, a wieś nabierze wody w usta. Mogę miesiąc tu spędzić, chodzić od domu do domu i niczego się nie dowiem. Nie dziwię się, że tutejsi zęby sobie połamali.

Zapadła chwila milczenia i Enka wyobraził sobie Grulę, jak opada na fotel, przytrzymuje słuchawkę ramieniem i czyści paznokcie złożoną na pół wizytówką.

— Rozmawiałeś chociaż z kimś? — rzekł wreszcie Gula.

— Zaraz będę rozmawiał — sapnął Enka. — Czy ty, Gula, kiedykolwiek byłeś na wsi?

— No pewnie.

— Takie sprawy jak nasza na wsiach po prostu nie wychodzą. Są dwie możliwości — strzelił palcami — albo zabił go ktoś miejscowy, albo przyjezdny. Jak przyjezdny, to wszystkie dane mamy na dłoni, jak miejscowy, to się nie dowiemy. Tu nikt nikogo nie wyda, choćby jadał dzieci z kapustą. Tu, zrozum Gula, każdy ma sekret. Dom źle postawiony, szambo na drogę wylane. Wieś, Gula, polska wieś wesoła.

— Zupełnie cię nie rozumiem.

Enka westchnął.

— To ja ci, Gula, wyjaśnię. Jestem we wsi kolorowej jak klocki i ludzie, jak klocki, będą milczeć. Daliście mi człowieka, który będzie robił tu własną robotę i ja mu nawet się nie dziwie. Pogadam z proboszczem, pójdę do sołtysa i spieprzam stąd, bo mam to wszystko w dupie.

Usłyszał, że Gula nabiera powietrza, by coś powiedzieć, i odłożył słuchawkę.

Wszystko, co miało mu pomóc: piwo, obiad, ksiądz Andrzej Gil, wydawało się szkodzić.

\* \* \*

W Stachowartach nic do siebie nie pasowało: domy przypominały Ence atrapy, kosmyk rzeki za nimi sztuczne źródło, a ludzie maszyny. Szedł szybko i dziwił się,

że jest właściwie sam. Inne wsie żyły, tu ludzie się pochowali. I jeszcze ta idiotyczna numeracja domów, dwójka koło siedemdziesiątki, nie sposób się było połapać. Rozglądał się bezradnie i niemal wpadł na siedzącą po turecku na poboczu starą kobietę, która żuła skórkę chleba. Spojrzała na Enkę i odniósł wrażenie, że patrzy przez niego na domy po drugiej stronie drogi.

— W porządku? — zagadnął. — Może pani wstanie?

Kobieta niemal niedostrzegalnie kiwnęła głową. Z ust zwisała jej gruba nić śliny. Miała mocne dłonie, połamane paznokcie, a na spódnicy żółte plamy. Z zawiniątka wydobyła pajdę chleba i długi nóż, odkroiła skórkę. Chleb poleciał pod nogi porucznika Enki, a kobiecina wgryzła się w skórkę.

— Wie pani, którądy do sołtysa? — zapytał Enka.

Kobiecina nie drgnęła.

— Od niej nic pan się nie dowie — zabrzmiało. Przed Enką stał chudy facet z siatką pełną zeszytów — a sołtys jest tam zaraz, drugi dom. — Ręka z siatką zatoczyła łuk, mężczyzna uśmiechnął się słabo i poszedł dalej.

Enka strzyknął śliną.

— Na pewno wszystko w po... — urwał i odskoczył, klnąc głośno. Żłota struga spomiędzy nóg kobieciny opłynęła jego buty łagodnym łukiem i leniwie ruszyła dalej, w ślad za nauczycielem.

\* \* \*

Dom sołtysa był ogromny, a sołtys malutki. Porucznik Enka zderzył się z nim w drzwiach.

— Muszę teraz? — burknął gospodarz, gdy tylko dowiedział się, o co chodzi. — Spieszę się na cmentarz.

— Musi pan — odparł poważnie porucznik.

Sołtys nazywał się Krzysztof Lej. Miał szurcze zęby i nos, zdaniem porucznika Enki, stworzony do rycia w ziemi. Spodnie wisały na nim, jakby zamiast nóg miał dwa druty. Najwyraźniej nie kwapił się zaprosić porucznika Enki do środka. Zatrzasnął drzwi, skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o framugę.

— Wikarego ludzie lubili, a on nie narażał się nikomu, na tyle, na ile umiał — oświadczył. — To wszystko już wcześniej mówiłem. Ludzie go lubili.

Enka pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Mówi pan, że zabili go z miłości?

Sołtys Lej podrapał się po nosie.

— Widzi pan, panie poruczniku, pan chce, żeby wszystko było czarne na białym. A tak nie jest. Ksiądz Spiski przyjechał do nas niedawno i ludzie przyjęli go z nadzieją, ale i obawami. Pan jest z dużego miasta?

— To ma znaczenie?

— Ma. — Dłonie sołtysa zaczęły krążyć. — Pan przywykł do zmian, myśmy nie przywykli. Mamy telewizory i telefony, ale tutaj, we wsi — zabębnił o balustradę — wciąż bije to samo serce co pięćdziesiąt lat temu. Lubimy żeby nasze dzieci uczyli ci sami ludzie co nas. I nowy ksiądz, nawet wikary, to także nowe emocje. Czasem niezdrowe.

Enka błądził wzrokiem po fasadzie domu sołtysa.

— Niezdrowe emocje — powtórzył.

— To był rzutki człowiek. Przyszedł i zaraz zaczął działać. Przed trzydziestką, miał mnóstwo sił. Zaraz by wszystko zmieniał. Najbardziej lubił uczyć, pracować z dziećmi. Uczył religii, podobno znakomicie. Ale ludzie mówili kilka razy, że on za bardzo lubi te dzieci. — Po twarzy Leja przemknęło zakłopotanie. — Słyszał pan o takich sprawach?

— Słyszałem, że za takie sprawy można zabić — rzekł porucznik i zrobił krok do przodu, na znak, że chętnie wszedłby do środka. Krzysztof Lej wyminął go ostrożnie i stanął na drodze do furtki.

— Nie zabić i nie tutaj. — Rozłożył bezradnie dłonie. — Tutaj nie zabija się za plotkę. Tutaj w ogóle się nie zabija. Ludzie w Stachowartach są prości i lubią czasem coś wyolbrzymić. Proboszcz twierdził, że to nieprawda, sam tak dalej twierdzą. Jeśli intencje księdza wikarego były nieczyste, to jest mnóstwo sposobów, żeby załatwić taką sprawę. Nie trzeba noża, prawda?

Porucznik Enka wyjął, pierwszego dzisiaj, papierosa. Bawił się nim, zamiast zapalić.

— Czemu nie powiedział pan o tym wcześniej?

— Może mówiłem, a może nie. Nie pamiętam. Takie słowa wywołują tylko niepotrzebne podejrzenia.

Enka wreszcie zapalił, po czym wydmuchał dym prosto w twarz sołtysa.

— Kto mówił takie rzeczy?

— Nie wiem. Ksiądz proboszcz mi przekazał, i to dawno temu. Może pan z nim porozmawiać. Ja naprawdę muszę już iść... To dobrzy ludzie, spokojna wieś. To pierwsze takie zdarzenie i ja bardzo bym chciał, żeby nie pociągnęło za sobą następnych.

Pozostawił Enkę na środku drogi i zatrzasnął za sobą furtkę. Stawiał drobne kroki, jakby właśnie wszedł między osty, pogwizdywał, a porucznik Enka

zastanawiał się, po co właściwie przyjechał i co tutaj robi. Gdy Lej zniknął za zakrętem, usiadł na stopniach i palił powoli. Zgniół niedopałek w palcach. Patrzył, jak drobinki żaru, wirując, opadają na mokrą ziemię.

Im dłużej myślał, tym lepiej rozumiał, że przybył tutaj w efekcie bezradności przełożonych. Zakpiono z niego tak jak z Andrzeja Gila. Jeśli wikary naprawdę dobierał się do dzieci, nikt nie wyda jego zabójcy, a on, porucznik Enka, nie zamierzał go szukać.

\* \* \*

— Śmierć wikarego była szokiem dla nas wszystkich, ale najbardziej dla dzieci i młodych. — Proboszcz Kalanda odzyskał spokój i maszerował rażno poboczem. — Niesłychanie ruchliwy człowiek. Musiałem go zaganiać do łóżka, jak brzdąca. Nic tylko by działał.

Ksiądz Gil z trudem nadażał za proboszczem. Żałował, że nie poprosił o kawę – nogi mu zmiękły, oczy same się zamykały.

— Ja tak bym nie umiał, nigdy nie umiałem — mówił dalej Kalanda — jestem spokojnym człowiekiem. Lubię mówić kazania, lubię rozmawiać z ludźmi, ale dzień przelatuje mi przez palce. Potrzebowałem kogoś w typie Spiskiego, bardzo religijnego, bystrego, pełnego pomysłów. Przynosił mi konspekty lekcji, błyskotliwe. Gdyby nie umarł, Boże, tak okropnie umarł... — westchnął — ale gdyby tak się nie stało, zaraz zrobiłby oazę i chór dziecięcy.

W Stachowartach zapadł zmierzch i Gil zastanawiał się, co porabia porucznik Enka. Jego zjadliwy humor być może podziałałby teraz ożywczo. Ludzie wypłynęli na drogę, niczym śnięte ryby, każdy z mnóstwem świec i zniczy. Schodzili księżom z drogi, kłaniali się, a wypowiedane słowa docierały do Gila z opóźnieniem.

Zza domu na zakręcie wyłonił się drewniany kościół i ognisty dywan. W pierwszej chwili Andrzej Gil odniósł wrażenie, że cały cmentarz płonie. Z bliska, przez murek, widział setki świec, zniczy i kaganków ustawionych na grobach. Płomienie układały się w falujący pomarańczowy dywan, nad którym wirował czarny dym. Wielkie cienie ścigające się po krzyżach i nagrobkach układały się w kształty zwierząt. Ludzie niemal zginęli w tym ogniu: Gil widział tylko czarne kształty zgarbione w modlitwie, a ogień zdawał się wzmagać, jakby cmentarz był dla niego zbyt mały. Zdawało się, że zaraz wespnie się na drzewa i wyleje szeroką rzeką przez mur i bramę. Gil przyznał, że nigdy nie widział niczego podobnego.

— Zazdroszcze księdzu — odparł proboszcz. Stał oparty o cmentarny mur i zerkał przez ramię. — Po dwudziestu latach trochę brakuje serca, żeby się

zachwycać. Szczególnie w tym roku.

Andrzej Gil odparł, po chwili namysłu:

— Teraz żałuję, że żyję w mieście. — Uniósł rękę do ust i popatrzył poważnie na Kalandę. — Czuć Boga w tym ogniu.

Oszołomiony Andrzej Gil, z początku nie zwrócił uwagi na kościół za cmentarzem. Trójkątny dach odbijał się ostrą linią od granatowego nieba, a gdy Gil wyteżył wzrok, zobaczył stromą fasadę, szeroką bramę i wielką kłódkę. Po lewej stronie stał krzyż, po prawej – figura świętego, którego Gil w półmroku nie zdołał zidentyfikować.

— Nasz kościół — powiedział nostalgicznie Kalanda — już raz cud go ocalił. Może tym razem Bóg też o cud się pokusi — westchnął, spuścił oczy. — Przez księdza dłonie, słowa i serce.

\* \* \*

Jedyne światło pochodziło z trzech gołych żarówek przewieszonych pod sufitem i czwartej, leżącej na ziemi, tuż przed ołtarzem. Proboszcz szedł przodem, wskazując drogę. Ta sama siła, która ciągnęła do wnętrza, teraz próbowała wypchać go za bramę. W starym kościele cienie miały ostre krawędzie, a kroki na klepisku brzmiały wyraźnie i donośnie. Gil nie potrzebował już kawy – mógłby krzyczeć i biegać, ale jego myśli również się rozbiegły. Czuł taki sam niepokój jak przy oczekiwaniu na ważny telefon, jak przed salą egzaminacyjną lub w dniu wyświęcenia.

— Nie ma innego światła? — rzucił. Nawet okna były zabite.

— Było piękne oświetlenie — rzucił proboszcz przez ramię. — Strażacy kazali odłączyć dawno temu.

Gil nie widział sufitu, tylko ciemność. Szedł z zadartą głową. Kalanda wyrósł przed nim, chwycił za ramiona i na twarz księdza Gila spadły kropelki śliny.

— Niech ksiądz uważa! — wydyszał proboszcz. — Boże, przestraszyłem się. Jak ja się przestraszyłem.

Gdyby Andrzej Gil zrobił kolejny krok, wpadłby do płytkiego dołu po środku głównej nawy.

— Niedawno wykopali. Kable sprawdzali — gorączkował się Kalanda. — Zapomniałem przez to wszystko.

W dole można by pochować dużego kota.

— Mógł ksiądz skręcić nogę — uspokoił się proboszcz. — Już dobrze? Rany boskie...

Gil uśmiechnął się pojednawczo.

— To co? Pokaże mi ksiądz kościół?

— Oczywiście. — Kalanda wreszcie go puścił, po czym włączył latarkę. — Z tym będzie nam łatwiej. Nie wszystko tutaj się księdzu spodoba, czasem jest tak — pociągnął nosem — że ludzie mają więcej wiary, serca, no, niż talentu.

Ujął Gila pod ramię i pociągnął do ściany, mocniej i szybciej, niż Andrzej Gil by sobie życzył. Wciąż patrzył pod nogi, cienie umykały przed światłem latarki. Proboszcz zatrzymał się gwałtownie, pot wystąpił mu na czoło. Uniósł latarkę z taką miną, jakby ważyła więcej niż wszystkie grzechy świata.

Snop światła padł na owalne malowidło przedstawiające Jonasza połykanego przez wieloryba. Pysk zwierzęcia przypominał łeb rekina, a jego nieproporcjonalnie wielka płetwa ogonowa sterczała sztucznie nad falami. Jonasz nie próbował się bronić przed przeznaczeniem i potulnie wpływał między zęby. Miał jasne włosy i muskularne ciało, składające się głównie z nóg i ramion. Na całą scenę spoglądał znad burty rząd smutnych oczu.

— To zwykłe ludowe malowidło — wyjaśnił proboszcz — nawet niespecjalnie stare.

Szli powoli wzdłuż ściany, mijając kolejne malowane na drewnie biblijne sceny. Kalanda musiał zdawać sobie sprawę, że nie są najwyższych lotów, bo co chwilę kręcił głową i nalegał, by ruszali dalej. Najlepsze wrażenie ze wszystkich robiło malowidło przedstawiające Daniela obwieszczającego złą wróżbę królowi Baltazarowi. Prorok stał w rozkroku, król kulił się na stronie, ale ściany pałacu były nienaturalnie przekrzywione. Gil doszedł do wniosku, że obraz wypada lepiej od pozostałych tylko dlatego, że kolory wyblakły i nie rażą już intensywnością. Twarz Józefa wpadającego do studni była beżowa, a sam patriarcha miał szerokie bary i tak potężne brzuch, że powinien w tej studni utknąć. Dziura, do której właśnie wpadał nieszczęsny Jeremiasz, przypominała piekielną jamę, a król Saul wywalał bezmyślne oczy przed wróżką z Endor. Kolory zbyt żywe, proporcje zaburzone, i im dłużej szli, tym proboszcz przyspieszał i Gil zastanawiał się, kiedy ruszą galopem.

Zatrzymali się przed podłużnym malowidłem. Przy niskiej ławie tłoczyli się apostołowie, Pan Jezus stał z uniesioną dłonią, tułów przechylił do tyłu, a lewą nogę wysunął naprzód, jakby malarz uchwycił go w połowie tanecznego kroku. Skupione twarze zgromadzonych kontrastowały z pogodnym obliczem Zbawiciela. Ława ugięła się od jada, a przez okno wpadało czerwone słońce. Jezus miał otwarte usta i można by pomyśleć, że właśnie przypomniawszy sobie coś cholernie zabawnego.

— No tak — powiedział Andrzej Gil.

— Ja w tym widzę miłość ludzi do Boga. — Proboszcz odciągnął go do ściany. — Zawsze mówię: kto śpiewa, ten modli się dwa razy, kto pisze – razy cztery, a kto maluje – razy sześć.

Ominęli dziurę pośrodku (ksiądz Gil był pewien, że Kalanda przeniósłby go, gdyby tylko poprosić), latarka oświetliła malowidło za ołtarzem. Gil wypuścił powietrze ze świstem. Rzadko widywał podobne obrazy: patrzysz na nie i czujesz się przedziwnie, jakby duch otarł ci się o twarz, a diabeł dął w plecy powietrzem pełnym żaru.

Oczom księdza Gila ukazała się srebrna płyta wielkości drzwi frontowych. Po prawej mieściła się piekielna brama na podobieństwo tryumfalnego łuku, na fundamentach z czaszek i kości, otoczona przez ostre jęzory ognia, spowita dymem, a w jej głębi dojrzeć można było nienawistne twarze, bardziej ludzkie niż diabelskie. Do bramy wiodła droga, drogę obrosły skały, a środkiem szedł Chrystus w koronie cierniowej, w jednej dłoni trzymał kij pastuszy, w drugiej miecz. Spod stóp Zbawiciela pierzchały szczury, z nieba spadał ptak z ludzką głową w dziobie. Gil patrzył uważnie: Chrystus stał twarzą do wiernych i nie sposób było stwierdzić, czy schodził właśnie do piekieł, czy już powracał.

— Jest piękny — rzekł Kalanda — bardzo się o niego boję.

Spostrzegł, że Gil zapisuje coś w notatniku. Odwrócił głowę.

— Rzeczywiście, jest piękny — przyznał ksiądz — ale słyszałem, że macie tu coś jeszcze.

Kalanda zamrugał.

— Czytałem o tym i dziwne, że ksiądz nie wspomniał. Podobno jest tutaj obraz Trójcy Świętej na desce lipowej. Bardzo piękny i bardzo stary.

Proboszcz zatarł dłonie, podgardle mu zafalowało i nagle się rozpromienił.

— Mamy! Mamy — wyrzucił z siebie. — Nie wiedziałem, że ksiądz jest tak dobrze poinformowany. Zaraz, zaraz pokażę — w kilku susach znalazł się przy ścianie obok ołtarza — tylko niech się ksiądz nie zdziwi — znieruchomiał z ręką przy przycisku — nie pokazujemy go często, bo to dziwny obraz. Najmłodszy nawet go nie widzieli.

Srebrna płyta opornie powędrowała w górę. Ksiądz Gil pomyślał, że gdyby dodać trąby, byłoby jak w Częstochowie.

— Nie pokazuję, bo chociaż jest piękny, może niepotrzebnie namieszać ludziom w głowach — powiedział powoli proboszcz.

Nie namieszać ludziom w głowach, powtórzył w myślach Andrzej Gil, od takich rzeczy czasem głowy pękają. Cofnął się, zmrużył oczy, nie był pewny, czy dobrze widzi. Znad ołtarza spoglądał na niego brodaty Jezus o pooranych bruzdami

policzkach. Usta były nieco za szerokie, końcówki opadały łagodnie ku pomarszczonej brodzie. Po obu stronach wydatnego nosa płonęły dzikie oczy. Gil nie był już pewien, czy to Jezus, czy Bóg Ojciec, szczególnie że z pierwszej twarzy wyrastały dwie następne.

W pierwszej chwili Gil miał pewność, że twarz po lewej wykrzywiła wściekłość, a ta po prawej prawie się śmieje. Wyjął Kalandzie latarkę, przyświecił – złudzenie. Miał przed sobą trzy identyczne oblicza, jedno *en face* i dwa z profilu. Łączyły je oczy i czapa, którą Gil początkowo wziął za włosy. Obraz musiał być bardzo stary i dawno nieodnawiany. Ten, kto ostatnio przy nim pracował, nie popisał się umiejętnościami. Farba blakła nierównomiernie, brzegi były odrapane. Ksiądz Gil patrzył długą chwilę i oddał Kalandzie latarkę.

— Może ksiądz zasłonić.

Kalanda skojarzył mu się z dzieckiem oczekującym pochwał. Srebrna płyta zsunęła się bezgłośnie. Dwaj księża stanęli obok siebie, twarzami do ołtarza.

— Czytałem kiedyś o takich obrazach — rzekł Andrzej Gil. — Było ich bardzo dużo, zwłaszcza po takich parafiach. Przepadły w ogniu reformacji. Ten jest chyba późniejszy?

Kalanda skinął głową.

— Późniejszy — westchnął. — Jeszcze ksiądz się dziwi, że bardzo się boję?

— Nie — automatycznie odrzekł ksiądz Gil — nie dziwię się ani trochę.

Drzwi kościoła otworzyły się z impetem.

\* \* \*

W drzwiach stanęła ciemna postać – za nią pełzał ognisty dywan. Człowiek wydawał się ogromny, nienaturalnie szeroki w barkach, a gdy ruszył w stronę ołtarza, jego kroki brzmiały donośnie, jakby szedł w stalowych butach. Gil poczuł nieprzyjemne ukucie w żołądku, a Kalanda cofnął się, wysuwając ręce przed siebie. Postać garbiła się lekko, ugiwała kolana, jakby prężąc się do skoku, a w głowie księdza Andrzeja pojawił się szalony pomysł, by chwycić pierwszy ciężki przedmiot, który nadawałby się do obrony.

Postać szła wprost na nich. Przez otwarte drzwi bił chłód, z ust Gila i Kalandy dobywały się obłoki pary. Pomimo zimna Gil się pocił, a postać weszła w krąg światła. Gil odetchnął z ulgą.

— Co jest? — zagadnął wesoło porucznik Enka. — Wszędzie księdza szukam.

Gil chrząknął.

— Panowie się poznają. Porucznik Zbigniew Enka. Proboszcz Kalanda.



Uścisnęli sobie dłonie, zachowując dystans, jakby między nimi wyrosło mrowisko.

— Jak się panu podoba nasz kościół? — zapytał Kalanda.

Enka wodził wzrokiem po klepisku, na srebrną płytę jedynie zerknął.

— Cudny, księże proboszczu. Możemy wyjść na zewnątrz? Nie lubię rozmawiać po ciemku. — Odwrócił się i nie czekając na duchownych, wyszedł.

Ksiądz Andrzej Gil wzruszył ramionami, Kalanda uśmiechnął się smutno, a gdy zbliżyli się do drzwi, Gil wzdrygnął się, bo myślał, że oczy na obrazach, skryte w ciemności, podążają za całą ich trójką.

\* \* \*

Enka zażyczył sobie rozmowy z proboszczem, w której Gil nie chciał brać udziału. Porucznik by sobie tego nie życzył. Gil wątpił, czy Kalanda zdobędzie się na wylewność, i po prawdzie miał całej sprawy dosyć. Patrzył na żar papierosa krążący w ręku milicjanta i zaczął żałować, że sam nie pali. Odwrócił się, opadł łokciami na cmentarny murek i patrzył w ogień.

Z bliska to, co wydawało się dywanem ognia, rozdrobniło się na setki małych płomyczków. Na niektórych grobach brakowało już miejsca i znicze stały na obmurowaniu lub trawie. Wierni tłoczyli się w bramie po drugiej stronie. Gil nie widział ich twarzy – tylko mechanicznie poruszające się cienie, o rwanych ruchach, jakby w stawy dosypać piasku. Zlewały się ze sobą, jeden wychodził z drugiego, a wokoło panowała cisza, aż Gil pożałował, że Enka nie znajduje się bliżej. Jego głos mógłby podziałać kojąco. Gil słyszał tylko stąpanie po żwirze i cichy brzęk znicza, trącającego inny znicz. Żadnych rozmów. Ludzie zastygali nad grobami niemal synchronicznie, stali tak chwilę i raptownie odchodzili, jakby całą ceremonię mieli przećwiczoną. Zauroczenie pięknem cmentarza odeszło i Gil poczuł się nieswojo.

Wodził oczyma po grobach i dostrzegł ciemną wyspę pomiędzy światłami. Najpierw myślał, że nie ma tam grobu. Znicze oświetlały kopę ziemną i dolną część krzyża. Po chwili wahania przesadził niski murek i ciemne twarze zebranych zwróciły się w jego stronę. Ludzie zrobili mu miejsce.

Grób był wyraźnie mniejszy od innych, ot, podłużna kupa ziemi na wysokości kolan i przekrzywione ku dołowi ramiona krzyża. Gil domyślił się, że krzyża użyto za punkt zaczepienia liny holowniczej podczas ekshumacji czy montażu płyty na sąsiednim grobie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — Andrzej Gil zwrócił się do człowieka przy grobie obok. Facet podskoczył, zamrugał małymi oczkami. W jego

siatce zabręczały znicze.

— Na wieki wieków — odparł, nie kryjąc zaskoczenia.

— Kto tutaj leży? — zapytał ksiądz.

Facet podrapał się w łysinę.

— Zośka leży — odparł, jakby Gil wiedział świetnie, kim była Zośka i kiedy ją pochowali. Gil popatrzył pytająco.

— Córka starej Żertwowej. Tej wariatki, słyszał ksiądz? Biedna dziewczyna w sumie. Głupia, ale biedna.

— Co się jej stało?

— Na pewno ksiądz wie. Podczas stypy się spaliła. Jej narzeczonego pochowaliśmy. Dobry chłopak był, póki jej nie spotkał. Taka to każdego zniszczy, ale Boża sprawiedliwość ich dopadła. — Kiwnął głową. — Boża sprawiedliwość.

— Słyszałem o tych waszych stypach — zaryzykował Andrzej Gil. — Może to nie Bóg, tylko ludzka głupota ją zabiła?

— To zła dziewczyna była. — Facet zadreptał w miejscu. — Wszystkich za nic miała, latawica jedna. Nosa zadzieriała, aż na koniec najporządniejszego chłopaka zbałamuciła. Starą narzeczoną rzucił, wyjeżdżać do Olszynki chciał. Do Olszynki, mówię? Ba, może i do samej Warszawy. Ale chłopak na motorze się zabił i cała historia. Tu nikt po niej nie płacze — przełknął ślinę — po nim, tak.

Ksiądz Gil zasunął zamek kurtki. Nagle zrobiło się chłodniej. Facet pokiwał głową i podreptał w głąb cmentarza. Andrzej Gil zawołał za nim.

— Sprzedałby mi pan jeden znicz?

Facet potrząsnął siatką i po chwili wahania wepchnął znicz w rękę księdza Gila.

— Szczęść Boże — powiedział na odchodnym.

Andrzej Gil nie miał zapalek. Złamał suchą gałązkę i zapalił ją od świateł sąsiedniego grobu. Złożył znicz na grobie Zosi Żertwowej i zaczął się modlić.

\* \* \*

Enka palił w polonezie. Bębnił palcami o kierownicę i co chwilę zerkał w stronę plebanii, nie mogąc się doczekać, kiedy klecha wreszcie skończy i pojedą do domu. Co za dzień, myślał, niby tyle się podziało, a nic z tego nie wynika. Nawet Bach, puszczonego na cały regulator, nie przynosił wytchnienia. Wreszcie w drzwiach plebanii pojawiła się znajoma sylwetka. Enka, który właśnie zgasił papierosa, natychmiast zapalił kolejnego i zmienił radio na program trzeci. Puszczał jednego z tych nieznośnie monotonnych anglojęzycznych wykonawców, których pakowano ostatnio w eter bez ładu i składu.

Andrzej Gil usiadł obok Enki i natychmiast zakaszłał.

— Możemy wsiąść? — poprosił.

Enka nawet nie drgnął.

— Mam problemy z płucami — wykrztusił Gil. — Dym niemal odbiera mi oddech.

Milicjant westchnął, opuścił szybę, niedopałek poleciał na trawę. Enka ściszył radio i zapalił silnik.

— Gdzie chce pan jechać? — zapytał Gil. Był cały czerwony.

— Do domu — burknął Enka.

— Musimy tu jeszcze zostać.

Enka zaklął i zgasił silnik.

— Po co? Cały dzień żeśmy tu zmitrężyli i nic. Po co dalej siedzieć?

— Właśnie dlatego, że nic nie wiemy.

— Nie przyjechałem się tutaj czegokolwiek dowiadywać. Przyjechałem sprawdzić — Enka ściszył radio — tak jak mi kazali. Piszę raport i do widzenia. Nie chcę słyszeć o żadnych Stachowartach.

Gil otarł twarz.

— Moim zdaniem za mało wiemy, żeby wyjeżdżać. Te dziwne stypy. Nie wiemy nawet, kto zabił wikarego.

— I nigdy się nie dowiemy. To nie jest sprawa księdza ani moja. Niech ci z województwa mordują się z tutejszą hołotą. Widział ksiądz te paskudne pyski?

— Mówię tylko, że nic nie wiemy. Ja muszę zostać choćby po to, żeby rozstrzygnąć, co naprawdę stało się w kościele. Myślałem — przygryzł wargi — że przydzielono mi pana, żeby pan mi pomógł.

— To zabawne — Enka przekręcił kluczyki — ja słyszałem, że to ksiądz ma mi pomagać.

Gil pokiwał głową, otworzył drzwi ze swojej strony i już miał wysiadać, gdy usłyszał znajomą melodię.

*Łado i Leli, Jasia,*

*Tija. Jesza, Łado i Leli,*

*Jaja. A, Łado! A, Jiesz!*

Niosła się między domami, doskonale słyszalna mimo radia i warczącego silnika. Gil nie potrafił zidentyfikować źródła dźwięku. Znajomy głos dziewczyny zdawał się dochodzić jednocześnie z ciemnych okien plebanii, skołtunionych

krzewów, kościelnej bramy. Enka aż wystawił głowę za okno, a głos umilkł nagle i Andrzej Gil wysiadł z samochodu.

— Na pewno chce ksiądz tu zostać? — zapytał poważnie porucznik. Gil tylko popatrzył na nowy kościół. — Niech ksiądz uważa na siebie — rzekł Enka i odjechał, nie czekając na odpowiedź.

\* \* \*

Jeśli w Stachowartach był tej nocy ktoś bardziej zmęczony od księdza Andrzeja Gila, to chyba tylko proboszcz Kalanda. Siedzieli naprzeciw siebie, jedli i nie mówili wiele. Małgosia podała chleb, grube plastry białego sera, herbatę ziołową, ogórki i pomidory ułożone w półokręgi na wielkim półmisku. Gil dopiero teraz zorientował się, jak bardzo był głodny, bardziej pożerał, niż się zajadał, a spokojny, przygaszony wzrok Kalandy śledził jego dłonie.

— Szkoda, że przyjaciel księdza już pojechał — powiedział Kalanda — chętnie byśmy go także ugościli.

— To nie jest mój przyjaciel.

— Wyglądaliście jak starzy przyjaciele.

— Wiele rzeczy dzisiaj to tylko pozory — mruknął ksiądz Gil.

Proboszcz podrapał się w brodę.

— Na pewno jest ksiądz zmęczony. Małgosia przygotowała księdzu pokój na górze. Po prawdzie szykowaliśmy dwa pokoje.

— Wyszło jak wyszło. — Gil ugryzł ogórka.

— Zazdroścę księdzu. — Kalanda dopił herbatę. — Ksiądz będzie zaraz smacznie spał, a przede mną ciężka noc. — Podszedł do okna. — Jak zawsze w to święto muszę czekać przy kościele, aż znicze się wypalą. Przyznam, że często sam je gaszę.

— Ludzie nie mogą przypilnować?

— Jasne, że mogą — proboszcz rozłożył ręce — a jak się kościół spali to co ja zrobię? Jaką pokutę im zadam, a jaką sobie?

Odprowadził księdza Gila do schodów. Podał dzbanek z herbatą i koszyk z serem i chlebem.

— Jeszcze raz księdzu dziękuję za wszystko. — Uścisnął mu rękę i dodał smutno — naprawdę, zazdroścę księdzu. Rozumu, serca i nie tylko.

\* \* \*

Gil modlił się, nie prosząc ani o rozum, ani o serce, ani o inne przymioty. Prosił o spokój dla dusz księdza Spiskiego i Zofii Żertwówny. Krzyż na ścianie był prosty – dwie deseczki, bez figurki Chrystusa, dawały Gilowi wytchnienie, jakże potrzebne po oglądaniu obrazów w kościele. Obiecywał sobie, że będzie długo się modlił, ale zmęczenie zwyciężyło i gdy zdejmował buty, ćmiło mu się w oczach. Zwalił się na łóżko w slipach, skarpetkach i koszuli. Skulił się i odwrócił plecami do ściany. I do Stachowart też.

Zawsze miał problemy z zasypianiem – często próbował zmęczyć oczy i czytał do świtu, stawiał pasjansa, słuchał radia, odganiając dziwaczne myśli. Tu sen nadchodził szybko. Gil myślał jeszcze o Zosi i o tym, czy to prawda, że śmierć w ogniu, wbrew pozorom, jest niemal bezbolesna. Końcówki nerwów spalają się w okamgnieniu, zaraz potem wysiada serce. Nie ma czego się bać? Ciekawe też, czy porucznik Enka dotrze spokojnie do domu. Zmęczony, zdenerwowany, śpiący, a droga śliska i trasa daleka. Porucznik Enka... w sumie dziwny facet.

Na granicy jawy i snu Andrzej Gil powrócił do seminarium i wyraźnie słyszał tubalny głos księdza profesora Bociana. Przypomnił sobie tę pocieszającą sylwetkę, twarz niczym księżyc i parę łagodnych oczu. *Non Lada, non Yassa, non Nia... non enim salvatur in hoc nomine Lado, Yasa, Quia, Nia, sed in nomine Ihesus Christus* – mówił ksiądz profesor Bocian. Zabrzmiał trzask zamykanej książki. Gil odpłynął w sen, żegnany przez słowa: „Nie Łada nie Jesza, nie Nija... Albowiem nie zbawia się człowiek w imię Łado, Jesza, Kija, Nija, tylko w imię Jezusa Chrystusa”.

\* \* \*

Obudził go ból.

I dym.

Andrzej Gil sturlał się z łóżka, przyciskając ręce do klatki piersiowej. Gdyby chociaż mógł kaszlnąć, o tak, wypluć to paskudztwo, ale nawet odetchnąć nie był w stanie, miał wrażenie, że jego naczynia krwionośne wysychają, zlepiają się ze sobą. Z niewyobrażalnym trudem podniósł się na kolana. Dalej poszło już łatwiej, dym był gęsty tylko na metr, nie wyżej. Gil, wstając, opadł na szafkę, odepchnął się i chwiejnie podążył w stronę drzwi, gdzie stała misa płonących ziół.

Poderwał misę gwałtownym szarpnięciem – zapach omal nie odebrał mu przytomności. W pierwszym odruchu chciał cisnąć ją przez szybę, przypadł więc do okna, otworzył i misa poleciała w ciemność. Gil wystawił głowę, wpuścił do płuc powietrze. Oddychał głęboko, ból z wolna mijał.

Przyłożył koszulę do ust. Machając gazetą, próbował wywiać dym z pokoju, w końcu porwał spodnie, marynarkę i wypadł na korytarz. Dym musiał wydostać się przez próg i Andrzej Gil popędził po schodach na poddasze. Wepchał głowę w małe okienko. Odzyskał oddech, ale nie spokój.

Plebania należała do najwyższych budynków w okolicy i Gil widział niemal całe Stachowarty: ciemne pasmo rzeki, kontury domów, a nad lasem ponure chmury. Cmentarz płonął jakby słabiej, ale blask bił z wnętrza starego kościoła, spod zabitych lub zamalowanych okien. Podobny kolor, może bardziej czerwony. Można by pomyśleć, że kościół płonie od wewnątrz.

Gil wychylił się jeszcze. Drzwi wejściowe zamknęły się cicho i na dróżce pojawiła się dźwigająca siatkę Małgosia. Dotarła do bramki i szybkim krokiem podążyła w stronę kościoła. Gil cofnął głowę w obawie, by go nie dostrzegła. Ubrał się na poddaszu i zamiast zejść na dół, przesiedział chwilę z głową w dłoniach. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze dwunastej, spał niewiele ponad godzinę.

Oplukał twarz i ręce, puszczając cienki strumień wody. Planował opuścić plebanię najciszej, jak się dało. Co dalej? Powinien jak najszybciej stąd wyjechać, dotrzeć na posterunek i dalej, do biskupa. Dobrze, pomyślał, patrząc w lustro, i co powiem? Wystawienie misy z ziołami to żadna zbrodnia. Kalanda mógł zrobić to w dobrej wierze. Zioła to jego pasja. Pewno chciał pomóc. Skąd miał wiedzieć, że jestem chory?

Proboszcz jeszcze nie wrócił z kościoła i Gil zaryzykował zapalenie światła w jego pokoju. Kalanda żył skromnie. Spał na szerokim, twardym łóżku, obok stała szafa na ubrania i półeczka z książkami. Kalanda lubił kryminały i Gil już chciał się wycofać, gdy zobaczył czworo oczu wpatrzonych w siebie. To Bóg o trzech twarzach spoglądał ze ściany. Kopia obrazu z kościoła wisiała naprzeciwko łóżka Kalandy i była tak dokładna, że można by ją pomylić z oryginałem.

Wycofał się, trącił szafkę w przejściu. Wrócił po teczkę z dokumentacją i po chwili zastanowienia wepchał ją w spodnie, żeby mieć wolne ręce.

Przy wyjściu spotkało go rozczarowanie. Drzwi były zamknięte. Poszarpał klamką, popatrzył, czy nikt się nie zbliża, i wyskoczył przez okno.

Wylądował miękko. Odbił od drogi i zgarbiony, skryty w cieniu drzew i płotów, skierował się w stronę starego kościoła.

\* \* \*

Porucznik Enka pruć szosą i bił się z myślami. Szybka jazda nocą, gdy nie ma innych samochodów, zazwyczaj wprawiała go w dobry humor. W radiu puszczali *Requiem* Mozarta i inne pogrzebowe pieśni, których Enka słuchał tylko dlatego, że

na innych stacjach działa się jeszcze gorzej. Nie umiał posprzątać sobie w głowie i to nie było dobre, bo decyzje już zapadły i nie było odwrotu. Klecha jest nawet w porządku, pomyślał, ma swoje sprawy i mi nic do nich.

Nie lubił zostawiać nierozwiązanych rzeczy za sobą. To jak ucieczka w połowie randki, jak niedopita flaszka, takie sprawy rozwiązuje się raz-dwa, nie tylko dlatego, że ktoś ciśnie z góry, ot, po prostu powinny zostać rozwiązane. Gdzie indziej byłoby łatwiej, tu kler wieś otumanił. Kryją się wzajemnie. Gdyby proboszcz trzymał w szafie trupy i jadł zupę z dziecięcych czaszek, nie wydaliby go. Doprawdy, szkoda, że nie rozprawiono się z tą czarną hołotą jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Enka myślał tak sobie, pruć zdrowo, tęskniąc do ciepłego łóżka i zimnej setki. Mijane drzewa zmieniły się w czarny pas. Wokoło było ciemno, tylko droga bez domów i świateł. Pogłośnił radio i nagle wydało mu się, że słyszy coś jeszcze, coś, co wziął początkowo za zakłócenia, a co okazało się szumem drugiej stacji. Ręka porucznika Enki zbliżyła się do pokręta, a melodia zabrzmiała znajomo:

*Łado i Leli, Jasza,  
Tija. Jesza, Łado i Leli,  
Jaja. A, Łado! A, Jiesz!*

Dziwne to było, zarazem senne i drapieżne.

Nie dał za wygraną, przełączył na Trójkę. Jakaś kobiecina piszczała o umieraniu, a w tle znowu to samo, niewyraźne przez szum:

*A Łado gardzina Jesze,  
Łado, Jesze, Kija, Nija!*

Dziewczęcy głos, smutniejszy od innych żałobnych pieśni, puszczony *a capella*, lekko fałszujący. I była w tym jakaś szczególna żalność, jakaś dziwna nuta, i Enka pomyślał, że tak mogłoby zabrzmieć śpiewanie spod ziemi. Sprawdził jeszcze jedną stację, jeździł pokrętem i nawet w szumie słyszał to samo:

*A Łado gardzina Jesze,  
Łado, Jesze, Kija, Nija.  
Łado i Leli, Jasza, Tija.  
Jesza, Łado i Leli, Jaja.  
A, Łado! A, Jiesz!*

— Niech to szlag trafi! — westchnął, zawrócił z piskiem opon i ruszył do Stachowart, po raz pierwszy osiągając pełną moc silnika. Dopiero po paru kilometrach zorientował się, że dziwne zakłócenie zniknęło, a chór ryczał wniebogłosy pieśń Mozarta:

*Requiem aeternam dona eis!*

*Domine, et lux perpetua luceat eis !*

\* \* \*

Gil nie uszedł stu metrów, a już miał mokre buty i spodnie w błocie do połowy łydek. Tęsknie spoglądał na drogę, ale nie odważył się na nią wejść. W taką noc można wpaść pod rozpędzony samochód widmo. Chmury przewalały się nad głową księdza Gila, księżyc łypał niewidzącym okiem, a wzgórza dziwnie się przybliżyły.

Wieś jakby zamarła. W żadnym domu nie paliło się światło, żaden głos nie przerwał ciszy. Gil czuł rosnący niepokój, a im bardziej zbliżał się do kościoła, tym lepiej rozumiał, że dzieje się tutaj coś naprawdę dziwnego i on, Andrzej Gil, nie bardzo nadaje się na tropiciela tajemnic. Gdyby jeszcze dwa dni temu student z sali wykładowej zadał pytanie: „Czy to prawda, że ksiądz w wolnych chwilach ugania się w bloku za nieznanym?”, Gil może nawet parsknąłby śmiechem przed popukaniem się w głowę. Teraz nie było już tak wesoło.

Od kościoła i cmentarza dzieliło go tylko kilka domów. Oparł się o płot, otarł czoło i zaczął się zastanawiać, co właściwie robi. Może szuka dziury w całym? A jeśli nie, to czego się spodziewa i czy jest gotów na spotkanie z tajemnicą Stachowart? Rozumiał już, że wszystkie jego uczynki, przeczytane książki, mądry ludzie, których słuchał – jeśli rzeczywiście zdarzy się coś złego, niekoniecznie sfruną na chmurce, aby mu pomóc.

Podwinął rękawy, wcisnął teczkę głębiej w spodnie i zgarbiony ruszył dalej. Ogień na cmentarzu przygasł, tylko nad murem można było dostrzec delikatną łunę. Czerwona poświata biła spod zabitych, zamalowanych okien, a spod progu starego kościoła ziała długa smuga. To, co z daleka wydawało się szumem wiatru, z bliska okazało się pieśnią, której Gil nie znał i nigdy by poznać nie chciał. Brzmiała trochę podobnie do tej, którą śpiewała tamta spotkana w dzień dziewczyna. Melodię miała inną, ale towarzyszył jej ten sam niepokój, chłód na plecach. Niemal pozbawiona rytmu, rozciągnięta i brudna, rozłożona na dziesiątki głosów, ze słowami, a zarazem bez słów. Gil słuchał przejęty i nagle coś czarnego uderzyło go między oczy i nie usłyszał już nic.

\* \* \*

Znowu dym. Gil kaszlnął, na klepisko poleciała ślina z krwią. Wszystko wirowało mu przed oczyma, twarze jakies, plamy ognia, wielkie dłonie. Spróbował się podnieść i rąbnął głową o podłogę. Zaklął, przekreślił się na plecy. Ręce i nogi miał skrępowane. Wziął głęboki oddech, spróbował wstać – bezskutecznie. Chór,



gdzieś w głębi, snuł grobową melodię. Gil policzył do trzech, szarpnął się i uklęknął.

Zaczerpnął powietrza, przez usta, żeby nie czuć drażniącego zapachu. To były inne zioła niż na plebanii, dym szedł w górę i Gil mógł złapać oddech. Tylko ten śpiew, nieznośna sprawa, zdawał się wchodzić wprost do głowy, z pominięciem uszu.

To śpiew, który zatrzymuje serce i ścina wodę w lód. Ptaki spadają z nieba, pomyślał, a ciebie jeden walnął w głowę, i to zdrowo, bo zamiast próbować się uwolnić, myślisz o pierdołach. Szarpnął się. Ręce związano mu w łokciach, za plecami.

Przez uchylone drzwi wpadało nocne powietrze i Gilem wstrząsnęły dreszcze. Para leciała mu z ust. Oddychał gwałtownie, zakaszłał i rozejrzał się wokoło.

Był w starym kościele. Przed sobą miał dół, w który wcześniej o mało nie wpadł. Setki świec płonęły na ławkach, obok nich znajdowały się starodawne kadzidła i misy z ziołami, a jeszcze dalej gęstniejąca ciemność ciżby ludzkiej. Mieszkańcy Stachowart falowali, śpiewając pieśń, i wyglądali czarna masa pełna oczu i zębów. Twarze wysuwały się z mroku i wpadały w mrok ponownie, bliźniaczo podobne i bezpłciowe. Nie było już młodych i starych, niskich i wysokich, tylko rozkołysany mur, w którym, niczym w bagnie, pojawiała się coś i nikło. Gil miał wrażenie, że oczy odłączają się od ust albo suną samopas między zebranymi. Dłonie krążyły bezładnie, jakby każdą kierował inny cel i rytm, albo inaczej – wszystkie spajało coś więcej niż indywidualna, ludzka wola.

Ludzie stali w półkolu, środkowa nawa pozostawała pusta, a Gil dostrzegł, że żywy mur wypuścił odnogi aż na parapety kościoła. Odwrócił się i zobaczył boga o trzech twarzach, a obok księdza Kalandę w rozpiętej sutannie. Kalanda stał z rozkrzyżowanymi dłońmi, a biały brzuch wylewał się na szerokie majtki. Bezwłosa, pozbawiona mięśni klatka piersiowa przypominała odwłok wielkiego robala, piersi falowały przy każdym oddechu. Oczy zebranych spoglądały na niego z wyczekiwaniem. On patrzył wysoko, ponad tłum. W pewnej chwili odwrócił się i szybkim krokiem podszedł do ściany.

Gil skierował twarz w stronę ołtarza, a trzygłowy Jezus powędrował w górę, odsłaniając ciemną wnękę – w niej mieścił się pień rozgałęziający się na troje. Kalanda przyniósł świece. Kora drzewa była niemal czarna, gałęzie ginęły w mroku, a Gil nie wiedział już, czy wzrok go mami, czy sęki układają się w oczy bez powiek i rozwarte usta. Tłum szumiał.

— Coś ty tu zrobił! — warknął Gil — coś ty zrobił z domu Bożego!

Kalanda przyklęknął.

— Tu nie ma domu Bożego. Nigdy nie było. — Dotknął czoła księdza Gila. — Tu zawsze jest to, co jest.

— Zapłacili ci czymś? Co oni mają, czego nie ma Chrystus?

— Nie wiem, co ma Chrystus. Nigdy mi tego nie pokazał. Widziałem — przygryzł wargi — rzeczy, o jakich ci się nie śniło. Widziałem planetników sznurujących chmury — uniósł dłoń — widziałem baby czyniące zaklęcia, po których ludzie padają jak od dzumy, słuchałem starców, którzy wiedzą, co było jest i będzie, widziałem takich, którzy widzą na siedem kilometrów, widziałem umarłych zstępujących między żywych, umarłych jedzących pospołu z żywymi.

Otarł twarz rąbkiem sutanny. Pot błyszczał mu pod nosem i na brodzie.

— Mówię ci, żebyś rozumiał, masz prawo rozumieć — szeptał Kalanda. — Jak tu przyszedłem, gdy się dowiedziałem... Co mogłem sobie pomyśleć? Uczono nas cudów, Andrzej, przemienialiśmy wino w krew. Ciało Chrystusa nie może uleczyć. Widziałem prawdziwe cuda, widziałem starców odzyskujących młodość i dzieci, którym zwrócono życie, oddalając śmiertelną chorobę. Widziałem prawdziwe miłosierdzie. Cuda, prawdziwe cuda. Potrzebne ludziom.

— Cud ci się przyda. — Gil próbował się uśmiechnąć. — Całkiem spory, jeśli chcesz to ukryć.

— Ten cud się dzieje — rzekł natychmiast Kalanda. — Myślisz, że jesteśmy tutaj od wczoraj? Spójrz na to drzewo, jest starsze niż twój Bóg na tych ziemiach. Byliśmy tu zawsze. Patrzyliśmy, jak podrzynacie sobie gardła, jak królestwa giną i się rodzą, a twojego Boga nigdy nie było w Stachowartach. Tylko pomyśl: jak przeżyć w czarne dni, w cieniu waszych katedr... — Tłum mrucał złowrogo, a Kalanda uniósł rękę i natychmiast zapadła cisza. — Tylko się do was przyłączyć. Myśmy nie bronili naszych chramów, stary kapłan sam wysłał syna do zakonu. Syn wrócił do nas, założył parafię. Jego dzieło trwa tutaj. — Wskazał palcem na klepisko.

— A co z prawdziwym Bogiem? — szepnął Gil. — Całą Jego chwałą, kościołami i kaplicami, budowanymi tutaj przez całe pokolenia? Co z Nim, Kalanda?

— Umarł — oparł śpiewnie Kalanda — a przynajmniej nigdy nie postawił nogi na tej ziemi. Mnich powrócił i pogrzebał ojca, zbudował kościół na miejscu chramu, ale nie zapomniał o swojej przysiędze: wiara ojców nie zginie w Stachowartach. Wtajemniczaliśmy kolejnych księży, którzy zjawiali się na parafii, i uwierz, proszę, mało który sprawiał problemy. Niektóre rzeczy są oczywiste jak słońce.

— Myślę, że Spiski by się z tobą nie zgodził — mruknął Andrzej Gil. — Powiedz mi, widziałeś kiedyś film o Bondzie?

— Spiski był porządnym człowiekiem — Kalanda zignorował pytanie — i byłem pewny, że da się przekonać. Ale on dostał szału, gdy tylko usłyszał prawdę, chciał do biskupa lecieć i, wstyd się przyznać — spuścił głowę — spanikowałem. Być może powinienem rozegrać to inaczej, nam wszystkim oszczędziłoby to kłopotu. Potem zjawiłeś się ty i znów mi trochę przykro, może gdybyś nie wstał tak wcześniej... Może mógłbyś wtedy zostać z nami.

Mruczenie tłumu narastało. Kalanda skurczył się w sobie.

— Mało czasu, mało czasu — syczał. — A ty musisz wiedzieć, chcę, żebyś wiedział.

Gil, który zrozumiał już, że gra idzie o życie, pomyślał, że być może wolałby nie wiedzieć nawet, co to są Stachowarty.

— Teraz ja ci coś powiem. — Spojrzał Kalandzie w oczy. — Wiesz pewno, że święci rodzą się z krwi męczenników. A wiesz, że tą krwią dławią się skurwysyny?

Twarz Kalandy stężała na moment.

— Nic nie wiesz o męczennikach — powiedział łagodnie. — Gdyby głupota mogła zbawić, Spiski niezawodnie trafiłby do swojego raju. Męczennicami były te dzielne kobiety, które z własnej woli spłonęły na stosie swoich mężów. Nie Spiski i obawiam się, że nie ty.

— Powiedz to Zosi.

— Zosia, Zosia — cmoknął Kalanda. — Nie chciała wiary ojców, to w ogniu wiary zginęła.

— Ten sam problem co Spiski? — zapytał Gil z ironią.

— Powiem ci, bo jesteś mądrym człowiekiem — szepnął Kalanda. Jego wzrok błędził po twarzach w półmroku. — Tego żałuję. Nie musiało tak się stać, za szybko, za pochopnie. Człowieka naszej wiary można przekląć, ją trzeba było w ogień wrzucić. Źle, że na oczach matki to się stało. Źle — kręcił głową — źle, źle, źle.

Andrzej Gil zaczął się modlić.

— W imieniu biskupa ordynariusza, któremu prawo to nadał sługa sług Bożych, wypędzam was z owczarni Pańskiej — powtarzał i nie przestał, gdy Kalanda sapnął mu do ucha, obsypując kropelkami śliny:

— Mówię ci to tylko dlatego, że jesteś mądrym i dobrym człowiekiem. Niewiele brakowało, a zostałbyś z nami.

Gil odszepnął:

— Pssst, Kalanda... naprawdę nie oglądałeś Bonda?

Twarz Kalandy przybrała wyraz autentycznego zdziwienia, jakby proboszcz zastanawiał się, czy ten cały Bond nie jest jakimś szczególnym świętym. Gil powtórzył, trochę głośniej:

— W imieniu biskupa ordynariusza, któremu prawo to nadał sługa sług Bożych, wypędzam was z owczarni Pańskiej. — Poderwał się z klęczek i ryknął — anatema! Anatema! Ana...

Ręce związane miał z tyłu i nie zdołał utrzymać równowagi, runął więc twarzą na ziemię, jakby podcięto mu nogi. Obrócił się na bok i dostrzegł rękę Kalandy zaciśniętą na świeczniku. Zbliżała się szybko, a Gil nie zdołał się uchylić.

\* \* \*

Instynkt kazał porucznikowi Ence zaparkować przed wsią i dalej pójść na piechotę. Miał dobry nos do smrodu, cuchnął mu więc proboszcz razem z sołtysem, cuchnął mu dziwaczny kościół, a najbardziej cuchnęła mu plebania. Obszedł ją, niby obwąchał, zastukał i nie czekając długo, wszedł przez to samo okno, przez które wyskoczył ksiądz Gil. Enka obszedł parter, a w sypialni proboszcza był na tyle długo, by stwierdzić, że na ścianie wisi jakieś wyjątkowe paskudztwo. Nos, czuły na smród, pokierował porucznika w stronę schodów, gdzie dym jeszcze nie zdążył się rozwiać.

W jednym z pokoi aż gryzło w oczy. Enka popatrzył po rozwalonym łóżku, uchylił szerzej okno i, nie bez wahania, zabrał różaniec leżący na stoliku, koło poduszki. Nie patrząc, schował go do kieszeni spodni i sklął siebie samego – przez całe zamieszanie zapomniał, że jest uzależniony. Zapalił w oknie, zastanawiając się, co dalej, i dostrzegł to samo, co wcześniej Andrzej Gil. Blask w oknach starego kościoła. Papieros, ledwo zapalony, poleciał za okno.

Enka, idąc wzdłuż domów i płotów, nie miał pojęcia, że powtarza trasę księdza Gila. Szedł szybko, wyprostowany i ostrożny, marząc zarazem, żeby ktoś go zaczepił. Czuł się jak na cmentarzu, domy przypominały mu grobowce, jakby ludzie nie żyli w nich od dziesięcioleci. Pamiętał wieś z popołudnia i doszedł do wniosku, że kolorowe domki to kłamstwo grubą dratwą szyte – naprawdę Stachowarty są czarne, brudne i śmierdzą.

Na ziemi, ze sto metrów przed kościołem, leżało coś, czego Enka z daleka nie rozpoznał. Najpierw myślał, że to kupa szmatek, potem, że ktoś wyrzucił stare papierzyska za ogród, ale gdy się zbliżył, nie miał wątpliwości – dokumenty z teczki księdza Gila leżały rozrzucone i targane przez wiatr. Samą teczkę ciśnięto pod siatkę. Enka schylił się po przypadkową kartkę i wiedział już, że się nie myli.

Zmiał papier, odrzucił od siebie i pobiegł do kościoła.

\* \* \*

Kalanda stał naprzeciw zebranych, a u jego stóp, nad dołkiem w klepisku, leżał półprzytomny Andrzej Gil. Proboszcz lewą dłoń zacisnął w pięść, w prawej trzymał zakrzywiony nóż, ten sam, którym ciął zioła i gardła. Głos mu się przemienił, stał się wyższy i mocniejszy, dobiegał z głębi wielkiego ciała, a wargi prawie się nie poruszały.

— Drzwi kościoła zamknijcie! Okna kościoła zasłońcie! Niech księżyc tutaj nie wpada! — Rozprostował ramiona, światło świec odbiło się w ostrzu. Kalanda odchylił głowę i parsknął — czyńcie obiatę!

Jeden po drugim ludzkie cienie uwalniały się z muru, a za każdym sunęła ciemna smuga. Mężczyźni sypali zioła do ognia, kobiety, schylając się, wlewały do dołu mleko, miód i jakąś żółtawą ciecz, której Andrzej Gil nie mógł rozpoznać. Dym zgęstniał i ksiądz znów stracił oddech. Wydawało mu się, że ludzie wyrastają spod ziemi i sfruwają ze ścian, podobni w locie czarnym szmatom. Podłoga falowała, ale najgorszy był odgłos tłumu, jakby skrzywienie, jęk starych ścian. Wraz z głosem Kalandy szum też się przemienił. Gil wyczuwał w nim niecierpliwe oczekiwanie.

Nie próbował się wyrywać lub bronić, skrzywił się tylko, gdy poczuł na twarzy ciepły miód. Na moment wpadł w płytki sen, w którym ksiądz Bocian mówił: „Dół w ziemi, jeden łokieć szeroki i długi, dokoła libacyjne zmarłym leją strugi, najpierw sam miód i mleko, potem słodkie wino, w końcu wodę zmieszana z mąki odrobiną”. Gil otworzył oczy – stara kobieta rozdziawiała przed nim bezzębne usta.

Coś zimnego dotknęło nadgarstków księdza Gila. Nie czuł bólu, gdy Kalanda przejechał po nich nożem, tylko dziwne mrowienie, jakby napięta skóra sama się rozstąpiła. But Kalandy pchnął Gila w stronę dołu. Ksiądz leżał teraz na plecach, a Kalanda naciskał mu nogą na przedramiona. Krew spływała do dziury w klepisku, na mleko i miód. Kalanda wykrzykiwał:

— Przyjdźcie po obiatę, ojce, dziady! Żertwa tu dla was też gotowa! Przyjdźcie do nas, ojce! Mamy tu, czego wam trzeba! Mamy miód i mleko! Mamy żertwę i jej krew!

Gil zakrztusił się śliną, przymknął oczy. „Onym owcom pokornym podciąłem gardziele i krew w ten dół ściekała”, mówił ksiądz Bocian.

— Jezu, przebacz — szepnął Andrzej Gil. Dym odbierał mu zmysły, ciepła krew koła do snu i miał wrażenie, że cały kościół kołysze się lekko, w rytm kropel skapujących z nadgarstków, zgodnie z szumem zgromadzonych. Jezu, przebacz, powtórzył w myślach i skupiwszy siły, otworzył szeroko oczy.

\* \* \*

Przed kościołem, po obu stronach drzwi, stało dwóch mężczyzn. Palili papierosy bez filtra, pluli i spoglądali co chwilę na zabite okna, kołysząc się lekko. Enka obserwował ich zza cmentarnego murku i doszedł do wniosku, że mógłby przed nimi zacząć tańczyć, a oni by nie zauważyli. Przypominali mu narkomanów, których lata temu zgarnął z ogródków działkowych i którzy wydawali się stworem o wielu głowach, lecz jednym mózgu i sercu. Nawet do radiowozu szli synchronicznie.

Zrezygnował z podkradania się, wyskoczył, wyrósł przed strażnikami. Pierwszy leżał, nim go spostrzegł, drugi cisnął papierosa i ruszył na porucznika, niczym byk, z opuszczoną głową. Enka uchylił się gładko, chciał trafić łokciem w środek pleców, ale przeciwnik odwrócił się i cios spadł mu na policzek. Chrupnęło. Enka, gdyby tak oberwał, pewno leżałby i piszczął, ale wiejski łajdak tylko się otrzepał. Bił gorzej, niż zbierał ciosy, trafił porucznika tylko raz, pod oko, a Enka wykorzystał okazję i sprzedał mu kopniaka między nogi.

Wieśniak zrobił minę, jakby właśnie dotarła do niego jakaś straszliwa nowina – nasi przegrali, żona sołtysa porodziła chłopczyka o trzech półdupkach, ksiądz uciekł ze szkolnym intendentem – wypuścił nosem powietrze i opuścił dłonie. Zachwiał się lekko, a Enka zrobił to, co zawsze pragnął, a do czego zawsze brakowało okazji. Kopnął z wysokoku, w półobrocie, but wylądował na twarzy wieśniaka, znów chrupnęło i nim Enka odzyskał równowagę, facet już leżał, z otwartymi ustami, ale za to bez nosa.

No dobra, pomyślał Enka, a nóż wbił się w jego lewy bok. Trzeci strażnik, który – jak się Enka domyślił – opuścił posterunek, idąc za głosem natury, zaszedł go od tyłu. Milicjant odskoczył, odwrócił się, ocenił przeciwnika. Jeśli walczy tak, jak bije nożem, powinno być dobrze – ostrze uderzyło bowiem nad nerką i zsunęło się po żebrach. Enka tylko się rozsierdził.

Facet wymachiwał nożem, rysując w powietrzu literę „z”. Tylko maski brak ci, gnoju, pomyślał Enka, maski i posiadłości, po czym ruszył na przeciwnika. Za szybko. Facet skoczył, ciachnął, ostrze rozcięło koszulę milicjanta i zostawiło na czole czerwoną smugę. Tym razem naprawdę zabolalo i porucznik Enka naprawdę się zdenerwował.

\* \* \*

Najpierw widział tylko ciemność i dym, z ciemności spływający. Potem zamigotał ogień płonących ziół, misy chwiały się, jakby kołysane na falach, a następnie dym zgęstniał, formując brodatą twarz bez oczu, za to z gigantycznymi

ustami oplatającymi całą głowę. Półprzezroczysta postać miała bardzo długie dłonie, niemal dziecinne palce, a nogi jej ginęły w dymie. Za nią znajdowały się następne cienie – kobiety o zmierzwionych włosach, dzieci o oczach starców, smutni mężczyźni. Duchy spływały z mroku nad głową księdza Gila, przesłoniły zebranych i tylko Kalanda stał jak skamieniały, a z otwartych ust mu ciekła ślina.

— Jezu, przebac — szepnął ponownie Andrzej Gil. „Cały ten tłum do dołu ciśnie się i roi, wrzeszcząc tak, że aż przestrasz blady mię owionie” – mówił profesor Bocian.

Dym zgęstniał, stał się biały. Zmarli nadpływali szeroką falą, pierwsi już dopadli dołu. Przez twarze pobiegły czarne smugi, podobne do sieci żyłek, usta pociemniały, a Gilem targnął chłód. Półprzezroczyste języki zlizywały dary, dopadły ran na przegubach. Gil szarpnął się, zbyt słabo.

Biała chmura umarłych otoczyła Gila. Ksiądz trząsł się z zimna, jeszcze zebrał siły („Jezu, przebac”) i splunął na widma. Ślina przeleciała przez białe twarze.

— Ijjjjjjj, Ijjjjj — zabrzmiało.

Głos, podobny do krzyku dziecka, krzyku przez brud i ziemię, dobiegał z kątów kościoła. Usta umarłych poruszały się lekko, a tuż przed księdzem Gilem wyrosła tłusta twarz chłopca. Gil początkowo nie mógł rozgryźć, co jest w tych rysach nie w porządku. Chłopiec uśmiechnął się, a język, długi na łokieć, spłynął na dno dołu. I ksiądz już wiedział: widmo nie uformowało się do końca. Nie miało pieprzyków na twarzy, dołeczków, fałd, a oczy jego były zupełnie białe.

— Ijjjjjjj, ijjjjjj — dobyło się z ciemnych ust, a drzwi kościoła otwarły się.

Ksiądz Andrzej Gil zemdlał.

\* \* \*

Ognie na cmentarzu pogasły. Przez otwarte drzwi wpadało światło księżyca. Biała chmura widm rozproszyła się natychmiast, z szumem i piskiem. Duchy wznosiły się, znikwały, przechodząc przez promień księżyca, i pojawiały się ponownie, w ciemności. Błady i gasły. Tłum jęknął.

Biała postać kroczyła przez nawę. W srebrnym blasku zdawała się sunąć nad ziemią. Czoło przecinała czerwona blizna, krew ochlapała koszulę i niebieskie spodnie. Ręce zacisnęły się w pięści, a spojrzenie z rosnącym zdziwieniem błądziło po kościele, aż napotkało skrępowanego i nieprzytomnego księdza Gila. Można by pomyśleć, sam diabeł by tak nie wrzasnął. Porucznik Enka stał pośrodku kościoła i ryczał z wściekłości.

— Upiór! — ktoś szepnął.

„Upiór”, poniosło echo i czarny mur rozpadł się na dziesiątki ciemnych, gnających do wyjścia sylwetek. Podobni teraz gigantycznym owadom, sadzili wielkie susy, by natychmiast po opuszczeniu świątyni rozproszyć się w mroku. Niektórzy umykali bocznymi wyjściami, ktoś wyskoczył przez okno, wybijając deski. Enka nie próbował nikogo zatrzymać.

Przestał już wrzeszczeć i chciał pobiec w stronę Andrzeja Gila, lecz drogę przeciął mu Kalanda. Enka w pierwszej chwili nie miał pojęcia, kim jest ten facet w rozpiętej sutannie, z brzuchem jak wór mąki i tłustą mordą wykrzywioną przez wściekłość. Facet stanął w rozkroku, błysnął nóż i Enka teraz już wiedział, z kim ma do czynienia. Kalanda natarł, wycinając ostrzem w powietrzu wielkie koła.

Porucznik Enka odzyskał spokój na tyle, by myśleć. Szybko myśleć. Wyszarpnął pistolet z kabury, czego Kalanda zdawał się nie widzieć. Doszedł do wniosku, że powinien strzelić w nogę albo bark, powalić przeciwnika, nie zabić. Dość już martwych księży. Zza szerokich pleców Kalandy mignęła umęczona twarz Andrzeja Gila i dół pełen krwi. W nogę lub w bark, pomyślał Enka, nacisnął spust i powalił Kalandę strzałem w sam środek czerwonego czoła.

Milicjant przesadził drgające ciało i przypadł do księdza. Jeszcze w biegu zdarł z siebie koszulę, a teraz rwał ją na pasy.

— Kurwa, kurwa, kurwa.

Obwiązał księzowskie nadgarstki, by zatamować krwawienie, po czym nożem Kalandy przeciął więzy. Gil nie oprzytomniał. Enka zdarł obrus z ołtarza, otulił nieprzytomnego, sapnął i kurwując nieustannie, z Andrzejem Gilem na rękach, popędził do wyjścia.

\* \* \*

Andrzej Gil leżał w szpitalu i czuł się dobrze. Poczul się jeszcze lepiej, usłyszawszy głos porucznika Enki. Enka robił to, co umiał świetnie, czyli awanturę. Wściekał się z precyzją profesjonalisty i pasją neofity. Już z dala brzmiały groźne pohukiwania, a im porucznik podchodził bliżej, tym jego krzyki brzmiały głośniejsze i słowa stawały się zrozumiałe. Andrzej Gil poprawił poduszkę i usiadł na łóżku.

Enka wparował do pokoju, oblepiony przez dwie białe harpie, skrzeczące, że nie ma prawa tu wchodzić i stopień nie ma żadnego znaczenia. Milicjant odepchnął je jednym ruchem i znalazł się przy łóżku.

— Ma pan pięć minut — rzuciła starsza pielęgniarka. Czarny wąsik odcinał się od białej skóry. — Potem dzwonię do pana przełożonego! Do ministerstwa! Ordynatora przyprowadzę!



— Dzwonź po samego diabła, niech przyjdzie z Hitlerem. — Enka zerknął na zegarek. — Za pięć minut rzeczywiście mnie tu nie będzie. — Rozpromienił się. — Pogadamy sobie o tym i owym. O kopertach pogadamy, o zgonach, dużo dłużej niż pięć minut.

Pielęgniarka z wąsikiem spąsowiała, złożyła usta jakby chciała splunąć i wyszła bez słowa, ciągnąc za sobą koleżankę. Porucznik Enka przysunął sobie krzesło.

— Szczęść Boże — powiedział dźwięcznie Andrzej Gil.

— Jakie szczęście, taki Bóg — odparł milicjant, przyglądając się obitej twarzy księdza, zabandażowanym nadgarstkom i wielkiemu opatrunkowi na głowie. — Przyniosłem księdzu prezenty.

Wyjął różaniec i włożył Gilowi w dłonie, cały czas patrząc w okno.

— A to ode mnie. Pewno księdza tutaj szlag trafia. — Do różańca dołączyła piersiówka.

— Ano trafia, panie poruczniku.

Enka zorientował się, że Gil zamierza mu podziękować, i powiedział:

— Nawet ksiądz nie wie, jaki jest cyrk teraz w tych Stachowartach.

— Dobrze, że przynajmniej bez trupów — odparł Gil, a porucznik Enka pomyślał, że ksiądz ma na myśli siebie.

— Niezupełnie bez trupów. Ta stara wariatka powiesiła się w nocy przed domem. Takie zamieszanie było, że dopiero koło południa ją zauważyli.

Gil położył różaniec na brudnoseledynowej szafce, a piersiówkę wepchnął pod materac.

— Dla pana sprawa się kończy, a dla nas zaczyna — rzekł. — Czasem chyba lepiej być milicjantem. Pan porucznik nawet nie wie, jaki to problem dla Kościoła. Palicho, że trzeba dom Boży wyświęcać... ale co z ludźmi?

— Ludzie pochowali łby w piasek — burknął Enka. — Wszyscy tej nocy byli w łózkach, nikt nic nie widział. A który kościół chce ksiądz wyświęcać, że tak zapytam, bo ten stary spalił się jeszcze tamtej nocy i tego oczywiście ludzie także nie widzieli. I tak pewno zostanie. W zaparte pójdą, a my połamiemy sobie zęby.

— Spalił się? — powtórzył Gil, a przed oczyma przemknął mu Jonasz, tańczący Chrystus, srebrna płaskorzeźba i drzewo za płaskorzeźbą. To ostatnie, był pewien, wyniesiono.

— A w drugim w ogóle korba — rozgadał się Enka. — Wszyscy się zjechali, najpierw od was — w czarnych marynarkach i pod koloratkami, straszliwy Watykanem, to poszedłem. A zaraz za nimi wparowali ci, no, księdza ulubieńcy, też w marynarkach. I wasi pokazali tamtym drzwi, siedzą teraz i nie wiadomo co robią. Ubole sobie poszli i wrócili w większej sile, to wasi ich wpuścili, ale złali z góry na

dół, robili swoje, ale nie wiem co — roześmiał się — a na koniec przyjechał ten bałwan Tuta, mówiłem księdzu o Tucie?

Gil pokręcił głową.

— No to Tuta przyjechał, zadał milion durnych pytań, z każdą odpowiedzią był coraz bardziej przerażony, aż zabrał dupę. I całe szczęście.

— Nie widziałem, kto był w kościele — przyznał Andrzej Gil. — Aresztowaliście Kalandę?

Enka zrobił bezmyślną minę.

— No, Kalanda — rzekł smutno. — Ksiądz nie słyszał, ksiądz nie pamięta. Może w innych okolicznościach byłoby to zabawne, ale ci w czarnych marynarkach podeszli do mnie i mówili, że oni w żadnym razie sprawy nie nagłośnią i żebyśmy też byli cicho. Coś podobnego, żeby mundurowy zabił księdza i cała kuria prosiła, by załatwić to tak, że sprawy nie ma.

— Sprawy nie ma. — Andrzej Gil wyjął piersiówkę, napił się i podał porucznikowi. Porucznik się przyssał, a ksiądz myślał o Kalandzie, płaczącym w kościele.

— Dlaczego pan wrócił, panie poruczniku? — zapytał nagle, a Enka się zakrztusił.

— Myślałem kiedyś o przeczuciu i w tym nie ma nic niezwykłego. To kumulacja doświadczeń. Coś mi zaśmierdziało i nie mogłem odjechać spokojnie.

— No tak. — Gil zakręcił piersiówkę. — Rzeczywiście, sprawy nie ma.

Za oknem, z komina wydobywał się gęsty dym.

— Sprawy nie ma — powtórzył porucznik Enka.

\* \* \*

Ostatnie dni stały się dla posterunkowego Tuty koszmarem. Ci wszyscy ludzie, przyjeżdżający i odjeżdżający, proboszcz martwy, kościół spalony, do tego pan kapitan, taki miły i taki przepełniony gniewem. Wszystkie nieszczęścia splatały się w zapowiedź najgorszego – kontroli z centrali. To ostatecznie zniszczyłoby wiejski spokój dobrego Tuty, a spokój właśnie był tym, co Tuta cenił sobie najbardziej.

Zamknął komisariat od środka i zszedł do niewielkiego pomieszczenia piwnicznego, oświetlając sobie drogę zapalniczką. Pod pachą niósł szary pakunek obwiązany sznurkiem. Przedostał się przez sterty pudeł, kopy ubrań i potrzaskane szafki, do samego rogu, gdzie stała gruba płyta pilśniowa. Posterunkowy Tuta odłożył pakunek i odsunął ją nie bez wysiłku.

W ścianie, jakiś metr nad ziemią, wykuto wnękę wielkości telewizora rubin. We wnęce stała głowa kozła, przemalowana na czarno i otoczona przez znicze. Kozłowi dolepiono wronie skrzydła, a jego pysk i całą wnękę pokrywały plamy zakrzepłej krwi. Tuta zapalił znicze, zwałił się na kolana i złączył dłonie.

— Książę tego świata — modlił się — Abbadonie, Apollonie, Arymanie, ochroń mnie przed wrogami i moją babą.

Wyjął składany nóż. Szary pakunek, leżący nieopodal, który nagle ożył, a ze środka dobiegło gdakanie.

W opowiadaniu wykorzystano fragment *Odysei*, pieśni XI w przekładzie L. Siemieńskiego, *Dziadów. Teatr święta zmarłych*, Leszka Kolankiewicza, *Postylli* Mistrza Łukasza w przekładzie Leszka Kolankiewicza oraz ścieżki dialogowej filmu *The Wickerman* w tłumaczeniu własnym, ani wiernym, ani pięknym.

## Hipoteza śladu

Porucznik Enka melancholijnie palił camela, a z wargi młodego milicjanta Grenia – również melancholijnie – zwisała perlista nitka śliny. Enka opierał się o budkę stróża i patrzył na ludzi dobijających się do ażurowej bramy muzeum archeologicznego. Najpierw naciskali na klamkę, potem nią szarpali, tłukli się, dzwoniли, by wreszcie spojrzeć na kartkę z informacją, że, z przyczyn technicznych, dziś muzeum jest niedostępne dla zwiedzających. Garbili się wówczas i człapali z powrotem przez ulicę, kręcąc głowami, cmokając, tłumacząc coś jeden drugiemu, a Enka miał wrażenie, że wszyscy odbijają się w ślinie na wardze milicjanta Grenia, która ukazuje ich prawdziwą postać.

Kłomby już się zieleniły, trawa wylazła spod ziemi. Stali na wewnętrznym podwórku, Greń skryty przed okiem namolnych turystów – kucał i chował twarz w dłoniach. Nagle pobladł, wywalił oczy, jakby przypomniał sobie coś strasznego, i skoczył do najbliższego klombu. Szarpnęło nim, wygiął plecy w kabłąk, a kolor jego twarzy przeszedł z bieli w czerwień. Cholerny patriota, pomyślał porucznik Enka.

Skurcze targające Greniem zwiastowały, że z żołądka przez gardło idzie coś dużego: litr wódki, udziec barani albo wszystkie grzechy świata. Tymczasem bryznął gęstą porcją śliny i kwasów żołądkowych; na wielkim nosie zebrał mu się pot. Greń upadł na kolana i porucznik Enka miał wrażenie, że nieszczęsny młodszy kolega zwali się zaraz twarzą między rabatki.

Z budki wytoczył się cieć, podobny nieco do tych eksponatów, które zalegają w najgłębszych zakamarkach piwnic ze względu na niską wartość, brzydotę lub brak funduszy na odnowienie. W okamgnieniu znalazł się nad Greniem, uniósł dłonie, by zaraz je opuścić. Greń spojrzał na niego półprzytomnie i znów zwymiotował. Cieć sapnął i natarł na porucznika Enkę.

— Obywatelu poruczniku! No, obywatelu poruczniku! — wykrzykiwał, rękami zataczał koła. — Ja rozumiem, ja wszystko mogę zrozumieć! Ale przecież te kwiaty dopiero wyrosły. I jak pan myśli, kto o nie dba? Obywatel ma rację, ja dbam, a on piąty raz mi tu rzyga, a potem pójdzie i sam z tym zostanie. Bym nic nie

mówił, jakby to jeszcze pan rzygał albo inny oficer. Obywatel daruje, ale to zwykły, no zwykły... — kaszlnął — obywatel milicjant.

— Krawężnik — uzupełnił Enka, a cieć skinął głową, uszczęśliwiony. Enka przyglądał się przygasającej końcówce camela, przeczytał napis wokół filtra i zgasił papieros o szybę budki ciecia.

— Jak się nazywacie, obywatelu?

— Grzegorz Nowak.

Enka powtórzył bezgłośnie imię i nazwisko, dając do zrozumienia, że chce je dobrze zapamiętać.

— Długo tu, Nowak, pracujecie?

— Dwadzieścia pięć lat. Ćwierć wieku. — Nowak uniósł prawą dłoń, jakby zamierzał zasalutować.

— Wie pan mniej więcej, jakie pyszności znaleźliśmy tu w piwnicy?

Nowak spoważniał, przytaknął skinieniem głowy.

— No to świetnie — ucieszył się porucznik Enka — to mogę panu powiedzieć, że wedle mojej wstępnej oceny te nasze piwniczne skarby liczą sobie lat dwadzieścia. Oznacza to, obywatelu, że te wspaniałości pojawiły się już w czasie, kiedy obywatel tu pracował.

— No, ale panie poruczniku... Pan chyba nie myśli...

— No skąd — roześmiał się Enka — ale przecież i tak będziemy musieli obywatela Nowaka przesłuchać, chyba że obywatel Nowak sobie nie życzy, żeby sprawa została wyjaśniona. Jak to jest?

Nowak skurczył się w sobie. Za jego plecami Greń z trudem odzyskiwał pozycję pionową.

— Przecież musi zostać wyjaśniona. To straszna sprawa, obywatelu poruczniku — mówił Nowak — jak żyję, nawet o czymś takim nie słyszałem. Ja nawet nie wyobrażam sobie, żeby mogło to zostać tak o, nierozwiązane.

— Też sobie tego nie wyobrażam — porucznik Enka stanął przed cieciem — i pomyślałem sobie, że może byłoby lepiej i łatwiej, gdybyśmy obywatela Nowaka przytrzymali przez trzy miesiące na Monte, co może z punktu widzenia śledztwa nie jest konieczne, ale przydatne i owszem — ciągnął Enka, a Nowak kurczył się z każdym kolejnym słowem — to byłoby moje specjalne życzenie. A po trzech miesiącach to obywatela puścimy i jeszcze damy piękne, przepaszające pismo. Firmowy papier będzie i podpis komendanta, a jeśli komuś będzie bardziej przykro niż obywatelowi komendantowi, to tylko mnie samemu. Powiesi je sobie pan zaraz koło wypowiedzenia z pracy w związku z przebywaniem w zakładzie odosobnienia, które w tym samym czasie też

przyjdzie, więc radziłbym się zastanowić, czy w dalszym ciągu tak się obywatel troszczy o swoje zasrane, przepraszam, zarzygane rabatki, kwiatki, czy jak to się nazywa.

Nowak zacisnął pięści z bezsilnej wściekłości, a porucznik Enka mówił dalej:

— Jest jeszcze wyjście numer dwa. — Ence brakło sił na pozorną wesołość — po prostu dam ci, Nowak, w mordę i to będzie moralnie czystsze, rozumiesz mnie? A ja cenię wolność, więc mów, jak chcesz, żeby było, w lewo albo prawo, bo ja nie mam siły stać tutaj do Wielkanocy, podobnie jak obywatel Greń, mam nadzieję, nie będzie rzygał w twoje kwiaty aż tak długo.

Oczy Nowaka rozszerzyły się, bo Wielkanoc była dopiero tydzień wcześniej i Nowak nie chciał, by porucznik czekał tu okrągły rok, a Greń przez rok rzygał. Wyprostował się, wydał wargi i wycofał do budki, nawet nie zerkając na milicjantów. Zatrzasnął drzwi, aż gołębie poderwały się do lotu. Porucznik Enka zbliżył się do skonanego Grenia i Greń popatrzył na niego z wdzięcznością. Niezdarnie wycierał usta chusteczką w kratę.

— Bywa, nie? — rzekł Enka od niechcienia. — Na przyszłość nie pakuj łba, gdzie popadnie, sam widzisz, jak to się kończy. No, idę do pana Nowaka, żeby nas stąd wypuścił. Nie będziemy się przepychali przez ten bajzel ponownie, prawda, Greń?

Greń przytaknął, z miną, jakby miał wyrzygać się znowu. Enka pokazał mu plecy.

— Idźcie do domu i weźcie sobie, Greń, wolne jutro — rzucił Enka przez ramię. — Tylko się nie przyzwyczajajcie do takich dobroci, bo następnym razem już nikt wam nie odpuści.

\* \* \*

Na Anioł Pański biły dzwony i starowinka człapiąca za Enką natychmiast się z nim zrównała i zdołała wyprzedzić, nim porucznik dotarł pod bramę broniącą wstępu do administracji Muzeum Archeologicznego w Krakowie. Przed bramą stały milicyjny fiat, nyska i polonez, którym Enka przyjechał. Błotnik poloneza był wygięty, a reflektor utłuczony.

Porucznik minął kolejnego ciecia i w towarzystwie zdezorientowanego Gruli skierował się po stromych schodach do piwnic.

— Kupa syfu, kupa syfu — powtarzał Grula na każdym stopniu i nie przestał, gdy weszli między zielone, odrapane ściany. Mijali potrzaskane gabloty, plastikowe kości dinozaurów, malowanych faraonów z gipsu, i tak, w rytm Grulowej mantry, dotarli do kotłowni.

Przy niebieskich piecach gazowych kucalo dwóch technicznych, oddychali jak po dużym wysiłku. Trzeci jeszcze krążył, zgarbiony nad podłogą, z której wymieciono nawet kurz i mysie kupy. Dwóch mundurowych wodziło oczami po rozgardiaszu – jeden zerkał w głąb pomieszczenia po prawej, drugi oparł się o żółtą, cienką rurę przy zaworze. Był jeszcze fotograf Wroński, którego Enka szczerze nie znosił, między innymi dlatego, że gdyby tylko Wroński mógł, prowadziłby swego asystenta na krowim łańcuchu i w kolczatce.

Kotłownia miała wielkość sali szkolnej, a Wroński przemierzał ją wielkimi krokami, w zamszowej kurtce, berecie zsuniętym na bok i jedwabnym fularze, jakby, zdaniem porucznika Enki, cudowna siła przeniosła go z wernisazu dla zboczeńców. Cykał fotkę za fotką wielgaśnym pentaconem, wreszcie wyprostował się i włożył aparat w ręce asystenta. Ten omal go nie upuścił, twarz Wrońskiego stężała, a pod poźółkłymi od papierosów wąsami błysnęły drapieżne zęby. Wroński coś zaczął mówić, machać rękami – Enka nie słyszał nic poza „Krzysiu, Krzysiu...” i zaczął się zastanawiać, czy to magia Muzeum Archeologicznego sprawia, że każdy tutaj powtarza w kółko jedno lub dwa słowa.

Enka zbliżył się do Wrońskiego, który zdawał się go nie dostrzegać.

— Krzysiu, jak ja cię proszę, ty uważaj. Przecież to aparat, a nie półlitrowka, Krzysiu, Krzysiu, pamiętasz, jak pracowałeś miesiąc za darmo, bo rozbiłeś praktykę i komplet obiektów jeszcze. Kurwa, Krzysiu, przecież ja ci zawsze pomagam, pomagaj też mnie, dobrze. Ech, Krzysiu, Krzysiu.

Z każdym „Krzysiu” Krzysiu stawał się coraz bardziej czerwony, aż burknął coś o tym, że więcej tak nie robi i podreptał na górę, cudem wymijając zaaferowanego Grulę.

— Cześć, Michasiu — zagadnął wesoło Enka. — Co tam dzisiaj pięknego?

— Ano pięknego w rzeczy samej niewiele. — Wroński był zaskoczony widokiem porucznika Enki. — Właśnie tu kończymy, materiały przewiezione, po gówniarzu posprzątane. Ma pan czas, pewno pan się przyda. A co pięknego u pana, bo u mnie, jak mówiłem, nic pięknego?

— Ja pana świetnie rozumiem. — Enka dawno złapał się na tym, że wali Wrońskiemu per „ty” na początku każdego spotkania. — Coś jeszcze macie?

— Ano szczęśliwego znalazcę — Wroński wskazał kciukiem na pomieszczenie po lewej od wejścia — tam siedzi i go maglują.

— Odesłałem równie szczęśliwego Grenia — rzekł mimochodem Enka, a Wroński uśmiechnął się złośliwie. Enka dodał — co to właściwie za facet?

— A, to ciekawa sprawa. — Wroński zapalił papierosa. Miał lekko siwiejące wąsy i cienki pasek włosów na brodzie. — Nie pamiętam, jak się gość nazywa.

Tam z nim gadają i możliwe, że nawet beknie, jak to w życiu, poruczniku. Nie dlatego, że zrobił, ale że znalazł. No i za przeszłość.

Enka skinął głową i wziął papierosa od Wrońskiego.

— Był doktorem na archeologii, nawet niezłym, a teraz kibluje pod ziemią. Wie pan dlaczego? — ciągnął Wroński. — Był w Solidarności. Walczącej. W jakimś ostrym odłamie, ale to jeszcze pikuś. Natłukł zomowca i poszedł siedzieć. A jak wyszedł, to mu wszystkie drogi zamknęli i w ogóle cudem jakimś dostał tu pracę, ale nie w muzeum, tylko w kotłowni. Kotła pilnuje, po piwnicach się kręci.

— Krewki gość — przyznał Enka. Zgasił klubowego od Wrońskiego i sięgnął po camele.

— Ja go na ćwiczeniach kendo widziałem, też był krewki, a tego zomowca, to jego własną pałą natłukł, takiego samuraja mu pokazał, że tamtemu nawet tarcza nie pomogła, aż w łeb dostał z tyłu, jeszcze mu rękę złamali. Rękę i karierę — strzelił palcami — o, właśnie sobie przypomniałem, nazywa się Tomasz Ofet, drużynowy mistrz Europy w kendo.

Enka zerknął przez ramię Wrońskiego do pomieszczenia. Widział trzy cienie.

— No, to mu w życiu nie pomoże, raz wejdiesz w gówno, to się jak pies nie otrzepiesz.

Słyszając westchnienie Wrońskiego, Enka natychmiast pożałował, że nie trzymał języka za zębami, bo Wroński także niósł swój krzyż. Grula, który znał się na wszystkim, więc i na fotografii, opowiadał, jaki to chłopina miał talent i gdzieżby to nie zaszedł, gdyby nie głupia miłość, a raczej zamięłowanie. Wroński, w Grulowej opinii, należał do ludzi, którzy kupują karnety na Małe Słowianki i nie przegapią godziny szesnastej, kiedy w telewizji tańczą Fasolki. No i chłopca uwalili, i to głupio, wściekał się Grula, bo przecież nie szło o niemowlęta, ale czternastki, piętnastki, i do tego same się pchały do pana fotografa, poza tym jeden mądry pisarz powiedział, że dziewczyna zawsze jest kobietą. Enka odparł wówczas, że fotograficy, co karierę Wrońskiemu złamali, książek nie czytają z zawiści, więc wiedzieć nie mogli, i zaczął się zastanawiać po co Gruli ta erudycja.

Enka zostawił Wrońskiego z jego nieszczęściami i poszedł zobaczyć, jak młodszy koledzy radzą sobie z przesłuchiwanym. Na zaimprovizowanym stole leżały akta. Ofet siedział smutny, dłonie dyndały mu między kolanami. Enka omiół wzrokiem ściany, podobne do ciemnej kory, kartony i dechy poskładane przy tych ścianach oraz masywne pudła pospinane białymi rurami. Miejsce to kojarzyło mu się z całą bez kibla.

Milicjant w mundurze pytał właśnie Ofeta, co zrobił, jak znalazł to, co znalazł, a Ofet mówił powoli, jakby z pamięci, i Enka wiedział, że opowiada to już po raz czwarty. Drugi milicjant, ubrany po cywilnemu, wręczył Ence teczkę



z materiałami. No tak, Ofet Tomasz, trzydzieści dwa lata, z tego dwa w ulu. Za co, wiadomo, żona, córeczka lat trzy, separacja. Fajnie. Fajnie. Fajnie.

— Dobra, niewiele tu po nas. — Enka rzucił teczkę. — Tamci się zwijają i my się zwijamy.

— Co z nim? — zapytał mundurowy.

— A co ma być? Coś tam się u nas w ogóle dziś dzieje, ktoś z zagranicy przyjechał, więc jak obywatel Ofet dostanie wezwanie, to sobie przyjdzie i pogadamy.

Ofet westchnął.

— Nie ma co tu gnić — stwierdził Enka.

Milicjant w cywilu już wypisywał wezwanie dla Ofeta, drugi zbierał papiery. Enka go zatrzymał:

— Co z resztą?

— Ci stąd — tłustym palcem wskazał na sufit — nieźle przerażeni. Raport już pojechał. Widział pan w ogóle, co tam się podziało?

— Widziałem Grenia.

— Młody? — upewnił się mundurowy. Jego blada, pryszczata twarz przypominała Ence księżyc w jasną noc, gdy widać wszystkie kratery.

— No, młody — przyznał Enka — dajcie tu latarkę.

— Na pewno chcesz tam iść? — rzucił ten w cywilu.

Latarka była ogromna i nieforemna. Dawała pomarańczowe światło.

— No skąd — głos Enki dobiegł już z korytarza — ani trochę nie chcę.

\* \* \*

Enka świecił sobie i szedł ostrożnie, usiłując nie trafić w liczne, grube rury przy ścianie i wzdłuż podłogi. Zostawiał czarne ślady, a rozmazany pył przypominał mu drobinki czekolady, jakby na końcu korytarza czekał słodki skarb. Enka skręcił raz i drugi, barkami szorował po ścianie i gdyby ktoś wędrował za nim, dostrzegłby beżowe kłęby mgły na wysokości szerokich ramion. Dotarł do zniszczonego przepierzenia, z góry wciąż sterczały deski, pod butami skrzypiał styropian. Metr dalej znajdowało się kolejne przepierzenie i niewielkie pomieszczenie, którego krańce ginęły w mroku.

Enka świecił pod nogi i szedł uważnie – nie dlatego, że bał się ludzi czy potworów. Domyślał się jednak, że gdzieś tutaj zwymiotował młody milicjant Greń. Stał pośrodku. Miał wrażenie, że brud, w korytarzu beżowy i głęboki na palec, tu jest czarny jak piekło i głęboki jak ono właśnie. Snop światła padał na

cyfry do fotografii, kształt człowieka odcisnięty w kurzu obrysowany kredą i – tak samo odcisnięte, obrysowane – ślady po pięciu bańkach na mleko.

\* \* \*

Zderzył się z Łopacką na korytarzu, przy oknie. Niosła akurat gruby plik papierów.

Krystyna Łopacka, kierownik pionu administracyjnego Muzeum Archeologicznego w Krakowie, patrzyła na Enkę jak na stwora z krańca galaktyki, a jego jasne sztruksy Lee i lekkie desantowe buty musiały być czymś równie egzotycznym co zielona twarz i czułki. Enka widział w jej oczach mnóstwo pytań, z rodziny tych, których nigdy się nie zadaje. Czy strzelasz ludziom między oczy? Kryjesz piękne dziewczyny? Czy przeczytałeś chociaż jedną książkę? Sam Enka nie umiał odróżnić Łopackiej od tysiąca kobiet koło sześćdziesiątki, z trwałą ondulacją i skórą na szyi pomiętą jak starożytna mapa.

— Jak ma się ten biedny młody człowiek? — zapytała.

Enka oparł się o ścianę.

— Pojechał — mruknął i zaraz się zorientował, że Łopackiej to nie wystarczy.

— Widzi pani, to wszystko jest wliczone w zawód i dobrze, że tak się skończyło. Można by mu to powtarzać na sucho po stokroć – wzruszył ramionami – a teraz do końca życia będzie wiedział, żeby nie podnosić starych banków, choćby po mleku, i nie przechylać ich sobie nad twarzą. A jeśli tak już musi zrobić, to niech ust nie otwiera, jak, nie przymierzając, ciele, bo a nuż coś wypadnie, na przykład – cmoknął – wpół przegnite, wpół spalone zwłoki.

Łopacka zgarbiła się, poszarzała, nadeła policzki, jakby zamierzała pójść w ślady milicjanta Grenia.

— To miło, że interesuje się pani jego losem — rzekł pojednawczo Enka — a mnie interesuje pan Ofet. Ten, który znalazł zwłoki — uzupełnił. — Pracuje tutaj w kotłowni.

— No chyba pan nie myśli...

— No skądże — Enka roześmiał się szczerze — samo ciało miało ze dwadzieścia lat. Po prostu, jeśli pali w kotłach...

— To kotłownia gazowa — uzupełniła. Potrząsnęła głową, jakby chciała wypłoszyć muchy z włosów.

— Jasne, dobrze — przyznał Enka — no ale nie zmienia to zasadniczego faktu, że jest ciepło i nie trzeba palić.

— No wie pan. — Łopacka podrapała się po brodzie i łagodnym ruchem położyła papiery na parapecie. — To złota rączka i bardzo się stara. No i prawdziwy archeolog, gdyby nie on, w ogóle nie znaleźlibyśmy tego trupa. Pan wie, tyle lat w muzeum to leżało. Za zwykłą ścianką. Mówię, prawdziwy archeolog.

— Ciekawe, co jeszcze znajdzie — rzucił Enka.

Przez dziedziniec waliła kolorowa kolumna studentów. Oczy Łopackiej zwęziły się.

— Co ja mam panu powiedzieć, panie poruczniku? — westchnęła. — Pan wie, co on zrobił? Z takimi papierami to on normalnej pracy w życiu nie znajdzie. Z wyrokiem. I to za pobicie... — sapnęła — funkcjonariusza na służbie. To młody człowiek i strasznie za to zapłacił.

Enka uśmiechnął się i pokiwał głową na znak, że nie każdy milicjant kocha zomowców, i odwrotnie. Na dole już rozbrzmiewał gwar. Łopacka mówiła dalej:

— On Bogu dziękował, że chociaż tu może pracować. I bardzo się stara. Pan wie, jaka to dla człowieka tragedia? Z uniwersytetu do brudnej roboty? Inny by nosem kręcił, ale Tomasz ma mnóstwo pokory. I wszyscy go tu lubią. A dyrektor to nawet mu jeszcze fuchy zleca. Wie pan... — nachyliła się — jak siedział, to żona go zostawiła. O córeczkę walczy. On, gdyby pan... Dużo wycierpiał, panie poruczniku.

Gwar na dole narastał, rozbrzmiały kroki. Enka westchnął zrezygnowany. Bardzo żałował, że Ofet natłukł zomowca, że poszedł siedzieć i ma jak ma, bo wówczas nie znalazłby trupa w piwnicy i nie byłoby tej idiotycznej sprawy. Na schodach najpierw pojawił się doktor (poznał go po identyfikatorze) w czarnym golfie, którego grubość wskazywała, że w salach na uniwersytecie już przestano grzać. Prowadził grupkę około dziesięciu osób, głównie dziewczęta.

— Na tych bańkach, co je znaleźliśmy — wyjaśnił Enka — są jakieś symbole. Dla mnie to dyrdymały, ale techniczny się uparł, że mamy do czynienia z rodzajem pisma, którego my nie znamy, ale ludzie od was – owszem. Popatrzycie, rachunek wystawimy. Ofet niech już lepiej niczego nie szuka.

Jeśli Łopacka coś powiedziała, to Enka nie usłyszał. Otoczył ich gwar i gdy porucznik miał już nadzieję, że zaraz zapadnie cisza, na jego ramię opadła damska ręka.

— Cześć Zbysiu — zabrzmiało.

Dziewczyna wydawała się wyższa od innych, ba, gdyby na serio wziąć optyczną długość jej nóg, głowa dziewczęcia wybiłaby dziurę w suficie. Do tego buty na obcasie, szeleczki, sukieneczka, skonstatował Enka, i to czarne wdzianko

przylegające do ciała, które ma swoją nazwę, ale żaden facet pod słońcem jej nie zapamięta. Wszystko pięknie, myślał gorączkowo Enka, ale jak tej małej na imię?

Nie wiedział, jak sobie przypomniał. Na pewno nie za sprawą włosów, bo nigdy nie wszedł w zażyłość z dziewczyną o włosach krótkich, rudych i postrzępionych, jakby piorun właśnie trafił w lisa.

— Anka — sapnął i natychmiast się rozluźnił — kawał czasu, co tam, Aniu, u ciebie?

— Mam się dobrze, a ty chyba jeszcze lepiej. Ciągłe cię ganiają?

— Sam się ganiam — zebrał myśli — przecież ty studiowałaś prawo.

— Ano prawo.

— I oprowadzałem cię po komisariacie — rzekł dość głośno, żeby Łopacka też słyszała — ale wtedy nie miałaś takich, przecież byłaś brunetką. I to prawniczką, znaczy chyba jesteś prawniczką, skończyłaś studia...

Grupa zdążyła się już oddalić.

— Myślisz, Zbyszek, że każdy szybko awansuje. Rodzice pojechali do Iraku. Mieszkanie mi zostawili i obiecałam, że będę się dobrze sprawować. I myślę, że nowa fryzura i nowe studia to dobre sprawowanie.

Doktor z grupą znikali już w sali archiwum. Anka udarła róg teczki Łopackiej, napisała numer.

— Masz. — Wcisnęła Ence świstek w rękę i odbiegła. Przystanęła w połowie korytarza. — Naprawdę, byłoby cholernie miło, gdybyś kiedyś, Zbyszku, zadzwonił.

Pokazała plecy i tylko obcasy zastukały. A gdy ucichły, zapanowała kłopotliwa cisza, przerywana głębokim oddechem Łopackiej.

— Potrzebuję... — zaczął Enka.

— Potrzebuje pan listy pracowników muzeum — domyśliła się Łopacka — i pan wybaczy, ja muszę iść. Taki tu bałagan, a goście z Syrii będą po południu. Pan pewno nie słyszał. Naukowcy z Syrii.

Wręczyła mu listę i odeszła godnie, aż Enka został sam w pustym korytarzu, zerkając to na spis pracowników muzeum, to na numer dziewczyny.

\* \* \*

Ciało grubego mężczyzny przecięto wzdłuż, jak rybę. W otwartych ustach straszyły węgielki zębów. Biała skóra wyglądała jak posypana czymś, co Ence przypominało wapno. Enka przeczytał podpis: „Przeobrażenie tłuszczowo-

woskowe”, powstrzymał się przed splunięciem i powędrował w głąb korytarza, zawrócił i tak krążył, próbując nie patrzeć na wystawkę.

Drzwi się otworzyły i doktor Łukasz Himler wkroczył w jarzeniowe światło. Podali sobie dłonie i Himler, którego za plecami przezywano doktorem Mengele, zamachał Ence papierami przed nosem.

— I co tam? — zapytał porucznik Enka.

Himler, blady podwójnie w świetle laboratorium kryminalistycznego, w bielusińskim kitlu i bielusińskich spodniach, wyglądał zdaniem Enki, jakby zaraz miał pokroić siebie samego.

— Ano nic, pięćdziesięciolatek zmumifikowany, że faraon by się nie powstydział. — Himler zsunął druciane okulary na czubek nosa i zagłębił się w papierach. — Co do chorób, to miał *atheromatosis* i *arteriosclerosis*, no ale pana pewno interesuje przyczyna zgonu.

Himler mówił dalej, nim Enka zdołał powiedzieć, co go interesuje, a co nie:

— *Infarctus myocardii parietis anterioris externus* — wyrecytował, zadzierając głowę. Właśnie o tę głowę był od Enki niższy.

— Pożyczysz mi jakiś słownik? — wypalił Enka.

Himler uśmiechnął się z wyższością i przekazał dokumentację.

— Tam jest też normalnie napisane, po ludzku — rozluźnił się — ale jak chcesz wiedzieć na szybko, to gość miał miążdżycę jak dąb i padł na zawał. Wic w tym, że się zmumifikował. Pewno padł w tej kanciapie, co go znaleźli, i drzwi musiały być zamknięte, bo szczury nie doszły. Ciekawe, prawda?

Proszę, proszę, pomyślał Enka, nawet szczury i robale nie przychodzą już do muzeum. Himler stał z dłońmi skrzyżowanymi z tyłu i głową wysuniętą, jakby czekał na przysmak.

— Możecie sobie faceta dokładnie sprawdzić. — Bezceremonialnie zabrał Ence teczkę. — Władysław Jaź, ostatni odcinek renty na marzec 1968 — przeczytał — miał bliznę na podbródku. Dokładnej daty śmierci nie znamy.

— Myślałem... — zaczął Enka.

— Praca z mumią to nie zrobienie flaszki, Zbyszek — wyjaśnił zaraz Himler. — Trzeba się napocić.

Enka sapnął.

— A trupy w bańkach?

— Konserwy? — rozpromienił się Himler. — To już ciekawsza sprawa. Dwie dziewczynki i trzech chłopców między drugim a trzecim rokiem życia. Czyli raczej

do przedszkola nie chodziły. Spalono je żywcem. Nie pomył się tylko, to nie kremacja.

Enka popatrzył pytająco.

— Gość, który to zrobił, był amatorem, nie dysponował zresztą odpowiednim sprzętem. Ciała spłonęły częściowo. Nadpaliły się — opowiadał pogodnie — a użyto zwykłego pieca węglowego. Potem powciskano resztki do tych baniek, zresztą ci, co to robili, musieli się nieźle napocić.

— Jesteś mądry, więc na pewno nie użyłeś przypadkowo liczby mnogiej — rzekł Enka.

— Ano nie przypadkiem. Zastanawiamy się tutaj. Bo najlogiczniej byłoby, gdyby zrobił to nasz trup, czyli Jaź. Ale dwójkę z tej piątki rozerwano, Zbysiu. Nie połamano, ale rozerwano, mięso, kości, ścięgna, a do tego jeden człowiek nie starczy. Dwóch, trzech może? No nie wiem, ale to ciekawe, jeszcze w tym pogrzebie. Czy...? No tak. — Oddał Ence papiery. — Za dwie godziny wrócą z odciskami i w ogóle, analiza otoczenia już będzie. Dużo się dowiemy.

Enka wcisnął teczkę pod pachę i zaczął się wycofywać.

— Zadzwon albo wpadnij za dwie godziny, na pewno dowiemy się czegoś nowego — poradził Himler, a Enka odszedł, zostawiając go z wyciągniętą na pożegnanie dłonią.

\* \* \*

— Gruuuula! — wołanie Enki niosło się po korytarzu komendy wojewódzkiej. Kilku facetów obróciło nawet głowy, ale sam zainteresowany dalej pędził, niosąc czajnik, z którego chlapała woda. Gruła tego dnia miał szerokie materiałowe spodnie i ulubiony sweter, którego koloru Enka nie umiał określić – czaił się w nim i sraczkowaty brąz, i trupia zieleń, i brudny pomarańcz. Każdy z wielkich pośladków Gruli zdawał się kołysać w innym rytmie i dopiero gdy Enka zawołał ponownie, Gruła przystanął. Woda chlapnęła na płytki PCV.

— Nie to, że nie popieram joggingu — zaznaczył porucznik — ale zmień przynajmniej sweter. Można by na niego narzygać, a ty nie zauważyłbyś.

Gruła zbliżył się do Enki, wciąż machając czajnikiem. Włosy lepiły mu się do skroni, cuchnął potem. W ogóle dziwnie jakoś było na komendzie – ludzie gdzieś gnali w tych swoich tureckich swetrach, sekretarka niosła akta, jakby teczkę wykonano z porcelany, a oczy Gruli błędziły niespokojnie. Z trudem łapał oddech.

— Jak dotąd widziałem tylko, że biegasz do kibla za potrzebą — uzupełnił Enka, któremu dzięki Gruli udało się częściowo oddalić nieprzyjemne wrażenia po rozmowie z Himlerem. — Chyba że to w czajniku to nie woda.

— Studnicki — Grula odzyskał głos — w biurze jest Studnicki. Ten Studnicki — woda z czajnika zalała Gruli buty — i chce się widzieć właśnie z tobą.

\* \* \*

Siedzieli naprzeciw siebie i Enka nie wiedział, jak zacząć. Przypuszczał, że podobnie czułby się ksiądz, gdyby z krzyża przed nim zszedł Pan Jezus. Albo diabeł wpadł z wizytą, żadna różnica, bo słowa zamierają w gębie. Nie można też odpuścić. Niektórych pewno szlag trafia przez zapatrzenie. Studnicki był legendą, lecz za cholerę na legendę nie wyglądał. Krzepki siedemdziesięciolatek w swetrze i okularach zamocowanych na łańcuszku, nos może za duży, oczy za głęboko osadzone. Właśnie, oczy – Studnicki zsunął okulary na koniec nosa i Ence wydało się, że w tych oczach jest wszystko: wiedza, ciekawość, a nawet szorstkie ciepło. Studnicki wyglądałby młodziej, gdyby nie grube bruzdy na czole i, co zdumiało Enkę, kurze łapki w kącikach oczu. Niektórzy bowiem mówili, że Studnicki nigdy się nie zaśmiał.

Po złapaniu „bronowickiego kuśnierza” Ence mówiono, że jeśli naprawdę się postara i będzie miał dużo szczęścia, to po latach stanie się prawie tak dobry jak Studnicki. Prawie. To samo słyszeli młodzi i zdolni milicjanci. Po dwudziestu latach, które Studnicki spędził na emeryturze, nikt już nie umiał go oddzielić od jego legendy. Po prawdzie to oddzielanie wychodziło najgorzej tym, którzy znali go osobiście. Enka nie wiedział już, czy Studnicki rzeczywiście umie wyliczyć z pamięci wszystkie swoje sprawy, łącznie z nazwiskami aresztowanych i wysokością wyroku. Zakład, który miał to potwierdzić (syrenka przeciwko gruzińskiemu naszyjnikowi po prababce Studnickiego) również zginął w mrokach dziejów. Pewne jest, że Studnicki syrenki nie dostał.

Jeśli Studnicki żyłby w Trzeciej Rzeszy, poszedłby pracować do Kripo, sprzymierzyłby się z SS i samym szatanem, żeby robić swoje. Po drugiej stronie Atlantyku gwiazdorzyłby w FBI, we Francji robiłby w Surete. Nie interesował się polityką, poglądami współpracowników i przełożonych, nie wnikał w rozterki moralne ludzi, których tropił. Przyszedł na świat, by łapać morderców, i nie nadawał się do niczego innego. Złośliwi twierdzili, że nie umie ugotować nawet jajek na twardo.

Aż do dzisiaj Enka uważał Studnickiego za postać z baśni, milicyjny odpowiednik miejskiej legendy – jak historię o bułgarskim cyrkowcu złapanym przez Grulę, który natychmiast natarł się mydłem, przeszedł przez kraty, zlaźł po rynnie i nim Grula się połapał, Bułgar już jechał do Sofii. A teraz, proszę, myślał Enka, taki Studnicki siedzi przede mną i cholera wie, co jeszcze jest prawdą? Że łączy ludzi, wydarzenia, przedmioty szybciej niż ktokolwiek inny? Albo że jeszcze

w latach pięćdziesiątych, gdy nie można było znaleźć dowodów, wołano Studnickiego, a ten natychmiast znajdował szkielet w szafie? O co taki człowiek może poprosić?

Enka nie wiedział, jak zacząć, i Studnicki go wyręczył.

— Wiem, że jest pan bardzo zajęty. — Miał niski, melodyjny głos. — Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

Enka przytaknął i powiedział coś w stylu, że cała przyjemność po jego stronie, a właściwie nie jego, bo i Gruli, i całego wydziału.

— Pan przesadza. Trochę słyszałem o panu i chciałem pana poznać — mówił Studnicki. — Okazji jakoś nie było. Nie wychodzę już z domu, gotować się uczę — uśmiechnął się lekko — ale przyszedłem, bo wydaje mi się, że na coś się przydam. Mam na myśli ten bałagan w muzeum archeologicznym, dziś rano.

— No gratuluję — rzekł Enka, zdumiony kontaktami Studnickiego. Od znalezienia ciała w piwnicy minęło zaledwie kilka godzin. — Myślę, że bałagan to jest dobre słowo.

— Niech pan się tak nie dziwi. Wszyscy mnie tutaj kojarzą z tą sprawą. Oczywiście ci dużo starsi od pana. Żałuję, że tak późno to się stało. Bo chciałbym pomóc osobiście, a tutaj, prawdę powiedziawszy, zaraz idę do szpitala. Zastawki. I dwa miesiące z życia. To kawał czasu, panie poruczniku. Dwa miesiące.

— Ano kawał — odparł Enka, choć nie miał pojęcia, co robił dwa miesiące temu — niech pan się nie martwi. Poradzimy sobie.

— Och, ja wiem, że pan sobie poradzi — głos Studnickiego stwardniał i Enka nagle nabrał wrażenia, że staruszek zacznie go opieprzać. — Ja tylko mówię, że rozwiązanie wcale nie musi być proste. Wiem, bo na nie wpadłem dwadzieścia lat temu. Niestety, nie mogę panu pomóc osobiście...

— Już mi pan pomógł — rzekł lodowato Enka.

— ... bo jestem chory, jak już mówiłem. Ale wskażę panu człowieka, który panu dużo powie.

— Na pewno — uciął Enka — to się przyda. Kiedy inne ścieżki odpadną, to na pewno. Bo każda pomoc cenna, szczególnie pańska. Może Grula pojedzie albo jakiś młody. Na pewno. Co konkretnie?

— Już mówię. Ale to pan powinien tam pojechać. Nie dlatego, że pana proszę. Czytałem o panu. Przyglądałem się panu — zrzędził Studnicki — a ta sprawa jest bliżej początku niż końca. Niech pan teraz uważnie posłucha. — Nachylił się do Enki. — Może pan mnie zlekceważyć, to pana wybór. Inaczej, może mi pan nie wierzyć i sprawa pozostanie tajemnicą. Pozostanie także w panu, jak jest we mnie, przez dwadzieścia lat. Jak zadra. Jak rana. Jeśli teraz wydaje się panu błaża, to



proszę czekać na wielkie przeobrażenie. Naprawdę, chce pan móc pomyśleć o czymkolwiek innym niż te dzieci? Zabite dzieci, spalone? W bańkach — mówił, aż żyły wystąpiły mu na czoło.

Akurat, ty stara pierdoło, pomyślał Enka i zaraz sobie uświadomił, że skoro Studnicki wie o wszystkim, to znaczy, że ma wpływowych przyjaciół, a skoro przyszedł, to naprawdę mu zależy.

— Dobrze — rzekł konspiracyjnym głosem — w takim razie proszę mi powiedzieć, co powinienem zrobić.

— Byłbym wdzięczny za słabą herbatę — odparł Studnicki. — Przydadzą się panu papiery.

Enka wstał, westchnął, jakby chciał zaznaczyć, że świetnie wie, kto tu komu robi uprzejmość. Drwi otworzył bezgłośnie i nawet jęknięcie Gruli, który dostał klamką w głowę, było jakieś stłumione.

\* \* \*

Porucznik Gula krzątał się przy herbacie, co chwilę masując czoło, a Enka przerzucał papiery.

— Ile on chce cukru? — zastanawiał się Gula.

— Nie usłyszałeś?

Gula westchnął szczerze:

— Gównu słychać przez te drzwi. Może ja po prostu dam mu cukier na tacce. Nie obrazi się?

— A może być i tacka.

Enka czytał raport Studnickiego sprzed dwudziestu lat, zerkał na krzątającego się Grulę i nagle pomyślał o amerykańskich policjantach, pijących kawę ze specjalnych kubków i zajadających pączki. Cóż, nawet gdyby mieli pączki, zjadałby je głównie porucznik Gula.

— Masz tam coś ciekawego? — Gula zerknął mu przez ramię.

— Bo ja wiem? — Enka wzruszył ramionami. — Trochę informacji o sprawie sprzed dwudziestu lat. Porwania dzieci. Kilkuletnich. Rzecz utknęła w miejscu, a twój bohater bardzo się tym przejął. Zobacz tutaj — wskazał dwie spięte kartki — po tej historii Studnicki przeszedł na emeryturę i coś mi się widzi, że nie najlepiej znosi porażki. Sam poprosił. Pewno myślał, że mu się do kolan rzuca, wołami zatrzymają. E tam, popatrz. „Rozpatrzone pozytywnie”.

Gula zmarszczył brwi.

— Co z tymi dziećmi? Nie znam tego — w jego głosie brzmiała szczerza troska. Pasją Gruli, poza jedzeniem, było bowiem rozmnażanie się.

— Himler się spręza — Enka zignorował pytanie — nasz mały faraon z piwnicy to niejaki Władysław Jaź, rencista. Pracował w muzeum na pół etatu. Aż dziwne, że nikt o niego nie pytał.

Grula skończył już robić herbatę i postawił przed Enką prostokątną tacę. Na tacy stały szklanki otoczone drutem z zakrzywionym uszkiem i wyszczerbiony słoik oblepiony cukrem, a obok leżały aluminiowe łyżeczki.

— No dziwne, rzeczywiście dziwne. Mnóstwo jest takich dziwnych rzeczy, prawda, Zbychu? — Wbił ręce w kieszenie, spojrzął przez okno. — I czasem myślę, że nic się nie zmienia. Wiesz, te dziwne sprawy, dwadzieścia lat temu i teraz. Nic się, Zbyszek, nie zmienia.

Enka obrócił w dłoni aluminiową łyżeczkę. „Stojadła nierdzewne”, przeczytał w myślach, a jego wzrok padł na napis biegnący przez środek tacy: „X olimpiada resortów spraw wewnętrznych, Soczi 1982”. Podniósł głowę.

— Ano masz rację — powiedział — nic, a nic się nie zmienia.

\* \* \*

Nim Studnicki się odezwał, Enkę rozboleła głowa. Mieszał kawę, próbując nie dzwonić łyżeczką, pociągnął pierwszy łyk i natychmiast poczuł się jeszcze gorzej. Studnicki mówił w ten szczególny sposób, który nie pozwala streszczać, i gdyby Enka musiał przekazać komuś tę historię, cytowałby, nie pomijając ani jednego słowa.

Zaczął się, mówił Studnicki, w lecie 1967 roku. Dzieci ginęły raz po raz, ze złobków, z wózków, z przedszkoli, z domów, i można by pomyśleć, że zamiast jednego porywacza istnieje cała armia złoczyńców. On, Studnicki, wiedział od początku. To jeden człowiek, a nie legion, człowiek – nie diabeł, jak mówiono. Zawsze ten sam przebieg – rodzic lub opiekun otrzymywał cios w głowę. Nikt nigdy nie widział napastnika, nie słyszał nawet jego kroków. Tylko raz dziecko wykradzono z pokoju. Rodzice zastali puste łóżeczko i otwarte okno.

— Widziałem jej zdjęcie — rzekł Studnicki — gdyby żyła do dziś, miałyby dwadzieścia trzy lata i daje głowę, że pan porucznik by jej nie przepuścił.

Studnicki czuł od początku, że ta sprawa różni się od innych, choć nie wiedział dlaczego. Ufał instynktowi i instynkt go nie zawiódł: sprawa była ważna, najważniejsza na świecie, bo czwartym zaginionym dzieckiem okazała się wnuczka Studnickiego. Porwano ją w Parku Krakowskim, w dzień tak piękny, że nie mogło

się wydarzyć nic złego. Najpierw kłął, potem przysięgał: nie zaśnie, dopóki dziecka nie odnajdzie. Żywego.

— To jedna z rzeczy, o które pana proszę — powiedział — chcę, żeby pan sprawdził, czy jedno z ciał w piwnicy, w tych bańkach, to moja wnuczka.

— To da się zrobić. Tylko sam pan wie najlepiej, że takie rzeczy zabierają czas.

— Mówi to pan człowiekowi, który nie ma już czasu. Jutro mnie operują, ja pożyczę, pan się nie boi. Jeszcze trochę. A takie rzeczy zabierają właśnie trochę czasu.

— Nie aż tak dużo — powiedział pojednawczo Enka.

— Pan się myli. Ja ufam swojej intuicji. Niech pan zaufa swojej.

Enka skrzywił się, bo nie lubił, gdy ktoś go szantażował. Zwłaszcza gdy pogrywał własną śmiercią.

— Jest pan spostrzegawczy — rzekł nagle Studnicki — a spostrzegawczość to tylko narzędzie dla intuicji. — Wydobył woreczek ze struną. W środku znajdowało się coś, co Enka omyłkowo wziął za zaschnięte błoto. — To dla pana.

Enka przyjrzał się woreczkowi. Zawartość okazała się kawałkiem gliny, przypuszczalnie częścią garnka lub talerza. Popatrzył pytająco na Studnickiego.

— Moja córka nie pamięta napastnika — padło — całego zajścia nie pamięta. Ocknęła się w parku, wózek był pusty, już robiło się zbiegowisko. Właśnie ten kawałek gliny miała w ręce. Nie wiedziała dlaczego ani skąd. Szamotała się z napastnikiem. To nasz — sapał — jedyny ślad. Ja to czuję, a jak coś czuję, to znaczy, że wiem.

— No może jestem trochę mniej skomplikowany — Enka zamerdał fusy — ale czuję i wiem, że tamte dzieci znaleziono w bańkach. Takich na mleko, panie Studnicki, nie w glinianych garnkach. Ani na talerzach — obracał woreczek — i wydaje mi się, że czasem złość się bierze z bezradności. Czego panu nie życzę, zwłaszcza w świetle tego, dokąd się pan wybiera.

Zadowolony, opadł na krzesło. Studnicki sprawiał wrażenie, jakby stracił zainteresowanie dowodem.

— Po prostu chcę wiedzieć, co stało się z moją wnuczką. I jest w tym bezradność razem ze złością, czego panu nie życzę. A pan musi pojechać do klasztoru na Bielanych — wyrzucił — Srebrna Góra. Tam pan znajdzie ojca Izydora Pocieszkę. Da mu pan ten kawałek i fragment ubrania człowieka z piwnicy. Powie pan, że proszę, aby Pocieszka to odczytał. Że to ja proszę.

Enka zapalił, ale nie poczęstował Studnickiego. Wydmuchał dym nosem i skiepował wprost do szklanki.

— Nie wiem, co tam wie ksiądz Pocieszka. To zamknięty klasztor. Zwłaszcza dla milicjantów.

Studnicki, którego owiewał dym z camela, wygrzebał kartkę i wieczne pióro. Zaczął pisać.

— Przeor pana wpuści, panie poruczniku, a Izydor Pocieszka z panem porozmawia. Nim pan da te dwie rzeczy, ubranie i glinę, niech pan powie, od kogo przychodzi. On musi usłyszeć, że powinienem mu wtedy uwierzyć. Niech mu pan powie, że Michał Studnicki powinien uwierzyć i że popełnił błąd życia. Ja umieram, niech też to wie. Od jutra leżę w szpitalu przy Prądnickiej. Nie przyjdzie, ale chcę, żeby wiedział. A potem niech odczyta te rzeczy dla pana.

Nim Enka odpowiedział, Studnicki podniósł się i przesunął papier po stole. Uścisnęli sobie ręce.

— Jeszcze raz bardzo proszę i jeszcze goręcej dziękuję — jego głos był miękki, jak i uścisk. — Pan musi to dokończyć. Przepraszam, że zrzucam to na pana.

Przez twarz Studnickiego przemknął wyraz zakłopotania.

— Powodzenia, panie poruczniku — zabrzmiało już z korytarza.

Porucznik Enka gapił się to na okruch gliny, to na kartkę, na której napisano pochyłym pismem: „Szanowny Ojczy Przeorze, proszę o udzielenie wszelkiej pomocy panu porucznikowi Zbigniewowi Ence. Z poważaniem, kapitan Michał Studnicki”. W rogu nabazgrano jeszcze numer telefonu. Enka przeczytał wszystko trzy razy. Okruch powędrował do kieszeni.

Porucznik Enka wiedział już, że legenda krakowskiej milicji, kapitan Studnicki, istnieje naprawdę. Oraz że jest kompletnie pomyłony.

\* \* \*

Polonez porucznika Enki pruł w słońcu, za Salwator, między domy – z jednej strony wielobarwne klocki, z drugiej zaś masywne warstwy pustaków z czarnymi prostokątami okien. Samochód wspinał się teraz pod górę, wśród drzew opętanych wiosną, a Enka włączył radio, po raz pierwszy od listopada zeszłego roku.

*Mówisz o pokoju*

*Czy ty nie widzisz, że*

*Są tacy, którzy chcą, żebyśmy*

*Pozabijali się.*

— No jasne! — mruknął Enka i walnął dłonią w kierownicę — idiota!

Więc jadę, myślał, w czasie służby, do cholernego klasztoru, przepraszam, cholernie pieprzonego eremu, żeby dać jakiemuś mnichowi dowody do

powąchania. Może to dobry pomysł, żeby psy milicyjne zastąpić księżmi, a może niekoniecznie, pewne, że jak się sprawa rypnie, to beknę, a Gula pęknie ze śmiechu.

Mógłby się przynajmniej spytać, co katabas właściwie zrobi, ale ten nieszczęsny ubol – bo Enka nie miał wątpliwości, że Studnicki jest ubolem – tak gadał, że każdy by zapomniał języka. „Nic ci nie zostało, Zbyszek, klnij, tłucz się samochodem i miej nadzieję, że mnisi nie zaśmieją cię na śmierć. Szlag, szlag by to trafił”.

*Mówię ci, że*

*Mówię ci, że*

*Mówię ci, że*

*Jedyne wyjście, to obudzić się.*

Sama się obudź, w sumie, możesz mnie też obudzić, złościł się Enka, wjeżdżając na szczyt Srebrnej Góry. Jak nazywa się ta dziewczyna w chórkach? Kasia? Kaja? Zwał jak zwał, prędzej Gula robi karierę w balecie, niż ta się przebije z tym murzyńskim wyciem. Tak myśląc, dojechał na miejsce, gdzie, za murkiem, ogrodem, długim budynkiem, przedzielonym furtą – i prawdopodobnie mnóstwem innych, paskudnych rzeczy, znanych jedynie katabasom – wznosiła się fasada klasztoru.

Trzasnął drzwiami, rzucił smutnym wzrokiem na zgnieciony błotnik poloneza i zaczął się zastanawiać, co takiego wykonał Studnicki, że teraz otwiera nawet bramy eremów. Popatrzył jeszcze na woreczek z próbką ubrania i drugi z kawałkiem gliny. Nim dotarł do bram eremu na Srebrnej Górze, w niepojęty dla siebie sposób odzyskał spokój.

\* \* \*

Z luftu, kwadratowego jak szachownica i długiego jak tunel do piekła, na Enkę łypała brodata twarz mnicha. Enka tylko się skłonił, słysząc „niech będzie pochwalony”, i zamachał legitymacją. Mnich zmrużył oczy. Enka powiedział, kim jest, po co przyszedł, kto go przysłał, że sprawa taka a taka i że ma papier dla przeora. Szczęknął zamek.

— Nie znam kapitana Studnickiego, ale ojciec rządca już rozmawiał z ojcem Izydorem. Przeor wyraził zgodę. — Brama stanęła otworem. — Witamy w eremie na Srebrnej Górze.

Mnich gestem zaprosił Enkę do środka. Poszli w kierunku budynku klasztorowego, przez wielki plac zieleń przecięty trzema ścieżkami. Enka nie potrafił zrównać się z krokiem mnicha, raz zostając w tyle, raz znów wychodząc

naprzód. Nie spostrzegł nawet, gdy za plecami pojawił się kolejny mnich, również brodaty, tylko młodszy, o poranej bruzdami twarzy i miodowych oczach. Furtian bez słowa poszedł dalej.

— Zaprowadzę pana do brata Romualda. Musimy poczekać chwilę, jest zajęty — rzekł młodszy mnich z zakłopotaniem. — Jestem brat Nepomucen.

Enka pokiwał głową i zaraz chciał zadać pytanie, czy brat Romuald zaprowadzi go do brata Serafina, brat Serafin do ojca Mikołaja i tak dalej, i czy na końcu wędrówki od jednej brodatej głowy do drugiej znajdzie się ojciec Izydor. Stali już przed wejściem do klasztoru. Brat Nepomucen sprawiał wrażenie, że zaraz zaprosi oficera do środka. Słońce świeciło im w oczy.

— Myślałem, że tutaj nie można wchodzić — rzekł wreszcie Enka.

— Ta część zewnętrzna — Nepomucen wskazał na beżową ścianę klasztoru — nie jest objęta klauzurą ścisłą. Nie tylko kościół, ale i refektarz, pokoje dla gości, konwersów, nawet budynki gospodarcze. Tu przyjmujemy ludzi kościoła i kościołowi przychylnych, a także, jakby pan powiedział, kandydatów na kamedułów. — Nie sposób było dostrzec, czy usta pod gęstym wąsem wygiął uśmiech. — Tu żyją także ludzie życzliwi Kościołowi i Polsce, którzy chcą spędzić część życia przy nas, a nie zamierzają wstąpić do zakonu. Rozumie pan?

— Oczywiście — odparł Enka, mrużąc oczy. Złapał już odpowiednie tempo i sunął powoli obok brata Nepomucena.

— Tam dalej — brat Nepomucen machnął ręką — jest klauzura ścisła. Tam nikt nie wejdzie — tym razem Enka nie miał wątpliwości, mnich się uśmiechał — nawet przyjaciel naszego klasztoru, Michał Studnicki.

— Jasne, jasne — rzekł pospiesznie Enka, nie próbując ukryć zdziwienia — ja to wszystko rozumiem.

— Tam, w klauzurze ścisłej, żyjemy w eremach. Takich małych domkach — tłumaczył cierpliwie Nepomucen. — Kapitan Studnicki jest donatorem kościoła i pomógł załatwić cement na ich remont. Pan rozumie, tu nic się nie zmienia, ale budynki niszczej. Pana przyjaciel jest dobrym człowiekiem.

Enka nie odpowiedział.

— Myślę, że teraz możemy poszukać brata Romualda — zaproponował brat Nepomucen i już ruszył w stronę kościoła. Enka został z tyłu. Dotknął ledwo widocznej blizny na środku czoła.

— Niech brat poczeka. — Omiótł wzrokiem manierystyczną fasadę. — Nie byłoby lepiej, gdyby brat Romuald wyszedł do mnie?

Nepomucen popatrzył pytająco.

— Nie chcę przeszkadzać. Wprowadzać zamieszania — rzekł szybko Enka. — No brat rozumie, jestem niewierzący.

Drzwi kościoła się otwarły, a słońce wysunęło się zza postrzępionej chmury. Z ciemnej bramy wyłoniła się drobna, wysoka postać i niemal chłopięcym krokiem zbliżyła do porucznika Enki, a Enka z początku nie wiedział, kto to.

— No proszę — ucieszył się — niech mnie, to dopiero niespodzianka.

— Szczęść Boże, panie poruczniku. Też cieszę się, że pana widzę — powiedział ksiądz Andrzej Gil.

\* \* \*

Andrzej Gil nic się nie zmienił – ta sama pociągła twarz, żywe oczy. Wciąż nie nosił sutanny, tylko szarą koszulę z koloratką i nieco za dużą, ciemną marynarkę. Brat Nepomucen odsunął się o krok, za to w stronę Gila i Enki szedł brat Romuald. Enka nie mógł stwierdzić, gdzie u brata kończy się habit, a zaczyna twarz.

— Myślałem, że ma pan dość księży na całe życie — zagadnął półgłosem Andrzej Gil. — Co pana sprowadza w to piękne miejsce?

— Może to i prawda — odparł Enka — ale dali mi odpust na ten jeden raz.

Brat Romuald kiwał kwadratową głową.

— Przeor mówił o wszystkim, ale może być kłopot. Ojciec Izydor właśnie odebrał poród. — Widząc zdziwienie na twarzy Enki, dodał szybko — krowa się ocielila i ojciec Izydor jest bardzo zmęczony.

Enka otworzył usta.

— Jaką sprawę ma pan porucznik do ojca Izydora? — zapytał natychmiast ksiądz Andrzej Gil. Słońce weszło za kolejną chmurę. Enka, nie bez wahania, wyjął dwa woreczki i zamachał nimi.

— Poproszono mnie, żeby zapytać o to ojca Izydora. Mam też pismo od pana Studnickiego. Do przeora — dodał bezradnie — mogę przyjechać jutro.

— Ojciec Izydor będzie zaraz na różańcu, prawda? — Gil zwrócił się do brata Romualda.

Romuald meł w palcach kosmyk brody.

— Będzie. Ma jeszcze dyżur w kuchni, a teraz pewno siedzi w refektarzu.

Gil skrzyżował dłonie za plecami.

— A może dałoby się tak zrobić, żeby pan porucznik poczekał w samochodzie, a ja wziąłbym te dwa drobiazgi i poszedł porozmawiać z ojcem Izydorem? — zasugerował. — Sam doprowadzę pana porucznika do bramy.

Brat Romuald wzruszył ramionami, powiedział, że owszem, i powędrował w stronę wejścia do klauzury. Brata Nepomucena też już nie było. Zza drzwi kościoła zabrzmiała modlitwa. Kameduli odmawiali różaniec.

Doszli do furty w milczeniu. Gil wyjął Ence woreczki z dłoni.

— Co to takiego?

— Ech... — westchnął Enka — dowód w idiotycznej sprawie. Taki jeden mądrała od nas namówił mnie, żebym zaniósł to temu Izydorowi. Po co, nie powiedział. — Rozłożył ręce. — Jak ksiądz doktor widzi, burdel u nas, jaki był.

— Naprawdę pan porucznik nie wie, kim jest ojciec Izydor? — Wystarczyło spojrzenie na zdezorientowaną twarz Enki i Gil poznał odpowiedź na swoje pytanie. — Ojciec Izydor jest jednym z najlepszych jasnowidzów w całej Polsce.

Enka zrobił dziwną minę: ni to smutną, ni to przejętą, ni przerażoną.

— Sam się zdziwiłem, ale był słynny w latach sześćdziesiątych, kiedy jeszcze nie był ojcem Izydorem. Pracował jako inżynier radiolog, zresztą razem z Stefanem Manczarskim, tym od radia. Współpracował z milicją, znajdował ludzi, żywych i martwych. Przedmioty. Skuteczność do dziewięćdziesięciu procent. Jeśli pan porucznik może się z nim spotkać, to ten mądrała, o którym pan porucznik wspomniał, to pewno Michał Studnicki.

— Proszę, proszę — wyrwało się Ence. Jego ręka krążyła przy kieszeni z papierosami.

— Pan porucznik pewno przyjechał tu swoim pięknym polonezem?

— Nie taki on już piękny — burknął Enka, wspominając zniszczony błotnik.

Gil wepchał dowody do kieszeni.

— To pan porucznik może w nim poczeka? — uśmiechnął się ksiądz Gil. — Ja porozmawiam z ojcem Izydorem.

Porucznik Enka wyglądał jak Atlas, któremu właśnie zdjęto świat z pleców.

— Dziękuję księdzu doktorowi. Niech ksiądz doktor powie, że jestem od Studnickiego, że Studnicki prosi, jest chory i...

— Studnicki, skoro pana porucznika tu przysłał, to na pewno zadzwonił — rzucił Gil, a Enka kiwnął na pożegnanie i pospieszył do furty.

Trzask drzwi za plecami powitał z ulgą. Oparł się o samochód. Zapalił camela i stwierdził, że erem widziany przez kłęby dymu z Pewexu jest nawet do zniesienia.

\* \* \*

Siedzieli naprzeciw siebie, przedzieleni stołem. Andrzej Gil i Izydor Pocieszka.



Stół, wielki i ciężki, napierał na szarawe ściany. Podłoga była ciemna, z bejcowanego drewna. Ciszy pilnowały masywne drzwi. Jedyne światło wpadało przez zakratowane okno. Izydor Pocieszka miał długą brodę, jak wszyscy kameduli, a od współbraci wyróżniał go mysi, pobrudzony habit i ogromne oczy, rozdzielone kartoflanym nosem. Między Gilem a Pocieszką leżały dwa woreczki zapięte na strunę. Obok stał emaliowany dzbanek z kompotem jabłkowym i dwa kubki. Andrzej Gil oparł łokcie o blat. Izydor Pocieszka dłonie swe opuścił.

— Przez kogo to przekazał? — zapytał Izydor Pocieszka.

— Przez oficera milicji. Mojego znajomego. Porządnego człowieka — odparł Andrzej Gil.

— Dobrze go poznałeś, skoro wiesz, że porządny?

— Poznałem go słabo, ale z najlepszej strony.

Wielka dłoń ojca Pocieszki owinęła się wokół kubka. Spod paznokci straszyl brud, przez skórę prześwitywały żyły. Izydor nachylił się w stronę Gila. Czarna pajęczyna oplatała oczy, broda zdawała się ciągnąć kąciki ust ku dołowi.

— On wie? — zagadnął Pocieszka. — Czy zna tę historię?

Andrzej Gil pokręcił głową:

— Studnicki musiał mu coś powiedzieć. Tak mało, jak mógł. Inaczej Enka by tu nie przyjechał.

— On czeka teraz?

— Acha. Możemy mu to oddać w każdej chwili.

Ojciec Pocieszka zgarbił się nad woreczkiem z fragmentem ubrania. Uniósł brwi, przejechał paznokciem po folii.

— Ja zawsze chciałem to zakończyć — szepnął. — Od dwudziestu lat to mąci mój sen. I teraz mogę — głos mu gasł. — Tylko czemu teraz, kiedy już jestem stary?

Andrzej Gil pomyślał, że wszystkim mnichom Srebrna Góra przyniosła spokój, z wyjątkiem Izydora Pocieszki. Cóż, niektórzy mieli gorzej. Po sprawie roku 1967 Michał Studnicki spędził dwa lata w pokoju, patrząc na drzwi bez klamki. Izydor wybrał klasztor, a prawdziwy powód znali tylko Gil i przeor. Ludzie, którym Izydor Pocieszka się spowiadał.

Ojciec Pocieszka zacisnął dłoń na zawiniątku. Zamknął oczy, a na jego szyi wystąpiły grube żyły. Twarz mnicha pobladła gwałtownie, ręka wczepiła się mocniej w materiał, Izydor sapnął, stracił oddech. W jednym momencie, zdawać by się mogło, cała krew nabiegła do brodatej głowy. Nawet powieki stały się czerwonosine, a Andrzej Gil nie mógł oderwać od nich wzroku, nie, nawet nie od powiek, ale gałek ocznych napierających od środka. Izydor wciąż nie oddychał,

zgarbił się nad stołem. Gil oprzytomniał, rzucił się na pomoc. I nagle, jak nożem uciął – zawiniątko znów leżało na blacie, a Izydor wyprostował się, gwałtownie wciągając powietrze.

Jego głos brzmiał jak odtwarzany ze starej taśmy:

— Zabił pięcioro. Dwie dziewczynki. Trzech chłopców. Dziewczynkę od Michała. Tak.

Ręka ojca Pocieszki wykonała nieokreślony ruch. Andrzej Gil włożył w nią kubek. Mnich pił, aż kompot pociekł na siwą brodę. Ile to już lat bez tego, myślał Andrzej Gil, dwadzieścia? Czy tutaj, w tym miejscu, choć raz czytałeś?

Izydor zapanował na oddechem, krew odpłynęła.

— Dobry Boże — rzekł Andrzej Gil — dobrze, że to już. Powiem, że...

— Nie — w głosie ojca Pocieszki zgrzytał brud — jeszcze to.

I stary mnich spojrział na zawiniątko z gliną, wzrokiem zaleczonego alkoholika, który po latach trzeźwości właśnie zamawia kielicha.

\* \* \*

Jak cicho. Ojciec Pocieszka oglądał glinę w słonecznym świetle, wodził opuszką po jej powierzchni, wysunął czubek języka. Nim Gil zdążył zaprotestować, nim zaprotestować zechciał, stare dłonie zacisnęły się na odłamku. Skurcz targnął ciałem ojca Pocieszki, w czerwonej twarzy ziały dwa białka bez źrenic. Ręce wystrzeliły w górę, wysoko – jedna zaciśnięta, druga rozwarta, trzepotały, drżała głowa i tors, ale ramiona pozostały nieruchome, jakby przybite do niewidzialnego krzyża. Ojciec Pocieszka stracił oddech.

*Kap, kap*, co dwie sekundy, Andrzej Gil patrzył, słuchał, nie mógł się ruszyć. Skąd woda kapie, jak nie ma kranu, może z okna cieknie albo z wywróconego kubka? Spojrział przerażony na zaciśnięte palce ojca Pocieszki. Z nadgarstka na stół kapwały ciemne krople. Rękaw habitu poczerwieniał aż po łokieć. Chmura zakryła słońce. Pociemniało.

Andrzej Gil wskoczył na stół, dopadł ręki Izydora. Szukał dojścia do zaciśniętych palców, chwycił, szarpał, na próżno. Złapał kubek, uszko było cienkie. Raz i dwa, powoli, pchał je pod zbiegające opuszki, nacisnął, pomógł sobie kciukiem. Dłoń mnicha się otworzyła, okruch gliny rąbnął o podłogę. Krew ochlapała twarz księdza Gila. Izydor wciąż się trząsł. W środku dłoni tkwił gliniany odłamek.

Ojciec Pocieszka wygiął się, złapał ciut powietrza, na koszulę księdza Gila poleciał strumień wymiotów. Andrzej Gil nawet nie spojrział, chwycił dzbanek z kompotem i gdy zacisnął rękę na uchu, ojcem Pocieszką szarpnął kolejny wstrząs, ciało wygięło się do tyłu. Polecieli razem, z ławą, Pocieszka na plecy, Gil na twarz.

Chude ciało mnicha podskakiwało na podłodze. Gil zdołał docisnąć prawą dłoń do ziemi, ochlapać resztą płynu z dzbana. Było ciemno jak w nocy, okno wydawało się całkiem czarne. Gil próbował wydobyć odłamek z drgającej dłoni, w końcu docisnął przedramię kolanem i energicznie przejechał po niej uchem od kubka. Odłamek potoczył się po podłodze.

Andrzej Gil chwycił go, odbił się od podłogi i dotarł do okna, zdawałoby się, jednym skokiem. Odłamek poleciał na trawę, a Gil zatoczył się i runął na powrót, obok ojca Pocieszki. Pocieszka patrzył półprzytomnie, oczy miał przekrwione. Chryste, on oddycha, szepnął w myślach Andrzej Gil, oddycha, dzięki ci Chryste.

Przetoczył się na plecy. Razem długo patrzyli w martwą żarówkę otoczoną kloszem.

Przez okno zaglądało słońce.

\* \* \*

Andrzej Gil siedział w polonezie i patrzył na pobladłego Enkę przy budce telefonicznej. Gdy zamykał oczy, wciąż widział krew i białe oczy ojca Pocieszki. W takich – i nie tylko w takich – chwilach wypiłby parę głębszych. Nie można pić przed świętami, ale i zaraz po świętach. Jeszcze miesiąc. Może trzy tygodnie. Enka, po drugiej stronie ulicy, trzasnął słuchawką i ruszył z powrotem. Omal nie wpadł pod fiata, ale nie zwrócił na to uwagi.

— I jak? — zapytał Andrzej Gil.

— Operują go pojutrze. Rozmawiałem z lekarzem, nim mi go dali. I lekarz powiedział — Enka zapalił, a Gil zakaszłał — że chłop jest silny jak tur. Wytrzyma.

Andrzej Gil uchylił szybę.

— To dobrze — powiedział.

Zapadła chwila milczenia.

— No cóż — Enka mówił ciszej niż zazwyczaj — nie rozmawiałem z nim zbyt długo. Ale głos miał równy. Chyba czuł, co się stało. Żał mi chłopca. To wszystko, ale... — otworzył okno z drugiej strony, skiepował na chodnik — to wariat, ale silny gość. Jak ksiądz doktor myśli? Takie rzeczy boją mniej po dwudziestu latach?

Z poloneza widzieli pętlę tramwajową na Salwatorze i drogę wznoszącą się łagodnie. Z tyłu, daleko, migają światła Alej Trzech Wieszców – albo i nie Alej. Enka otarł pot z czoła.

— Co z tymi dziećmi? — zapytał Andrzej Gil.

Enka gapił się w okno:

— Ano gównu, księżu doktorze. Identyfikują ciała, ale to potrwa. Wydaje się pewne, że to dzieci z sześćdziesiątego siódmego. Niedługo się dowiemy.

Niedopałek poleciał za okno. Enka przetarł twarz. Wyglądał, jakby walczył ze snem.

— Podwieźć gdzieś księdza doktora?

— Wie pan porucznik, gdzie jest Papieska Akademia Teologiczna na Franciszkańskiej?

— Wiem gdzie jest Franciszkańska — burknął Enka, zapalił silnik i ruszył z piskiem opon. Pomknęli pustoszejącą Kościuszki, a mijane latarnie gasły jedna po drugiej.

\* \* \*

Co się stało?, pomyślał porucznik Enka, otwierając oczy. Widział niedokładnie, jakby powieki zarosły mu mleczną pajęczyną. Czuł za to z podwójną siłą, zdawało mu się, że głowa zaraz pęknie albo się rozsypie. Gardło paliło od fajek. Z trudem odkleił język od podniebienia. We mgle widział porozrzucane szmaty i polnopodobne kwiatki w przygotowanym naprędce wazonie. Enka przetoczył się po łóżku, stopy opadły na podłogę. Wciąż otulony kołdrą, wyszarpnął kwiaty i cisnął w kąt. Przywarł ustami do wazonu. Pił.

— Może herbaty, Zbysiu?

Enka przetarł oczy. W drzwiach pokoju, oparta o framugę, stała Anka. Naga, jeśli nie liczyć koralików schodzących bursztynowym klinem między drobne piersi. Z góry rozczochrana, wygolona w dole, patrzyła na półprzytomnego porucznika Enkę i przypominała mu damkę w szachach – krągości gdzie trzeba, biała, gładka.

— Eee — powiedział porucznik Enka.

Zadzwoił telefon. Enka, nagi jak na Sądzie Ostatecznym, pokuśtykał i podniósł słuchawkę. Ten głos poznałby nawet na dnie piekła.

— Jak ja cię kocham, Grula — sapnął — ciebie i twoje wyczucie chwili.

Dostrzegł, że lewą kostkę Ani oplata cienki łańcuszek. Od łydki pojechał w górę, przez kolano i dalej. Nagle złość mu przeszła. Na Grulę. Na kogokolwiek.

— Zbyszek, pakuj się i zaiwaniaj na Czarnowiejską, na ten placzyk, co jest przedszkole. Spotkamy się za piętnaście minut. Nie ziewaj, nie kręć nosem. Chłopie, jest środek dnia.

Enka usiadł pod ścianą, aparat oparł na włóchatym brzuchu.

— Gula, ja przecież mam urwanie głowy. Wiesz, ile jest tych papierzysk? Raport, i to wstępny dopiero, trzeci dzień siedzę. Dwa, trzy dni temu dzień mi szedł przez Studnickiego, więc...

— Weź nie kombinuj tu z raportem ani ze Studnickim. W przedszkolu capi tym trupem z muzeum.

— Jak Himler go tam zaniósł, to niech zabierze. Albo niech przyjdą nasi milusińscy, mają parę metrów — wypalił Enka, mając na myśli pracowników pobliskiej centrali Urzędu Bezpieczeństwa.

— Do ciebie dziś trzeba wołami, kurwa mać, Zbysiu. Dziecko zginęło z przedszkola. Rzecz kręci się na nowo, Zbychu, i mam nadzieję, że ty coś z tego zrozumiesz, bo ja nic nie wiem.

Enka westchnął i odłożył słuchawkę, jakby ważyła więcej niż wszystkie grzechy świata. Podniósł się ciężko i chwiejnym krokiem dotarł do dziewczyny. Ta miękko odbiła się od futryny, stanęła na środku przejścia. Enka osunął się na kolana, przycisnął czoło do jej pępka, wtulił twarz najmocniej, jak umiał. Dziewczyna delikatnie zanurzyła palce w jego włosach, dotknęła karku, płynnym ruchem wypięła biodra, ścisnęła udami uszy porucznika Enki.

Mógłby tak trwać godziny i lata w ciepłej ciemności, czuć ten szczególny zapach młodości, chłonać wilgoć. I nagle stanął przed Anką, ucałował w policzek, wysliznął się i zniknął w łazience.

Minutę później znów stali naprzeciw siebie, Anka zdziwiona, Enka przejęty. Spróbowała podejść. Nachylił się, pocałował, tym razem w usta. Krótco, za krótco, pomyślał.

— Zaraz wrócę — szepnął — zrób herbatę. Niech nie wystygnie.

Kurtkę założył już na korytarzu.

— Enka, ty chuju! — zabrzmiało zza zamkniętych drzwi.

\* \* \*

Taaa, pomyślał porucznik Enka, a to Polska właśnie. Stał na placu, pośród kwiatów, kolorowe głowy róż, tulipanów i chryzantem nachylały się w jego stronę. Przez plac walił szarobury tłum, wylewał się błotnistą strugą od ulicy Lea i wciskał między pofałdowane dachy z eternitu oraz długie stoły z rozrzuconym badziewiem spożywczym, ocierając się przy okazji o Enkę. Ten sunął pośród ciżby, wciąż półprzytomny, zmęczony i pewno pijany. Patrzył na opakowania gum: turbo, donaldów i węgierskich „kulek”, soki winogronowe w kartonach, puszki z owocami, ale dopiero przy budce z hot dogami zorientował się, że jest również głodny.

Za szybą, w ciemnej jamie, mignęła pomarszczona twarz. Nie potrafił określić wieku kobiety. Trzydzieści, sześćdziesiąt lat? Miała białobłękitny, paskudny fartuch i czerwoną chustę, w której wyglądała jak upiorna wersja Axela Rose.

— Jednego z musztardą — poprosił porucznik Enka. Staął, oparł łokcie o ladę i patrzył na matki odciągające dzieci od wystaw ze słodyczami. Ludzie byli szarzy jak koty na deszczu, wystawy w miarę kolorowe. Enka odebrał hot doga i omal nie odcisnął go na odświętnym futrze czterdziestolatki, która w towarzystwie łysego małżonka niosła wiązanki kwiatów. Wydukał przeprosiny i spojrzął na swoje śniadanie. Beżowa kiełbaska leszczyńska sterczała z bułki kajzerki, okrągłej jak księżyc w pełni i skropionej wodnistą musztardą. Enka otworzył usta, ale nie ugryzł.

— Może mi pani powiedzieć, co to takiego?

— Nie ma bagietek — głos dochodził z głębi budki. Kobieta skryła się w ciemności. — Trzeba było pytać, to bym powiedziała. I trzeba było patrzeć, jak robię, to bym nie robiła.

Enka wzruszył ramionami i opuścił plac. Dopiero gdy zostawił tłum za sobą, ugryzł kiełbasę. Z początku nawet mu smakowała, aż dotarł do lodowatego środka bułeczki. Śniadanie poleciało pod mur, a Enka zaklął tak głośno, że pijaczki mordujące się z plastikowym korkiem podwracały głowy.

Jeszcze nie zapomniał o tłumie za plecami, a już pchał się w następny. Wokół przedszkola kłębiła się chyba setka ludzi, głównie rodziców i opiekunów. Pojawiło się starsze rodzeństwo. Stały trzy samochody milicyjne i czwarty na normalnych numerach. Brzmiał gwar: ojcowie krzyczeli coś o niekompetentnych osłach albo i gorzej, matki wtórowały: żule się wokoło kręcą i nikt nic z tym nie zrobił, alkohol, butelki się walają i wiadomo wreszcie, jak cholerna władza rozkłada swoje cholerne kompetencje. Panowie z budynku obok albo nie raczyli podejść, albo już byli w środku.

Enka przeciskał się przez tłum i zobaczył zatroskanego Grenia w towarzystwie szarej kobieciny koło sześćdziesiątki. Kobiecina – dyrektorka przedszkola, jak się Enka trafnie domyślił – mówiła całym ciałem, a Greń tylko kręcił głową, marszcząc bez przerwy swój ogromny nos. Zasalutował, a Enka sapnął. Ledwo przeszedł przez bramkę, a tłum naparł. Enka zamknął ją za sobą z trudem.

Greń bezradnie rozłożył ręce.

— Zaraz będziemy wyprowadzać dzieci — zawołał donośnie Enka — alfabetycznie! To znaczy zaczynamy od „A”. Obywatele się ustawiają! Tylko raz-raz, chyba że wszyscy chcą stać tu do nocy.

Ludzie ruszyli z pomrukiem, ci z tyłu chcieli dostać się na przód, a ci z początku – do środka. Tylko trzydziestolatek w koszulce polo zrobił zawstydzoną minę,

jakby nie umiał sobie przypomnieć własnego nazwiska.

— A jak ktoś się nazywa inaczej niż dziecko?

— Powiedz mu coś, Greń — rzekł Enka — proszę cię, jak nigdy. Powiedz mu coś.

I młody milicjant Robert Greń udzielił odpowiedzi.

\* \* \*

Na pomarańczowych ścianach w korytarzu wisiały rysunki dzieci, wyklejanki z żółknących liści, portrety Zająca Poziomki z Wiewiórką oraz przerażającego niedźwiedzia o wściekle czerwonym futrze, którego imię Enka bałby się nawet poznać. Zwierzątka zachęcały dzieci do mycia zębów. Przy schodach na półpiętro straszył ogromny, spróchniały ząb wielkości byczej głowy. Nad szerniałym bokiem nachylały się szczypce. Ząbek miał oczy i łzy w tych oczach. Wiedział, że nie ma dla niego żadnej nadziei.

— Gdzie są wszyscy? — zapytał Enka.

Dyrektorka szła krok za nim.

— Dzieci daliśmy do trzech sal na piętrze. Milicjanci ich pilnują. A państwo Nochalowie, rodzice Ewelinki — wyjaśniła — są u higienistki. Matka zasłabła.

W drodze na piętro mijali kolejne wyklejanki, poświęcone dbaniu o przyrodę i własne zdrowie, jakby w życiu były istotne tylko zęby i ściółka. Skręcili na lewo. W wyłożonej zielonym linoleum sali siedziało kilkudziesięciu malców, między którymi krążyły zaaferowane przedszkolanki. Mundurowy usiłował pocieszać dziewczynkę z muchomorkiem wyhaftowanym na sukience, a pośrodku stał zadowolony z siebie Gula i pokazywał dzieciom, jak macha się pałką.

Enka skinął mechanicznie dziewczynce i zapytał Grulę, czy znajdzie przypadkiem chwilkę. Dyrektorka wśliznęła się do sali. Gula wyszedł na korytarz. Napis za jego plecami głosił:

„Każdy w naszym przedszkolu, kto jest mądry i wesoły  
Będzie grzeczny oraz pilny, żeby potem pójść do szkoły”.

— Powiesz mi teraz, co tu się wyrabia? — zagadnął Enka.

Gula odłożył pałkę na parapet.

— Widzisz tę małą? — wskazał kciukiem na dziewczynkę z muchomorkiem.

Enka skinął głową.

— To Hania. Ledwośmy sobie z nią poradzili. Dzieci poszły na spacer i ona nawiała z taką drugą. Z Ewelina Nochal, tą, co przepadła. Poszły lizać spadź z liści. Podobno jest słodka.

— Gdzie to się działo?

— W parku Jordana. A co, wiesz coś o tym?

— Mów dalej.

— No i Hania weszła na drzewo, a Ewelina została na dole. W ogóle nie możemy się z nią teraz dogadać. W każdym razie — opowiadał Gula — Hania była na drzewie, a Ewelinka pod drzewem. Usłyszała hałas...

— Hania?

— No, Hania. I Hania widzi faceta, który niesie Ewelinkę pod pachą, jak jakiś toboł, a Ewelina się nie rusza. Nie umie opisać tego gościa, widziała tylko plecy i zielony motor z przyczepką, którym odjechał. I słuchaj, Zbyszek, dalej, facet jechał jak wariat i drogowi prawie go mieli. Gonili go po całych Alejach. Sukinsyn, omal baby na pasach nie przejechał, zrobił kraksę przy Jubilacie, potem gdzieś skręcił i nim się nasi połapali, zniknął.

— Nie złapałoby go, nawet gdyby wpakował się w worek i doturlał na posterunek — mruknął Enka. — I co, tak wsiąkł po prostu?

— Nie całkiem — Gula gapił się za okno — znaleźli sam motor przed antykwariatem na Sławkowskiej. Baba stamtąd twierdzi, że widziała plecy faceta z jakimś tobołem. Tyle. Motor mamy.

— Może zapisz się na jakiś kurs? Sprawdziliście numery? Co z odciskami? A w ogóle to długo tu chcesz wszystkich trzymać?

Gula wzruszył ramionami.

— To może mi chociaż powiesz, czemu mnie tu ciągasz? — złościł się Enka. — I co to, do cholery, ma wspólnego z historią z muzeum? Nie chcesz powiedzieć, że... — szukał słów. — Przecież jest teraz cała masa zboczeńców. Lepiej nie komplikować sobie życia, co? Więc...

Gula tylko poklepał go po ramieniu.

— Wrześnieewski! — ryknął. — Cho no z tym co mamy!

Minutę później Wrześniewski – tęgi milicjant o czerwonej twarzy – wspinał się po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Targał ze sobą worek z przypiętym numerem.

— Było w przyczepie do motoru — wyjaśnił Gula. — Gość się spieszył i tego nie zabrał. Wrześniewski, pokażcie teraz panu porucznikowi, co dobrego znaleźliśmy.

Wrześniewski wygrzebał bańkę na mleko.

Na aluminium wydrapano znaki.



— Dokładnie jak te z muzeum — rzekł Gula w absolutnej ciszy — dokładnie. Prawda, Zbyszku?

\* \* \*

— Zupełnie nie wiem, co mam robić. Przecież mówię szczerze, jestem w rozpacz. Poważnie. Jakby mnie ktoś za sznurki ciągał. Trzecią noc nie spałam, a myślę, słuchaj, cały czas. Ona zje i wymiotuje. Jeszcze ostatniego kęsa nie prześle, a tutaj już i zaraz płacze. Bo wstyd. Wychudła, wybladła i wciąż to samo. Najpierw za brzusek się łapie, a potem zaraz krew odchodzi z główki i słyszeć takie „kha, kha” jakby papierek w gardle siedział...

Enka nie wiedział już, czy kobieta mówi przez telefon dziesięć minut, czy tysiąc lat. Przypomniał sobie budki w Niemczech Zachodnich, gdzie za wrzuconą monetę można było rozmawiać najwyżej trzy minuty, i najpierw pomyślał, że to dobre rozwiązanie dla Polski, ale zaraz uświadomił sobie, że każda baba nosiłaby ze sobą siatkę pełną monet.

Nie był już głodny, nie miał kaca, nie chciał pić. W powietrzu wisiał niewidzialny ciężar. To prawda, dwie sprawy splotły się ze sobą, jakby dzielił je dzień, a nie dwadzieścia lat. A on, Enka, nic nie wiedział, niby coś się działo, ale poza nim. Niby miał nowe fakty, a prowadziły donikąd. Coś ciągnęło Enkę od muzeum do przedszkola, przez Srebrną Górę. Enka rozumiał, że odpowiadając na ciosy, do niczego nie dotrze.

Czas samemu zacząć pytać.

Wcisnął się między aparat a kobietę ze słuchawką. Zamachał legitymacją.

— Proszę kończyć — huknął — rozmowa służbowa.

Kobiecina zgarbiła się, odwiesiła słuchawkę i odmaszerowała niemal żołnierskim krokiem. Enka wybrał numer szpitala przy Prądnickiej. Odebrał mężczyzna. Mówił łagodnym, wysokim głosem. Jak ksiądz.

— Porucznik Zbigniew Enka, Milicja Obywatelska. Poproszę z kapitanem Michałem Studnickim.

Tę kwestię powtórzył trzykrotnie.

— Pan Studnicki dziś będzie operowany — powiedziała jakaś kobieta, gdy wreszcie połączyli go z kardiologią — ale powiedział, że należy go nawet spod noża wybudzać, jeśli pan zadzwoni. Powiedział — dodała z wyrzutem — że jak nie posłuchamy, to będą problemy.

Brzmiało to, jakby Enka miał się poczuć winny.

Głos Studnickiego wydawał się spokojny, dziwnie melodyjny i chyba nie mógł należeć do kogoś, kogo zaraz potną na stole operacyjnym.

— Co tak późno, panie poruczniku?

To dla ciebie jest już za późno, mruknął w myślach Enka i zrelacjonował wydarzenia ostatnich kilku dni. Ze słuchawki dobyło się westchnienie.

— Jeszcze raz powtórzę. Bardzo mi smutno, że nie mogę pomóc w takiej sytuacji. Ale niech pan się nie boi. Pomoc pan otrzyma, i to ze strony, z której by pan nie podejrzewał.

Enka zastanawiał się właśnie, czy złożyć wyrazy współczucia z powodu wnuczki. Uznał, że lepiej nie.

— Zaraz muszę iść, panie poruczniku. I niewiele mogę powiedzieć. Nic konkretnego. Wiem, po co pan dzwonił — oddech Studnickiego był płytki, nierówny — pan jest dobrym milicjantem. Nigdy nie będzie pan tak dobry jak ja.

— Dziękuję bardzo, panie kapitanie.

— Bo dla pana liczy się nie tylko sprawa. Pan dla niej nie umrze — sapał Studnicki. — To dobrze, to bardzo dobrze, bo może pan będzie dla sprawy, jednej, drugiej, żył. Nie będzie pan tak dobry jak ja — powtórzył — jednak nie ten zmysł. Ale to pan ma szansę być kimś więcej niż maszyną. Przeżuwaczką dowodów. Elektrycznym pastuchem. Niech pan nie zrobi mojego błędu.

— Uhm — rzekł porucznik Enka.

— Ta sprawa nie jest dla maszyny, dla człowieka, który jest maszyną. Ją rozsupła taki człowiek jak pan. Jeśli... — zakaszłał. Enka miał wrażenie, że Studnicki płacze — jeśli będzie miał pan odwagę i przyjmie tę pomoc. Niespodziewaną. Niech pan uwierzy temu człowiekowi. Niech pan nie popełni mojego błędu. Zresztą, po co to mówię. Na pewno mu pan uwierzy.

— Bardzo dziękuję za te słowa — wydukał skołowany Enka. — Może coś bliżej?

— Muszę iść — rzucił Studnicki i trzasnął słuchawką. Enka wymamrotał przekleństwo, zapalił i zaklął ponownie. Włożył camela odwrotnie, niż powinien. Ułamał filtr. Odszedł od budki, a ludzie, których mijał, wydawali się bliźniaczo podobni.

\* \* \*

Świat zmienił się wokoło, jakby owinać go folią. Albo inaczej, Enka miał wrażenie, że otaczają go czarne ściany, na których, z miliona niewidocznych projektorów, ktoś tajemniczy i zły wyświetla tynk, brud, drzwi, wizytówki. Tak

samo schody, zdawały się drzeć przy każdym kroku. Enka przystanął, dotknął swojej twarzy. Nabrał dziwnego przekonania, że ręce nie należą do niego. Teraz im rozkazuje, bo z kaprysu oddały mu się na służbę, lecz kiedy zaśnie, podniosą bunt. Wydrapią oczy. Urwą język.

Szedł chwiejnie i zderzył się z sąsiadem. Wymienili spojrzenia, sąsiada aż otrzepało i podreptał dalej. Enka obejrzał się, odprowadził wzrokiem opakowanie po człowieku. Dosyć, pomyślał, mając przed oczyma stosy dokumentacji i słysząc słowa Studnickiego, niech się dzieje co chce. Trzeba mu było odpoczynku. Butelki wódki. Głębokiego snu.

Klucz zachrzącił w zamku i Enka, w pierwszym odruchu, przeraził się, że pomylił mieszkania. Takie rzeczy zdarzają się w fabrycznie wstawianych zamkach, jeden klucz otwiera kilka drzwi. Ale Enka miał specjalny zamek, sprowadzony z Niemiec i zamontowany za ciężkie marki. Czyli drzwi jego. Co za nimi – już nie.

Ze zlewu zniknęły sterty kubków – stały teraz w rzędach na, również wyczyszczonym, ociekaczu. Podłogę doszorowano, przez umyte okno wlewało się słońce. Kawę przesypano z torebek do słoików, cukier – zamiast w filiżance – stał w cukiernicy, której pochodzenie pozostawało dla Enki tajemnicą. Bał się otwierać szafki nad zlewem. Minął łazienkę (brudne półkole wokół klamki przepadło) i wszedł do pokoju.

Enka aresztował kiedyś niedoszłego samobójcę, który próbował rzucić się z wiaduktu na trakcję wysokiego napięcia. Ów człowiek – emerytowany profesor chemii – miał w torbie dłonie swojej żony, odcięte, jak okazało się później, za pomocą piłki do metalu. Już w samochodzie Enka zadał mu pytanie, dlaczego to zrobił. „Ten świat nie jest prawdziwy — padła odpowiedź — gdyby był, Bóg by mnie powstrzymał. Panie poruczniku, ten świat nie jest prawdziwy”.

— Ten świat nie jest prawdziwy — wyrwało się porucznikowi Ence. Patrzył na błyszczący blat stołu z kwiatkami pośrodku, odkurzoną podłogę i szafę, którą zostawił otwartą i w której – jak się domyślał – ubrania leżały poskładane w kostkę. Zza ściany dobiegał złowieszczy stukot pralki. Na wyprasowanej pościeli, otulona wyprasowaną kołdrą leżała Anka. Wysunęła nogę, łańcuszek błyszczał. Uśmiechała się, słysząc słowa porucznika.

— Och — rzekł szybko Enka — nie na zajęciach?

Przez twarz Anki przemknęło rozczarowanie.

— Dziś tylko dwa wykłady. Nie sprawdzają obecności. Notatki pożyczę — wyrecytowała.

— Właściwie to powinienem ci podziękować — powiedział pojednawczo Enka, który właśnie myślał, że po to zrobił zamek na zatrask, żeby kobiety wychodziły,

gdy znudzi im się czekanie. Rozejrzył się bezradnie. Anka wstała, była naga. Zabrzmiało pukanie.

— Wlazł — ryknął Enka i natychmiast ugryzł się w język. Anka dotarła już na środek pokoju i Enka rzucił się w stronę drzwi, ratować sytuację. Za późno. W drzwiach, pod ciężarem książek, ugiął się ksiądz Andrzej Gil.

— Przechodziłem akurat — wysapał — mam parę informacji. Dzwoniłem wcześniej, a to ważne, a ten pana porucznika przyjaciel...

Urwał, bo dostrzegł Ankę, nagą jak, nie przymierzając, pod Drzewem Wiadomości Dobrego i Złego.

— Niech będzie pochwalony — wybełkotała Anka.

Na twarzy księdza Gila malowało się wszystko prócz zgorszenia. Ostrożnie odłożył książki na szafkę z butami.

— Teraz i na wieki — odpowiedział.

\* \* \*

Siedzieli we dwóch, ksiądz Andrzej Gil na krześle, porucznik Zbigniew Enka na brzegu rozbebeszonego łóżka. Enka, który wygrał bitwę z zaciętymi drzwiczkami od barku, toczył kolejną, usiłując otworzyć butelkę bułgarskiego koniaku Słoneczny Brzeg.

— Czy to prawda, że księża piją, tak jak słyszałem? — zagadnął Enka. Zmagania zakończyły się sukcesem. Przyszykował koniakówki.

— Niewiele mi o tym wiadomo, panie poruczniku — przyznał Gil. — Ja nie powinienem, ale chętnie się napiję. Przepraszam jeszcze raz za najście. Przyszedłem z czymś, o czym sam nie wiem, co myśleć.

Enka napełnił kieliszki i zatroskany patrzył, jak ksiądz chwyta swój od dołu i kołysze, rozprowadzając koniak po ściankach. Pewno będzie się z tym do nocy kokosił, pomyślał i w tej samej chwili Gil stuknął się z nim energicznie i wypił wszystko jednym haustem. Enka popatrzył ze zdziwieniem.

— Myślałem, że to ja tu się będę modlić nad kieliszkiem — rzekł Andrzej Gil i Enka wypił posłusznie. Napełnił kieliszki od nowa. — Czemu pan porucznik wyprosił Anię? — zapytał Gil, bełtając koniak. — To taka miła dziewczyna.

— Nie wiedziałem, że się znacie — Enka był wyraźnie zbity z tropu. Starczyło mu sił na złośliwy uśmiech.

— To nie tak, panie poruczniku — głos Andrzeja Gila był czysty, pełen miodu. — Ania to jedna z najbardziej aktywnych działaczek duszpasterstwa akademickiego. Czasem nawet się u mnie spowiada.

\* \* \*

— Widzę, że ksiądz doktor przyniósł do mnie całą bibliotekę — mruknął Enka znad kieliszka. Nie siedzieli dłużej niż dwadzieścia minut. Słoneczny Brzeg był w połowie pusty, a w połowie pełny.

— Przyszedłem prosto z wykładów.

— Ksiądz doktor wyklada czy słucha? — wypalił głupio porucznik Enka.

— Wolałbym słuchać. Kończę habilitację. I stąd nadwerężam nie tylko głowę, ale i kręgosłup.

Tytuły na grzbietach niewiele Ence mówiły. Stuknęli się, wypili, Enka napełnił kieliszki.

— Właściwie, to co ksiądz wyklada? O czym będzie ta habilitacja? — spytał uprzejmie Enka.

Andrzej Gil uśmiechnął się szeroko:

— Zajmuję się między innymi językami bliskowschodnimi. Tymi starymi, panie poruczniku. Mam na myśli głównie starohebrajski, aramejski, edomicki, moabicki. Takie tam, panie poruczniku.

Enka smętnie pokiwał głową, wyciągnął dłoń po kieliszek i nagle zastygł, z cudacznie rozdziawionymi ustami. Przez moment był zupełnie nieruchomy, tylko jego oczy robiły się szersze i szersze. Coś spięło się w nim, jakby każdy mięsień pociągnąć do środka.

— Niech mnie cholera, księżo doktorze.

Zakręcił się po pokoju, omiótł wzorkiem półki, dywan koło łóżka i wymamrotawszy, że cholerna parafianka mogłaby chociaż nie ruszać papierów, zabrał się do otwierania szuflad. Teczki z muzeum znalazł w trzeciej. Opadł na krzesło naprzeciw księdza. Rozsupłał tasiemkę. Wyłożył zdjęcia sześciu baniek na mleko.

— Technik, nasz technik, mówił, że to jakiś starożytny język. Tutaj, na tych bańkach. Nie wiedział jaki, po prawdzie, myślałem, że się chłopu roi. — Podsunął Gilowi zdjęcia. — Może ksiądz doktor wie coś na ten temat?

Andrzej Gil zmarszczył brwi. Napił się, nawet nie patrząc na kieliszek. Bursztynowa kropla spadła na zdjęcie. Mechanicznie starł ją palcem.

— Aha — szepnął — ciekawa sprawa. Skąd pan porucznik to ma? Nie spodziewałem się, że ktoś, współcześnie... No bo to amonicki — zatoczył dłonią koło — jakieś wpływy starohebrajskiego w liternictwie. Dziwne. Żeby tak teraz? Widziałem... — Podrapał się w czoło, chciał odstawić kieliszek.

— Eee... — ostrzegł Enka, bo ręka księdza Gila gotowała się do postawienia kieliszka pół metra za blatem stołu. Ksiądz spróbował się rozeźmiać. Spomiędzy swoich książek wydobyl szarą teczkę. Otworzył.

— Chciałem powiedzieć, że to niemożliwe, a jednak — szepnął. Na stole znalazł się folder szary jak polska jesień. — To dokumentacja z wystawy poświęconej starożytnej Syrii. Widziałem... tak — rzekł mocno — to tutaj.

Wskazał na sześć dużych zdjęć waz glinianych.

Na każdej, pośrodku, widniał napis, uderzająco podobny do tego z butli na mleko. Te same ostre litery, ten sam krój. Te same słowa.

— „Moloch zsyła” — wyszeptał ksiądz Andrzej Gil — te wazy. Panie poruczniku, ma pan jeszcze koniak?

Enka nalał. Gil wypił haustem.

— Mam nadzieję, że ma pan jeszcze butelkę — powiedział — nie powinienem już... to znaczy, chcę powiedzieć, że nie powinienem pić, nie że teraz. Tak ogólnie nie powinienem — mówił dalej, a Enka już otwierał barek, zerkając na Gila. Ten zaś szeptał — ale dziś chyba trzeba. Wie pan porucznik, co to za wazy? To wazy z ofiarą całopalną. — Przełknął ślinę. — Tam w środku, panie poruczniku, są spalone dzieci.

\* \* \*

Porucznik Enka skończył. Opowiedział szczegółowo o tym, co znaleźli w muzeum, a gdy opisał nieszczęsnego Grenia, Andrzej Gil prawie się uśmiechnął. Enka wspomniał o rozmowie z Himlerem i pokrzepiony szybkim kieliszkiem, zrelacjonował wydarzenia w przedszkolu. Wreszcie osunął się na oparcie krzesła. Niedbale uchylił okno i wydmuchiwał dym prosto w wiosnę.

— I chyba wszystko już księdzu opowiedziałem — patrzył na wciąż rozbebeszone łóżko — znaczy, wszystko o tej sprawie. Tu są akta — wskazał na teczkę. — Może je ksiądz przeczytać. Nauczyć się na pamięć. Powinniśmy mieć ekspertyzę tamtej bańki z przedszkola. Porównaj ją z tymi z muzeum. I niech mi ksiądz doktor poradzi, jak ja mam iść do jednego bęcwała z drugim i kazać porównywać te bańki ze starożytną wazą?

— Każdy ma swój krzyż, panie poruczniku.

— Serdeczne dzięki — wyszczerzył się Enka. — W porządku, ksiądz doktor wie to, co ja. Teraz doprawdy nie mam pojęcia, jak ksiądz to robi, niech ksiądz coś powie. Ale coś takiego, nie wiem — cisnął niedopałek za okno — żeby to zaczęło się składać. Bo ja już nic nie rozumiem.

Ksiądz Andrzej Gil wodził palcem po brzegu kieliszka, zerkając raz w bursztynową toń, raz na porucznika Enkę.

— Dlatego tu przyszedłem — zaczął — aczkolwiek nie wiem, czy to, co powiem, uzna pan porucznik za wyjaśnienie. Chciałbym zacząć — otarł czoło — od czasów, kiedy ojciec Izydor Pocieszka nie był ani ojcem, ani Izydorem.

Enka zrobił minę, jakby nie wierzył w istnienie tak dawnych czasów.

— Kojarzy pan porucznik Stefana Manczarskiego?

— Coś mi dzwoni. Coś z radiem.

— I dobrze, ale nie tylko. W każdym razie w latach pięćdziesiątych u Manczarskiego pracował doktor Grzegorz Pocieszka. Musi pan porucznik wiedzieć, że radio należało do tylko jednego obszaru zainteresowań naukowych profesora Manczarskiego. — Andrzej Gil uderzył w ton wykładowcy akademickiego. — Prowadził eksperymenty z przekazem telewizyjnym, jeszcze w latach dwudziestych. Odkrył chorobę mikrofalową. To rodzaj schorzenia będący udziałem radiotelegrafistów. Interesował się również psychometrią od strony z lekka psychotronicznej. To znaczy — Andrzej Gil spojrzął w puste oczy porucznika Enki — mam na myśli szczególne zdolności, dzięki którym można określić losy przedmiotu przez sam dotyk. Albo znaleźć jego właściciela. Jeśli ktoś ze zdolnościami psychotronicznymi znalazłby na śmietniku naszą butelkę, mógłby powiedzieć, w jakich okolicznościach została opróżniona. Historia butelki „osadza się”, na jej powierzchni, dosłownie jak brud, w pewnym stopniu zresztą nim jest. Szczególnie silne energetyczne zjawiska, takie jak śmierć czy przerażenie, zapisują się w samej strukturze przedmiotu.

Porucznik Enka zrozumiał, o co chodzi Andrzejowi Gilowi. Stuknęli się i wypili. Andrzej Gil pod wpływem alkoholu gadał płynnie i do rzeczy, nie chwiając się i nie pocił. Tylko od czasu do czasu na czoło występował mu pot, jakby księdza doktora owiewała fala gorąca.

— Grzegorz Pocieszka był największym talentem odkrytym przez Manczarskiego. Potrafił znajdować ludzi na odległość, opowiadać ze szczegółami o losach, powiedzmy, portfela albo książki. Współpracował z milicją obywatelską przy wykrywaniu szczególnie okrutnych zbrodni. Przyjaźnił się z kapitanem Studnickim. Aż, wczesną wiosną 1968 roku, stało się coś złego.

Studnicki o tym wspominał, pomyślał porucznik Enka.

Oczy księdza Gila wodziły za papierosem, jakby sam chciał zapalić.

— Pocieszka wstąpił do klasztoru i stał się bratem Izydorem. Przyjęli go bez problemu, bo, jak mówią, zajmował się w domu teologią, a po prawdzie to człowiek, który zna się na elektryce, potrafi naprawić niemal wszystko, słowem

skarbu dla każdego zakonu. Zresztą Pocieszka był gwiazdą w latach sześćdziesiątych i przejmując go — Gil uśmiechnął się bez wesołości — Kościół zgarnął sobie punkty.

— Klasztor. Cóż, niektórzy trafiają gorzej — przypomniał Enka, mając na myśli paskudny los Studnickiego.

— Wydaje mi się, że Pocieszka znalazł spokój w klasztorze, a przynajmniej miał go do niedawna. Aż pan porucznik przyszedł z wizytą. To nie pana wina. Sam ojciec Izydor powiedział, że nie można było tej sprawy lepiej rozegrać. — Andrzej Gil napił się i wrócił do opowieści. — Rzeczywiście, najpierw brat, a później ojciec Izydor okazał się cennym nabytkiem dla klasztoru. Nie tylko naprawiał. Zajął się hodowlą. Krzyżował krowy. Włączył w tę akcję kilkunastu proboszczów z całego województwa i odniósł sukces. Gdyby to władza ludowa takie krowy wyhodowała, trąbiliby o tym, panie poruczniku, nawet na Kubie. A to były kościelne krowy, są zresztą do dzisiaj, dają dwa razy więcej mleka i powiem jeszcze panu porucznikowi, że jak Pocieszka skończył, to krów było o osiem więcej w klasztorze i żadnej nikomu nie brakowało.

— No, no. Krowi cudotwórca. — Enka napełnił koniakówki. W jego głosie zabrzmiała nutka zaciekawienia — jak można robić takie rzeczy?

— Tajemnica spowiedzi — odparł natychmiast ksiądz Andrzej Gil.

— Czasem to może być kula u nogi, nie? — zagadnął Enka, który wyrobił już sobie opinie o talencie Gila do pakowania się w kłopoty.

— Może, ale nie w naszej sprawie. Mówimy o zaginionych dzieciach, a nie krowach — przypomniał Andrzej Gil — a tu sam ojciec Pocieszka powiedział, żebym do pana porucznika przyszedł. Powiedział, co zobaczył, gdy dotknął, gdy odczytał dowody od pana porucznika.

— Dowody od Studnickiego.

Andrzej Gil posmutniał. Kieliszek, który już wędrował do jego ust, wylądował na stole.

— Teraz to są dowody pana porucznika — powiedział. — Wiem, że Studnicki mówił panu porucznikowi o intuicji. Wierzył, tak jak ja wierzę, że pan porucznik się nią pokieruje. Tylko pan może, bo zdaniem Pocieszki, Studnicki umrze podczas operacji. Po prawdzie już nie żyje.

Porucznik Enka przesłał Gilowi badawcze spojrzenie. Zacisnął usta i, z papierosem w ustach, wybrał numer do szpitala przy Prądnickiej. Długo czekał na połączenie. Przedstawił się. Zapytał. Po chwili słuchawka powędrowała na widełki.

Enka mówił przez zaciśnięte zęby, jego słowa brzmiały jak oskarżenie.



— Mimo zastawek, a może przez te zastawki... ledwo go zdjęli ze stołu, to umarł. Zawał. Trzask, prask, po chłopie. Rozmawiałem z nim jeszcze parę godzin temu.

\* \* \*

Siedzieli na podłodze, za oknem sunęły popołudniowe chmury. Światło z gołej żarówki padało wprost na książki, pootwierane, rozrzucone na podłodze, na butelki puste i pełne oraz dwie pary kieliszków. Enka siedział po turecku, a Gil opierał się o szafę, nogi rozsunął szeroko. Kręcił nosem na dym z camela, ale popiół, rozsypany po własności przenośnej biblioteki PAT, wcale mu nie przeszkadzał.

— Król Salomon — powiedział — co to panu porucznikowi mówi?

— Był mądry, do tego jakieś wielbłądy — Enka zrymował przypadkowo. — Co to ma do tego?

— Salomon, panie poruczniku, nie był wcale taki mądry. Od niego datuje się zmierzch królestwa Izrael. Ale pan porucznik polubiłby go za zainteresowania. — Gil otworzył Stary Testament i zaczął czytać: — „Jednakże Salomon z miłości złączył się z nimi, tak że miał siedemset żon księżniczek i trzysta żon drugorzędnych”. — Podniósł głowę znad książki. — Daje to, panie poruczniku, harem z tysiącem głów, nie tylko Żydówki, ale i Fenicjanki, Chetytki.

— Co to takiego? — przerwał Enka, a Gil ciągnął niezrażony:

— Te kobiety przywiozły swoje wierzenia, modliły się do swoich bogów, aż wreszcie Salomon modlił się razem z nimi. Wywołało to gniew Jahwe, który tak mu powiedział, pan porucznik słucho: „Wobec tego, że tak postąpiłeś i nie zachowałeś mego przymierza oraz moich praw, które ci dałem, nieodwołalnie wyrwę ci królestwo i dam twemu słudze”. Zaraz dalej jest: „Jednak nie wyrwę całego królestwa, Dam twojemu synowi jedno pokolenie, przez wzgląd na Dawida, mego sługę”. To tyle Biblia. — Odłożył książkę. — Faktem jest, że po śmierci Salomona królestwo rozpadło się na Izrael i Judeę. Możemy też być pewni — wskazał na zdjęcie wazy w katalogu wystawy syryjskiej — że niektóre kobiety z jego haremu czciły Melkarta, który, według mnie, był zwany również Molochem.

— Ksiądz doktor wciąż o tym Molochu. Coś słyszałem, ale dawno — przyznał porucznik Enka.

Gil założył ręce za głowę i rzekł, patrząc w górę:

— Teraz, nie bez pewnej racji, uważa się go za demona. Jego imię oznacza tyle, co Król-Bóg. Fenicjanie składali mu ofiary z ludzi. Kult Molocha trafił do Izraela, do pałacu Salomona. — Zgarbił się, popatrzył poważnie na Enkę. — Izydor to widział, panie poruczniku.

Enka nie odpowiedział. Podał księdzu kieliszek.

— Pan sobie wyobrazi, tysiąc kobiet w haremie. Tysiące dzieci. Następców. Jedna z tych kobiet miała dwoje dzieci. Jedno z nich poświęciła w imię drugiego. W sensie dosłownym. Spaliła żywcem swoją córkę, na ofiarę dla Melkarta. W zamian jej syn miał zostać królem Izraela. Nie został, jak już mówiłem. Historia toczy się nadal. — Otarł usta. — Najpierw Pocieszka dostał fragment ubrania, który pana ludzie zabrali ze zwłok w muzeum. Poznał imiona dzieci, które zginęły. Dowiedział się, jak do tego doszło. To obraz, mgnienie, jak klatki z filmu, nachodzące na siebie, jedna za drugą. Ale wyczuł coś jeszcze. Człowiek, który to robił, nie był do końca człowiekiem. Miał ręce i nogi, ale... Coś było w nim. I coś jeszcze było w tej wizji, jakby, trzymając się metafory filmu, pod jedną taśmą schowano drugą. Nałożono inną ścieżkę dźwiękową. Nie jest to za trudne?

Enka pomyślał chwilę.

— Nie. Za trudne akurat nie jest.

— Pocieszka wziął wówczas kawałek gliny, ten od Studnickiego. Czytanie śladów nigdy nie jest przyjemne. Czytający wygląda jak porażony prądem. Nigdy wcześniej jednak czegoś takiego nie widziałem. Pocieszka omal tam nie umarł. Zobaczył tę kobietę, panie poruczniku — Gil mówił z przejęciem — kobietę sprzed dwu i pół tysiąca lat, jak spycha własne dziecko w ogień, na ofiarę bogu. I zaraz potem zobaczył jeszcze coś, piwnicę, współczesną i coś jeszcze. Co? Nie wiem. Przerwałem mu, wyrwałem glinę z ręki. Umarłby, gdybym tego nie zrobił.

Andrzej Gil zamilkł. Napili się jeszcze, Gil na raz, Enka na dwa razy.

— Dobrze ksiądz doktor postąpił — zauważył Enka, przerzucając rozłożone książki. — Przyznaję, że to wszystko się składa. Choć nic nie stało się prostsze.

— Nie obiecywałem niczego prostego.

— Ksiądz doktor sobie daruje. — Enka stanął przy oknie. Widziany z góry Andrzej Gil wyglądał jak suma wszystkich nieszczęść z koloratką. — Sprawa sprzed lat dwudziestu łączy się ze współczesną, to rozumiem. Ale historia z czasów Biblii? Salomon, Gomułka? Dobrze. Księżę doktorze, ja bym się jeszcze napił, ale naprawdę nie mogę.

Gil pokiwał głową ze zrozumieniem i obdarzył niedopitą butelkę ostatnim, melancholijnym spojrzeniem. Enka włożył kurtkę.

— Pomoże mi ksiądz doktor? Muszę jechać do muzeum archeologicznego. Przydałaby mi się księdza pomoc. W gruncie rzeczy — wygrzebał klucze — wiara księdza też by mi się przydała.

— Właśnie, panie poruczniku — Gil poprawił koloratkę, przygładził włosy — już jedziemy. Ale niech mi pan porucznik powie: pan wierzy w to wszystko?

Enka nerwowo wydobył ostatniego camela. Włożył w usta, ale nie zapalił.

— Tak prywatnie i bez odniesień? Mamy do czynienia z czymś w rodzaju opętania, tak? Jak w *Egzorcystyce*? No, możliwe. — Zrobił gest, jakby chciał chwycić się za głowę. — Zupełnie w cztery oczy mogę księdzu doktorowi powiedzieć, że mnie ksiądz doktor przekonał.

Wyszli na korytarz, Gil mówił teraz zza pleców porucznika Enki.

— Dla mnie to składa się aż za dobrze i mogę podpisać się pod tym, co pan porucznik powiedział. Ale ja nie rozumiem, im bardziej w to wierzę, tym trudniej przychodzi mi wiara w co innego. No bo jaka matka jest zdolna zrobić coś takiego swojemu dziecku? Jaka, panie poruczniku?

Enka wezwał windę, odwrócił się miękko, niemal tanecznie, i Gil dostrzegł w jego twarzy coś, czego nawet nie przeczuwał. Oczy mu się zwężyły, czoło poblezło, policzki wyglądały jak ścięte lodem. Cień zaległ pod oczami.

— Wie ksiądz, skąd Enka? Skąd moje nazwisko? — rzucił niemal swobodnie. Winda przyjechała, lecz nie zwrócił na to uwagi. — Enka, NN, nazwisko nieznane. Lepiej niż Pekoś, co?

— Nie wie... — zaczął Andrzej Gil, a Enka mu przerwał. Wyglądało na to, że ma ochotę klepnąć księdza w plecy:

— Znalaziono mnie na śmietniku, w środku zimy — śmiał się porucznik Enka — cud, że ocalałem, siła mnie ocaliła. Zwierzęca siła. — Zacisnął pięść. — Nie wiem, kim była moja matka, i ksiądz uwierzy, nie chcę wiedzieć. Powinienem umrzeć, księżo doktorze, więcej, ja nie mam prawa żyć. Ale żyję — otworzył windę — i cieszę się darem życia.

— Przykro mi. — Andrzej Gil był zbity z tropu. Enka wybuchnął śmiechem i pokazał mu drogę do windy.

— W radości z życia nie widzę nic przykrego. Ksiądz doktor się nie martwi. Enka, mówiłem przecież, brzmi dużo lepiej niż Pekoś.

\* \* \*

Wyglądali jak olbrzym ciągnący ze sobą szympansa – ksiądz Andrzej Gil, z rozgardiaszem na głowie i sztywnymi dłońmi, oraz porucznik Enka, zgarbiony, obserwujący muzealny korytarz przez ciemne szczeliny oczu. Włosy wychodziły mu spod koszuli, na kłacie i plecach. Wyprzedzali siebie nawzajem, Andrzej Gil szedł przodem, Enka gubił się w myślach, by przyspieszyć gwałtownie i zmusić księdza do truchtu. Minęli schody w muzeum archeologicznym i pospiesznie skręcili w lewo. Sekretariat.

Za grubymi szklami w plastikowych oprawkach chowała się pociągła twarz sekretarki. Andrzej Gil już otwierał usta, gdy z pomieszczenia obok wypadł dyrektor muzeum – starszy facet o aparycji profesora fizyki, w szarym garniturze, z krawatem podobnym do ubitego zaskrońca. Jego drobna dłoń zginęła w łapie porucznika Enki.

— Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas, panie dyrektorze — powiedział porucznik Enka. — To ksiądz doktor Andrzej Gil.

Dyrektor zmarszczył czoło.

— Andrzej Gil? Czy ksiądz nie jest przypadkiem autorem *Molocha i innych* — zastanawiał się. Andrzej Gil potwierdził, a dyrektor się rozpromienił — nie wiedziałem, że ksiądz jest księdzem. Ksiądz sobie wyobrazi, mamy tu wazę, która zaprzecza głównej tezie książki księdza.

— Właśnie — wtrącił porucznik Enka — chcieliśmy obejrzeć dokumentację wystawy. Mówiąc szczerze, bardzo pilna sprawa. Samą wystawę też chętnie zobaczymy.

— No dobrze. — Dyrektor oparł się o biurko. — W sumie, proszę panów, mamy dzisiaj inspekcję straży pożarnej, to stary budynek. Dużo kłopotów z samą instalacją gazową. Ale, ale, to może nawet lepiej, panom nikt nie będzie przeszkadzał. Spokojnie zobaczą panowie nasze muzeum, pójdziemy do archiwów, właściwie pójdziemy, gdzie sobie pan, panie doktorze, zażyczy.

Enka słuchał tej monotonnej mowy i z każdym sennym słowem czuł wzrastającą wściekłość. Oto stoi, słuchając dyrdymałów jakiejś pierdoły pod sznurkiem, i zaraz pójdą wszyscy oglądać czarodziejską wazę, a może nawet przed nią uklękną. Cała historia zaś stąd, że milicyjne widmo z lat sześćdziesiątych wyraziło swą ostatnią wolę i posłało Enkę do jasnowidza z brodą i w habicie, który podróżuje przez czas i przestrzeń do miejsc, gdzie nie pójdzie nikt o zdrowych zmysłach. A gdzie Enka w tym wszystkim? Był przecież nikim, puszką ciągniętą po lince, nie wiadomo dokąd.

I właśnie jak po sznurku ruszyli we trzech muzealnym korytarzem, a potem schodami w dół, na zewnątrz budynku administracji. Na podwórzu zderzyli się z Ofetem, który siedł z latarką w dłoni, nienaturalnie wyprostowany. Pod pachą trzymał książkę. Na widok dyrektora skłonił się, niemal niedostrzegalnie. Zaraz spostrzegł Enkę, zgiął się w pół i wydukał:

— Dzień dobry panie oficerze.

Enka tylko się uśmiechnął.

— Myślałem, że to palacz — stwierdził, gdy wyszli na Senacką. Mikroskopijna uliczka zakręcała przy następnym budynku. Dyrektor chrząknął z zakłopotaniem:

— Właściwie złota rączka. Teraz pilnuje muzeum. Jeden z pracowników sobie odpuścił po tym wszystkim. W nerwicę wpadł, na urlop poszedł. Ja wiem, co Tomasz zrobił. Ale mówię, że nie można człowieka przekreślać. Widzicie, on ciągle wierzy w życzliwość koła historii. Pisze tu książkę. Ma nadzieję, że wróci na uczelnię. Że się habilituje.

— Pomyślnych wiatrów — mruknął porucznik Enka, a dyrektor spojrział na niego dziwnie, jakby chciał, a nie mógł się doszukać jakiejś złośliwości.

Andrzej Gil pozostawał o krok za nimi.

— A ten pracownik, który poszedł na urlop — zainteresował się Enka — to nie przypadkiem pan Nowak?

— Ano, Nowak. Mogę z nim jakoś pomóc?

Enka pokręcił głową i pomyślał, że czasem mógłby trzymać język za zębami, bo posłał człowieka na urlop tylko dlatego, że miał zły dzień.

W pierwszej sali natrafili na wystawę poświęconą kulturze Celtów, którzy, jak Enka dowiedział się od dyrektora, w zamierzchłych czasach zamieszkiwali polskie ziemie. Enka wiedział o Celtach tyle, że odkryli mydło, i wielka szkoda, że do dziś ten wynalazek się nie upowszechnił. Patrzył obojętnie na szare plansze pełne czarno-białych zdjęć, jakieś bożki, koła i mapy, a z głowy nie wychodził nieszczęsny Nowak, obrażony na próżno i z czystej głupoty. Nagle stwierdził, że muzeum jest większe, niż przypuszczał, że pełno tu odnóg, korytarzy. Można się ukryć.

Andrzej Gil ożywił się w sali poświęconej pogańskiej Polsce. Długo wpatrywał się w wielką rekonstrukcję posągu Światowida, otoczonego kołem i misami, nad którymi wirował dym. Enka klepnął go w ramię.

— Strasznie bidna ta nasza kultura, księżo doktorze — szepnął, żeby dyrektor nie słyszał. — Co ciekawe, to z importu.

Andrzej Gil, po raz pierwszy tego dnia, roześmiał się głęboko i szczerze. Dyrektor zmarszczył brwi, nie rozumiejąc zupełnie, co może być zabawnego w pogańskich posągach i misach ofiarnych. Chrząknął, dając znak, że to, co jest naprawdę interesujące, znajduje się dalej.

Opuścili pomieszczenia poświęcone pradziejom małopolski. Dyrektor wysunął się naprzód, zniknął w ciemnym pomieszczeniu. *Pyk, pyk*, zapalał kolejne światła, a oczom księdza Gila i porucznika Enki ukazała się wystawa starożytnych drobiazgów z Bliskiego Wschodu. W gablotach stały naczynia, gliniane i kamionkowe, o wyblakłych barwach, półszare. No, jak zabawki z naszej ojczyzny, pomyślał Enka.

Pośrodku sali, w czystej, dla odmiany, gablocie, stała waza wielkości piłki do rugby i takiegoż koloru. Napis biegł przez środek, identyczny z tym na bańce od mleka. W szyjkę bez problemu weszłaby kobieca pięść. Pod wazą znajdował się opis: „Moloch zsyła, Palestyna XI–X p.n.e”. Dyrektor patrzył na Gila bezczelnie, a na wazę z satysfakcją. Gil poczerwieniał.

— Co ksiądz doktor popisał w tej książce? — zapytał słodko porucznik Enka.

— Cóż — odparł Andrzej Gil — byłem wyrazicielem opinii, że takie bóstwo jak Moloch nie istniało. Kiedy w tekstach jest mowa o Molochu, chodzi raczej o pewien typ rytuału, odprawianego celem uczczenia różnych potężnych bogów. Rozumie pan, panie poruczniku? Rytuał Molocha moim zdaniem odczyniano także względem Jahwe. Teraz wydaje się, że to raczej nieprawda i Moloch istniał.

Dyrektor zapalił już wszystkie światła i Enka uświadomił sobie, że gliniany kawałek, z którym pojechał na Srebrną Górę, miał, zdaje się, podobną grubość i kolor. Odwrócił wzrok – z prawej strony, pod ścianą, stała figura z masy papierowej, a bliżej – wielka tablica z rekonstrukcją rytuału. Kapłan spychał dziecko w płomienie. Dyrektor wyciągnął dokumenty w stronę porucznika Enki.

Enka mógł wyjść na ignoranta przed Gilem – w gruncie rzeczy, pomyślał, mógłby bez wstydu, a nawet z radością, skompromitować się w grubszej sprawie. Nie mógł jednak sobie na to pozwolić przed dyrektorem – ten na Ence zrobił wrażenie człowieka, który posyłałby na roboty do kamieniołomów za nieznamość historii ceramiki z czasów dynastii Ming. Przejął dokumentację. Przerzucał powoli, marszczył nos, a przed oczyma mu czerniało od zdjęć, rachunków, zezwoleń i pieczętek, które opadły każdą linijkę tekstu jak wrony świeże truchło. Ksiądz Gil musiał dostrzec zakłopotanie w oczach porucznika i delikatnie wyjął mu z rąk plik papierów. Przeglądał szybko, strona po stronie, bezgłośnie ruszając ustami.

— Panowie szukają czegoś konkretnego? — przypomniał o sobie dyrektor. — To jak z igłą i stogiem. Chętnie pomogę.

Enka pomyślał, że gdyby dyrektora dopuścić do tworzenia przysłów, pełno byłoby w nich łupek w garści, wykopalisk na dachu i kózek skaczących po pochyłych sarkofagach.

— To dziwna sprawa — rzekł — podejrzewamy robotę jakiegoś fanatyka religijnego. Ktoś takie napisy jak tutaj — zastukał w szybę chroniącą wazę — wypisuje na miejscu zbrodni. Niemiła sprawa.

— Na bańkach? Takich na mleko?

— No mleko — odparł natychmiast porucznik Enka. — Ciekaw ja, ciekaw, skąd pan o tym wie.

Dyrektor spoważniał.

— Wyście mi powiedzieli. Wy! — wyduł wargi. — Ja na przesłuchanie miałem iść, ale dziekan ubłagał. Ja serce mam chore — zbladł jak na zawołanie, oparł się o gablotę — więc myślę, mam spokój. Ale gdzie tam!

Machnął ręką. Posłał Andrzejowi Gilowi życzliwe spojrzenie.

— To mi nie dawało spokoju. Nawet nie to, że Jaż dzieci ludziom pozabijał. Dwa razy takie rzeczy się działy, raz w sześćdziesiątym siódmym i teraz znowu...

Enka patrzył na dyrektora spode łba.

— Wiem, też to wiem, zaraz powiem. Bo dwadzieścia lat temu też była tu ta waza. Uwierzą panowie? A wiem to stąd, że mi to wszystko spokoju nie dawało, więc sam do was poszedłem. I spotkałem zaraz miłego człowieka, który pana porucznika dobrze zna. Zna się trochę na archeologii, przyjemny, życzliwy człowiek. Powiedział mi to, co teraz wam powtarzam. Pan Grula — przypomniał sobie.

— No tak... — mruknął Enka. — Zaraz, jak to znowu, jak to waza?

Dyrektor oparł się bokiem o ścianę i zaczął mówić:

— W sześćdziesiątym siódmym już tutaj pracowałem. Oczywiście jeszcze na niższym stanowisku. I udało nam się zorganizować ostatnią wymianę z Izraelem przed wydarzeniami marca sześćdziesiątego ósmego. Mówią panom coś nazwiska Hirszfeld, Chaskiel?

Gil potwierdził, a Enka zaprzeczył.

— Izaak Chaskiel pracował wówczas w dziale wymian w muzeum archeologicznym w Tel Awiwie, a obaj byliśmy uczniami profesora Hirszfelda, z tym że Chaskiel jeszcze z przedwojnia. Bardzo mi zresztą profesora przypominał — ruszał rytmicznie otwartymi dłońmi — ten sam szacunek do przedmiotu, żadnych renowacji. O dotknięciu, takiej, o, wazy nie mogło być mowy. No, nieważne, ważne, że wystawę zrobiliśmy. Dokładnie, jak sobie życzył, punkt po punkcie. Nie wyobrażają sobie panowie, ile było z tym biegania — przeniósł wzrok na Enkę — a ile radości.

— Teraz też mamy mnóstwo radości, panie dyrektorze — rzekł Enka, głosem krupiera zgarniającego komuś dorobek życia z zielonego stołu. Gil zgromił go wzrokiem.

— Chaskiel, człowiek mi życzliwy, przeniósł się akurat z muzeum na Uniwersytet w Jerozolimie, więc wybył po tygodniu, zostawił zastępcę, no i, widzą panowie, zastępca też wyjechał, zostawiając asystenta. Sam bym wyjechał, bo zajął się katalogowaniem strasznie cennych rzeczy znad zachodniego brzegu, zresztą te rzeczy miały się znaleźć u nas. No i ledwo ten zastępca wylądował, a tu bęc, mieliśmy wojnę sześciodniową.

— Rzeczywiście, pech — przyznał porucznik Enka. Spacerował wokół gabloty z wazą.

— Pech, pan mi mówi. Chaskiel dostał szau, i to wówczas, gdy nie wiedzieliśmy, co naprawdę się święci. Dzwonił, uruchomił wszystkich, tylko po to, by natychmiast wystawę zamknąć i odesłać rzeczy do Izraela. Parę dni później państwa Układu, w tym Polska, ogłosiły solidarność z krajami arabskimi, zrywając zarazem stosunki dyplomatyczne z Izraelem. Pamiętam, w nocy zorganizowaliśmy transport. Wszyscy pracownicy muzeum nosili. Jaż też tam był, Nowak. Reszta już tu nie pracuje. Myślę sobie, że gdyby Chaskiel zobaczył ciężarówkę, którą jego eksponaty pędziły na lotnisko, dostałby zawału parę lat wcześniej. Jeśli bardzo chcecie poznać puentę, to była wymiana, a Izrael naszych eksponatów nie odesłał.

Enka, który już przestał słuchać dyrektora, kiwnął na księdza Gila. Wskazywał na niewielkie wyszczerbienie u szyjki wazy. Zastukał w szybę. Gil, ignorując wściekły wzrok dyrektora, wydobyl woreczek z glinianym odłamkiem. Przyłożył.

Na oko pasowało.

— Wszystko bardzo pięknie. — Enka schował woreczek, nim dyrektor zdołał mu się przyjrzeć. — Jeśli tak to wszystko wygląda, to proszę powiedzieć, co ta waza robi tutaj, skoro powinna być, nie wiem, w Wiedniu, w Izraelu?

— Nim samolot z wystawą wyleciał, wojna dobiegła końca, ale pech się nie skończył. Coś się popsulo w czasie lotu. Nie wiem dokładnie, nikt nie wie. Wpadli w burzę piaskową i znaleźli się nad Syrią. Syryjczycy zaraz ich zestrzelili i samolot przeleżał w piachu kilkanaście lat.

— Syria. Tam w kółko strzelają — mruknął Enka. — Pewno pełno takich tam leży.

— To był mały samolot i świeżo po wojnie. Odnaleziono go przypadkiem rok temu. Większość eksponatów uległa zniszczeniu, ale ta waza akurat ocalała. Z Syrią mamy dobre stosunki, sami się do nas zgłosili. Stało na tym, że waza zostanie u nas przez jakieś pół roku, bo potem robią wielką wystawę w Damaszku i chcą ją mieć u siebie.

— Panie dyrektorze — zapytał niespodziewanie Andrzej Gil — ten Nowak, pan mówił, że pracował przy demontażu tamtej wystawy.

— To porządny człowiek, a teraz poszedł na urlop. — Dyrektor patrzył z wyrzutem na porucznika Enkę. — Przyjaźnił się z tym nieszczęśnikiem, co go w piwnicy znaleźli. Jaziem. Tak, pracuje u nas od sześćdziesiątego trzeciego roku.

— Kto jeszcze? — zagadnął Enka.

— Nie rozumiem?



— Kto jeszcze pracował tutaj w sześćdziesiątym siódmym, choć niekoniecznie od sześćdziesiątego trzeciego i, co ważne, pracuje nadal. To chyba jest zrozumiałe?  
— zapytał Enka, zastanawiając się, jakie dyro ma wejścia, skoro Gula przed nim zatańczył i wszystko wyśpiewał.

— Tylko Nowak — odpowiedź padła natychmiast.

— Nowak i pan.

— Nowak i ja.

— No to świetnie — w głosie Enki nie brzmiała nuta wesołości. — Księżę doktorze, nie będziemy już zawracać głowy?

— Jeszcze jedno — Gil zwrócił się do dyrektora — proszę się dobrze zastanowić, bo to bardzo ważne. Czy podczas demontażu wystawy, w ogóle podczas pobytu w Polsce tych zabytków z Izraela — patrzył na wazę, wyszczerbioną, jakby ktoś ją nadgryzł — jest taka możliwość, że ktoś ich dotknął?

Dyrektor spąsował.

— Zna ksiądz doktor szkołę Hirszfelda? Bezpośrednie dotykane eksponatów to jest... — szukał słowa — tak się nie robi, ja bym do tego nie dopuścił, ludzie z Izraela też nie.

— Wie pan — mruknął Enka — pośpiech, nerwy, może komuś się wymyśli?

— Nie, panie poruczniku — rzekł twardo dyrektor — nic tu się nie wymyśli. Nikomu.

Już na schodach, gdy zostali sami, Gil szepnął do Enki:

— Niepotrzebnie go pan rozsierdził, panie poruczniku.

— Co niepotrzebnie — fuknął Enka. — Ma taki kumpla wyżej ode mnie i zaraz myśli, że wszystko mu wolno.

Stanęli na półpiętrze.

— No, możliwe — zgodził się ksiądz Andrzej Gil. — Podejrzliwość, panie poruczniku, to nie jest chrześcijańska cecha. Ale zastanawiam się teraz, że jeśli nikt tej wazy nie dotknął, to skąd ten odłamek? Jak pan myśli, no skąd?

\* \* \*

Andrzej Gil nie przywykł do słońca. Za dużo go było, zbyt szybko się pojawiał. Jeszcze niedawno budził się i zasypiał w ciemności, śniadanie jadł w szarówce, obiad już przy lampce, pod czarnym oknem. A teraz było już po dziewiętnastej, a nad mnikowskie domy dopiero zjeżdżała przekrwiona tarcza.

— Dziękuję, że ksiądz doktor zgodził się przyjechać — powiedział porucznik Enka — to naprawdę nie potrwa długo.

Ksiądz Gil kiwnął głową. Miał na sobie ciemny milicyjny sweter z pagonami, za to bez dystynkcji. Spod kołnierza wystawała koloratka. Porucznik Enka przerzucił jeszcze papiery, upewnił się, że adres domu, pod którym stanęli, zgadza się z informacją od Łopackiej. Położył księdzu rękę na ramieniu.

— Tylko z nim porozmawiam — powiedział i wysiadł.

Nowak mieszkał w jednopiętrowcu, podobnym do cudownie powiększonego pustaka. W jednym oknie paliło się światło, w drugim migał telewizor. Na podwórku panowała ciemność. Porucznik Enka nie znalazł dzwonka przy bramce drewnianego płotu. Zastukał. Żadnej odpowiedzi. Nacisnął klamkę i zrobił krok do przodu. Zaskrzypiało.

Enka wsadził głowę w uchylone drzwi. Podwórko porastały strzępy trawy, dwa koślawe drzewka wyginały się ku niebu. W głębi stała betoniara, za betoniarą buda metr na metr. Dwa wilczuopodobne psy szarpały się na łańcuchach – jeden masywny i czarny, z grzywą jak u lwa, drugi drobniejszy, wściekły, skakał, aż buda się trzęsa. Enka odruchowo się cofnął, a ludzki cień, w którym rozpoznał Nowaka, pospiesznie wyrwał kołek. Łańcuchy zabiły o ziemię. Poszły!

— Milicja ob...! — wrzasnął nieumundurowany Enka i wyszarpnął pistolet.

Mniejszy pies wybił się naprzód, biegł zupełnie bezgłośnie, z tyłu brzmiało ujadanie. Trudno celować w rozpędzoną plamę futra, trudno i trafić – ale Enka potrafił. Psem obróciło w powietrzu, rozbrzmiał skowyt, poderwały się ptaki, pies upadł na bok i pognął zaraz, krzywo, niezgrabnie. Kula urwała przednią łapę pod kolanem.

Drugi z psów natychmiast się zamknął, leciał już siłą rozpędu. Enka płynnie cofnął się za bramkę. Przez szybę poloneza Gil widział, jak Enka stoi, łapie powietrze i gwałtownie napiera na drzwi. Odgłos uderzenia złał się w jedno z psim jękiem. Psy skomlały, ktoś krzyczał. Znów padł strzał.

Andrzej Gil wysiadł z samochodu, ale nim dotarł do płotu, przy bramce pojawił się porucznik Enka – wymachiwał bronią i ciągnął przerażonego Nowaka. Nowak cały się trząsał, wywracał oczami, pluł i jęczał.

— Ares! Ares! Ares!

Enka nawet nie spojrział na Andrzeja Gila. Dociągnął Nowaka do drogi i bezceremonialnie pchnął na maskę samochodu.

— Ares! — jęczał Nowak. — Coś ty zrobił, łajdaku! Bydlę jesteś! Bydlę!

W dłoni porucznika Enki błysnęły kajdanki. Pod Nowakiem ugięły się nogi, wybuchnął płaczem.

— O, nie! Nie, pan żartuje, pan nie może, ja proszę, Chrystusie, przecież nie ja, nie mnie, nie...

Mówił tak bez końca, a porucznik Enka skuł mu ręce. Nowak wciąż powtarzał: „Nie mnie, nie mnie”, popluł się cały, kolana uderzały jedno o drugie, aż Enka zatrzasnęła drzwi i wszystko ucichło. Nerwowo wyszarpnął papierosa z tylnej kieszeni, zapalił i, zdawać by się mogło, dopiero teraz przypomniał sobie o księdzu Gilu.

— Bywa, księżo doktorze — silił się na wesołość. — Nie żyjemy w bajce, co?

— Ano, nie żyjemy — przyznał Andrzej Gil i pomyślał, że takich przygód nie miał nawet w Brazylii.

\* \* \*

Andrzej Gil z wahaniem zdjął koloratkę i schował do kieszeni koszuli. Zamieszał herbatę, a porucznik Enka upił łyk koniaku. Siedzieli w ponurej knajpie na Poselskiej, gdzie sąsiednie stoliki spowijał mrok, a jedyny dźwięk dobiegał z telewizora marki Grundig zawieszzonego nad barem. „Niech żyje bal”, śpiewała Maryla Rodowicz, a Andrzej Gil, będąc w kiepskim nastroju, pomyślał, czy przypadkiem nie chodzi o starotestamentowego boga Baala. Kiedy popatrzył na makijaż Maryli, wiedział już, że tak.

— Może Gula coś z niego wyciągnie. Albo młodszy — zastanawiał się porucznik Enka. — Płacze, jęczy, nic nie wiadomo.

— Znaleźli dziecko? — Gil odwrócił głowę do telewizora.

Enka prychnął:

— Ksiądz doktor wiedziałby pierwszy. — Napił się jeszcze. Na stole zabrakło popielniczki i Enka strzepywał popiół na podłogę. — Przeczesał jego dom. Może coś znajdą, ja nie wiem. A właśnie, znaleźli.

Andrzej Gil opadł łokciami na stół.

— Motor mamy. Ten sam, którym porywacz uciekał z dziewczynką z przedszkola — wyjawiał Zbigniew Enka. — Znaczący, mieliśmy wcześniej. No to ksiądz doktor się dowie, jak milicja działa. Nikt nawet nie doszedł do tego, że to motor Nowaka. Sam się przyznał, właściwie wychlipał. Nie miał na niego papierów, jeździł jak skuterem. To coś, co miał na przedzie, to nawet rejestracją trudno nazwać.

— No ale gdyby było wiadomo, pan porucznik by sobie nie postrzelał.

Zamiast Rodowicz w grundigu zagościł zespół Bolter i wyśpiewywał w kółko ustami Andrzeja Zielińskiego: „Daj mi tę noc, tę jedną noc”.

— To mógł sobie ksiądz doktor darować — mruknął porucznik Enka. Podreptał do baru z pustym kieliszkiem, wrócił z dwoma i butelką. — Gdzie ta dziewczynka?

— Nie chcę pana martwić, panie poruczniku — rzekł ostrożnie ksiądz Gil — ale jeśli mamy do czynienia z tym, o czym myślimy, że mamy, to ona nie żyje.

Twarz Enki stężała momentalnie.

— Panie poruczniku, on zabijałby dalej. — Andrzej Gil z niepokojem spojrzał na kieliszek przed sobą. Przeniósł wzrok na porucznika Enkę. — Tak długo, aż by nie umarł. Studnicki nie dał rady, te pięć baniek w muzeum, to te pięć baniek w muzeum. Pan złapał go w ciągu jednego dnia. Nie można było zrobić tego lepiej.

— Nie sam — Enka polał po brzegi — i to jeszcze nie koniec. Nowak jest u nas i gwarantuję księdzu doktorowi, że lepiej dla niego, jeśli dziecko żyje. Powie, gdzie jest, albo — chrząknął — gdzie je pochował. Ja jutro rano... Ksiądz doktor rozumie, parę godzin snu. Księdzu też to radzę. — Spojrzał w kierunku otwierających się drzwi. — No niech mnie cholera, jeszcze tylko jego tu brakowało.

Do ich stolika chwiejnym krokiem sunął młody milicjant Robert Greń. Wystarczyłby rzut oka, by stwierdzić, że wcześniej tego dnia zdarzyło mu się już odwiedzić jakąś knajpę. Niejedną. Greń miał brązowe sztruksy, czarny płaszcz i koszulę. Trzymał zdechły pęk kwiatów. Cisnął je pod stół.

— Siadaj, Robert — mruknął Enka. — Dzisiaj taki mały sabat. Pijemy z szychą strony przeciwnej.

Greń podał im sflaczałą rękę, a po chwili wrócił z ciemnym piwem.

— Co, żałobę mamy? — zagadnął Enka, patrząc to na czarny kufel, to na podeptane kwiatki.

— No, tylko jedna rzecz może tak człowieka urządzić — przyznał Greń i zaczął nieproszony — czwarty tydzień wokół niej chodzić. Nawet zagadać nie umiem. Raz rozmawialiśmy, przypadkiem. Wtedy, w muzeum, miałem nadzieję, że ją spotkam.

— Spokojnie, Robert — Enka zagaił przyjacielsko — opowiadaj, kto i po co. Może zaradzimy złu.

Stuknęli się.

— E, nie ma o czym. Bo to dobra, porządna dziewczyna. Jak taką zdobędziesz, to jest za tobą aż po grób, to widać w oczach. Ale nie dla mnie, za wysokie progi na Grenia nogi. — Wyjął papierosa z paczki, którą podsunął mu Enka. — Nie dla mnie dziewczyny porządne, nie dla mnie dobre kobiety.

— No, na pewno nie dla mazgaja — odezwał się Andrzej Gil i Greń skulił się jak pod biczem.

— Czwarty tydzień za nią chodzić. Koleżanka mojej siostry z archeologii. Krótkie włosy, wy wiecie, co ja bym zrobił dla dziewczyny z krótkimi włosami? Do opery byśmy mogli chodzić...

Ksiądz Andrzej Gil zamierzał powiedzieć, że w Krakowie właściwie nie ma opery, ale Enka kopnął go pod stołem. Gil syknął. Greń mówił dalej. W telewizorze leciała Sabrina i Enka pomyślał, że ksiądz Gil trochę traci, siedząc tyłem.

— No i tak dalej, wszystko bez sensu — lamentował Greń. — Ledwo wiem jak się nazywa. Anka, Ania... I wiecie, co jest najgorsze? — ożywił się. — Jakiś sukinsyn od nas próbuje ją bałamucić. Bydlę bez sumienia, jak o tym pomyślę, to mnie szlag trafia, panie poruczniku. Bo to porządna dziewczyna jest, a ten, kto chce ją naciąć, wykorzystać, to bydlak. Bydlak i tyle.

Gil i Enka popatrzyli po sobie. Greń splótł ręce na głowie, jakby się obawiał, że ta zaraz odpadnie.

— Jak tam nasz milusiński? — zagadnął porucznik Enka. Greń sapnął w odpowiedzi:

— Dali mu prochy i zaczął mówić. Właściwie jęczeć, Gsula się z nim mordował. Wykrztusił wreszcie, że nie miał pojęcia, kim pan jest, bo różni się przy gospodarstwie kręcą — strącił popiół na własne kolana — a potem powiedział, że nic nie wie o niczym, o żadnych dzieciach. To my pytamy o motor, a on na to, że od dawna nim nie jeździ, ale często pożycza. Ostatnio pożyczył jakiemuś człowiekowi z muzeum, co od niedawna pracuje. Padło nawet nazwisko, ale — rozłożył ręce — zapomniałem.

— Acha — szepnął Enka i rozsypał teczkę z materiałami.

Andrzej Gil przysunął świeczkę. Ciemność wokoło stężała. Enka stracił zainteresowanie półprzytomnym Greniem, zapomniał o koniaku, przerzucił kartkę za kartką, aż wydobył dokument wypełniony, pół na pół, pismem odręcznym i maszynowym. Andrzej Gil wsadził głowę w krąg światła.

— Ofet — przeczytał Enka głośno — Tomasz Ofet. O niego chodzi, Greń?

— Właśnie, Ofet — Greń mówił, jakby najadł się ziemi. — Jego żona to kompletna wariatka. Zwaliała się do mnie, ja mówię, że mam młyn. A ona tylko o jednym, że nie oddał córki, z którą miał iść do parku. To ja pytam, o której miał oddać, ona o szóstej, ja mówię, Boże drogi, ledwo ósma minęła, nie zawracaj, kobieto, głowy. A ona, że dzieci giną, ja znów, że mamy faceta i dwie godziny to nie problem, jakby dzień minął — Greń nie dostrzegł, że Enka wysupłuje pieniądze i rzuca na stolik, a Gil zakłada kurtkę — a ona znów, że mąż dziwny i się go bała, jak zobaczyli się pod szkołą i tak dalej, zawsze odstawiał o czasie, bo się bał sądu, i musiałem prawie ją wypchnąć.

Strzelił z palców, wrzasnął w stronę baru:

— Trzy wódki będą!

Spostrzegł, że Enka wstaje od stołu. Pociągnął go za rękaw.

— Nie obraziłem pana, panie poruczniku? Zły dzień dzisiaj, bardzo zły! — Oczy mu się rozszerzyły, nagle coś sobie przypomniał — a tą kobietą niech pan się nie przejmuj, widziałem tego faceta gdzieś tutaj, zaraz, jak do was szedłem. Szli, spieszyli się, pewno odstawił ją do domu, wie pan, zamarudzili, dzień piękny...

Andrzej Gil biegł już do wyjścia, odprowadzany zdziwionym wzrokiem człowieka zza baru. Enka w połowie drogi zawrócił, chwycił zbaraniałego Grenia za poły płaszcza i pociągnął za sobą.

Młody milicjant Greń nie protestował.

\* \* \*

— Gula, ja pierdołę! Mówię do ciebie, a ty nie słyszysz!

Enka ryczał do aparatu, aż twarz nabiegła mu krwią, żyły wystąpiły na szyję. Stał w rozkroku, jak bokser szykujący się do sparowania ciosu. Wymachiwał wolną ręką, wypluwał kropelki śliny. Czarne pudło aparatu wyglądało jak pokryte rosą.

— Raz, jedyny raz, Gula proszę cię jak brata, nie mów mi, że coś jest niemożliwe. Niemożliwe jest tylko, żebyś zaczął myśleć, a ja, skończony kretyn, o to proszę, więc który z nas jest głupszy? Gula...

Chwila ciszy. Enka sapał. Greniowi, w walce z grawitacją pomagała latarnia i zaparkowany polonez. Andrzej Gil drżał, wcale nie z zimna. Patrzył na czarny kształt budynku muzeum archeologicznego.

Enka nabrał powietrza:

— A może wyślij im kontener pałek, to sami się spałują. Albo wyślij jedną i błagaj o cudowne rozmnożenie. Dobrze, dobrze — starał się nad sobą zapanować — człowieku, tam zaraz usmażą dziecko, a ty co, patrolu będziesz mi szukał?! Że co Cracovia? Człowieku, ja tu do pomocy mam księdza i Grenia — odwrócił się — ale pierwszy się za nas pomodli, drugim drzwi wyważę... Pierdol Nowaka. — Znów cisza. — Wiesz co, Gula? Będę o tym pamiętał.

Trzasnął słuchawką. Rozłożył dłonie, jakby właśnie wymknęło mu się coś cięższego.

— Księżę doktorze — szepnął — jest zadyma na stadionie, niby mecz, a jednak polityczna. Bo z Wisiełką grają, a to nasz klub i... — starł pot z czoła — Gula nie przyjdzie. Powtarzam, nie przyjdzie, bo nie ma samochodu, a jest tak gruby, że dolazłby tutaj na Zielone Świątki, kiedykolwiek to jest. Mamy tam faceta — wskazał na muzeum — a ci durnie niczego nie pojmują. Niech ksiądz go pilnuje.

Greń podniósł głowę.

— Pilnujcie siebie nawzajem — rzucił jeszcze Enka, wyszarpnął broń w niemal filmowym geście i pokazał im plecy. Ruszył asfaltową alejką i nie uszedł nawet dziesięciu kroków, gdy dopadł go Andrzej Gil. Zrównali się bez słowa.

— Ksiądz zostanie — rzekł wreszcie porucznik Enka.

Za nimi, zygzakiem, sunął Robert Greń.

— Ksiądz idzie. Pan nic nie rozumie, panie poruczniku.

Żaden z nich nie zwolnił. Po lewej wznosił się ciemny mur, za murem, kościół Franciszkanów, w którym Bóg Wyspiańskiego zamarł na witrażu w połowie cudu stworzenia. Po prawej, za Plantami, przemknęły dwa radiowozy na sygnale. Skręciły w Zwierzyniecką, pędząc w stronę stadionu.

— Nie rozumie pan, że to nie zwykły bandyta, ale siła, o jakiej pan porucznik nie słyszał — brzmiało to, jakby ksiądz czytał. — Nie mogę panu nie pomóc, to moje powołanie z nim walczyć, nie pana porucznika. A jeśli już, to nasze wspólne. Pan widzi bandytę, ja coś więcej. Mój wróg i pana. Nie odeśle mnie pan porucznik. Rozumie pan?

Zatrzymali się. Niczym wytrawny tropiciel węży w ich stronę nadciągał młody milicjant Greń.

— Może i wróg wspólny, ale pójdę przodem — westchnął. — Acha, księżę doktorze, niech ksiądz nie mówi, co ja w nim widzę. Bo nie wiem.

Wbrew sytuacji patrzyli na siebie długą chwilę. Enka dostrzegł w oczach Andrzeja Gila wiarę, ciekawość, chęć niesienia pomocy, a nawet nienawiść do Złego – wszystko zgniecione przez strach.

— Jezu Chryste — szepnął Andrzej Gil.

— Jezu Chryste — powtórzył Greń i zwałił się między krzewy.

\* \* \*

Weszli przez otwarte drzwi, za którymi leżał portier w błyszczącej kałuży krwi. Oczy miał otwarte, a szczękę oderwaną tak, że zwisała na zbrązowiałym płacie skóry. Ręce złączył na piersi, kciuk miał wyłamany, nogi wyglądały, jakby trzymały się tylko na spodniach. Enka zaklął, a Andrzej Gil cofnął się o krok.

No to koniec świata, pomyślał porucznik Enka, klecha robi mi za wsparcie. Obaj uzbrojeni zgodnie ze swoim zawodem, pistolet i Biblia, co za cyrk. Ruszyli po schodach, z pierwszego piętra biło mdłe światło. Gil garbił się, wchodząc na stopnie. Enka spojrzął przez ramię i stwierdził, że żart obleka się w ciało. Ksiądz ścisnął kieszonkowe wydanie Nowego Testamentu, aż mu kostki pobieły.

Na pierwszy rzut oka sale muzealne wyglądały dziwacznie, jakby na ściany i gabloty blask padał z niewidzialnych kul światła unoszących się w powietrzu. Enka zmarszczył brwi. To lampy paliły się chaotycznie i bez celu. Niektóre ekspozycje pozostawały oświetlone, inne ginęły w półmroku, część lamp u sufitu była zgaszona, część nie, to samo boczne światła. O co, cholera, chodzi?

— Dziwne — szepnął Andrzej Gil.

— Niech mnie szlag, no — odmruknął Enka — cholerne pradzieje Małopolski.

Weszli do sali pełnej szarych plansz, na których zdjęcia waz i starodawnych bożków zlewały się w plamę spowitą trupim światłem. Litery zdawały się drżeć, nachodzić na siebie, i nie było w tym nic magicznego.

W następnej sali panował półmrok. Światło padało jedynie na potrzaskaną gablotę pośrodku, w której stała waza, i na róg pomieszczenia, gdzie jeszcze niedawno była ekspozycja z Molochem i piecem ofiarnym. Jej miejsce zajmowało coś, co Gil z początku uznał za kupę śmiecia pościąganego z całego muzeum w to miejsce. Nie.

— Baal Hammon — rzekł cicho Andrzej Gil.

Był to posąg, sklecony w pośpiechu z masy papierowej, kawałków drewna i gumy spiętych sznurem i taśmą, skrzepowanych w sztuczne ciało z wysuniętą ręką. Miał około metra wzrostu, wyraźnie zaznaczoną głowę osadzoną na długiej szyi, a z tej głowy wyrastało coś jeszcze, coś na kształt łagodnie zakończonego rogu. Kawałek styropianu. Postać w zamyśle twórcy miała siedzieć, ale jej tułów ginął w bezkształtnej bryle. Prawą rękę wyciągała, jakby miała coś chwycić. Andrzej Gil wiedział co. Pod ścianą leżała zakrzywiona kosa.

— Co to takiego? — zapytał Enka. Minę miał taką, jakby chciał strącić rzeźbie głowę.

— To Baal Hammon — szepnął Andrzej Gil — bóg Kartagińczyków. To jemu składano ofiary z dzieci. Mówiłem przecież, że nie ma czegoś takiego jak Moloch, imię oznacza nie bóstwo, ale typ rytuału, to wszystko...

A jaka to różnica?, mówiły oczy porucznika Enki. Być może wypowiedziałyby tę myśl na głos, gdyby nie rumor dochodzący z sali poświęconej Celtom. Najpierw zabrzmiały kroki, trochę śmiesznie i nierzeczywiście zarazem, jakby nagrane i puszczane z przyspieszeniem. Coś gruchnęło, zabręczało i zza drzwi wypadła chmura szklanych odłamków, potrzaskanych desek, gablot i eksponatów. Miedziane ozdoby, miecze, ogryzki hełmów i rękojeści spadły z hukiem, a na nich wylądował Tomasz Ofet z marynarskim workiem na plecach. Nie widzieli całej twarzy, tylko ciemny owal z półksiężycem rozdziawionych ust. Nawet na nich nie spojrzali, skoczył i odbił się od ściany, w miejscu, do którego Gil by nie sięgnął,



stając na palcach. Nim Enka uniósł pistolet, Ofet przesadził połowę sali i zniknął w korytarzu.

Enka popędził za nim. Ksiądz Gil został sam, jeśli nie liczyć totemu. W pierwszym odruchu chciał dogonić porucznika, zrobił kilka kroków, lecz znów stanął, przygnieciony bezradnością. Rozejrzał się, zrobił znak krzyża i pomyślał, że idąc na teologię, wszystkiego się spodziewał, tylko nie tego. Próbował przekroczyć kupę gruzu pośrodku, gdy dostrzegł, że spod hałdy szkła przebija coś ciemnego. Rozgarnął butem odłamki, pochylił się.

Był to miecz celtycki, długi na metr i łokieć, smolisty, o małej główki. Andrzej Gil podrzucił go w dłoni. Okazał się bardzo ciężki, a brzegi ostrza wystrzępione, ale wyważenie okazało się zupełnie w porządku. Gil wziął zamach, miecz opadł ze świstem. Dobrze.

Już w korytarzu, gdy biegł za Enką, pomyślał, że tej broni nie używano od co najmniej tysiąca pięciuset lat.

\* \* \*

Andrzej Gil zderzył się z porucznikiem Enką w drzwiach na parterze, z trudem wyhamował. Enka obejrzał się spokojnie. Ksiądz Gil stał za nim, jakby znieruchomiał w pół skoku, z otwartymi ustami i mieczem w prawej dłoni. Spojrzał na porucznika, na miecz i na porucznika ponownie. Próbował się uśmiechnąć. Enka poklepał go po ramieniu i pokiwał głową ze zrozumieniem.

Przed nimi ciągnęły się dwie sale połączone szerokim przejściem, pierwsza jasna, druga pogrążona w ciemności. Wewnątrz znajdowało się mnóstwo gablot i szarych plansz ze zdjęciami. Przy wejściu wisiał szeroki napis: „Mumie w świetle promieni X”. Anubis pochylał się nad faraonem.

Enka odsunął księdza Gila i poszedł pierwszy, z wyciągniętą bronią. Gil nie miał pojęcia, jak włada się mieczem, jak miecz należy trzymać, więc niósł go przed sobą niczym znicz olimpijski. Patrzyli na cienie za gablotami i same gabloty, pełne zmumifikowanych kotów, bandaży i masy muzealnego drobiazgu. Do tablic przyczepiono reprodukcje książek. Z powiększonych stron patrzyły przeświecone głowy, a Enka żałował, że nigdzie nie ma sznurka, którego pociągnięcie zwałoby na podłogę te wszystkie idiotyzmy.

Do drugiej sali, która z daleka wydawała się ciemna jak studnia, przez okno wpadało pomarańczowe światło latarni. Enka bezskutecznie spróbował zapalić świetlówki u sufitu, zaklął i poszli dalej, po jasnej, jarzeniowej plamie ciągnącej się od poprzedniego pomieszczenia. Ich cienie się wydłużyły, sufit ginął w mroku. Enka w pierwszej chwili myślał, że w gablotach, ułożonych prostopadle do ścian,

leżą poskręcane szmaty, ustawione tutaj ku upamiętnieniu starożytnego śmieciarstwa. Nie. To były mumie wyjęte z sarkofagów, po sześć z każdej strony, ułożone głowami do ścian – pokazywały Gilowi i Ence staroegipskie pięty.

Porucznik Enka szedł zygzakiem, lekko zgarbiony, intensywnie się rozglądając. Na zdrowy rozum nie było tutaj nikogo. Odwrócił się do księdza Gila, dał znak, że tu chyba czysto. Gil stał dwa kroki od wejścia, miecz oparł o podłogę i sam podobny był teraz do eksponatu. Enka jeszcze omiół wzrokiem pomieszczenie i zorientował się, że Gil patrzy na dwie szerokie tablice, zwisające z szyny pod sufitem.

Tablice, szerokie na metr z kawałkiem, schodziły ukośnie, a zimne światło z tyłu nadawało im złowrogiej czerni. Gil spostrzegł równocześnie dziwny kształt u sufitu, który mógł być szmatą, płataniną kabli, a okazał się Ofetem, wiszącym u szyny na końcówkach palców. Ksiądz Gil wskazał na niego mieczem, próbował krzyknąć, lecz gardło odmówiło mu posłuszeństwa. Trudno krzyczeć ze szczęką opuszczoną do pępka – nikt nie ma prawa tak wisieć, nie na słabej szynie i nie na opuszkach.

Enka też to spostrzegł. Wymierzył, ale nie strzelił. Ofet wisiał nieruchomo, ale ciemny kształt na jego plecach szarpał się gwałtownie. Enka zmrużył oczy, obniżył broń, wycelował w kolano. Nim szarpnął cyngiel, Ofet wybił się na rękach, tak że omal nie rąbnął głową w sufit, i dopadł szyny nad rzędem mumii. Gil nie mógł się nawet ruszyć – patrzył, jak Ofet gna po ścianie, niby trzymając się szyny, a tak naprawdę frunąc. Żarówki eksplodowały jedna za drugą, obsypując salę odłamkami szkła. Pękały dokładnie nad jego głową i zaraz zrobiło się jeszcze głośniejsze. To porucznik Enka pruć z pistoletu – pocisk roztrzaskał gablotę, drugi zarył się w ścianie. Nim Enka strzelił ponownie, Ofet wylądował w przejściu, za plecami księdza Gila.

Odwrócili się jednocześnie, Gil uniósł miecz, Enka wymierzył. Teraz nie mógł spudłować.

Tomasz Ofet stał, spowity bladym światłem. Wydawał się większy niż ostatnio. Unosił i opuszczał barki przy każdym oddechu. Enka najpierw myślał, że Ofet nosi woskową maskę samego siebie, bo nikt nie może mieć takiej skóry, błyszczącej, a zarazem nadgniłej, i źrenic, głębokich niczym studnia do wnętrza ziemi i równie jak ona pustych. Ta twarz zdawała się pochłaniać światło, wokół takiej twarzy nie sposób przejść, przy takiej twarzy strach umrzeć. Twarz z oczami wysysającymi życie.

Worek na plecach Ofeta znów się poruszył, linka zwisała teraz luźno i nad ramieniem mężczyzny wyrosła zasmarkana twarz dziewczynki. Czerwona szrama

biegła przez jej policzek, przecinała usta i ginęła pod brodą. Włosy wisiały w strąkach, te nad czołem wyrwano, pozostawiając fioletową skórę.

— Tato... — zabrzmiało.

Ofet uniósł dłonie.

Jednocześnie, jak szarpnięte za sznury, gabloty podniosły się do pionu. Dwie pierwsze runęły w chmurze kurzu, drewna i szkła, blokując drogę. Andrzej Gil przywarł do ziemi. Enka nie mógł się ruszyć – patrzył, jak Ofet odwraca się mechanicznie i pędzi w głąb muzeum, wzbijając się dwa metry nad podłogę. I zaraz, nim spostrzegł, co mu grozi, mumia, która wypadła przez szybę, uderzyła go w bark. Zatoczył się, a z lewej strony, Gil widział wyraźnie, nadciągnęła druga, mniejsza. Pistolet poleciał na ziemię, Enka, któremu właśnie podcięto nogi, wykonał niezdarny półobrót i upadł, osłaniając twarz. Na plecy runęły mu dwie plansze, potem kolejna mumia, i Andrzej Gil nie zobaczył już nic więcej.

\* \* \*

Pod sufitem paliło się światło. Gil leżał na boku i kątem oka widział nagą żarówkę. Wcześniej światła nie było, pomyślał, to dziwne, że światła same gasną i się zapalają. Dziwne też było to, że doktor teologii, choć upadł, nie wypuścił miecza, a w plecy gniotły nie biblioteczne tomy, lecz dwie mumie, teraz pozbawione głów. Gil obrócił się, zaklął, zupełnie nie po swojemu, bo też nigdy wcześniej najeżona gwoźdźmi decha nie wbijała mu się w bark. Stracił z siebie mumie – uderzyły głucho jak zwinięty dywan – niepotrzebnie opuścił dłoń na podłogę. Pocięła krew.

Podniósł się na kolana. W skąpym świetle widział zdewastowaną salę muzealną – dwanaście mumii leżało na poboju z drewna i szkła. Ofet oderwał szynę ze ściany po lewej, sterczała teraz, zgięta w pół, skierowana w stronę środka sali, podobna, z perspektywy Gila, do nagiej kości. Spod zasuszonych ciał wystawała dłoń porucznika Enki.

Ksiądz Gil, klęcząc na jednym kolanie, najpierw zrzucił z Enki zabalsamowany korpus, a za nim drugi – głowa potoczyła się w róg sali. Następnie cisnął za siebie szklaną tafłę, pilśń z tyłu gabloty, aż wreszcie chwycił porucznika pod pachy, pociągnął, znieruchomił. Tak nie można, nie targa się bezwładnego po tłuczonym szkłe. Oczy porucznika Enki błędziły po sali. Wydawał się miękki, jakby pozbawiony kości. Gil nim potrząsnął, a Enka zwymiotował.

Porucznik patrzył już przytomniej. Najbardziej dziwił go milicyjny sweter Andrzeja Gila. Głowę trzymał prosto, nie bez cudzej pomocy. Przeniósł wzrok na walające się mumie. Zwymiotował znów, na zasuszoną głowę.

— Pięknie — sapnął. — Gdzie mi do tego? — Odpluł. — Gdzie my jesteśmy?  
Tylko tego brakowało, pomyślał ksiądz Andrzej Gil.

— Gonimy Tomasza Ofeta — wyjaśnił pospiesznie. — Ma swoją córkę i jakby to dziwnie nie brzmiało, to nie do końca jest Ofet, panie poruczniku. Prawdę powiedziawszy, ani trochę.

Porucznik Enka skończył już rzygać, a w jego wzroku Gil dostrzegł przeblysk zrozumienia. Enka podniósł się ostrożnie, odtrącił pomocne ramię, a sił mu starczyło na drogę do drugiej sali. Osunął się po framudze i znieruchomiał z rozrzuconymi nogami.

— Zbychu! Panie poruczniku!

Enka machnął głową, wyciągnął rękę i opadł całym ciężarem na podłogę, ramieniem osłaniając twarz. Ksiądz Gil z początku nie wiedział, co Enka planuje uczynić. Spojrzał po linii jego wzroku. Między brązową ręką a listewką z gąbłoty leżał służbowy pistolet. Gil podniósł go tak, by nie dotknąć cyngla, i spróbował włożyć kolbę w dłoń porucznika Enki.

— Nie — mruknął Enka. Oparł się o ścianę. — Ja nie mogę.

Chwycił broń za lufę, pokazał, jak się odbezpiecza, i podsunął Gilowi przed nos.

— Ksiądz doktor weźmie — próbował się uśmiechnąć — nie dam rady iść, ksiądz się nie martwi. Inaczej nie da rady. Pozbieram się. Nie teraz.

Gil pokiwał głową, ale nie zabrał pistoletu.

— On jest w piwnicy — Enka mówił nieco płynniej — tam go ksiądz znajdzie. Musi ksiądz się spieszyć — machnął ręką — no już, już!

— Skąd pan wie? Że w piwnicy?

Enka wcisnął mu pistolet.

— Wiem i już. Coś mi mówi, trzeba tam iść. W piwnicy ten cyrk się rozkręcił, teraz trzeba zwijać budę. Ksiądz musi zwinąć. Ksiądz idzie. Teraz. Już.

Gil, nie bez wahania, wepchnął broń za pasek. Wykonał ręką nieokreślony gest, jakby chciał przycisnąć do siebie głowę porucznika Enki, ale tylko poszedł dalej. Enka krzyknął:

— Ksiądz idzie, tak jak my szliśmy! W dół klatką schodową. — I zaraz dodał, ciszej — teraz księdza Bóg naprawdę się przyda.

Gil przystanął, zawrócił i zabrał miecz leżący przy ścianie. Nie spojrzał już na Enkę, za to Enka nie umiał oderwać odeń wzroku. Póki mógł utrzymać głowę, patrzył na szczupłą, sprężystą sylwetkę, z mieczem w dłoni, spluwą sterczącą zza spodni i światłem spadającym na plecy. Uśmiechnął się bez szyderstwa i z tym

uśmiechem by został, gdyby nie skurcz żołądka, który wypchnął resztkę koniaku z powrotem na najpiękniejszy ze światów.

\* \* \*

Ksiądz Andrzej Gil ufał słowom porucznika Enki, tym bardziej, że nie miał innego wyjścia. Ufał do tego stopnia, że zszedł na dół, nie rozglądając się na boki. Niebezpieczeństwo czekało niżej. Strach dopadł go przed metalowymi drzwiami, zaraz po tym, jak zapalił światło. Wielki napis głosił „KOTŁOWNIA”, jakby Gil mógł mieć jakieś wątpliwości. Zdziwił się samemu sobie, bo pistolet wciąż spoczywał za paskiem. Zacisnął dłoń na mieczu. Uchylił drzwi i po omacku próbował włączyć światło. Ciemno.

Wreszcie znalazł kontakt. W pomieszczeniu wirował kurz.

Gil stanął w drzwiach – po lewej ciągnęły się niebieskie piece, gdzieś w głębi kapąła woda. Na podłodze walały się kable, uszczelki, wygięte rury i srebrne płyty folii, ścianę pokrywały ciemnobrązowe plamy. Spojrzał jeszcze za siebie i wszedł do środka. Z dwojga drzwi, po lewej i prawej, ziała ciemność.

Coś przemknęło za plecami księdza, miękko i szybko. Odwrócił się, miecz przeciął powietrze. Nie było już nikogo, ale coś się zmieniło. Gil rozejrzał się nerwowo. Zorientował się, że kapanie wody ustało, i w tej samej chwili spostrzegł ślad na podłodze. Czerwony i mokry. Schylił się, zamoczył palec. Nie miał wątpliwości.

Ślad – kilkanaście rozmazanych kropek – prowadził do ciemnego pomieszczenia po lewej stronie i Gil stracił resztki sił na samą myśl, że musi tam wejść. Nogi się pod nim ugięły, wsparł się na mieczu jak na lasce. Uniósł oczy ku sufitowi. Miał nadzieję, że Bóg go widzi, nawet przez grube mury muzeum archeologicznego. Dlaczego ja?, zapytał w myślach, nie ma już innych księży? Na Białym Prądniku msze odprawia karateka z czarnym pasem, więc może on albo kto inny? Młodszy, silniejszy, niepijący?

Stał chwilę, prosząc o znak, najchętniej ognistego anioła z nuklearnym mieczem albo przynajmniej chrystospluwą. Modliłby się dłużej, gdyby nie dostrzegł zielonej latarki wiszącej koło wejścia. Zdjął ją. Działała.

— Dzięki i za to — powiedział, wchodząc w ciemność.

Latarka dawała dobre światło, ale pierwsze, co Gil zrobił, to potknął się i wyrznął barkiem o czerwonawy komin przy ścianie. Zaklął, bynajmniej nie po chrześcijańsku, i ruszył dalej, w milczeniu. Co dzieje się z Enką? Wstał, zemdłał, czy dalej rzyga? Przydałby się tutaj, nawet nie po to, by Gila obronić. Jego głos rozegnałby upiorną ciszę, a z nią – zapach śmierci. Ale tylko na chwilę. Z każdym

krokiem powietrze stawało się gęstsze, aż ścisnęło za gardło, a gdy Gil dotarł do sali z obrysem zwłok na podłodze, osunął się przy ścianie. Miecz zabrzęczał o podłogę. Gil schylił się i zapragnął tak zostać.

Trupia pustka wokoło odbierała oddech. Tu nic nie ma prawa żyć, nie ma nadziei ani przyszłości, nie w tych czarnych ścianach, nie na drodze, którą przeszedł Moloch. Pijanym krokiem Gil poszedł dalej, podparł się ściany i co chwilę dziobał mieczem przed sobą.

Korytarz prowadził do kwadratowego pomieszczenia z podłogą najeżoną nogami od stołków, między którymi zwisała płatanina kabli. Gil dojrzał do metalowej drabinki, złapał oddech. Pokrywą uniósł nie bez wysiłku i już chwilę później stanął na cichym dziedzińcu, rozświetlonym przez księżyc. Dopiero tam przypomniał sobie, że w piwnicy nie było ani jednego szczura.

\* \* \*

Stał pośrodku muzealnego dziedzińca. Tłusty księżyc odbijał się w rzędach kwadratowych okien, posrebrzył miecz. Gil obrócił się bezradnie. Ofet mógł pójść wszędzie, choćby wspiać się po rynnie i skakać po dachach. Albo uciec z budynku, pognać na rynek, przez Sukiennice, wdrapać się na maszkarony i dalej. Ten świat należał do niego. Gil był tylko gościem.

Spróbował odzyskać oddech. Przymknął oczy. Wszystko, co mieli, to ślady, od samego początku. Konglomerat bzdur – kawałki gliny, gruzy z przeszłości. A jednak przyciągnęły ich tutaj, wbrew wszystkiemu. Powstała linia z pozornych przypadków, tak samo jak w niepojęty sposób splotły się losy księdza i milicjanta. Tak, pomyślał Andrzej Gil, a teraz trzeba przestać myśleć. Wciągnął nocne powietrze, a wraz z wydechem wyrzucił śmietnik ze swojej głowy.

Z zamkniętymi oczyma widział wyraźnie krwawoczerwony pasaż po lewej, jakby powietrze rozstało się przed ożywioną śmiercią. Podniósł powieki, a ślad pozostał jeszcze przez ułamek sekundy, pustka wysoka na dwa metry, wycięta w powietrzu. Nie, przeraził się, nie mogę tam iść. Rozłożył dłonie. Miecz w prawej, pistolet w lewej, odbezpieczony. Nie, nie mogę iść. Poszedł.

Zatrzymał się u progu ogrodu, pełnego zwirowanych alejek, ogrodzonego murem. Tu ślad się kończył i Gil prawie uwierzył, że Ofet – a raczej to, w co się przemienił – przesadził mur i uciekł. Ale nie, trupi, niewidzialny tunel skręcał w lewo, a gdy Gil się pochylił, spostrzegł czerwone drobinki na wylewce. Prowadziły do schodów i ginęły pod łukowatym przejściem do piwnic.

Bezradnie spojrział na miecz i pistolet. Potrzebował wielu rzeczy – Gruli z całym komisariatem, cudu, wiary, a najbardziej – trzeciej ręki. Zapalił latarkę i włożył ją

do ust. Szedł po śladach krwi, lecz już na dole schodów uniósł głowę. Próbował nie myśleć, przymknął oczy. Powietrze falowało, podobne do tłustej mgły. Przed oczami drżały czerwone żyłki. Korytarz skręcał i Gil z ulgą dostrzegł kontakt. Włączył światło, wepchał latarkę do kieszeni – z trudem, bo nie wypuszczał ani miecza, ani pistoletu.

Przyspieszył, ślad prowadził go przez korytarze. Stał przy jednym z pomieszczeń – to była cela z zakratowanym wejściem, sufit wisiał nisko, a na przeciwległej ścianie dyndały kajdany. Obok ktoś wstawił szary obraz przedstawiający człowieka w więziennym ubraniu, oczekującego zapewne na jakieś straszne wydarzenie. Cela śmierci.

Korytarz kończył się ślepym zaułkiem. Po lewej, pod sufitem, biegła gruba rura, obok niej wisiała krzywa tablica. „Miejsce straceń – czytał Gil, i zaraz zorientował się, że wypowiada słowa pełnym głosem – tu na nieistniejącej dziś klatce schodowej i w tym korytarzyku rozstrzeliwano w czasie okupacji hitlerowskiej członków ruchu oporu, ludzi ujętych w obławach i terrorystycznych łapaniach ulicznych”. Krwawe linie stężały, ślad, wcześniej rozedrgany, ściał się, Gila zgięło w pół, czuł ból niemal fizyczny, jakby jego nerwy złączył z innym ciałem, *trach*, kula za kulą, wchodzi miękko, penetruje ciało, wylatuje barkiem, kolanem, głową. Za wolno, pcha się przez organizm z morderczym uporem, tkanka po tkance, boli, nie pójdę. W głowie coś rozbłysło – Gil na moment miał dwadzieścia lat, był krawcem, tu go zgarnęli, a nim zabrzmiała salwa, przemienił się w dziewczynę, stał tu za ulotki, wiedział, co jest na każdej, słowo po słowie. Ognia!

Fala uderzeniowa trafiła Gila w środek pleców, poleciał na ścianę, stracił napis, nie upadł. Obrócił się jeszcze w locie, przygiął nogi. Wylądował miękko. Podniósł głowę i spojrzał na Ofeta, który kuczał pośrodku korytarza z workiem przerzuconym przez plecy. Krwawił z lewego boku. Enka jednak nie chybił.

Ofet uśmiechnął się ciemnością. Miał czarne oczy, ale bez błysku, oczy koloru błota. Zjadały światło. Gil szarpnął za spust, szczęk zamka zgiął w śmiechu Ofeta. Śmiech zdawał się dobiegać nie z ust, lecz z całego ciała – rechotały drobne palce, brzuch i serce, głucho i pusto. Ręka Ofeta zatoczyła łuk, strumień powietrza wytrącił Gilowi pistolet. Broń rąbnęła o ścianę, a miecz spadł u stóp księdza Gila.

Gil próbował zebrać myśli – że jest źle, wiedział już wcześniej, jeszcze chwila, a Ofet sam wepchnie mu miecz do gardła. Znów odpłynął, na bardzo krótko. Migawka za migawką, najpierw błysnęły kobiece dłonie, za nimi majaczył cień posągu. Zabrzmiał płacz dziecka, ogień buchnął z węglowej mordy starożytnego pieca. I już, umysł Gila popędził dalej, przez płacz rozdartych ziem, sunął po kolana w krwi królów, przez lasy krzyży, odrąbane dłonie, języki szarpiące się w gorących szczypcach.

— Nie — powiedział ksiądz Andrzej Gil.

I Moloch przemówił.

— Znam was — głos szedł przez korytarz, martwe słowo — was dwóch, a naprawdę jednego.

Gil nie odpowiedział.

— Widywałem was wcześniej — mówił Moloch. — Razem, we troje, we dwóch, w samotności. Jesteśmy sercem świata. Teraz, niedługo — zacisnął dłoń na pasku marynarskiego wora — to serce zabije moim rytmem. Moje dzieci, ostatnie z nich. To teraz, musicie wiedzieć. Teraz. Już.

Nie wolno mi go słuchać, pomyślał Gil, demon zawsze przegada człowieka.

— Głodne kawałki — rzucił wbrew sobie. Moloch nie słuchał.

— Przy następnym spotkaniu będziesz już kimś innym i nie poznamy się nawzajem. Nie widzisz nawet siebie, jak chcesz zobaczyć mnie? — Moloch wstał. — Pokażę ci.

Zimna pięść powietrza pomknęła w stronę księdza Gila, uderzyła bez dźwięku. Gil widział wyraźniej niż wcześniej. Dziecko w kobiecych dłoniach. Gorąc pieca, skwierk ciała w ogniu. Ręce zastygły, jakby przyszło spóźnione wahanie. I znowu jazda, księdzem targnęło, sunął metr nad ziemią, nad kolumną ludzi gnanych przez pył i rozpacz, ludzi, który opuścili domy, trawowali się nawzajem. Ogień szedł od południa trzymetrową falą i zaraz wszystko zniknęło. Gil opadł na spaloną ziemię. A ogień szedł dalej, na wschód w stronę domów, drżących w gorącym powietrzu.

Znów piec, tym razem wygaszony. Coś chlupotało na jego dnie. Z komory wyciekła szeroka struga krwi i popłynęła tuż obok księdza Gila. Spojrzał za nią, spływała w dolinę, między spokojne osiedla ludzkie. Z tej krwi wyrastali królowie i kurtyzany, rycerze w czerwonych zbrojach, sędziowie i mędrzy. Oto potęga krwi Dawida i Izraela, a zarazem zapowiedź przyszłości. Gil już rozumiał, ofiara rozpoczęta wiele lat temu teraz się uobecnia. Przewidział konsekwencje. Znał je każdy, kto słyszał o upadku Izraela. „Jesteśmy sercem świata – mówił Moloch – to serce zabije moim rytmem”. Gil opuścił miecz.

Teraz widział matkę już wyraźnie – stała naprzeciw niego z dzieckiem w dłoniach, a Gil chyba klęczał, bo głowę miał mniej więcej na wysokości jej brzucha. Matka była naga do pasa. Zacisnęła usta i płynnym ruchem włożyła dziecko Gilowi do ust. Przeszło bez wysiłku, czuł, jak sunie przez żołądek, i nagle z gardła i nosa buchnął mu płomień. Dym owiał twarz. Otworzył oczy. Widział zarys korytarza i ciemną sylwetkę z garbem. Oparł się na głowni miecza.

Moloch znów nacisnął, Gil zadygotał. „Jest nas dwóch, ale jesteśmy jednym”. Może to kłamstwo, lecz jakie to ma znaczenie? Jest nas jeden. I nie wiadomo, czy



ta myśl dała mu siłę, czy gdzieś na górze Enka skończył wymiotować i myślał tylko o jednym – żeby Andrzej Gil dał radę. A Andrzej Gil nie da rady, bo jest zwykłym księdzem z głową do książek, a nie walki, pasterzem liter, a nie owiec, żadnym tam bohaterem, tylko moczymordą. Zaczynał jednak rozumieć, że sam staje się częścią wizji, częścią historii śladu sprzed trzech tysięcy lat.

— Nie — powiedział ksiądz Andrzej Gil.

Czoło Molocha przecięły dwie skrzyżowane żyły. Z rykiem wybił się w powietrze, pomknął pod sufitem, prosto na księdza Gila. Ksiądz Gil nie był już sam, ale to nie Enka przyszedł mu z pomocą. Mógł przysiąc, że miecz idzie do góry pchany siłą dziecięcych rączek. Każda słaba, razem zdołały go unieść. Duchy pomordowanych unosiły się wokół głowni, popychały ostrze, a gdy Moloch spostrzegł, co się dzieje, było już za późno. Zdołał wykręcić się w locie i miecz, wymierzony w serce, wbił się niżej, otarł o żebra. Zajęczał kręgosłup.

Moloch przygniótł księdza Gila do ziemi. Tym razem krew była tu i teraz, całe mnóstwo krwi. Sweter przemókł Gilowi w okamgnieniu, z ust Molocha buchnął czerwony strumień. Gil zamknął powieki, a gdy je otworzył, zobaczył, że oczy Molocha bledną, źrenice zwężają się, ustępując miejsca niebieskim tęczęwkom. Ciałem Ofeta targnęły skurcze, miecz zadzwonił o podłogę. Gil wysunął się spod niego ostrożnie, kucnął. Ofet drżał cały, krew zalała korytarz, aż po ścianę straceń.

Ksiądz Gil spojrzał na swoje zakrwawione dłonie i mokry sweter. Stał tak chwilę, próbując zrozumieć, co właściwie się stało. I nagle przypomniał sobie o najważniejszym. Dopadł marynarskiego worka, rozluźnił węzeł. Dziewczynka otworzyła lewe oko, prawe zginęło pod napuchniętym łukiem brwiowym. W pierwszym odruchu Gil chciał przytulić dziecko do piersi. Pomógł mu wyjść i na rękach wyniósł z korytarza.

— Nic, kochana, nic, wszystko dobrze — powtarzał. — Nie patrz, tu nie można patrzeć.

Dziewczynka rozejrzała się po podziemiach.

— Tata...?

Na schodach zabrzmiały kroki.

\* \* \*

Porucznik Enka szedł przez opustoszałe, ostatnie piętro komendy wojewódzkiej. W mundurze, z czapką pod pachą i bandażem na głowie mijał obite na czerwono drzwi, deptał wyblakłą wykładzinę. Na drzwiach, które otworzył, brakowało wizytówki. Tłuściutka sekretarka poderwała się z krzesła. Miała bielusięnką skórę i dekolt, w którym chlupotał obfity biust.

— Do obywatela komendanta — powiedział porucznik Enka. Przedstawił się. Sekretarka zanurzyła nos w terminarzu, po czym zaburczała do terminala:

— Zbigniew Enka do pana komendanta!

Czekali chwilę w ciszy. Z terminala zabrzmiało zduszone:

— Puścić!

Komendant rezydował w słonecznym pokoju. Światło padało na niewyraźne czarno-białe zdjęcia, rzędy dyplomów, rozwścieczonego orła na godle państwowym, biurko z dwoma telefonami i kostką terminalu, wreszcie spływało na pofałdowany kark mężczyzny za biurkiem. Komendant przechadzał się za blatem, w pomiętym mundurze i rękami wciśniętymi w kieszenie. Nim Enka zdążył się odezwać, wskazał mu miejsce. Enka usiadł.

— Obywatelu pułkowniku, wydaje mi się, że rozumiem... — zaczął Enka. Komendant uciszył go nerwowym ruchem ręki. Maleńkie oczka zmrużył jeszcze bardziej, tak że upodobniły się do czarnych kreseczek. Zapalił i przyciągnął popielniczkę do siebie.

— Nic nie rozumiecie — powiedział. — Ja nic nie rozumiem, więc nie mam pojęcia, jak wy moglibyście zrozumieć cokolwiek. Mam córkę idiotkę, tak wam powiem, i chciałem ją pchać na jakieś ciche studia, a może i do zawodu, nieważne. A ptaszek mój się naoglądał jakiejś kwadratowej bzdury, coś, gdzieś, facet z batem i w kapeluszu ugania się za żydowską skrzynią i odtąd nic tylko: „Tato, archeologia, archeologia”. Dalej nie rozumiecie, nic a nic, prawda? To ja wam rozjaśnię, baranie, że trzy lata chodziłem i jej to wychodziłem. Korepetycje brała, egzamin zdać pomogłem, takiemu mądrali od łupek czy czegoś musiałem konto czyścić, bo lubił nie tylko gruzy, ale i chłopczyków, udało się wreszcie i pchała te studia jak żuk kulkę gnoju, ale już nie pcha i nie popcha. Nie rozumiecie? A jakeście wywracali w muzeum wszystkie mumie, toście rozumieli?

Głos komendanta się załamał.

— Ale jaki... — spróbował Enka. Czerwony na twarzy komendant opadł łapami na biurko.

— Dyrektor muzeum, jak słyszałem — ciągnął komendant — wcale nie dostał zawału, kiedy zobaczył, co się wyprawiało w muzeum, zasłabł dopiero, jak przypomniał sobie o wizycie międzynarodowej z bratniej Syrii, a gdy ktoś nieopatrznie mu zdradził, że cały ten burdel zawdzięcza oficerowi Milicji Obywatelskiej — wyrecytował ostatnie sylaby — to ocknął się dopiero na intensywnej. A pan dyrektor, srał go pies, jest przyjacielem szefa całej archeologii na UJ — wymawiał to jak „łujot” — co by mnie gównem obchodziło, gdyby nie to,

że jest starym kumplem Szefa, tylko że to znaczy, że mój ptaszek wyfruwa stamtąd na bruk, a ja nic nie mogę zrobić. Może wy możecie?

Enka rozpaczliwie szukał w głowie rozwiązania, przywoływał wszystkie potencjalne znajomości Anki. Komendant nie dał mu dojść do słowa.

— Więc Syryjczycy zawinęli się i poszli z całym swoim bajzłem, córę mam na lodzie, dyrektora muzeum w szpitalu, a was przed sobą! — wrzeszczał. — Jesteście idiotą, Enka, a ja jestem wobec waszej głupoty bezbronny. Gdybyście chociaż byli złym człowiekiem, ale nie, wy jesteście po prostu kawał durnia. Bałwan. Kretyn. No, słucham was teraz! Co macie do powiedzenia?

— Ja...

— No tak. — Komendant sięgnął po papier zapełniony gęstym pismem maszynowym. — Zostałem zobowiązany — nagle wydał się być na granicy płaczu — do udzielenia wam pochwały za ujęcie porywacza — podbródek mu zafalował. Komendant patrzył w przestrzeń. — Był to aktywny członek politycznej organizacji o charakterze przestępczym. Obecnie, jeśli was to interesuje, obywatel Ofet przebywa na oddziale zamkniętym i dotrzeć do niego nie sposób. W każdym razie, skoro miałem udzielić pochwały, to uznajmy ją za udzieloną. Macie się zgłosić do departamentu odznaczeń. Tam — wycedził — otrzymacie swój piękny medal.

Enka nabrał powietrza.

— Odmaszerować! — ryknął komendant i odwrócił się do okna. Enka zasalutował i odszedł bez słowa.

— Dobra robota, panie poruczniku — odezwała się sekretarka. — Cała Polska o tym mówi. Telewizji pan nie ogląda?

Porucznik Enka mełł papierosa w palcach.

— Mogę tu zapalić? — zapytał i wyszedł, nie doczekawszy się odpowiedzi. Z camelem w ustach pokonał cały korytarz i schody, pchnięciem otworzył drzwi na zewnątrz. Słońce prażyło mocno, w takie dni nie sposób pomyśleć, że wydarzy się cokolwiek złego.

\* \* \*

Doktor Mariusz Michałowski poluzował krawat. Pomimo rolet w oknach i klimatyzacji do sali konferencyjnej wlewał się gorący syryjski lato. Michałowski, który zupełnie inaczej wyobrażał sobie pobyt w ciepłych krajach, siedział wśród kilkudziesięciu innych nieszczęśników i zachodził w głowę, jakim cudem prelegent wytrzyma w grubym dwurzędowym garniturze. Znad nakrochmalonego kołnierzyka powinna wystawać najwyższej uwędzona głowa.

Na wielgachnym blacie, przed prelegentem, wały się pradawne drobiazgi – fragmenty rękojeści, skorupki, zwykły gruz. Prelegent mordował się z rzutnikiem i angielszczyzną. Z pierwszym szło mu lepiej, z drugim znacznie gorzej.

— Żydowska szkoła stosunku do eksponatu zmarnowała wiele możliwości — mówił. — Mam na myśli zwłaszcza zakaz wchodzenia z nim w bezpośredni kontakt. A na tym przecież polega metoda identyfikacji, a także spełnia się misja naukowca. Tutaj — uśmiechnął się — mam dla państwa coś szczególnie ciekawego.

Spod stołu wydobyl wazę z ukruszonym brzegiem, osadzoną w metalowej obejmie.

— To jeden z najcenniejszych eksponatów muzeum w Damaszku, dzban ze szczątkami ofiary całopalnej. Panowie zobaczą — włożył wazę w ręce zdeorientowanego Rosjanina w pierwszym rzędzie — proszę, proszę, śmiało.

Rosjanin znieruchomiał, popatrzył badawczo na prelegenta. Ostrożnie opuścił wazę na blat przed sobą, ale jej nie puścił. Wytrzeszczył oczy.

— Jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że w Polsce próbowano niedawno lansować tezę, jakoby Moloch był osobnym bóstwem, a nie typem rytuału. — Wbił wzrok w Michałowskiego. — Takie poglądy wypływają od czasu do czasu, ale myśmy tę tezę tutaj dawno obalili. Ciekawostka, powiedziałem, bo tezę tę lansuje jakiś ksiądz polski, który pisał coś zupełnie innego w swoim doktoracie. — Zwrócił się do znieruchomiałego Rosjanina — proszę to podać dalej.

Rosjanin przekazał wazę syryjskiemu profesorowi, on podał ją następnej osobie, aż dotarła do Michałowskiego. Doktor Michałowski trzymał ją długo, a gdy przekazał w czyjeś dłonie, pojął, że wieczór wcale nie musi być stracony. Zgarbił się, zamknął oczy, a waza, w całkowitej ciszy, krążyła z rąk do rąk.

# Ogień i blask

*Wieczny ogień i blask i ciągły bieg, bieg pod wiatr*

*Zdzisława Sośnicka, Serce pali się raz*

Jeden żołnierz grzebał w ziemi kolbą karabinu, drugi palił. Milczeli. Dochodziła dziewiąta, pociemniało, ale żar nie ustąpił. Za ich plecami ciągnął się rzadki las, przecięty ogrodzeniem z drutu kolczastego. Dalej majaczyły groszkowozielone budynki. Kilkadziesiąt metrów na prawo biegła droga z szerokich betonowych płyt, którą – w czasach lepszych dla Armii Czerwonej – tanki zasuwały aż miło. Teraz żaden odgłos nie mącił ciszy.

Żołnierze siedzieli na obalonym słupie. Przysadzisty trzydziestolatek o ziemistej cerze i ciemnych oczach palił, ściskając papierosa kciukiem i palcem wskazującym. Ekwipunek wisiał mu na poluzowanym pasku jak zbędny balast, mundur miał rozpięty, a koszulkę w paski poplamioną; trzonek łopatkii saperskiej był ułamany. Strzepnął popiół, otarł pot z czoła i spojrzał zmęczonym wzrokiem na kolegę. Ten wciąż dłużył kolbą. Ściągnął już furazerkę, koszula wychodziła mu ze spodni, podwinięty lewy rękaw odsłaniał pajaka wytatuowanego słabym niebieskim atramentem. Z szerokimi barkami, wydatną szczęką i jasnymi włosami zaczesanymi na bok przypominał szeregowego kagiebię z filmów o Jamesie Bondzie. Wreszcie przestał się bawić kolbą, pociągnął łyk z manierki. Otrzeptało go. Podniósł oczy. Żołnierze popatrzyli po sobie. Ten o ciemnej karnacji cisnął niedopałek na trawę, wydobył kolejnego papierosa, wziął, nie bez wahania, manierkę od blondyna i już chciał się napić, gdy z lasu dobiegł krzyk, jakby kogoś na pół rozdarło. Poderwali się jednocześnie i jednocześnie znieruchomieli, z kałasami wycelowanymi gdzieś między drzewa. Blondyn pobladał trochę, przełknął ślinę. Ten ciemniejszy tylko pokręcił głową i przeładował.

Ruszyli bez pośpiechu. Blondyn wydobył prostokątną latarkę, poświecił po pniach. Nic. Znów spojrzeli na siebie. Obalony słup zniknął w ciemności. Lampa przy płocie migotała na ciemnopomarańczowo, ale nie chciała się zapalić. Śniady westchnął. Przystanęli. Czoła błyszcząły im od potu, blondynowi na *tielniaszce*

wykwitła ciemna plama. Podłubał przy latarce, zapewne chcąc wzmocnić blady strumień światła.

Jasnoczerwony blask spłynął na nich niespodziewanie, jakby właśnie eksplodowało słońce, wprost z koron drzew. Gdzieś z głębi lasu dobiegał szelest uciekających zwierząt. Żołnierze zaczęli strzelać, seria poszła w oślepiająco jasne niebo. Runęli, jakby im kto nogi podciął, na kolana, na twarz, bez oddechu. Znalezione ich o świcie. Nikt nie odważył się wyjść z bazy wcześniej.

Oficer, który nadzorował wynoszenie ciał, usiadł na obalonym słupie, załamał ręce i wbił przerażony wzrok w pylistą ziemię. U jego stóp widniał duży napis wydłubany kolbą karabinu, jedno słowo powtórzone trzykrotnie, grażdanką: „Ptica”.

\* \* \*

Na sali stało sześć ławek w trzech rzędach. Student trzeciego roku Krystian Kajewski mówił i nie mógł skończyć, a ksiądz doktor Andrzej Gil kiwał się na krześle. Za jego plecami krzyż rozpościerał drewniane ramiona. Ksiądz Gil mógłby przysiąc, że tego dnia Zbawiciel umarłby nie od biczów i krzyża, lecz od gorąca. Ogromne słońce wlewało się przez otwarte okna Papieskiej Akademii Teologicznej; Gil, ubrany w czarną koszulę z koloratką, szare lniane spodnie i półbuty, dosłownie zalewał się potem, a Kajewski przeciwnie – machał rękami, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie ma to jak klimat umiarkowany i że zaraz golnie sobie ciepłą setkę żołądkowej gorzkiej.

Ksiądz patrzył na Kajewskiego z mieszaniną przerażenia i politowania, próbował też nie słuchać jego słów. Wciąż pamiętał, że studia skończył nie bez cudzej życzliwości, i może dlatego cztery dni po zamknięciu sesji wysłuchiwał tego wychudzonego hipisa w sztruksowej marynarce i białej koszuli z krawatem w papugi, który, uwiązany pod nakrochmalonym kołnierzykiem, przypominał Gilowi ubitego szczura. Kajewski miał półdługie włosy opadające w strąkach na dziewczęcy kark, rzadką bródkę i zęby, które żadnym sposobem nie chciały zmieścić się w wydatnych wargach.

Kajewski mówił głosem miękkim jak glina, a ksiądz Gil pławił się w bezbożnych myślach. Mógłby wyjąć z torby Pismo Święte i przywalić Kajewskiemu na odlew, a ten runąłby w deszczu własnego użębenia. A gdyby tak bliźniego oszczędzić i samemu oknem skoczyć? Sala mieściła się na drugim piętrze, ale – dzięki Ci, Boże – to stare budownictwo i jeszcze podwórko brukowane, toteż gdyby Gil poleciał na łeb, zabiłby się niezawodnie. Życie księdza Gila ocaliła myśl o trzech eksportowych okocimiach czekających w lodówce,

zaplanowanym urlopie i wydaniu krytycznym tekstów z Qurnran w teczce, gotowych do czytania.

— W konsekwencji tego wszystkiego możemy przyjąć — Kajewski dobrnął do puenty — że wizja Ezechiela stanowi najbardziej dobitny przykład ingerencji kosmitów w historię ludzkości, jeśli nawet rysunki z Nazca i wiedzę Dagonów uznamy za kanoniczne.

Zamilkł i wbił wzrok w księdza Gila. Gil zaś pogładził się po brodzie, po czym przejechał chusteczką po czole i zapadniętych policzkach.

— Dobrze... — zaczął. — Pan mi się podoba, lubię uważnych studentów. Usłyszał pan, gdy na pierwszych zajęciach mówiłem, że nie trzeba na nie uczyć, no bo ponownie widzę pana dopiero w tej chwili. Musiał więc pan również zanotować, że w odróżnieniu od lat poprzednich tegoroczny egzamin będzie nieco bardziej poważny.

Kajewski zrobił nieszczęśliwą minę.

— Niech pan się nie przejmuj, pana koncepcja mi się podoba! — Ksiądz Gil oparł łokcie o blat. — Zetknąłem się z nią chyba w ufologicznych samizdatkach i cieszę się, że pan i ja czytamy to samo. Chciałbym jednak podnieść dwie drobne kwestie. Zważywszy na to, że podjął pan studia na Papieskiej Akademii Teologicznej, miłym ukłonem z pana strony byłoby — w głosie Gila brzmiało zmęczenie — gdyby pan uwierzył w Boga przynajmniej na pół godziny, kiedy tu sobie rozmawiamy, biorąc pod uwagę, że jest to egzamin z biblistyki. — Podparł się prawą ręką, kciuk i palec wskazujący przyłożył sobie do powiek. — Ja także słuchałem pana uważnie i muszę powiedzieć, że są koncepcje alternatywne w stosunku do tej, że Sodomę i Gomorę zniszczyła bomba atomowa, Arka Przymierza była radiem do nieba, a królowa Saba olbrzymką. Wyłożył się pan na głupstwie, Izajasz i Jeremiasz to mimo wszystko nie to samo, no ale jeszcze mogą to zrozumieć, bo imiona są podobne. Muszę też nadmienić, że Jonasza zjadł wieloryb, a nie wielka ośmiornica, tu różnica jest trochę większa, a pana pomyłka może wynikać z tego, że lekturą obowiązkową była profesor Świderkówna, a nie Erich von Daeniken.

Popatrzyli po sobie.

— Myślę, że umówimy się następująco... — Gil przerzucił indeks, zamknął go i pchnął w stronę Kajewskiego. — Przyjdzie pan tu we wrześniu, po dogłębnej lekturze Starego Testamentu i tekstów pomocniczych, zda pan śpiewająco, a ja wpiszę panu ocenę z pierwszego terminu. — Westchnął i spojrzął za okno. — Nie ma to jak lektura Pisma nad wodą, więc wierzę, że wakacje będzie miał pan udane, czego panu serdecznie życzę.

Kajewski jakby nagle zmałał, szyja zniknęła mu między ramionami. Wstał z ociąganiem, wepchnął indeks do kieszeni marynarki i podziękowawszy sucho, poczłapał do wyjścia. Gil nie mógł oderwać wzroku od wielkiej zielonej plamy na jego spodniach, w miejscu, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę. Już składając papiery do teczki, pomyślał, że, zaprawdę, żyjemy w czasach ostatnich, lecz gdyby studia na PAT nie zwalniały ze służby wojskowej, przypadki w rodzaju Kajewskiego zdarzałyby się rzadziej.

\* \* \*

Książ Gil mijał bielusińskie ściany, ciemne okiennice i zasepione, kredowobiałe twarze kolegów profesorów. Z naprzeciwka mknął dozorca Marian Żółtek, w przepoconej żółtej koszuli non-iron, świetnie współgrającej z brązowymi stylonowymi spodniami, sandałami ze skaju i skarpetami w mdłym cielistym kolorze. Nad zaaferowaną twarzą Żółtka, niczym czarny żagiel, łopotała zaczeska. Żółtek dopadł księdza Gila i uwiesił się na nim, próbując złapać oddech.

— Rany Boskie — wykrztusił — przyszli po księdza profesora...

Gil domyślił się, że w oczach Mariana Żółtka każdy wykładowca jest profesorem i że on, Andrzej Gil, jest tym, po kogo ktoś przyszedł.

— Niech pan się nie denerwuje, panie Marianie — powiedział łagodnie. — Pan się uspokoi i powie, o co chodzi.

— Jak mam być spokojny?! — dyszał Żółtek. — Jak tutaj esbe przyjechało. Czekają, czekają na księdza profesora! Jeden taki tu za księdzem rozpytuje, a na ulicy dwóch innych czeka, w cywilu, ale jednego sukinsyna — zawiesił głos i spojrzał na Gila — tom kiedyś widział w mundurze, a takich mord się nie zapomina.

Gil zerknął za okno. Wychodziło na podwórze. Podrapał się po podbródku, spojrzał jeszcze raz na przerażonego Mariana i wypalił:

— To pewnie nic takiego.

— Nic takiego, nic takiego! — Żółtek chwycił Gila za przegub i pociągnął w dół, po schodach. — Ja tam księdza profesora w trumnie oglądał nie będę — wyrzucił z emfazą i Gil poczuł mdły zapach alkoholu. No, po prawdzie to nie taki znów mdły... — Dziekan już wie — szeptał konspiracyjnie Żółtek. — Przejdziemy piwnicami do pałacu biskupiego i dalej, księżę profesorze, jest korytarz aż do muzeum archeologicznego, tam książ profesor wyjdzie, nic się księdzu nie stanie.

Gil próbował się zatrzymać, ale Żółtek ciągnął go nieubłaganie, aż dotarli do piwnic.



— Starczy nam ten pałac biskupi — mruknął Gil.

Dozorca mordował się z pękiem kluczy. Zupełnie nie umiał dać sobie z tym rady, obracał kluczyk za kluczykiem, mamrocząc coś pod nosem. Splunął, obejrzał się z trwogą w małych oczach i wreszcie znalazł ten właściwy. Metalowe drzwi otworzyły się, ku zaskoczeniu księdza Gila, zupełnie bezgłośnie. Ceglany korytarz był tak niski, że Gil musiał się schylać. Żółtek pchnął go naprzód, w ciemność. Zapalił światło.

Ruszyli szybkim krokiem, mijając ściany z czerwonej cegły, jak nic pamiętające czasy Jagiellonów. Co kilka kroków Gil próbował przystanąć, by przyjrzeć się namokniętym płaskorzeźbom. Chciał sprawdzić, czy to, co wala się w pyłe, nie jest pękniętą głownią albo renesansową broszką, ale z panem Żółtkiem nie było gadania. Studenci Papieskiej Akademii Teologicznej wiedzieli to od dawna. Teraz tę wiedzę posiadał również ksiądz doktor Andrzej Gil.

Marian Żółtek pchał go bezceremonialnie przed sobą, nie pozwalał zwolnić, powtarzał, że z tymi sprawami to żartów nie ma, że trzeba pamiętać o tym, co spotkało księdza Jerzego, bo te bydlęta są zdolne do najgorszych potworności i on, Marian Żółtek, też bardzo się boi, bo może mieć mniej szczęścia niż Waldek Chrostowski. Właśnie Chrostowskiego wspominał po raz trzeci, gdy przystanęli przy następnych drzwiach z żelaza i Żółtek znów wymamrotał coś pod nosem, szukając właściwego klucza.

Brudny korytarz prowadził ostro w górę, do składziku pełnego plakatów pozwijanych w luźne rulony, krzesel bez nóg, Chrystusów bez rąk i całych pak broszurek drukowanych na cienkim papierze. Z niepojętych dla Gila przyczyn w rogu znajdowało się ogromne godło – orzeł bez korony i z mordą tak wściekłą, jakby właśnie szykował się do rozszarpania Narodu na strzępy. Wyjście z korytarza, którym przyszli, maskował brudny panel. Znów Żółtek nie pozwolił mu się rozejrzeć, tylko popchał w stronę maleńkich drzwiczek. Raptem przystanął i zaczął się Gilowi przyglądać.

— Jeszcze jedno — rzucił. — Koszule.

Nim ksiądz doktor pojął, co się święci, Marian Żółtek stanął półnagi, z cuchnącą koszulą non-iron w wyciągniętej dłoni. Odzienie przypominało szmatę wyciągniętą krowie z gardzieli.

— Nie może ksiądz tak wyjść — rzekł Żółtek — nie w koloratce. Nie w swojej koszuli. Ksiądz założy moją.

Andrzej Gil spojrzał zrozpaczonym wzrokiem na Żółtka, potem na orła bez korony, jakby w widoku wściekłego dziobu można było znaleźć ukojenie. Pomyślał o tych wszystkich okropnościach czekających w kazamatkach służby bezpieczeństwa; pałki, światło w oczy i wyrywanie paznokci wydały mu się

pieszczotą w porównaniu z perspektywą założenia Żółtkowej koszuli. Bardzo powoli zdjął koloratkę, rozpiął guziki, po czym znieruchomiał. Wciągnął powietrze ustami i przebrał się błyskawicznie, koloratkę schował do kieszeni. Żółtek tymczasem zapiął czarną koszulę Gila pod samą szyję.

Na rozpalonym dziedzińcu rozmawiało dwóch młodych księży. Jeden, młodsza wersja Andrzeja Gila, miał twarz nieprzyzwoicie bladą jak na takie upały, patyczkowate ramiona i króciutką brodę typu „zdeprawowany prokurator”. Stał niemal na baczność i kiwał głową, zasłuchany w mądrości korpulentnego kolegi. Kiedy dwie postaci, dość dziwnie, zwłaszcza jak na to miejsce, wyglądające przecięły dziedziniec szybkim krokiem, młodzi księża popatrzyli za nimi zdumieni.

Zatrzymali się przy sklepionej bramie. Żółtek dał Gilowi znak, żeby się nie ruszał, następnie dozorca spojrzął i powiedział:

— No, niech ksiądz sam zobaczy. Tylko ostrożnie, proszę.

Przed Papieską Akademią Teologiczną stało dwóch studentów w peweksowskich dzinsach i okularach typu Cobra, nadających im wygląd ogromnych much. Gaworzyli w najlepsze z dziewczyną w zwiewnej sukience i jeden musiał powiedzieć coś naprawdę zabawnego. Aż zgięło ich wpół ze śmiechu. Gilowi wcale nie było wesoło.

— Esbecy, tak? — marszcząc brwi, odwrócił się do Mariana Żółtka, który zgarbił się i rozłożył bezradnie dłonie. Wyglądał tak nieszczęśliwie, że Gil natychmiast stracił chęć na awanturę. — Dobrych wakacji życzę i dziękuję. Proszę dbać o tę koszulę. — Uścisnął spoconą rękę dozorca. — Bóg zapłać za wszystko.

Marian Żółtek pokiwał kwadratową głową, a w jego oczach mignął błysk zrozumienia – może rzeczywiście się pomylił? Schował ręce w kieszenie i powędrował w głąb pałacu biskupiego, a gdy dotarł do bramy, Gil szedł już w stronę placu Wszystkich Świętych, cuchnąc jak stajnia i modląc się, by nikogo nie spotkać. Nabrał nawet przekonania, że mu się uda.

— Chwiileczkęęęę — zabrzmiało. Na plecy Gila spadł chłód. Odwrócił się i dostrzegł porucznika Enkę sunącego truchtem w jego kierunku. Porucznik Enka miał papierosa w ustach, adidas i jasne dzinsy. Spod rozpiętej koszulki poło wystawała plątanina czarnych włosów. Porucznik był owłosiony od stóp do głów i Gil pomyślał, że gdyby przyłożyć doń zapalną, zmieniłby się w słup ognia. Wzdrygnął się.

— Niech będzie pochwalony — wykrztusił, żałując, że nie ma akurat zapalną. Nie mając także alternatywy, uścisnął wyciągniętą doń rękę.

— Ehm... — Enka skinął głową. — Dzień dobry, księżu doktorze. Wszędzie księdza szukam. Poszedłem na uczelnię, ale macie jakiegoś niekumatego ciecia, minę na mój widok miał taką, jakby zobaczył samego diabła. Rzucił do mnie, że

księdza poszuka, i tyle go widziałem... — Urwał i wbił wzrok w koszulę non-iron. Nagle wszystko zrozumiał i rozplątał się w uśmiechu.

— To co? Siądziemy gdzieś sobie? Fajna koszula...

\* \* \*

Przed porucznikiem Enką stała szklanka po mrożonej kawie. Ksiądz doktor Andrzej Gil dopijał wodę mineralną z cytryną. Siedzieli u Noworola, secesyjnej kawiarni przy Sukiennicach, pełnej czerwieni i pobielanych ornamentów. Tu nie docierało słońce. Półmrok pogłębił cienie pod oczyma księdza. Porucznik Enka wygrzebał camela, ubił na stole. Wyglądał, jakby zaraz miał przeproszać za wszystkie nieprawości swojego resortu, Gil z kolei sprawiał wrażenie, że ostatnim, czego potrzebuje, są przeprosiny. Ponownie otarł czoło. Wyraz jego twarzy mówił, że nie wierzy i nie rozumie.

— Spróbujmy to jakoś podsumować — rzekł z wysiłkiem. — Gdybym pana porucznika nie znał, myślałbym, że to prowokacja, zresztą najgłupsza, o jakiej słyszałem. Więc jeśli dobrze rozumiem, mam jechać w ciemno do jakiegoś Sulejówka...

— Sulejchowa — wtrącił mechanicznie porucznik Enka. Zapalił i odchylił głowę, by nie dmuchać Gilowi w twarz.

— ... Sulejchowa, gdzie w pobliskim lesie ludzie giną w jakiś dziwny sposób, ale jaki konkretnie, pan porucznik mi już nie powiedział i zdaje się nie powie, póki nie znajdziemy się na miejscu. Do tego, pan, panie poruczniku, sam jest na urlopie, lecz coś mi się widzi, że to, co pan proponuje, to trochę więcej niż wspólne wakacje. Zdarza się, że raz na jakiś czas ksiądz pojedzie z milicjantem do lasu, ale nie słyszałem jeszcze, żeby wrócił.

Porucznik Enka zmarszczył brwi. Popiół z camela poleciał na czerwoną wykładzinę i kelnerka posłała w kierunku ich stolika piorunujące spojrzenie.

— Na amerykańskich filmach wszystkie kłopoty wszystkich policjantów zaczynają się od urlopu. — Gil postanowił Enkę pognębić. — Zwrócił pan na to uwagę?

Zbigniew Enka przygryzł wargi. Zapadła chwila ciszy.

— Lubię las — rzekł wreszcie ksiądz doktor Andrzej Gil i haustem dopił mineralną. Enka rzucił banknoty na stół. — Dlaczego ja, panie poruczniku?

— Są trzy powody — milicjant zgasił papierosa. — Ksiądz widział już ze mną to i owo i być może przy odrobinie, psia mać, szczęścia, nie weźmie mnie za wariata. — Wstali. — Po drugie ksiądz zna się na pewnych sprawach, a coś mi mówi, że tych „pewnych spraw” jest w Sulejchowie zatrzęsienie.

Enka puścił księdza Gila przodem. Zapach z koszuli rozszedł się już na całą Noworolską.

— A trzeci powód? — zapytał Gil, kiedy stanęli na zewnątrz, w oślepiającym słońcu.

— Cóż — rzekł lekko porucznik Enka — jest tylko dwóch ludzi, którym ufam. Jednym jest ksiądz doktor. Drugi czeka na nas w Sulejchowie.

\* \* \*

— Sulejchów jest czterdzieści kilometrów na wschód... — Porucznik Enka pocieszał księdza Gila, który z nosem spuszczonego na kwintę włókł się obok niego przez rozpalony Rynek Główny.

Zaskakujące, myślał ksiądz Gil, jak łatwo rozpadają się wspaniałe plany, właśnie te, które nadają naszemu życiu piękno. Jeszcze godzinę temu nie miał na sobie cuchnącej koszuli, miał za to szczerzy zamiar powędrować do siebie na Prądnik, wstępując po drodze do zacienionego lokalu na piwko lub dwa, by bez złości w sercu dotrzeć do domu, tekstów z Qumran i trzech okocimiów. Znał swoją trasę i wiedział, jak całą przejść w cieniu drzew. Teraz czekała go podróż polonezem, bez piwa i cienia.

Przeszli obok kościółka św. Wojciecha w kierunku Brackiej, zderzając się z wycieczką niemieckich turystów. Grube kobiety, pamiętające pewnie jeszcze Hitlera, szły pstrokatą gromadą, ubrane w workowate spodnie z podwiniętymi nogawkami lub kuse spódniczki, wymyślone jak widać wyłącznie po to, by ukazać gęstą sieć żyłaków w całym ich fioletowym pięknie. Spod obcisłych bluzek wylewały się białe fałdy tłuszczu, a jedna z Niemek, jasna blondyna o tłustych włosach spiętych w dwa błyszczące kucyki, bluzeczkę rozpięła i związała, odsłaniając naga, szarą jamę pępka. Enka i Gil popatrzyli po sobie z obrzydzeniem.

Jeśli porucznik Enka czegoś nie cierpiał bardziej niż starych, grubych i spoconych bab, to tylko byłych esesmanów, a facet z przodu wycieczki – i towarzysz kobiety z odsłoniętym pępkiem – wyglądał właśnie na jednego z nich. Znad kołnierzyka wylewał mu się podbródek, dolepiony do istic murzyńskich ust. Co chwilę odwracał głowę, zerkając maleńkimi oczyma w stronę, gdzie miał się znajdować Wawel, na którym zgodnie ze starą germańską legendą w każdą bezksiężycową noc słyhać było kroki Hansa Franka. Porucznik Enka splunął. Chciał zapytać Gila, co sądzi o Niemcu, ale Gil w ogóle nie zwracał na niego uwagi, zaabsorbowany trójką Japończyków pędzących w stronę Mariackiego.

Mimo upału Azjaci nosili ciemne garnitury jak spod igły i biegli w kluczu – prowadził wyższy i posiwiasty, dwóch młodszych pędziło metr za nim. Trzaskali

zdjęcie za zdjęciem, nie zwalniając ani trochę. Gil spostrzegł, że turyści poruszają się inaczej niż miejscowi. Aż do skrzyżowania Brackiej i Gołębiej zastanawiał się, na czym polega ta różnica, w końcu wymyślił: turyści cwałują lub się wloką, krakowianie zaś wędrują równym, wspólnym dla siebie rytmem, darząc przyjezdnych tym rodzajem obojętności, który jest obelgą. Gil już chciał się podzielić z Enką swoim spostrzeżeniem, gdy Enka się zatrzymał, a księżka doktora ogarnęła zgroza.

Zamiast poloneza na rogu Tomasza i Brackiej stał przerdzewiały maluch, niegdyś jasnopomarańczowy, a teraz zwyczajnie brudny, z nieudolnie zdrapanym zielonym listkiem, ubłoconymi kołami i szybą osraną przez ptaki. Można by sądzić, że maluch rozpadnie się przy pierwszym dotknięciu, ale Enka przekręcił kluczyk i jął szarpać drzwi, aż puściły, nie rozpadając się, po czym gestem zaprosił Gila do środka.

Tam było jeszcze gorzej. Nad siedzeniem pasażera dach się zapadał i Gil musiał podtrzymywać go głową. Z tyłu walały się papierzyska, siatki i wielka plastikowa torba będąca źródłem smrodu. Gil spojrzął za siebie i zobaczył parę oliwkowych spodni wciśniętą w róg auta. Enka tymczasem mordował się ze stacyjką.

— Poloneza dałem do przeglądu, bo o auto trzeba dbać — wyjaśnił i w ramach pocieszenia dodał — jechalibyśmy furmanką, gdyby nie Gula. To jego samochód.

Ruszył z piskiem opon i popędził na Prądnik Biały, biorąc ostre zakręty, płosząc psy i ludzi, a Andrzej Gil próbował nie jęczeć, uderzając się w głowę na każdym wertepie.

\* \* \*

Porucznik Enka, który nigdy żadnego księdza nie odwiedził, wyobrażał sobie mieszkanie Andrzeja Gila jako połączenie kaplicy ze stoiskiem alkoholowym w Peweksie. Ot, wszędzie krzyże i obrazki świętych, ciemnobrązowe ściany, kłęcznik i ołtarz domowy, a wkoło butelki. Gil jednak zajmował ascetycznie urządzone kawalerkę o białych ścianach i podłodze wyłożonej czarną wykładziną dywanową. W przedpokoju stał rower i kilka par ciemnych butów, w kuchni na ociekaczu jeden talerz, kubeczek, kieliszek; resztę skrywały nieliczne szafki. Jedną ścianę w pokoju zasłaniały książki i segregatory, poustawiane tematycznie na tanim regale z meblościanki, przy drugiej stała szafa z ubraniami, przywieziona, jak zgadywał Enka, z jakiejś wiejskiej parafii.

Centralne miejsce zajmowało przysadziste biurko z ciemnego drewna, tak zavalone papierami, że komputer Mazowia z drukarką igłową był ledwo widoczny. Za to bez trudu Enka zobaczył szklankę i żółty ser, przyklejony do lampki.

Oprócz Enki na cały rozgardiasz spoglądał jakiś święty wiszący nad mazowią. Miał biało-zieloną suknię i płaszcz, niedbale narzucony na kościste ramiona. Młodą twarz pokrywał lekki zarost, szczupła sylwetka zdradzała siłę. U stóp świętego leżały miecz i włócznia, w dłoni trzymał małą węgielnicę, a za nim promieniało światło, którego źródła Enka nie umiał wypatrzeć. Nad obrazem wisiał niewielki krzyżyk. Resztę ściany zapełniały fotografie Gila, w tym część z jakichś egzotycznych krajów, o których Enka wolałby nie słyszeć. Było też zdjęcie z dobrotliwym biskupem, grupą młodzieży i wykładowcami uniwersytetu. Najładniejsze ramy miała kolorowa fotografia z Janem Pawłem II.

Na podłodze walały się papiery najróżniejszej maści, fiszki zapełnione drobnym czarnym pismem, arkusze kancelaryjne, gdzie – dla odmiany – litery były fantazyjnie zakręcone i rozpychały się aż na marginesy. Leżały tam również kartki wyrwane z książek i książki w całości, część po angielsku, o okładkach kolorowych i błyszczących jak reklamówki z NRD. W tym wszystkim plątały się zeszyty i rachunki, poplamione płachty gazet i pogryzmołone świstki. Gil stanął w progu i sięgnął po krzesło.

— Dziękuję, postoję — powiedział miękko porucznik Enka. Wygrzebał camela i zamarł, bo Gil posłał mu wściekle spojrzenie. Papieros trafił z powrotem do paczki, a Enka rzucił przyjaźnie:

— Byłoby dobrze, gdyby ksiądz się spakował.

Gil znalazł żołnierski worek z grubego płótna i wrzucił doń kilka podkoszulków, slipy, cienkie skarpetki, zapasową koszulę i krótkie spodnie. Przyglądnął się książkom na półce, popukał paznokciem w grzbiety, wreszcie wydobył dwa tomy, duży i mały. W pierwszym odruchu chciał je wrzucić do wora ze wszystkim, trafiły jednak na biurko.

— Niech się pan porucznik rozgości. W kuchni, w lodówce, zdaje się, jest coś do picia.

Gil zniknął w łazience, a Enka bez słowa zanurzył się w zakurzonej korytarzu, nazwanym kuchnią przez niedopatrzenie, w charakterze dowcipu lub z kurewstwa. Półmrok był tu stałym gościem, nawet w najbardziej słoneczny dzień wypełzał z rogów i kątów, zalegał na suficie i za drzwiami. Z szarobiałych ścian zwisały ponure szafki, a stół sprawiał wrażenie, że można się doń przykleić. Enka włożył rękę do lodówki, trącił tylko butelki eksportowego okocimia, odsunął talerzyk z zeschniętym serem i chwycił mineralną. Niegazowana. Ech, cholerni księża. Mordując się z otwieraczem, pomyślał nagle, że Andrzej Gil, w odróżnieniu od innych księży, żywi się wyłącznie browarem, mineralną i Bożym miłosierdziem. Zaczął się śmiać bezgłośnie, bo nagle uświadomił sobie, że to dokładnie jak on,

minus mineralna i miłosierdzie Boże. Wrócił do pokoju z nosem zwieszonym na kwintę.

Przyglądał się książkom na biurku. Kieszonkowe wydanie Nowego Testamentu wyglądało jak wydarte z gardła oszalałego ateisty. Brzegi kartek były wytarte lub pofałdowane od wody – najczęściej i takie, i takie – tekst pokreślony i poprzedzielany zakładkami. Grzbiet okładki wisiał na wąskim pasku nitki. Enka zmarszczył brwi i spojrzał na drugą książkę, dużo lepiej zachowaną: *Rytuał rzymski. Egzorcyzmy i inne modlitwy błagalne. Wstępem opatrzył ks. dr Andrzej Gil*. No to pięknie, pomyślał porucznik Enka, przeniósł wzrok na obraz i dopiero teraz zwrócił uwagę na szczególny blask bijący z twarzy świętego.

— Zaraz będę gotowy — powiedział Gil, który właśnie wyjrzał z łazienki, w spodniach z cienkiego drelichu i koszulce z krótkim rękawem. W dłoni trzymał saszetkę.

— Widzę, że mój Tomasz zainteresował pana porucznika... — rzucił niby od niechcienia. — Tego się po panu nie spodziewałem.

Enka nie krył zakłopotania.

— To ten od palca? Tak? — upewnił się, dźgając się kciukiem w klatkę piersiową.

— Apostoł Indii, ale z tym palcem też ma pan rację. Cóż, paru jego kolegów ma dużo lepszą prasę w Kościele. Jest pan gotowy, panie poruczniku?

Enka skinął głową, a Gil spakował koszulę z koloratką, saszetkę i ręcznik złożony na czworo. Przyklęknął. W jego dłoni znalazł się mały kluczyczek, przekręcił nim w zamku najniższej szuflady i zanurzył w niej dłoń. Na biurku pojawiła się zamknięta kasetka wielkości tomu miniaturowej encyklopedii. Gil patrzył na nią przez chwilę, w końcu wrzucił na wierzch do worka. Wzruszył ramionami.

Porucznik Enka w ogóle nie zwrócił uwagi na kasetkę, zaabsorbowany zdjęciem pierwszego roku religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie Andrzej Gil stał, jeszcze bez koloratki, w zamszowej marynarce, diabelsko przystojny i otoczony przez kilkanaście dziewcząt, w większości niebrzydkich, za to brzydko na przyszłego księdza zezujących. Gil miał minę jak sułtan w haremie, patrzył prosto w obiektyw, a Enka zaczął się zastanawiać – co się stało, że taki młody jebaka poszedł na duchownego? I skąd, do cholery, te siwe włosy na skroniach, ta bruzda od marszczenia czoła? Ile on może mieć lat, nie więcej niż trzydzieści parę...

— Idzie pan, panie poruczniku?

— No, idę... — rzekł niepewnie Enka i dostrzegł, że Gil morduje się z sandałami.

— Ksiądz lepiej weźmie te pionierki obok — wskazał — przecież do lasu idziemy.

— Do lasu? — zapytał bezmyślnie ksiądz Gil, jakby nie wiedział, o co chodzi.

— Ano, do lasu. — Enka wyminął go w drodze na korytarz. — I to bardzo głęboko.

\* \* \*

Droga na Sulejchów prowadziła na południowy wschód od Krakowa; biegła, a raczej sunęła między wściekle zielonymi drzewami, wśród domów, które zdawały się topnieć z gorąca, wiła się ospale i zdaniem księdza Gila zupełnie bez sensu – ot, droga dziwadło, coraz węższa z każdym kilometrem. Rzeczywiście, na asfalcie pojawiły się piach i żwir, za nimi pierwsze nitki trawy, wreszcie rzadkie krzaczk i kępy badyli. Skręcili w las, zostawiając za sobą tę śmieszna drogę, która pewno zaraz zniknie zupełnie.

I co wtedy z innymi fiatami sunącymi w upale, co z rowerzystami pedałowującymi, jakby rower miał wagę i zwrotność traktora, rowerzystami o plecach wygiętych w kabłąk, ociekającymi potem, właśnie, co z nimi? Albo z tymi ludźmi na poboczu, drżącymi w rozgrzanym powietrzu. Droga się skończy i staną z rozłożonymi dłońmi u początku niczego, w czterdziestu stopniach, tak myślał ksiądz Andrzej Gil, słuchając, jak Enka peroruje na temat największego upału, jakiego był kiedyś świadkiem w Bułgarii.

Jechali teraz przez las, drogą ziemistą i ubitą, z dwoma równoległymi wgłębieniami po kołach.

Tu było na szczęście trochę chłodniej. Gil i Enka siedzieli w maluchu bez koszulek.

— Te drzewa przypominają mi mój pierwszy pobyt w Brazylii — podjął ksiądz Gil, gdy Enka się uciszył. — Poszedłem prosto do dżungli. Miałem dwadzieścia pięć lat i mleko pod nosem. I, idiota skończony, polazłem tam w sutannie, rozumie pan porucznik, środek dnia w strefie równikowej, a ja sunę przez dżunglę czarna od stóp do głów. To się dopiero nazywa upał, panie poruczniku. Upał i głupota.

— No — mruknął Enka, patrząc na drogę.

Las gęśniał. Milczeli przez chwilę.

— Daleko ten Potoczek? — zapytał ksiądz Gil, mając na myśli leśniczówkę, do której zmierzali. Leśniczówkę, gdzie czekał jakiś stary facet, coś złego w lasach i mnóstwo tajemnic podklejanych w najmniej prawdopodobnych miejscach tej opowieści, która dopiero się zaczynała. To właśnie było w niej najgorsze.



— Trzy kilometry w las — wyjaśnił Enka. — Ten człowiek, o którym księdzu mówiłem, Stary Michał, Michał Wasylski — poprawił się — to leśniczym jest głównie z nazwy, a tak po prawdzie, to taki trochę magik.

— Magik? — upewnił się Andrzej Gil i zaraz jęknął. Maluch podskoczył na korzeniu i ksiądz uderzył się w głowę.

— Czarodziej polowań, nikt nie organizuje lepszych — wyjaśnił Enka. — A tak serio, to chodzi o nalewki. Nikt nie wie skąd, ale Michał zna recepturę na taką jedną nalewkę, mocną jak diabeł, ale to nieważne, ważne, że rozpuszcza kamienie nerkowe lepiej niż lekarstwa z Zachodu. Ma recepturę po śmierci zostawić, ale teraz, jak powiada, żyć trzeba. No wie ksiądz, niektórym da, niektórym sprzeda... A tak zupełnie serio — zapalił — to jest podwieszony, przez te polowania i przez tę nalewkę, i może nawet wierzgać i pluć na ojczyznę ludową... — wyszczerzył się. — No, co ksiądz na to?

— Ksiądz nic na to, panie poruczniku. — Gil odchylił głowę, czując zapach dymu.

— No i świetnie — ucieszył się Enka. — W pewien sposób Stary Michał jest skuteczny. Stary Michał, tak o nim mówię, on ma ledwo siedemdziesiątkę, a nie wygląda na więcej niż pięćdziesiąt, no, zgoda, pięćdziesiąt parę lat. — Michał zawzięcie ręką, a Gil zastanawiał się, co by powiedział porucznik Gula na widok popiołu spadającego na deskę rozdzielczą. — Zmierzam do tego, że tu kłusowników nie ma. Ksiądz słucha, metoda jest następująca...

Ksiądz nie słuchał, bo znów uderzył głową o sufit, a jednocześnie młoda sarenka sama wybiegła na drogę, przystanąła, rzuciła ciekawskie spojrzenie w stronę malucha, wygięła pyszczek, niby się śmiejąc, i już jej nie było. Enka ciągnął:

— Pierwszy przypadek: kłusownik jest sam i się nie broni. Dostaje parę razy kolbą po dupie i tyle go widzieli. Wariant drugi: chojrakuje, to obrywa śrutem na niedźwiedzie. No a gdyby wnyki założył, to mu Michał nogi i ręce połamie, i dlatego w tym lesie tylko dwa razy wnyki były, księżę doktorze — Enka mówił z dumą, jakby mógł przypisać sobie część chwały Starego Michała. — Później próbowali go linczować, ale psy ma, strzelbę ma, siekierę ma, no i jest podwieszony, jak już mówiłem. Ten drugi połamany poszedł prosto ze szpitala siedzieć za kłusownictwo. O, dojeżdżamy.

Ksiądz Andrzej Gil nie był pewny, czy to dobra wiadomość, szczególnie że Enka wyraźnie zwolnił. Spojrzał na niego pytająco. Otarł pot z czoła i klatki piersiowej. Nie minęły dwie godziny od prysznic, a Gil śmierdział gorzej niż przedtem. Enka też śmierdział i milczał.

Las się przeredził, a Enka niemal zdjął nogę z gazu. Silnik pluł i charczał.

— Panie poruczniku — rzekł słodko Andrzej Gil — odkąd się znamy, zawsze pan mi zapomni czegoś powiedzieć, a potem mamy kłopoty z tego powodu. Może powie pan teraz, a potem przyspieszymy?

Enka zabębnił palcami o kierownicę.

— Właściwie nie mam nic do powiedzenia. — Rzucił niedopałek pod nogi i przygniótł obcasem. — Niedługo ksiądz sam się dowie. Może tylko jedno: co ksiądz sądzi o Piłsudskim?

— Nic nie sądzę — odparł natychmiast Andrzej Gil.

— Bo widzi ksiądz, ten Stary Michał, o którym całą drogę opowiadam, to urodził się w Zułowie, dokładnie tam gdzie Piłsudski. To teraz ziemie republiki litewskiej. Michał, jak miał trzy miesiące, wyjechał do Lwowa, ale jest trochę tym Piłsudskim przejęty. Trochę tylko — dodał, przyspieszając. — Ksiądz nie ma się czym przejmować.

Andrzej Gil nie zdążył się przejąć lub nie przejąć – światło zalało małego fiata, obaj zmrużyli oczy, Enka zahamował. Nad polaną słońce zdawało się wisieć niżej niż gdzie indziej, wściekła tarcza sunęła tuż nad leśniczówką, nadając drewnianym ścianom nieco nierzeczywisty wygląd – jakby spajało je światło. Cała fala słońca płynęła też potokiem po lewej, pojedyncze okruchy lśniły w siekierze wbitej w pień, migotały w oknach drewni. Enka zaparkował przy studni z korbą i odrapanym wiadrem. Wysiedli. Gil w pośpiechu włożył koszulkę.

Drewniana leśniczówka miała spadzisty dach z jednym oknem i sporym oszklonym gankiem, na którym – o co natychmiast Gil Boga poprosił – można by przesiedzieć wiele dni w cieniu i chłodzie, popijając zimne piwo i zaczytując się w anglojęzycznych wydaniach starożytnych manuskryptów. Stary Michał siedział właśnie na ganku i co prawda nie czytał, ale za to pił.

Dwa wilczuopodobne mieszańce – Urwis i Wisus, jak Gil dowiedział się później – jednocześnie uniosły łby. Stary Michał odstawił butelkę piwa bez etykiety, otarł sumiaste wąsy i sprężystym krokiem wyszedł na spotkanie księdzu i Ence. Zieloną maciejówkę nosił przekrzywioną, miał wytarte spodnie do jazdy konnej i wiekowe oficerki. Pod szarym podkoszulkiem grały mięśnie, w ogóle Gil dałby sobie rękę uciąć, że Stary Michał wcale nie jest stary ani nawet po pięćdziesiątce. Szedł krokiem żołnierza zmierzającego po pierwsze odznaczenie.

Enka zrobił krok do przodu i Gil pomyślał, że zaraz z Michałem wpadną sobie w ramiona. Lecz tylko uścisnęli sobie ręce – był to mocny, dobry, męski uścisk. Twarz Starego Michała stężała na widok nieznanego.

— Niech będzie pochwalony — powiedział Andrzej Gil.

Popatrzyli sobie w oczy.

— Ksiądz — szepnął Stary Michał. Zza jego pleców wystawała złośliwie wyszczerzona, małpia gęba porucznika Enki. Michał nagle się odprężył, uściśnął wyciągniętą dłoń Gila i rzucił — nu, ksiądz się umyji we studni z tym chacharem oficerskim — wskazał na wiadro i korbę. — Wy autem jechali, a wyglądają, jakby z Krakowa biegli. Ja jedzenia naszykuj.

Nim do Andrzeja Gila dotarł sens tych słów, już stał przed studnią, z ręcznikiem w jednej i szarym mydłem w drugiej dłoni, a porucznik Enka u jego boku zawzięcie się szorował. Urwis i Wisus nie spuszczały z nich oczu.

\* \* \*

Andrzej Gil – bo teraz wypadła jego kolej – wydobył ze strumienia trzy butelki piwa i wrócił na ganek. Rozdał je szybko i z powrotem zabrał się do jedzenia. Na drewnianym stole było już kilka pustych flaszek, ciemny chleb w plecionym koszyku, kawał białego sera ponacinany na rogach, małe pomidorki oraz sółj z ogórkami małosolnymi z chrzanem, koprem i czosnkiem. Andrzej Gil patrzył ze zdumieniem, jak Michał odkrawa sobie kawałek tego wściekle słonego sera i jeszcze sypie na niego sól ze starej, porcelanowej solniczki. Stary Michał w odróżnieniu od towarzyszy jadł powoli – nałożył ser na kromkę chleba i brał małe kęsy, zagryzając ogórkiem. Gilowi aż uszy się trzęsły. Zazdrościł Ence jego finki, a Michałowi krótkiego, składanego ostrza, bo sam mordował się z ułamanym nożem kuchennym.

Zapadał wieczór. Na ganku panował przyjemny chłód, słońce już dawno zanurzyło się w koronach drzew.

— Zbyszek, ty powiedział księdzu, na co on tu?

Enka, który akurat miał usta pełne chleba i sera, tylko pokręcił głową. Michał spoważniał i odstawił piwo. Wbił wzrok w księdza Gila, a ten, na przekór powadze sytuacji, zaczął się zastanawiać, czy gospodarz kiedykolwiek zdejmuje tę pradawną czapkę.

— Ali ksiądz dochtor sekretu dotrzyma, jako na spowiedzi?

Gil skinął głową. Odłożył jedzenie. Michał wstał.

— Ano, trzeba, żeby jeszcze jeden pożywił sje — mruknął Stary Michał i zszedł z ganku. — Urwis! Wisus! Krążyć! — wrzasnął, a psy natychmiast zostawiły miski i pognały w przeciwnych kierunkach. Spod stopni na ganek Michał wydobył drabinkę sznurkową, zakończoną hakami. Haki zaczepił o cembrowinę studni, drabinkę rozwinął i wrzasnął:

— Jurij! Chodź tu! Taj joj, oto gościa mamy!

— Co to ma niby znaczyć? — zapytał ksiądz Gil, pewien, że Michał go nie usłyszy.

— W czterdziestym Sowieci wzięli Michała za kudły i zaciągnęli na Sybir, gdzie spędził sześć lat. — Enka napił się jeszcze. — Więc jak się zaczęły kłopoty w osiemdziesiątym, chłop przestraszył się nie na żarty — pokazał na studnię — ma tam schron dwuosobowy, w pełni funkcjonalny, z ujściem wody i elektrycznością. — Porucznik dostrzegł niedowierzanie na twarzy księdza Gila. — Spokojnie, tyle na razie wystarczy. I tak zaraz ksiądz doktor będzie wiedział wszystko.

Sznury drabinki naprężyły się i ze studni wyszedł chłopak w grubym swetrze, zniszczonych spodniach i pionierkach, podobnych do tych, które nosił ksiądz doktor Andrzej Gil. Miał pociągłą twarz, bladą od siedzenia w studni, i ciemne włosy. Na widok obcych zmartwiał i zrobił taką minę, jakby chciał spaść na dno. Michał roześmiał się.

— Jurij nie bój sja, to pan Zbyszek i drugi przyjaciel, pomogą ci. — Tamten wciąż się wahał, więc Michał kiwnął ręką. — No, no, nie bój sja.

Wreszcie Jurij wygramolił się ze studni, popatrzył w niebo i dalej, na las, jakby spodziewał się niebezpieczeństwa właśnie stamtąd, po czym poszedł w stronę ganku. Stał wyprostowany naprzeciw księdza Andrzeja Gila.

— Przedstawiam ja panu dochtorowi — rzekł powoli Michał — z armii Sowietkowo Sojuza, dobry Polak jako i ja czy pan, Jurij Skiwierczyński.

Szczęka księdza doktora rąbnęła o ziemię, a nim ją podniósł, wieczór nastał na dobre.

\* \* \*

Andrzej Gil pił piwo najszybciej ze wszystkich. Zagryzał pomidorkami, zadowolony, że siedzi w samym rogu ganku, na wpół tylko widoczny. Nie chciał uciekać, ale zapaść się pod ziemię. To dziwne, pomyślał, przecież Jurij, czy jak mu tam, w pewien sposób zapada się dość często. Sytuacja była równie prosta co poważna, dla dezertera – czapa, ale co za pomoc takiemu? Tego Gil nie wiedział, a Ence jakoś też nie było do śmiechu. Jedynie Jurij zdawał się w miarę rozluźniony. Wsuwał z talerza ile sił. Michał postawił przed nim rosół, słoninę i chleb.

— Rozgrzej sja, chłopak.

Gil przyjrzał się im jednocześnie. Coś ich łączyło, przez moment myślał, że to syn z ojcem albo jacyś krewni. Nie, to coś innego, może mowa podobna? Albo oczy czy wreszcie sylwetka? Sposób jedzenia? Naprawdę nie masz innych problemów?, pomyślał. Do księdza Gila dotarła groza jego położenia. Oto siedział w głębi lasu z obłąkanym gospodarzem, dwoma morderczymi czworonogami

i ruskim dezenterem, a rolę wisienki na tym gorzkim torcie pełnił oficer Milicji Obywatelskiej. Jeśli ich tu znajdą – a znajdą, Gil nie miał wątpliwości – sprawa niżej prymasa się nie skończy. Jezu Chryste, jaki prymas? Przecież nas tu wszystkich zastrzelą, jeśli przyjdą. A że przyjdą, to pewne jak amen w pacierzu, śmierć i zmartwychwstanie.

Próbował znaleźć pocieszenie w oczach Zbigniewa Enki, teraz przejmująco poważnych i lekko przestraszonych. Porucznik zatopił się we własnych myślach, opuścił głowę. Łypał na okolicę spode łba i wyglądało, że najchętniej by uciekł. Jurij skończył już jeść i wyraźnie się uspokoił. Popatrzył na Michała pytająco, a Michał tylko zabrał mu talerze sprzed nosa. Zostali we trzech. Zapadła taka cisza, że Gil wypatrywał ptaków spadających z nieba jak kamienie.

— Jurij — odezwał się Michał, gdy wrócił — powiedz ta księdzu do doktorowi to, co żeś mnie i panu Zbyszkowi opowiedział, i jeszcze o tym twoim Kostantynie i ojcu. Wszystko jak na spowiedzi.

Mrugnął do Gila, a Gil się zasepił. Jurij wyraźnie się wahał.

— Od siebie zacząć czy od pticy?

Michał ściągnął czapkę, po raz pierwszy tego popołudnia, i podrapał się po placku na środku głowy.

— Taj naczniej, robaczku, od ptaszka — poradził — potem o profesorku i o sobie opowiesz.

Jurij, dobry Polak i radziecki żołnierz, zabrał Ence camela, ułamał filtr, zapalił. Zaczął mówić, unikając spojrzeń, bardzo cicho, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Co chwilę sięgał po piwo, nie dbając, do kogo akurat należy. Najrzadziej sięgał po swoją butelkę, którą Michał przyniósł mu ze strumienia.

— Moja rodzina eto Poliaki spod Mińska. Ojciec w Sowietach żył, my w domu po polsku mówili. Długo nie znał ja — zawahał się — nie wiedział ja, co on robi. A on przy atomie. Tajny program. A patom... potem... — Sprzątnął Gilowi sprzed nosa resztę piwa. Michał natychmiast poszedł po kolejne. — Dla armii było potrzebne, znaczy dla obrony.

— Atomy czy te mutacje? — zapytał ksiądz Andrzej Gil, a Enka posłał mu wściekle spojrzenie.

— To i to — niezrażony Griela mówił dalej. — Dawno to się zaczęło, jeszcze w latach pięćdziesiątych u Amierikańców było trzysta atomnych bomb, u nas maleńko. Wtedy, w Tockoje — rzucił papierosa do strumienia — byli żołdacy, komandosy, a z nimi profesory. Adresa i numeru nie było, niczego, zrozumcie: wielkie miasto, a ludzie pisali listy na Moskwę – Moskwa 11095. Potem w czterdziestym dziewiątym, ładunek wybuchł. Wszystko zaczęło się od nowa.

Otworzył piwo o kant blatu.

— Były trzy poligony. — Liczył, pomagając sobie palcami — Semipałatyńsk, Nowaja Ziemia i Tockoje. Z ludźmi togda nie cackalis’ — zaciągnął, mówił teraz wolniej, zgarbił się trochę. — Jak urosłem i zem poszedł w wojsko, opowiadał mi otec o tysiaczach żołdatów, co tam poszli, sorok ich tysiacz było. Czterdzieści tysięcy znaczy. Młodzi, zdrowi. I powiedział jeszcze, że trzydzieści lat temu by mnie prędzej w piwnicy zajebał, niż do armii puścił. Żeby do wojska nie szedł. Ale poszedłem.

Coś zaszeleściło w pobliskiej kępie krzaków. Gil rozejrzał się niespokojnie, a Jurij aż podskoczył. Z zieleni wychynął łeb Urwisa. Pies przebiegł obok ganku i zniknął w lesie po drugiej stronie.

— Ojciec dużo pił i jak napił się, opowiadał o polach, co były ciemne od martwych ptic, co na ziemię pospadały. Albo o owcach, na których runo paliło się, rybach bez głazd — tu dotknął własnego oka — żołdatach, kotoryje pomierli i nie wiadomo czemu. A ja głupi był, przygód mi się chciało. Ja chciał być kak otec. Studiowałem i fiziku, i biologiu, raz nawet w Kurczatowe był, rabotał w Institutie Radiołogiczeskoj Biezopasnosti i Ekologii. Ja pił do zapicia. Wsie żołdaty pili, dumali, szto wódka ochroni od radiacji.

— Wierzyli, że wódka od promieniowania chroni, to chlali na umór — wyjaśnił Gilowi Stary Michał.

Jurij, nim wziął papierosa, przesłał Ence pytające spojrzenie. Enka pchnął paczkę w jego stronę i pokazał, że ma jeszcze jedną.

— Kogda to ja goworił, mówił znaczy, ze starym takim jakim — mówił to na wydechu — tylko rany na nim były — potarł dłonią o dłoń — za to rozmownyj był. Rasskazywał, że jak Stalin padoch, zdechł znaczy, to i ojciec, i Konstantin — zeszywniał, gdy wypowiedział to imię — naczinali swoi raboty, na rasstajaniu sta kilometryrów iszczeszło nieskolko dieriewien.

— Kilkadziesiąt wiosek zniknęło — dopowiedział Stary Michał i rzucił do Jurija — mów wyraźniej.

— Aha. — Jurij skinął głową. — On sam, ojciec, jak szedł do pracy, a noc była i wdruk uwidział, szto słońce wschodzi jasne. Jasno kak dniem, a noc przecież. I zobaczył, że gorit na nim odzieżda, ubranie, i palcy gorit. Palce paliły się. — Ruszył palcami, jakby rzeczywiście mu płonęły. — Naczał kriczat’. Nie boleło. I tak stał, dierza ich w ruki. Stał, rozumiecie, i trzymał skórę z własnej głowy. Jak się w szpitalu obudził – tak myślał.

Enka przejechał ręką po własnej czaszce.

— Pięćset ili więcej prób atomnych tam zrobili, jak powiedzieć? W atmosferie! Jeszcze na ziemi — kontynuował Jurij — komandiry bojalis', szto by doma ludiam na głowy nie runęli i ludiej na ulicu wyganiali. Wot tak. Radiacja: eto kakoj problem? No jakby dom runął chłopu na głowu: eto problem! — Pokazał rękami, jaki wielki byłby problem. — Ale podobało się. Ludi stajali, patrzyli na krasiwyje, piękne takie, atomnyje griby, a potem żołytyje dieti rodziły się, znajetie, szto takoje żołytyje dieti? Żółte dzieci — wycedził.

Gil zaprzeczył. Enka odwrócił głowę.

— Widieł, kakije dteti tam rodilis', bez rąk, bez nóg. Krzywe. Takije dieti żywut w zonie, wo wsiech domach. Żołytyje dieti. Tak. Żółte dzieci. Nie znali poczemu.

— Mówi o miejscach popromiennych — szepnął Michał — tam, gdzie wszystko pomutowało. Możesz żyć latami, a nic ci nie będzie. A nagle, umrzesz. — Przechylił butelkę.

— No natura znajet poczemu — ciągnął Jurij. — I nie myślcie wy, że tylko my to robili, Jankesy też. Gonili swoich w zonę, aż im buty paliły się. Bo i ziemia jeszcze płonęła.

Gil słuchał go z uwagą.

— Eto udiwitielno — Jurij próbował się uspokoić — u nas byli bazy, wokrug zona. Dużo duraków tam przychodziło. Idioci, bandyci, znajetie, pany, wrogi naroda... — Machnął ręką. — Odejść mi było trzeba. Ja by ubieżał, poszedł, ale ja wstrieził jego...

Co, na oklaski czeka? — Zdawały się mówić oczy księdza doktora.

— No, dalij, nie bój się — zachęcił Stary Michał.

Mrok już zapadł, tu gwiazdy były jaśniejsze niż w Krakowie. Siedzieli w ciemności.

— Kogo pan spotkał? — zagadnął przyjacielsko Andrzej Gil.

Jurij zapalił świeczkę.

— Konstantina — westchnął. — Konstantina Aleksandrowicza Biessmierta i jego pticu.

\* \* \*

Światło na ganku nie działało i Michał rozpałił przedwojenną lampę naftową. Jej ciemnopomarańczowe światło utworzyło okrąg, w którym zmieścili się wszyscy: leśniczy, dezertor, milicjant, ksiądz. Psy leżały przy schodach.

— Jak u was w kościele goworiat o świętych — Jurij zwrócił się do Andrzeja Gila — tak u nas o Konstantinu Bessmiertu goworili. Na uniwersitietie protiwo

Łysenku wystąpił, skazał, szto on ubijca, morderca znaczy. W gułag zesłali Konstantina. Patom pieriedyszka się zaczęła i Kostia wyszedł na swobodu.

Bawił się pudełkiem papierosów. Enka westchnął ciężko.

— A on był bies, Konstantin znaczy, wielkij biolog, sołdaty gawarili szto sorok... czterdzieści języków zna, po polsku gada lepiej kak ja. On lubił etu rabotu. Moj otiec — Jurij wymawiał to słowo miękko, niemal kobieco — rabotał w laboratorii, był tieorietikom. — Stuknął się w czoło. — No, Kostia był inny, praktyk, ale tak czy inaczej zaprzyjaźnili się.

Michał zdawał się nie słuchać, wpatrzony w poszarpaną linię koron drzew. Ćmił fajkę marynarską z jasnego drewna, podobną do tej, którą palił generał Patton. Enka został przy swoich camelach. Nie mógł uspokoić wzroku, zerkał to na Jurija, to na Michała, to na psy, a w jego oczach malował się dziwny niepokój – jakby poszedł do kina drugi raz na ten sam film i wiedział, że zaraz nastąpi scena straszliwej masakry.

— Więc teoretyk i praktyk zesli się i tak to było z tym programem atomowym.

— Myślałem, że Sowiety miały atom już w latach czterdziestych — wtrącił Andrzej Gil. Powiedział to tak szybko, że Jurij nie zrozumiał.

— Ech, księżę doktorze, no jasne, że mieli — ożywił się Enka — bo amerykańscy patrioci, ichniejsze Konstantiny, im w zębach przynieśli. On nam tu mówi o prawdziwych badaniach, prawdziwych eksperymentach.

— Dla Biessmierta, bomba nieważna, tylko radiacją — podjął Jurij. — On różnych przywoził. Krokodyła z dwumia parami głąz, korowy z dwumia gołowami, otiec eto otmieczzał. Ale jak ptaka przywiózł, inaczej się stało. Ptak... Ptak był inny. — Zaczepnął powietrza. — Nikto nie znajet, gdzie i kakim sposobom Kostia ptaka dobył. Mutanty z zony niesposobne były rozmnażać się. Niet. Wtedy było inaczej. U ptic pojawilis' jajca, rzadko, ale zawsze były. A ptica bolszaja — dłonie Jurija zatoczyły koło — jak indyk duży... U niego samyje niezwykłyje piera, silnyje pazury, dołgij dziób, silnyj. — Oczy Jurija zapłonęły. Mówił szybciej, machając rękami. — A jak polował. To jego polowanie... Ptica na ziemi kładła się i wabiła robactwo, a jak przychodziło, to truła, bo i zapach, i trucizna w niej była.

— Umnaja i krasiwaja ptica. No, wot etot, kliuw, dziób znaczy — machnął papierosem — on u niego dla oborony, siebia i jajec. Rzadko ma jajco, rzadko. Ale że w ogóle mutant taki się mnoży, to cud, družja, cud.

Przed oczyma księdzu Gilowi stanął baśniowy ptak, leżący brzuchem na ziemi, przyciągający robaki, a potem wydrapujący ludziom oczy. Jurij zawiesił głós.

— Piera piękne, piękne, kogda Kostia w Moskwie pticu pokazał, wsie oszaleli z zachwytu, a u niego był toż riefliektor!



— Reflektor? — upewnił się ksiądz Andrzej Gil.

— Ptica kogda się boi, możet os'lepit'. Ona nie swietit, no, u niego na żywocie, brzuchu, pióra lśniące, iz nich swietło odbija, jak małe słońce, jak wielki reflektor — tłumaczył Jurij, pomagając sobie całym ciałem. — Da! — Klasnął w dłonie. — Ptica oslepiajet i ubiwajet!

Stary Michał odwrócił głowę.

— Chodzi mu o to, że ptica umie tak pióra na piersi ułożyć, że odbija nimi światło. Wzmacnia i odbija. A oślepionego zabija.

— Fajne zwierzę — rzekł porucznik Enka.

— A pisk aż głowę urywa, no a ten jad, którym on tarakany ubiwajet, może uśpić sobaku, kota ili czełowieka. — Jurij wyraźnie zwolnił. — Kogda Kostia poszedł w zonu na pticu, niektórzy z jego ludzi nie wrócili do domu. Wot, ptica ubiła — pokręcił głową — ptica...

— Mów — szepnął Stary Michał — o profesorku.

— U Kostii na licu jedna wielka szrama. Oko ptica mu wydarła — podjął Jurij, otwierając piwo. — Oko stracił, ale nie odpuścił. Zabrał pticu i pojechał w Moskwu, do Chruszczowa. Nie wiem, co ten pizdiec tam powiedział, ale pojechał starszym asystentem, a naczalnikom, dyriektorom go zrobili. Dla niego był Institut Příkladnoj Biologii — wyrecytował. — Mógł z soboj wziąć, kogo chciał, i mojego otca wziął.

Jurij nachylił się, ściszył głos. W ciemności brzmiało sapanie niezadowolonego Enki i ledwo słyszalny gulgot – to ksiądz doktor wlewał w siebie zimne piwo.

— Tam pracowali — szeptął Jurij nad butelczyną. — Z sukcesem. Ptic przybyło. Kostia przywoził nowych ptic, institut rósł. Byli u niego popytki ekspierimentowat' z innymi zwieriami z zony, ale nie dali rady, tylko z pticoj udało się. Ludi za Boga go mieli, no ja, kogda usłyszał, podumał, że to bajka. Naczalstwo jego się bało, otiec powiedział, szto Konstantin z samym Chruszczowom dogadał się — znów mówił szybciej, oczy mu się świeciły — bo Chruszczow eto chłop iz chłopą, jak i Kostia. No, do Chruszczowa pojechał, i więcej jak godzinę rozmawiali, może o budżetie instituta, i Chruszczow, pierwyj sekretar, Kostiu do drzwi odprowadził, kłaniajas' jemu. Pojmitie, rozumiecie to? — Nachylił się do księdza i zaczął mówić stłumionym głosem — bo Kostia... Wierzy on w ptaka, wierzy, a jeszcze wygląda... Kak smiert...

— Wygląd? — ożywił się Enka. — Tego akurat nie słyszałem. Co z nim?

— O kurwa. — Jurij otarł usta, mówił z przymkniętymi oczami. — On niekrasiw, pan porutczik, on bardzo niekrasiw...

Andrzej Gil podrapał się po brodzie.

— Po co jemu ten ptak?

Jurij zrobił taką minę, jakby ksiądz Gil popełnił jakieś karygodne głupstwo — wszedł trzeźwy do kasyna albo paradował po placu Czerwonym w mundurze SS-mana.

— Jeszcze nie rozumiecie? Eto byli maszyny do ubijania. Ptica eto prawdziwy ubijca, morderca. Trzydzieści lat je hodowali — mówił jak bogobojny mnich, który przed chwilą zobaczył diabła. — My ich zajcami karmili. Dziób i pazury twarde i ptica wie, jak się nimi posługiwać. Uderza na gołowu i szej. Głaza wyrwie, gorło rozszarpie — dotykał własnych oczu, przejechał paznokciem po gardle — może ofiarę oślepić, zabić. Czełowiek bez szans. A wiecie, co jest najstraszniejsze?

— Nie wiemy — westchnął ksiądz doktor Andrzej Gil.

Świejące w ciemnościach oczy porucznika Enki i Starego Michała mówiły, że oni już wiedzą.

— Eto mądra ptica — wyjaśnił Jurij — jak pies. Wsie pticy nienawidzą Konstantina.

— Za to on je uwielbia — skwitował Enka.

— Skąd tu się wziął? — chciał wiedzieć Gil.

— Już mówił — wszedł w słowo Stary Michał. Siedział oparty o barierkę, podobny do wielkiego i wąsatego świątka.

— Jak w Semipałatyńskie żył — odparł Jurij — z mamoj i siestroj, otiec rzadko doma bywał, czasem listy, od niego prichodili. No co on mog napisat'? Kiedy byłem mały, otiec mało mówił. Jak się źle zaczęło dziać, to zdobył pozwolenie na odjazd, wyjechałem ja, mama i siestra też. Potom ja poszeł w uniwersitiet, chotieł być taki jak otiec. Potem rodzice pomierli. Oboje. — Otarł czoło. Poszedł do strumienia i dłuższą chwilę usiłował wypatrzyć piwo między ciemnymi kamieniami. Strzyknął śliną w nurt, a gdy wrócił na ganek, zastał otwarte, letnie piwo na poręczy.

— Spasiba — sapnął. — Pierwa umierła mama. Kogda był pogrzeb, widziałem ojca ostatni raz. Strasznie było patrzeć na niego. Tylko w niebo spoglądał. Ja dumał, że to dlatego, że mama umarła. A pół roku przeszło i otca także nie było. Nie wiem, kiedy umarł i gdzie jego mogiła. — Zorientował się, że Enka patrzy w jego stronę. Nie podobał mu się ten wzrok. — Jeszczo pół roka minęło i przyszedł ten list. Nie znaju kto jewo... Nie wiem, kto go napisał.

Jakby mówiąc o najważniejszych rzeczach, chciał powiedzieć je po polsku.

Andrzej Gil pomyślał, że w tej historii jest zbyt wielu bezimiennych ludzi i ich tajemniczych spraw. Nie potrafił znaleźć miejsca, gdzie przecinają się drogi polskiego księdza i sowieckiego programu atomowego, więc napił się jeszcze.

Olśnienie przyszło samo: to przecież tutaj, w Potoczku. Posłał Ence rozpaczliwe spojrzenie, licząc, że padnie jakaś złośliwa uwaga – o tchórzliwych katabasach, dzieciarobach w sutannach lub biskupie ganiającym w skórzanym stroju za dwunastolatkiem. Ale Enka milczał i tylko gryzł wargę.

— Co było w liście? — Gil starał się, by pytanie brzmiało nonszalancko.

— Pisma, raporty z badań. To wszystko oboznaczało, że Konstantin Biessmert oszalał. Nieczewo smiesznowo — dodał, bo Andrzej Gil uśmiechnął się lekko — on nigdy nie był całkiem zdrow, ale wtedy zupełnie oszalał. Ale plecy za nim mocne, założył tajnuju bazu, trzy kilometry stąd.

— Nie wiedziałem — rzekł Andrzej Gil.

— Wywiad episkopatu tak daleko nie sięga — rzucił Enka. — Jurek, mów dalej.

— Trzy kilometry stąd, w lesie, jest ruskaja baza. U nas tam tanki, bunkry. Żyło tam tysiąc żołdat. W środku tam tak zupełnie jak na amierikanskim filmie. Wszędzie kompiutery. U Konstantina byli tam cztery pticy, dwie pary. Dwie pticy zdochły, zostali samka i samiec. Samiec uciekł. Samka na jajce siedzi. I wot Konstantin zajmuje się tym jajcem.

Wyjął camela, Enka podał mu ogień i sam zapalił. Gil zaczął kaszleć, ale nikt na to nie zwrócił uwagi.

— Kostia skazał mojemu otcu, szto w jajcu jest jego żyzn. Jego życie. Jak je zje, zostanie nieśmiertelny. — Ruszał dłońmi, jakby trzymał w nich cegłę. Dokończył po polsku z wyraźnym wysiłkiem — zje jajko żar ptaka i własną duszę ocali. Życie ocali i już nigdy nie umrze. A żyć będzie.

Andrzej Gil przełknął ślinę.

— Nie wiem, kiedy zwariował, i nie wiem dlaczego. To szto jemu promieniowanie nie szkodzit, to bzdura. A to śmierć w promieniach przecież jest. Najpierw zniszczyło jego ciało, a potem gołowu. Otec chotieł coś z tym zrobić, ale umarł. U Kostii długie ręce. Sięgnie, kagda chce, a mój otec... — Machnął ręką, zakaszłał. Piwo spłynęło nie w tę dziurkę, co trzeba. Stary Michał klepnął go z rozmachem. — No i co? Mścić ojca? Jak mnie zabić takiego człowieka jak Konstantin? Ja bym eto wsio zapomniał, jeśli by mienia nie wzięli w armiu. Kto to skazał słowo Konstantinu, wydał mnie, priedał? I Konstantin przypomniał sobie o mnie. Ludi uznali, szto Kostia durak i utracił Semipałatyńsk. Nową bazę toż zlikwidują. Oni nie duraki. Oni rzucają wielkie pieniądze nie po to, czto by ptica sidieła na jajce. A teraz pieniędzy mało ich w Sowieckom Sajuzie. Kto da na pticu czy na jajcu?

Enka patrzył obojętnym wzrokiem w kierunku, gdzie zdaniem Jurija mieściła się baza. Rzeczywiście, jeśli dobrze się przyjrzeć, nad drzewami migotała słaba

poświata. Gdzieś w dali świeciło się elektryczne światło.

— Trzy tygodnie temu wysłali mienia do tej bazy — Jurij najwyraźniej dochodził do końca swojej opowieści — i zrozumiałem. Teraz niemnego żołdat. Tolko ptica i Konstantin.

— Konstantin tu jest? — upewnił się ksiądz Gil.

Jurij skinął głową.

— Budiet. Baza więzienia blisko, tolko gorsza niż więzienie. Ludie wracają. Konstantin posłał mienia na śmierć, no ja nie durak. Wziąłem kombinezon i uciekłem w las. Bałem się. I Michał uratował mienia.

Opadł na krzesło i skrzyżował ramiona za głową na znak, że to już koniec opowieści.

— Jednego nie rozumiem. — Gil podrapał się w czubek nosa. — Ptak siedzi w bazie na jajku, tak?

— No dobrze, ale w takim razie — Gil bezceremonialnie odsunął rękę Enki z papierosem — jeśli ptak jest w środku, a żołnierze na zewnątrz, to kto zabija wartowników? Czego się bałeś?

— Jest dwie pticy. — Jurij pokazał na palcach — odna w bazie, na jajcu, i druga. Uszła i krąży wokół bazy. W lesie. Eto samiec. On bez samicy i ptaszka nie poleci. Dla niego rosyjski mundur straszny, zobaczy żołdata, zabije. Jeśli kto spotka ptaka, ptak go zabije. Ptica niepokonana, niezwyciężona. Ponimajet pan?

— Rozumiem — skłamał ksiądz Andrzej Gil widząc, że Enka daje mu dyskretne znaki, by nie mówił więcej, niż musi, i pomyślał: „Nie wiem za to, do czego jestem wam tutaj potrzebny”.

Stary Michał zatrzęsł się na krześle.

— Łon swoje gada o jakich muntatach i — to słowo wyrecytował z trudem — promieniowaniu, a ja wiem swoje. — Spojrzał na Gila ze wstydem. — Jakżeż to tak, po cud żar pticu iść bez kapłana?

Jurij westchnął.

— Musimy wypuścić ptaszka z bazy — tłumaczył Stary Michał. — Ptaszek poleci, daleko poleci, a tu ze wsi okolicznych idioty się zwiedziały, że w lesie potwór i polowanie zaczęły, już czterech od tego polowania zeszło, alic u nas chłopaki charakterne, nie przestaną, poza tym żar ptica to jest słońce, wolność, Bóg, i żeby zamknięty siedział w ruskich kazamatach? Nie godzi się... Pomoże nam ksiądz? — Nie czekając na odpowiedź, wstał i wszedł do leśniczówki. Jego głos zabrzmiał już z głębi domu, stłumiony — tak odpocząć nam trza, niedługo ruszamy.

Zatrzasnął za sobą drzwi, zostawiając skołowanego Gila w towarzystwie Jurija i porucznika Enki. Jurij sprawiał wrażenie cholernie zadowolonego z popołudnia, ale Ence nie było do śmiechu. Wyraźnie próbował coś powiedzieć, nie mógł jednak znaleźć słów. Gil myślał o tym, że ich znajomość biegnie coraz dziwniejszym torem, i zaraz zadumał się nad całą tą swołoczą, która bezmyślnie głosi, jakoby życie księdza składało się z samych wygod i przyjemności zakrapianych koniakiem. Proszę bardzo, frajerzy, zasuwaszcie do Sulejchowa. Tak bardzo bym chciał, byście się znaleźli na moim miejscu!

\* \* \*

Michał zarządził trzy godziny odpoczynku. On, Jurij i Enka mieli wyruszyć o drugiej. Andrzej Gil siedział w pokoiku na piętrze, pod skośnym dachem, i bezmyślnie gapił się na czarny las. Na stoliku stał niedopity browar. Smakuje jak rtęć, myślał ksiądz doktor, jakkolwiek by rtęć smakowała. Mimo że paliła się lampa naftowa, kąty pokoju ginęły w mroku. Na drewnianej ścianie wisiał mały portret Matki Boskiej, czuwającej nad leśniczówką. Nad Matką Boską czuwały z kolei głuszec i jastrząb, przybite po obu stronach. Gil sięgnął po kubek herbaty i westchnął.

Zabrzmiało pukanie i w drzwiach stanął Michał. Coś się w nim zmieniło, jakby zaczął się garbić, z mięśni uszła gibkość. Oczy miał podkrążone. Szukał wzroku księdza Andrzeja Gila. Usiadł na brzegu łóżka.

— Ksiądz doktor, człowiek uczony... — szept Michała miał coś z szeptu dziecka. — Wierzy ksiądz w duchy?

Gilowi zrobiło się zimno i nabrał złowieszczonego wrażenia, że ktoś zły i samotny czai się za jego plecami. Skinął poważnie.

— Matka po śmierci trzy razy mnie odwiedziła — lwowski akcent przepadł, w słowach Michała brzmiał ledwo słyszalny wschodni zaśpiew. — Raz jak mnie w wojenny czas kacapy na Syberię brały, dzień wcześniej przyszła. I mówi: „Uciekaj, synku, głupi mój, uciekaj”. I drugi raz, dużo później, też przyszła i mówi, żebym do lasu nie szedł. „Głupi synku, mówi, nie idź, matka prosi”.

Nie odrywając oczu od księdza uchylił okno i zaraz ścisnął kolanami obie dłonie.

— Dwa razy nie posłuchałem. Sześć lat na Syberii zimowałem, a za drugim razem taka przykrość mi się zdarzyła. — Ostrożnie podwinął podkoszulek, ukazując bliznę na prawym boku, długą na łokieć i poszarpaną, jakby mięso wyrywano wędkarskim haczykiem.

— Śrut — rozpoznał ksiądz Gil.

— Gruby śrut. — Michał próbował się uśmiechnąć. Splótł dłonie na piersi, ale nie zdołał ukryć ich drżenia. — Teraz niech mnie ksiądz posłucha. Dziś trzeci raz ją widziałem, a jutro czwarty raz zobaczę. Tam. — Wskazał palcem do góry.

Obrócił ku księdzu bladą twarz.

— Da Bóg, wy wróćcie, ja nie wrócę. Tak mi trzeba, mi i wam. Trzeba iść, tu nawet nie o ptaka chodzi. Może nawet nie o Boga. Ja wiem, Jurij wie. Ja księdza za sprawą Zbyszka zawezwał. Zbyszek wiele przecierpiał i wiele przecierpi, tylko dwóm ludziom na świecie ufa. Mi i księdzu, a ksiądz to dobry człowiek, od razu widać, nie odwraca oczu od cudowności wokoło, a i na bliźniego spojry.

Przycisnął kciuk do ust i nagle jakby się zawstydził, wyprostował plecy, zacisnął wargi.

— Skoro mam ci pomóc — rzekł Gil — pójdę z wami, jeśli trzeba.

— Nie. — Michał pokręcił głową. — Mamy tu parafię i księdza na parafii. Ubek stary, na ludzi donosił, do niego nie pójdę. Ale przed księdzem doktorem swoje sprawy wyjawię. Wypowiadasz mnie, księżu Andrzeju?

Gil bez słowa otworzył kasetkę, którą przyszykował na egzorcyzm, i chyba wolałby nawet wypędzać demona, niż patrzeć na pogiętego, połamanego Starego Michała, w tej chwili – starego już ponad wszelką wątpliwość. Wyszukał stułę, mały krucyfiks ze srebra, fiołkę z wodą święconą i świętymi olejkami. Z szacunkiem przełożył stułę. Michał przyklęknął i zaczął szeptać.

\* \* \*

— Grzeeela! — krzyczał Stary Michał, świeżo z grzechów oczyszczony. Jurij natychmiast zmaterializował się w drzwiach, skłonił się niemal niedostrzegalnie. — Jeszcze jedna opowieść dla księdza Andrzeja, ta najważniejsza. — Skinął na Andrzeja Gila, który siedział na krześle z miną, jakby go zaraz mieli rozstrzelać. — A ksiądz dochtor będą tak dobrzy i wypowiadają tego paparacha, co? — Nachylił się i szepnął, tak żeby Jurij nie słyszał — ksiądz żył będzie, Zbyszek takoz, ale Jurij... nie wiem. — Wyprostował się, popatrzył na Jurija. — I stąd wiem dobrze, że ksiądz tu zostać powinien, nie bojsia, Jurij, zobaczymy się jeszcze na tym świecie. A teraz mów, mów księdzu, co trzeba.

Odwrócił się, minął Jurija w drzwiach, jeszcze przystanął. Wąsy mu oklapły, był blady. Mrugnął jeszcze raz do księdza Gila i odszedł sprężystym krokiem. Jurij i Gil popatrzyli po sobie. Cisza zaległa między nimi, cisza, którą po długiej chwili musiał przerwać ksiądz.

— Co jeszcze chcesz powiedzieć?

Jurij wypatrzył piwo na podłodze i przyssał się do butelki.

— Wie ksiądz, poczemu Kostia hodował ptice?

— Mogę się tylko domyślić.

— Padumajcie, ksiądz, szto w bazie przy granicy z Giermaniej znalazło się tysiacz takich ptic. Armia na Zachodzie to dla nich wabik. Pticy lecą na wabik i zabijają wsiech. Tego chce Konstantin: sotniu żar ptic lecących, niszczących, ubijających ludzi.

— Bzdura! Chce zobaczyć atakujące Zachód ptaki? — rzekł z niedowierzaniem ksiądz doktor. Wciąż siedział na krześle, stulę przewiesił przez oparcie.

— Prawdę mówię. Kostia sprytny. On tylko pracował pro swoje.

— O wojnę — zrozumiał Andrzej Gil.

— Aha — przytaknął mu Jurij — atomnuju wojnu.

Gil pomyślał chwilę.

— Przecież, tak poza moralnością, to zupełnie bez sensu — zauważył. — Wojnę atomową przegrywają wszyscy. Na co Rosji zrujnowana Europa, na co Amerykanom lej w miejscu Moskwy?

Jurij popatrzył na Gila z pobłażaniem.

— Kostia tak nie uważa, ja mówił księdzu, szto on wariat. Będzie – tak twierdzi – królem życia, co zwyciężył śmierć.

— Wariat — wyszeptał ksiądz doktor.

— No wariat. Niektórzy mówili, szto Konstantin zabiega tylko o swoje. Jego plan był taki: szybki prikaz, rozkaz znaczy, potom telefon, od naczalnika. Fałszywe rozkazy, rozumiecie? Nic nowego. Tak bywa tylko u ruskich.

Długa chwila minęła, nim Gil – który wyglądał na przybitego do krzesła – zdołał coś wykrztusić:

— Jeśli dobrze zrozumiałem, ten twój Kostia chce zjeść jajko, na którym siedzi ptak w bazie — już miał otrzeć czoło i w ostatniej chwili zorientował się, że stula służy do czegoś innego — a potem odpali rakiety. Dobrze zrozumiałem, że może to zrobić? Dlatego trzeba zabrać ptaka? Tak? Bo tak zrozumiałem... — mówił, a Jurij kiwał głową po każdym jego słowie.

\* \* \*

Szli we trzech, a księżyc zdawał się turlać na bezchmurnym niebie, posrebrzył drzewa tym sympatycznym światłem, które ułatwia młodym seks po krzakach. Tu jednak nikt nie myślał o miłości – ani Michał, idący z przodu ze strzelbą, z kurtką myśliwską narzuconą na ramiona, ani Jurij z noktowizorem, podobnym trochę do ręcznej kamerki, ani wreszcie porucznik Enka, który włókł się na końcu, zachodząc

w głowę, czy Andrzej Gil nie zrobi niczego głupiego. Nawet Urwis spoważniał i sunął przy nodze swojego pana z uszami położonymi po sobie.

— Tu skęcimy — wyszeptał Stary Michał, dokładnie w chwili, gdy Enka zaczął się zastanawiać, jakim cudem ktoś może rozróżnić drzewo od drzewa w tym przekłętym lesie. — Dróżka jest, ubitą nie pójdziemy. Ruskich można spotkać, nu, ale rzadko tu przychodzą. Ptaszek, ptaszek...

Ciekawe, co z nami będzie, jak się ptaszek napatoczy, zastanowił się porucznik Enka. Michał puścił Urwisa przodem, by wybadał teren, a Jurij przyłożył noktowizor do oka. Mordował się z nim przez chwilę, sprzęt był bardzo stary i jeszcze bardziej gówniany, ale trzymanie za czarną rączkę musiało sprawiać Jurijowi przyjemność.

— Czysto na czterysta metrów — oznajmił ze znawstwem.

„Akurat — rzekł do siebie Enka. Żałował, że nie może zapalić. — Czysto na czterysta metrów; jeśli w tym dziadostwie w ogóle chodzi bateria, to widać góra na sto pięćdziesiąt–dwieście metrów. Czterysta, dobre sobie. Ciekawe co robi ten nieszczęsny ksiądz?”

Na drogę wrócił Urwis.

— Przodem, piesku — rzekł Stary Michał. Chwycili się za paski od tyłu: Enka Michała, a Jurij Enkę. Skęcili. Las okazał się gęstszy, niż Enka sądził, Jurij z trudem przepychał się między drzewami. Po kilkunastu krokach to, co można było od biedy nazwać dróżką, ustąpiło miejsca chaszczom. Urwis przepadł w nich bezszelestnie, a Jurij westchnął. Michał ruszył za psem, próbując wydeptać ścieżkę. Z niepokojem patrzył na falujące korony drzew.

Szeptem poprosił o noktowizor. Co chwilę przystawał i przykładał urządzenie do oka, wymacywał drzewa i szedł dalej. Enka zorientował się, że wciąż jest mu gorąco. Rozpiął kołnierzyk koszuli, obejrzał się – Jurij akurat mocował się z jakimś korzeniem. Popatrzyli po sobie.

— Już blisko — rzucił Michał przez ramię.

Krzaki skończyły się tak, jak się zaczęły. Stali na polanie wielkości hali do siatkówki, otoczonej półkolem krzewów. Za nimi, jakieś sto metrów z tyłu, łypała lampa nad ogrodzeniem. Enka odruchowo wyjął papierosa, ale nie zapalił. Poprawił broń, wepchniętą za pasek, skrytą pod koszulą. Za jego plecami Jurij wyraźnie się rozluźnił i właśnie wciągał haust nocnego powietrza, gdy w krzakach, z przeciwległej strony, coś zaszeleściło. Michał podniósł dubeltówkę, Enka chwycił za kolbę. Spomiędzy liści wyłonił się kwadratowy łeb Urwisa.

— Tu bolszewiki czujek nie mają — wyjaśnił stary Michał. — Kto mógł, to się schował.



Urwis był na środku polanki. Na ułamek sekundy coś przesłoniło księżyc, mignęła ciemność. Zaszumiało. Ptak zniżał lot, miał nieruchome skrzydła, co upodabniało go do upierzonego samolotu. Opadł po przeciwległej stronie polany, nikt nie zdołał mu się nawet przyjrzeć, bo Urwis zawrócił powitać niespodziewanego gościa. Nie fatygował się ze szczeniem, od razu obnażył kły. Enka wyszarpnął pistolet. Michał chwycił go za przegub, powstrzymał.

— Jezu... — szepnął.

Wiele dni później podpity Enka zastanawiał się, jakim cudem żar ptak poderwał się wtedy do lotu, ale nie znalazł wytłumaczenia. Obrócił dziób w stronę Urwisa, w jednej chwili siedział na ziemi, w drugiej unosił się kilka metrów ponad nią. Wokół głowy płonęła mu srebrna korona z piór. Wzniósł się na jakieś trzy metry jednym potężnym machnięciem skrzydeł, zawisł w powietrzu, gotowy do ataku. Enka wywalił oczy. Za nim Jurij próbował się ukryć w zaroślach.

Żar ptak, oświetlony księżycem, bardziej przypominał ożywiony obraz niż zwierzę z krwi i kości, wydawał się nieruchomieć w powietrzu, skrzydła ledwo mu drżały. Pazury miał rozczapierzone i mocniejsze, niż Enka mógł sądzić na podstawie opowieści, samymi skrzydłami dałby radę zatłuc człowieka. W głowie, śmiesznie małej w porównaniu z potężnym karkiem, płonęły bystre oczy.

Urwis skoczył, ptak akurat podleciał w górę, wybiwszy się mocniejszym uderzeniem skrzydeł, zmienił ich rozstawienie, płynnie się odepchnął, poleciał poziomo, do tyłu. Enkę, Starego Michała i Jurija omiótł ciepły podmuch. Żdźbła trawy nagięły się w ich stronę, szum poszedł po krzakach. Ptak znieruchomiał, teraz skrzydła miał uniesione wysoko, niczym pierzaste ramiona wyrzucone w górę. Błyszczał i można by pomyśleć, że to on udziela księżycowi swego blasku, a nie na odwrót. Pióra na potężnej klatce rozłożyły się sferycznie, blask jeszcze się wzmógł. Żar ptak zaśpiewał.

Pistolet wysunął się z zeszywniałej dłoni porucznika Enki. Nie sposób było określić tego śpiewu, tak cichego, że z trudem przebijał się przez noc, szedł nisko, po trawie przyciśniętej do ziemi, by wznieść się nagle, tuż przed porucznikiem Enką. Nie było w nim nic z ptasiego świstu i świergotu, był to jeden dźwięk, ciągły jak cierpienie. Porucznik Enka widział, jak staremu Michałowi miękną nogi, i zaraz zobaczył coś innego – wielkie drzewa w śnieżnych czapach, ciągnące się poza horyzont, i nic poza nimi, miliony drzew, żadnych zwierząt czy domów.

Blask bijący z piersi ptaka wzmógł się nieznacznie, a pieśń zakłócił nowy dźwięk. To Urwis rozpaczliwie zaskowyczał, jego ciałem wstrząsnął dreszcz, jakby nagle dostał prądem, i chwiejąc się, zawrócił z błędnym wzrokiem. Widział chyba wszystko, tylko nie drogę przed sobą – wpadł na starego Michała z taką siłą, że

mężczyznę przygięło, a pies odbił się od jego kolan i oklapł, co trochę go otrzeźwiło – przytomnie podkulił ogon i schował się za plecy swojego pana.

Enka i Michał stali koło siebie. Jurij zaprzestał prób chowania się w krzakach i znieruchomiał w kucki, na skraju polany. Ptak zamilkł. Michał, nie odrywając od niego wzroku, ostrożnie sięgnął po dubeltówkę przewieszoną przez ramię. Enka to spostrzegł. Z plecami wyprostowanymi sztywno i zadartą brodą przykucnął, usiłując po omacku wymacać pistolet.

Ptak, który do tej pory unosił się i opadał na skraju polany, chyba spostrzegł, co się święci, bo wystrzelił wysoko w górę i niespiesznie machając skrzydłami, runął na całą trójkę. Michał zrzucił broń z pleców, Enka znieruchomiał, a Jurij znów się skulił. Teraz widzieli wyraźnie: pazury jak ze stali, wielkości potężnych gwoździ, dziób jak zakrzywione noże. I wściekle oczy, które zaraz się uspokoiły. Ptak wyhamował dwa metry przed nimi. Znów zawisł w powietrzu, łopotał skrzydłami, wolno i miarowo – z dołu wydawał się naprawdę ogromny, rozpięty na całe niebo. Lśnił. Jurij wstał, cały rozdygotany, próbował się wcisnąć między Enkę i Michała, nie zdołał, więc stanął za nimi i uniosł dłonie na znak, że nie ma złych zamiarów. Ptak już nie śpiewał, słyszeli szum skrzydeł, nieco podobny do tego, który wydaje wiatr dmący w wielki żagiel. Zaraz skoczy, pomyślał porucznik Enka. Jakby cały rozjaśniał, nad końcami piór na skrzydłach unosiła się srebrna poświata, podobnie błyszcząca mu oczy. Wbił spojrzenie w Starego Michała. Wciągnął powietrze, jakby nad czymś się zastanawiał, machnął mocniej skrzydłami i przesunął się w bok, niczym pchnięty niewidzialną siłą. Patrzył teraz na Enkę – porucznik właśnie się prostował i zastygł, z jedną nogą ugiętą, a drugą wyprostowaną. Przysięgłby nawet na łożu śmierci, że żar ptak spojrzał mu w oczy, a potem przyglądał się porzuconej na trawie splotwie. Następnie uniosł się pół metra wyżej, by lepiej widzieć Jurija. Przyglądał mu się długą chwilę.

Enka wyprostował się i ptak spojrzał na niego raz jeszcze, poruszając głową, jakby był czegoś ciekawy. Miał niemal białe oczy, o małych źrenicach. Takie ludzkie, pomyślał porucznik Enka, a ptak jakby na potwierdzenie machnął skrzydłami. Jurij wrzasnął, a Enka był pewien, że już po nich, lecz żar ptak wzbił się wysoko w niebo, wykręcił piruet, opadł i zniknął między drzewami, posyłając trójce pożegnalny pisk.

Jurij przeklinał po rosyjsku. Usiłował opanować drżenie rąk.

— No, tak... — powiedział Stary Michał.

Porucznik Zbigniew Enka podniósł pistolet i oczyścił go z ziemi. Kiwnął głową, że można by już iść. Najgorsze, miał wrażenie, już minęło, teraz może iść choćby do ruskiej bazy i zatańczyć kankana, nie będzie się bał. Poszli, a Enka wciąż słyszał

ostatni pisk żar ptaka i nie opuszczało go wrażenie, że to przepiękne zwierzę śmiało się z nich wszystkich.

\* \* \*

Michał klęczał przed Urwisem, patrzył mu w oczy i rozcierał skórę na kufie, masował uszy, przytulał delikatnie pysk do piersi. Zwierzę z wolna dochodziło do siebie. Enka uznał, że z Jurijem należałoby postąpić podobnie – dezerner stał i trząsał się w makabrycznie zabawny sposób: korpus dygotał w innym rytmie niż uda i szczęka. Pies odzyskał spokój o wiele szybciej niż człowiek.

Michał dostrzegł, że Enka zbiera słowa, żeby zaraz powiedzieć coś długiego i niepotrzebnego. Puścił Urwisa, przyłożył palec do ust, szepnął:

— Już blisko.

Odnaleźli noktowizor i zlustrowali okolicę – wyraźnie widać było wysoką siatkę i drut kolczasty. Chwycili się za paski.

— Noga — szepnął Michał.

Przystanęli za starym pnem, zza którego rozpościerał się widok na bazę. Enka nie umiał określić, jak jest duża. Jedyne światło dawał reflektor na wieży, lampa, migocząca jeszcze kilka minut temu, przepaliła się na amen. Widział zarys samochodów, budynków, za to wartownik oparty o pobliską bramę był tak wyraźny, że Enka mógł mu policzyć plamy na mundurze i pryszcze na przerażonej twarzy.

Urwis zastrzygł uszami, niespokojny, wycofał się w cień. Wartownik wyglądał na takiego, co stara się nie patrzeć za daleko, nie poza pierwsze drzewa, za którymi czają się ludzie i ptaki.

— Nu — Jurij pokazał palcem w przeciwnym kierunku; Urwis rozglądnął się rozpaczliwie, kiedy zabrzmiał warkot silnika. Przypadli do ziemi, a zza drzew wyłonił się konwój.

Enka ostrożnie wy dobył pistolet.

Na przedzie jechał transporter opancerzony, z perspektywy trawy składający się wyłącznie z kół i zawieszenia. Za nim wytoczyła się ciężarówka z metalową budą, najpewniej opancerzoną, i wielkimi czarnymi oponami. Opancerzenie również wydawało się czarne, ale Enka widział już takie wcześniej i wiedział, że jest ciemnozielone. W nocy, pomyślał, nawet czołgi są czarne. Co innego te cztery mniejsze pojazdy, to zupełnie inna, sowiecka bajka.

Przypominało to dorodnego harleya, znanego z amerykańskich filmów, którym dzielny bohater przemierza autostrady, a jednocześnie skacze ze skały wprost na pole minowe i odjeżdża razem z ukochaną. A raczej przypominałoby, gdyby nie

cztery ciężkie terenowe koła. Rzucił się w oczy opancerzony garb przed kierownicą i dwa działka w miejscach, gdzie powinna się znajdować para reflektorów. Działka nie wysuwały się i patrzyły wprost na Enkę – ciemne oczodoły o źrenicach z ołowiu.

— Gorbunok — szepnął Jurij takim głosem, jakby właśnie zobaczył diabła.

Jakiś rok wcześniej Enka obejrzał film science fiction, gdzie, pośród papierowych dekoracji udających Wenus uganiał się faceci w ciemnych kombinezonach, garnkach na głowach i czymś wyjątkowo idiotycznym z przodu. Myślał, że to bzdury, a tu proszę, dwóch takich siedziało przed nim na czterokołowych motocyklach.

Kombinezony, choć ciemne i kanciaste, sprawiały wrażenie tak wytrzymałych, że można by w nich skakać i fikać koziołki. Mężczyźni siedzieli nieruchomo z karabinami na kolanach. Ich twarze zasłaniały szczelne maski, za sprawą gogli noktowizyjnych upodabniające ich nieco do much. W miejscu, gdzie powinny się znajdować usta, odchodziły rury prowadzące aż do urządzenia wielkości puszeki kawy, zawieszzonego na pasie. Jeden z komandosów obejrzał się nagle. Enka najchętniej zapadłby się pod ziemię, a jeśli w całej Polsce był ktoś bardziej przerażony od niego, to tylko pryszczaty wartownik przy bramie.

Z transportera wyszedł chudy mężczyzna i sprężystym krokiem zbliżył się do wartownika. Miał identyczny kombinezon jak pozostali, ale maska dyndała mu u pasa. Księżyc posrebrzył mu łysą czaszkę. Mimo odległości wyraźnie słyszeli jego słowa.

— *Otkroj!*

Zaciskał pięści, ręce zgiął w łokciach.

— *Cientrala* — wykrztusił żołnierz — *ja zwoniu, ja zwoniu, mnie nado.*

Łysy mężczyzna wydobyl kluczyk, otworzył skrzynkę przy bramie i zaczął rozmawiać przez telefon. Żołnierz w tym czasie nie odrywał od niego oczu, wielkich oczu wiejskiego głupka. Ręce tak mu drżały, że karabin poleciał na ziemię. Łysy nawet za nim nie spojrzał.

— *Siejczas* — warknął, trzaskając słuchawką. — *Bystro!*

Wciągnął nosem powietrze, popatrzył uważnie na las, otarł usta i odwrócił się na pięcie. Wykonał dziwny gest, jakby szukał nieistniejącej paczki papierosów w nieistniejącej kieszeni kombinezonu, i nagle ryknął ile sił w płucach w stronę najbliższego garbuska:

— *Tam, tam swołoczi!*

Garbuski ruszyły jednocześnie, z transportera wysypali się żołnierze. Michał szybko ocenił sytuację. Nie zdążą.

— Urwis, dom — szepnął i pies zniknął w zaroślach. Pomknęła za nim seria, niecelna. A zaraz potem wszyscy byli przy nich – żołnierz na garbusie stanął i odbezpieczył kałacha, nadbiegli inni. Ten z garbusa machnął lufą na znak, by wstali. No, tośmy powalczyli, pomyślał Enka, podnosząc się z ziemi.

\* \* \*

Ksiądz doktor Andrzej Gil siedział na schodach leśniczówki z piwem między kolanami. Głowa kolebała mu się trochę, a myślami był w bazie wojskowej, gdzie, jak sądził, trzech dzielnych facetów uwolniło cudownego ptaka i z Bożą pomocą nakopało do dupy komu trzeba. Wisus złożył głowę na ostatnim stopniu, ogon schował pod siebie i łypał bez przerwy, jakby nie wiedział, czy zasnąć, czy biegać.

Ksiądz spojrział na zegarek, dochodziła trzecia. Niby powinni już wrócić, no ale nie wiadomo, przecież to ruska baza. Za jego plecami walały się butelki po całej czwórce i Gil z przerażeniem stwierdził, że to on opróżnił ich najwięcej. Być może zwiastowało to kłopot lub trudność nie do przewyciężenia, a może tylko szczególność tego dnia.

Wisus poderwał się gwałtownie, zwrócił pysk w stronę lasu, postawił uszy. Nim ksiądz Gil zapytał jego lub siebie, co właściwie się dzieje, na polanę wpadł Urwis, dziś podwójnie godny swojego imienia. Uszy mu łopotwały, ślina szła z pyska, a gdy zahamował przed księdzem Gilem, prawie wrył się łapskami w ziemię. Gil wrzasnął ze strachu, myśląc, że pies chce się na niego rzucić, ale Urwis dopadł Wisusa, przejechał mu językiem po mordzie, szczeknął. Wisus odpowiedział tym samym.

Psy zaczęły krążyć po polanie, wycinały niewielkie ósemki, co chwilę szczekając, skacząc i popiskując, aż Urwis zbliżył się do Andrzeja Gila – który zdążył już wstać i pozbyć się butelki. Pies odbił się leciutko i wylądował przednimi łapami na piersi księdza. Zaskamlał, a Wisus przysiadł i nie odrywał od nich wzroku.

— Co się stało, piesku? — szepnął Andrzej Gil i natychmiast zdał sobie sprawę z bzdurności tego pytania. Delikatnie ujął pysk Urwisa w obie dłonie. W psich oczach dostrzegł mieszaninę przerażenia, troski i czegoś jeszcze, co wydawało się najważniejsze, a czego z początku nie zdołał określić. Prosisz, piesku, zrozumiał Andrzej Gil, no jasne, co, może jeszcze masz łapę wyciągnąć? I natychmiast dotarła do niego groza położenia. Przycisnął psa mocniej, spojrział na czarną ścianę lasu. Chryste Panie, co im się stało?

Urwis, znów na czterech łapach, chwycił za nogawkę i szarpnął tak mocno, że ksiądz Andrzej Gil omal nie stracił równowagi. Wisus zaszczekał trzy razy, krótko, Urwis odpowiedział jednym szczeknięciem i znów uczeplił się księdza.

— Czekaj — Gil próbował zyskać na czasie — czekajże chwilę... — Ostrożnie dotknął łba Urwisa. Pies nie puścił. — Dajże myśli zebrać!

Urwis warknął, ale puścił. Teraz oba rozszczękały się na dobre.

Ciągną mnie do lasu, w stronę bazy, myślał ksiądz doktor, pies był z nimi, mają ich, mają... Każdego, jakby któryś mógł, to by przecież wrócił razem z psem. Psu uciec najłatwiej. Co robić? Ani na policję, ani na parafię pójść nie mogę, znikąd ratunku. Pójdę na bazę, to mnie złapią. Nie, tak nie zrobię.

Odnalazł piwo i wypił duszkiem.

Wiem już – odzyskał trochę spokoju – pójdę, ale nie do samej bazy. Może Michał po prostu zwolnił psa. Zostawię kartkę i się rozejrzę; jeśli w bazie jest cisza i spokój, znaczy wszystko dobrze, prawda? Przecież nie mogą ich tak po prostu zastrzelić... – zaczerpnął powietrza – gówno prawda, księżę doktorze, właśnie że mogą.

Ktokolwiek dostarczał prąd do tej zapomnianej przez Boga i ruskich leśniczówki, musiał coś źle podpiąć, bo światło za plecami księdza Gila wyraźnie się wzmocniło. Cóż, przynajmniej łatwiej odnajdzie latarkę, taki człowiek jak Stary Michał ma ich pewno dziesiątki w zapasie na wypadek wojny atomowej, najazdu Mongołów lub plagi stonki wielkości wilków, zrzuconej przez imperialistów. Nawet się nie zorientował, że psy umilkły. To, że coś nie gra, spostrzegł wówczas, gdy Wisus się zjeżył, a Urwis przypadł do ziemi i zakrył oczy łapami.

Przyszli, przemknęło Gilowi przez głowę, Zbyszek albo ruskie. Znał szczęście Kościoła i swoje, całkiem niemałe, jeśli mu się pomogło. Chwycił butelkę, płynnie się odwrócił. Miodowe szkło roztrzaskało się na stopniach. Urwis, szorując brzuchem po ziemi, schował się za plecami księdza.

Na barierce werandy przycupnął żar ptak. Wbił pazury głęboko w miękkie drewno i rozchylił skrzydła, ukazując kręgi piór na klatce piersiowej. Na moment skupiły światło lampy, pokazując Wisusowi, co się stanie, jeśli spróbuje zaatakować. Ale Wisus wiedział już swoje – wtulił się w Urwisa za plecami księdza Gila.

Z perspektywy dołu schodów ptak wydał się Gilowi wielkości konia. Nastroszył koronę, która w świetle żarówki nabrała złotej barwy. Szyję miał dłuższą, niż można by sądzić, oczy rozstawione dokładnie na wysokości czarnego dziobu. Łypał nimi bez przerwy, jakby chcąc sprawdzić, czy Andrzej Gil to człowiek, czy może coś innego. Przekrzywił głowę, kiwnął nią jeszcze i bardzo wolno opuścił skrzydła. Gilowi wydało się, że od karku ptaka po piórach schodzą płomienie i gdyby tylko odważył się wyciągnąć ku niemu ręce, natychmiast by się spopieliły.

Żar ptak zaśpiewał, a Gil runął na kolana, bokiem, by nie klęczeć przed tym zwierzęciem. Pieśń rozchodziła się z ganku na całą polanę, niby bez melodii,

a zarazem z wszystkimi melodiami świata, cicha, rozrywająca serce. Prawie jej nie było, a jednak to las zniknął. Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną, modlił się Andrzej Gil, Chryste i wszyscy Twoi święci. Prawie ich zobaczył. A potem widział już coś innego, jakby wielkie jezioro o skalistych brzegach, bezdenne, i obrazy się zeń wyłaniające: gad z wielkim łbem, o zielono-żółtych piórach, sunący po niebie. Rycerz w brudnej zbroi, na jeszcze brudniejszym koniu, zabijający mieczem ognistego smoka. Feniks, podnoszący się z błota i popiołu, tak piękny, że dla tego widoku można by podpalić świat. Czarny ptak zlatujący nad grób. Ptak bez oka i skrzydła. Dalej. Dalej. Enka, Gil i Jurij prowadzeni przez żołnierzy.

Wizja zniknęła. Gil nie klęczał już na schodach, ale leżał kilka metrów dalej, w trawie, miał ziemię na twarzy i pod paznokciami. Ptak otrzepał się i z przeciągłym gwizdem pomknął w niebo, a dopiero gdy zniknął, Gil zorientował się, że jest mokry i drży z zimna, jakby właśnie wyciągnięto go ze studni.

Rzeczywiście, Michał miał dziesiątki latarek – wisiały na hakach wkręconych w piwniczną belkę. Wybrał małą, dającą jasne, punktowe światło, na wszelki wypadek wziął też zapasową baterię. Rozbił kłódkę skrzyni stojącej pod oknem i znalazł kilka sztuk broni palnej. Po namyśle wybrał obciętą dwururkę, załadował i stwierdził, że chyba za dużo wypił, skoro pakuje się w to wszystko.

Kazał psom zostać i zagłębił się w lesie, kierując się tam, gdzie wedle własnych pomysłów miał natrafić na bazę. Nie zapalił latarki, rozgarniał chaszcze uciętą lufą. W pewnej chwili coś błysnęło. Lustra.

Na leśnej ścieżce leżał chłopak, na oko siedemnastoletni. Miał wielkie lustro przytroczone do klatki piersiowej i drugie, mniejsze, osadzone na czole z pomocą taśmy klejącej. Z oczodołów sterczało mięso. Przez gardło biegła poszarpana rana.

Żołądek księdza Gila wykonał piruet. To musiał być jeden z tych chłopców, którzy zasadzili się na ptaka.

\* \* \*

Pierwszym, co usłyszał po przebudzeniu, był jednostajny szum wiatraków, a pierwszym, co poczuł – ból głowy, zupełnie jakby dwa haki wwiercały mu się w czaszkę. Spróbował zlokalizować źródło bólu, ale zorientował się, że ręce ma unieruchomione za plecami. No tak, mają mnie, pomyślał z przerażeniem i zaraz wszystko sobie przypomniał.

Otworzył oczy. Siedział pod ścianą w zielonkawym pomieszczeniu, a światło sączyło się zewsząd, specjalnymi dużymi panelami na ścianach, nie dając żadnego cienia. Naprzeciw siebie widział masywne drzwi na zamek szyfrowy, którego klawiatura znajdowała się we framudze. Pośrodku sali stał stół, przyśrubowany do

podłogi, i dwa krzesła, również przyśrubowane. Do czego może służyć takie miejsce? Randka w przestrzeni kosmicznej?

Spróbował wstać, ale ledwo się uniósł – wróciły mdłości i zawroty głowy. Spostrzegł, że nogi ma spięte w kostkach brązową taśmą. Usiłował ją rozerwać, bezskutecznie. Pewnie taką samą skrupowano mu ręce na plecach, więc nie było po co się szarpać. Pół leżał, pół siedział i zupełnie nie wiedział, co dalej.

— Dzień dobry, księżę doktorze — zabrzmiał z lewej głos porucznika Enki.  
— Widzę, że rodzina w komplecie.

Cała trójka siedziała obok pod ścianą, wszyscy związani. Jurij miał dodatkowo zaklejone taśmą usta.

— Niech będzie pochwalony — rzekł Michał grobowym głosem. Andrzej Gil odpowiedział skinieniem głowy.

— Pochwalony, pochwalony — wyszeptał.

Porucznik Enka wbił wzrok w ziemię, jakby bał się spojrzeć Gilowi w oczy.

— Jak się tu ksiądz doktor znalazł? — zapytał.

Na schodach zabrzmiały kroki, drzwi otworzyły się i momentalnie do pomieszczenia wpadł fabryczny hałas – coś tłukło się, szurało, brzmiał szcęk maszyn. Pierwsi weszli dwaj żołnierze w sowieckich mundurach i butach spadochroniarskich, z czarno-żółtą naszywką wojsk pancernych na ramieniu; barczyści, Gilowi z gęby przypominali Niemców. Za nimi wsunęła się kobieta koło trzydziestki w randze kapitana. Nosila górę od munduru, spódnicę i furażerkę na blond włosach spiętych w dwa warkocze. Takim jednym można by zabić, pomyślał ksiądz Andrzej Gil. Nogi miała grube, a piersi tak wielkie, że wojskową bluzę chyba uszyto na miarę. Nad czołem, na furażerce mieniła się mała czerwona gwiazda.

Kobieta przyglądnęła się uważnie każdemu z więźniów. Najdłużej patrzyła na porucznika Enkę.

Gdyby nawet Jurij nie zapiszczał i nie cofnął się w panice, Gil i tak rozpoznałby Konstantina. Sprawiał wrażenie pozszywanego naprędce ze skrawków po człowieku: przez czoło biegł mu płat skóry bielusięki jak świeży ser i schodził za prawy policzek, aż do sinych ust. Szczękę Kostia miał wysuniętą i kształtną jak głaz narzutowy i nawet w tej strasznej chwili Gil pomyślał, że można by na niej powiesić półautomat. Łysą czaszkę pokrywały wściekle czerwone plamy. Identyczna oplatała lewy, pusty oczodół, pokryty zapadniętą powieką. Ocalałe oko świeciło jak dwudziestowatówka. Na widok jeńców Kostia się uśmiechnął. Nie patrz w jego zęby, pomyślał Andrzej Gil – lecz i tak nie umiał oderwać od nich wzroku.



Właściwie Kostia miał zęby w jednym miejscu, stłoczone tam, gdzie inni mają jedynki i dwójki – nachodzące na siebie, a zarazem tak wygięte, że deformowały wargi i ukryć ich było nie sposób. Dookoła ziały ciemne kratery, a zamiast dziąseł straszyły kości.

Kostia usiłował iść sprężyście, ale co chwilę przechylał się na bok. Wojskowy mundur bez dystynkcji wyglądał tak, jakby wyrastał wprost z jego okaleczonego ciała. Kostia wykonał nieokreślony ruch prawą ręką – brakowało w niej wskazującego palca – i splótł dłonie za plecami. Przejechał wzrokiem po więźniach, zatrzymał się na Juriju.

— *Ubieritie jewo* — rzucił do żołnierzy, nie odrywając wzroku od Jurija. — *Nie budiet zdies sowietskij soldat, daze dieziertir, leżat' wmiestie s imperialistami, nu, dalsze, dalsze...* — uśmiechnął się. — *Znajesz, pareń, szto stoboju budiet?*

Przerażony Jurij pokiwał głową. Językiem usiłował podważyć taśmę na ustach. Żołnierze postawili go na nogi, Kostia przyklęknął, chwycił Jurija za policzki, zmuszając, by ten się schylił. Kostia odgiął głowę, ich twarze znalazły się naprzeciw siebie, a język naukowca, pełen białych czubów, prawie przejechał po policzku więźnia.

— *Niet!* — szeptał Kostia. — *Nie budiet prigowora, wojennogo suda, tolko srazu, tiebie, polacziszka, gołowu rozdawim.* — Szarpnął chłopakiem, obrócił mu głowę. — *Da, toczno tam, gdzie smotrisz, gdzie eti dwieri* — pchnął go — *idi, idi. Prikaz wypołnit'.*

Żołnierze chwycili dezertera pod ramiona. Jurij, w ostatnim akcie desperacji, wyrwał się, poleciał do przodu i upadł, nie mogąc rozplątać nóg. Żołnierze natychmiast znaleźli się przy nim, jeden kopnął go w nerki, drugi przywalił pałką w potylicę. Nieprzytomnego podnieśli, drzwi trzasnęły.

— Myślicie, że ja durak, co? — Kostia przykucnął naprzeciw księdza Gila. — Ale niet. Ja chcę, żeby tamci tak myśleli, niech myślą, mówię sobie. Duraka bardziej się boją. Durakowi dadzą, co chce, żeby tylko sobie poszedł.

Trzy strzały zabrzmiały zza drzwi. Jeden po drugim, coś upadło. Andrzej Gil zamknął oczy, Michał zwiesił głowę. Enka znieruchomiał, twarz mu stężała i nagle uśmiechnął się promieniście, jak człowiek, który ma tajny plan i jest pewny swego. Kostii nie spodobał się ten uśmiech. Ruchem głowy wskazał na drzwi.

— A co takiego mogło go spotkać? — rzekł obojętnie. — Nic lepszego go już nie czekało, nawet gdybyśmy go nie złapali. Martwcie się lepiej o siebie.

— Już wszystko przemyślałeś? — spytał Enka z wesołością w głosie. — A co ty byś zrobił, gdybyśmy się tak nie podłożyli?

— Świat się rozpada, i to nie połowicznie — przypomniał mu Kostia. Zastukał w ścianę. — Wszystko pójdzie w diabły. To nie znaczy, że po drodze macie być weseli albo nieużyteczni. Wala! — krzyknął na kobietę w mundurze. — *Idi siuda*.

Był już przy drzwiach, gdy Enka zrobił mądrą minę i zawołał głosem człowieka, który właśnie odkrył prawo porządkujące wszechświat.

— Te, akademik — zawołał — chyba nos wam odpadł! O, tam leży!

Kostia, ku niemałej ucieście porucznika Enki, spojrzał na podłogę i dopiero wówczas znieruchomiał. Kobieta w mundurze wydobyła pistolet z kabury i błyskawicznie włożyła lufę w usta Andrzeja Gila. Gil się zakrztusił. Posłała Ence nieodgadnione spojrzenie.

— Wala, *pajdiom* — rzekł Kostia.

\* \* \*

— Co takie rzeczy dają panu porucznikowi? Przestańcie... — łagodził sprawę stary Michał. — A co księdzu teraz daje takie gadanie? Mam znów przeprosić, mało, że tysiąc razy już przeprosiłem?

— A co by mi z tych przeprosin przyszło, gdyby ona mi łeb rozwaliła? — pytał ksiądz doktor Andrzej Gil. — Przez pana porucznika, i to podwójnie, bo pan porucznik żartuje jak uczeń. I pan porucznik mnie tu zaciągnął.

— Pan porucznik stąd nas wszystkich wyciągnie — obiecał Enka, zmieniając pozycję koło stołu — jeśli ksiądz dobrodziej nam na to pozwoli. Pogadamy, jak wyjdziemy. Ja księdzu do nóg padnę, ale na razie niech ksiądz się zamknie i mówi tylko, czy dobrze jest, czy źle.

Zapadło milczenie.

— Jest źle — powiedział ksiądz doktor.

— Przesuń się, Zbyszek, w prawo — dopowiedział Stary Michał i Zbyszek się przesunął. Siedział tyłem do nogi od stołu i próbował przeciąć taśmę na dłoniach o kant. Jedna ze śrub, które przytwierdzały stół do podłogi, była wykręcona do połowy. Obok leżało dwa złote koloru brudnej miedzi.

— Nie, nie tak... tak... całkiem do dupy, w lewo, w lewo... o dobrze, dobrze, gorzej, nieeee... nie da rady w ten sposób.

Pomagali mu na zmianę, ale nic z tego nie wychodziło. Enka westchnął, splunął, a drzwi się otwały, jakby świeża flegma była lepsza nad wszystkie zakłęcia. Do pomieszczenia weszła Wala. Jej widok nie spodobał się księdzu doktorowi. Kobieta jednak nawet na niego nie spojrzała.

Enka już się nie szarpał, leżał oparty o stół, z miną niewiniątka. Wala posłała mu spojrzenie, jakiego chyba się nie spodziewał, a już na pewno nie oczekiwał, że kobieta chwyci go jak wór na ziemniaki i położy na stole. No tak, pomyślał przerażony Gil, miała mnie rozwalić – to teraz rozwali jego.

Nie bardzo widział, co na stole się dzieje. Ciszę przerwał odgłos, który Gil świetnie znał ze studenckiej przeszłości i pielgrzymek. Dźwięk rozpinanego rozporka. Gil zadarł głowę. Nogi Enki drżały, a Wala masowała miejsce, gdzie znajdowało się, niewidoczne z dołu, krocze pana porucznika. Słysząc było, jak Enka rzuca głową, ale z wolna jego nogi uzyskały ten sam rytm, co ręka Rosjanki.

— Łoooj! — ucieszyła się Wala.

Stary Michał i Andrzej Gil wymienili zdumione spojrzenia, a ksiądz przypomniał sobie, że ostatni raz był świadkiem czegoś podobnego, gdy wszedł do ubikacji po spotkaniu kółka różańcowego dla maturzystów. Wala tymczasem skończyła masowanie i podwinąwszy spódnicę, wgramoliła się na porucznika Enkę. Stół aż ugiął się pod ich ciężarem. Wala zaczęła podskakiwać, piszcząc cichutko, piersi tańczyły jej pod mundurem. Co chwilę, niby, że zmęczona, opadała całym ciałem na Zbigniewa Enkę. Gil widział tylko jego nogi, ale twarz wyobrażał sobie doskonale.

Oddech Wali gwałtownie przyspieszył, piski stały się intensywniejsze, aż przeszły w przeciągły świst. Nogi porucznika już nie biły powietrza, sztywne jak ze stali, Wala nagle sflaczała i opadła tak, że niemal dotknęła dłońmi ziemi. Spod jej ciała brzmiało rozpaczliwe sapanie porucznika Enki. Leżała tak przez kilkadziesiąt sekund, wstała, zsunęła spódnicę. Zapięła Ence spodnie i rzuciła nim jak workiem kartofli. Porucznik jęknął, nim jeszcze uderzył o podłogę.

Oddaliła się żołnierskim krokiem, nie zwracając uwagi na Michała i księdza Gila. Dopiero w progu poprawiła włosy, oczy jej się wyraźnie świeciły. Posłała Ence całusa i poszła. Ksiądz nie mógł opanować śmiechu. Porucznik wyglądał jak psu z gardła wyjęty, w rozchełstanych ciuchach i z malinką na czole. Nawet upadł jakoś śmiesznie.

— No, no, Zbysiu, gratuluję serdecznie — rzekł Michał. — Widział ksiądz doktor? Tak się te rzeczy dziś robi.

— Pan, panie poruczniku, jest takim mądrym człowiekiem — ironizował Andrzej Gil — a w Boga nie wierzy i Jego sprawiedliwość. Ledwo ją pan porucznik złamał, a już kara przyszła — cieszył się dalej. Enka spojrzał na niego smutno i wypluł czerwoną gwiazdę, którą Wala miała na furażerce. Gwiazdka miała bardzo ostre krawędzie.

— Och! — wyrwało się księdzu Gilowi.

— No właśnie: och. — Enka odwrócił się, wymacał gwiazdkę i zabrał do przecinania taśmy. — Trochę się ksiądz nakłopotce, nim wmontuje Boga w tę naszą historię.

\* \* \*

Ktokolwiek przysłał Kostię z powrotem – Bóg czy też kto inny – uczynił to we właściwym momencie. Gdyby zjawił się wcześniej, zastałby księdza Gila rozcinającego sobie taśmę gwiazdką pani kapitan. Każdy z nich zostawił sobie tylko cienki pasek dla pozorów, możliwy do oderwania przy niewielkim wysiłku. Kostia zjawił się z trzema żołnierzami i trzema kałachami, więc nikt nie ryzykował wysiłku. Nawet niewielkiego.

Żołnierze przecięli im taśmy na nogach, zostawiając skrępowane ręce. Szeregowiec o twarzy niedorozwiniętego nosorożca nałożył całej trójce po lnianym worku na głowę. Michał i Enka przyjęli je w milczeniu, jak nawrót znajomej choroby, Andrzej Gil zaczął się krztusić i szarpać, ostre włókna drapały go w nos i policzki. Pyłki odbierały oddech. Kichnął. Popłynęły łzy, ale Gil, o dziwo, poczuł się lepiej.

Dość dobrze widział – ech, głupie te ruskie – dzięki przetarciu z przodu worka, który był zresztą najzwyklejszym workiem, w którym trzyma się pomidory. Żołnierz pchnął Gila delikatnie w plecy, jakby nie chciał przysparzać mu dodatkowych przykrości lub popisywać się okrucieństwem, którego Gil doświadczył w swoim króciutkim życiu sługi Bożego jeszcze całą furę. Przeszli przez korytarz zwieńczony łukowatym sklepieniem. Zwisały z niego jakieś kable, niekiedy zakończone owalnymi przyciskami. Drzwi rozsunęły się, Gil poszedł.

Stał chwilę na pomoście, Michał i Enka już powędrowali w dół, po metalowych schodach, każdy krok brzęczał jak kopniak w worek monet. Nie mógł dostrzec końca hali i pomyślał, że gdyby nie tony sprzętu walające się na podłodze, mogłaby tu zagrać w piłkę połowa Armii Czerwonej. Nigdy wcześniej nie widział takich ilości dziadostwa – monitorów o martwych ekranach, czarnych plansz, po których śmigają kiedyś kolorowe światełka, węzowisk kabli o grubych splotach, dziesiątków obrotowych krzesel, blatów bez nóg i setek lamp od tych blatów odkręconych i leżących w hałdach. Nad nimi pochylały się dwa wielkie ramiona dźwigów, w jednym rogu stały dwa wózki widłowe. Zwijają się, pomyślał ksiądz Andrzej Gil.

W głębi pomieszczenia majaczył ciemny kształt wielkości niewielkiego garażu. Czemukolwiek służył, nie był już podłączony, krzątał się przy nim tylko drobny zaaferowany człowieczyna. Gila poprowadzono galeryjką w dół, po okręgu, i dalej środkiem. Tajemniczy kształt okazał się dużą klatką z pleksi, a człowieczek

widziany z góry zajmował się odłączaniem rurek i przyrządów karmiących. Żołnierze z więźniami minęli go bez słowa. Nie zwrócił na nich uwagi.

Przeszli do końca hali, do windy towarowej bez drzwi, z ułamanym zabezpieczeniem. Lina jęczała przez całą drogę, wtórowało jej trzeszczenie podłogi. Kabina chybotwała się miarowo i Gil poczuł niewysłowioną ulgę, gdy wreszcie się zatrzymała. Żołnierz pchnął go niskim korytarzem, pospieszył jeszcze kolbą kałacha. Drzwi zamknęły się za nimi.

Stali w pomieszczeniu będącym czymś pomiędzy magazynem a rupieciarnią, przy ścianach piętrzyły się całe góry szmelcu. Na szerokich blatach ustawionych parami pośrodku leżały narzędzia i części karabinów, w imadła na rogach można by wkręcić łeb słonia. A najgorsze, że Gil nie widział drzwi, którymi weszli, zupełnie nic, tylko chropowatą ścianę i napis na tej ścianie, każda litera na metr długa i czerwona jak sam Związek Sowiecki: „PROLETARI WSIECH STRON, SOJEDINIAJTIES”.

Przepchali ich dalej, przez cały magazyn do drzwi naprzeciw, już wyraźnie widocznych, a nawet odrapanych. Gil modlił się za Enkę – żeby już zaczął wcielać w życie swój drugi plan, bo przecież jakiś musi mieć, nie powiedział mu o nim tylko dlatego, żeby nie pomyślał, że coś może się nie udać przy pierwszym podejściu. Enka szedł potulnie, zgarbiony jak stara cyrkowa małpa prowadzona na uduszenie w swojej własnej klatce.

Wyszli na plac. Świtało. Teraz nas zastrzelą, pomyślał Gil, ustawią pod murem i jak znam Ruskich, każą uklęknąć, a potem zabiją strzałem w potylicę. A najpierw każą grób wykopać. Zaraz... Kostia przecież mówił co innego.

Górna część bazy przypominała dekorację filmową, prawie nie chciało się wierzyć, że te baraczki, hangary i budy na ruskie dziadostwo naprawdę nie przewrócą się przy pierwszym kichnięciu. Właściwa część kompleksu mieściła się pod ziemią, resztę Kostia kazał sklecić z byle czego, ot, baza potiomkinowska. Najsolidniej wyglądał murowany budynek o brudnogroszkowej barwie, tradycyjnym kolorze rosyjskich budynków rządowych. Gil oberwał lekko kolbą w nerkę i zrozumiał, że Michał się pomylił i żaden z nich nie wróci do domu. Nie jeśli mieli kontakt z Jurijem, nie jeśli pozwolili im zobaczyć to wszystko.

Zorientował się, że potrafi rozróżnić wojskowy personel bazy od tych, którzy przyjechali konwojem razem z Kostią. Mundury nosili identyczne, różniły ich buty – ci nowi nosili jakieś spadochroniarskie, wiązane wysoko nad kostką. Zresztą nie o to chodziło, ale o sam krok. Ludzie od Kostii, znacznie wyżsi, poruszali się sprężytym krokiem niczym automaty. Reszta, zapewne lepiej orientująca się w całym bałaganie, od tej wiedzy gięła się do ziemi.

Po lewej, niedaleko ogrodzenia, między zieloną budą a chaszczami, dwóch takich żołnierzy targało wór w kierunku płytkiego dołu. Wór miał kształt człowieka. Uderzył głucho. Gilem targnął dreszcz. Enka obrócił się, oberwał między łopatki i już się nie oglądał. Michał za to zwolnił, żołnierze pozwolili, i na moment zrównali się ze sobą, stary człowiek i ksiądz. Gil nie wiedział, czy to łyzy błyszczą w oczach Michała, czy tylko wschodzące słońce.

Mieli wyruszyć znanym już sobie konwojem, z garbuskami i pojazdami opancerzonymi. Dołączyła jedynie ciężarówka ze zdjętą klapą, wyraźnie zdezelowana, podobna do tych, którymi przewozi się skrzynki na targ. Na pace ciężarówki stały trzy czarne kostki wysokości półtora metra, każda z wystającymi dziurawymi elementami na rogach. Gil nie miał pojęcia, do czego mają służyć, ale Kostia skierował ich właśnie w tę stronę.

Dwa z garbusków ruszyły, żołnierze ładowali się pospiesznie do transportera. Czerwone słońce już wyrzało z za horyzontu i natychmiast zrobiło się ciepło. Gil myślał, że tylko on się poci, ze strachu i przejęcia. Lecz nawet Kostia, nie ustając w ruchu, ocierał czoło, zerkał w niebo i kłął po rusku. Cisnął mokrą chusteczkę na ziemię. Podszedł do Enki, Michała i Gila, trącając żołnierzy po drodze.

W świetle poranka Kostia robił nieco słabsze wrażenie, jakby poobklejał się ciastem, a w oczodół wcisnął piłeczkę golfową. Uśmiechnął się szeroko i Gil musiał powstrzymać wymioty. Kostia dostrzegł, że ksiądz pobladł, i chyba wziął to za efekt obcowania z potęgą jego i armii sowieckiej, bo jeszcze bardziej się wyszczerzył. Płat na czole miał blady jak wnętrze ud.

— Zaraz się rozstaniemy — powiedział wyraźnie po polsku — i zaraz pewno pożałujecie, że w ogóle wychodziliście z lasu. Bo widzicie, nie sposób bardziej mi się przysłużyć, niż przeciw mnie wystąpić. No — na pokaz pocałował księdza Gila w czoło — a ponieważ tutaj racja moja, znaczy tyle, że tak miało być.

Gil powstrzymał się od odpowiedzi, a Kostia wrzasnął na żołnierzy:

— *Dalsze, k' łowuszkam ich...*

Wydobył czarne pudełko wielkości krótkofalówki z kilkoma okrągłymi przyciskami. Uśmiechnął się jeszcze do Gila, nacisnął przycisk, ale nic się nie stało. Nacisnął ponownie. Znowu nic. Już nie było mu wesoło.

— *Bliat', poszli wy na chuj skotiny. Chrien s wami* — wycedził, a z pudełka wyjął baterię tak wielką, srebrną i śliczną, że gdyby postawić ją na wystawie sklepu z zabawkami w Moskwie, dzieci przebijałyby szybę głową. Potarł nią o spodnie, schował z powrotem. Tym razem zadziało. Drzwi pułapki, wykonane z bardzo grubej blachy, otworzyły się jednocześnie. Żołnierze pchnęli całą trójkę w ich kierunku.

— *Pogruzit' ich* — warknął Kostia.

Skoro wyrok zapadł, żołnierze przestali się cackać – tręcali lufami i kolbami, bili po głowach, kopali w golenie – niezbyt mocno, bo żeby się wyżyć, nie trzeba zaraz krzywdzić, a cała trójka szła tak szybko, jak mogła. Właśnie w tej chwili Gil bał się najbardziej, nie, że zabiją, ale że zobaczą taśmę krępującą dłonie, rozciętą prawie na całej długości. Potulnie stanął obok środkowej kostki. Na jednej z wewnętrznych ścianek rozmieszczono żelazne ampułki wielkości nabojów do syfonu. Naliczył ich kilkanaście. Nie miał pojęcia, do czego służą: one ani całe to ustrojstwo. Kabel biegnący od wewnętrznej ściany przywiązano mu do paska taśmy u rąk.

Dzięki ci, Boże, pomyślał Andrzej Gil, że żaden nie spostrzegł.

— *Gotowo, towarzyszu profiessor!* — krzyknął jeden z żołnierzy w stronę Konstantina i zeskoczył z ciężarówki. Kostia nacisnął środkowy przycisk, zabrzmiało burczenie silniczka. Linka napięła się, Gil poczuł, że zaraz taśma się zerwie. Posłał Ence rozpaczliwe spojrzenie, a Enka odwzajemnił się tym samym. Jednocześnie zaczęli się cofać, szybciej, niż powinni, Gil sapał, jęczał, bo nie tak wyobrażał sobie długo wyczekiwany urlop, a tymczasem żołnierze zatrzasnęli za nim drzwiczki i zapadła ciemność.

Tkwiał tak, skręcony w prawo, bojąc się rozerwać taśmę do końca. Naboje na ścianie uwierały go dokładnie tam, gdzie nie powinny: w łopatkę, kręgosłup i kość ogonową. Nie miał pojęcia, po co to wszystko. Słyszał, jak reszta żołnierzy wsiada do transportera. Zapalono silnik, ciężarówka ruszyła, a ksiądz całym ciałem czuł każdy kamień i dziurę na drodze.

\* \* \*

Niemożliwe, nie mógł zasnąć.

A jednak.

Spał krótką chwilę, ale spał jak narkoleptyk, bo nie wiedział, kiedy się zatrzymali. Nie wiedział także, gdzie jest góra lub dół. Gdzieś – chyba za nim – ktoś coś wrzeszczał, dalej trzask i tupot nóg. Następny dźwięk rozpoznał. Otworzono brzeg paki. Z dołu brzmiały podniecone głosy. Gil poczuł, że się unosi i zaraz zjeżdża, bardzo szybko i na łeb. Przydzwonił głową o drzwiczki przed sobą i zastygł, przechylony razem z całym pudłem. Teraz wrzeszczało przynajmniej kilku, znów zatrzęsło i Gil wrócił do poprzedniej pozycji. Zasyczało, zatrzęsło, ale co i dlaczego – ksiądz doktor nie wiedział.

Marzył tylko o otarciu twarzy. W jego małym więzieniu panował nieludzki żar. Słony pot spływał księdzu Gilowi do oczu i ust. Czoło pulsowało. Omał, w głupim odruchu, nie spróbował zerwać taśmy do końca. W tej samej chwili

zasyczało i drzwi stanęły otworem. Zalało go światło. Zmrużył oczy. Wydawało mu się, że widzi dwóch mężczyzn w kombinezonach, między drzewami, ale gdy przyzwyczał się do słońca, stwierdził, że przed nim nie ma nikogo. Warkot silników oddalał się i cichł.

Nie bez wysiłku Andrzej Gil rozerwał taśmę na rękach. Rozmasował poczerwieniałe nadgarstki. Wystawił głowę, zaraz jednak schował. Znow się rozejrzał. Nic szczególnego. Las jak las. Wyszedł ostrożnie, starając się nie nadepnąć na suche gałązki. Trzask właśnie takiej jednej zabrzmiał za jego plecami.

Odwrócił się i upadłby, gdyby nie pień drzewa. Odetchnął z ulgą. Porucznik Enka przyłożył palec do ust. Na migi pokazał, że trzeba iść do trzeciej skrzyni, prześwitującej spomiędzy drzew, ale nim tam dotarli, Stary Michał wy dostał się o własnych siłach. Padli sobie w ramiona. A potem milczeli. Enka zapalił.

— Te sobaki pojechali na Kruczyzboże — Michał przycupnął, dał znak, że lepiej, by reszta zrobiła to samo — a nie wiedzą, tam droga marna i wlec się trzeba, potem Przycinkę przejechać. A most jest na Przycince. Solidny — uśmiechnął się szelmowsko — ale nie dosyć.

Gil ledwo go słuchał. Nie mógł oderwać wzroku od czarnej skrzynki, z której przed chwilą wyszedł. Po co one? Przecież mogli ich zwyczajnie zastrzelić.

— Ja skrót znam, ruskich przegonimy — mówił dalej Michał — a gdzie drwale piły z siekierami trzymają, to ja wiem dobrze. Godzinę z okładem mamy...

Urwał nawet nie dlatego, że zrezygnowany Enka sapnął i opuścił dłoń z camelem. To przez księdza Gila, który otworzył usta, wywalił oczy, ale nie mógł wydobyć ani słowa.

— Co jest, księżu doktorze? — zapytał machinalnie porucznik Enka, a ksiądz doktor wykrztusił wreszcie:

— Jurij?

— Wiem — rzekł Stary Michał.

— Jurij! Ptak! — Gil zerwał się na nogi. — Wabiki! Rozumiecie! Wabiki w tych skrzyniach! Zrozumcież, o tym Jurij mówi! Wabiki, wabiki na ptaka! — Spojrzał na znieruchomiałą ze zdziwienia dwójkę. — To są pułapki!

Pognali, każdy do swojej klatki, Michał upadł, przetoczył się po ziemi. Gil był pierwszy. Sapiąc i klnąc, docisnął drzwiczki, zamknęły się z sykiem, w środku rozległ się trzask, drzwiczki wygięły się lekko. Zdażył w ostatniej chwili, tuż przed opróżnieniem fiolek z wabikami. Osunął się w ściółkę i schował twarz w dłoniach, dygotał, pocił się i marzył na przemian.

Michał chwycił go za ramiona i brutalnie postawił na nogi. Dosyć, prawda?, mówiły oczy księdza Gila. Z prawej nadciągał zziąjany porucznik Enka.



— Ja zapomniał o wabikach, ksiądz doktor kierownicza głowa — rzekł Stary Michał z uznaniem. — Nu a teraz biegiem, za mną! Najszybciej, jak możecie. Popatrzeli po sobie i pobiegli, najszybciej jak mogli.

\* \* \*

— Most solidny, tak? — dopytywał ksiądz doktor Andrzej Gil, klęcząc, cały spocony i pooblepiany ściółką, nad skrzynią wyciągniętą spomiędzy konarów.

— Ano solidny — przytaknął Michał.

— Metalowy, tak?

Enka przykucnął obok. Siedzieli w wąwozie, gdzie nie dochodziło słońce.

— Ano tak.

— I siekierą chcesz to przerąbać? Pale mostu? W parę minut? — pytał Andrzej Gil. — Zabiją nas. Wszystkich co do jednego.

— Ano tak — przyznał Stary Michał — ubiją.

— Ksiądz się nie martwi — na ramię księdza Gila spadła dłoń porucznika Enki — ani piłami, ani siekierami.

Michał popatrzył na nich poważnie. Skrzynia była stara, ale kłódka – prosto ze sklepu.

— Trzeba otworzyć — powiedział i rozejrzał się bezradnie. Andrzej Gil, nie wiedząc czemu ani po co, wygrzebał kamień wielkości pięści. Podrzucił, a kamień ładnie wylądował mu w dłoni. Podał go Staremu Michałowi. Enka dał znak ręką, by zaczekali, poszedł w kierunku drogi i wrócił z zardzewiałym gwoździem. Zgiął gwóźdź pod butem, włożył w zamek kłódki, starczył jeden obrót i skrzynka stanęła otworem.

— Taka branża — powiedział Enka, uśmiechając się kwaśno.

Na wierzchu leżały dwie siekiery, skrzyżowane niczym szable na pirackiej fladze, każda z obuchem bez lakieru, za to ostra, można by muchom skrzydła ciąć. Położywszy je na mchu, Michał wygrzebał osełki, niemal złote we wściekłym słońcu południa, szmatki, starannie poskładane na czworo, akumulator, butelkę ze smarem, splataną linkę, tak mocną, że można by na niej powiesić cały czyn społeczny za rok ubiegły i przyszły, oraz butlę z brunatnym płynem, którą Enka otworzył, powąchał i czym prędzej odłożył.

Skrzynka opustoszała. Stary Michał pogrzebał, znalazł zapadkę i dno odskoczyło. Wyjął je z największą ostrożnością. W skrytce leżała butelka wódki Bałtyk i szereg zawiniątek, ułożonych w dwóch równych rzędach. Enka pospiesznie wyjął butelkę.

— Karbid — westchnął.

Michał wydobył jedno z zawiniątek, ułożył na ziemi i rozwinął, bardzo ostrożnie. Oczom Andrzeja Gila ukazał się kształt podobny do słoika. Korpus granatu, nawet ksiądz by poznał. Ale ze szmatki wypadł jeszcze drobiazg w skrawku materiału – zapalnik.

Mieli dziesięć sztuk. Wyładowali wszystko, Michał i Enka, łączyli zapalniki z korpusami, a Gil zdrętwiał całkiem i tylko się gapił: raz na drzewa, raz na rząd granatów, ślicznie ułożonych między korzeniami.

— Każdy jeden tym ryby łowi — rzucił Michał w powietrze. — Jak kto się zna, nic groźnego. Zbysiu, ty weź dwa i chodź ze mną, a ksiądz doktor niech stanie tam — wskazał na drogę — i patrzy, czy skurwysyny nie jadą.

Andrzej Gil patrzył jednak na coś innego, na most nad rzeką. Wyglądałby na całkiem solidny, gdyby nie podstawy sześciu słupów podporowych, sklecone z desek, żelaznych sztab i prętów, zatopionych w betonie. Całość przypominała cybernetycznego jeża przygwożdżonego do drugiej połowy dwudziestego wieku, czyli powinna runąć nawet bez granatów.

Spojrzał jeszcze na Enkę i Michała, wędrujących w kierunku podpór, i wyszedł na drogę. Słyszał – choć nie chciał słyszeć – jak tamtych dwóch się przekomarza. Myślał o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. Runął na kolana, jakby sam Gabriel mu nogi podciął, ale, choć żarliwie odmawiał modlitwę (za siebie, Michała, a przede wszystkim za tego idiotę Enkę), prędzej dałby sobie oczy wyłupić, niż zamknąłby powieki. Trzeba patrzeć na drogę.

Za sobą słyszał stukanie i nerwowe głosy, a zaraz, gdy wszystko umilkło, usłyszał jeszcze coś. Rozglądnął się i uznał, że lepiej reagować szybciej. Wahał się ułamek sekundy – zbiec od razu na dół czy dotrzeć do mostu. Most – prędzej. Przechylił się pod barierką i krzyknął:

— Jadą!

Michał akurat rozwijał miedziany drut, a Enka sprawdzał, czy granaty są dobrze umocowane. Rozmieścili po dwa na słupach, resztę włożyli w podpory, między pręty. Michał skinął głową na znak, że świetnie słyszy księdza Gila, i dalej rozwijał drut. Enka pomógł Gilowi zejść. Warkot silników słyszeli nawet na dole.

Wycofali się pospiesznie kilkadziesiąt metrów w las i przycupnęli w kępie wściekle czerwonych liści, za zwalonym pniem. Dłoń Michała, ściskająca naprężony drut, drżała. Enka trzymał w ustach zgaszonego papierosa, a Gil robił to, co robił najczęściej i chyba najgorzej ze wszystkich znanych sobie księży – błagał Boga o życie dla przyjaciół i, jeśli nie da się inaczej, szybką śmierć dla siebie. Na drodze pojawił się konwój. Zobaczyli dwa garbuski, potem ciężarówkę, na końcu transportery. Pojazdy zatrzymały się przed mostem i z wnętrza transportera

dobiegły wrzaski. Gil wyróżnił dwa głosy. W jednym brzmiała wściekłość, w drugim kajanie. Brzmiało to jak rozmowa dochodząca z wnętrza konserwy.

Kłapa otworzyła się z hukiem i z transportera wypełził Kostia. Zaciskając pięści, pokolebał się na skraj mostu, tam ze złości podskoczył i cały czerwony na gębie wrzasnął chrapliwie:

— Mikitin!

Z drugiego transportera wyskoczył tłuściutki Rosjanin w masce i kombinezonie. Podbiegł do Kostii, skłonił się, jakby przeproszał za to, że most jest taki, a nie inny.

— *Job twoju mat', Mikitin, sowsiem oduraciłsa* — ryczał Kostia. — *Eto most? Widieł ty most, durak? Wot dla mienia eto sowsiem, nie most!*

Mikitin próbował coś powiedzieć, maska mu przeszkadzała, więc ją ściągnął. Twarz miał poczciwą i tłustawą. Gilowi zaraz skojarzył się z lotnikami radzieckimi, których widywał w młodości na plakatach, trzymających złotowłose dziewczynki, przechadzających się wśród łąnów zboża albo klepiących po główce piegowatego pioniera.

— *Towariszcz profiessor sam na schemach prowieriał* — rzucił pospiesznie. — *Tam toczno ukazano, szto etot most i dla tiazołogo transporta nužen. Zdies' byli dwa sapiora i wsio ukriepili, otriemontowali.*

Kostia sięgnął do pasa, ale nie znalazł tam pistoletu. Milczał. Mikitin wydobył skądś pomiętą mapę i zaczął pokazywać, gdzie dokładnie są, jaki to most i w ogóle, skąd miałby wiedzieć, że coś jest nie w porządku. Kostia zaczął dyszeć, przyciągnął Mikitina do siebie i Gil myślał, że zaraz go zrzuci. Palec Kostii wskazywał na plątaninę betonu, kabli, drewna i wszystkiego innego u podstawy mostu.

Boże spraw, żeby granatów nie zobaczył, modlił się Andrzej Gil.

Mikitin wybałuszył oczy.

— *No, możet broniewik pieriejediet biez ludiej* — podrapał się po brodzie — *gruzawik nawierno toże. Oczeń czasto on w les jezdził.*

— *W les?* — Kostia odzyskał głos. — *Choroszo. No, biez ludiej. Na bortu ostanut tolko woditiel i lejtnant Mikitin.*

Porucznik Mikitin wyprężył się, zasalutował i zaczął wrzeszczeć na ludzi w transporterze, żeby wysiadali. Kostia zszedł na pobocze, robiąc miejsce. Wciąż niespokojny, skrzyżował ręce na piersi i popatrzył w niebo, czegoś wypatrując. Zmrużył oko, słońce prażyło mocno. Transporter z kierowcą i Mikitinem ruszył, bardzo powoli.

Most zatrzeszczał i jakby ugiął się pod ciężarem. Michał kurczowo ścisnął drut, cała trójka nie mogła oderwać wzroku od pali, które wyglądały, jakby zaraz miały

się rozpaść na wióry, i tylko porucznik Enka bawił się myślą, że Mikitin to taki ruski Gula z jego wydziału. Cóż, takich mają na całym świecie. Cieszył się tym porównaniem i nawet nie zauważył, kiedy transporter pokonał drogę i stanął po drugiej stronie mostu.

Kłapa otwarta się z hukiem i z transportera wyjrzał uszczęśliwiony Mikitin. Wylazł do połowy i oparł ramiona o brzeg włazu, jak kobieta patrząca z okna na przepiękny dzień. Już otwierał usta, by coś powiedzieć, gdy most runął z trzaskiem, w tumanach kurzu i pyłu. Stało się to tak szybko, że właściwie nie wiadomo kiedy. W jednej chwili most był, w drugiej – już nie. Michał, zupełnie skołowany, gapił się na drut w swojej dłoni, którym nawet nie ruszył. Kostia zachwiał się, przejechał dłonią po czole, a z nieba sfrunął żar ptak i zerwał twarz porucznika Mikitina.

— *Agoń!* — ryknął Kostia.

Wokół mostu rozpętało się piekło.

Żołnierze z garbusków, ciężarówki i transportera pruli w niebo na oślep, część z nich zrzuciła maski, by celować lepiej, ale wcale lepiej nie celowali. Ziemia drżała od tego huku, a po niebie śmigąło nowe słońce, słońce tysiąca barw. Rozpędzona kula światła zniżała się nad głowami żołnierzy, to znów unosiła się wysoko – ptak rozpościerał wówczas skrzydła i wisiał w powietrzu, wokół świszczały kule, z których nic sobie nie robił. Jego pisk brzmiał głośniejszy niż strzały. Pióra na jego piersi układały się w półkolistą sferę i żołnierzy zalewało trupie światło.

Niektórzy wciąż próbowali strzelać na ślepo, inni pozdzierali maski i chwyтали się za policzki lub porzucali broń i bili po kombinezonach, jakby chcieli strzepać płomień. Ptak runął na nich tęczową smugą.

Potężnemu żołnierzowi bez maski, z barbarzyńską twarzą wygiętą przerażeniem, zaciął się kałasznikow. Szarpnął jeszcze zamek, rzucił szalone spojrzenie w niebo i pomknął między drzewa. Ptak spadł mu na plecy, można by pomyśleć, że uniósł na metr w górę, i odbił się, ze strzępami skóry i mięsa w pazurach. Mężczyzna zapiszczał, okręcił się i zaczął skakać w miejscu, próbując dosięgnąć rany. Ptak uderzył ponownie: wyrwał oko i rozpruł gardło, a dygoczące ciało runęło między szczątki mostu.

Trzech żołnierzy, którzy zostali na ciężarówce, waliło w niebo krótkimi seriami. Blask spadł między nich, jakbyś worek z krwią rozerwał, szyba spłynęła czerwienią. Jeden z żołnierzy próbował wysiąść, ale nie był w stanie iść, więc upadł. Jeszcze się czołgał, śmignęło raz – urwało mu dłoń, dwa – dziób rozorał szyję.

Pozostali nie przestawali strzelać. Ptak uniósł się ponownie, oślepił, spadł z piskiem między Rosjan. Śmignął nad samą ziemią, rozszarpał tętnicę udową

podoficera prującego z broni osobistej, i żołnierz padł na kolana, ściskając nogę obiema dłońmi. Inny rzucił się do ucieczki – wpadł pod ogień swoich. Ognista kula mknęła od człowieka do człowieka, z jednej strony mostu na drugą, wśród strzałów, krzyków i gejzerów krwi. Pośrodku tego wszystkiego stał Konstantin.

Nie stracił zimnej krwi. Wrzasnął coś w kierunku żołnierzy na garbuskach, wyrwał karabin z czyichś martwiejących rąk i zaczął strzelać. Jak wszyscy.

Z garbusków zeskoczyło dwóch żołnierzy w kombinezonach. Na plecach mieli coś, co przypominało Gilowi metalowe plecaki, pełne śrub i pokręteł. Nie, metalowe być nie mogły, bo prawie żołnierzom nie ciążyły. Od każdego z plecaków biegła czerwona rura, zakończona szerokim otworem z lanego metalu, z dobudowaną kolbą, spustem i celownikiem. Wymierzyli w niebo. Jednocześnie przekręcili przyciski, ale nic się nie stało. Próbowali nadażyć za kolorową smugą.

Kostia zaczął się wycofywać w kierunku ciężarówki. Ludzie nadal strzelali, ci, którzy mogli, pochowali się za samochodami lub za drzewami. Kora aż poczerwieniała. Dwóch w kombinezonach machało rurami, a u stóp księdza Gila spadła pliszka, a raczej coś, co pliszkę przypominało. Żółty brzusek przeszedł w popiel, a skrzydło zwapniało zupełnie. Ptaszek obrócił jeszcze główkę, kłapnął dzióbkiem i zdechł.

— Kurwa — wyrwało się Ence.

Nawet nie zauważyli, kiedy Kostia, korzystając z zamieszania, zatrzasnął drzwi ciężarówki i popędził drogą, ile fabryka dała. Dwa garbuski ruszyły za nim, te z przeciwległej strony mostu zniknęły w lesie, a na drodze zostali żołnierze, zupełnie skołowani, strzelający coraz bardziej bezładnie, bez wiary, że trafią w cokolwiek.

— Skrótem! Szybko! — Stary Michał pokazał drogę, ale sam nie pobiegł. Skierował się w stronę Rosjan, nim ksiądz Gil zdążył zaprotestować. Enka trącił Gila w ramię.

— Stary sybirak — wyjaśnił — da sobie radę.

Odbiegli kilkadziesiąt metrów, gdy strzały umilkły. Moment ciszy rozdarł wybuch granatu. Zatrzymali się, Gil zawrócił i wpadł na Michała, który gnał ścieżką z zadowoloną miną, pasem z magazynkami i trzema kałasznikowami. Jeden natychmiast rzucił Ence.

— No, żeby raźniej było. Do bazy!

\* \* \*

Przed bazą zastali garbuska, samochód z Kostią i dwóch martwych wartowników. Andrzej Gil biegł z tyłu, zwalniał co chwilę, nie znajdując właściwej

metody na utrzymanie karabinu. Porucznikowi Ence na przykład kałach w ogóle nie ciążył, tymczasem Gil nawykł do targania innych ciężarów. Dotarł na skraj lasu ostatni, zziąjany jak nieboskie stworzenie, i z ulgą oparł kolbę o ziemię.

Kostia kopniakiem otworzył bramę. Wrócił do ciężarówki, wjechał do środka, garbusek podążył za nim. Michał odczekał chwilę i dał znak ręką. Trzeba iść.

— Zaczekajcie — szepnął ksiądz doktor Andrzej Gil — ja chyba źle zrobiłem.

Enka popatrzył na niego pytająco.

— Później — syknął Stary Michał.

— Nie, nie później! — Enka wpił mu palce w ramię, zasyczał z bólu, ale ciągnął — jak poszedłem z wami most wysadzać, to już głupi byłem. Ja nie mogę. Mnie takich rzeczy nikt nie uczył, ja nie mam...

— Pod Grunwaldem księża prali się jak złoto — wtrącił porucznik Enka.

— Ich szkolili, mnie nie. — Gil dotarł do granicy, za którą znajduje się tylko szloch i zgrzytanie zębów. Trącił nogą kałacha. — Ja tego nieść nie umiem, a wy chcecie, żebym strzelał. Ja tu komunii przyjechałem udzielić.

— Ale most ksiądz dochtor wysadzali — zauważył przytomnie Michał.

— Ksiądz dochtor się nie zna — głos Gila zabrzmiał mocniej — ksiądz dochtor nie był nawet na szkoleniu wojskowym na studiach, bo symulował chorobę, ale i bez przeszkolenia wie, że lepiej sobie od razu w łeb strzelić. Wejdzimy, rozwalimy wszystkich na górze, ja się pomodłę, żeby ściana pękła jak Morze Czerwone, zjedziemy sobie, zabijemy ze dwa plutony i wszystko się dobrze skończy?

— Dobrze, dobrze — Michał wszedł mu w słowo. — Ta nawet lepiej będzie, ksiądz tu się zaczej i popatrzy, czy kto nie idzie, my pójdziem, zobaczym. Bramy nie zamkli.

Enka w milczeniu z powrotem włożył Gilowi kałacha do ręki. W oczy nie spojrział, poklepał tylko po ramieniu i poszedł za Michałem, garbiąc szerokie plecy. Gdy się oddalał, przypominał gnoma skradającego się podusić kury. Gilowi zbieleły zaciśnięte pięści. Tak wściekły był tylko kilka razy w życiu, ale pierwszy raz na siebie. Próbował jeszcze się przyjrzeć konstrukcji karabinu, czy nie ma przypadkiem magicznego przycisku czyniącego wszystko łatwiejszym. Wszystko: obsługę broni, ten dzień, całe życie.

Ku swojemu zdumieniu odbezpieczył broń jednym gładkim ruchem.

Chwilę później zatrzymał się przy bramie, poczekał, aż oddech mu się uspokoi. Na pocieszenie próbował wyobrazić sobie minę kogoś ze znajomych hierarchów – Ruraka albo Macharskiego – gdyby zobaczyli go w tej chwili. Wyobrażał sobie

szczękę osuwającą się jak hałda piachu, i ogromne, jakby natarte oliwą oczy. Potem wyjrzał ostrożnie zza węgła i właśnie taką minę zrobił.

Najpierw zobaczył Enkę i Michała, sunących ostrożnie w stronę budy z drewna. Przy magazynie z windą stały resztki z konwoju, a wkoło walały się trupy. Gil jednym spojrzeniem ogarnął ponad dwadzieścia ciał. Część nie miała widocznych obrażeń, tylko wykrzywione, zielone twarze i języki podobne do martwych ślimaków bez muszli. Z większością ptak rozprawił się tradycyjnie – oślepił, rozszarpał gardło, wydrapał oczy. Żołnierz u stóp księdza miał skórę przedramienia zdartą do kości. Na groszkowych budynkach, w pełnym słońcu, brązowiały plamy krwi.

Uwadze księdza Gila nie umknęło, że kable, niedawno rozpięte między budynkami, są teraz przerwane, a budka, przy której się zbiegały, obalona. Ostrożnie przesunął się w stronę skrzyni. Enka odwrócił się gwałtownie. Na widok księdza odetchnął z ulgą i dał sygnał, że trzeba się schować.

— Spryciarz z tego ptaka — szepnął Enka. — Ciekawe, jak ten kutas zjedzie do swoich podziemi.

Jak na komendę z głębi magazynu dobiegł wrzask wściekłości i w wejściu stanął Kostia. Jakby wrósł w ziemię i mowę stracił – nic tylko ryczał, ramiona miał sztywne, a palce rozprostowane. Skończył tak szybko jak zaczął, popatrzył w niebo i odruchowo cofnął się o krok.

— Ptak jest tam. — Michał wskazał na ciężarówkę.

Z ciemności magazynu wyłonili się dwaj żołnierze w dziwnych kombinezonach i ze swą, jeszcze dziwniejszą, bronią. Rozmawiali chwilę półgłosem, Kostia znów popatrzył w niebo. Przeniósł wzrok na ciężarówkę, tę samą, którą wskazywał Michał. W jego ręce pojawił się znajomy już czarny pilot. Kostia wzruszył ramionami, pokiwał głową, jakby właśnie podjął jakąś trudną decyzję. Nacisnął przycisk. Nic. Jeszcze raz. Znów nic. Do trzech razy sztuka. Zdziałało.

To trwało niecałą sekundę. Najpierw usłyszeli dźwięk, jedyny w swoim rodzaju, jakby coś gwałtownie próbowało się wydostać ze skrzyni na ciężarówce, i zaraz potem przejmujący pisk, krótki, zduszony. Zgasł równie nagle. Zapadła cisza. Gil już wiedział, co się wydarzyło. Wiedzieli wszyscy.

Michał odbezpieczył broń i nim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wypadł zza skrzyni, nawet nie próbując się ukrywać. Otworzył ogień, kule trafiły w metalowe drzwi, Kostia przypadł do ziemi i zaczął się wycofywać w głąb magazynu. Żołnierze w kombinezonach na moment zbaranieli.

— Jezu — szepnął Andrzej Gil.

Trzasnęło i karabin zamilkł. Zza skrzyni Gil widział wyraźnie, jak Michał kombinuje coś koło zamka karabinu, wytraca pęd, klnie pod nosem, a żołnierze w kombinezonach odzyskują zmysły. Jednocześnie wymierzyli te swoje przedziwne rury, nacisnęli spusty. Gilowi wydało się, że węże biegnące do aparatury na ich plecach tężeją.

Michał odzyskiwał już równowagę, ale nagle znieruchomiał, jakby wpadł w bagno po pas. Zamachał rękami, próbował niezdarnie naprawić karabin, postąpił jeszcze krok. Prawa noga trzasnęła i dosłownie rozkruszyła się na części, trzask, trzask, co kilka centymetrów, poszła najpierw dolna części uda, potem rozprysło się kolano i goleń; Michał poleciał na twarz, zupełnie bezradny. Jakimś cudem zdołał się obrócić, ale druga noga, również zwapniała, oderwała się wraz z kawałkiem biodra. Spodnie pozostały nienaruszone, ale wszystko pod spodem zatraciło kształt. Nogawka wyglądała, jakby nasypiano do niej piasku.

— Jezu... — powtórzył ksiądz Gil i dodał w myślach prośbę do Boga, tę jedną, którą Bóg powinien spełnić. Niech Enka nie zrobi nic głupiego.

Bóg jednak miał inne plany względem Zbyszka i pozwolił mu skorzystać z wolnej woli dokładnie tak, jak ten sobie życzył. Enka wrzasnął i poleciał na Rosjan, przebiegając między nimi a Michałem. Puścił trzy serie, jedną niecelną. Trzy kule niemal zmiotły z ramion głowę w masce. Drugi żołnierz, trafiony w podbrzusze, skulił się i zapiszczał. Enka, wciąż pędząc, posłał kulę w środek jego klatki piersiowej.

Michał jeszcze żył. Zdołał się unieść na łokciach. Enka dopadł do niego, Gil był już tuż obok, zdzierał z siebie koszulę. Wepchnął ją umierającemu pod głowę, a Enka odrzucił karabin. Całował starego po rękach.

— Nie daj zabić ptaka. Nie małego — szepnął Michał tak cicho, że Enka ledwo usłyszał.

— Nie mów nic, proszę... — Enka pogładził Michała po czole. Podniósł wzrok na księdza Gila, tylko na ułamek sekundy. Przygryzł wargę. Nie opanował płaczu. Michał wziął płytki oddech, odchylił głowę.

— Skamieniejesz po pas — wyszeptał. Enka nachylił się do niego. Oczy Michała już gasły, ale jego dłoń wciąż szukała ręki porucznika. Próbował spojrzeć na swoje zwapniałe nogi. Słońce wisiało tuż nad nimi. Michał zdobył się jeszcze na uśmiech. — Nic to, Zbysiu — wyszeptał — to tylko bajka.

Enka zgarbił się, jakby chciał chwycić Michała w ramiona i wyrwać śmierci, zaraz jednak otarł oczy i wstał, z pozoru odzyskawszy spokój. Tylko ręce miał bezradnie opuszczone. Andrzej Gil otoczył go ramieniem. Kałasznikow leżał na rozgrzanym asfalcie. Na moment zapomnieli o wszystkim – o nocy w leśniczówce,



ucieczce, bitwie na moście, cudownych ptakach. Nawet o Kostii Bessmiertnym, który szedł w ich stronę z tetetką w dłoni.

— Witajcie, towarzyszu — rzekł zimno Enka. Szybko ocenił, czy zdoła dopaść broni. Nie zdoła, więc podniósł ręce. Andrzej Gil zrobił to samo. Kostia odbezpieczył broń.

— Bajka nie bajka, a umierać trzeba — powiedział. Gil myślał, że Enka rzuci się na Kostię z gołymi dłońmi. — Poliaki niech się nie przejmują — machnął lufą tetetki w kierunku ciężarówki — tamtemu ptaku już nie pomogą. A i drugiego dostanę, jak będzie trzeba. Ptak nieważny. Jajko ważne.

— A co z tym jajkiem? — zapytał Enka.

Kostia się roześmiał. Zbliżył się, dzieliły ich niespełna dwa metry. Wodził pistoletem od twarzy Enki do twarzy księdza Gila. Enka przyglądał się jego jedynemu oku, podobnemu teraz do samotnej, czerwonej planety, i zrozumiał, że jakakolwiek odpowiedź padnie, nie będzie normalna. Dobrze, dobrze. Niech gada. Kostia ściągnął łopatki. Odsłonił chore dziąsła.

— W tym jajku jest moja dusza — oświadczył.

— Rozumiem — przyznał porucznik Enka. — Życie wieczne, tak? O to ci chodzi? To ten ostatni krok.

— Wędrowałem po spalonej ziemi, Poliaki — podjął Kostia. — Ta ziemia zabijała chłopów jak dęby, ja żyję. Oko musiałem pticy oddać, teraz wezmę więcej. Wezmę wszystko.

Mów, mów, myślał Enka, nie wiedząc do końca, na co liczy.

— Przeżyłem wszystkich — wyznał Kostia — dobrych i złych, Boga przeżyłem. Wiesz, co mnie kusi? Nazywasz się Enka, prawda?

Enka przytaknął.

— Chciałbym dać ci tę broń. — Łypnął okiem, wysunął tetetkę rękojeścią do przodu, cofnął rękę i wymierzył znowu, nim Enka zdążył chwycić. Zachwiał się, splunął.

— Najpierw jajko — powiedział.

— Potem wojna — do gry włączył się ksiądz Gil.

— Najpierw jajko, potem wojna — ucieszył się Kostia.

— Po co ci ta wojna? — pytał dalej Gil.

Kostia uśmiechnął się sztucznie. Otarł spocone czoło.

— Najpierw jajko — ton głosu mu się zmienił — a ptak już nie żyje. Jak ptaka nie ma, to i jajka nie będzie. Ptaszek, moje życie, przepadnie. Koniec. Wy się już nie dowiecie. Ale inni tak.

Wymierzył w głowę porucznika Enki i nacisnął spust.

\* \* \*

Pierwszy był Wisus, wyskoczył zza księdza Gila jak czarna chmura, odbił się bezgłośnie i zacisnął kły nad przedramieniem Kostii. Ten wrzasnął z bólu i zaskoczenia, a Urwis, który pojawił się od strony Enki, dopadł do gardła Rosjanina. Kula poleciała wysoko w powietrze, Kostia upadł na plecy i wolną ręką próbował odegnać Urwisa. Charczał, wyduł wargi, a jedyne oko rozszerzyło się na pół twarzy z niedowierzania i śmiertelnego strachu. Potem zamknęła się na nim szczęka Wisusa i oko zniknęło wraz z czołem, nosem i policzkiem. Kostia znieruchomiał, ale psy go nie odstąpiły. Urwis wgrzyzał się głęboko w gardło, Wisus rozszarpał pierś i brzuch. Na asfalt spłynęły wnętrzności.

— No, no — rzekł porucznik Enka.

Gil, nie bez wahania, podniósł swojego kałacha.

— Powinniśmy iść. Może... — wskazał na psy — może one mają dosyć...

— Nie zostawię go tak — odparł Enka. Przyklęknął przy Michale, przejechał dłonią po bladej twarzy. — Ksiądz będzie tak dobry i znajdzie jakiś wózek. Ruskim go nie dam. Potem może ksiądz iść, jak ksiądz chce — dodał i natychmiast pożałował tych słów. — Ja nie chciałem. Po prostu nie chciałem. Przepraszam, księżo doktorze.

Andrzej Gil przytaknął na znak, że gniewanie ani mu w głowie, i poszedł szukać czegokolwiek, co nadawałoby się na przenośny karawan. Minął Urwisa i Wisusa, zajądających w najlepsze. Jakoś nie miał ochoty ich odciągać.

Za domem znalazł duży wózek na dwóch kołach, z pałakiem do ciągnięcia i drewnianymi brzegami. Psy już się posiliły. Z Kostii została właściwie czaszka z resztkami mięśni i szczęki, które – pozbawione warg – ułożyły się w błazeński uśmiech. Michał leżał przykryty kawałkiem brezentu, a Enka, stojący naprzeciw ciężarówce, walczył ze łzami i pilotem, który wypadł Kostii. Naciskał go raz za razem, spluwał, klął, ale nic się nie działo.

— Panie poruczniku — Gil próbował rozładować atmosferę — pan tym w coś przypieprzy. Z Bożą pomocą się uda.

Enka zakasłał. Przywalił pilotem w udo. Nacisnął ostatni przycisk i klatka się otworzyła. Z wnętrza chlusnęła krew, tyle krwi, że można by pomyśleć, że cała jest nią wypełniona. Oczom milicjanta i księdza ukazał się żar ptak, mniejszy od poprzedniego, o ciemniejszym i bardziej jednolitym umaszczeniu. Kilkanaście cienkich kolców przechodziło przez tułów i skrzydło. Jedno przebiło głowę, na

szpicy błyszczało oko. Być może właśnie to, które ptaki zabrały Kostii Bessmiertnemu.

Kolce uniosły ptaka nad gniazdo, odsłaniając jajko wielkości pięści dorosłego mężczyzny, białe we wściekle czerwone cętki.

— Jajko — rzekł Enka. — Musimy je zabrać.

Andrzej Gil go nie słyszał. Nie mógł oderwać wzroku od martwej samicy. Mimo że sztywna i poraniona, miała tę dziwną dostojność, właściwą starożytnym męczennikom. W jakiś dziwny sposób skojarzyła mu się z ptasią wersją świętego Sebastiana.

— Jajko — powtórzył Enka. — Pisklę zdechnie, jeśli nic nie zrobimy. Kostia tak powiedział.

— Kostia mówił różne dziwne rzeczy — przyznał Andrzej Gil — ale w tym wypadku mógł mieć słuszność. — Chrząknął. — Jajko wyiębi się i mały zginie.

— Można by je zanieść do tych no, kletek — plątał się Enka — co nas w nie złapali. I wezwać ptaka. Ojca.

— I uciec.

— Uciec raczej nie zdążymy. Zresztą nawet nie zdążymy donieść jajka z żywym pisklęciem w środku. — Rozejrzał się po okolicy. Krew i trupy. Pustkowie. — Może by owinąć je w ręcznik? W jakiś koc... Dzień ciepły.

— Nie — odparł Gil. Ostrożnie wziął jajko. — Trzeba je umieścić na wózku. Obok Michała. A pan, panie poruczniku, może już zdejmować spodnie.

Minęła chwila nieznośniej ciszy, nim Enka pojął, o co chodzi. Spróbował się roześmiać, ale w jego poczerwieniałych oczach czaiło się wszystko, tylko nie rozbawienie. Wydobył camela.

— Obaj mieliśmy ciężki dzień. Ja nawet bardzo ciężki. Uznajmy, że tego nie słyszałem.

— W takim razie ptaszek zginie — wyjaśnił ksiądz doktor. — Małe matki, od której się wszystko zaczęło.

— Wykorzystuje ksiądz sytuację.

— Wcale nie.

— W takim razie — Enka poczerwieniał — może ksiądz sam ściągnie te wielebne gacie i wysiedzi co trzeba. Będzie łatwiej, bo z pomocą Boską.

Papieros wypadł mu z ręki. Schylił się, ale ksiądz Gil był pierwszy. Trzymał teraz camela za końcówkę filtra. Nie zaciągnął się.

— Rozumiem w czym trudność — rzekł. — Ale to pan porucznik po mnie przyszedł, tę akcję zaplanował, to akcja pana porucznika i będzie słuszne, jeśli pan

porucznik wysiedzi to jajko. Co do pomocy Boskiej, to zapewniam, że ta towarzyszy porucznikowi nie od dziś.

Oddał Ence papierosa, a Enka tylko westchnął i wzruszył ramionami. Najpierw ułożyli ciało Michała. Nogi kruszyły się im w palcach jak spalona ziemia. Andrzej Gil znalazł trochę płótna i na nim ostrożnie umieścił gumowe gniazdo wraz z jajem. Enka odpiął pasek.

— Jeszcze jedno — syknął. — Nigdy. Nikomu. Pół słowa, a zabiję.

Gil spojrzał mu w oczy.

— Jasna sprawa, panie poruczniku.

Enka ściągnął spodnie, odsłaniając jakimś cudem wciąż śnieżnobiałe slipy, włożył z boku na wózek, poszukał sposobu, jak jajko najlepiej ogrzać, i ostrożnie przykucnął. Oczy miał wielkie i wilgotne.

— Da radę ksiądz mnie popchać? — jęknął przez ramię.

Gil ocenił sytuację. Dwóch mężczyzn na wózku, jeden martwy, a drugi na jajku. Ale wózek wyglądał na dobrze wyważony, a pałak był długi i mocny. Tak, ksiądz da radę.

Zaparł się, naprężył mięśnie, nawykłe tylko do noszenia książek, i wózek ruszył, nie bez zgrzytu, ale toczył się szybciej z każdym kolejnym krokiem. Za bramą pędził już na całego, a Urwis i Wisus gnały tuż przed Gilem i Enką.

\* \* \*

Pułapki stały zamknięte, tak jak je zostawili.

Enka wstał pośpiesznie, zszedł z wózka i zapiął spodnie. Delikatnie przełożył jajko na nasłonecznione miejsce. Gil oparł dłonie na skorupie. Enka stał już przy jednej z pułapek, opukał pojemniki z wabikiem i spróbował je otworzyć. Najpierw ręcznie, potem pilotem.

— Księżę doktorze? Was tam elektroniki na uniwersytecie nie uczyli? — mruknął i z papierosem w ustach zabrał się do wyjmowania baterii. Nie pomogło. Uderzył pilotem o kant pułapki.

— Panie poruczniku!

— No nic, nic, co mam robić, jak nie daję rady z tym kur...

Urwał w pół słowa, bo oto skorupka jajka zaczęła pękać. Najpierw pojawiła się rysa na samym czubku, zaraz pobiegła w dół, poszerzyła się i załamała, a z drugiej strony, niżej, pojawiła się kolejna. Fragment skorupki odpadł, ukazując ciemność, w której czaiło się młode życie. Gil i Enka nachylili się nad gniazdem. Psy też patrzyły.

Jajko pękło w połowie, dziobek dokonał reszty i oczom całej czwórki ukazał się ptaszek wielkości dwóch paczek papierosów. Z piórkami czerwonymi na korpusie i skrzydłach, żółtym czubkiem główki, końcówkami skrzydeł i ogonka przypominał wijący się płomyk. Pokryta śluzem powieka otworzyła się i pisklę spojrzło radośnie na świat, słońce, psy, księdza i milicjanta. Ptak wyglądał na całkowicie sprawnego już w chwili wykluwania. Gil miał straszną ochotę wziąć to cudeńko na ręce i wiedział, że Enka myśli o tym samym.

— Pijuuu — zapiszczał ptaszek. Pisk był trochę podobny do tego, który wydawał ojciec, lecz cichszy, wysoki i pozbawiony mocy.

Ojciec.

— Pijuuuu.

Cholera, ojciec.

Odsunęli się jednocześnie i jednocześnie też upadli. Gil potknął się o korzeń, Enka, cofając się, wsadził nogę w dziurę. Psy przepadły w krzakach. Zaszumiało i na polanę, tuż przy gnieździe, sfrunął dorosły żar ptak. Nie złożył skrzydeł, ukazując całą potworną siłę, pazury, zęby, sferycznie rozłożone pióra na torsie. Gil nie miał pojęcia dlaczego, ale był pewien, że we wzroku ptaka rozpoznaje nienawiść tak zimną, że prawie ludzką. Pisklę zapiszczało znowu, unosząc główkę do nieba.

Ojciec popatrzył na nie i znów na Gila z Enką. Już inaczej. Spokojnie. I zaraz stracił nimi zainteresowanie, zajęty bez reszty czyszczeniem swojego syna. Gil podniósł się ostrożnie. Zauważył, że pióra na karku ptaka są poszarpane, a końcówki lotek na lewym skrzydle zwapniałe.

Na ramię księdza Gila spadła ciężka dłoń porucznika Enki.

— Nic tu po nas.

\* \* \*

Czerwone słońce przeglądało się w jeziorze. U brzegu kołysała się mała motorówka z ostrym dziobem i dwoma małymi szybami z przodu, z których jedną dawno utłuczono. Blacha na burtach była powyginana na wszystkie możliwe strony, silnik przywiązany, a na dziobie znajdowało się wgniecenie, jakby rąbnął w tym miejscu kamień wielkości ludzkiej głowy. Na motorówce leżało ciało Starego Michała, przy ciele Biblia i strzelba. Na brzegu modlił się ksiądz Gil. Obok leżały kanistry. Porucznik Enka stał dalej, w cieniu drzew, ze spuszczoną głową.

Urwis i Wisus patrzyły ponuro na łódź.

Gil przeżegnał się, dając znak, że skończył. Enka przykrył Starego Michała szmatą wydobytą z dna motorówki, cisnął jeden kanister koło ciała, benzynę

z drugiego rozchlapał na łodzi. Woda wokoło zaczęła opalizować. Jął szarpać za linkę silnika. Gil stał już z płonącym kijem. Zaciskał na nim obie dłonie. Silnik zaskoczył. Motorówka odbiła od brzegu.

Gil policzył do trzech i cisnął żagiew. Spadła idealnie, na samo dno, pod siedzenie pasażera. Łódź momentalnie stanęła w ogniu. Płomienie najpierw dotarły do kanistra, który wybuchł ułamek sekundy przed silnikiem. Andrzejem Gilem wstrząsnął dreszcz. Teraz po łodzi pozostały płonące szczątki. Gasty szybko, wędrowały na dno.

— Zawsze chciałem, żeby tak go pochować — powiedział Enka łamiącym się głosem. — Mówił, że będzie łowił ryby przez całą wieczność. Dziwne, że mi to powiedział. Jakby był pewien, że będę przy nim, gdy umrze. Czy to nie dziwne, księżo doktorze?

Odkręcił butelkę po ptysiu, Napił się.

— Panie poruczniku...

— Tak, wiem. Musimy iść.

— Pan patrzy, panie poruczniku.

Palec księdza Gila wskazywał na niebo. Nad jeziorem przelatywały żar ptaki. Duży frunął wolniej, by młody mógł nadążyć. Zatoczyły dwa koła nad łódką i poleciały na zachód, w stronę czerwonej tarczy, aż zlały się z nią zupełnie.

— Są piękne — szepnął Andrzej Gil — a teraz odlatują.

— No — Enka podał mu flaszkę — do enerefu lecą. Gdziekolwiek. Byle dalej stąd.

Milcząc, zawrócili do lasu. Psy do nich dołączyły. Urwis szedł przy poruczniku Ence, a Wisus nie chciał odstąpić księdza Gila.

\* \* \*

Wyszli równocześnie, ale z różnych drzwi. Zderzyli się w korytarzu poradni weterynaryjnej. Psy obwąchały siebie i swoich panów. We czterech poszli do wyjścia. Ściany zapełniały wyblakłe wizerunki zwierząt. Płytki w rogach już popękały. A na zewnątrz czekało ich słońce i zieleń Plant po drugiej stronie ulicy. Gil poprawił koloratkę, jakby chciał poluzować kołnierzyk.

— Jak się psiak miewa, księżo doktorze?

— Zdrowy, jak i pański, panie poruczniku.

— A żeby ksiądz wiedział, że zdrowy, i to jeszcze jak — ucieszył się Enka. — Wczoraj, przepraszam za te słowa, ale normalnie przeleciał charcicę mojej sąsiadki. A medali miała więcej niż ten mój wszy. — Poklepał Urwisa po boku.

— Straszna awantura się w bloku zrobiła, a ja nie lubię w sąsiedztwie legitymacją machać.

Stanęli przy przejściu.

— Bałem się, że mojego uśpią — odparł Andrzej Gil. — Był u mnie proboszcz z Prądnika i ten łajdak go pogryzł. Całą rękę mu poharatał.

— Rękę... — zamyślił się Enka.

— Niestety, panie poruczniku.

Psy szły im przy nodze, zadowolone i dostojne.

— Może ksiądz przysiądzie na chwilę — Enka wskazał ławkę — zapalę i pójdę. Muszę... chcę być sam.

Usiedli w cieniu drzewa. Enka tradycyjnie dmuchał w drugą stronę, a Gil odwracał twarz od dymu. Dostrzegł grupę obcokrajowców w białych garniturach. Wyróżnił przewodnika, tłumacza i trzech Japończyków – starego i dwóch młodych, tych samych, których widział na Rynku Głównym kilka dni wcześniej. Przewodnik tłumaczył im coś zawzięcie, ale Gil nie słyszał co.

— Myśli pan porucznik, że to dobry pomysł, rozdzielać te psy?

— Zawracanie głowy — burknął Enka. — Skoro tak wybrały, znaczy tak chcą. Co to w ogóle znaczy: rozdzielać? Może świetnie wiedzą, że nie zostaną rozdzielone?

Gil zastanawiał się nad niepokojącym sensem tych słów, tymczasem grupa obcokrajowców zatrzymała się tuż obok ich ławki. Każdy robił to, co do niego należało – przewodnik mówił, tłumacz tłumaczył, obcokrajowcy słuchali, a Enka się wściekał. Gil spostrzegł, że każdy ma plaketkę, i dowiedział się, że przewodnik to żaden przewodnik, ale kierownik seminarium.

— Ochrona środowiska i życia ludzkiego stanowią istotę ustroju socjalistycznego — powiedział i broda mu zafalowała. Odczekał, aż te słowa zostaną przetłumaczone. — Dlatego jeszcze raz podkreślam, że plotki o napromieniowaniu po tragedii w Czarnobylu są przesadzone. W rzeczy samej, są tylko plotkami.

Gil chciał wstawać, ale Enka pokręcił głową.

— Ja mogę to państwu udowodnić — wyjął mały licznik Geigera w kształcie pistoletu, najwyraźniej zachodniej produkcji. — Proszę, proszę. — Włożył go w ręce zdezorientowanemu Japończykowi. — Niech pan włączy i sam sprawdzi.

Japończyk wysłuchał tłumacza, z uruchomieniem aparatu poradził sobie znakomicie i omal go nie upuścił – terkotanie zabrzmiało tak głośno, że gołębie poderwały się do lotu. Kierownik seminarium zbaraniał, chwycił się za usta,

jednym szybkim ruchem wyrwał Japończykowi licznik, po czym nie czekając na nikogo, popędził przed siebie.

Urwis i Wisus oblizały się.

#### Postscriptum

Sprawa bazy w Sulejchowie nigdy nie została wyjaśniona, w żadnych oficjalnych papierach takiej bazy nie było. Nie zidentyfikowano też kilkudziesięciu ciał w rosyjskich mundurach, znalezionych na terenie pobliskiego lasu. Proboszcz Adam Sroka mimo blizny na ręce zaprzyjaźnił się z Wisusem. Fifi, medalowa charcica irlandzka pani Kosobudzkiej, oszczeniła się. Szczeniaki i mama czują się dobrze.

#### Podziękowania

Żadnego tekstu nie pisze się samodzielnie, ale ten nigdy by nie powstał, gdyby nie życzliwość innych. Dziękujemy:

— doktorowi Wojciechowi Kajtochowi za co najmniej dwucyfrową liczbę godzin, spędzoną na specjalistycznej konsultacji językowej. Z tych samych przyczyn podziękowania należą się Marinie;

— po stokroć kochanej Joannie Mice, aniołowi stróżowi wszystkich naszych tekstów;

— Zdzisławie Sośnickiej i Tedemu za inspirację literacko-muzyczno-ogólnoludzką.



# Głodomór

Andrzej Gil widział swoją przerażoną twarz odbitą w kałuży moczu.

Dziewczyna miała na imię Monika. Leżała przypięta pasami do łóżka. Przechyliła głowę, a przekrwione oczy wbiła w księdza Gila.

— Przyszedłeś, ty skurwysynu! — powiedziała głosem starego mężczyzny.

Byli w baraku z blachy falistej, przerobionym na salkę katechetyczną. Meble wyniesiono, z boku stały metalowe szpitalne łóżka. Na ścianach wisiały religijne symbole z tektury i styropianu: krzyże, kielichy, arka, znaczek ruchu Światło-Życie, litery złożone w słowa. Jęknęła zarzygana podłoga.

Na łóżkach wiło się siedem osób przytroczonych pasami. Wszyscy młodzi, w swetrach i sztruksowych spodniach. Odór moczu i gówna wędrował aż pod sufit. Dziewczyna leżała pośrodku, w męskiej bluzie i spodniach tak brudnych, jakby właśnie wyszła z szamba.

— Długo chowałeś się, pierdolony tchórze! — skrzeknęła. Gil znał ten głos. Cofnął się o krok. Uśmiech wykrzywił twarz opętanej.

— Bo przecież z ciebie święty człowiek, ksiądz. Odpuszczasz grzechy i miażdżysz diabłu łeb. Nie tak jest, Andrzej, nie tak?

Gil miał sweter nałożony na sutannę i cały się trząsał, bynajmniej nie z zimna. Oprócz Gila, jeszcze bez jednej zmarszczki, bez siwego włosa, za to z przerażeniem wyzierającym z wytrzeszczonych oczu, w salce stało czterech innych księży. Jeden stary, siwy, za to zbudowany jak bokser: napięte mięśnie ramion i klatki piersiowej wydawały się rozsadzać koszulę z koloratką. Twarz miał poczerwieniałą, na policzku zaschły pasma gęstej śliny. Palec zdobił mu srebrny pierścień. Zbliżył drewniany krzyż do twarzy dziewczyny.

— Panie, tchnieniem Swoich ust odpędź złe duchy: rozkaż im, aby się stąd wyniosły, bo przybliżyło się Twoje Królestwo — głos miał zdarty, mówienie sprawiło ból.

Monika wywalila oczy, rzuciła głową po cuchnącej poduszce.

Poderwała głowę:

— Nawet teraz nie umiesz spojrzeć mi w oczy. Nawet teraz!

Patrzyła wprost na Gila.

Ten poczuł się słaby. Odmawiał modlitwę, ale gubił jej sens, słowa sypały się jak korale z przerwanego sznura. Nagle zrozumiał, że musi odejść, nie, wybiec, przebić głową w ścianę, byle dalej od głosu, który rozpoznawał, i tej strasznej twarzy: naznaczonej bruzdami i krwią, o spękanych ustach, robaczywym języku, szyi ze znamieniem wisielca.

— Ojciec Święty, usłysz wołanie błagającego Cię Kościoła: nie dozwól, aby Twoja córka została owładnięta przez ojca kłamstwa, nie daj, aby Twoja służebnica, którą Chrystus odkupił Krwią Swoją...

Pod księdzem Gilem ugięły się nogi.

Monika szarpnęła się, pasy pękły. Trafiła siwego księdza pięścią prosto w splot słoneczny. Zgiął się, lecz nie zamilkł. Splunęła. Odwróciła oczy do księdza Gila i na moment stały się piękne i czyste. Znał je. Powiedziała jego własnym głosem:

— Zrozum, muszę. Nie wiem, co robić, więc zostanę księdzem. To jedyne wyjście, które mi przychodzi do głowy.

Inni księża obrócili się w jej kierunku, jakby nie wierząc, że to nie Gil wypowiada te słowa. Ale Gila już nie było – pędził na oślep, towarzyszyło mu echo własnego przekleństwa. Dziewczyna wciąż krzyczała, a jej głos rozdwajał się i mnożył, i już cały chór odprowadzał go do wyjścia: wszyscy, których okłamał, skrzywdził, zdradził lub się zaparł, wołali go po imieniu.

Otworzył drzwi kopniakiem. Nikt go nie zatrzymywał.

Rzeszów jednak zniknął, przepadł rok 1982. Ksiądz Andrzej Gil był już doktorem, miał trzydzieści cztery lata, posrebrzone skronie, kurze łapki wokół oczu i zmarszczki na czole. Splatał dłonie i przyglądał się przez weneckie lustro dziewczynie nad owsianką.

\* \* \*

Niektóre rzeczy się zmieniają, a inne nie, pomyślał porucznik Zbigniew Enka, zaglądając przez weneckie lustro do pokoju w domu wariatów imienia doktora Józefa Babińskiego w Krakowie. Na przykład wewnątrz pokoju za szybą było w opinii Enki niezmiennie, niemal nieodróżnialne od inkwizycyjnych kazamat, za to lustro, oplecione z drugiej strony siatką, stanowiło pewną nowość, dowód, że Polska powoli się amerykańizuje. Właściwie to zmian była cała masa, jak ten nowy magnetowid na komendzie, który już się omal nie przegrzał od przegrywania pornoli z Niemiec oraz filmów sensacyjnych, tak durnych, że nawet Edzio Gula z nimi odpuścił. Właśnie, Gula, pomyślał Enka, nie odrywając nosa od szyby. Po prawdzie porucznik Edward wciąż wyglądał jak wielka piłka pozszywana

z kolorowych szmat i przeciągnięta przez błotnistą murawę, ale miast potu i wody po goleniu Polarna, dawało od niego zapachem Cedar Wood, który dostał od żony na piętnastolecie pożycia. Cedar Wood wzbogacał naturalny odór Gruli o cierpkie, chemiczne akcenty, mające chyba udawać piżmo. Zupełnie niepotrzebnie – odór Gruli zawstydzilby większość piżmowców. „Zmiany, zmiany. Grula gania z dwoma psiakami na kilometrowe spacerki, a cuchnie po staremu i nie schudł ani o jotę — szeptał sobie Enka w swym milicyjnym sercu — lustra, magnetowidy, zapachy, tylko ksiądz doktor wciąż taki sam i wciąż się spotykamy”.

Ksiądz doktor Andrzej Gil stał obok i również patrzył w lustro, nerwowo masując sobie podbródek, marszcząc brwi i wytrzeszczając oczy, jakby właśnie przełykał coś dużego, twardego i nieorganicznego. Enka zerkał w jego stronę: na spocony nos, trzydniowy zarost, dłonie nerwowe, wreszcie wargi, w półmroku siną barwą kute. Enka znał go rok, ale życie przedtem wydawało się snem.

— Dobrze, że pan przyszedł, panie poruczniku — powiedział ksiądz doktor.

— Właściwie to przypędziłem — odparł porucznik. — Czas przywyknąć, że nie tylko z komendy mogą zadzwonić, żebym cisnął wszystko i popędził na łeb na szyję w jakieś dziwne miejsce, gdzie wszystkiego się dowiem.

Ksiądz Gil pociągnął nosem.

— Z tym to akurat kłamałem. Niczego się pan porucznik nie dowie, bo ja sam nic nie rozumiem.

— To chyba nie bardzo chrześcijańskie, tak łąć w żywe oczy? — zagadnął Enka, nie bez złośliwości. I nagle spowaźniał, zrozumiał bowiem, że fatalny wygląd księdza doktora ma inną przyczynę niż przepicie lub nałogowe odprawianie mszy świętych.

Gil zerkał co chwilę na boki, jakby bał się, że ktoś nagle wyskoczy z bocznego korytarza i gdzieś ich zaciągnie. Drżał, choć nie było zimno. Unosił głowę i mrużył oczy, wpatrzony w mętną żarówkę.

— Jeszcze parę odwiedzin i ksiądz doktor przywyknie — zapewnił Enka, po czym wskazał palcem lekarza po drugiej stronie szyby. — Ten to pewno chciałby tu zamieszkać i sprowadzać dziewczynki. Albo... albo po prostu kogoś sprowadzać.

Lekarz wyglądał na uciekiniera z poprzedniego stulecia – brodaty jak Marks, w sztywno zapiętym kitlu i białych chodakach sprawiał nierzeczywiste wrażenie. Do tego nieustannie się uśmiechał, kiwał głową, mruczał coś do siebie i zerkał w lustro weneckie. Nie mógł ich widzieć, ale Enka niemal czuł na sobie jego wzrok, jak sunie od czoła, by zatrzymać się pod pępkiem.

— Nazywa się Pazurczak — rzekł głucho ksiądz doktor.

— Znam takich. Będzie kręcił się i pieprzył, tłumaczył po trzy razy, a wszystko po to, żeby człowieka skołować i wmówić mu cokolwiek. A potem siedzi taki z sobie podobnymi, na wódce czy czymś takim, i zaśmiewa się do łez, jacy to frajerzy do niego przyszli i z jaką głupotą.

Gil tylko wzruszył ramionami. Nawet nie próbował się roześmiać.

— Widywałem już gorsze miejsca — nawijał Enka — a jak stąd pójdziemy, to zapraszam do mnie, na koniaczek czy coś takiego. Może wezmę wideo z komendy, znaczy od Gruli, bo Grula wozi je do siebie, żeby dzieciom pokazywać Disneya. No to raz mogą nie oglądać. Co ksiądz na to? — zamilkł na moment, podrapał się w nos i zapytał — co tu właściwie jest grane? Co to za kruszynka?

Pokój miał około dwudziestu metrów kwadratowych, białe ściany wydawały się kremowe. Przy ścianie stał materac, była też szafka lekarska, z której wymiotło wszystko, jeśli nie liczyć kawałka gazy, stolika z lekarstwami, krzesła oraz łóżka. Na krześle siedział doktor, a na łóżku dziewczyna.

Mogła mieć dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata, jej twarz była okrągła, teraz pozbawiona wyrazu, włosy zlepione w strąkach, jakby umoczone w błočku. Wysokie czoło pobieląło, policzki pożółkły, zaś usta obsypały bąble, żółtoczerwone jak 1 Maja w Chińskiej Republice Ludowej. Oczy zmieniły się w zaropiałe szpary. Cała drżała, wymioty podchodziły jej do gardła, by cofnąć się w skurczu. Enka, kiedy przyszedł, myślał, że dziewczyna włożyła poduszkę pod kołdrę, ale nie — kołdra poszła w kąt; próbowała utrzymać talerz z owsianką na napęczniałym brzuchu. Mleczny płyn torował sobie drogę między bąblami, ku brodzie, sunął przez wyżłobienia, koło nabrzmiąłych żył, moczył koszulę nocną, prześcieradło, tworzył kałużę na podłodze.

Przedramiona dziewczyny tak wychudły, że przypominały kości obleczone mleczną folią. Lewy łokieć owinięto bandażem, dało się spostrzec ślady po kroplówce. Za to nogi, sterczące spod szpitalnej koszuli, obrzydliwie napuchły. Po udach barwy nieświeżego mięsa wiły się grube żyły, kolana były żółte, stopy w bliznach, paznokcie — czarne i połamane. Enka pomyślał wbrew sobie, że to musiała być ładna dziewczyna, nim trafiła w to miejsce. Nie piękna, ale miło zaokrąglona, z żarem w oczach i ogniem poniżej. Teraz oczy zgasły, wbite to w podłogę, to w talerz, to w lustro.

Otworzyła usta, wydając niski, jednostajny dźwięk, coś pomiędzy skrzypieniem drzwi i miłosnym westchnieniem. Znów jadła. Pazurczak zasłonił lustro przed samym nosem porucznika Enki, zapalił światło. Enka podskoczył — wpatrzony w dziewczynę nie zauważył nawet, kiedy doktor opuścił pokój. Gil i Enka popatrzyli po sobie.

— Lepiej usiądźmy. — Doktor Pazurczak wysławiał się irytująco wolno, na jednym tonie. W świetle okazało się, że oczy ma może i bystre, za to dłonie złodzieja, stworzone wyłącznie do kradzieży miedzianych kabli czy czegoś podobnego. Splatał je nieustannie, stukał paznokciem o paznokieć.

Poprowadził ich w głąb gabinetu, wskazał krzesła, sam usiadł po przeciwnej stronie biurka, zavalonego papierzyskami. Uwadze Enki nie umknęły trzy zdjęcia, stojące w rzędzie, zwrócone tak, by widzieli je pacjenci. Na każdym stał sam Pazurczak w towarzystwie jakiegoś wiekowego lekarza, z brodą, wąsami i stetoskopem na szyi.

— Kim jest ten głodomór za szybą? — zagadnął Enka.

— Głodomór nazywa się Joanna Jamik. Czwarty rok polonistyki — rzekł ksiądz Gil beznamietnym głosem rodem z kroniki filmowej. Enka popatrzył na niego zdumiony, mruknął coś i zwrócił się do Pazurczaka:

— Najzdrowiej to ta mała nie wygląda.

— Lepszej opieki nie znajdzie w całym Krakowie, nawet na komendzie wojewódzkiej, panie poruczniku — zabrzączał Pazurczak. Patrzył wprost na Enkę. Ani razu nie mrugnął, tylko się gapił. Jego usta ginęły pod brodą.

— Moglibyście na przykład nie dawać jej tyle jedzenia — odparł Enka.

Gil trącił go w kostkę, za to w Pazurczaku nastąpiła zdumiewająca przemiana: twarz odzyskała życie, powieki zatrzepotały, oczy rozbłysły, a ręce zawirowały w powietrzu.

— W żadnym razie — powiedział na tym samym tonie, ale mocniej, z zapalem — przecież próbowałem. Kiedy ją tutaj przywieźli, już w karetce pokąsała trzech sanitariuszy, jednemu wyrwała kawał mięsa, z policzka.

— Musiał oszaleć ze szczęścia — wtrącił Enka.

— Taka praca — rzekł Pazurczak z powagą właściwą wyłącznie najbardziej ambitnym pracownikom wariatkowa. — Przypięliśmy ją pasami i karmiliśmy sondą. Dostała zapaści. To, proszę miłych panów, zdjeliśmy te pasy i natychmiast rzuciła się, gryząc, kogo popadnie. — Pazurczak podwinął kitel, ukazując ślady po zębach na przedramieniu, ciemnobrązowe, oplecione żółtawymi pierścieniami opuchlizny.

— Mimo wcześniejszego osłabienia? — Enka obracał w palcach jednorazowy długopis zabrany z biurka.

— Też mnie to zaskoczyło.

— Może to narkotyki? — zapytał Gil, takim głosem, jakby chodziło o grzech przeciw Duchowi Świętemu.

— W żadnym razie. Badania krwi wykluczyły przyjmowanie jakichkolwiek środków odurzających, jeśli nie liczyć śladów alkoholu w ilościach normalnych u studentów. Tak, to trochę trwało i skłamałbym mówiąc, że wiedziałem, co się dzieje.

— Co trwało? — zapytał Enka, nim nawet się zastanowił. Podziwiał okładkę „Lancetu” z maja zeszłego roku, powiększoną dwukrotnie i oprawioną w ramki. Wisiała dokładnie nad głową Pazurczaka.

— Błędne koło trwało, panie oficerze — teraz lekarz już mówił szybciej. — Leżała przywiązana pasami, to słabła, dostawała zapaści, a jak ją uwalnialiśmy, natychmiast wpadała w szal. Trochę to trwało i jeszcze nie widziałem związku. Kazałem ją przenieść do izolatki.

— Naprawdę? — burknął Enka i zamierzał powiedzieć coś jeszcze, coś, czego Pazurczak zapewne nie chciałby usłyszeć. Gil dostrzegł to i wtrącił:

— Jakiego związku?

Brawo pan w koloratce, mówiły oczy Pazurczaka.

— W izolatce zapaści ustały, przestała się szarpać i tylko błagała, żeby ją nakarmić, takim niskim, prawie męskim głosem. Dziwnie dudniącym — zadumał się Pazurczak. Przejechał dłonią po ustach i Enka spostrzegł, że lekarzowi brakuje lewej górnej dwójki. Była świeżo ukruszona. Pazurczak mówił dalej, ale nie patrzył już na Gila czy Enkę, ale w przestrzeń.

— Rzeczywiście, powiem panom, że doznałem dziwnego uczucia niepokoju. Widuję tu różnych ludzi. Mieliśmy na przykład człowieka, który wierzył, że w powietrzu żyją małe duszki i te duszki, słuchajcie, giną od ognia, więc nieustannie zalewał kuchenki gazowe i rzucał się na ludzi palących papierosy. W końcu przebił sobie bębenki, żeby nie słyszeć pisku tych duszków. Pan, panie oficerze, też się swoje napatrzył, prawda?

Ton Pazurczaka nie był protekcyjny, brzmiała w nim wyrozumiałość dla ciężkiej pracy milicjanta.

— Ale w tej dziewczynie tutaj było coś jeszcze bardziej niepokojącego, mówiąc nieco kolokwialnie, zaczynałem rozumieć, że mam do czynienia z dość szczególnym przypadkiem. Zwłaszcza że mam przed sobą milicjanta i księdza. — Uśmiechnął się półgębkiem i traf chciał, że było to akurat to pół gęby z ubytkiem w klawiaturze. — Mówiła dziwnie i głucho, jak mężczyzna. Jeść, jeść, jeść — powtórzył, wyraźnie się wczuwając — więc kazałem ją nakarmić i wyszło na to, że musi jeść nieustannie. Nie śpi, wypróżnia się w basen i wachluje łyżką.

Enka przejechał wzrokiem po rzędach książek na półce, z większości nie rozumiał nawet tytułu. Zatrzymał się dopiero na zasłonce, za którą było lustro

weneckie i Joanna Jamik.

— Co właściwie jej jest? — zapytał poważnie.

— Nie mam pojęcia. Próbuję jej zapewnić jak najlepsze warunki. Jak mówiłem, nie zetknąłem się z takim przypadkiem. Jako psychiatra i lekarz medycyny. — Przejechał dłonią po piersi. — Tyle że jestem w klinczu. Jeśli odmawiam podawania jedzenia, pacjentka dostaje gorączki w rejonach czterdziestu stopni, której nie udaje mi się zbić. Jeśli je, to nieustannie, więc kazałem podawać papki. Zresztą jej chyba jest wszystko jedno.

— Po prostu je — rzekł Gil.

— Po prostu je — zgodził się Pazurczak. — Nie sposób ją przebadać, bo nie chce opuścić łóżka, odstawić talerza, nie można jej skrupować, bo dostaje tej nieszczęsnej gorączki. Wszystko, co może robić, to jeść.

Enka wstał bez słowa, podszedł do lustra, uchylił zasłonkę. Joanna Jamik wciąż siedziała z rozrzuconymi nogami i obłąkanym wzrokiem. Podwinięta koszula ukazywała białe, szpitalne majtki, a powyżej brzuch z ciemną kropką pępka, rozdęty ponad miarę, podobny do napiętego kokonu, który w każdej chwili może pęknąć.

Enka odwrócił wzrok.

— Panie doktorze — zagadnął. Niepewny uśmiech błąkał mu się po twarzy. — Mówił pan o warunkach, które chce pan zapewnić. Robi pan to jako lekarz zainteresowany dobrem pacjenta czy to szansa na kopniak w górę? — Kiwnął na oprawione powiększenie okładki „Lancetu”.

— Jak pan sądzi, panie poruczniku, co w naszej ludowej ojczyźnie jest lepsze dla pacjenta? — Pazurczak powrócił do dawnego, monotonnego tonu. — Dobre chęci lekarza czy też szansa, jaką dla tegoż lekarza stanowi pacjent?

— Myślę, że najważniejsza jest nasza ludowa ojczyzna — odparł natychmiast Enka, dodając w myślach, że akurat ona może pociągnąć krócej niż którykolwiek pacjent w tym szpitalu.

Pazurczak wlepił w niego zdziwione oczy, najpewniej nie mogąc dojść, czy Enka żartował, czy mówił serio. Milicjant uznał, że bilans jasnych i ciemnych stron lekarza zwraca go w stronę światła, więc wyszczerzył się bezczelnie w jego stronę. Wyciągnął rękę. Pazurczak uściśnął ją, odwzajemniając uśmiech.

— No, to tyle mnie — rzekł pojednawczo Enka, zapinając wojskową kurtkę. — Musimy z księdzem doktorem przedyskutować, co wiemy o studentkach.

Wyszedł, właściwie wybiegł. Gil nie zdążył się nawet pożegnać, a już widział jego plecy, niknące w korytarzu. Pospiesznie nałożył płaszcz i poprawił koloratkę.

Enka czekał nań przed budynkiem szpitala, dwupiętrowym, brązowym jak kocur w listopadzie i pokrytym dachówką. Enka zaciągał się łapczywie i spoglądał na Gila nieodgadnionym wzrokiem. A wzrok nieodgadniony oznaczał nieomylnie, że pan porucznik zaraz dostanie szału.

\* \* \*

Od dziesięciu minut siedzieli w milczeniu na ławeczce przed szpitalem. Jakoś żaden z nich nie chciał zacząć rozmowy. Budynek mieli za plecami, a przed sobą park ubogi, bo jesienny i ufundowany z resztek czynu robotniczego. Brązowe liście mieszały się z wilgotną ziemią, nagie konary bezwstydnie urągały siniejącemu niebu, a po betonowych alejkach spacerowali pacjenci, obdarzeni umiarkowanym tylko schorzeniem umysłowym. Była gruba kobiecina w pidżamie, swetrze i gumofilcach, był młody człowiek, który próbował klaskać, lecz plątał sobie dłonie, oraz czterdziestolatek spacerujący w towarzystwie żony. Miał sumiaste wąsy i szlafrok narzucony na turecki sweter. Coś zawzięcie klarował, pomagając sobie dłońmi.

Enka wypuścił dym przez nos.

— No to może mi ksiądz doktor wyjaśni, ale już na spokojnie, w czym mógłbym przysłużyć się... — machnął ręką z papierosem — księdzu, Kościołowi, polskiej medycynie czy może tej biednej dziewczynie, co tam, na dole, wsuwa owsiankę.

Gil jakoś to przełknął.

— Ja cały czas jestem spokojny — powiedział.

— No właśnie widzę — odparł porucznik Enka, a Gil popatrzył na niego ciężkim, zmęczonym wzrokiem.

Wariat z wąsem wyraźnie przyspieszył, tak że żona – gruba, wręcz podobna do kłębka włóczki, na który nanizano dwa mrugające korale – nie była w stanie za nim nadążyć. Przystanął, dopiero kiedy wydobył klubowego z paczki. Kobieta podała mu ogień.

— Pani Jamik, to znaczy Joanna, studiuje polonistykę na czwartym roku — zaczął Gil.

— To już wiemy. Ciekaw ja ciekaw, gdzie ksiądz ją poznał — wtrącił Enka.

— Oczywiście podczas mojej posługi w duszpasterstwie akademickim — odparł Gil śmiertelnie poważnie. — Podobno mam świetny kontakt z młodymi. Poproszono mnie. Jeździłem na wykłady, w plener, przesiadywałem i piłem herbatę w Beczce.

— Taka oazowa sekta?



Gil naprawdę próbował się roześmiać, a Enka naprawdę to docenił.

— Graliśmy na gitarach i śpiewaliśmy o Bogu i dla Boga, jeśli o to pan porucznik pyta.

— Ale skończyło się nie najlepiej — skwitował Enka i pomyślał, że jeśli każdy śpiewający Bogu człowiek prędzej czy później ląduje u Pazurczaka, to polski Kościół ma poważne kłopoty.

Wariat zaczął podskakiwać ze złączonymi nogami wokół znieruchomiałej żony. Poczzerwieniał przy tym strasznie. Patrzyła na niego obojętnie.

Gil kontynuował:

— Asia nigdy nie miała kłopotów psychicznych, jeśli weźmiemy w nawias pewną młodzieńczą histerię, właściwą dziewczynom, które uczą się życia. Interesowała się etnologią, mówiła mi, że chce rzucić polonistykę, ale poradziłem, by jakoś ją dociągnęła do końca i zaczęła drugi kierunek na piątym roku.

Enka westchnął.

— Kibicowałem jej, bo była naprawdę dobra. Dziewczyna z zacięciem i pasją. Byłaby równie dobrym etnologiem co pan, panie poruczniku, milicjantem. Jeździła w różne miejsca Polski i nie tylko. Widziała tarantystów w południowych Włoszech i szeptunki w Związku Radzieckim, na przykład.

— To fascynujące, ale nawet nie wiem, co to takiego. — Enka zdeptał papierosa i złączył dłonie jak do modlitwy. Patrzył na wariata, osiagającego coraz szybsze obroty i podskakującego pół metra w górę, z wyrzutem rąk. Niewątpliwie, było w tym coś magicznego, a przynajmniej cyrkowego.

— Szeptunki to kobiety, które szepcząc, zamawiają chorobę — wyjaśnił Gil. Siedział teraz bokiem, z ramieniem przełożonym przez oparcie ławki. — Za to tarantysty są muzykami grającymi tak zwaną tarantellę, co, jak zapewne pan porucznik się domyślił, pochodzi od tarantuli. Ten miły pajak żyje także w basenie Morza Śródziemnego.

— To wspaniale. Co z tymi grajkami?

Gil chrząknął, przejechał dłonią po lekko siwiejących włosach.

— Czasem kobieta popada w melancholię, depresję by pan powiedział, w każdym razie leży i nie jest w stanie wstać z łóżka. Tarantysty grają na instrumentach: bębnach, gitarach, może trąbce, zresztą instrumenty są nieważne. Mogą grać dwie godziny albo dwa tygodnie, tyle, ile trzeba. A jak kończą, kobieta schodzi z łóżka, zupełnie jak pajak, i jest uleczona.

Enka pomyślał najpierw, że w Polsce na podobną chorobę zapadają głównie robotnicy, i zaraz wyobraził sobie, jak cudownie wyglądałoby ich leczenie. Zapalił kolejnego camela. Ugniótł filtr. Wariat coś krzyczał.

— Z tego co zrozumiałem, ta dziewczyna jeździ po świecie, odwiedza baby, które rzucają klątwy, kobiety pająki, magicznych grajków, potem dostaje od tego szmergla, a ksiądz się temu dziwi.

— Pan porucznik wreszcie zrozumiał, że pewne działania nie pozostają bez skutków. To dobrze — rzekł doktor Andrzej Gil.

Enka odwrócił się w jego stronę.

— Księżę doktorze — rzekł spokojnie — ja naprawdę bym księdzu nieba przychylił. Ale nie znam się ani na czarach, ani na wariatach, do tego nie mam pojęcia, o co tu chodzi.

Gil był blady. Bardzo blady. Za to usta miał fioletowe, jakby najadł się borówek.

— To nie było tak, że ona siedziała i zwariowała. Albo położyła się zdrowa, a wstała szalona. Mieszka w akademiku. Jej współlokatorka, koleżanka, przyjaciółka może, mówiła, że Asia wyszła, bo umówiła się z jakimś facetem. W innym pokoju.

— Jaki to akademik? — zapytał Enka.

Wariat poczerwieniał, unosił pięści ku niebu i wrzeszczał w twarz żony różne okropieństwa – że dziwką była, jak ją brał i dziwką pozostała, jak dziwka nawet jęczy i trzeba by ją w mordę kablem walić na Anioł Pański, żeby oduczyła się kurestwa.

— Żaczek. — Gil zdawał się nie zwracać uwagi na to, co dzieje się wokół.

— Poważna sprawa — mruknął Enka.

Drzwi szpitala otwarły się z hukiem. Wypadło trzech sanitariuszy, roślących niczym dęby w świętym gaju, i popędzili co sił w stronę wariata. Ten próbował potrząsać żoną, trzymając ją za ramiona, i wciąż wykrzykiwał, już same brzydkie słowa.

— Więc poszła i się zaczęło. Wybuchł mały pożar na piętrze. Studenci poradzili sobie gaśnicami i wezwali milicjantów. Asia, ta mała dziewczyna, którą pan widział, pogryzła dwóch pana kolegów, kiedy próbowali ją wyprowadzać. Potem pogotowie się z nią męczyło. — Gil zgarbił się, przyłożył dłonie do brody.

— Dalej nie wiem, co ja w tym wszystkim robię — rzekł Enka.

Wariat spostrzegł nadciągających sanitariuszy, puścił żonę i z prędkością zawodowego biegacza pognął na przełaj. Szlafrok łopotał jak żagiel. Wleciał w kępę suchych badyli. Tam go dopadli. Enka nie widział dokładnie, co się dzieje, za to przekleństwa słyszał aż za dobrze.

— Panie poruczniku — Gil podrapał się po nosie — to miła, dobra dziewczyna i ja jej tak nie zostawię. Coś stało się w tym akademiku. Czuję to, a znamy się na tyle, by pan porucznik wiedział, że przeczucia to poważna sprawa.

Nie mógł się pozbyć wrażenia, że Enka patrzy na niego jak na skończonego durnia.

— Jak ksiądz dobrodziej nie zostawi, to i ja nie zostawię — zapewnił Enka. — Tylko proszę powiedzieć, co mi do tego. Mam się włamać do jakiegoś doktora po rzadki specyfik na szmergla? Sprać Pazurczaka, jeśli jej nie wyleczy? Niechże ksiądz wreszcie daruje sobie te podchody.

Z krzaków wyłoniło się dwóch sanitariuszy. Ciągnęli za sobą chorego, który robił wszystko, żeby się zaplątać we własny szlafrok. Nie zaprzestał przeklinania, choć szło mu ciężko – każdego oddechu starczało na jedną sylabę. Żona patrzyła na to wszystko, kiwając głową: tak, właśnie, zawsze ci mówiłam, że jeszcze się doigrasz, i znów to samo.

Gil wstał.

— Ta koleżanka z pokoju, o której panu porucznikowi mówiłem, czeka na nas w Jaszczurach, więc możemy się zbierać.

Oczy porucznika Enki rozszerzyły się gwałtownie. Gil rozpoznał jego myśli.

— Na pewno miło się będzie panu porucznikowi rozmawiało — dodał. — Jest też kilka ważnych szczegółów, które pomoże naświetlić.

Podnieśli się. Enka właśnie składał w głowie pytania, o co chodzi z tym naświetlaniem, czemu akurat Jaszczury i dlaczego, do cholery, nic z tym księdzem nie może być proste, gdy minął ich chory ciągnięty przez sanitariuszy. Z bliska okazało się, że całą twarz ma w czerwonych plamkach, a na nosie kłębią się fioletowe żyłki. Wydał wargi i ryknął raz do Gila, raz do Enki:

— Suki! Suki!

Odciągnęli go. Wiatr rozdmuchał liście.

\* \* \*

Polonez Zbigniewa Enki poddawał się zmianom tak jak Grula i komenda. Silnik pracował głośniej, a przez lewe lustro biegła głęboka rysa. Za to radio wciąż grało przecudnie. Enka pogłośnił i jechał w milczeniu, patrząc na drogę i przechodniów. Gil nie wiedział, czy to głośniki brzęczą na granicy przepalenia, czy z głosem wokalisty jest coś nie w porządku:

*Sorry little Sarah, Sarah*

*I'm waiting for a girl like you*

*Sorry little Sarah, Sarah*

*Dreams come true*

*Baby, I'm waiting for your call*

*I'm starring at the wall*

*Sorry little Sarah*

*Oh, I lose my selfcontrol*

Dobrze, że nie znam angielskiego, pomyślał Enka i ściszył radio. Muzyka przeszła w buczenie, a Gil westchnął, właściwie sapnął, jakby właśnie podniósł jakiś wielki ciężar.

— To dobra dziewczyna, panie poruczniku. Pomagałem jej z tą etnologią. Mało jest ludzi z taką pasją — powiedział, po czym skurczył się pod bezlitosnym spojrzeniem Enki. — No co pan, panie poruczniku, niech pan nawet nie żartuje.

Nic w twarzy Enki nie wskazywało, że pan porucznik ma ochotę pożartować. Pojął niespodziewanie, że Gil jest nie tylko księdzem i doktorem, że nie zawsze nim był, a o przeszłości nawet się nie zająknie i nie wiadomo dlaczego. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz – nie, ksiądz doktor nie spał z Joanną Jamik, ale może ta dziewczyna kogoś mu przypomina.

— Przecież wiem — rzekł Zbigniew Enka ciepłym głosem.

— Trochę ją nosiło, ale była spokojna. Parę przygód z chłopcami, nie żebym się gorszył.

Enka bębnił palcem w kierownicę.

— Spowiadała się księdzu?

— Ludzie nie szaleją sami z siebie, panie poruczniku. Słyszał pan kiedyś o praniu mózgu? W sensie medycznym.

— W sensie Gruli najwyżej — odparł Enka.

Samochód podskoczył na wyboju, Gilem zatrzęsło i może dlatego się nie zaśmiał.

— Chodzi o konkretne działania mające na celu zmianę osobowości. Na przykład na skutek prania mózgu mógłby pan porzucić życie grzesznika i wstąpić do karmelitów bosych. — Spróbował się uśmiechnąć i dodał już poważniej — na przykład w ten sposób w latach pięćdziesiątych koreańscy komuniści przeciągali amerykańskich jeńców na swoją stronę.

— Może na polonistyce jej to zrobili — zastanawiał się porucznik. — Umawiałem się kiedyś z jedną niedoszłą polonistką i chyba też była po praniu mózgu, choć jeszcze pewniej mózgu nie miała wcale.

— To co kierowało panem porucznikiem? Litość może? — zagadnął Gil, a Enka wyszczerzył się szeroko, jak zwierzę.

— Na jakichś juwenaliach wybrali ją najpiękniejszą studentką, poza tym jak dołożyła do pieca, to człowiek się turlał ze śmiechu. — Przegrał wewnętrzną

walkę, opuścił szybę i zapalił papierosa. — No, ale to ksiądz miał mówić.

Gil nie mówił jednak, bo kaszłał. Zrezygowany Enka zaciągnął się raz jeszcze i wyrzucił ledwo nadpalonego camela za okno.

— Pranie mózgu to ściśle określone metody. Najczęściej potrzeba sporo czasu, żeby zmienić człowieka. Ale są też, panie poruczniku, inne możliwości. Na przykład dźwięk. — Przejechał dłonią po brodzie. — Istnieją specjalne dźwięki, działania fizyczne, pieśni, które, jakby to panu powiedzieć... także mogą dokonać tej zmiany. Zetknąłem się z czymś takim i powiem panu, że byłem pod wrażeniem.

Zamilkli. Enka tylko pokiwał głową i ruszał wargami, jakby wciąż trzymał w nich papierosa. Przy Karmelickiej o mało nie potracił małej staruszki z gigantycznym psem, ale gołąb nie miał już tyle szczęścia.

— Kurwa — rzekł Enka, zerkając w lusterku na pierzasty, krwawy ślad.

— Słyszał pan na przykład o serii samookaleczeń w Rzeszowie? Sześć lat temu to było.

Już docierali do parkingu na placu Dominikańskim. Enka pociągnął nosem. Odparł melancholijnie, a nawet ponuro:

— To akurat słyszałem. I o wielu innych rzeczach. Dziwnych. Tylko wie ksiądz, te wszystkie dziwne rzeczy, duchy, widmowe palce i inne nadnaturalne głównie dotąd działy się gdzieś daleko. W Rzeszowie, Przasnyszu albo Nowym Jorku. Księdza doktora poznałem zaledwie rok temu, a już się boję, że pod moim łóżkiem mieszka wampir.

\* \* \*

Nad nimi załamywało się gotyckie sklepienie, godne kościoła, a nie knajpy.

Koleżanka Joanny Jamik przypominała mysz, wymęczoną wyjątkowo długą ucieczką przed kocurem. Cerę miała szarą, by nie rzec ziemistą, usta może nawet ładne, za to oczy skryte za grubymi okularami. Była drobna. Enka uzmysłowił sobie, że tak bezbarwnego gryzonia jeszcze nigdy nie zrobił.

Wstała na przywitanie. Enka zastanawiał się, czy nie pocałować jej w rękę, lecz po prostu ją uścisnął.

— Iwonko, to jest właśnie ten pan porucznik, o którym tyle tobie opowiadałem.

Ence wydało się, że dostrzegł strach w oczach Iwony. A może nie – wyglądały na wycięte ze zdjęcia, przyklejone do twarzy i przesłonięte szkłem.

— Pan Zbyszek — powiedziała.

Zmarszczył brwi. Gil stał z boku z miną człowieka, który przestał orientować się w czymkolwiek.

— To ja pójdę po herbatę — zaoferował się Enka i nie czekając na odpowiedź, zanurkował w tłum studentów. Ci tłoczyli się przy stolikach czasem i po dziesięcioro, kopiąc tanie papierosy i robiąc mądre miny. Enka, który o studentach wiedział to i owo, dostrzegł zmianę w ubiorze — przepadły gdzieś golfy i hipisowskie jeansy, ustępując miejsca pstrokatej tandecie, zasilanej przez nieliczne zachodnie łachy. Kilku metali w skórach i katanach siedziało w milczeniu, rywalizując na miny — który będzie miał smutniejszą. Za to punkrockowiec przy stoliku obok usiłował wszystkich przekonać, że samemu również można bawić się świetnie. Rechotał nieustannie i co chwilę klaskał w dłonie. Przez nos przechodziła mu wielka agrafka. Skóra wokół niej była fioletowa jak pogrzebowa wstęga.

— ... zajęciach... — wykrztusił Enka, zaskakując sam siebie.

Dziewczyna o plecach bosmana siedziała na kolanach szczupłego okularnika. Obok trzech nijakich po obłęd chłopców ciupało w kości, a już przemierzając środek sali, Enka słyszał strzępy kłótni przy barze. Dwóch studentów jakiegoś technicznego kierunku — takich poznaje się po okularach i cofniętych podbródkach — piekliło się zawzięcie. Rzecz szła o przydział cukru, dwie kostki na osobę. Barmanka twierdziła, że nie da i cześć.

— Do domu bierzecie! Kradniecie nam cukier! Jakbyśmy dali cukierniczki, to nawet je byście ukradli!

— To dlatego nie ma srajtaśmy w kiblu? — ripostował student.

— ... zajęciach — powtórzył Enka.

Bezceremonialnie wepchał się przed studenta, zamówił trzy herbaty, dodając, że dwie kostki cukru wystarczą w zupełności, bo inaczej jeszcze by mu się we łbie poprzestawiało od dobrobytu. Ruszył z herbatami w szklankach, poustawianymi na tacce, z powrotem. Studenci gaworzyli, rechotali, grała gitara.

— Na zajęciach — mruknął Enka pod nosem — wszyscy powinniście być na zajęciach, wy cholerne gnoje.

Gnoje jednak na zajęcia się nie wybierały, obdarzając mamroczonego Enkę niechętnymi spojrzeniami. Było w nich coś jeszcze, prócz niechęci, czego Enka początkowo nie umiał wychwycić. Zrozumiał dopiero, siadając przy stoliku. W swoich jeansach, koszuli z Pewexu i kurtce wojskowej wyglądał w sam raz na podstarzałego młodzieźowca tuż przed uderzeniem kryzysu wieku średniego, młodzieźowca który przyszedł do studenckiej knajpy stawiać drinki dziewczynom z pierwszych roczników. Z trudem doniósł herbatę, opadł na krzesło.

Po prawej stronie siedziała Iwona, z bliska jeszcze bardziej szara. Do tego nie używała perfum. Miała ładne, zadbane dłonie. Enka więc mieszał herbatę, patrzył, próbował nie wachać. Tak mijały minuty, więc pan porucznik odłożył łyżeczkę na

brzeg talerzyka, zerknął tylko na Iwonę, wbił wzrok w Gila i nabrał przekonania, że ksiądz doktor próbuje się przed nim schować.

— No słucham — rzekł porucznik Enka.

Odpowiedziała mu cisza. Gil jeździł dłonią po brodzie i marszczył czoło, dając do zrozumienia, że układa jakieś bardzo długie zdanie, tak mądre, że padnie dopiero na następnym soborze.

— No dobrze. — Enka splótł dłonie na stole i obrócił twarz w stronę Iwony. — W takim razie dokąd, czy też do kogo poszła Joanna tamtego wieczoru? Żeby nie było wątpliwości: tego, w którym drogi jej i normalności trochę się rozjechały.

Spodziewał się różnych odpowiedzi. Iwona mogła się rozplakać, zacząć opowiadać swoje życie albo smutnym, niskim głosem opowiedzieć banalną historię miłosną. Lecz słowa, dwóch słów może, które padły, Enka w ogóle nie zrozumiał. Nie był nawet pewien, czy słowa to były. Coś, co wypowiedziała Iwona brzmiało jak miedź brzęcząca albo cymbał brzącający. Poprosił o powtórzenie. I raz jeszcze. Wreszcie zrozumiał.

— Jacques Duvalier — wysiliła się Iwona i dodała powoli, wpatrzona w mętną toń herbaty — naprawdę nazywa się Ilicz, ale posługuje się swoim drugim imieniem.

— Bardzo rozsądnie. Wymiana z Francją?

— Z Haiti. Jego ojciec był tam działaczem komunistycznym. Już chyba nie żyje. Ksiądz doktor Andrzej Gil tylko przygryzł wargi.

— Haitański komunista, no, to poważna sprawa — powiedział sobie Enka, niby w powietrze, a naprawdę do księdza Andrzeja Gila. — To ciekawe, być jednocześnie czarnym i czerwonym. Co ten miły człowiek, pani Iwono, robi w Polsce?

Iwona spuściła oczy. Piła herbatę, ledwo mocząc wargi. W tym powolnym ruchu było coś meczącego, nieznośnie upiornego, tak że Enka miał ochotę chwycić ją za nadgarstki i przycisnąć do stołu. No, odpowiedzże dziewczyno, przecież to takie proste, myślał, wiesz, nie wiesz, nie powiesz.

— Studiuje prawo — padło, gdy Enka niemal stracił nadzieję.

— Prawo — powtórzył. Zwrócił się do Gila — a wie ksiądz doktor, że ja też jestem po prawie? Zaocznym co prawda, ale przynajmniej nie zamierzam szpanować znajomością polskiego prawa na Haiti.

— Jacques Duvalier nie ma opinii zbyt bystrego — do rozmowy włączył się Andrzej Gil. Wypił już niemal całą herbatę, choć była gorąca. Spróbował się roześmiać.

Za to uśmiech Enki był pełny i szyderczy.

— W takim razie w jakim celu taka miła dziewczyna, niedoszły etnolog i córka oazy, pofatygowała się do naszego Haitańczyka? — zagadnął Enka. — Rozumiem, że to jednak jest jakiś rodzaj atrakcji.

Iwona pokręciła głową.

— Wcale nie. Dziewczyny unikają go jak ognia, bo ma już czwórkę dzieci, każde z inną studentką — mówiła, jakby rzecz dotyczyła jakiejś ogromnej tragedii, przynajmniej pomoru bydła albo nawrotu stonki. — Rzadko go widywaliśmy. Obiecał Asi pokazać jakieś tańce ze swojego kraju, a ona, panie poruczniku, bardzo się takimi rzeczami interesowała.

— No to sposób na etnografkę już znamy. — Enka złożył usta jak do splunięcia. Ku niezadowoleniu Gila wydobył camela i zrobił użytek z zapalniczki. Widziana przez dym twarz Iwony wyglądała na zakurzoną.

— Może powiedz, co stało się potem — poprosił Andrzej Gil.

— Nie wiem, co stało się w pokoju. — Ręka Iwony wysunęła się w kierunku cameli, by zaraz wykonać gwałtowny ruch w tył. — Najpierw wybuchł pożar, niewielki, ale było bardzo dużo dymu. Wyszłam z pokoju i właśnie to zobaczyłam. Dym dobywający się spod drzwi. I te drzwi się otworzyły i wybiegła z nich Asia. Cały czas krzyczała, tak dziwnie, bardzo długo, właściwie nie wiedziałam, że to tak jest możliwe.

*Łup-stuk, łup-stuk*, jak chińska tortura kropli, jak stukot syberyjskiej kolei na katorgę, tak brzmiały kolejne słowa. Ich echo tłuło się po głowie porucznika Enki i ta głowa zaczynała boleć.

Iwona wciąż mówiła:

— Koledzy z innych pokoi próbowali ją zatrzymać, podeptała kilku, jeszcze paru pogryzła, a potem zaczęła odbijać się od drzwi do drzwi, wyważając je własnym ciałem. Potem pojawił się Juma z portierni i wezwał milicję. Nie robi tego zbyt często, więc może pan porucznik sobie wyobrazić, co się działo.

— Pożar ugasiliście sami?

— Mamy gaśnice na piętrach.

— Gaśnice na piętrach — powtórzył.

Enka przypomniał sobie o swojej herbacie, upił, powiódł wzrokiem po zupełnie już jednolitej ścianie studentów. Cały czas do Jaszczurów napływali nowi i każdy musiał pospierać się o cukier.

— Pojawiła się policja, straż pożarna i pogotowie. Ja prawie Asi nie poznałam, wlekli ją przez korytarz, wrzeszczącą, zaślinioną. Próbowała gryźć własne dłonie.

— O pokoju — poprosił ksiądz doktor — o tym opowiedz. — Dostrzegł w twarzy Iwony, że ta nie rozumie. — Powiedz, co tam zobaczyłaś.



No to świetnie, pomyślał porucznik Enka.

— Kiedy milicjanci razem z pogotowiem usiłowali sprowadzić Asię po schodach, ludzie poszli za nimi i pomyślałam sobie, że może zobaczę, co się dzieje w pokoju, z którego wybiegła.

Czoło porucznika Enki przecięła bruzda, przymknął powieki. Zapytał głucho:

— Dlaczego tak pomyślałaś? Był tam ktoś? Coś usłyszałaś?

Głowa dziewczyny, zmierzająca właśnie w stronę uniesionej szklanki, zamarła, tafla herbaty zaczęła drżeć, chlapnęło na spodeczek. Gil trącił Enkę pod stołem.

— No nie wiem. Po prostu tam poszłam. Pomyślałam sobie może, że jest tam coś, co ją przestraszyło. Jeszcze było dużo dymu. Nakopcone. Zaglądnęłam tam i zobaczyłam lustro stojące pod ścianą. Duże lustro, jakie czasem wisi u ludzi w przedpokoju — mówiła monotonie, oczy miała mętne — ale jak mówiłam, tu nie wisiało, ale stało. Przy drugiej ścianie były butelki, miednica, złożony ręcznik z jakimś haftem i mydło, jeszcze w papierku. Przynajmniej wydawało mi się, że to mydło było.

Wreszcie napiła się herbaty. Zwilżona, jej wargę zaczęła błyszczeć prawie tak samo jak oczy Enki. To, co usłyszał, kojarzyło mu się w niewytłumaczalny sposób z tym samym co Gil. A Gil kojarzył się z kłopotami i bieganiną za niewytłumaczalnym.

— Co to były za butelki? Puste, pełne, może rozbite? — zapytał wesoło Enka. W tej chwili, z dopalającym się papierosem, zawadiacko wykrzywioną gębą i nogą założoną na nogę, wyglądał niemal przyjacielsko.

— Radziecki szampan i rum — odpowiedziała natychmiast.

— Szampan i rum, to świetnie. A drogi gospodarz? Co on porabiał?

— Nie widziałam go ani na korytarzu, ani w pokoju. Może poszedł w drugą stronę niż Joanna? — Odgarnęła kosmyk z czoła. — W pokoju nikt by nie wysiedział, bo wciąż było tam nadymione.

Enka otarł czoło, próbował sobie coś ułożyć w głowie i patrzył na Iwonę, jakby ta w cudowny sposób mogła pomóc mu poskładać to, co dziś zobaczył lub usłyszał. Oddychał wolniej i ciężiej. Papieros mu nie smakował. Na cholerę mi taki dzień?, pomyślał.

— No dobrze — powiedział bardziej do siebie niż do księdza Gila. — Na pewno bardzo pani nam pomogła. Ksiądz zostaje, księżę doktorze? To niech ksiądz skoczy ze mną na chwilę do poloneza. Coś zostawiłem dla księdza — poczuł wbite w siebie, bezbarwne oczy Iwony i dodał obojętnym tonem — na tylnym siedzeniu samochodu.

Pospiesznie cmoknął Iwonę w dłoń (pachniała jak ziemia po deszczu) i niemal pociągnął Gila na zewnątrz. Nie poszli do żadnego samochodu, zresztą Enka zdołałby dojechać tylko do najbliższego drzewa na Plantach. Stanęli przed Jaszczurami, Enka wyszarpnął camela.

— Kogo mi tu ksiądz doktor sprowadza? Co to za mysza? Jeszcze pięć minut i coś by mi się tam zrobiło. — Wciągnął powietrze. — To miało mi pomóc? Jak księdza proszę, niech ksiądz wreszcie powie mi, co jest grane.

Ksiądz doktor Andrzej Gil przestąpił z nogi na nogę.

— Przecież Iwona powiedziała. Są ślady rytuału w pokoju, Joannę pan porucznik widział.

— Co jest grane, księżo doktorze? — powtórzył Enka.

Gil uniósł dłoń, jakby próbował zasłonić się przed ciosem. Spuścił wzrok, podrapał się po głowie.

— Pomyślałem sobie, że mógłby pan porucznik się czegoś o tej sprawie dowiedzieć — wypalił konspiracyjnym tonem. Brakowało tylko porozumiewawczego mrugnięcia.

Enka oparł się plecami o szybę odgradzającą go od wnętrza knajpy i Iwony. Nie patrzył już na księdza ani na jesienny Kraków, skupiając wzrok na pociemniałym filtrze papierosa. Milczał.

— Przecież ktoś od was był w akademiku. Robił zdjęcia. Napisał raport, panie poruczniku.

— Ja pracuję w wydziale zabójstw — odparł natychmiast Enka. Cisnął papierosem, jakby oprzytomniał. — Czy ksiądz w ogóle wie, co teraz powiedział? Czego oczekuje? Ksiądz myśli, że takie rzeczy leżą u nas na wierzchu, że z Grolą potykam się o teczki spraw, które akurat interesują księdza?

Tak, mówiło poważne oblicze Andrzeja Gila, ksiądz wie, co powiedział i czego oczekuje.

Enka machnął ręką.

— Zadzwońię do księdza z komendy. Albo lepiej z budki — westchnął, posłał Gilowi słaby uśmiech i wbił ręce w kieszenie. Stał tak chwilę, kiwając głową.

— Pójdę z Iwoną do akademika — odparł ksiądz Andrzej Gil. I dodał, nie bez wahania — dziękuję, panie poruczniku.

Pan porucznik być może machnąłby ręką lub skłonił się nisko, przypomniał sobie jednak, że powinien być przy samochodzie, że od knajpy odgradza go jedynie przezroczysta szyba. Za tym szkłem, grubym i brudnym, widniała twarz Iwony, kołysząca się nad stolikiem niczym szary kwiat. Puste oczy przebijały się przez wirujących po lokalu studentów, by zawisnąć na poruczniku Ence.

\* \* \*

Na komendzie, między kalendarzem z półnągą Danutą Lato a zepchniętą na skraj biurka maszyną do pisania, siedział porucznik Gula i trząsał się nad kupą papierzysk. Niemal zniknął za nimi – Enka widział tylko małe oczka i błyszczący nos. Gula kokosił się i sapał.

— No nareszcie — ucieszył się, widząc kto przyszedł.

Enka dostrzegł, że tłuste paluchy krążą nieustannie między teczkami, papierzyskami i karteluszkami, burzą stare stosy, by wznieść nowe, wszystko w oparciu o ręcznie nakreśloną instrukcję pełną tajemniczych symboli. Gula zerkał na nią nieustannie, czasem brał w dwa palce i przybliżał do oczu, ruszał ustami i marszczył czoło. Enka zabrał przypadkową teczkę z sąsiedniego biurka, odsłaniając zachlapaną kawą napis „X olimpiada resortów spraw wewnętrznych, Soczi 1982”. Włożył teczkę w dłoń Gruli, a ten bez zmrużenia oka położył ją na odpowiednią kupkę. Skojarzył się Ence z szopem praczem.

— Grula? Co się stało? — zapytał teatralnym głosem.

Gula nawet głowy nie podniósł, tylko wymruczał przekleństwo. Dopiero teraz Enka dostrzegł, że jego kolega co prawda nosi swój narciarski golf, ale spodnie ma nowiusieńkie – były to sztruksy tabaczkowej barwy, w rozmiarze namiotu dwuosobowego.

— Wzięłyś się do pracy, Zbyszek, zamiast biegać po mieście nie wiadomo po co. Mamy tu urwanie głowy, więc mógłbyś tak nie rechotać.

Rzeczywiście, porucznik Enka śmiał się cichutko, więc przestał i zapalił. Podsunął paczkę Gruli.

— Z góry przyjechali. Jakiś facet, co jeździ po kraju, zwołuje narady i każe sporządzać spis różnych papierków z ostatnich ośmiu lat wedle tego tu klucza. — Zastukał palcem wskazującym w karteluszek. — Stary o mało w pory nie narobił z tego powodu. No i wszyscy w tym siedzimy. — Posłał Ence wymowne spojrzenie. — Zrobią mikrofilmy i prześlą na górę.

Gula wykonał gest, jakby góra rzeczywiście znajdowała się fizycznie nad nimi.

— Tamci też? — zapytał Enka.

— Jasne. — Gula wreszcie przerwał sortowanie. — Ludzie mówią, że mikrofilmy pojedą do Warszawy, a stamtąd dalej, do Moskwy, jako zabezpieczenie.

— Zabezpieczenie czego?

Gula poczerwieniał, przerzucił teczkę z kupki na kupkę. Dyszał.

— Ja pierdołę, Zbyszek, żeby nic nie zginęło! Zabezpieczają, żeby nie zginęło! Skończyłeś już palić?

Porucznik Enka zgasił potulnie papierosa i odpowiedział:

— Ja wypadam dzisiaj. Mam robotę.

Gruła tylko uniósł dłonie.

— Mam psy do wyprowadzenia. Dwa wielkie kundle, które mi wcisnęliście! Wyją mi teraz w mieszkaniu!

— Edek, spokojnie. Jutro cię zluzuję i będziesz zadowolony, co? Podrzucę ozorki dla Wisusa i Urwisa, co? — jego głos nabrał powagi. — Nie mam czasu dzisiaj pieprzyć się z papierami.

Twarz Gruła gwałtownie nabrała koloru. A był to kolor bliski sercu każdemu komuniście we wszystkich stronach świata.

— Co się dzieje? — zapytał Edward Gruła.

— Nic szczególnego. Nie chcę ci głowy zawracać — rzekł Enka, szczerze, bo i skąd Gruła miałby coś wiedzieć na temat materiałów z innego wydziału. — Był pożar w Żaczku, parę dni temu.

Niespodziewanie Edward Gruła wybuchnął śmiechem, a nikt nie śmiał się tak ładnie jak Gruła. Z jego przepastnego ciała przez gąbczastą rurę szyi biegły dźwięki godne księcia lub przynajmniej markiza, czyste i perliste, niby klejnoty toczące się po piramidzie srebrnych talerzy.

— Akurat o tym to wiedzą wszyscy! Ten pułkownik, co przyjechał, akurat postanowił przejść się po komendzie i pooglądać sobie, jak za starych dobrych czasów gospodarskich wizyt towarzysza Edwarda. Akurat zderzył się z tym młodym, co ma problemy z żołądkiem.

— Greniem?

— Młodym Greniem, dokładnie. — Gruła wyraźnie się ucieszył, że może sobie zrobić przerwę w segregowaniu. — A Greń szedł akurat z aktami tej sprawy. I tamta menda chciała je obejrzeć i wyszła afera, bo był tam materiał zdjęciowy i Wroński, wiesz, jaki jest Wroński, oprócz tych nadpalonych drzwi wystrzelał dwa filmy na zdjęcia studentek w koszulkach nocnych i pidżamach. Niektóre ponoć się wdzięczyły.

— To noc była? — wtrącił Enka.

— Najwidoczniej. — Gruła podniósł się i rozpoczął nierówną walkę z czajnikiem. Woda rozchłapywała się na linoleum. — Tamten fiut to zobaczył, kazał zrobić kopie, że niby wyśle do Warszawy i robi piekło za marnowanie środków w terenie. Siedzi akurat nad raportem.

— Rzeczywiście, bydlę — zgodził się Enka. — Tyle dobrze, że Wroński dostał po dupie, bo tego nigdy dosyć.

Edward Gruła zrobił tajemniczą minę.

— Nie wiem, po co ci te papierzyska, ale tu nie ma żadnego kombinowania. Są w archiwum i gdzieś na wierzchu. Znajdziesz bez trudu. Herbaty? — zapytał i pokręcił głową. — Tak myślałem.

Enka już stał przy wyjściu. Zerknął jeszcze okiem na gigantycznego Grulę i małą szklaneczkę w jego pulchnej dłoni. Dostrzegł coś pocieszającego w tym zestawieniu, niepojętą nadzieję, że ten dzień może nie będzie kolejnym najgorszym dniem z życia.

— Zuber — Grula palnął się w czoło otwartą dłonią, na znak, że coś sobie przypomniał — pułkownik nazywa się Zuber.

\* \* \*

Gdyby zebrać wszystkich pułkowników na świecie i ustawić w rzędzie na najdłuższym korytarzu największej komendy, Zbigniew Enka rozpoznałby Zubera bez trudu. Zuber akurat schodził z piętra, gdzie urzędowały służby bezpieczeństwa. Ręce miał splecione z tyłu, a głowę zadartą, jakby przez to mógł przestać być kurduplem z brodą tuż nad ziemią. Żaden pyłek czy nić zabłąkana nie szpeciły jego munduru ani niebieskiej koszuli z kołnierzykiem sztywnym jak trup.

Uniósł rękę i otworzył usta, chcąc zatrzymać pędzącego Enkę jakimś straszliwym słowem. Ale zrezygnował.

\* \* \*

Damiana Kucharskiego Enka kojarzył jedynie po trzech cechach, za to niezwykle wyrazistych. Ów milicyjny archiwista utykał na prawą nogę tak intensywnie, że niewtajemniczeni próbowali go nieustannie podtrzymywać. Słabość tę przekuł na siłę, kosząc równo z ziemią dziewczęta, które, kierując się ludzkimi odruchami, nie umiały kalece odmówić swoich wdzięków. Właśnie niezwykle powodzenie u płci przeciwnej stanowiło drugą cechę, którą Enka pamiętał, i szedł o zakład, że Kucharski najbardziej na świecie boi się cudu, że długość jego nóg za sprawą niepojętego boskiego wyroku nagle się wyrówna. Póki to nie nastąpiło, radował się, pijąc od rana do nocy z wyjątkiem imienin swojej matki. Enka pamiętał świetnie wigilię spędzoną w jego towarzystwie na pilnowaniu archiwum i dramat Kucharskiego – co uczynić, żeby zamiast kołędników pojawiły się dziwki.

Stojąc przed drzwiami archiwum komendy, Kucharski podtrzymywał się parapetu i resztek wesołości – twarz miał jednak zieloną, cienie zaległy mu pod oczyma i zionęło od niego przetrawionym alkoholem, aż Ence zrobiło się niedobrze. Uścisnęli sobie ręce. Mocno, bo lubili się trochę.

— Wyglądasz jak gówno — stwierdził porucznik Enka.

— Gówno nie cierpi — chrypnął Kucharski głosem wiekowego jazzmana. Wystarczyło spojrzeć w jego oczy, nomen omen piwne, by stwierdzić, że nie ma ochoty na pogaduchy.

— Pokaż mi, gdzie są najświeższe teczki, i cierp w spokoju — poprosił porucznik Enka, co Kucharski przyjął z wyrazem wdzięczności na umęczonej twarzy.

Pociągnął Enkę do ciemnego pomieszczenia – tu nie dochodziło światło, w rzadkich odstępach, na suficie płonęły ciemnopomarańczowe żarówki. Regały z aktami stały blisko siebie, tak że z trudem można było stanąć między nimi z wyciągniętą ręką. Kucharski wskazał Ence odpowiednią półkę, mniej więcej w środku pomieszczenia. Miał zadbane palce, jego paznokcie błyszcząły jak u kobiety.

— Błagam cię, nie narób mi tu bajzlu, bo z sił opadnę — rzucił, oddalając się w stronę biurka. Z tyłu wyglądał jeszcze bardziej nierealnie: krępy facet przechylający się gwałtownie w bok z każdym krokiem, nieruchomiejący niemal w połowie upadku.

— Uszy do góry! — zawołał za nim porucznik Enka i wszedł między regały.

Tu było jeszcze ciemniej. Przed Enką i za Enką rozciągały się upchane w żółte teczki milicyjne pościgi i dramaty, krew przelana niewinnie lub w pełni zasłużenie, wieloletnie wyroki i pogrzeby, kilkadziesiąt lat historii, sukcesów, niepowodzeń, radości i smutków, co pan porucznik miał głęboko w czterech literach. Irytowało go za to słabe światło, pozostawione specjalnie, zapewne z tego powodu, aby niczego tutaj nie znaleziono, drażnił chłód idący od nieszczelnych okien i spod podłogi, wreszcie lekki, lecz nieznośny smród zgnilizny. Zapewne Kucharski, jak to miał w zwyczaju, przyniósł sobie drugie śniadanie i wcisnął je, urżnięty, między regały.

Czemu takie rzeczy zawsze mnie się zdarzają, uzalał się nad sobą Enka, przeglądając teczki. Znalazł tę właściwą. Oparł się o regał i omal go nie wywrócił. Teczka wysunęła mu się z dłoni. Smród przy ziemi stęzał – znać, że dawało od kanapki – a chłód był taki, jakby wsadzić głowę w śnieg.

— E, Damian! Grzejesz tu czymś? — zawołał, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Otworzył teczkę. Na samej górze leżała fotografia Iwony. Nogi miała niczym tyczki, z ledwo wyróżnionymi kolanami, za to biust niczego sobie, przyjemnie zarysowany pod nocną koszulą. Następnym studentkom, uchwyconym na korytarzu, właściwie półnagim, Enka już się nie przyglądał, zatrzymując się dopiero na fotografiach pokoju. Drzwi były osmalone, na podłodze stało to samo dziadostwo, które opisała Iwona: flaszki, miska, mydło i inne pierdoły. Uwagę Enki przykuł rysunek zrobiony kredą na podłodze. Ktokolwiek go wykonał, musiał się

napocić, a przynajmniej wiedział, co to znaczy: Enka dopatrywał się krzyża pełnego kropek i prostopadłych linii oraz dwóch prostokątów poniżej, od których odchodziły kwiaty. Wokół widniały wielokąty, bazgroły, literki, rozrzucone może i wedle jakiegoś planu, ale w opinii Enki – bez sensu. Ciekawe, co Gil o tym powie.

Chciał odłożyć zdjęcie, ale nie mógł wypuścić go z ręki i oderwać wzroku. Wydało mu się, że w rysunku jest sens, tylko trzeba go dostrzec, jeszcze trochę, oczy zmrużyć i będzie jak na dłoni. Enka wpatrywał się dalej, dostrzegł jakąś prawidłowość w ułożeniu ornamentów z boku, dopatrywał się jakiejś litery i gdy już miał schwycić rozwiązanie, dwie teczki spadły z półki powyżej.

— Co za bzdura — powiedział do siebie i schował fotografię.

Coś zaskrzypiało w głębi pomieszczenia. Zabrzmiało uderzenie, Enka coś wrzasnął, odrzucił na bok teczkę, którą trzymał, i zaparł się rękami. Jak domino, półki przewracały się na siebie, a ostatnia poleciała na porucznika Enkę. Zaparł się, podparł ramionami półkę, nacisk był większy, niż oczekiwał – to przecież zwykła, biblioteczna szafka, odepchnąłby ją bez trudu.

— Damian! — wrzasnął Enka.

Obsypały go teczki: sprawy przekupnego hycła, studentów spałowanych za niepodległość, bibularzy, cinkciarzy, pajęczarzy, złodziei złomu, być może gwałcicieli i morderców, ludzkie historie przelane na raporty i klisze, a im szafa stawała się lżejsza, tym jej nacisk wzrastał. Można by pomyśleć, że ktoś niewidzialny napiera z drugiej strony. Enka odchylił się do tyłu, spróbował dać kontre, prostując ramiona, ledwo drgnął, za to półka za jego plecami runęła, pociągając za sobą następne, trącona tyłkiem pana porucznika.

— Damian! — wrzasnął Enka, tracąc już oddech. I dodał w myślach: „Jeśli to dowcip, to ci nogę urwę, ty kulawy bucu”.

Jak echo tej myśli żarówka powyżej pękła, a porucznika obsypał szklany pył. Nagle, obok pojawił się Kucharski, przypadł do półki, zaparł się, pchnął i Ence natychmiast zrobiło się lżej. Półka stanęła, Kucharski już prostował pozostałe, a porucznik osunął się na ziemię. Mroczone wirowały mu przed oczyma.

— Coś ty tu nawyrabiał?

Enka tylko potrząsnął głową. Damian powtórzył pytanie głosem człowieka, którego rodzoną matkę właśnie zarżnięto i zjedzono. Podał pomocną dłoń. Enka podniósł się, wyszedł z alejki, półprzytomnym wzrokiem ocenił rozmiary katastrofy. Wokół leżała góra teczek, część materiałów wysunęła się na wolność i przemieszała ze sobą. Wystarczyło spojrzeć we wściekłe oczy Kucharskiego, by dojść do wniosku, że archiwista nie miał nic wspólnego z tym rozgardiaszem.

— Wywróciła się na mnie ta półka — rzekł porucznik Enka.

— Pewno pchały ją krasnoludki. Czy ty wiesz, coś narobił? — Kucharski zezował to na kupę teczek, to na zlanego potem Enkę. — No i co ja teraz mam z tym zrobić?

— Przecież uwielbiasz układać teczki.

— Wiesz co, Zbyszek? Wiesz co, Zbyszek? — złościł się Kucharski.

Enka przybrał wyraz twarzy tak potulny, jak tylko umiał, zresztą nie musiał umieć zbyt dobrze, bo nawet Kucharski połapał się, że mu głupio.

— To ja się będę zbierał — zapowiedział Enka. — Skoczę tylko po ogórki i wódeczkę do tych ogórków. Wybacz, ale strasznie mnie dziś goni.

Damian Kucharski przymknął skacowane oczy. Powieki miały barwę ziemi.

— Zostawisz mnie tutaj, samego, z tym szajsem?

— W żadnym razie! — Enka akurat podnosił z ziemi teczkę ze sprawą dla Gila. — Zostawiam cię na randce z królewną flaszką i siedmioma ogóreczkami. Damian, no jak cię proszę, mam paść na kolana?

Ale Damian Kucharski już go nie słuchał, odpływając myślami do oszronionej, a przynajmniej chłodnej flaszki, chrupiących ogórków marki Krakus i chwili, kiedy butelka będzie pusta w dwóch trzecich, a on pomaszeruje między półkami i zacznie przekładać teczki, dla każdej znajdując jedyne, najwłaściwsze miejsce i będzie najszczęśliwszym człowiekiem na komendzie.

Enka popędził więc po wódkę, przerzucając teczkę z ręki do ręki. Wydawała się bardzo zimna, ale gdy wyszedł na zewnątrz, stwierdził, że to tylko złudzenie.

\* \* \*

Ksiądz doktor Andrzej Gil schował koloratkę do kieszeni. Stanisław Wyspiański spoglądał nań z cokołu, być może nawet po to go uwieczniono – by stał pomiędzy ruchliwymi ulicami, był świadkiem, jak ksiądz za moment przestanie być księdzem, wreszcie, by słyszeć niemy śmiech postaci wyrzeźbionych u jego stóp. Gil uniósł głowę. Gdzie twój Wawel, poeto? Co zrobiłbyś na moim miejscu?

Wyspiański jednak milczał i Gil poszedł dalej. Zza brzydkiej bryły Muzeum Narodowego wyłonił się Żaczek. Na ten widok Iwona przyspieszyła i Gil z trudem za nią nadążył. Próbował dostrzec coś pięknego w tej jesieni, jeden promyk światła. Nie, zieleń na Błoniach zmieniła się w brązową papkę, drzewa straszyły nagimi konarami, sam akademik był wielki i brzydki, zaś Iwona bezbarwna w każdym calu, co stwierdziłby nawet arcybiskup, a co dopiero prosty ksiądz. Jeden błysk



światłości, okruch nadziei, mówił Gil do Boga, klęcząc w swojej duszy. A drzwi akademika otworzyły się z impetem.

Gil akurat chciał wejść, lecz dostrzegł nacierające na niego rozradowane gęby i ledwo uskoczył, unikając stratowania. Iwona zareagowała błyskawicznie, znać, że zęby zjadła na realiach życia w akademikach – przypadła do ściany, rozłożyła szeroko ramiona i natychmiast zwiotczała, nijaka nawet w tej szczególnej pozie.

Kilkunastu młodych ludzi przelewało się koło portierni, pierwsi już mijali Gila i Iwonę, przecierając szlak dla głównej grupy uderzeniowej. Na tę składało się sześciu facetów w przypadkowych ciuchach i wielkich okularach – wszyscy byli za starzy na studentów. Jeden na przykład, siwy, z długą brodą i plackiem łysiny, przypominał pruskiego filozofa. Obok niego pędził młodzieniec o wyglądzie zabiedzonego polonisty, który nocami śni o mordach i rzeziach: nieforemne okulary, za duża marynarka, koszula czerwona i gruba jak dywan, odmierzony krok.

Ci piękni mężczyźni – w tym czterdziestolatek podobnym nieco do małej chorej na reumatyzm i śmieszny facecik bez wieku, za to w kamizelce rybackiej – nieśli płomiennego mówcę. Był to chudy człowieczyna o gęstych włosach, pociągłej twarzy i bujnych pekaesach, odziany, czy raczej opatulony w prochowiec, spod którego sterczał kołnierz złachmanionej koszuli. Stopy w samych skarpetkach majtały nad ziemią. Patrzył w dal i mówił głosem wykładowcy, zupełnie nie przejmując się ryzykiem upadku.

— Żadna istota nie zdoła dostrzec swej nadistoty! — wykrzykiwał. — Jeśli jesteśmy na poziomie trzecim, nie dostrzeżemy istoty z czwartego poziomu! Więcej! Przejawy działań istot z czwartego poziomu odbierzemy w kategorii zjawisk naturalnych! — jego głos brzmiał nierzeczywiście, jak z innego świata, w którym nie ma akademików, fanów niosących na rękach mistrza, oraz biegu. — Nie ma też powodu przypuszczać, że życie rozwinęło się tylko na naszej planecie, ale w odróżnieniu od rozmaitych optymistów nie wierzę, nie uznaję możliwości owocnego kontaktu. — Głos się oddalał, faceci pędzili na azymut, ku błoniom. — My w ogóle nie będziemy władni ich dostrzec, oni z kolei nie zdołają się z nami skomunikować, podobnie jak człowiek nie porozmawia ze szczurem laboratoryjnym. Oznacza to mniej więcej tyle...

Brzmiały tylko krzyki. Mężczyźni trochę osłabli, nieśli gadułę już niżej, lecz przygnali kolejni i wypchnęli swojego ulubieńca ku niebu, o którym opowiadał. Książd Andrzej Gil pomyślał, że świat z dnia na dzień robi się coraz dziwniejszy i chciał nawet podzielić się tą mądrością z Iwoną. Przeszkodził mu portier, który wyszedł zaraz za rozwrzeszczaną ekipą i nie wyglądał na zadowolonego.

Wyszarpnął papierosa, a ksiądz Gila spostrzegł dokładnie w chwili, gdy ciskał zapalnik.

— Proszę, proszę! Ksiądz tutaj, w domu wariatów?

Gil oprzytomniał.

— Tak już bywa, panie Juma.

Pan Juma skinął głową na znak głębokiego współczucia. Miał nastroszone włosy, bruzdy na policzkach i dziurki w nosie tak wielkie i okrągłe, że chciało się w nie wepchać kulki od łożyska.

— Jak ksiądz z pociechą duchową, to tej zbieraninie niewiele pomoże.

— A co to za jedni? — Gil odprowadzał wzrokiem tę ludzką pstrokaciznę. Dotarli już na błonia i zajmowali się intensywnym podrzucaniem swego bohatera.

— Cholera ich wie. — Speszył się. — Ja przepraszam, księżu kochany, ale oni są naprawdę nie do wytrzymania. Mają siedzieć do końca weekendu, a są sam nie wiem czym. Wielbiciele tej, no, fantastyki. Zna to ksiądz? UFO, te sprawy?

Nim Gil zdążył odpowiedzieć, Juma wymierzył w niego siny palec:

— Myśli ksiądz, że mogą być niebezpieczni?

Gil przełknął ślinę.

— Ja w ogóle trochę niedobrych rzeczy słyszałem o tym, co tu teraz się dzieje. — Dostrzegł, że Juma kurczy się w sobie, rzuca spojrzenia na boki, dodał więc prędko — przecież wiem, że gdyby od pana zależało...

— To wypieprzyłbym tę swołocz na zbity pysk, proszę księdza dobrodzieja. Wykupili i dają po garach. Nowe pokoje, odremontowane, jeszcze studenci nie zasiedlili, a jak sprzątaczką tam poszła, to łyzy jej w oczach stanęły. „Nie wiedziałam, że może być ktoś gorszy niż studenci”, tak powiedziała — przejmował się pan Juma. — A nic nie da się zrobić, bo syn szefa z nimi trzyma. Nic zrobić, nic powiedzieć. — Podrapał się po głowie. — O co ksiądz pytał?

— To ja może poczekam w sali telewizyjnej — wtrąciła Iwona. Gil całkiem o niej zapomniał, co nie było trudne. Pokazała plecy. Juma uśmiechnął się słabo.

— Pytałem o tę awanturę — przypomniał Gil.

— A bo to pierwszy pożar u nas? Aż dziwię się, że słuchy doszły do księdza o takich drobiazgach. No, podpalili pokój, dziewczyna się wściekła, milicja ją wzięła. I ma ksiądz historię. Raz na czas ktoś coś tu podpali. Zwłaszcza ci z młodszych lat mają kielbie we łbie.

Miejsce po koloratce paliło ksiądz Gila, a notes, schowany w tylnej kieszeni, był jeszcze gorętszy. Wydobył go, odszukał właściwą stronę.

— Chciałem znaleźć pana Duvaliera.

Pan Juma aż podskoczył.

— A ta małpa na co księdzu?

— Da pan spokój, panie Juma. Człowiek jak ja i pan, któremu trzeba pomóc znaleźć Boga.

Juma się roześmiał, ukazując śnieżnobiałe, sztuczne zęby.

— To ksiądz się spóźnił! Trzeba było działać, jak te dzieci robił! Czworko ma, każde z inną! Dzieciak sowiecki z jakiegoś czarnego kraju, Filipin czy Maroka.

— Z Haiti — poprawił Gil.

Grupa na błoniach zmęczyła się podrzucaniem. Usiedli w kółeczku i popijali piwo, rozbawieni i całkowicie zasluchani. Mężczyzna w prochowcu spacerował, mówił, kładł im dłonie na głowach.

— Jeden ciul, proszę księdza. Łożą na niego, to siedzi, przecież to tuman kompletny, jednego semestru by nie zaliczył bez pomocy, do tego karakan taki, cholerny makak. — Zapalił kolejnego. Gil nie przerywał. — Niech ksiądz za bardzo o niego nie pyta, bo wszyscy go tu nienawidzą. Inni czarni najbardziej, bo im psuje opinię. Już parę razy dostał baty od swoich.

— Za co? — Gil odsunął się, by uniknąć dymu.

— Jak to za co? Za dziewczynki! On łązi za każdą, żadnej nie odpuści. Prosi, grozi, czasem mu nawet wyjdzie, wiadomo, bo dzieci robi. A kobiety głupie, nic, nic się nie nauczyły! — Mrugnął porozumiewawczo. — A jeszcze łajdak, bo jak czasem po pysku oberwie od wściekłego narzeczonego, to zaraz skarży się we władzach i na uczelni, że to rasizm, że go za kolor skóry chcą zakatować i że Polska jest gorsza niż Ameryka.

Oczy pana Jumy gorączkowo potrzebowały potwierdzenia.

— Rzeczywiście, nie jest to miły człowiek — zgodził się ksiądz doktor.

— Mieszka pod czterysta siedem, to czwarte piętro. Tylko ksiądz będzie musiał przebić się przez tych od UFO — sapnął, spojrzął w niebo, rzekł głosem mędrca — tych pieprzonych fanów fantastyki.

\* \* \*

Pieprzeni fani fantastyki okupowali cały parter. Zalęgli się na schodach, dyskutowali, marszcząc twarze naznaczone brakiem snu, wznosili butelczyny, kłócili się i przepychali. Gil miał upiorne wrażenie wejścia w obcy świat, jakby wraz z pojawieniem się tych ludzi w ponurym bebechu Żaczka zalęgły się postacie z krainy baśni.

Czasem było na czym oko zawiesić – rudowłosa nastolatka klarowała grupie zachwyconych młodzieńców o aniołach, szamanach i tym podobnych. Jej koleżanka, jeszcze młodsza, o jaśniutkich włosach siedziała pod ścianą, pochłonięta zabawą pistoletem na wodę. Rzucały sobie przyjazne spojrzenia, a mężczyźni im – pożądlive.

Przy windach wiwatowano – to krępy, muskularny gość w marynarskiej koszulce zbierał gratulacje z jakiegoś powodu wyróżnienia, Vadera roku czy czegoś podobnego. Też omal go nie uniesiono, od poklepywania chyba rozbolewały go plecy, bo odsunął się pod ścianę, wyciągnął flaszkę gorzkiej i zaczął częstować z gwinta. Butelczyna krążyła, a marynarz – jak Gil nazwał go w myślach – sięgnął po torbę podróżną i wydobył kartonowe pudła. W nich, Boże, jak fantantom oczy pojaśniały, leżały kasety wideo, pięknie poukładane i jeszcze piękniej opisane. Wokół tylko się zakotłowało, wywiązała się krótka kłótnia – co najpierw, co wybrać – wreszcie zabrali całe pudło i prowadzeni przez laureata popędzili na poszukiwanie magnetowidu.

Było też dziwnie. Łysiejący szatyn z długimi włosami podskakiwał, udając głosy humbaków, w czym wydatnie przeszkadzało mu piwo, które lał sobie do gardła.

Gil planował pojechać windą, ale odpuścił, ujrawszy, co dzieje się w środku – trzech nastolatków siedziało na podłodze, rozkładając wokoło fotografie wycięte z zachodnich magazynów. Każdej przyglądali się bardzo uważnie, cmokali, usta wyginali do całowania. Gil, choć nie miał koloratki, odwrócił się od grzechu i wybrał schody.

Ludzie biegali w górę i w dół, wykrzykując różne skomplikowane imiona. Za to na półpiętrze rozciągał się krajobraz po bitwie. Siedziało tam dwóch smutnych gości koło trzydziestki, przebranych za nastolatków: jeden miał spodnie trzy numery za duże, drugi wytarte džinsy i koszulkę Iron Maiden. Gruby i chudy, zarośnięty i bez włosa na twarzy, za to z nosem niczym ziemniak i zębami, jakby od maleńkości walił głową o kaloryfer. Dopijali piwo na spółkę.

— Jesteśmy zajebiści! — powiedział grubszy.

— No jesteśmy. Ten w zbyt dużych spodniach wygrzebał skądś papierosa. Zapalił, cuchnęło.

— Zajebiecie książka wyszła!

— No zajebiecie!

— Pozamiataliśmy!

— No ba!

Tak się cieszyli. Gil zostawił ich za plecami.

— Przeciwno wszystkim! Przeciwno wszystkim! — darli się chórem, potem darł się jeden, a gdy Gil dotarł na piętro, wrzaski ustąpiły odgłosom wymiotów.

\* \* \*

Akademik, żył, pulsował, tętnił, a Gil szedł korytarzem, wspominając sobie własne studiowanie, nie bez przyjemności, za to z przykrą świadomością, że czasem trzeba się spowiadać z samego wspomnienia.

W łazience brud zalegał na kafelkach, przy wybitym oknie tłoczyli się studenci, dwóch innych targało wielki gar z wodą po kartoflach. Dotarli jakoś do ubikacji, zniknęli za drzwiami, zabrzmiał odgłos upadku i stek barwnych przekleństw. Popłynęła woda, studenci przy oknie jęli się wycofywać. Gil roześmiał się, wbrew sobie. Studenci posłali mu groźne spojrzenie, jeden nawet chciał iść z pięściami. Powstrzymano go. Gil zdążył już wyjąć koloratkę.

W otwartych drzwiach pokoju siedziała dziewczyna w czerwonym szlafroku, odsłaniała nogi aż do połowy ud. Przed nią klęczał korpulentny chłopiec i czytał wiersze z debiutanckiego tomiku *Podsiadły*. Dziewczyna drżała cała przy co piękniejszych frazach, kładła czytającemu ręce na nadgarstkach i zmysłowo przesuwiała palce w górę, na okładki.

Ksiądz doktor nie miał w zwyczaju pracować długo, a tym bardziej ciężko, cudzy wysiłek umiał jednak docenić. Wygląd kolejnych drzwi – tym razem zamkniętych – stanowił wynik morderczej roboty. Ktoś, zapewne lokator, najpierw zeszkrobał lakier i farbę do serca drewnianej płyty, następnie zagruntował starannie i naniósł trzy barwne pasy: zielony, żółty i czerwony. Gil wyobrażał sobie, jak musiało to śmierdzieć, i wyobraził sobie właściciela suszącego drzwi suszarką do włosów i toczącego nieustannie boje ze współlokatorami. Nie musiał nawet go sobie wyobrażać – drzwi z flagą uchyliły się i stanął w nich lokator. Gil rozpoznał go natychmiast, bo i trudno nie zapamiętać chłopaka z dredami, w wełnianej czapce i wzrokiem mętym jak woda w Wiśle.

— O, szczęście Boże proszę księdza doktora! — ucieszył się student.

Gil pamiętał go z zajęć drugiego roku religioznawstwa i nawet sobie cenił. Praca o tolkienowskich konotacjach tekstów z debiutanckiej płyty *Armii* bardzo mu się podobała. Odpowiedział więc „szczęście Boże” i zwolnił. Student miał na imię Franek i Gil sądził, że to dziwne imię dla rastafarianina, czy kim tam Franek był.

— Co księdza tutaj sprowadza? Może pomóc jakoś? — zapytał Franek. Z jego pokoju bił mocny zapach ogniska jesienią, takiego, w którym skwierczy siano, wysuszone na wiór drewno pęka, a iskry wirują ku górze.

Gil zastanowił się chwilę. I wybrał szczerłość.

— Przyszedłem w sprawie pożaru. Tego sprzed paru dni.

Franek podrapał się po dredach, zrobił dziwny ruch, jakby chciał księdza doktora zaprosić do środka. Odpuścił i zaczął opowiadać, niemal słowo w słowo to, co Gil już wiedział: że podpalili w nocy, że milicja przyjechała i jakie to niezwykle. Franek zniknął w pokoju, wrócił z papierosem i słoikiem pełnym kiepów.

— To wszystko przez Murzyna — wyznał i zaraz się poprawił — księżę doktorze, ja rasizmu nienawidzę najbardziej na świecie, ale ten facet nie ma jednej dobrej cechy. Ładnie tańczy, to wszystko.

Cień przeszedł po twarzy księdza Gila.

— Jaki to taniec? Z Haiti? — zapytał poważnie.

Franek wywrócił oczyma. Był bardziej nieprzytomny, niż Gil przypuszczał, źrenice mu się rozszerzyły, za to popielate powieki nieustannie opadały.

— No coś takiego. — Wodził ręką w powietrzu i wzrokiem za tą ręką. — Tak węzowo, bardzo do przodu i melodyjnie, znaczy to ruch jest bez dźwięku, ale z melodią. Dziwnie to brzmi. Sam mi pokazywał, sukinsyn jeden. Pytałem, jak to się nazywa, powiedział, ale nie pamiętam.

— Janwalu? — zaryzykował ksiądz doktor.

Twarz Franka natychmiast pojaśniała.

— No! Janwalu! Janwalu! Janwalu! — powtarzał, przeciągając ostatnią samogłoskę, tak że niemal przechodziła w zawodzenie. Gil poklepał go po ramieniu, podziękował, poszedł. Franek stał na korytarzu, kompletnie nieprzytomny, zaciągał się skrętem, a jego głos niósł się korytarzem:

— Janwalu... Janwalu...

Czy można upalić się samym powietrzem, ciężkim od marihuany? Stracić kontakt ze światem od samego gapienia się w nieprzytomne ślepie? Tak rozmyślał Gil, a potem zrobiło mu się słabo. Przymknął oczy, jego krok stał się chwiejny, zdało mu się nagle, że studentka, którą mijał, gwałtownie zmienia się w Murzynkę, że skóra ciemnieje jej od palców ku łokciom, spływa na twarz spod włosów jak ciemna woda.

Zachwiał się, poszukał oparcia, na próżno, poleciał więc na ścianę, lecz tej już zabrakło. Ciemność spłynęła na oczy księdza Gila i był śpiew, i był krzyk, i były bębny. Wyciągnął rękę, próbując chwycić się czegośkolwiek. Natrafił na coś chropowatego. Otworzył oczy i spojrział w słońce.

Boże, wrócił tutaj – jakim cudem, to przecież sen, to, złudzenie – a może stało się na odwrót, wcale nie opuścił Brazylii, wciąż jest rok 1984, a on, Gil, leży gdzieś w czarnej chacie, śniąc o akademiku, Joannie Jamik, poruczniku Ence, Polsce? Co

jeśli nigdy nie wrócił, a ten straszny kraj kłapnął zieloną szczęką i go pożarł, jak kawał padliny?

Stał pod rozłożystym drzewem, uczepiony białego pnia.

Przed nim wznosiła się świątynia, właściwie parterowa chata, z dachem dwa razy szerszym od reszty, wspartym na palach. Słońce płonęło na lazurowym niebie, za świątynią strzepił się las.

Mijał Murzynów, niektórych odzianych tylko w strzepki ubrań, w rozlatujących się sandałach i spodniach po krewnych, przetartych na kolanach i tyłku, utwardzonych od potu i słońca. Były też bogato odziane, grube kobiety – ich suknie mieniły się wszystkimi barwami dżungli, czerwień była rubinowa i krwawa, błękit jak strumień, biel niczym chmury powyżej. Barwy układały się w zwierzęta wijące się wokół siebie, roślinne ornamenty, dziwaczne wzory, które Gil rozpoznawał, lecz nie umiał nazwać.

Stara Murzynka odwróciła bezżębną twarz do księdza Gila. Zamiast oczu miała błoto.

— Przeszedłeś, ty skurwysynu. — Powiedziała i przepadła w wirze z czarnych płatków, razem ze świątynią, drzewami, rozpalonym słońcem.

Ciemność napała na Gila tanecznym ruchem, jakby mrok miał nogi, chodził, przesuwał się dziwnym krokiem. Gil próbował krzyczeć, ale mrok już wszedł mu w usta, trysnął głęboko w gardło.

Otworzył oczy. Nie, to nie akademik, ale świątynia *terreiro*, być może ta sama, którą przed chwilą widział. Tak, Gil rozpoznawał to miejsce i człowieka przed sobą: wielkiego Murzyna o byczym karku, trzymanego przez trzech sobie podobnych. Z ust lała mu się krew, na podłodze leżał odgryziony język. Czarny wył nieziemskim głosem prosto w kierunku księdza Gila.

Gil trząsł się cały, nie panował nad swoim ciałem. Dłonie, jeszcze młode, splotły się ze sobą i drżały. Czuł pot na plecach i brzuchu, wściekłe serce, płytki oddech. Pisnął niczym dziecko, cofnął się, napotkał ścianę. Wrzask Murzyna narastał, nienaturalnie niski, jakby puszczony na wolnych obrotach, dziki. Gil przeraził się, że to nie pot, ale krew spływa po jego ciele.

Dotknął swoich ust.

Zacisnął powieki.

Znów był w akademiku, nawet jakoś szedł, przesuwał się przy ścianie. Przystanął, oparł się plecami. Przymknął oczy. Zabrzmiały kroki, ktoś biegł, a może właśnie tańczył. Gil jęknął. Ktoś nim potrząsnął, coś mówił – po polsku, nie po polsku – Gil spojrział prosto w zatroskane, przepalone oczy Franka.

— Księżę doktorze? Wszystko w porządku, księżę doktorze?

— W najlepszym — wykrztusił ksiądz doktor i znalazł się w Rzeszowie, w blaszanej salce katechetycznej, między łózkami opętanych, pod napisem „JEZUS CIEŃ KOCHA”. Przed nim wił się chudy chłopak. Kości prześwitywały spod napiętej skóry. Wywalał oczy, pluł i srał.

Stary ksiądz stał podtrzymywany przez dwóch innych. Nie mógł już mówić, tylko szeptał i w tym szepcie brzmiała siła armii ruszającej z rykiem do boju.

— Zaklinam cię przez Boga żywego, przez Boga prawdziwego, przez Boga świętego, duchu nieczysty, wrogu wiary, nieprzyjacielu rodzaju ludzkiego, sprawco śmierci, ojcze kłamstwa, korzeniu zła...

Chłopak napluł na krzyż. Bił głową o poduszkę, szcząkał zębami.

— ... zwodzicielu ludzi, zarzewie cierpień. Zaklinam cię, złośliwy smoku, w imię naszego Pana Jezusa Chrystusa, odstęp precz od tego Bożego stworzenia. Nakazuje ci to sam Chrystus...

Opętany puścił wiatry. Zaskrzeczał nieludzkim śmiechem. Pod starym księdzem ugięły się nogi, Gil powinien go podtrzymać, inni byli szybsi. Teraz to egzorcysta był bliski omdlenia. Spoczął na ramionach dwóch księży, przymknął oczy i szepnął:

— ... który z wyżyny niebios strącił cię do podziemnych otchłani. Nakazuje ci to Chrystus, któremu morze, wichry i nawałnice były posłuszne.

Gil zorientował się, że dziewczyny, którą egzorcyzmowali wcześniej, już nie ma, łóżko było puste. Za to z chudym chłopakiem – jak on miał na imię? – stało się coś dziwnego, mógł przysiąc, że widzi palec sunący pod skórą policzka. Zaraz zniknął. Chłopakiem szarpnęło, guziki jeden po drugim wystrzeliły prosto w twarz księdza Gila.

Któryś z młodych księży wycofał się, wystawił twarz za okno. Smród przechodził wszelkie wyobrażenia. Tak, pomyślał Gil, Zły mami górami złota, pięknem i młodością ciała, a tu objawia swoją prawdziwą twarz, jest głównem i rzygowiną.

Pierś chłopaka unosiła się i opadała. Siwy ksiądz odzyskał pion, a jego głos – moc:

— Ustąp miejsca Duchowi Świętemu przez ten znak świętego Krzyża...

Chłopakiem szarpnęło, tym razem pas wytrzymał. Wywalił oczy, rozdziawił usta, chwycił powietrze. Pod skórą, na piersi odcisnęły się dwie rozczapierzone dłonie.

— ... naszego Pana Jezusa Chrystusa, który żyje i króluje na wieki wieków. Amen — rzekł stary ksiądz.



W okamgnieniu źrenice chłopaka wylały się na całe tęczęwki. Uniósł głowę tak wysoko jak mógł, a z ust, prócz szarawej brei, popłynął bezładny potok słów w kilku językach, który przeszedł następnie w jednostajny dźwięk:

— Kekekekekekeke...

Słabnąca dłoń egzorcysty uniosła krzyż, usta już się rozchyliły. Demon w człowieku nawet na to nie spojrzał. Wykrzywił wargi. Zlizał plwocinę. I zaśpiewał dźwięcznym włosem, bez drobiny brudu:

— *Papa Ghebe bel garcon belle garcone!*

Chłopak szarpnął głową, trzasnął kark, z ust i uszu buchnęła krew. Wywalił oczy na wierzch, już ludzkie, owładnięte dzikim strachem i zdziwieniem. Jęknął tylko i znieruchomiał, leżąc na plecach, za to z twarzą wciśniętą w poduszkę. Wydawał się teraz mały, maleńki. Jak dziecko.

Gil wziął głęboki oddech. Ale powietrze wyrzucił z płuc już w nadymioną przestrzeń korytarza w Żaczku.

— Wszystko w porządku, księżę doktorze? Księżę doktorze, kurde, no, ksiądz popatrzy...

Ksiądz doktor więc popatrzył na znajomą twarz Franka, na której zgromadziło się tyle troski, na ile pozwalał stan odurzenia. Zorientował się, że zaciska obie dłonie na jego przedramieniu.

— Źle się czuję — powiedział. Wciąż przed oczyma miał Murzyna, który odgryzł sobie język, chłopaka z przetrąconym karkiem. — Ale już mi lepiej... bardzo panu dziękuję, panie poruczniku.

Poszedł o własnych siłach, pozostawiając osłupiałego rastafarianina niewesołym myślom. Ten patrzył niepewnie na odzyskującą stabilny krok postać księdza doktora, na zgasłego skręta i flagę naniesioną olejem na drzwi. Pokręcił głową i odrzucił skręta od siebie, precz, w odmęty toalety.

Kekekeke, skrzeknęło coś za oknem, pewno wrona, ale Gil zamarł, pomyślał zaraz, że jeszcze parę taki wizji albo klekotów zza szyby to skończy tam gdzie Aśka. Kekekeke, zabrzmiało znowu i ksiądz już wiedział, skąd go zna. To pieśń grabarza, władcy umarłych z Czarnego Łądu. Nie brzmi bez powodu, pomyślał i jęknął, zapomniałeś, że wszystko ma miejsce i sens?

\* \* \*

Iwona siedziała w swoim pokoju, na łóżku, podkurczając nogi. Gil zamknął za sobą drzwi i znieruchomiał, nie wiedząc, co ze sobą począć. Nie chodziło nawet o to, że nie wiedział, gdzie usiąść – na jedynym krześle leżały książki. Miał wrażenie, że stoi pod wodą i zaraz zacznie się dusić. Jak ta Asia tutaj wytrzymała?

Pokój był maleńki – właściwie mieściły się tutaj dwa wąskie łóżka, ustawione równoległe pod przeciwległymi ścianami i zaścielone chyba za pomocą linijki. Gil bez trudu rozpoznał to należące do Aśki. Nie było na nim misia. Iwona zresztą zawładnęła większość pokoju, znacząc teren bukietami jesiennych liści i suszonych kwiatów, obsypując półki zdjęciami w ciężkich oprawkach oraz maleńkimi zabawkami. Na wiekowym, pociętym biurku tłoczyły się porcelanowe figurki kotów, szklane ptaszki i pluszowy piesek wielkości wróbla, tak sprany, że gdyby żył, natychmiast poszedłby do uspienia.

Ściany również nie zostały oszczędzone: większość miejsca zajmował co prawda regał, ale Iwona po mistrzowsku zagospodarowała pozostałą przestrzeń. Centralne miejsce przeznaczone było dla lustra z pękniętą szybą, za to włożonego w ludowe ramy w kwiaty i owoce. Przycupnęły na niej drewniane ptaszki. Obok w pozornym chaosie kotłowały się widoczki domków i kościołów, zdjęcie samej Iwony z rudym sznaucerem i kilka fotografii z międzywojnia, w sepii.

Gil tylko rzucił okiem na książki, poukładane względem wielkości, a potem – alfabetycznie, za to poświęcone wszystkim możliwym pisarzom, trendom literackim oraz dziwnym zjawiskom, które mącą spokój serca co wrażliwszym polonistom. Tomiki poetyckie leżały osobno, ściśnięte słownikami. Uwadze Gila nie umknęła maleńka półeczka przy łóżku bez misia, również uginająca się pod ciężarem woluminów. Ale te książki leżały bez ładu i składu, sterczały z nich zakładki i pewno były w środku pokreślone notatkami. Przypomniała mu się Joanna i poczuł dreszcze.

Żałował, że za późno już, by włożyć koloratkę. Usiadł na brzegu łóżka, jak najdalej od Iwony. Przełknął ślinę, poprawił okulary. Bez pytania zabrał długopis z biurka.

— Co możesz mi opowiedzieć o tym tańcu? — zapytał, otwierając notes.

Iwona podrapała się w kostkę. Miała niebieskie skarpetki. Wzruszyła ramionami i nic nie powiedziała. Gilowi przypomniały się autystyczne dzieci, które widywał czasem, chodząc po kołodzie.

— Tańczył kiedyś taki taniec. Bardzo płynny, nawet mi się podobał — odezwała się wreszcie. — Mamy tu kilkoro studentów z krajów afrykańskich i oni się zlecieli i coś powiedzieli mu po francusku. Ja w miarę francuski rozumiem, księżę doktorze.

Gil zmarszczył czoło. Zanotował. Przez plecy przeszedł mu dreszcz.

— Co mówili, Iwonko?

— Nie zwróciłam uwagi. Byli wściekli, klęli, jeden mało mu nie przywalił. To w telewizyjnej było. Jeden z Nigerii był szczególnie cięty, z pięściami szedł i on

akurat krzyczał po angielsku. I powiedział mu, że gra z rzeczami, których nie rozumie. Rozdzielili ich.

— Aha — rzekł ksiądz doktor, myśląc o tym, żeby ta rozmowa dobiegła już końca. Nie podobało mu się spojrzenie Iwony ani sposób, w jaki do niego, księdza Gila, się nachylała. A ona nachyliła się jeszcze bardziej i zapytała:

— Chciałby ksiądz zobaczyć jego pokój?

\* \* \*

Wrócił na korytarz. Szedł wśród ludzi i znaków.

— Duvalier mieszka na tym piętrze, tylko dalej — wyjaśniła Iwona. — Nie widziałam go od czasu tej awantury. Może wie, jak narozrabiał, i się boi.

— Na przykład czego? — zapytał ksiądz doktor.

— Ludzi. Może jej rodziny albo milicji. Próbowałam pytać Pierre'a o to, ale nie chciał nic powiedzieć, unika ludzi i tylko tłumaczy, że nie ma nic wspólnego z Duvalierem.

— Pierre to jego współlokator? — domyślił się Gil.

— To dziwne, bo są z tego samego kraju chyba, ale Pierre wcale się do tego nie przyznaje. Uważa się za Etiopczyka, stamtąd chyba przyjechał. Nie bardzo się lubią. Ale to spokojny, cichy człowiek — mówiła w zamyśleniu. — Pierre, Pierre. Pierre Laval.

Na ścianie Gil dostrzegł krzyż wśród kwiatów i trumien, wyrysowany niebieskim długopisem, bardzo duży. Aż go zmroziło, ślina w ustach stała się cierpka. Przyjrzał się lepiej i dostrzegł, że krzyż owszem, jest, ale odwrócony, w koło płaczą się koślawe literki, a całość to nie żaden mroczny symbol, tylko koślawo skopiowane logo jakiegoś zespołu heavymetalowego. Poniżej ktoś wypisał tytuły płyt i skład.

Gil nie zdążył nawet przekląć własnej głupoty, bo przeraził się kolejnego rysunku. Niemal identyczny widział wcześniej w Brazylii: serce nad ozdobnym trójkątem, na tym świecznik, wokoło mnóstwo małych krzyży. Zagadnął Iwonę:

— Kto to rysował? Duvalier?

Uśmiechnęła się, jak to ona – ledwo wargi się jej wygięły.

— On by tak nie umiał, księżu doktorze. Ksiądz nigdy nie był zakochany, prawda?

Miał ochotę walnąć łbem o ścianę, dokładnie tam, gdzie znajdował się rzekomy znak rytualny, a tak naprawdę obsypane kwiatami serce, do tego przebite strzałą, oświetlone narysowanym słońcem. Napis poniżej głosił: „KOCHAM CIĘ MOJA

BOŻA KRÓWKO. STO LAT”. Zamiast walić głową, Gil spróbował się roześmiać, ale załkał tylko.

— Czy ksiądz dobrze się czuje? — zapytała Iwona.

Tak, dobrze, odpowiedział sobie w myślach, tylko widuję rzeczy, które nie istnieją, za chwilę wezmę tabliczkę z zakazem palenia za *veve*, ciecia za barona Samedi, a smród z kuchni za Loa i zabiorą mnie w kaftan, dostanę pokój koło Aśki w Kobierzynie, Enka będzie przemycał mi czekoladki i wyborową z Pewexu. Przestań patrzeć, księżu doktorze, nie dostrzeżesz niczego poza kłamstwem. Nic tu na tych ścianach nie ma.

Bezładna plama naniesiona na drzwi ułożyła się w twarz. Tylko na chwilę. Twarz miała ogromne oczy, czerwone usta i trupa dziurę w miejscu nosa. Gil zamknął oczy. Zniknęła, rozpadając się na bezładne kwadraty i trójkąty. Tylko czemu za tymi drzwiami ktoś gra na bębenu, wystukuje rytm bezładny jak śmierć?

— Po prostu jestem zmęczony — rzekł ksiądz doktor Andrzej Gil. Zawahał się i dodał — kto tutaj tak gra?

Iwona nie odpowiedziała.

Minęli kuchnię, pomieszczenie duże i brudne, gdzie studenci próbowali nadać pozór smaku podłemu żarciu. Drzwi stały otworem, wypuszczając na korytarz mdły zapach zupy bez mięsa. Na białym stole leżały dwie kurze łapy i Gil mógł przysiąc, że jedna się poruszyła. Przyłożył dłoń do ust – przecież to symbol voodoo, dziecko to wie! Nim pojął, co właściwie robi, już wspierał się na ramieniu Iwony. Zwolnili, Gil wykręcił szyję, nie odrywając wzroku od łapek, i nagle w kuchni zjawiała się studentka, śliczna studentka z piegopatym noskiem, półdługimi włosami i zaokrągleniami w miejscach, na które księża patrzeć nie powinni. Ta ludzka kruszynka chwyciła nóżki, przeczyściła jeszcze i poszła wrzucić je do garnka, z którego kipiał rosół.

Gil miał dosyć. Puścił Iwonę i opadł dłońmi na parapet. Okno akurat wychodziło na podwórko – widział beton niby dno wysuszonego morza, stłuczone szyby i ciecia, niespiesznie tańczącego z miotłą.

— Co księdzu jest? O jakiej muzyce ksiądz mówił? — dopytywała Iwona. Ujęła go za łokieć.

Musiał więc odpowiedzieć, coś, cokolwiek. Uśmiechnął się.

— Iwonko, nie przejmuj się. Byłem w Brazylii, wiesz? Kilka lat temu. I tam zachorowałem — gładził kąciki własnych ust — dość poważnie, to chyba z powodu tamtejszego słońca — skłamał. — I czasem ta choroba wraca, tylko na moment. Mam zawroty głowy, ot co, i czasem robi mi się słabo. Zwłaszcza jak muszę zmienić wysokość i wyjść po schodach.

— Był ksiądz na misji?

Boże, wybacz, że muszę tak łąć.

— Na misji czy czymś w tym stylu — przyznał. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale urwał.

Na parapecie leżała kartka pocztowa, zaadresowana do jakiejś Elżbiety, na adres w Żaczku. Podpisało ją kilka osób, nikt czytelnie, za to w napis powyżej włożono wiele starań, niemal wryto w pocztówkę, tak że odczytałby go nawet niewidomy. Napis głosił: „POZDROWIENIA Z RZESZOWA”.

Już przed pokojem Duvaliera unosił się delikatny zapach przypalonego mięsa. Framuga była osmalona, a na ścianie, obok kontaktu, widniała kremowa plama. Gil zastanawiał się, co zrobi, gdy już znajdzie się w środku. Iwona zastukała. Zaprosił ich głos głęboki i dziwny. Murzyn, bardzo wysoki, bardzo barczysty, a nade wszystko, bardzo czarny, siedział na stole. Gil zerknął na Iwonę, ta pokręciła głową. Przedstawił się, nie zapominając dodać, że jest księdzem. Murzyn podniósł się sprężyć, wyciągnął dłoń.

— Pierre Laval.

— Nie musi pan ze mną rozmawiać — rzekł Andrzej Gil.

— Wiem — odparł Pierre Laval dobrą polszczyzną z silnym francuskim akcentem.

Laval nosił spodnie w kant, wysłużony golf i puchową kurtkę. Przez otwarte okno wpadał chłód polskiej jesieni, z pewnością trudny dla Haitańczyka. W pokoju – pod względem rozkładu identycznym jak ten, który zajmowała Iwona – nic nie wskazywało na pochodzenie lokatora, a nawet usiłowało ze wszystkich sił mu zaprzeczyć. Centralne miejsce na ścianie zajmowała flaga Etiopii, metr na dwa, gwiazda na niebieskim tle odróżniała ją od tej, którą Franek wykonał u siebie na drzwiach. Trzy kunsztownie zrobione, metalowe krzyże wisiły w rzędzie powyżej, każdy połączony, z masą ornamentów układających się w słońca. Było też zdjęcie kapłana w kolorowych szatach i portret Hajle Selasje nad łóżkiem – gdyby Laval przyklęknął do wieczornej modlitwy, twarz cesarza miałby dokładnie naprzeciw swojej.

Gil pospiesznie ocenił rozmiar niedawnego pożaru: framugi okienne były osmalone, dywan szpeciła beżowa plama, firanki wymieniono. Maleńkie biurczko wciśnięte w róg pokrywały czarne pasy po ogniu. Straty, jak na życie studenckie, które Gil pamiętał, prawie żadne.

— Niech ksiądz usiądzie. — Laval wskazał drewniane krzesło. Nie zerknął nawet na Iwonę. Ksiądz usiadł, tak jak go o to proszono. Iwona zamknęła drzwi.

— Właściwie to nie chciałem rozmawiać z panem, ale z pana współlokatorem. Panem Duvalier. — Gil żałował, że jest sam, Enka poradziłby sobie lepiej.

— Mówiłem, że nie muszę rozmawiać, to nie będę — stwierdził Laval i zacisnął szczękę. — A Duvaliera nie ma. Nie mieszka. Usunęli go za ten pożar.

Gil nachylił się do Laval. Ten ogromny człowiek mógłby skrócić mu kark jedną dłonią, a jednak bał się śmiertelnie.

— Opuścił Żaczek?

— Nie wiem, ale nie — mruknął Laval, zerkając za okno — nie ma gdzie iść, waletuje. Ja nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

Odwrócił się do ściany.

Gil wstał, zapiął płaszcz i usiadł znowu.

— Pamięta pan Joannę Jamik?

Laval skinął głową.

— To miła dziewczyna, prawda? — Gil znalazł w jego oczach potwierdzenie. Może nawet więcej niż miła, kto wie. — Joanna walczy teraz o życie w szpitalu, w Kobierzynie. Wie pan, co to za miejsce? Jest tam, ponieważ pan Duvalier coś jej zrobił. Coś, o czym może pan mieć pojęcie. Widzi pan — Gil złączył dłonie — pan nie musi mówić, ja nie muszę tutaj być, bo jestem księdzem i mam swoje sprawy. Tylko Joanna musi cierpieć, jej wyboru nie zostawiono.

Laval dostrzegł najwidoczniej, że Gil się trzęsie, bo zamknął okno. Zapach spalenizny natychmiast stężał. Laval zerknął na Iwonę, która stała przy ścianie, w gruncie rzeczy do ściany podobna, po czym usiadł na parapecie i zaczął bujać nogami. Przypominał w tej chwili Murzyna z teledysku, które Gil czasem oglądał ze studentami: brakowało tylko magnetofonu na ramieniu.

— Ja księdzu coś opowiem — zaczął — może ksiądz mnie zrozumie. Z ducha, z serca jest ze mnie Etiopczyk, ale urodziłem się tam, gdzie Duvalier. Na Haiti. — Zmierzył księdza długim spojrzeniem. — Moja rodzina ewangeliczna, tym naraziła się na loa, a moje życie było piekło. Duchy są zazdrosne, proszę księdza, zresztą coś mi mówi, że ksiądz świetnie o tym wie. Mój brat wpadł do studni i złamał obie nogi. Utyka do dziś. Ojciec zachorował, oślepnął na lewe oko. Ja wyjechałem. O tak, duchy zazdrosne.

Zerknął na Iwonę. Dziewczyna skuliła się, przyłożyła dwa palce do ust, jakby chciała zapalić, a przecież Gil nigdy nie widział jej z papierosem.

— Dostałem stypendium w Etiopii. Byłem bardzo szczęśliwy, że zostawiam kraj duchów za sobą. Dostałem stypendium, poznałem nowych przyjaciół. Pragnąłem zmienić swoje życie i wstąpiłem do Tewahedo, Kościoła Etiopskiego. Myślałem, że znalazłem drugą ojczyznę, że duchy o mnie zapomniły.

Akurat, powiedziały oczy księdza Gila.

— Akurat — roześmiał się Laval. — Przez przypadek poznałem rytuał Zar. Dwa lata temu, a wciąż wydaje mi się, że zdarzyło się wczoraj. Wie ksiądz, co to takiego?

Tak, ksiądz wiedział aż za dobrze. Laval mówił do Iwony:

— Obrządek tak stary, że mało kto wie, skąd się wziął. Był na tamtych ziemiach jeszcze przed Chrystusem, jeszcze przed Allahem. Oczyszczenie człowieka ze złych duchów, z dżinów, nie wiedziałem, dokąd idę ani po co, a jak już się znalazłem w środku rytuału, wydało mi się, że znów jestem na Haiti w chacie hungana. — Przyłożył dłonie do policzków. — Były tańce opętanego i krew koguta na jego ciele. Ofiara... Tak, zostałem do końca. Potem wyjechałem z Etiopii, szukałem socjalistycznego kraju, w którym w takie bzdury jak duchy się nie wierzy — rzucił z przekąsem. — Zostawiłem przeszłość za sobą i robię wszystko, by znaleźć dom, żebym nie szukał już czwartej ojczyzny. Uczę się języka, odkąd przyjechałem, trzy godziny dziennie, i studiuję stomatologię, po to, żeby móc tu pracować.

Zeskoczył z parapetu z gracją koszykarza.

— Kiedy Duvalier wyczyniał tu te swoje tańce, byłem na Nocy Jedności Afrykańskiej w knajpie jakiejś i przyszedłem tutaj na ten — z pewnym trudem odnalazł słowo — bajzel. Nie wiem, co Duvalier zrobił, jak się dowiem, to powiem tu koleżance, a jego obję. Dawno trzeba było to zrobić. Mówię to księdzu tylko po to, żeby ksiądz wiedział, że nie jestem egoistą. Ale teraz proszę zostawić mnie w spokoju.

Gil przytaknął. Pomyślał, że gdyby przystał na rewanż, opowiedział o Rzeszowie albo Brazylii, Laval stałby się bardziej wylewny. W zamian tylko popatrzyli na siebie, ważąc nawzajem własne tajemnice.

— No tak — przyznał Gil — w pewien sposób rzeczywiście pana rozumiem.

\* \* \*

Wyszedł na korytarz, nie spodziewając się, że po raz pierwszy, odkąd pojawi się w Żaczku, zobaczy coś, co poprawi mu humor. Oto środkiem korytarza sunął chmurny porucznik Enka i mamrotał. Postawił zawadiacko kołnierz kurtki, pod pachą niósł teczkę. Na widok Gila przyspieszył.

— Nie wiem, czy nie pomyliłem sobie akademika z wariatkowem — powiedział. — Widział ksiądz doktor tych aparatów na dole? W mordę walić i patrzeć, czy równo puchną. To studenci, myśli ksiądz?

— Fantastyka — rzucił Gil. Myślami był jeszcze przy etiopskich duchach.

— Nie wiedziałem, że jest taki kierunek. — Enka zabębnił palcami w teczkę. — Ale mam te dokumenty, co ksiądz mnie prosił. I nawet ksiądz nie zgadnie, co mi się przydarzyło po drodze.

— Spadł na pana regał w archiwum — rzekł lekko ksiądz doktor. Spojrzenie Zbigniewa Enki z lekkością nie miało już nic wspólnego. Gil nagle poczuł się dziwnie. Enka wcisnął mu teczkę w dłoń, otworzył okno i uczynił to, co zawsze, kiedy się wściekał.

Papierosa trzymał w zębach, a ręce w kieszeni.

— Pal sześć, księżu doktorze, naszą wizytę w wariatkowie. Pal sześć, że archiwum na komendzie zdemolowało się samo, a ja wyszedłem na durnia. Najpierw, jak tu przyszedłem, to szarpałem się z portierem, potem musiałem ustawić dwóch takich ćpunów z półpiętra i jeszcze pogadałem sobie ze studentkami, co nie zawsze jest przyjemne.

Gil nie miał wątpliwości, chodziło o Iwonę.

— Więc teraz niech ksiądz mi wreszcie powie, kawa na ławę, bez wykrętów, nawet jeśli to trudne.

— Pan porucznik ma rację, jak zwykle. — Gil spojrzął za siebie. — To nawet bardzo trudne, ale dobrze. Możemy wyjść na zewnątrz?

A Enka nagle się zgarbił pod spojrzeniem księdza, jakby coś ciężkiego spoczęło mu na plecach. Znał te oczy, wiedział, że cokolwiek zaraz usłyszy, nie będzie to nic przyjemnego, z drugiej strony jednak czego oczekiwać po dniu, w którym półki lecą na głowę, komendą trzęsie jakieś bydło, a wszystko zaczyna się od poranka w psychiatryku? Ech, księżu doktorze.

\* \* \*

Wyszli tylko na chwilę. Wiatr dął wściekle, rozwiewając włosy tym, którzy jeszcze włosy mieli, siąpiło, a Enka nie zdołał nawet wykrzesać ognia z zapalniczki. Z Błoń uciekały przemoczone psy, drzewa zmieniły się w czarne widma na tle ciemniejszego nieba, a ludzie pędzili z postawionymi kołnierzami lub walczyli o utrzymanie parasola.

— Może jednak wrócimy do środka? — zasugerował Enka. — Albo przelecimy się o tam? — Wskazał na hotel Cracovia po drugiej stronie Błoń. — Mają tam bar, a ja kreskę w tym barze.

— Możemy wycofać się tu, pod daszek — odpowiedział ksiądz doktor. — Pan porucznik sobie zapali i pokaże mi materiały. Zdjęcia.

W oknach akademika, jedno po drugim, zapalały się światła. Pan porucznik więc sobie zapalił, wyjął pierwsze zdjęcie i pokazał Gilowi. Przedstawiało



skomplikowany symbol z sercem pośrodku, wyrysowany kredą na podłodze. Zdjęcie było podłej jakości, szczegóły ginęły, ale to starczyło, by Gilowi zabrakło oddechu.

— To veve, taki symbol, madame Brigitte, Loa, można powiedzieć bogini z panteonu voodoo. Z Haiti, ale i Luizjany — rzekł wreszcie. — Ten kult, mieszanina wierzeń afrykańskich i katolicyzmu, jest popularny w południowych Stanach. I nie tylko tam.

Enka wydobyl fotografię kolejnego symbolu.

— Rozumiem, że ten bazgroł pochodzi z tej samej bajki.

Gil wzdrygnął się na widok trumien otaczających kredowy krzyż.

— Pan porucznik ma rację. — Skinął głową. Mówił już spokojniej. — To także veve, ale barona Samedi, boga łakomstwa, śmierci i żądzy. Samedi, panie poruczniku, wygląda jak przedsiębiorca pogrzebowy, to znaczy szkielet albo starzec w taki strój odziany. — Zastukał palcem w zdjęcie. — Każdy krzyż na cmentarzu poświęcony jest właśnie jemu. Są też specjalne krzyże... Czarni śpiewają mu lubieżne pieśni w święto zmarłych, dają rum i cygara, żeby zyskać jego przychylność. To złowroga, potężna istota, ale bez jej przychylności nie może zostać przeprowadzony żaden rytuał.

— Złowroga, potężna istota w wierzeniach tych ludzi — uzupełnił ostrożnie Enka. — Mówimy o mitologii.

— Tak. O mitologii.

Urwał. Popatrzył poważnie na porucznika Enkę.

— Mam tu coś takiego jeszcze. — Enka zaciągnął się, po czym podsunął księdzu fotografię pokoju zaraz po pożarze, z zasmolonym oknem i zniszczonymi firankami. Na biurku, które Gil zapamiętał, stały damskie kosmetyki i pęknięte lustro. Enka natychmiast zorientował się, że ksiądz doktor świetnie wie, co jest grane, i że jeszcze nic nie powie. Odebrał zdjęcia i schował do teczki.

— Jeszcze do tego wrócimy.

— Od czego mam zacząć? — zapytał Gil.

Enka przygładził mokre włosy.

— Najlepiej od początku.

Uśmiechnął się krzywo.

— Od początku to nie bardzo, panie poruczniku, tyle czasu nie mamy. Ale chyba ruszę od miejsca, gdzie wszystko tak naprawdę się zaczęło. Od Rzeszowa, parę miesięcy po wprowadzeniu stanu wojennego.

Enka odsunął się, wpuszczając dwóch fantastów, strasznie przemoczonych i jeszcze straszniej pijanych. Wyglądali, jakby pchali się na przemian, jeden przeganiał drugiego i natychmiast zwalniał, opadał z sił.

— Co ksiądz tam robił? — zapytał Enka bez śladu złości.

— Byłem zaraz po studiach i po święceniach — podjął Gil. — Czasem ksiądz nie ma za dużego wyboru. Przeniesiono mnie do parafii w Rzeszowie, do księdza profesora Łuczaka. Znałem go z pierwszych lat religioznawstwa. Już poszedł na emeryturę, pisał książki o demonologii katarów, karmił ptaki i pił mnóstwo wina.

— Wino i demony — mruknął porucznik Enka i zaraz pojął, że tutaj te słowa wcale nie brzmią zabawnie.

— Byłem kimś pomiędzy wikarym a asystentem. Cieszyłem się na to, marzył mi się spokój. I rzeczywiście, żyłem przyjemnie, wino było dobre, Łuczak robił je chyba na galony, siedzieliśmy wieczorami, pijąc i mówiąc o diable. Ksiądz profesor bardzo zmienił się od czasu, kiedy chodziłem na jego wykłady. Posiwiął, pobladł, wyglądał na zmęczonego, no i raz wypił odrobinę za dużo i opowiedział mi, czym tak się zmęczył, że aż musiał odpoczywać na końcu świata. Był pan w Rzeszowie? To rzeczywiście koniec świata, panie poruczniku.

— Bardzo prawdopodobne — przyznał Enka. — Co dalej?

— Łuczak był misjonarzem i egzorcystą. Dzisiaj, jak czarny student z pokoju Duvaliera opowiadał mi o rytuałach Zar, to się przeraziłem. Chodzi o religię opętania z Czarnego Łądu, a Łuczak był w Afryce na misjach, tam się z tym zetknął. — Gil skubał się za policzek. — Pan porucznik nawet się nie domyśla, co to takiego. Spotkał trudny przypadek opętania, rodzeństwo, dwóch braci i siostra, przeprowadził egzorcyzmy, które nie do końca wyszły — wykrzywił się — dziewczyna zapadła w śpiączkę. Kłopot w tym, że Łuczak działał za plecami biskupa, do biskupa to doszło i biskup się wściekł.

— Stąd Rzeszów, rozumiem.

— Łuczak jest starym człowiekiem — dopowiedział Gil.

Za drzwiami mignęła twarz pana Jумы, opętana ciekawością. Enka posłał mu takie spojrzenie, że portier zniknął w kantorku, niemal potykając się o próg.

— Egzorcysta to szczególny rodzaj powołania, a ja byłem młodym człowiekiem. Bardzo naiwnym, pan powie — opowiadał Gil. — A kiedy Łuczak powiedział, że widzi we mnie iskrę, tę samą, którą pół wieku temu rozpoznał u siebie, to pan porucznik rozumie... — Uniósł dłonie, oczy mu błyszczały. — Co to była za szansa, walczyć ze złem, takim prawdziwym, osobowym, kopnąć diabła w tyłek, uratować kogoś, tak myślałem i myślałem jeszcze, że to będzie prawdziwa przygoda. Uczył mnie.

Porucznikowi Ence przyszedł na myśl stary mafioso, przekazujący komuś młodemu z Rodziny wszystkie jej tajemnice, i zaraz wysnuł teorię, że pomiędzy Cosa Nostra a Kościołem Katolickim jest więcej podobieństw, niż zdaje się frajerom rzucającym co tydzień na tacę. Nie podzielił się jednak z Gilem tą mądrością i słuchał.

— Dużo mi opowiadał. Bardzo dużo. Był zmęczony, ale w pewien sposób pełen sił. Nigdy tego nie powiedział, ale wiedziałem świetnie, czego najbardziej się obawia, że będzie musiał, już jako stary człowiek, zmierzyć się z diabłem raz jeszcze.

Porucznik Enka popatrzył na Gila wzrokiem pełnym współczucia, no, może nie pełnym, ale trochę współczucia tam było.

— Jak znam życie, to jego obawy się spełniły — powiedział. — Inaczej nie byłoby tej historii.

Gil wyciągnął rękę, jakby chciał wyrwać Ence resztkę papierosa spomiędzy palców.

— Dziewięcioro młodych ludzi, uczniów, studentów pierwszych lat, z ruchu Światło-Życie, wie pan, oaza, przyjęło na siebie demony. Wierzyli, że w ten sposób odciążą innych. Mieliśmy stan wojenny, oni byli młodzi, zdawało im się, że cała Polska jest pod szatańskim wpływem, diabły dręczą ludzi i oni chcieli ludziom pomóc. Przyjęli demony na siebie. Nie wiedzieli, co robią. Działo się to w Rzeszowie, cała dziewiątka przychodziła na parafię, do salek katechetycznych, rozmawiałem z nimi, nie przypuszczałem, nigdy nie przypuszczałbym...

Spuścił głowę. Oczy błyszczały mu dziwnie, odbijał się w nich deszcz i neon na hotelu.

— Co dalej?

Ksiądz doktor wzruszył ramionami. Milczał tak długo, że Enka zdążył wyrzucić papierosa i zapalić kolejnego. Gil zadrżał, nie wiadomo czy z zimna.

— No co dalej, były egzorcyzmy, Łuczak, ja i jeszcze kilku księży. Opętanych było ośmioro, bo jedna dziewczyna, najmłodsza, nie wytrzymała i powiesiła się w domu. Robiliśmy to, egzorcyzmy znaczy — mówił o tym jakby było to coś obcego — przez półtora miesiąca, dzień w dzień, w takiej katechetycznej salce z blachy, zimno tam było, panie poruczniku, tak strasznie zimno. Łuczak dostał w końcu zawału. Trzy osoby zmarły. Troje z tych młodych ludzi. Przetracony kark, panie poruczniku, proszę, niech pan już o to nie pyta.

Papieros znieruchomiał w połowie drogi do ust. Spojrzenie porucznika było pełne pytań: co z resztą tych młodych, czy biskup wiedział tym razem, Łuczak umarł tam, czy może jeszcze żyje? Milczał jednak.

— Potem biskup Rurak zabrał mnie z powrotem do Krakowa — kontynuował Gil, wykonując dziwne ruchy, jakby próbował owinąć się w swoje własne ręce. — To mądry człowiek, wiedział, co przeszedłem, a jak nie wiedział, to się domyślił. Byłem przy nim, w kurii i pisałem doktorat na Papieskiej Akademii Teologicznej. Nawet jakoś szło, trzymałem się sam nie wiem czego, nie mogłem spać, miałem koszmary. Rurak to dostrzegł i zaproponował mi wyjazd. Do Osaki. Dalej od Rzeszowa już chyba nie ma.

Czoło porucznika Enki pofałdowało się gwałtownie, znać, że zastanawiał się, gdzie właściwie leży Osaka.

— Rurak tam pojechał wykładać historię chrześcijaństwa i zabrał mnie ze sobą. Ale w tej Osace mi nie szło, ksiądz biskup zachorował, musiał wracać. To obcy kraj, czułem się wygnany. I kiedy pojawiła się szansa zamiany Osaki na Brazylię, nie wahałem się ani chwili.

— W Rio podobno jest przyjemnie — zauważył Enka.

— Da pan spokój, panie poruczniku, żadne Rio tylko dziura zabita dechami. Ale na początku było mi dobrze, pracy było tyle, że nie miałem kiedy babrać się we wspomnieniach. Jedzenie pyszne. Dużo pracy przy parafii, co dwa tygodnie jeździłem do stolicy, do São Paulo, do profesora Soraesa, doktorat posuwał się naprzód. Zaczynałem wierzyć, że w życiu rzeczywiście zawsze jest czas na nowe rozdział. — Zamilkł, wciągnął powietrze. — Wie pan porucznik, co to takiego candomble?

Wystarczyło zerknąć na Enkę, by pojąć, że słyszy to słowo po raz pierwszy. Stał oparty o ścianę, z teczką pod pachą, papierosem w ustach i marszczył brwi.

— Candomble to religia opętania, rozpowszechniona w Brazylii. Dlatego księża tam jeżdżą, także dlatego. Świat candomble jest pełen duchów, utożsamianych najczęściej z siłami przyrody, a przedstawionych pod postacią naszych świętych, z którymi, pan porucznik uwierzy, nie mają za wiele wspólnego. Do krzyża, który czczą, naprawdę nie warto się modlić. To religia zrodzona z biedy i ucisku, afrykańska siła przeniesiona do Ameryki Południowej. Niewolnicy to przynieśli. — Głos Gila zyskał na mocy. — Odprawiają dziwną mszę, połączoną z ucztą, podczas której duchy wchodzą w ludzi.

— Jak miło — uśmiechnął się porucznik Enka. — Byłem na wakacjach w Jugosławii z taką jedną przemiłą panią i właśnie tam oglądałem film o tym, amerykański, ale właśnie o tym to było. A ta dziewczyna cud miód, starsza ode mnie, ale wystrzałowa. W modzie pracowała.

Wzrok księdza doktora sprawił, że Enka zamknął się natychmiast.

— Niech pan słucha, bo to ważne. Rytuał opętania dokonuje się w obecności kapłana kultu i tylko kapłan może przeprowadzić ceremonię do szczęśliwego, że

tak się wyrażę, końca. U nas ludzie marli jak muchy, jeden z opętanych zabił egzorcystę. Pojawił się kapłan candomble, czarni lubią załatwiać swoje sprawy samemu. Ten kapłan, stary i doświadczony, zabrał opętanych do *casas*, rodzaju domu i świątyni, żeby dokończyć sprawę — westchnął. — Kapłan dostał zawału, a duchy opętały wszystkich, którzy byli w pobliżu. Zmarł człowiek, ledwo po trzydziestce, zostawił żonę, dwoje dzieci.

— To bardzo przykre, ale znów nie rozumiem, co ksiądz doktor ma z tym wspólnego.

Gil spuścił głowę.

— Nie chciałem zgodzić się na rytuał. Położyłem tamę, nie po Rzeszowie. Ja wierzę w Boga, panie poruczniku, choć to może dziwne jak na księdza — dodał z wymuszona ironią. — Nie chciałem dopuścić, żeby w mojej parafii doszło do diabelskiej ceremonii. Nim zmieniłem zdanie, tamten człowiek już nie żył. Stało się to, nim zawiadomiłem biskupa, nim dostałem zgodę na egzorcyzmy.

Porucznik Enka zbliżył się do księdza.

— Współczuję szczerze, to naprawdę przykre — rzekł chłodno. — Ale co, jak, do cholery, te wszystkie historie mają do naszej sprawy? Gdzie Haiti, gdzie São Paulo, wreszcie gdzie Rzeszów i ta dziewczyna w Kobierzynie? — Przyjrzał się Gilowi, głos mu zmiękł. — Nic z tego nie łapię. To nie czwartek z kryminałem. Ściemnia się, a ja nic nie wiem.

Zabrzmiał jakiś hałas – pojawili się gnani deszczem fantaści, niosąc swojego ulubieńca. Najwyraźniej wracali z baru. Ten wciąż przemawiał z wielkim zapałem, unosząc rękę ku niebu, za to ci, co go nieśli, wyglądali na co najmniej sponiewieranych. Postawili go przed wejściem, weszli gęsiego, nie patrząc na Gila i Enkę.

Ksiądz doktor wskazał na teczkę ze zdjęciami.

— Pan porucznik naprawdę myśli, że kosmetyki i lustro wzięły się stąd, że Duvalier próbował Aśce urządzić kącik do makijażu? A znaki na podłodze to ze szczerzej chęci podgrzania atmosfery?

Bezbrzeżnie durna mina Enki wskazywała, że owszem, tak właśnie myślał.

— Widziałem opętania w Brazylii i Rzeszowie, byłem w świątyniach candomble i w świątyni voodoo – hunforze. Umiem rozpoznać opętanego i dlatego wiem, co przydarzyło się Asi.

— Kurwa mać — skwitował Enka. Oczekiwał, że Gil jeszcze coś powie, ale zapadło kłopotliwe milczenie. Słyszeli tylko deszcz, szum samochodów, odgłosy zabawy. Enka znów zapalił.

— W takim razie, kto? Szatan? Duch z Haiti? Kto? No bez jaj!

— O loa pan porucznik pewno także nie słyszał — ksiądz doktor spróbował się odprężyć, uderzył w ton wykładowcy. — Loa to duch lub bóstwo w panteonie voodoo, serce tej dziwnej religii. Ujawnia się właśnie poprzez opętanie.

Porucznik Enka przymknął oczy. Minę miał, jakby właśnie oberwał pięścią w brzuch.

— Dużo jest tych duchów?

— Zatrzęsienie. O baronie Samedi już panu powiedziałem. Jego jaśniejszą, choć wciąż złowrogą stroną jest Ghebe, złośliwiec, który często przychodzi nieproszony podczas rytuału. Trzeba go wówczas nakarmić, panie poruczniku, Ghebe wprost uwielbia jeść. Jest jeszcze Erzulie, bogini miłości, czczona pod postacią Matki Boskiej, przyjaciółka prostytutek i kobiet wyzwolonych seksualnie, czyli w pewien sposób panu porucznikowi znajoma — wysilił się na żart i Enka nie byłby sobą, gdyby tego nie docenił. Więc zarechotał. Prawie szczerze.

— Aby zyskać przychylność Erzulie, wyznawcy dają jej kosmetyki, stroje, ciastka, szampana. Już pan porucznik rozumie? Jej mrocznym aspektem jest Dantor, mścicielka kobiet skrzywdzonych przez brutalnych mężów. Jest jeszcze Ogun, bóg wojny, jest Papa Legbe, władca rozdroży, który umożliwia kontakt ze światem zmarłych. Jego veve to klucz. Jest... — chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zamilkł.

— Ja studiowałem prawo — przypomniał porucznik Enka, przybierając pozę człowieka konkretnego.

Gil podrapał się w czubek głowy, dokładnie w miejsce, gdzie jeszcze rok temu rosły mu włosy. Rzekł w żołnierskich, a raczej milicyjnych słowach:

— Aśka jest opętana. Gdyby stało się to na Haiti, problem byłby mniejszy. Miejscowi znają się na rzeczy, mają całe struktury, kapłanów, świątynie. Kłopot w tym, kochany panie poruczniku, że mamy haitańskie opętanie w Polsce, do tego sprowokowane przez jakiegoś półgłówka, i musimy poradzić sobie sami. Niech pan sobie wyobrazi, że stoi pan w środku Harlemu, nie znając nikogo, nie mając pojęcia o przepisach w Ameryce, i musi pan złapać króla miejscowego gangu.

Porucznikowi Ence opadły ręce. Dosłownie, barki osunęły się gwałtownie, wolna dłoń trąciła kolano. Wyprostował się z trudem. Zapalił.

— Co w takim razie ksiądz zamierza? Nie mogę powiedzieć, że rozumiem, ale na pewno wyczuwam, jakie to dla księdza trudne — powiedział. — Ale po cholere ja w tym wszystkim? Za rękę mam potrzytać?

Gil zerknął w stronę akademika.

— Znajdzie pan Duvaliera — oznajmił.

O dziwo, Enka nie protestował. Potulnie pokiwał głową. Nie odrywał wzroku od zarzającej się końcówki camela, gasnącej gwiazdy w jego dłoni.

— No znajdę. I co?

— Mówiłem panu porucznikowi. Rytuał trzeba dokończyć, a to może zrobić tylko kapłan. Duvalier, niech mi Bóg wybaczy, to wyjątkowy matoł, ale zaczął, to musi skończyć. Poza tym... — poprawił okulary — wydaje mi się, że Duvalier próbował przywołać Erzulie, boginię miłości, co niezbyt mu wyszło. Zamiast niej zjawił się Ghebe, którego Duvalier nie zdołał odesłać. Czasem tak się dzieje. W mojej opinii Duvalier ledwo orientował się w voodoo, podpatrzył rytuał u siebie, spróbował powtórzyć i zwyczajnie Aśkę skrzywdził. Bardziej, niż chciał skrzywdzić, panie poruczniku.

Enka, który słyszał to i owo o powodzeniu, jakim cieszą się czarni studenci u koleżanek w Polsce, pomyślał, że Duvalier musi być nie tylko durniem, ale i wyjątkowym ćwokiem, skoro podrywając, przywołuje demony.

— I zaufa mu ksiądz? — zapytał.

— A ma pan porucznik inny pomysł? Może trzymacie jakiegoś hugana na komendzie? — syknął Gil, lecz pojął, że Enka nie ma pojęcia, kto to taki ten hugan, i dodał, już cieplej — mam na myśli kapłana voodoo, kochany panie poruczniku.

Bezczelny, niemal chłopięcy uśmiech wypłynął na twarz Zbigniewa Enki.

— Dobra, wchodzę w to. Półki na łeb nie lecą bez powodu. — Klepnął brutalnie księdza doktora. — Tylko jeszcze proszę powiedzieć: jak już wyciągnę tego miglanca z jakiejś dziury, to co z nim zrobimy?

— Powiem panu, że mam pomysł, gdzie ta dziura się znajduje — odrzekł Gil. — Ale co będzie potem, pan wybaczy, zwyczajnie nie przejdzie mi przez gardło. Proszę, panie poruczniku — głos mu zmięknął — o jeszcze odrobinę zaufania.

Wypowiedział ostatnie słowo i zamilkł w przekonaniu, że na całym świecie tylko dwie rzeczy są pewne: miłosierdzie Boskie i to, że Enka zaraz się wścieknie. Ale Enka popatrzył na niego z całą wyrozumiałością, jaką zdołał z siebie wykrzesać, uśmiechnął się znowu, tym razem kwaśno, i powiedział:

— Może to i lepiej.

Gila przeszedł dreszcz.

— Niech ksiądz doktor idzie do środka. Ja poczekam chwilę. Dopalę, pomyślę — poprosił Enka i ksiądz doktor niemal zgiął się w ukłonie. Już miał zniknąć za drzwiami, gdy w gęstniejącym deszczu usłyszał głos Enki:

— Ej! Księżę doktorze!

Andrzej Gil odwrócił głowę. Widział tylko cień przyjaciela.

— Skąd ksiądz doktor wiedział, że półki na mnie pospadały?

— Jak pisałem ten doktorat, półki waliły się na mnie bez końca — odparł, udając rozbawienie. — Maszyna elektryczna zapaliła mi się sama z siebie. Książki, te, których szukałem w bibliotece, same spadały i waliły mnie w głowę. Widzi pan, panie poruczniku, Hiszpanie mówią, że niektórych książek nie można otworzyć bezkarnie. Widocznie z aktami policyjnymi jest dokładnie tak samo!

Odwrócił się i odszedł. Enka obserwował jego drobną sylwetkę, o wąskich ramionach, z bezradnie opuszczonymi dłońmi, jak wkracza w słabe, sztuczne światło, wędruje w głąb akademika i niknie za rogiem. Zaciągnął się jeszcze dwa razy i zgniótł camela butem.

— Dokładnie tak samo — powtórzył i poszedł za księdzem.

\* \* \*

Dziwny był to akademik tą wieczorną porą – listopadowy klosz na młodość, spowity deszczem i krakowskim smrodem. Studenci skryli się w swych pokojach, zagrzebani w książkach i butelkach i otuleni w blade, głodne ciała współlokatorów, współlokaterek i osób przypadkowych. Zepchnięci przez żywioł fantastyczny wycofali się w wino i miłość, zza drzwi dochodziły szepty i jęki. Ktoś wrzeszczał pijany, ktoś inny wył znowu, by tamten się zamknął.

Porucznik Enka nie mógł nadażyć za księdzem doktorem. Ledwo ten mignął, to już znikał za zakrętem. Enka przyspieszał, chciał wołać, prosić, by Gil zwolnił, ale jakoś nie mógł wydobyć z siebie dźwięku. Za to zyskał niechcianego towarzysza. Pan Juma akurat ustąpił miejsca zmiennikowi, ale za żadne skarby Żaczka nie chciał opuścić. Poszedł za Enką, konkretnie krok za nim. Burczał, jęczał i przeszkadzał.

— Ja przepraszam, panie poruczniku, gdybym wiedział, kim pan jest, to na pewno nie robiłbym panu kłopotu przy wejściu, pan porucznik rozumie najlepiej, tutaj różni ludzie się kręcą, ja muszę czuwać nad tym wszystkim i chyba pan porucznik pojmie, doceni prostego człowieka i jego proste obowiązki.

O tak, doceniam, ożeż twoja mać, jak ja cię zaraz docenię, wprost prosisz się o docenienie, człowieku prosty jak prawy prosty, zamknijże się wreszcie, myślał porucznik Enka. Przyspieszył, lecz pan Juma był nieugięty.

— Ci znów przyjechali, już się kochanemu księdzu pożaliłem. Prośli o klucze do piwnicy przed chwilą, bo chcieli tam zrobić jakiś Mołdor czy coś takiego, ja nie wiem, co to jest, czekam, aż będą chcieli klucze na dach, żeby wypatrywać statku z Saturna. Ja bym im dał, gdybym uwierzył, że nie pospadają na swoje głupie łby. Niech lecą w kosmos, kochany panie, niech spierdalają.



Spierdalanie to słowo akurat na tę chwilę, powiedział Enka w swej milicyjnej duszy.

— Najgorsze, że musiałem dać im klucze od sali telewizyjnej, mówiłem, że nie, ale kazali. Magnetowid wzięli, oglądają te swoje bzdury, a ja drzę, że oni coś tam robią. Studentów już chyba wypłoszyli, jeśli nie liczyć tych najgorszego sortu. Właśnie, sala telewizyjna, pan oficer tam teraz idzie, prawda? To niedaleko. Takie zadbane tu wszystko było.

Enka zrozumiał, że dłużej już tak nie pociągnie. Staął, pan Juma zrobił jeszcze krok, zrównali się. Enka już zaciskał pięści, już chciał powiedzieć coś straszliwego, gdy spojrzał na dłonie portiera, uniesione dokładnie na wysokości oczu. Co to były za palce! Każdy rozmiaru gazurki, włochaty i siny niczym topielec, do tego ogromny, wręcz spotworniały w swej nadętej miękkości. Paznokcie, niemal bordowe, z grubym paskiem brudu, miały grubość szkła od butelki wina, taką też przejrzystość, do tego wyginały się cudnie, zachodząc głęboko na opuszki. Enka nie potrafił oderwać wzroku od tych dłoni, chłonał kształt, kolor, jego nasycenie, i nagle złość z niego uszła, jakby wygnana przez niezwykle zjawisko, prawdziwy cud natury wieńczący drobne nadgarstki pana Jumy. Takie palce stworzono do unoszenia studzienek kanalizacyjnych, zakręcania zaworów i śrub ogromnych, zaprawdę, Bóg je uczynił dokładnie w tej chwili co lewarek i klucz francuski. Więc Enka się roześmiał.

I nie powiedział nic.

Pan Juma miał rację – fantaści władali salą telewizyjną prawdziwie i niepodzielnie. Przynajmniej kilkudziesięciu tłoczyło się na krzesłach, podejmując mniej lub bardziej zażarte zmagania o zachowanie pionu. Inni toczyli dyskusje, gniotąc się pod ścianą i na parapetach. Oczy płonęły, dłonie śmigwały w powietrzu. Enka niemal wpadł na księdza Gila, który stał w progu i gapił się w telewizor Rubin podłączony do magnetowidu wielkości walizki podróźnej.

— Cześć — rzekł porucznik Enka.

Gil obrócił ku niemu zmartwiałe spojrzenie i w pierwszym odruchu Enka pomyślał, że poczciwy ksiądz doktor boi się wkroczyć w tę zgraję popaprańców upojonych tanim alkoholem. Gil jednak gapił się w ekran, na bardzo brzydką dziewczynkę siedzącą na łóżku w ciemnym pokoju. Jej głowa właśnie obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni.

— Co jest? — zagadnął Enka. Gil odwrócił się, by coś odpowiedzieć, lecz nie zdążył. Przed nim wyrósł długowłosy młodzieniec w okularach. Łysiał dość potężnie mimo młodego wieku.

— Jestem ojciec Damien Karras. A ty? — zapytał, urżnięty w pesteczkę.

Gil nie odpowiedział. Po prostu go odepchnął, lekko, lecz stanowczo. Długowłose wyraźnie stęzał w sobie, być może nawet szykował się do bitki. Enka już parł naprzód, lecz okazało się, że niepotrzebnie. Gil naprężył chude ciało, uniósł lekko pięści. Enka nie widział jego oczu, lecz coś musiało w nich błysnąć, bo długowłose wycofał się bez słowa.

— Musimy się w to pakować? — zastanawiał się Enka. — Gdzie, do cholery, jest ta mała nijaka?

— Siedzi na górze i nie zamierza iść — oznajmił Gil zupełnie nie po księżowsku. — Tego Duvaliera nie cierpi jak psa.

— Świetnie ją rozumiem. — Enka odwrócił się do pana Jumy. — Czy może pan wie...

Pan Juma pozostawał zajęty czymś innym. Dostrzegł bowiem grupę młodych ludzi, którzy zupełnie nie radzili sobie z butelkami. Próba otworzenia piwa o parapet zawiodła, piana polała się na podłogę. Juma omal rękawów nie zakasał, podbiegł, zaczął się drzeć, że co to za porządek, że wszystkich na pysk wypierdoli, bo Uniwersytet Jagielloński nie po to powstał pięćset lat temu, żeby teraz ludzie roznosili akademik w pył. Na te słowa uniósł się człowiek podobny do wokalisty grupy Queen i z wojskowych spodni wydobył półlitrowkę.

— To może pan nam pokaże, jak trzeba otworzyć? — zapytał grzecznie, a nawet z uśmiechem.

Gdyby w tej chwili, w sali telewizyjnej akademika Żaczek stanął sam Szekspir, nie zdołałby odmalować walki toczącej się na twarzy pana Jumy. Oczy zasnuł dym, żyła na czole pulsowała niczym linia frontu, zęby biły o siebie jak pałeczka o bęben dobosza. Jeszcze walczył, jeszcze się zmagał, gdy podniosła się rudowłosa.

— No, proszę pana. Bez pana naprawdę nie zdołamy tego otworzyć.

I sina dłoń pana Jumy ujęła flaszkę za szyję, i łokieć uderzył z drugiej strony, nakrętka zginęła w ogromnych palcach, zaraz, po czym poleciała precz. Pan Juma usiadł, chwycił kieliszek, polał, puścił wódkę w świat.

Gil z Enką poszli dalej, a siedzący pod ścianą gwałtownie podciągali stopy. W przejściu walczący o resztki przytomności facet o wyglądzie młodego polonisty, ten sam, który wcześniej niósł przemawiającego „proroka”, teraz musiał słuchać orędzia pękatego faceta z wąsami. Chwiał się, przymykał oczy, a wąsacz mówił:

— Jeśli zaś chodzi o świętego Tomasza, pobłądził on w kwestii fundamentalnej, czyli w wolności, którą ujął w Bogu, jako logos, poza wpływem którego można co najwyżej zbłądzić. Ale można ten pomysł ocalić, przyjmując, że jedynie w Bogu człowiek jest władny dokonywać wielkich rzeczy. Lub do Boga się odnosząc. Mówię o sztuce. Otóż, im bliżej Boga, tym wolność staje się jaśniejsza i czystsza...

— Ja pierdolę — rzekł porucznik Enka.  
Ksiądz doktor spojrzał na niego ze zrozumieniem.

\* \* \*

— Co to takiego ten Nowy Świat? — chciał wiedzieć porucznik Enka.

— Afryka — odparł ksiądz doktor Gil.

Wspinali się po schodach na ostatnie piętro. Enka uważał, że to ksiądz powinien wpaść na pomysł, by skorzystać z windy, a Gil sądził dokładnie na odwrót.

— Można jaśniej?

— To tylko kilka pokoi na ostatnim piętrze, kochany panie poruczniku. Na uniwersytecie studiuje sporo studentów z wymiany, z Ameryki Południowej, Kenii, Nigerii...

— Haiti — dopowiedział Enka.

— No, Haiti. To nie tak, że oni jakoś się zżyli przez swoją odmienność, po prostu trochę izolują się od reszty studentów. Myślę, że tęsknią za miejscami, z których przyjechali. Próbują coś zachować, jakąś namiastkę. Tęsknią, jak mówię.

Mina Enki wskazywała, że nie bardzo rozumie, jak można tęsknić za Nigerią.

— Duvalier tam mieszkał?

Gil pokręcił głową.

— Nie wszyscy tam siedzą. Ten człowiek, z którym rozmawiałem, Laval, staje na głowie, żeby wżyć się w nasz kraj. A Duvalier, jak już panu mówiłem, nie ma najlepszej opinii.

— No wiem — sapnął Enka. — Dzieciorób pieprzony.

Ksiądz Gil zaczął się zastanawiać, co tak naprawdę Enka wykona, jak już dotrą do Haitańczyka.

— Nie tylko o dzieci chodzi. Duvalier pije i bywa agresywny. To też nie jest najważniejsze. Widzi pan, każdy gdzieś przynależy. U Czarnych to szczególnie ważne. Laval na przykład chce osiedlić się w Polsce, ale uważa się za Etiopczyka, wyznaje religię z Etiopii. Inni mają podobnie. Wyjechali, ale przyznają się do swojego dziedzictwa. Duvalier jest synem haitańskiego komunisty, bezpaństwowcem, który odrzucił miejsce, z jakiego przyszedł. — Chrząknął. — Co gorsza wybiera sobie strzępy ze swojej kultury, te najbardziej niebezpieczne, i używa dla swoich małych celów. Czy gdyby wierzył pan w Boga, panie poruczniku, to chciałby pan, żeby ktoś bawił się w udzielanie komunii na imprezie chlebem zanurzonym w wódce?

— Ja tam nie wiem, księżu doktorze. Mam dość powodów, żeby nie lubić pana Duvaliera. Daleko to jeszcze? — zapytał zadyszany.

— Powinien pan przestać palić — poradził Gil. — Mogę panu powiedzieć jeszcze jedną historię, która rzuci pewne światło na umysłowość Duvaliera. Iwona mi to opowiedziała. On chła jak smok, robi się agresywny po tym, oczywiście na swój sposób. Łaził na przykład, kompletnie urżnięty, po ludziach...

— Czarnych? — sapnął Enka. Zwolnili trochę.

— Czarnych, Polakach. Próbował się z Polakami przyjaźnić, ale jak popił, to mu nie wychodziło. Pijany chodził od człowieka do człowieka, wskazywał palcem i mówił: „Umrzesz za trzy dni!” albo „Duchy cię pożrą!”.

— Jak miło.

— Nikt się specjalnie nim nie przejmował, przynajmniej dopóki nie dobierał się chłopakom do koleżanek. Aż kiedyś, w pełnej sali telewizyjnej, przepowiedział rychłą śmierć dwóm studentom historii. Traf chciał, że jeszcze w tym samym tygodniu ochlali się metanolem i zmarli. — Gil popatrzył poważnie na porucznika. — Duvalier cudem uniknął linczu. Biali od tego czasu go nienawidzą, a inni Czarni to już w ogóle.

Enka kiwnął głową. Wspinali się po schodach. Poczul zapach, którego nie znał, delikatny, korzenny. Dobiegał z góry.

— Znam kilku czarnych studentów, a słyszałem o wielu — przypomniał ksiądz doktor. — To bardzo pracowici, inteligentni, porządni ludzie. A niechęć do Duvaliera przełożyła się na ogólną niechęć do czarnych studentów w Żaczku, zupełnie niezasłużenie. Dlatego trzymają ze sobą. Stąd Nowy Świat.

— I co? Wzięli go teraz do siebie? Jakbym był Duvalierem, zwiewałbym, gdzie pieprz rośnie.

— Nie wzięli. Nie sędzę. Ale Nowy Świat to najlepsze miejsce, aby o niego zapytać.

Nareszcie dotarli na ostatnie piętro. Nowy Świat okazał się mały – ot, cztery pokoje, po dwa naprzeciw siebie, kuchnia, toaleta, wszystko wciśnięte w sam koniec korytarza. Zarazem Enka odniósł wrażenie, że przeszedł przez króliczą norę albo oberwał po głowie magiczną pałką milicyjną i teraz jest w zupełnie innej rzeczywistości, gdzie nie ma Krakowa, Cepelii, komendy z okrągłutkim Grulą, koniaków i chętnych kobiet. Nawet zapach był inny – to, co czuł już na schodach, powróciło ze zwielokrotnioną siłą. Pachniało płonącym drzewem i korzeniami, oliwą, hebanem, ciepłym lasem... Tak, na tym piętrze było cieplej niż niżej.

Na ścianach wisiały naręcza drewnianych koralii, maty, dziwaczne pióra, ogromne maski o skośnych oczach, z ustami rozchyłonymi szeroko, jakby coś

wypluwały. Były też gobeliny przedstawiające antylopy zastygłe w biegu, przyczajonego lwa, ptaka wzbijającego się z sawanny. Ktoś wyrysował dym. Drzwi pomalowano w szlaczki i kwadraty, całe konstelacje kropek, w których można by zatonać. Z pobliskiej kuchni dochodził ostry zapach, szła para, brzmiał brzęk pokrywek. Polskie potrawy tak nie pachną, nie tak intensywnie.

Większość pokoi była otwarta. Ktoś grał na fujarce, cichuteńko, widać, że tylko dla siebie lub kwilącego dzieciaczka. Ściany i podłoga zdawały się wibrować melodią. Ktoś znów śpiewał, już głośniej, bardzo rytmicznie i ku niebu, z jakimś dziwacznym żalem, że coś musi przeminąć: zwierzę umiera, piersi ukochanej zaczynają zwisać. A zarazem, gdy tylko Enka zerknął w otwarte drzwi, dostrzegł normalne, studenckie życie – pranie na sznurku rozciągniętym od ściany do ściany, półkę z kasetami, prześliczną studentkę o ciemnobrązowej skórze, z nosem wciśniętym w książkę Kępińskiego. Obok, na taborecie, stała miska ozdobiona węzowym napisem „SPOŁEM”; parowała z niej aromatyczna, ryżowa papka.

Dziewczyna uniosła głowę. Twarz miała surową, niby skradzioną ze starożytnej statuetki: pełne usta, wydatne kości policzkowe, ogromne oczy – no prześliczna, Enka przejechał wzrokiem niżej, po paskudnie rozciągniętym golfie i batikowej spódnicy, kolorowej jak Afryka na mapie. Dziewczyna odpowiedziała mu takim spojrzeniem, że natychmiast odwrócił głowę.

Czarnych było kilkunastu. Krążyli nieustannie między pokojami, wpadali do kuchni, mówili między sobą po francusku lub w narzeczach, których Enka nie rozumiał, Gil też nie, a przynajmniej nie chciał się przyznać. Niektórzy byli ciemni i drobni, inni potężni, wielcy niczym koszykarze. Gil i Enka próbowali nie patrzeć na siebie nawzajem – byli obcy, wkraczali na grandę do Nowego Świata.

Z otwartych drzwi wychynał, właściwie wysliznął się szczupły chłopak w dżinsowej koszuli i spodniach tak zwiewnych, że przypominały spódnicę. Niósł brudnokremową tackę, zapewne podprowadzoną z jakiejś jadłodajni. Dymiły się na niej cztery niezgrabne kule mięsa, korytarz wypełnił ostry zapach curry. Student, dostrzegłszy Gila i Enkę zwolnił, popatrzył spode łba i zniknął w drzwiach naprzeciwno. Powitały go zadowolone głosy, zabrzęczały sztućce.

Murzyn w okularach i nieskazitelnym szarym garniturze dyskutował zawzięcie z ciemniejszym kolegą w dżinsach, luźnej, błyszczącej koszuli po kolana i obcisłej czapce naciągniętej na uszy. Ich rozmowie przysłuchiwała się niska dziewczyna o włosach tak gęstych, że sprawiały wrażenie jednej bryły. Nosiała sandały, zwykłą spódnicę i wielobarwną, grubą bluzkę. Korytarzem popędził akurat drobny chłopak o hebanowej skórze bez jednego włoska, w prawdziwie afrykańskich, batikowych spodniach i przepoczonej koszulce z czerwonym napisem CARO. Oczy wszystkich zwróciły się na Gila i Enkę.

— Dzień dobry — rzekł porucznik Enka.

Odpowiedziało mu milczenie. Popatrzyli po sobie i zorientowali się, że stoją między studentami, w gęstej kuli egzotycznych woni, w czarnym sercu Nowego Świata. Enka zrobił dziwaczny gest, jakby chciał, wzorem amerykańskich kolegów, poszukać broni wciśniętej za pasek od spodni. Gil tylko westchnął. W otwartych drzwiach stanął mężczyzna ogromny nawet jak na Murzyna – prawie musiał się schylać, przekraczając próg. Taki facet mógłby gołymi dłońmi wyrywać rogi wściekłym nosorożcom. Skórę miał jaśniejszą od pozostałych; nosił spodnie w kant i biały podkoszulek, stopy grzały mu skórzane pantofle. Popatrzył na Gila i Enkę.

— Dzień dobry — odparł, bez śladu obcego akcentu, więcej, w jego głosie dźwięczało ze sto lat mowy polskiego inteligenta: okrągłe głoski spływały w miękkie słowa.

Enka, który zawsze miał kłopoty z rozróżnianiem Murzynów, zastanawiał się gorączkowo, ile lat może mieć ten olbrzym – z wyglądu ledwo przekroczył dwudziestkę, ale miał oczy dojrzałego faceta, poruszał się pewnym krokiem i takim właśnie zbliżył się do pana porucznika.

— Nazywam się Andrzej Gil — powiedział Gil, gładząc miejsce po koloratce. — Jestem księdzem. A to mój przyjaciel, porucznik milicji Zbigniew Enka.

Jeśli olbrzym nawet się zdziwił, to nie dał tego po sobie poznać. Enka skłonił się lekko.

— Adam Mbeke — przedstawił się Murzyn. Uścisnęli sobie dłonie, a Enka pomyślał, że gdyby Mbeke mu choć raz przywalił, nie byłoby czego zbierać.

— Nieczęsto miewamy tu gości, zwłaszcza tak szczególnych — rzekł Mbeke, nie siląc się na ironię. — Aż czuję, że powinienem zapytać, co skłoniło panów do wycieczki aż na ostatnie piętro? Chociaż — zmarszczył czoło — księdza już parę razy w Żaczku widziałem.

— Jestem duszpasterzem akademickim — wyskamlął Gil. Mbeke przesłaniał mu pół korytarza, widział jednak, że Murzyni powoli wycofują się do swoich pokoi. Brzmiał odgłos zamykanych drzwi.

— Urodziłem się tutaj, mój ojciec był Sudańczykiem, matka Polką, w domu mówiliśmy po polsku — wyjaśnił Adam Mbeke, widząc ich zdziwienie. — Pojechaliliśmy do Afryki, jak miałem dziesięć lat. Mama już nie żyje, a ja wróciłem na studia. — Zrobił pauzę. — Więc jeszcze raz, skoro już coś o sobie wiemy: co panów tutaj sprowadza? Panowie tak zawsze spacerują sobie razem?

Zdecydowanie za często, pomyślał porucznik Enka. Jeden czekał, aż odezwie się drugi, i Gil wyrwał się pierwszy, po długiej chwili milczenia:

— Przyszliśmy zapytać o Jacquesa Duvaliera.

Twarz Adama rozjaśnił bezczelny uśmiech. Olbrzym wybuchnął śmiechem i nawet ten śmiech był polski – taki słyszy się przy wódce, nocą, gdy ktoś najbardziej pijany palnie jakieś głupstwo.

— Jak to jest? — mówił, zanosząc się śmiechem. Zęby miał perłowobiałe, wielkie jak paznokcie dorosłego mężczyzny. — Biali zawsze myślą, że Czarni wiedzą o sobie wszystko. Panowie kochani, księżę, panie oficerze, jakby panowie popatrzyli na taki globus, to panowie zaraz by wiedzieli, że z Sudanu do Haiti jest mniej więcej tak daleko jak i do Polski. Może popyta pan gdzieś niżej, tu połowa Żaczka jest z prawa, tak jak on.

— No ale jednak wie pan, że Duvalier jest z Haiti i studiuje prawo — do rozmowy włączył się porucznik Enka. — Zapach nas tu przyciągnął, poza tym patrzę, jak tutaj ładnie, i nabieram przekonania, że kolor jednak ma znaczenie.

Adam Mbeke przestał rechotać. Natychmiast.

— Czego chcecie od Duvaliera?

Gil westchnął, chrząknął i opowiedział, gdzie ostatnio można spotkać Joannę Jamik, że miały być tańce, a zdarzył się pożar i że rola Duvaliera w całym ambarasie wydaje się nie do przecenienia. W miarę jak opowiadał, twarz Adama tężała. Kiwał głową i nie starał się ukryć, że całą sprawę zna równie dobrze, a nawet lepiej.

— Ona umrze, jeśli jej nie pomożemy — oświadczył ksiądz doktor.

— Mogę w to uwierzyć, ale naprawdę, nie każdy czarnoskóry pod słońcem wierzy w duchy drzew i krzewów. To miłe, że księdzu na sprawie zależy tak bardzo, że nawet przyciągnął ksiądz tutaj milicjanta w cywilu, żeby wszyscy wiedzieli, jakie to ważne i potrzebne. Ja panu, panie oficerze, chętnie pomogę i zaraz się przyznam. Ofiary z ludzi składowy w pomieszczeniu gospodarczym na końcu korytarza.

Enka sprężył się, jakby wyczekiwał ciosu. Ręka sięgająca po paczkę nie od razu trafiła do kieszeni.

— Dobra, dobra — powiedział pojednawczym tonem. — To ja sobie poczekam na półpiętrze.

Odszedł krokiem spacerowym. Słyszeli, jak zbiega po schodach. Gil patrzył za nim, a gdy przestał, miał przed sobą już innego Adama, poważnego faceta z troską wypisaną na twarzy.

— Ksiądz wie, co się stało, i ja także wiem — zaczął. — Zastanawiałem się, kiedy ktoś przyjdzie tu w tej sprawie, jeśli nie liczyć portiera. Wieści biegną szybciej, niż nawet ja bym sobie życzył, zresztą, powiem szczerze, przeczuwałem taki obrót wydarzeń. Jak każdy tutaj, kto ma odrobinę oleju pod czaszką.

Gil tylko otworzył usta, wcale nie z zachwytu nad piękną polszczyzną Adama Mbeke. Mulat wszedł mu w słowo.

— Decyzja, co robić, należy oczywiście do księdza, bo wątpię, żeby pan oficer miał jakiegokolwiek rozeznanie w takich sprawach — rzekł, a Gil pomyślał, że owszem, ma nieduże, ale znacznie większe, niż się wydaje. — Zresztą, skoro ksiądz przyszedł, skoro ksiądz pyta, to chyba wiadomo, co musi być zrobione. Jacques Duvalier jest w pokoju 313, u matki jednego ze swoich dzieci. Odkąd tak narozrabiał, nosa nie wystawił.

— Dziękuję — odparł ksiądz doktor.

— Tym razem naprawdę nie ma za co. — Biel Adamowych zębów działała niemal hipnotyzująco. — Myślę, że będzie nie od parady, jeśli ksiądz zabierze swojego krewkiego koleżkę. Akurat z nim ten facet dogada się lepiej. Powiem więcej, na pewno skieruje rozmowę na właściwe tory.

— Dziękuję — powtórzył Andrzej Gil.

— A ja jeszcze raz podkreślam, nie ma za co. A może i jest? — zastanawiał się Adam Mbeke. — Niech ksiądz idzie jak najprędzej. A z podziękowaniami proszę poczekać do naszego następnego spotkania.

Odwrócił się i zniknął w pokoju, zostawiając ogłupiałego księdza doktora. Za oknem szalała wichura, fale deszczu przysłoniły drzewa, samochody, neon hotelu. Z najbliższego pokoju zabrzmiał rytmiczny odgłos bębna.

\* \* \*

Pana porucznika Gil zastał w palarni. Enka ćmił camela, spoglądając na studentki z zainteresowaniem co najmniej samczym, za to na studentów z obrzydzeniem, wypływającym z tego samego źródła. Studentki odwzajemniały spojrzenia, a studenci wprost przeciwnie.

Gil wciąż jeszcze był pod wrażeniem tego kawałka Czarnego Lądu na ostatnim piętrze polskiego akademika, a także samego Adama Mbekego.

— Wiem, gdzie jest Duvalier — oświadczył. — Możemy iść.

Enka zgasił papierosa pod butem.

— A po co ja? Ksiądz sobie tak świetnie poradził.

— Nawet święty potrzebuje czasem złego gliny — odparł Gil. — A co dopiero ja.

W oczach porucznika Enki błysnęło zrozumienie. I złość. Chwycił księdza za ramię, delikatnie, ale stanowczo.



— Jeśli już w tym jestem, ksiądz musi odpowiedzieć na jedno pytanie. — Uśmiechnął się kwaśno. — Niech ksiądz doktor się nie boi. Nic o Brazylii, Rzeszowie, demonach.

— Skoro pan porucznik to akurat ma zamiar przemilczeć, to czemu zaraz przypomina? — Gil wyzwolił się z uścisku. Stali naprzeciw siebie, ksiądz z rękami za plecami, milicjant z wyciągniętymi przed siebie.

— Nigdy tego nie poruszę, nawet przy wódce. Nawet w żartach. Zwłaszcza w żartach — zmarszczył czoło — ale teraz niech ksiądz mi odpowie. Co tak naprawdę księdza z nią łączy?

Słowo „naprawdę” miało w ustach Enki ciężar walca drogowego.

Gil zrobił minę, jakby właśnie ocknął się z kulą bilardową w gardle. Potrząsnął głową.

— Nigdy w życiu, panie poruczniku.

Coś czaiło się w jego oczach, coś straszliwego, sekret bolesny niczym otwarte serce. Ale nie było w nich kłamstwa.

— Wierzę księdzu bez zastrzeżeń — odparł porucznik, żałując jak cholera, że w ogóle zapytał.

\* \* \*

Zobaczyli ją, gdy tylko zeszli na trzecie piętro. Kiedyś musiała być bardzo ładna, jej czarne włosy lśniły jak mokry kamień w słońcu. Zmęczenie macierzyństwem wyciągnęło na twarz myszą szarość, oczy miała podkrążone, niedbale pomalowane, usta brązowe i suche. Bufiaste spodnie od dresu i sprana bluza nie ukrywały ruin jej ciała po ciąży: tyłek był szeroki i ubity, brzuch oplatała fałda. Bluzę uniosła, odsłaniając wymęczoną pierś, do której przyssało się maleństwo.

A maleństwo było kakaowe i śliczne, odziane w buraczkowy kubraczek i białe śpioszki. Otwierało czarne oczęta, ssało zawzięcie, usiłując pomagać sobie piąstką. Gniotło umęczony biust.

Dziewczyna uniosła głowę, tylko westchnęła.

— Duvalier — powiedział porucznik Enka, wkładając w to krótkie słowo całą swą niechęć do mowy Woltera.

Pogłaskała ciemną głowę synka, odstawiła od cycka i przełożyła niemowlę przez ramię, do odbicia. Majtało nóżkami, próbowało też unosić główkę, co raz wychodziło, a raz nie. Wydawało się, że nie słyszała, co powiedział Enka, albo

zdążyła już zapomnieć. Westchnęła ponownie. Wskazała kciukiem drzwi do pokoju.

— Bardzo pani dziękuję — skłonił się Enka i położył dłoń na klamce.

Gil nagle się przeraził, nie wiedział bowiem, co ten zaraz uczyni. A pan porucznik aż trząsał się ze złości. Prosił Stwórcę ksiądz doktor: ale to Ty, dobry Boże, w swoim miłosierdziu skazałeś Enkę na dom dziecka, więc teraz go trzymaj, żeby nie sprzął tego dziecioroba. Nie za mocno przynajmniej. Przynajmniej niech najpierw zrobi, co musi.

W pokoju panowała ciemność. Gil wymacał kontakt, ale żarówka u sufitu była przepalona. Przez okno wpadało mdłe światło lamp ulicznych, dochodził szeroki promień z korytarza. Widzieli kanciaste cienie sprzętów: biurka i zgaszonej lampki, szafy, tapczanu, paprotki na parapecie, wreszcie fotela i człowieczka na tym fotelu rozpostartego. Twarz ginęła w mroku. Mignęła drobniutka ręka.

Duvalier miał miękki, miły głos.

— Tu się puka — oznajmił. Kaleczył polski. „Się” brzmiało jak „szem”.

Gil lekko trącił porucznika, jakby mówiąc: błagam cię, Enka, stój teraz spokojnie. Zbyszek ani drgnął. Zapadło milczenie, które przerwał Duvalier.

— Po co przyszliście do mnie?

— Chodzi o dziewczynę, którą znasz. Którą pan zna. — Gil nie dał Ence ust otworzyć. — Był pan przy niej, kiedy wybuchł pożar. U pana w pokoju.

Liczył, że Duvalier potwierdzi, zaprzeczy, choćby ruchem głowy. Ani drgnął.

— Ta dziewczyna, Asia, bardzo potrzebuje pana pomocy. Obaj wiemy, co tam się wydarzyło — powiedział Gil tak miękko, jak tylko potrafił. Nastąpiła kolejna chwila ciszy, Duvalier odchylił głowę i wybuchnął dudniącym śmiechem, pełnym wyszukanej wesołości. Rechotał i rechotał. Enka sapnął.

— I wy z tym przychodzicie do mnie? Do mnie! — mówił Duvalier, nie przestając się śmiać. — Jeszcze mówisz, że wiesz to, co ja, przychodzisz tu do mnie i się porównujesz, a ja głupiec, taki głupiec, że wciąż gadam z tobą. Że raczyłem się odezwać. Oczy na was podnieść.

— Kim jesteście? Powiedz nam — poprosił słodko porucznik Enka.

— Jestem tym, czego nigdy nie zdołacie pojąć. Świętym, błogosławionym, władcą Loa, który rozkazuje żywym i umarłym. A wy przychodzicie i pytacie o dziewczynę, jakbyście chcieli naumyślnie obrazić moją potęgę — już się nie śmiał, wyrzucał z siebie kolejne frazy natchnionym głosem. — Wy już słyszeliście, niedługo usłyszycie o mnie i Haiti, gdy powrócę, niosąc miecz i Loa, wiarę i komunizm. Tak raz już było i tak znowu będzie. Loa wybrały mnie, najpotężniejszego hungana, który przynosi wolność.

— Jak Bokuman. Wiem o tym — Gil szepnął nabożnie.

— Większy niż Bokuman! — wykrzyknął Duvalier.

Enka, już bardziej zdumiony niż wściekły, zerknął na księdza doktora. A ten schylił się i złączył dłonie.

— Joanna to dobra dziewczyna w straszliwym cierpieniu. Nikt nie może jej pomóc — zaciął się i dodał z wysiłkiem — nikt oprócz największego, najpotężniejszego, najmądrzejszego hungana, zdolnego sprawić, by odszedł duch, który ją dręczy.

Duvalier śmiał się w ciemności.

— Pamiętam ją i kiedyś, jak we śnie, rzeczywiście chciałem ją zerznąć, tak porządnie dałem jej ducha, wzywając Loa miłości. Ja Ogoun! Ona Erzulie! Ale nie przewidziałem wielkiego daru tego spotkania. Ono mnie odmieniło, pokazało drogę. — Śmiał się coraz głośniejszym głosem, wydawało się, że ten śmiech, wraz z dumą pospołu, uniosą go pod sufit. — Szukacie dawnego Jacquesa Duvaliera, władcy kobiet. Jest inny Duvalier, król duchów, arcykapłan. I wy do mnie, z tą dziewczyną! Zrozumcie, czasem, żeby dotrzeć do celu, trzeba zajechać rumaka na śmierć.

Jeszcze mówił, gdy porucznik Enka wysunął się przed księdza i włączył lampkę przy biurku. Duvalier siedział rozwalony w fotelu, ważny, jakby miał co najmniej dwa metry wzrostu. A było zgoła inaczej: króciutkie nóżki nie mogły sięgnąć podłogi i dyndały w powietrzu, koszulka skrywała chudy korpus godny może dwunastolatka, drobniutkie dłonie trzepotały sobie na pajęczych ramionach. Gdyby Duvalier mył się, golił, a nade wszystko ściał kudły, twarz może miałby ładną. Szczyrzył zęby w uśmiechu.

Ten uśmiech zniknął na widok legitymacji milicyjnej. Enka machnął mu nią przed nosem, po czym chwycił Murzyna za fraki, uniósł, tak że stopy w klapkach majtały metr nad ziemią.

— Haiti, co? — warknął porucznik. — A jedź se i na Haiti, ale najpierw pójdziemy sobie na komisariat i pogadamy o tym, jak zgwałciłeś ośmiolatka, a potem pogadają z tobą wszyscy mili ludzie pod celą, gdzie cię wsadzę. Ale nie bój nic, za dwa dni wyjdiesz, boś niewinny przecież, może nawet duchy cię ochronią, choć, kurwa, wątpię w to szczerze, za to nie wątpię, że będziesz miał zamiast dupy dwupasmówkę dla tych swoich Loa. Albo nie — potrząsnął przerażonym Duvalierem — po prostu powiesz się w nocy, ty skurwysynu, a wszystko dlatego, że ja pierdolę porozumienia międzynarodowe.

W miarę jak Enka wrzeszczał, duma, duchy i dobry humor ulatniały się z Jacquesa Duvaliera. Trząsł się, machał rękami, rozdziawiał usta – widać było, że

przestaje ogarniać, co się właściwie dzieje. Za to ostatnie słowo brzmiało jak wołanie o ratunek.

— Ambasada — wychrypiał.

— No, ambasada. Pójdiesz sobie potem i do ambasady, sam cię tam zaciągnę, nawet teraz. Znasz drogę? To ci ją pokażemy. — Obrócił Duvalierem tak, by ten świetnie widział deszcz za szybą. Wrzasnął na Gila — okno! No dalej, okno otwieramy, szyby szkoda.

Gil postanowił nie zastanawiać się nad tym, co robi. Wyczuł moment, zbliżył się i stanął tak, by mieć kłamkę na wyciągnięcie ręki.

— Ale spokojnie, panie poruczniku — powiedział tym samym głosem, którym wcześniej zachwalał niezwykle zdolności Duvaliera. — Przecież pan Duvalier jest dobry i mądry, jak sam nam powiedział. Na pewno przemyślał sprawę i zechce nam pomóc.

Zapłakana twarz Duvaliera nie pozostawiała wątpliwości. Kiwał głową, tak, zgadza się na wszystko, zatańczy, zaśpiewa, pofruwa nawet, żeby tylko postawili i nie wyrzucali za okno. Enka czekał na odpowiedź.

— Tak! Tak! Tak! — skrzeknął wreszcie Duvalier.

Enka postawił go na ziemi. Murzyn miał minę, jakby próbował czmychnąć. Takiej szansy nie dostał, bo porucznik Enka chwycił go za ramię i pociągnął na korytarz, przed zdumione oczy matki karmiącej, i to z taką gracją, jakby marzył tylko o tym, aby mu złamać rękę. Gil podążył za nimi i nie miał wątpliwości – rzeczywiście, takie było marzenie pana porucznika.

\* \* \*

Dochodziła północ, akademik z wolna się wyciszał. Porucznik Enka zastanawiał się, jaką nazwę nosi przedmiot, który gniótł w dłoni, wiedział jednak że ta rzecz służy właśnie do gniecienia, a przez to wzmacniania mięśni. Miała dwie czarne rączki złączone metalowym kółkiem i trzeba było krzepy, aby je zacisnąć. Zastanawiał się, czy Iwona lub Joanna – do których należał ów tajemniczy przedmiot – są w stanie w ogóle go ruszyć. Porucznikowi jednak jakoś szło, ćwiczył więc, palił bardzo powoli i patrzył na struchlałego Duvaliera. Jeszcze jako młody facet Enka zastanawiał się, czy Murzyn może zblednąć i jak wtedy wygląda. Tu, w pokoju dziewczyn, uzyskał odpowiedź – będzie szary.

Duvalier siedział na łóżku z nogami pod brodą i miną człowieka pokrzywdzonego. Ilekroć Enka na niego spojrzał, opuszczał wzrok. Nie śmiał się odezwać na głos i tylko coś mamrotał. Zerkał na ogromną rękę porucznika, jak gnie

dziwny przedmiot, ściskacz, czy jak mu tam, i wyglądał, jakby zamiast ściskacza widział własne jaja.

Porucznik Enka zaś nie myślał o Duvalierze ani jego płodnym przyrodzeniu, nie myślał bowiem wcale, tylko się wściekał. Nie miał pojęcia, jakim cudem wpłatał się w tę historię, w jaki sposób to wszystko się skończy, ale miał upiorną pewność, że zrobią z niego błazna, a akademik opuści z obitym pyskiem. Rzeczy walające się po pokoju dziewczyn pogłębiały tę pewność, pogłębiały złość.

Na łóżku, u czarnych stóp Duvaliera (w drodze przez korytarz jeden kłapek się zagubił), leżały skołowane naprędce białe ubrania: spodnie od pidżamy, tak sprane, że poszarzałe, dwie pary gaci pamiętających chyba Bieruta, koszula wizytowa z czarnym paskiem po wewnętrznej stronie kołnierzyka, nowiutkie slipy i koszula nocna, tak cudna, że obrzydziłyby Ence nawet Miss Polonię.

Jedzenie, zgromadzone w siatkach na biurku, wyżywiłoby całe piętro, by zaraz doprowadzić do zatkania kanalizacji, a kto wie, może i wykipienia niejednego klozetu. Było trochę konserw, dwa kurczaki, wyroby czekoladopodobne, czerstwawy chleb i bułki, rum, ogryzek żółtego sera, przyprawy i mnóstwo sałaty, jakby na każdego idiotę tutaj przypaść miała jedna główka. Enka wahał się, czy nie sięgnąć po zagubioną butelkę piwa, ale odpuścił. Na brzegu stołu leżały dwa kawałki tłustej kredy. Skarby te zebrali po pokojach na trzech piętrach, korzystając z ofiarnej pomocy Iwony.

Enka odłożył ściskacz i zainteresował się repliką szabli ułańskiej, ku nieskrywanemu przerażeniu Duvaliera. Murzyn jeszcze podkurczył nogi, aż pisnął, gdy porucznik wy dobył broń z pochwy. Enka zaczął się przyglądać złocieniom rękojeści, zdobieniom głowni, a napis „HONOR I OJCZYZNA” po cichu przeliterował. Wykonał ze dwa niezgrabne pchnięcia, zadowolony z efektu, który wywołał. Spojrzał na stojącą w kącie czerwoną flagę z dziwnymi symbolami haftowanymi złotą nicią. Nie radował się zbyt długo, bo drzwi pokoju otworzyły się z hukiem – wpadł ksiądz wraz z doktorem Pazurczakiem niosącym na ramionach Aśkę.

Dziewczyna nie ruszała się, opuchnięte nogi zwisały bezwładnie, koszulę miała żółtą od jedzenia i wydzielin, ale Enka zwrócił uwagę na worek zasłaniający jej głowę.

— Co to znowu? — zapytał.

— Znają ją tutaj. Portier pijany. Wszyscy chyba piją z tymi fantastami — wysapał Andrzej Gil.

— Dałem jej środki nasenne, sporo tego, mam nadzieję, że nie przesadziłem. Na tę chwilę jest spokojna — odpowiedział doktor Pazurczak. Obrzucił pokój

niecierpliwym spojrzeniem. — Ona naprawdę nie śpi, a w każdym razie sen jej nie pomaga.

Nie wiadomo, kto był bardziej zdziwiony: Gil na widok Enki straszącego szablą Duvaliera, czy sam Enka, który kogo jak kogo, ale Pazurczaka się nie spodziewał. Wymierzył w niego czubek ostrza.

— On co tu robi?

— Przeprowadziłem wam dziewczynę, żebyście jej pomogli — odparł Pazurczak takim głosem, jakby chodziło o półlitrowkę. — Gdyby nie ja, bawiłby się pan w Wołodyjowskiego nawet do świtu.

Ostrze pojechało w dół. Duvalier bez słowa przycupnął pod ścianą. Ułożyli Joannę na posłaniu. Brzuch miała wydęty, pod cienką koszulką skóra wyglądała jak galareta, drżała nawet. Dłonie dziewczyny mięły koc. Worek poszedł precz i dreszcz przeszedł porucznika Enkę – dziewczyna miała twarz topielca, o sinych policzkach, powiekach czarnych i napuchłych, pokaleczonych wargach, jakby próbowała je pożreć. Krew ściekała z kącików ust, na nosie schły nieczystości. Palce należały do szkieletu, oczy miały barwę zepsutej ryby, skórę można by zdejmować palcami, przebić paznokciem. Enka nigdy by nie przypuszczał, że przez kilkanaście godzin ktokolwiek może się tak przeobrazić, a jeśli coś Enkę przerażało bardziej od świadectwa udręki, to bezbrzeżna fascynacja na poczerwieniałym pysku Pazurczaka. Nabrał przekonania, że lekarz poderznąłby gardła im wszystkim i wpakował do gabloty, wielkiego klasera czy czegoś podobnego. Odwrócił więc twarz od niego i od Aśki i tak się złożyło, że zwrócił ją ku Duvalierowi.

Murzyn już nie piszczał, tylko rozryczał się jak dziecko, potrząsał głową, na znak, że to nie jest, nie może być jego wina, a ręce uniósł jak do modlitwy, bynajmniej nie do duchów, lecz do Miłosiernego Stwórcy. Enka dopiero w tej chwili połapał się, jak może wyglądać, wściekły i czerwony, z szablą w dłoni. Schował broń do pochwy i odwiesił na miejsce, przy drzwiach.

— Księżę doktorze, idziemy — oznajmił.

Więc poszli. Niedaleko, bo pod pierwsze okno. Gil spodziewał się, że Enka ryknie jak zwykle, ale nie. Zapalił sobie dokładnie pod tabliczką z zakazem, usiadł na parapecie i gapił się w sufit.

— Musi pan porucznik robić przedstawienie? — zapytał ksiądz doktor.

— Kiedy ksiądz oznajmił, że pójdzie sam do szpitala, to już było dziwne, bo przecież ksiądz dziś nie mógł się wysrać beze mnie. Ale gdybym zdołał przewidzieć, że ksiądz będzie tak głupi i sprowadzi tutaj Pazurczaka, po prostu bym nie czekał. Co, on też się zna na duchach? Mogą nas za to wsadzić do pierdła, wszystkich trzech.

— Ale...

— Otóż gównu, księżu dobrodzieju. Wiesz może, jaki bal ma glina pod celą?

Gil spuścił głowę, by zaraz ją podnieść, pocąc się przy tym; głowy niektórych, w takie dni, ważą dużo więcej, niż się wydaje milicjantom.

— Pazurczak ryzykuje, jak i my. On pisze artykuł do „Lancetu” i w tym artykule próbuje opisać opętanie od strony medycznej — tłumaczył Gil. — Dlatego się zgodził. Przecież sam poleci, jeśli sprawa się wyda, a gdyby Asia umarła, to będzie siedział razem z nami.

Gorące powietrze wypełniło płuca porucznika Enki.

— Umrze? — zapytał.

A Gil tylko skinął głową. Usta miał teraz wąskie i napięte, można by pomyśleć, że jeszcze słowo i pękna, popłynie krew. Enka przypomniał sobie o papierosie, dopalił go szybciej niż jakiegokolwiek wcześniej, zgasił o parapet. Siedział chwilę, z dłońmi wciśniętymi między kolana.

— Co my właściwie robimy? — zapytał. — Co ksiądz...

— Ksiądz ma krew na rękach — odparł Gil ze smutkiem. — Wtedy, w Brazylii, podjąłem decyzję zbyt późno. To diabelski rytuał, my, księża, zwalczamy takie rzeczy. Musimy zwalczać, tak myślałem. A potem umarł człowiek. Ta dziewczyna umrzeć nie może.

W jego ciemnym oku zakręciła się łza.

— Jest ksiądz dobrym człowiekiem. I dobrym księdzem, jak mi się zdaje — wyznał Zbigniew Enka.

— Pan nie wierzy w Boga, panie poruczniku? Ale może pan mnie zrozumie. Słyszał pan o satanizmie? Widywał tych młodych ludzi w koszulkach z odwróconym krzyżem? Słyszał pan o bogatych Niemcach organizujących sobie z nudów czarne msze? Otóż właśnie to jest gównu, pic na wodę, panie poruczniku, bo prawdziwy diabeł jest właśnie w religiach opętania, w voodoo, a prawdziwy kontakt z demonami ma niestety ten dureń, co tak narozrabiał. Dla niektórych Loa jest zasadą, archetypem, ale u nas, w Kościele, nie mamy wątpliwości. To demon. Jestem księdzem, księdzem, księdzem, a księżom nie wolno palca do tego przyłożyć. To jakbym Chrystusowi w twarz napluł. Ale jeśli ja nie uratuję tej dziewczyny, to kto? Znów krew, krew przeze mnie...

Porucznik Enka zsunął się z parapetu, stanął przed księdzem.

— Ja tam nie wiem, bo się nie znam — rzekł. — Ale nikomu ksiądz w twarz nie pluje. Chrystus — wypowiedział to jak słowo w obcej mowie — no tak, Chrystus.

Nie wiadomo już, czy to Enka wziął księdza w ramiona, czy jeden wpadł w drugiego, ważne, że stali tak, mocno ściśnięci, przez długą chwilę. Gil wtulał

głowę w ramię pana porucznika, jakby tylko to mogło uratować ją przed pęknięciem. Jakiś czas później znów stali w pewnej odległości. Enka popatrzył trzeźwo.

— To co my z tym fantem robimy? — zapytał.

Gil nie miał już siły udawać.

— Ja naprawdę nie wiem. Musimy trzymać w ryzach Duvaliera. Ja znam się trochę na rytach z Haiti, Pazurczak badał opętania jako lekarz. Może sobie poradzimy. Widzi pan, poruczniku — uniósł żałośnie smutne oczy — to długa, skomplikowana ceremonia. Cokolwiek hałaśliwa. Może trwać... — bał się dookreślić — bardzo długo. Nie mam pojęcia, jak zrobić to tutaj, w Żaczku pełnym ludzi.

Enka wybałuszył oczy i Gil dokończył szybko:

— Także jeśli ma pan jakiś pomysł, to nie ma co zwlekać.

Gdyby od wyniku walki o zachowanie spokoju zależało zbawienie duszy, Enka w tej chwili poleciałby żywcem do nieba.

— No ja nie wiem — powiedział niemal śpiewnie — ja czuję, że Bóg księdzu sprzyja, ale odstawienie murzyńskich podskoków, tutaj, po nocy, po prostu nie przejdzie. — Podrapał się po głowie, na znak, jak intensywnie myśli. — Można by do mnie pojechać, tam nie takie rzeczy się działy. Albo... — zrobił zrozpaczoną minę — za Kraków, pod chmurkę? Pada jakby mniej.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz zamilkł z głupią miną – parę metrów za nimi stał Adam Mbeke, prawdopodobnie od dłuższej chwili. Słuchał z zainteresowaniem. Enka dostrzegł w szybie jego odbicie. Olbrzym ubrany był na czarno, z kieszeni na piersi sterczały ciemne okulary. Palce splótł na brzuchu.

— Pan się nie przejmuje, panie oficerze — błysnął zębami — dobrzy ludzie pomogą dobrym ludziom. Weźcie ze sobą Asię, wasze zabawki, przywleczcie Duvaliera. Ludzie z Nowego Świata wam pomogą.

Gil wykrztusił podziękowanie, a Enka nie mógł odgonić wrażenia, że rozmawiają teraz dwaj kapłani, zjednoczeni celem, a podzieleni wszystkim innym. Nie wiedział, co na to powiedzieć. Mbeke z uśmiechem wysunął rękę i wskazał płócienny worek leżący pod ścianą. Albo go wcześniej nie było, albo Enka nie zwrócił uwagi.

— To na nową drogę życia, panie poruczniku. — Mbeke wyszczerzył się jeszcze, obrócił na pięcie i odszedł tanecznym krokiem. Enka patrzył to na niego, to na worek. Było w nim coś kanciastego. Obraz, zdjęcie w ramach. Czuł przez płótno.

— Czemu? — zapytał ksiądz doktor Andrzej Gil.



Mbeke odwrócił się płynnie, ruchem baletnicy, i rozłożył dłonie.

— Pewnych rzeczy nie rusza się bezkarnie. Żal mi tej dziewczyny, ale i żal ducha, który jest w niej zamknięty i nie może wrócić na swoje miejsce. To odpowiedź dla księdza. — Przeniósł wzrok na Enkę. — Pan pewno umie trzymać język za zębami, ale jeśli się rozniosło, co Duvalier tu nawywijał, ucierpieliby wszyscy czarnoskórzy studenci. Boimy się, panie poruczniku. Pobicia już były, po nocy. Widzi pan, Nigeryjczyk, Sudańczyk, człowiek z Haiti. W nocy każdy Murzyn czarny.

Zaśmiał się i odszedł, niezatrzymywany. Patrzyli na niego jak na ducha, jakby Nowy Świat wcale nie znajdował się parę pięter wyżej, ale gdzieś zupełnie indziej. W dalekim, ciepłym miejscu.

— Niech mnie. Kim jest ten facet? — wykrztusił porucznik Enka. Gil zajął się grzebaniem w worku. Wydobył portret chudego świętego w drewnianej ramie. Święty miał aureolę jasną, twarz młodą, a w drobnych dłoniach trzymał dorodny krucyfiks.

— Co to znowu? — Enka włożył sobie camela w usta i już chciał zapalić, gdy Gil wyjął go i włożył właściwą stroną, filtrem w wargi.

— To święty Gerard. On...

— Na chuj mi święty? — przerwał mu Enka. Stał z pustym workiem w bezradnych dłoniach.

— To ołtarz Ghebe — rzekł głucho ksiądz doktor. — Na Haiti święty Gerard jest z nim utożsamiany. — Przyjrzał się portretowi. — Cóż, wygląda na to, panie poruczniku, że mamy już wszystko i możemy zaczynać.

\* \* \*

W Nowym Świecie panował półmrok. Za oknem znów padało, szyba drżała leciutko. Dotknął jej, była zimna. Nie wiedział, którego papierosa już pali, czuł przykre drapanie w gardle, zgagę, mdłości. Mimo to kurzył jednego za drugim. Wokoło Murzyni krążyli niczym duchy – czterech mężczyzn, potężna kobieta w kolorowej sukni – obstawiali wejście na korytarz, kucali, coś mówili po francusku lub angielsku, nieustannie pozostając w ruchu.

Zachowywali się, jakby porucznik Enka w ogóle nie istniał, a przynajmniej był przezroczystry. Oto ów drobny chłopaczyna w koszulce z napisem „CARO” sunął wprost na niego ze wzrokiem wpatrzonym w nieruchomy punkt gdzieś za plecami porucznika. Omal w niego nie wlaź, kilka centymetrów dzieliło ich twarze i Murzyn skrzyknął, płynnie i szybko. Enka odprowadzał go wzrokiem. I patrzył na innych.

Tylko raz przed Nowym Światem pojawił się zabłąkany student – rozciągnięty sweter, sztruksy i natchniony wzrok pozwalały sądzić, że jest z pierwszych lat filozofii. Nikt nie miał pojęcia, czemu przyszedł na ostatnie piętro. Wychynał ze schodów, milczący czarni wzięli go z dwóch stron. Nie próbowali go nastraszyć, nie padło jedno nawet słowo, po prostu przeszli, a on się wycofał.

To nie są zwykli ludzie bo i miejsce jest niezwykle, pomyślał Enka, świadom, że w Nowym Świecie nic nie jest takie, jakie się wydaje. Na przykład na podłodze wyrysowano skomplikowany symbol, na który ksiądz doktor mówił *veve*, inny niż te, które widzieli do tej pory. Kształtem nieco przypominał skomplikowany kurek na dachu, uchwycony w ruchu, jakby zaraz miał zacząć się kręcić, poruszany przez widmowy wiatr. Enkę zemdliło. Raz i drugi. Aż chwycił się za brzuch.

*Veve* drżało przed jego oczyma, rozumiał już, że ten dziwny symbol, współ z krążącymi jak duchy czarnoskórymi studentami, powstrzymuje innych od wejścia do Nowego Świata. Proszę, proszę, panie poruczniku – nie trzeba już kordonów, obstawy, kasków i tarcz, wystarczy kreda i kocie ruchy. Przeraził się tej myśli i świata, w którym powstała. Czy to naprawdę możliwe, żeby zrodziła je ta sama ciemność co wódkę, dziewczyny, powroty nad ranem?

Wszystko, co mógł zrobić, to wyjąć pieprzonego camela i sobie poćmić, wpatrzony w całe to afrykańskie szaleństwo. Nikt nie zwracał na niego uwagi, pomyślał nawet, że mógłby wydmuchnąć dym prosto w twarze ludzkich cieni albo nawet wepchać komuś niedopałek w oko. Niby obojętnie strzepywał popiół na parapet gwałcił filtr w palcach, gryzł go i szarpał wreszcie, odrzucił kiepa precz i prawie uciekł z korytarza. Zamknął za sobą drzwi.

Pokoje w Nowym Świecie okazały się połączone – dziury wybite w ścianach na co dzień przesłonięte były kilimami w afrykańskich barwach, teraz uniesionymi. Z wewnątrz sączyło się pomarańczowe światło, wystarczająco mocne, by Enka zobaczył Aśkę przywiązaną do łóżka. Nie miała siły się szarpać, kręciła tylko głową, wydymała wargi, by raz na kilkanaście sekund gwałtownie wciągnąć powietrze. Wypuszczała je powoli, generując pomruk, bez słów i melodii, za to zdolny postawić włosy na karku każdemu twardzielowi. Ence w każdym razie stanęły.

Pazurczak przycupnął przy dziewczynie, na drewnianym krześle, a jego owładnięta szczęściem twarz wywoływała u porucznika niesmak. Mało brakowało, by doktor zaczął się ślinić, tak radowała go perspektywa obrzędu, nieustannie coś notował, nachylał się, patrzył. Nad nim Andrzej Gil zakładał koloratkę, biały jako i ona.

Byli też Duvalier z Iwoną. Dziewczyna kuciała przy kolorowym boomboksie, obłożona kasetami magnetofonowymi. Jedną, oblepioną naklejkami, popisaną od

góry do dołu, obracała w dłoni, nie próbując nawet interesować się tym, co na niej nagrano. Przesłała Ence spojrzenie, które już znał. Magnetofon był kolorowy, dwukasetowy i ogromny, z wielkim napisem „PANASONIC” i migoczącymi ozdobami choinkowymi, przyczepionymi do niego jak przenośna dyskoteka. Z głośników leciał perkusyjny rytm.

Duvalier wyglądał, jakby zaraz miał się rozpaść i próbował, na swój niezdarny sposób, objaśnić Iwone trudną sztukę zmieniania kaset magnetofonowych. Dziewczyna skubała sobie policzki i nie odrywała wzroku od porucznika Enki. Drżącymi dłońmi Duvalier wyłożył dwie butelki rumu. Jedną odkręcił i zaczął sypać przyprawę za przyprawą, wyjmując z wiklinowego koszyka kolejne torebki. Robił to dość chaotycznie. Takie marnowanie alkoholu zbulwersowało porucznika Enkę.

— Napój dla Ghebe — wyjaśnił Gil. — Wódka lub rum, do którego dosypano dwadzieścia jeden ostrych przypraw. Żaden człowiek tego nie wypije, chyba że naprawdę jest opętany. Wyznawcy — przełkną ślinę — wlewają mu go do ust albo ochlapują oczy. My tutaj, panie poruczniku, radzimy sobie jak możemy.

Enka wolał patrzeć na przepiękną Murzynkę, którą widział wcześniej w innym pokoju, kiedy robiła sobie makijaż, zupełnie niepotrzebny, zważywszy na jej oszałamiającą urodę. W półmroku jej twarz nie miała skazy ni krosty, skóra, opięta na kościach policzkowych, pięknie lśniła. Dziewczyna przerastała Enkę o głowę. Unikała jego spojrzenia, po prostu stała przy zasłoniętym oknie. Nie mówiła nic.

Dwie inne kobiety, nieskończenie od niej brzydsze, o biodrach stworzonych do rodzenia czworaczków co wiosnę, garbiły się z kredą w dłoniach. Spod ich palców wykwitwały skomplikowane symbole: krzyże, serca i groby. Rysowały w skupieniu. A przecież to był zwykły pokój w molochu dla studentów, bliźniaczy kształt, mimo to w niezwykle sposób tętniący życiem: maty zamiast plakatów, drewniane brązowe girlandy koralu zwisające ze ścian, bębny bijące z magnetofonu, skąd powinna brzmieć Republika, Sandra, Perfekt. Kreda na podłodze, skupienie, opętana na miejscu kochanki. Zawieszona szabla. Obok niej miotła, zapewne podprowadzona sprzątacze. Ołtarz w rogu, jakieś kolorowe kukły. Ja pierdołę, pomyślał porucznik Enka.

Nie znał się na muzyce i chyba jej nie lubił, zwłaszcza tego afrykańskiego łoskotu niosącego się z magnetofonu. A Iwona jeszcze pogłośniła. Enka słyszał teraz wyraźnie, że to nie jeden bęben się tłucze, ale trzy, w tym jeden o wyraźnie niższym tonie. Zrobiło mu się dziwnie, jakby w tle usłyszał swoje własne imię. Nie, to tylko bębny, haitańskie dziadostwo, choć całkiem dobrze nagrane jak na amatorszczyznę. Gdyby taśma nie szumiała można by pomyśleć... Nie, to tylko dźwięki. Duvalier dał znak i magnetofon zamilkł.

Gil uporał się z koloratką. Enka kiwnął na niego, ksiądz podszedł, uważnie przekraczając magiczne symbole.

— Jednego nie rozumiem — rzekł porucznik z wahaniem w głosie. — Czemu ten Loa zabija Aśkę, a innym nie zrobiłby żadnej krzywdy? Przecież ksiądz widział już takie rzeczy i nie każda musiała się tak skończyć.

Wskazał palcem na skępowaną. Burknęła, spróbowała splunąć, kącikami ust spłynęła brązowa ślina.

— Duvalier to kretyn i marny hungan, jeśli pan porucznik jeszcze się nie połapał. Zwykle Loa przychodzi, a potem zostaje odesłane. To nie jego miejsce. Nie ten świat. W życiu bym mu nie zaufał, ale widzi pan — dodał Gil ze smutkiem — innego kapłana tutaj nie mamy.

Enka zorientował się, że posągowa piękność przysłuchuje się ich rozmowie, i wcale nie był z tego zadowolony. Ściszył głos:

— Ten wielki facet, Mbeke, on by się nie nadał? Wygląda jak nosorożec, ale gadane ma za trzech.

— Nie w ten sposób. Rytuał należy do nas. Ludzie z Nowego Świata pilnują na zewnątrz, pomagają w przygotowaniach. — Gil dostrzegł, że Enka kręci nosem i dorzucił. — To i tak bardzo dużo.

Czyli jesteśmy w tym wszyscy razem, Biali i Czarni, czarodzieje oraz duchy, powiedział sobie w duchu i mruknął tylko:

— No to się uspokoiłem.

W tej właśnie chwili na progu stanął Adam Mbeke, w półmroku jeszcze większy niż wcześniej. Jasna cholera, ten to ma nadgarstek jak ja udo, przeszło Ence przez obolałą głowę. Mbeke założył sweter góralski i ciemne okulary. Śmiał się szeroko. Piękna dziewczyna odpowiedziała uśmiechem.

— Loa czeka — oświadczył.

Tylko tyle. Murzynki podniosły się jednocześnie i opuściły pokój, nie patrząc na nikogo. Piękność ruszyła za nimi, posyłając Ence spojrzenie przelotne jak podmuch mrozu, minęła Adama Mbekego, a ten, trzymając odległość, zamknął pochód, pozostawiając otwarte drzwi. Enka zamknął je, warcząc coś o pomieszkiwaniu w tramwajach.

— Zaczynamy — powiedział Gil do Duvaliera.

Haitańczyk, który jeszcze niedawno miał się za kapłana nad kapłanami, teraz trząśł się, jęczał i zezował w stronę wyjścia. Włożył palec do ust i być może zaryzykowałby ucieczkę, gdyby nie Enka, który stanął pod drzwiami z ramionami splecionymi na szerokiej piersi. Duvalier westchnął żałośnie, spojrzął przejęty na

Gila – może jednak by tak odpuścić? Nie, mówiły oczy księdza doktora. Nie ma o tym mowy.

— Robi pan dokładnie to co ja, panie poruczniku — rzekł Andrzej Gil.

Enka przytaknął, a jeśli miał kiedykolwiek wątpliwości, że zadowoli się rolą obserwatora, stracił je w tej właśnie chwili. Duvalier szepnął jeszcze coś Iwonie, zagrały bębny. Chwycił miotłę i jął zamiatać środek podłogi, kołysząc się miarowo i przebierając nogami jak w leniwym tańcu. Enka nie wiedział, co robić, więc tylko się gapił. Duvalier garbił się, unosił wysoko kolana i zamiatał nieustannie, to zaciskając usta, to wywalając język na brodę. Miotła krążyła coraz szybciej, podrywając z dywanu szare obłoki kurzu; wywrócił oczami, mignęły przekrwione białka.

Zamienił miotłę na szablę i widząc to, Enka sprężył się do skoku. Nie, tak ma być, Gil przecież skinął głową. Na czole rozmazał mu się pot, włosy już były mokre, lśnił chudy kark. Chwycił drzewiec flagi i jęł tańczyć do rytmu, unosząc wysoko kolana, bębniąc stopami o podłogę, cicho, ale jednak. Rytm jego ruchów był płynny i piękny, nie to co podrygiwania Gila, wygibasy Enki.

Rytm bębnowy wzmościł się, ton uległ obniżeniu, raz, raz, głucho, jakby brzmiał z dna przepaści. W tej też chwili Enkę ogarnęła dziwność, więcej, narastała w nim z każdym kolejnym pokłonem, patrzył, chciał uciec i marzył, by ta dziwna, w jakiś sposób śmieszna ceremonia dobiegła końca. Czuł, że czaszka mu mięknie, jakby coś pod nią rosło, wypuszczało kwasy, zmieniając kość w gąbkę. Raptem usłyszał szum w uszach, jakby znalazł się nad morzem, zanurzony w słonej wodzie po usta. Mógł teraz płynąć, a może coś płynęło do niego. Nie, nie pozwolę! Napiął mięśnie, wokół karku i ramion, na piersi wyrosła stalowa obręcz. Patrzył i drżał.

A oni tańczyli, ksiądz i kapłan dzikiego kultu, zanurzonego jeszcze w czasach, gdy cały świat był Afryką, nikt nie słyszał o krzyżach, mesjaszach i milicjantach. Garbili się i kłaniali sobie, Duvalier skakał, wysuwał nogi do przodu, a jego chudy grzbiet wyginał się w pałak. Oczy bolały od patrzenia, uszy puchły, pod głowę Enki wdarło się upiorne słońce, więc sprężył się jeszcze, wypluł je jak grudkę gorzkiej śliny i tańczył, tak, tańcował razem z nimi.

Ksiądz znieruchomiał, z nim i porucznik, teraz przestrzeń należała do Duvaliera. Chwycił butelkę stojącą przy kupie jedzenia i jął tańczyć samemu, przygięty do ziemi, jakby rzeczywiście coś wskoczyło mu na plecy, wpiło w kark niewidzialne palce, zacisnęło pętlę wokół szyi i okładało biczem. Pojawił się nowy dźwięk, prócz bębnowy i odgłosu stóp, który nie miał prawa nawet zaistnieć: był to warkot, gardłowy i niski. To Aśka burczała, rzucając się na łóżku. W dziwnym odruchu Enka chciał jej pomóc, zerwać więzy i wynieść na rękach, jak uczynił to już kiedyś z księdzem w Stachowartach. Nie mógłby tego zrobić, potrafił tylko skakać wraz

z nimi, przejęty i przerażony, a przed nim coś trzeszczało, pękały zasłony świata, który znał. Ogarnął go strach, jakiego jeszcze nie doświadczył nawet w tych chwilach, gdy wchodził w ciemne pokoje pełne morderców i ich ostrych oddechów. To nic, tańcz, Zbyszku, bój się i tańcz. Nie czuł własnego ciała, tylko drżące powietrze, świst w nim, oddech, coś nadciągało. Jeszcze raz odepchnął tę niemal fizyczną ścianę tężącą tuż przed nim. Już wszystko wokół drżało, Murzyn, Joanna, Iwona i ksiądz, twarz księdza była najstraszniejsza, złamana przez pół, oczy wpatrzone w drogę bez powrotu.

I Gil przemówił. Zaśpiewał do rytmu:

— Ojciec nasz, który jesteś w niebie...

Gardło porucznika Enki ścisnęło się, z rosnącym trudem powtarzał kroki Duvaliera. Ręce wirowały już same, zgarbił się, widział własne stopy odziane w szybkowne półbuty. Przez moment wydały mu się białe i czarne, o połamanych paznokciach. Wyżej podskakiwały poszarpane nogawki.

— ... święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje — śpiewał ksiądz doktor Andrzej Gil.

Bębny przyspieszyły, z nimi i porucznik Enka, raz, raz, obłądny stukot w napiętą skórę, pędzić i dalej, tuk-tuk, afrykański obłąd. Trzy kroki w lewo, skłon, teraz obrót, znowu trzy i tak dalej, Enka tańczył dla czterech stron świata. Ściana wróciła, mocniejsza niż przedtem, rozblęśla białym światłem, jakby słońce odbijało się w czapach śniegu, jak niebo na Arktyce albo śmierć. I zimno. Enka mógłby zanurzyć głowę w tym blasku, mięśnie słabły, coś krążyło wokół niego. Grunt pod stopami stał się jakby płynny, podłoga zmieniła się w trzęsawisko, a zarazem nie mógł się pozbyć wrażenia, że unosi się nad Gilem, Aską, a może i całym Żaczkiem. Z trudem przyzywał słowa. Cóż, tej nocy każdy modlił się jak umiał: odejdz, skurwysynu, zostaw mnie, bo ja nie dla ciebie, ja dla tej dziewczyny, dla przyjaciela, ty mnie zostaw, weź się odpiardol, fruń sobie gdzieś, byle dalej ode mnie, no odejdz, precz, wypierdalaj, zostaw, poszedłbym, nie mogę, tańczę tylko, ach te bębny, grajcie, ty odejdz, gnoju jebany, odejdz i bądź, nie boję się ciebie, wypierdalaj i zostań ze mną.

— ... Bądź wola Twoja, jako w Niebie tak i na Ziemi.. — głos Gila drżał, pękał i się kruszył, aż zamilkł zupełnie, modlitwa zawisła, niedokończona, a na porucznika Enkę spłynęła ciemność. Ostatnim, co pamiętał, była szabla, którą wyjął z dłoni znieruchomiałego Duvaliera.

\* \* \*

— Onile Ogun! — wykrzyczał Duvalier, pozdrawiając przybysza.

Gil jeszcze nie pojął, co się wydarzyło, choć pojąć powinien. Kątem oka widział tańczącego Zbyszka, tego poczciwego, twardo stąpającego po ziemi gliniarza, który poszedłby za nim do piekła. I Gil go do piekła zaciągnął. W dłoni Enki coś błyszczało – srebrne światło. To szabla wirowała. Enka garbił się i skakał.

Duvalier zmienił krok. Nikt go nie naśladował, mokrą dłonią wskazał na boomboxa. Iwona, obojętna jak zwykle, bardziej przedmiot niż człowiek, włączyła kolejną kasetę. Duvalier stanął sztywno, skłonił się, cofnął, skłonił znowu, wykonując krok do przodu. Giął się i przebierał nogami, dotykając podłogi tylko czubkami palców, jego ciało zyskało węzowy rytm, wiło się w powietrzu. Kroczył do przodu, miękko i płynnie, zgarbiony wyginał grzbiet, wypuszczając przy tym powietrze, i zaraz wracał do pionu, rozwierając szeroko usta, jakby miała spłynąć w nie woda, jakby tylko na nią czekał.

Gil, najwyższym wysiłkiem przeniósł wzrok na tańczącego Zbyszka. Za późno, nie pomoże mu, zapomniał nawet słów modlitwy. A ten Duvalier, jak on się ruszał, dureń, łajdak, lecz piękny! Gil patrzył na niego oczarowany i nagle pokój rozsunał się przed nim jak brązowa kurtyna, w zgodzie z dalekim rytmem płynącym z magnetofonu. Widział księżyc nad Afryką, czerwony od płonącego ognia, i kilkanaście czarnych sylwetek, podskakujących, pogiętych jak od straszliwej choroby. Przepadły i nastąpiła ciemność. Z niej wyłowiło się drewniane wnętrze i ludzie w nim stłoczeni, żywi wśród trupów, gówna i zgnilizny, tylko księżyc pozostał, rąbek jego twarzy wpadał przez luk do statku. Osrebrzał wycieńczone twarze, chude ramiona, umarłych, którzy stali wbrew własnej śmierci, bo nie mieli jak upaść. Rytm bębnowy złączył się z bijącymi o burtę falami Atlantyku.

I nagle było słońce i ogród miliona barw: w nim włochate świnie, lwy o złotych grzywach, stado słoni, cętkowany gepard, brązowa ciżba antylop, kolorowe ptaki, krokodyle, hiena i śmiech hieny, wszystko stłoczone na zielonym wzgórzu. Na jego szczycie, pod błękitnym niebem, stało samotne drzewo o pniu grubym jak zamkowa wieża, obsypane czerwonymi owocami, jakich Gil w życiu nie widział. Z gałęzi zwisał czarny wąż i patrzył prosto na Gila. Przepadł w chwili, gdy otworzył pysk.

— Onile Ogun! — powtórzył Duvalier. Nie przestając tańczyć, zabrał jedną z butelek rumu i zbliżył się do Enki. Enka zaś wirował, cudacznie wygięty, z niewidzialnym jeźdźcem na plecach, wymachiwał szablą, tnąc się po ramionach, udach, klatce piersiowej, głęboko i mocno. W powietrzu wirowały strzępy ubrania, ale nie popłynęła ani kropla krwi. Ciało porucznika lśniło, mocne jak stal.

— Zimno mi w jaja — powiedział porucznik Enka nieswoim głosem.

Chwycił rum, wypluł korek i pociągnął ze dwie setki, przełknął, jakby to była woda, na raz. Nawet go nie otrzepało – powinien runąć, ale tylko stężał, wyprężył

klatkę piersiową, mięśnie barków drżały, można by pomyśleć, że zaraz rozerwą koszulę. Dumny i silny przeszedł w róg pokoju, zabrał czerwoną koszulę i przewiązał ją sobie wokół czoła. Opadła na kark jak chusta mająca chronić przed słońcem. Ciął się znowu, szeroko, wrywając kawałek koszuli, i napił się jeszcze.

Rum pociekł mu po brodzie i niżej, przez włochatą pierś. Resztę butelki rozlał przed sobą, szkło roztrzaskało się o ścianę. W jego ustach pojawił się papieros, zapalił go, nie wypuszczając szabli, i odrzucił zapałkę. Rum zajął się natychmiast, a Enka po prostu wkroczył w ten ogień i przeszedł kilka kroków, nie czyniąc sobie krzywdy. Resztki przytomności powróciły do księdza doktora – zerwał zasłonę, dzielącą przejście między pokojami, rzucił się na podłogę i zdusił płomień. Enka nawet się nie obejrzał, maszerując z odchyloną głową i żując filtr.

Jeśli ktoś był przerażony bardziej od księdza Gila, to tylko Jacques Duvalier. Jego kolana uderzały o siebie i cały się trząsł, w cudowny sposób zachowując pion. Dopadł okna, wywalił kwiatek z doniczki i popędził z pustym naczyniem w stronę ołtarza, między drugą butelką rumu, jedzeniem i stertą tanich kosmetyków. Na to wszystko spoglądał doktor Pazurczak, wciśnięty kąt, a na jego twarzy malowały się zachwyty i zdumienie.

Bębny grały, tłukły się, obłądny rytm brzmiał już nie tylko z boomboxa, ale spod podłogi, dobiegał ze ścian, sufit giał się pod nim, deszcz wygrywał o szyby pieśń dla Loa.

\* \* \*

Aśka buczała coraz głośniejsze, wiała się w więzach, nie próbując jednak ich zerwać. Za to w Iwone zaszła niezwykła przemiana. Jej oczy nabrały życia, twarz pociemniała, ciało stało się sprężyste. Rozrzuciła nogi, przejechała palcami po piersiach i nagle wstała, niby szarpnięta przez niewidzialną siłę. Gil już to spostrzegł, Duvalier jeszcze nie. Połapał się dopiero w chwili, gdy Iwona wędrowała na sztywnych nogach w kierunku ołtarza.

— Ori Ye Ye O! — wybełkotał, a włosy stanęły mu dęba.

Iwona zatrzymała się, otworzyła puderniczkę i zaraz przycisnęła ją sobie do twarzy. Przejechała po czole i policzkach, zostawiając białe ślady, jak u klauna. Nie spoczęła, nim całkiem jej nie opróżniła, puder obsypał jej szyję i ramiona. Chwyciła szminkę i przycisnęła mocno do ust, malując sobie lubieżny uśmiech przez wargi, brodę, prawie do uszu. Jeszcze grzebień, niezgrabnie zacisnęła na nim palce, przejechała po głowie, wrywając sobie garście włosów. Reszta sterczała wokół głowy niczym dziwaczna, beżowa aureola.



Już porucznik Enka szedł w jej stronę, z papierosem, mokry od potu i rumu. Popatrzyła na niego, jej ciałem wstrząsnął dreszcz, przejechała sobie dłonią po kroczu i piersiach, pod koszulką sterczały sutki. Uśmiechnęła się, z twarzy posypał się puder. Tymczasem Duvalier ocenił sytuację i zaczął niezdarnie wycofywać się w stronę wyjścia. Był przy drzwiach, wyciągał rękę ku klamce, gdy powietrze przeszył wściekły głos Pazurczaka:

— Ej! A ty, mały, dokąd?!

Przed Duvalierem zmaterializował się ksiądz Andrzej Gil, szalenie zdeorientowany i jeszcze bardziej wściekły, z miną, jakby właśnie stracił cierpliwość i miał opieprzyć jakiegoś arcygłupiego studenta. Ale po prostu przywalił w przerażoną, czarną gębę, dwa razy po szczęce, raz w policzek, aż Duvalier oprzytomniał, splunął krwią i spojrzał przeprasząco. Gdyby miał ogon, podkuliłby go niezawodnie. Podreptał na środek pokoju.

A Enka i Iwona – Ogun i Ezrili w ich ciałach – już tańczyli, zwarci ze sobą ściśle. Zarzuciła mu ręce na szyję, on objął ją w talii i zjechał niżej, wstrząsnęło nimi, wciąż brzmiały bębny. Patrzyła mu w oczy, znali się przecież od tysięcy lat. Najpierw zlizwała rum z jego szyi i torsu, przejechała dłonią po brzuchu, patrząc z oddaniem i wiernością. Przyciągnął ją ku sobie władczym gestem, tańczyli chwilę, aż Iwona zawisła na nim cała i obaliła na ziemię, u stóp ołtarza. Po chwili Gil widział już włochate plecy swojego przyjaciela, drobne dłonie Iwony na nich splecione i potarganą koszulę ciśniętą w kąt. Ich ciała splotły się z rytmem bębnow.

Aśka zamilkła, za to doktor Pazurczak poderwał się do czynu: dopadł lekarskiej torby, lecz zamiast igieł, strzykawek czy stetoskopu wyszarpnął wielki polaroid, wskoczył na środek pokoju i fotografował, ile wlezie. Stał nad Enką, uchwycił nieprzytomne oczy Iwony, a na kolejnym zdjęciu zastygł rytmicznie ruszający się, golutki tyłek pana porucznika. Pazurczak utrwalił struchlałego Duvaliera, ołtarz i Gila na tle ołtarza. Wyraźnie szlag go trafiał, że nie da się szybciej, nerwowo chwycił kolejne czarne klisze, trzepotał nimi, chciwie wyczekując, aż pojawi się obraz, by zaraz odłożyć je na stos na brzegu łóżka.

Ledwo sobie radził: tu trzeba pstrykać, tu suszyć, machać kliszą, tu nagle wyszarpnąć notes i precudne złote pióro. Odrzucił czarną skuwkę i próbował coś pisać, niezdarnie, słowo zajmowało pół strony, wrócił więc do zdjęć, wycofując się w stronę drugiego pokoju. Usta miał rozwarłe, wykrzywione szczęściem, z oczu mała co, a iskry by poszły, jeszcze chwila i zacznie skakać, turlać się ze szczęścia. Gil być może spróbowałby go powstrzymać, gdyby tylko wiedział jak. Gdyby wiedział cokolwiek.

Mógłby na przykład wyrwać Pazurczakowi aparat i go roztrzaskać, zabrać zdjęcia i nie oddać za cenę życia – doktor wyglądał na takiego, co walczyłby o nie

do ostatniej kropli krwi. Mógłby również skuć pysk Duvaliera – który znów chciał odpuścić: podskakiwał niemrawo, za to w konkretnym kierunku, do wyjścia. Nie byłoby też od parady, gdyby Gil darował Pazurczakowi, Duvaliera zostawił na potem i spróbował wyswobodzić Enkę z miłosnego uścisku. To ważne, by w najczarniejszych chwilach pamiętać o przyjaciółach, tymczasem pan porucznik szalał, rozrywał ubranie na sobie i na Iwonie, dociskał ten włochaty tyłek, jęczał, jeszcze głośniej jęczała Iwona.

Gil więc znieruchomiał pośrodku pokoju, między przerażonym hunganem safandulą, Pazurczakiem opętanym radością odkrywcy i milicjantem rżnącym na pół najbardziej bezbarwną dziewczę w całym Żaczku. Rzucił się w jedną stronę, rzucił w drugą, aż postanowił zrobić to, co umiał najlepiej: zaczął się modlić. Pewnie nie powinien, bo Bóg zrobił dla świata tyle dobrego, i Gilowi pomógł nieraz – właściwie życie księdza doktora to wielki konglomerat cudów, ale jednak błagał Pana w Trójcy Jedynej, aby uczynił cokolwiek, nim wszystko, wybaczyć Chryste te słowa, zjebie się dokumentnie.

To nie była długa modlitwa, właściwie dopiero zaczął – Aśka zatrzęsa się na łóżku, w zgodzie z opętańczym rytmem bębna. Ten przyspieszył jeszcze, dywan drżał, dygotały obrazy na ścianach, a lampki choinkowe na dwukaseciaku migotały, aż jedna wystrzeliła jak mała petarda i zgasły wszystkie. Jednocześnie krępujące ją sznury zsunęły się na podłogę, a Joanna pojechała do pionu, zupełnie sztywna, nawet nie gnąc kolan, z dłońmi płasko przyciśniętymi do ud. Stopy ciężko postawiła na podłodze. Pazurczak tego nie dostrzegł, zafascynowany zbliżeniami twarzy przerażonego Duvaliera, za to Gil widział świetnie.

Płynnym ruchem Joanna znalazła się przy macie z kieszonkami wiszącej w rogu pokoju – na ziemię poleciały jednorazowe długopisy, karty, bilon, zdjęcia i inny drobiazg. Pochwyciła ciemne okulary w rogowych oprawkach i nałożyła je sobie na nos. Uśmiech rozcinał jej twarz na dwie połowy, gdy zgarbiła się nad Enką. Ten właśnie doszedł, jęknął, opadł na Iwonę i znieruchomiał. Spodnie miał spuszczone do kolan. Znalazła camele, znalazła i ogień, zapaliła. Usiadła na brzegu łóżka, zakładając nogę na nogę.

Gil zmartwił, z jego ust wydobył się jęk przerażenia. Wiedział, kto się zjawiał, widywał go już w Brazylii, w hunforze, przyjezdnego hungana z Haiti. To Ghebe, baron Samedi, trup i władca umarłych, śmierć wcielona w człowieka, dla której żadne drzwi nie są zbyt mocne, żaden człowiek nie wart uwagi lub choćby kpiny. Wiedział, że oczy za ciemnym szkłem patrzą dokładnie na niego, słabego księdza, że borują mu duszę. Ghebe wybuchnął śmiechem, zaciągnął się i znów zarechotał. Cuchnął, jakby gnił.

Dłoń opętanej Aśki znalazła drewnianą laskę, objęła ją czule. Ghebe wstał i Gil przeraził się, że idzie wprost na niego.

— Rum! — ryknął na Duvaliera. Ale Duvalierowi było już wszystko jedno, tylko się kulił, niezdolny nawet do ucieczki, wytrzeszczał wielkie oczy i jęczał modlitwę o ocalenie. Pazurczak, wpatrzony w zdjęcie, wciąż nie wiedział, co się święci, i Ghebe podszedł właśnie do niego.

Lekarz oderwał wzrok od fotografii i uniósł głowę, by dostrzec owładniętego przerażeniem księdza Gila, który ze wszystkich sił próbował poprosić o rum raz jeszcze. Pazurczak otworzył usta, by zapytać, co właściwie się wydarzyło. Odpowiedź stała za nim.

Odwrócił się i spojrzał prosto na twarz w ciemnych okularach, owianą dymem. Zmartwiał, wrzasnął i wyciągnął przed siebie polaroid, rozpaczliwie się osłaniając. Opętana wyrwała mu aparat z martwiejących dłoni, zaniósła się nosowym śmiechem i zrobiła zdjęcie, zupełnie zwyczajnie, kolejną fotografię, tyle że tym razem Pazurczaka owładniętego śmiertelnym przerażeniem. Zupełnie jak on wcześniej pomachała zdjęciem, czekając, aż pojawi się obraz. Nie przestając się śmiać, rzuciła na nie okiem i cisnęła na podłogę. Aparat upadł na łóżko. Pazurczak złączył dłonie, szykował się, by paść na kolana, ale Ghebe zostawił go w spokoju.

— Rum! Duvalier, Rum! — wrzasnął ksiądz Andrzej Gil.

Murzyn tylko potrząsnął głową – nie miał zamiaru ruszać się z miejsca za żadne skarby świata. Ghebe już obracał ku niemu głowę, kiedy Gil skoczył do ołtarza, porwał drugą butelkę z rumem, tym razem pełną przypraw, i walnął szyjką o blat. Pękła. Stał już przed Aśką, która z Aśką miała wspólne tylko ciało, i chlusnął jej rumem w twarz. Ciemna ciecz pociekła po czole, pod okulary, zmoczyła papierosa. Ghebe obliznął się. Znów zarechotał, nisko, gardłowo. Za jego plecami, z wolna podnosił się porucznik Enka, Iwona rozszerzała zdziwione oczy.

Ghebe zapalił kolejnego papierosa, podszedł do Gila krokiem grabarza, który po raz ostatni sprawdza, czy z trupem naszykowanym do pogrzebu na pewno jest wszystko w porządku. Wyrwał stłuczoną butelkę, napił się. Gil próbował nie patrzeć mu w twarz, więc gapił się w wydęty brzuch. A Ghebe powiedział:

— Cześć, fiutku.

Głos miał jak i śmiech, paskudny, nosowy.

— No i co, świętojebliwce, siorbaczu ty mój, pizdojebco — rzekł. — Och, święty, święty, a tak się martwisz, co? — Charknął. — To ja ci mówię, kutasku mój, oni ci wybaczyli. Wszyscy: ksiądz, ojciec, tamta dziewczyna, ludzie z Rzeszowa i Brazylii, nie ma, kurwa, jednej duszy, co żal do ciebie żywi, więc przejmuj się światem ludzi, nie duchów. Wiesz, fiutku koloratkowy, że mówię prawdę. Masz wybaczone.

I Gil mu uwierzył. Ghebe wybuchnął śmiechem, dmuchnął mu dymem w twarz, zapytał:

— I co, stanął ci teraz?

Odwrócił się, nie czekając na odpowiedź. Coś błysnęło: to doktor Pazurczak pstrykał zdjęcia, wciśnięty w kaloryfer pod okno. Enka z trudem stał na nogach i patrzył zdumiony, nie wiedząc za bardzo, kim jest, co tu robi, a już na pewno nie mając pojęcia, co się wydarzyło. Za nim, półprzytomna Iwona usiłowała zakryć swoją nagość.

Ghebe zerknął na Gila raz jeszcze i księdzu wydało się, że oko za okularami mruga porozumiewawczo. Oprzytomniał. Wiedział już co robić.

— Bębny! Odeślijmy go! — jęknął ksiądz doktor.

Porucznik nawet nie drgnął, wpatrzony w opętaną, maszerującą w stronę struchlałego Duvaliera. Ogromnym wysiłkiem przeniósł wzrok na księdza Gila i w pierwszym mocnym przebłysku świadomości pojął, co powinien zrobić. Zamiast klęknąć koło magnetofonu, upadł przed nim, zaplątany we własne spodnie, ryjąc w dywan napuchniętą twarzą, ale taśmę zmienił bezbłędnie. Rytm zabrzmiał inny, spokojniejszy, wytracający tempo – była to pieśń na pożegnanie, przed zatrzaśnięciem drzwi między światem żywych i umarłych.

Ghebe stał już przed Duvalierem. Murzyn podniósł się z kolan, drżał cały, jakby nieustannie obrywał biczem. Uniósł dłonie w błagalnym geście. Szepnął coś po francusku, spróbował się pokłonić i zaraz wybuchnął płaczem. Opętana powtórzyła te same słowa: brzmiał w nich jęk maltretowanej Afryki. Nie, pewne rzeczy nie mogą być wybaczone.

Ghebe rozrzucił dłonie, szeroko, i z perspektywy Enki podobny był do ogromnego krzyża i jak drewno sztywny. Znów zabrzmiał śmiech. Duvalier wrzasnął, już o nic nie prosił, no, może tylko żeby to wszystko wreszcie dobiegło końca. Upadł na plecy, spróbował wstać, ale tylko kolebał się, siedząc w kucki i przyciskając dłonie do oczu. W jego głosie brzmiała niewysłowiona skarga i ta skarga zginęła w ostatnim, najgłośniejszym śmiechu. Ciało Aśki wygięło się do tyłu, naprężyło mięśnie, usta otworzyły się szeroko, jakby coś przez nie wyrywało się na wolność. Upadła prosto w ramiona księdza Gila.

\* \* \*

Andrzej Gil pochylał się nad Joanną Jamik. Wolno odgarnął włosy z jej twarzy i wątpliwości, które miał, odeszły. Pozostawała nieprzytomna, ale ludzka w swojej męce – siły, które ją dręczyły, wreszcie odeszły do swojego domu. Gil pogłaskał ją po twarzy i bezgłośnie podziękował Bogu za cud dnia dzisiejszego.

Cudem było również to, że Enka był w stanie utrzymać się na nogach, choć z zapęciem rozporaka nie szło mu już tak dobrze. Z obrzmiałą twarzą, zataczając się, zmierzał w stronę księdza i dziewczyny, przytrzymując się mebli i ściany.

— Połóżmy ją — powiedział ksiądz doktor.

Porucznik Enka, potykając się o własne nogi, jakoś chwycił Joannę pod ramiona, uniósł i posadził na brzegu łóżka. Zastygła w dziwacznej pozie, ni to siedzącej, ni leżącej, zgięta, wsparta na własnym łokciu. Oczy ruszały się pod powiekami.

Powietrze przeszył krzyk, aż Enka się poderwał, a Gil zmartwił, jakby coś go zabolalo. Spojrzał za siebie. Na podłodze klęczał Duvalier, cały mokry, z włosami przyklepionymi do karku. Unosił dłonie na wysokości własnej twarzy, a w niej, niczym jajka obrane ze skorupki, tkwiły oczy białe i ślepe. Gila zmroził sam kontrast pomiędzy ich jasnością a hebanowym brązem skóry. Duvalier wył, szarpał się, dotykał ostrożnie powiek, w naiwnej wierze, że coś się odmieni, a im lepiej pojmował nieodwracalność tego, co się wydarzyło, tym zawodził głośniejsze i bardziej przejmujące. Wreszcie coś w nim pękło, zacharczał i tylko kwilił coś po francusku, turlając się po ziemi. Enka chciał wstać i go podnieść, nie miał siły. Ani ochoty.

Gil nie chciał na to patrzeć. Obrócił się ku Aśce, która powoli przytomniała. Spojrzała na niego, jeszcze nie rozpoznała, podobnie jak miejsca, w którym się znajdowała, ani własnego napuchniętego ciała. Przymknęła oczy, wzięła oddech i usiadła na łóżku, rozbudzona z długiego snu. Gil klęczał u jej stóp. Zobaczyła go.

— Pochwalony — wyszeptała, a jej żołądek się sprężył i potężnym pchnięciem wyrzucił z siebie wszystko, co zjadła przez ostatnie dni, a czego nie mógł strawić: chleb, mięso, bułki, ciastka, być może reszki ciała pogryzionych pielęgniarzy i milicjantów, na pewno zaś całe litry ledwo przetrawionej owsianki. Wszystko to wyrwało się na wolność, wprost na księdza doktora Andrzeja Gila.

\* \* \*

Stali na tyłach Żaczka, w drzwiach, i odprowadzali wzrokiem odjeżdżające karetki. Gil wciąż czuł, że śmierdzi, Ence dzwoniło w uszach echo krzyku Duvaliera. Jeszcze było ciemno, tylko leciutka, ledwo wyczuwalna nitka szarości nad domami zwiastowała przełamanie nocy. Enka znów zapalił, nogi się pod nim ugięły, nie wiedział nawet, że może istnieć tak ogromne zmęczenie. Jeszcze wypali, jeszcze odezwie się do Gila, a potem – spać. Niech dzwonią. Wyłączy telefon. Zaraz przypomniał sobie, że obiecał Gruli pomoc z papierami. Poszukał w twarzy Gila obietnicy cudu, ale albo limit się wyczerpał, albo Bóg księdza doktora nie robił w biurokracji.

Karetki już zniknęły, jedna z Joanną, druga z Duvalierem. Cholera, tak się czasem już składa, myślał sobie Enka i palił, on nie będzie widział, ona będzie żyć.

Wyglądali przedziwnie i być może śmialiby się z siebie, gdyby nie zmęczenie: pod płaszczem Gil miał studencki sweter z pstrokatą naszywką i spodnie gumki, tak obcisłe, że jego nogi wyglądały na ukradzione drewnianemu pajacowi. Enka ocalił kurtkę, ale musiał wdziać pstrokatą koszulę wiążaną pod szyją, bufiaste spodnie kończące się w połowie łydek i grube skarpetki robione na drutach przez jakąś troskliwą mamę. Ich ciuchy, w tym ukochana dżinsowa koszula Enki, były pocięte, porwane na strzępy lub zarzygane do ostatniego włókna.

— Co się tam właściwie stało? — zapytał porucznik. Gil nie odpowiedział. Oddychał ciężko, zmęczony i szczęśliwy. — Bo ja nic nie wiem — ciągnął Enka. — Nie pamiętam. Wiem, że tańczyłem, no i wiem też, jak się obudziłem, ale nie mam pojęcia jak, no, do tego, wie ksiądz, doszło.

Nawet zaciągnąć się nie umiał porządnie. Patrzył na uśmiech księdza doktora, słaby i pełen nadziei. Nadziei od tego patrzenia nie zyskał, za to osłabł jeszcze bardziej.

— Żydzi powiadają, że kto ratuje jedno życie, ratuje cały świat — rzekł Andrzej Gil, myśląc, że mieli szczęścia jak nigdy, a o jego pełni dowiedzą się za parę tygodni, gdy Iwona dostanie okres. Albo nie dostanie. Ochrzcić mu dziecko to byłoby coś, pomyślał. Zaraz przeprosił za tę myśl Boga i pana porucznika.

— Zapomnieliśmy podziękować Adamowi — przypomniał sobie Enka.

Gil z początku nie wiedział, o kogo chodzi.

— No tak — przyznał po chwili.

Enka się podpalił:

— Co, no tak, przecież ten gość to zjawisko, czarny, wielki jak Kilimandżaro, a mówi po polsku jak Słowacki. Gównu byśmy bez niego zrobili, księżo doktorze, tyle księdzu powiem. — Zaciągnął się, smakował dym. — Poza tym ta Iwona to jednak osioł. Trzeba było od razu lecieć do tego Mbekego, a nie włączyć się po piętrach.

— Nigdy o nim nie wspominała — odparł ksiądz Gil.

— No bez jaj. A Aśka? A jak ksiądz przychodził do akademika, to też go nie widział? Nie mówili o nim? Przecież ten gość to zjawisko, nie pojmuję, jak można go zapomnieć.

Pytał i pytał, a Gil zaprzeczał, potrząsając głową, aż Enka zamilkł i tylko drapał się po kudłatym łbie. Chciał zaproponować, żeby wpadli za dzień lub dwa do Nowego Świata, podziękowali z jakąś wódeczką, bo skoro Adam Mbeke mówi po

polsku bez zajknięcia, to może i jak Polak za kołnierz nie wylewa. Nie powiedział. Poczł na sobie zimne spojrzenie.

Odwrócili się jednocześnie, milicjant i ksiądz. Na końcu kilkunastometrowego korytarza gospodarczego, wypełnionego pudłami, resztkami krzesł, drzewcami od flag, pod żarówką gołą jak dziwka na Sylwestra, stał Adam Mbeke w towarzystwie pięknej Murzynki. Uśmiechnął się do nich. Szeroko.

Z kieszeni na piersi Mbeke wyjął ciemne okulary, założył i zapalił ciemną cygaretkę, jedną z tych, co kupowało się w Peweksie za ciężkie dewizy. Dym owiał mu twarz.

Chwycił laskę, długą i prostą, zakończoną gałką w kształcie łba jakiegoś zwierzęcia, oparł się o pudło za plecami, skrzyżował nogi. Miał bosc stopy i spodnie podwinięte do kolan. Wybuchnął śmiechem. Dziewczyna bawiła się sznurem pięknych koral, sięgających aż dołu jej brzucha. Śmiali się teraz razem, on nosowo, ona zalotnie, i Gil zobaczył ich oboje: Erzulie i baron Samedi, miłość i śmierć, przedsiębiorca pogrzebowy i dziwka wszechświata, śmiali się do niego w korytarzu Żaczka.

Podnieśli się, dziewczyna posłała Gilowi zmysłowe spojrzenie. Zniknęli za rogiem. Enka rozdziawił gębę, zaś Gil puścił się biegiem, na łeb na szyję, omal nie upadł, lecz gdy wypadł za róg, widział tylko długi, pusty korytarz. Nikogo. I żadnych drzwi, za którymi można by się skryć.

Gil wyhamował, oparł się o ścianę. Jak urzeczony patrzył na ciągnącą się przestrzeń, rząd zamkniętych okien i żarówki dyndające pod brudnym sufitem.

— No i gdzie oni? — z tyłu zabrzmiał głos zziajanego Enki.

— Nie ma — odrzekł ksiądz doktor — po prosu nie ma.

Enka zamyślił się, zgniótł niedopałek.

— Bywa i tak — mruknął.

Nad ich głowami przetoczył się grzmot, jakby kolejne piętra zapadały się pod własnym ciężarem. Żarówki zamigotały, posypał się tynk i Gil wyglądał, jakby też miał się osunąć. To nie duchy jednak, nie kataklizm, ale dziesiątki stóp podskakiwały w pijackim tańcu dziękczynnym. To nie nawałnica, nie ryk upiorów niósł się przez Żaczek, lecz tryumfalny wrzask gardeł fantastów:

— Redaktor Maaaciek naaszym przyyyjaaacieleem jest!

— Widocznie coś postawił — powiedział porucznik Enka.

\* \* \*

Dzień był słoneczny, a w powietrzu wisiała już zapowiedź zimy. Delikatny szron obsypał parapety kurii krakowskiej. Ksiądz Gil siedział w gabinecie biskupa Ruraka, pełnym starych mebli i książek. Chrystus, wyrzeźbiony ręką ludowego artysty spoglądał z białej ściany. Patrzył też Rurak, zza szkieł, tym wzrokiem, którego Gil najbardziej się obawiał.

— No i co z tego wynika? — zapytał biskup.

— Sprawdziałem wszędzie, gdzie mogłem. Adam Mbeke, nikt nawet do niego podobny, nigdy nie mieszkał w akademiku Żaczek, nie ma go też na liście studentów — tłumaczył Gil. — Tej dziewczyny także nikt nie pamięta.

Biskup Rurak pokiwał głową. Włosy miał siwe, oczy mądre, dłonie drobne i słabe.

— Pewne rzeczy zrozumieć. W Brazylii bym zrozumiał. Ale ten rodzaj ustępstwa, na które poszedłeś, Andrzej, to nie tutaj. Nie w Polsce.

Gil nachylił się do niego, ale patrzył powyżej, na krucyfiks.

— Inaczej ona by umarła. Nie rozumiesz mnie? Ja...

— Andrzej. Ja to rozumiem — Rurak przerwał mu, uniósł rękę, na znak, że nie przez takie rzeczy musiał przejść. — Szkoda, że ty nie zrozumiałeś. Czemu nie przyszedłeś z tym do mnie? Musiałeś w to wciągać kolegów z milicji?

— Ja...

Rurak przyłożył palec do ust. Tak teatralnie. Patrzył już inaczej, cieplej, wbrew szronowi za oknem.

— Następnym razem przyjdź do mnie, dobrze? — powiedział Rurak tonem nieznoszącym sprzeciwu. W jego rękach pojawiła się stuła z koślawym napisem „JEZU UFAM TOBIE”, prawdopodobnie dar od jakichś dzieci. Gil znał ją dobrze. — A teraz chciałbym usłyszeć to wszystko raz jeszcze. Tylko już spokojnie. Zawiesił sobie stułę na szyi i wskazał na krzesło obok. Gil usiadł. Spowiedź popłynęła, słowo za słowem, wina za winą, niemal szczerą, bo ksiądz doktor nie mógł się wyzbyć wątpliwości, że jeśli następna sprawa się wydarzy – a tak przecież będzie – to czy przyjdzie z nią akurat tutaj. Mówił o wszystkim, co stało się w Żaczku, niczego nie pominął. Dostrzegł swoją twarz odbitą w szybie i nagle, zupełnie niespodziewanie, zrobiło mu się źlej.



# Więcej światła

*Marzec 1988*

Cała Polska płakała tej wiosny.

Z nieba lały się rzęsiste strugi, zmieniając chodniki na Prądniku Białym w płytkie strumienie; nieliczni przechodnie mieli twarze mokre niczym od łez. W dalekiej Warszawie płakał generał Jaruzelski, rozumiejąc coraz lepiej nieodwołalność przemian, płakali Rakowski z Kiszczakiem, lamentując nad brakiem lojalności partyjnych dołów, a twarze biskupów i opozycjonistów spływały łzami szczęścia. Po domach chlipały dzieci, przejęte, że popołudnie na placu zabaw zostało im bezpowrotnie odjęte, rozpaczali menele przegonieni z ogródków działkowych, nawet psy wyglądały na smutne, a mokre koty kryły się po bramach. Święty Tomasz wiszący w mieszkaniu księdza doktora Andrzeja Gila również zalewał się łzami – dwie ich strugi sunęły po płaskich policzkach.

Trudno określić, nad czym lamentował – być może szło o Polskę, ten pijany kikut, krwawiący między dwoma epokami, być może o całe społeczeństwo, bezradne i zagubione, któremu odebrano wszystko z nadzieją włącznie, a być może Tomasz przewidywał swój niewesoły koniec, lancę i miecz na drodze ku męczeństwu. Najpewniej jednak płakał nad księdzem Andrzejem Gilem, samemu płaczu bliskim.

Gil stał naprzeciw świętego Tomasza, w drzwiach pokoju. Właściwie stać próbował, balansując na progu, przez który przelewała się woda. Kałuża, na oko kilkucentymetrowej głębokości, rozlewała się po całej podłodze, dywan pociemniał, całe strugi spływały po ścianach, tynk na suficie się pomarszczył i wyrzucił, łączenia wielkiej płyty stały się widoczne. Ciekło po obrazach i regałach, po grzbietach książek, kapało też na samego księdza doktora, a nowa, spływająca z góry fala zmierzała właśnie w stronę bezbronno komputera Mazowia. Gil ruszył.

Nim dotarł do komputera, miał przemoczone buty i spodnie wilgotne po kolana. Chciał odrzucić torbę podróżną, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał – brakło suchego miejsca, gdzie mógłby ją postawić. Woda nadciągała nieubłaganie, ksiądz doktor rzucił się więc do przodu, zerwał płaszcz i zakrył monitor, pod którym stała

jednostka centralna. Ocalony! Gil odetchnął, już spokojniej, podciągnął drugi rękaw, osłonił starannie komputer i postawił torbę na biurku. W łysiejącą czaszkę księdza doktora uderzyła tłusta kropla. Za nią następna, *pac, pac*, rozpryskiwały się na głowie i z każdą kolejną w Andrzeju Gilu narastało zupełnie niechrześcijańskie wkurwienie.

Nie wiedział, co robić, nic więc nie uczynił, patrzył jedynie na moknące książki, na grube teczki pełne kserokopii, teraz zmienione w namoknięte bryły, na zdjęcia w ramkach przylepione do szyby, wreszcie na zalanego łzami świętego Tomasza. Zacisnął pięści, rzucił w przestrzeń kilka brzydkich słów i brodząc, poczłapał do kuchni, gdzie było jeszcze gorzej.

Z sufitu zwisały mokre pajęczyny, z lodówki spływał mały wodospad, szafki zalało dokumentnie, na blacie dałoby się puszczać kaczkę. Chlupotało w naczyniach, sufit wybrzuszył się pośrodku, a lampa nie chciała się zapalić. Lodówka także była ciemna – siadła instalacja. „Szlag, szlag”, powiedział sobie ksiądz doktor, wpatrzony w półki, puste, jeśli nie liczyć kawałka białego sera i czterech okocimiów. Już letnich. Jedynym suchym miejscem okazała się wnęka na licznik gazowy z leżącym tam kluczem. Gil obrócił go w dłoni i krokiem męczennika wędrującego na rozerwanie końmi udał się do przedpokoj.

Kładł już dłoń na klamce, gdy zabrzmiało pukanie. Na progu stał nieszczęśliwy Wietnamczyk postury zabiedzonego czternastolatka, za to pyszniącego się gamą kolorów z bazaru: koszulka Detroit Pistons, jaskrawozielone spodnie z czerwonymi motywami, dodatkowo ozdobione sylwetkami Azjatów w łódkach. Bure klapki odsłaniały pożółkłe paznokcie. Gil miał przed sobą głowę jednej ze skośnookich rodzin, które stopniowo zasiedlały blok. Jak przez mgłę pamiętał, że widywał je w kościele, a kilkoro dzieci nawet ochrzcił. Na twarzy Wietnamczyka rozpacz walczyła z wściekłością.

— Woda lecieć bałdzo — powiedział. Odpowiedziało mu westchnięcie księdza doktora.

— To szczerą prawdą — odparł Gil, gdy już się nawzdychał — bardzo, bardzo. Ktoś z góry. — Zamknął za sobą drzwi i popędził po schodach. Wietnamczyk ruszył za nim.

Na piętrze już gromadzili się sąsiedzi: kobieta w stylonowej podomce i swetrze opinającym pęczniejące ciało, wąsacz w bawełnianym dresie i koszulce na ramiączkach, ciekawy świata staruszek, trzech studenci. Każdy stał na progu swojego mieszkania. Żadne nie próbowało się ruszyć, za to prowadzili ożywioną dyskusję. Woda szła szerokim strumieniem spod drzwi na końcu korytarza. Gil przyspieszył, za sobą słyszał nerwowe pohukiwania Wietnamczyka. Ktoś jeszcze,

pewno ten taksówkarz z siódmego piętra, wrzeszczał coś o studentach, skurwysynach i marnowaniu jego ciężko zarobionych pieniędzy.

Gil zapukał. Zaczął walić w drzwi, chciał kopnąć, lecz się powstrzymał. Zerknął za siebie i pomyślał o dziwnej nieprzewidywalności świata: dopiero co bawił na symposium poświęconym zresztą biblijnym prorocstwom (niestety, Pismo milczy odnośnie do potopu na Prądniku Białym), by zaraz trafić w oko cyklonu polskiego społeczeństwa. Myślał tak, bił pięściami w drzwi, kopnął, lecz niezdarnie, palec go zabolął, a ze środka zabrzmiało zaspane, niewątpliwie damskie:

— Proszę!

Drzwi okazały się otwarte i Gil od razu pomknął do łazienki, gdzie woda leciała rwącymi strumieniami. Zakręcił kurki. Wietnamczyk został w progu. Gil wycofał się na środek mieszkania. Przypominało mu jego własne, nie tylko dlatego że rozkład pomieszczeń był identyczny. Dominowała tu surowa asceza, ot, kilka starych mebli, łóżko piętrowe, a zamiast świętego Tomasza ze ściany, wzrokiem zmasakrowanego genetycznie spaniela, spod grzywki spoglądał Lhimal.

Spod kołdry na górnym łóżku wystawała kobieca głowa, właściwie to także udo i kawałek gołego tyłka, Gil udawał jednak, że widzi tylko głowę. Dziewczyna, całkiem ładna, o ciut zbyt płaskiej twarzy i miękkich kasztanowych włosach, zorientowała się, kogo ma przed sobą, i wstydliwie naciągnęła kołdrę.

— Niech będzie pochwalony — powiedziała. Głos miała zalotny.

Gil miał na końcu języka masę pytań, wniosków, słów brzydkich, z których wszystkie winny zostać wykrzywane. Coś mu mignęło: nie była to ani meblościanka z odchodzącą okleiną, ani przemoczona wykładzina dywanowa, ani nawet kretyńsko psi wzrok Lhimala, lecz coś innego. O barwie czerwonej.

— Na wieki wieków — rzekł Gil. I zaraz dodał — trochę tu mokro.

Dziewczyna przechyliła się przez łóżko, oceniła rozmiar zniszczeń, lecz jej twarz nie straciła nic z kompletnej bezbarwności.

— No, mokro. — Podrapała się w nos. — Strasznie przepraszam. Narobiliśmy kłopotu, prawda?

Coś miękkiego i nieprzyjemnego rozpierało gardło księdza doktora. Pokój, dziewczyna, na moment stały się czerwone.

— Trochę. Powiedz mi, czemu do... licha... nie zakręciłaś wody? — Gil słyszał własne słowa, jakby wypowiadał je kto inny. Zerknął za siebie. Wietnamczyk wszedł, dostrzegł dziewczynę i natychmiast się wycofał. W progu stała grupka sąsiadów.

— Bo to nie ja. Mój chłopak.

— Chłopak też nie zakręcił?

— Oj, nie! Ksiądz nie rozumie, on odkręcił wodę i sobie poszedł.

Czerwono. Znowu. Tym razem na dłużej, Gil miał wrażenie, że nurkuje we krwi, serce mu się tłukło, dłonie same zacisnęły się w pięści. Musiał milczeć długą chwilę, bo dziewczyna zapytała:

— Czy wszystko z księdzem w porządku?

W jej głosie brzmiała troska.

— Tak. Nie. — Gil zrobił pauzę. — A czemu ty nie zakręciłaś wody?

Odpowiedziała natychmiast, bez zastanowienia:

— Bałam się zmoczyć stopy.

Tym razem czerwień zalała oczy księdza doktora na dłużej, ile dokładnie – nie widział. Kontury przedmiotów uległy zamazaniu, woda stała się lepka. W tej czerwieni były jakieś wrzaski i płacze, Gilowi wydawało się nawet, że rozpoznaje swój podniesiony głos. Potem mógł przysiąc, że gdzieś pędzi, roztrąca ludzi, chwyta się poręczy. A wszystko w tym nieuchwytnym karmazynowym śnie. Czerwień odeszła, tak jak przyszła, pozostawiając Gila w jego własnym, mokrym mieszkaniu.

Przesłał świętemu Tomaszowi pełne troski spojrzenie, zerknął jeszcze na ociekający wodą krucyfiks, zdjął koloratkę i zakasał rękawy, wciąż pomstując na postępujące skretynienie studentów. Początkowo planował użyć szmaty, lecz szybko wyszło, że praca pójdzie szybciej, jeśli zwyczajnie zacznie zbierać wodę, jeżdżąc po podłodze przechylnym wiadrem. Gil do wysiłku nie nawykł i męczył się szybko.

Podłoga nie chciała się osuszyć. Zebrał wiadrem, ile się dało, i przerzucił się na szmaty, dziesiątki szmat. Nasiąkały błyskawicznie i Gil miał wrażenie, że wody nie ubywa. Wykręcał, aż zaczęły boleć go ręce, przynosił wciąż nowe, aż sięgnął po stare koszule, w które już nie wchodził. Za oknem przestało padać, wyszło popołudniowe słońce i ksiądz doktor zwyzywał siebie samego od najgorszych matołów. Otworzył okno, wpuszczając ciepłe powietrze wczesnej wiosny. Stał chwilę i patrzył na Prądnik.

Nastał wieczór i postęp prac okazał się zdumiewająco mały. Dywan wciąż był wilgotny, ksiądz doktor poszukiwał więc sposobu, by samodzielnie unieść meble i go wyszarpać. Książki napęczniały, woda wsiąkła w kartki. Krucyfiks i obraz ze świętym Tomaszem były już suche, czego nie dało się powiedzieć o reszcie mieszkania. Ksiądz doktor niejasno zaczął pojmować, że osuszanie zajmie wiele dni, a może i tygodni. Opadł na fotel, usiłując sobie wyobrazić przebieg wydarzeń, z naprawą instalacji włącznie. Zastanawiał się, czy chłopak wrócił już do domu i co powiedział swojej dziewczynie.

Myślał też o swojej przyszłości, przykrej konieczności przeniesienia się na parafię, do małego pokoju, gdzie nie zmieściłby nawet jednej trzeciej swojej biblioteki, nawet gdyby wciąż tę posiadał. Oczyma udręczonej duszy widział oszalałego z radości proboszcza Srokę, butelczynę w jego krępej dłoni, oraz siebie samego próbującego uciec nie wiadomo dokąd. Pomyślał o Ence, którego zapewne poprosi o pomoc, pierwszy raz w tak banalnej sprawie, i o tym, ile jeszcze rzeczy może wyjść, jeśli zajdzie konieczność zdzierania tynków. Panie Boże, dobry Jezu, wiemy wszyscy, jaki los czeka zatwardziały chę grzeszników, lecz co z idiotami?

No dobrze – mieszkanie na parafii, nawet przez kilka tygodni będzie uciążliwe, niekoniecznie nieznośne. Od wódki się opędzi. Posiedzi w bibliotece, właściwie może to być lekcja pokory, średniowieczni mnisi siedzieli w nieogrzewanych celach i jakoś było, więc może nie ma co się czepiać? Tak myślał ksiądz doktor, niemal pogodził się z niewesołym losem, gdy zadzwonił telefon.

Telefony zawsze dzwonią wtedy, kiedy nie powinny, ściągają człowieka spod prysznic lub z toalety, zakłócają wędrówkę pierwszego kęsa z talerza ku ustom, bezczelnie przerywają toasty, słowem kradną z życia małe, piękne chwile. Gil uznał, że gorzej już nie będzie. W słuchawce zabrzmiał głos ciotki Heleny.

— Jak było na sympozjum? — Ta to umiała przechodzić do rzeczy.

Gil przemieszkał u Heleny pół roku podczas studiów i miał jak najgorsze wspomnienia. Wysuszone, tlenione babsko z brzydką szyją zajmowało się ustawianiem życia przyszłego księdza doktora, któremu księżowanie nawet się nie śniło, za to koleżanki owszem, złościł się więc, że nie może ich sprowadzać. Ciotka zrzedziała, skrzeczała i plotła, za to jak Gil otrzymał święcenia, nabrała dla niego czci niemal nabożnej. Po prawdzie była nieszczęśliwą, samotną kobietą, której mąż zmarł, obaj synowie utonęli i nie bardzo miała komu się wyzalić. Gil odwiedzał ją raz w miesiącu, znosił z godnością skrzeki i ciasteczka, po czym wychodził z poczuciem spełnienia i ulgi.

— Co jedliście? Cielęcina była? Jak prymas? Przyjechał? — pytała. Gil nie nadażał. Prymas był jak zwykle, z uszami i raczej niewielki. Tak, podali mięso. Nie pamiętam jakie. Zajmujemy się tam Biblią, ciociu. Nie jedzeniem, lecz Biblią właśnie.

— Prymas zdrowy?

— Jak na swoje lata.

Pauza. Ciotka oddychała ze świstem.

— Masz dziwny głos. Co się stało?

— Nic się nie stało — odparł ksiądz doktor.

— Jędrus?

Nim Gil sprawę przemyślał, wylazło z niego całe popołudnie: zalane mieszkanie, Tomasz płaczący, niefrasobliwa sąsiadka. Złożył to w kilka słów, nie pamiętał nawet, jak je wypowiadał. Ciotka słuchała w milczeniu.

— No i tak — skończył — to tylko parę dni ambarasu.

— Widzisz, Jędrusiu, studenci są od tego, żeby pluć na ulicy, zajmować miejsca w tramwajach i nie gasić światła. Oni piją. Wiesz ty? Piją normalnie jak zwierzęta, wściekłe. Idę ulicą i czasem się boję. Te biusty. Te przekleństwa. I wszystko w tramwaju.

— Rozumiem, ciociu.

— Myślę sobie czasem, że u ciebie to porządki są. Gdzie tam. Papieska uczelnia diabła wpuściła. Ty to wiesz, tylko nic nie mówisz.

— Chyba nie byłem dla niej miły. — Gil przypomniał sobie rozmowę z dziewczyną i czerwoną plamę.

— Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! — tryumfowała ciocia.

— Muszę suszyć mieszkanie — przerwał — i tak czeka mnie przeprowadzka na parafię.

Zapadła nieoczekiwana cisza. Ciotka miała zwyczaj rozkręcać się do szybkości nienawistnej turbiny. Nawet oddech umilkł, jakby nagle napchała sobie usta i miała problemy z przełknięciem.

— Ciociu? Ciociu... stało się coś?

— No u ciebie — odparła natychmiast. — Przyjdź. Porozmawiamy o mieszkaniu.

Przed oczyma Gila stanął jego dawny maleńki pokój ze zbyt krótkim łóżkiem; pamiętał, jak leżał zasłuchany w ciocine szuranie lub przemykał się na bańce, zupełnie niepotrzebnie. Ciotka zawsze była na nogach.

— Nie bój się, Jędrusiu. Mieszkać razem nie będziemy. Bądź — powiedziała i rozłączyła się, wprawiając Gila w nielicze osłupienie.

Nigdy wcześniej nie zachowywała się w ten sposób, przeciwnie, do ostatniej chwili wisiała na słuchawce, trajkocząc, co u niej i jaki świat jest straszny. Niewiele myśląc, opadł na fotel i zaraz podskoczył, klnąc na mokrą tapicerkę. Otarł czoło, zerknął na milczący telefon i zabrał się do książek, zaczynając od tych, których nie lubił, żeby najmniej się złościć. Rozumiał już, że nim skończy tę robotę, Pan może zawezwać go do siebie, że za tydzień jedzie się habilitować do Rzymu i te siedem dni może spędzić na parafii, pod mostem albo w dowolnym miejscu, które wskaże mu ciocia.

Ktoś krzyczał na górze, miotał przekleństwa, a księdzu doktorowi było już wszystko jedno.

\* \* \*

Joanna Gapińska rzeczywiście była piękna; jasne włosy okalały jej trójkątną twarz, oczy miała jasne i nawet nie całkiem głupie, uśmiech biały, a usta zmysłowe, choć ciut zbyt wąskie. Spoglądała ze starego kalendarza na zapłakanego Grulę i zmieszanego Enkę, który właśnie stanął w progu. Nad jasną jej głową widniało ciemnożółte logo „Miss Polonia”.

Na stole, obok maszyny do pisania leżał walkman, jedyna nowa rzecz w tym pokoju – nawet kalendarz miał trzy lata. Meble pamiętały pewno najstarsze strajki, okien nie myto od ostatniej wizyty papieża, zielona wykładzina sprawiała wrażenie przegniłej. Na krześle kiwał się Edward Grula, trzymając własny brzuch. Wstrząsały nim skurcze, pochylał się, prostował i wówczas dobywał z siebie przejmujący szloch, jakby coś wewnątrz niego rozdzierało się na strzępy. Rwał się ten dźwięk gwałtownie, Grula zastygał, otwierając nieme usta, i tylko ciężkie łzy sunęły po jego czerwonych policzkach.

Enka znalazł się przy nim szybciej, niż pomyślał.

— On umarł! Zabity! Zadręczony! — jęknął Grula. Gwałtownie próbował coś ze sobą zrobić, czy to otrzeć twarz, czy powstrzymać szlochanie. Nie radził sobie nawet z chusteczką, zaraz mu zamokła, a łzy płynęły dalej.

— Kto umarł? — zapytał porucznik Enka.

— Karszka! — wśród spazmów nazwisko było niemal niesłyszalne. Enka zaraz pomyślał, że Adam Karszka, pijak i ubek, były kolega z wydziału, nie jest pierwszym na jego liście osób do żałowania. Powstrzymał się jednak. Nie wiedział, co robić, rzadko widywał Grulę w zupełnej rozsypce i zastanawiał się, czy powinien zmienić do niego stosunek. Uzmysłowił sobie, że menda cierpiąca wciąż pozostaje mendą.

Adam Karszka był emerytowanym milicjantem w stopniu porucznika, niekoronowanym królem przesłuchań i nieprzeciętnym pijakiem. Mało kto rozumiał, czemu Grula z nim trzyma. Karszka odszedł na wcześniejszą emeryturę rok temu, założył budę z hot dogami i jeśli wierzyć plotkom, wiodło mu się nie najgorzej, w każdym razie miał na wódkę, której całe litry wypijał w pizzerii przy Osiemnastego Stycznia, najczęściej z Grulą właśnie. Enka dostawał mdłości na samą myśl o ciepłej żytniej zagryzanej pieczarkami i cebulą na grubym, zimnym cieście. Potem Karszka pakował się do fiata, odstawiał Grulę pod dom, w ramiona stęsknionej rodziny, a sam pruł Bóg wie gdzie. Mówili, że nikt nie jeździ po pijaku tak sprawnie jak on.

— Rozbił się? — zapytał Enka, wywołując kolejną falę spazmów.

— Zamurowali go!

No to się doigrał, pomyślał porucznik Enka.

— Gdzie?

— Do betoniarki wpadł!

Gruła podniósł się, wytarł dłonie we wzorzysty sweter i wygrzebał kolejną chusteczkę. Wciąż patrzył na rulon trzymany przez porucznika Enkę i trochę się opanował. Wzrok miał półprzytomny, tułowiem raz po raz targały skurcze, a wargi drżały, ale Gruła już nie płakał.

— Wpadł głową w dół. Ktoś go wrzucił, sukinsyn pieprzony. Taka śmierć! Zbyszek, on miał usta zalane betonem, ledwo go poznali. Czaszka mu pękła. Dostała się między skrzydło mieszarki a ściankę. — Gruła za pomocą serii skomplikowanych gestów pokazał, jak to jego zdaniem wyglądało. — Taka śmierć! Taka śmierć! Adaś nie zasłużył.

— Skąd wiesz, że ktoś go wrzucił?

— Choćby dlatego że jak go znaleźli, to betoniarka była wyłączona. Powinna chodzić, no nie? — Gruła znów znalazł się na granicy placu. — To stało się niedaleko od nas, na Urzędniczej.

— Co on znowu tam robił?

— Może z budki szedł?

— Kurwa.

— Myślisz, że to ktoś od nas? Ktoś mógłby...?

W rejonach Urzędniczej i Osiemnastego Stycznia kręciło się wielu milicjantów, nie tylko za sprawą pobliskiej komendy, ale i kasyna, gdzie Enka wypił za młodu morze wódki. Dopiero po chwili zaczął się zastanawiać, dlaczego Gruła myśli akurat o psach.

— Nie mam pojęcia, Edek. — Enka odłożył rulon i stanął przed mapą wiszącą na ścianie.

Bo i skąd miał wiedzieć? Mało kto lubił Karszkę, więc może ktoś wziął odwet za stare sprawy? Albo na placu trwa wojna o miejsca? Handlarze bywają gorsi od mafii. Enka przyjrzał się mapie. Pokrywały ją koła, zbiegające się, traf chciał, akurat w rejonach Urzędniczej. Nie pamiętał już, co znaczyły, sprawdził w teczce, atlasie bez okładek, lecz swojej wiedzy nie zgłębił. Przeniósł wzrok na Joannę Gapińską. Westchnął. Wrócił do stołu i podał rulon roztrzęsionemu Gruli.

— Masz.

Gruła rozwinął. Był to kalendarz na rok bieżący, z wielkim zdjęciem Danuty Lato, której piersi wydawały się jeszcze większe – więcej, dziewczyna składała się wyłącznie z ciut obwisłego biustu i płataniny blond włosów. Wzrok Edwarda Gruli zmienił się odrobinę, ocenił uważnie walory, lecz nagle jakby Gruła przypomniał



sobie o nieszczęściu przyjaciela, o tym, że Adam Karszka już nigdy nie będzie się gapił na niczyje cycki.

— Zmień wreszcie ten kalendarz — powiedział Enka i ruszył ku drzwiom. Już na progu odwrócił się i rzekł, nie bez wahania — pójdziemy dziś na parę głębszych, co, Edziu? Po południu. — I jeszcze, proste, serdeczne — trzymaj się.

\* \* \*

— Przecież zapłaciłem za wyniesienie!

— No to jest wyniesione!

Kierowca mówił, jakby miał rozszczepiony język, w dodatku przyklejony do podniebienia.

— Przed samochód wyniesione!

— No a gdzie miało być? Miałem te księdza bambetle u siebie do lata na pace trzymać?

Kierowca mógł mieć koło czterdziestki, lecz kilkudniowy zarost postarzał go wyraźnie, wąs zaś i pociągła twarz niebezpiecznie upodabniały do Adolfa Hitlera. Nosił szerokie, płócienne spodnie i kurtkę upapraną farbą. Za to Gil, bez koloratki, a w marynarskim swetrze i w zbyt dużych sztruksach, wyglądał na człowieka, któremu nic nie wyszło co najmniej od stanu wojennego.

Stali naprzeciw siebie, obok żuka. Urzędniczą śmignął kot.

— Przecież to zwykłe draństwo! — Gil nie wytrzymał. — zapłaciłem wam z góry!

— Za wyniesienie.

— Nie zaczynaj pan znowu!

— A co ja zaczynam — mamrotał tamten — ja tragarz czy kierowca jestem? Co ja mam wiedzieć, czy pan se z kolegami sam tego nie załaduje i nie wyładuje z powrotem?

— Jakimi znów, na Boga, kolegami?

Kierowca wzruszył ramionami. Chudy pomocnik w dzinsowej koszuli patrzył na całą tę scenę z wyraźną aprobatą.

— A bo ja wiem, jakich ksiądz kolegów ma?

Gil nie wiedział, co odpowiedzieć, a zza rogu wyłonił się kolega właśnie, czyli porucznik Enka z papierami pod pachą. Udawał, że nie dostrzega księdza doktora, minął go bez słowa i stanął przed kierowcą. Pomachał mu blachą przed nosem.

— Czyj to samochód?

Kierowca w pierwszym odruchu chciał wskazać na księdza. Odpuścił jednak, powiedział prawdę.

— A zakaz wjazdu widzieliście? — zagadnął przyjemnie Enka.

— Wjechałem od drugiej strony.

— Ja już widziałem, jak wjechaliście. Pomyślałem sobie... — zapalił — że mógłbym temu waszemu autu się przyjrzeć, bo nie wygląda mi na zdolne do użytku.

Na czoło kierowcy wystąpił mars i krople potu.

— Czy coś jest nie w porządku, obywatelu oficerze?

— Nie w porządku jest to, że zastawiacie mi tutaj przejazd — Enka wskazał na otwarty garaż z pomarańczowym, dużym fiatem w środku. — No więc nie wydaje mi się, żeby wasz żuk był w porządku.

— To samochód obywatela oficera?

— Ważne tylko, że żuk jest wasz. Długo tak będziecie tu stali?

Kierowca z ulgą przywitał zmianę tematu. Rozejrzał się nerwowo, poszukując sojuszników. Pomocnik twarz miał kamienną, za to nogę wysuniętą w bok, niby kombinował, jak tu prysnąć. Za to twarz księdza promieniała dobrocią i spokojem.

— Tylko wypakujemy nowego mieszkańca i już się zwijamy. — Kierowca wysunął dłonie w obronnym geście.

Enka z zadowoleniem skinął głową, kierowca zaś skinął na pomocnika, chwycili paczki z książkami i popędzili po schodach, w ciemność kamienicy. Porucznik Enka poczekał, aż tupot umilknie, po czym nachylił się do księdza Gila:

— Cóż tu się wyrabia?

— Zalało mnie — odparł ksiądz doktor, opisał swoje nieszczęście i rzucił — a potem zadzwoniła ciotka, że może mi swoje mieszkanie odstąpić.

— Będzie ksiądz mieszkał z ciotką? — zakpił Enka. — Ładna jakaś?

— Starsza niż Matka Ziemia. Miała kilka mieszkań jeszcze sprzed wojny.

Enka pomyślał chwilę.

— Dziwne, że nie zabrali.

— Zdaje się, że ciotka trzymała ze starszymi kolegami pana porucznika. — Ksiądz Gil uśmiechnął się kwaśno. — Właśnie, a co pana tu przywiało?

Z kamienicy wypadli kierowca wraz z pomocnikiem. Zdawali się czynić wszystko, aby jeden wywrócił się o drugiego. Wyminęli jakoś porucznika z księdzem i zaczęli taszczyć materac.

— Sprawa mnie przywiała. Normalna sprawa — uściślił Enka, dmuchnął dymem w niebo. — Poza tym okolica ładna, a co!

Otaczały ich odrapane, niskie kamienice, w ulicy straszyły wyrwy. Tu i ówdzie można było dostrzec zwierzęta: pieski o krępych tułowiach i małych nóżkach, koty wychudzone i półślepe oraz mnóstwo ponurego ptactwa, dokarmianego zapewne przez lokalnych staruszków. Gołębie spacerowały dumne niczym gryfy.

— Wpadnie pan na górę, panie poruczniku? — szepnął ksiądz doktor.

Enka odpłynął myślami ku trupowi w betoniarce i czarnej rozpaczy Edwarda Gruli.

— No dobra, ale na moment. Najpierw trzeba zobaczyć, jak uwiną się nasi milusińscy.

Milusińscy uwijali się zaskakująco szybko. Paczka za paczką zniknęła w trzewiach kamienicy, pomocnik gubił nogi, za to kierowca usiłował zachować resztki godności. Mijając pana porucznika, zwalniał i prostował plecy. Wreszcie skończyli. Ksiądz doktor, nie bez wahania, włożył kierowcy banknot w brudną rękę. Kierowca uśmiechnął się przepaszająco i zniknął w kabinie żuka.

— Pomieszkać tu tylko chwilę — rzekł Gil do Enki. — Zaraz lecę się habilitować do Rzymu.

Żuk zapalił od razu, prychnął i wytoczył się na ulicę.

— Fiu, fiu — powiedział porucznik Enka. — To co, herbatka?

— Herbatka — zgodził się ksiądz doktor.

Mieszkanie było ogromne, z wysokim sufitem i masą starych gratów w każdym z trzech pokoi. W jednym z nich królowała meblościanka na wysoki połysk i wysokie regały pełne książek w twardych oprawkach, kupowanych całymi seriami i zapewne nigdy nieotworzonych. Enka gapił się chwilę na starodawny żyrandol, trącił paznokciem kineskop czarno-białego telewizora, poszurał butami po kosmatym dywanie i przewędrował do wielkiej, jasnej kuchni. Że jasna – niedobrze. Słońce, zaglądające od podwórka uwypuklało ponure fasady seledynowych szafek, ciężki zlew i lodówkę, w której można by zamknąć transporter opancerzony. Na szklankach w ociekaczu pozostały ślady palców. Enka mocował się chwilę z oknem, nim wystawił na zewnątrz swój zatroskany łeb.

Kierowca z pomocnikiem tak się spieszyli, że większość książek piętrzyła się pod ścianą w przedpokoju, obok stał materac na sztorc, a regał blokował przejście w głąb mieszkania. Enka już miał nastawiać wodę na herbatę, gdy dostrzegł, że ksiądz doktor gmera w kartonowych pudłach. Raptem Gil westchnął z ukontentowania. W jego dłoni pojawił się czarny johnny walker. Porucznik Enka z uznaniem skinął głową i zabrał się do mycia szklanek.

— Zmiany, zmiany, a wam, księżom, powodzi się jak zwykle.

Gil nalał. Usiedli.

— Niech pan porucznik sobie wyobrazi, że nasza współpraca nie jest jedyną. Każda parafia po cichu wspiera władze ludową, a raczej... — pomyślał chwilę — wychodzi naprzeciw jej duchowym potrzebom.

— Można jaśniej?

— Jaśniej to jest tak, że niedawno udzielałem ślubu pana koledze. Z innego wydziału. Stara, dobra ubecka rodzina — dodał z uśmiechem. — Musiałem zrobić mu przyspieszony kurs przedmałżeński, złożony z pierwszej komunii, bierzmowania i egzaminu.

Stuknęli się. Krzesło chwiało się pod Enką.

— To jeszcze nic strasznego — odparł pan porucznik.

— No, ale widzi pan, ten pana kolega spotykał się, jak to mówią, chodził z córką pewnego pułkownika, co skończyło się jak zwykle. Pułkownik to ateista jak i pan, panie poruczniku, ale jakimś cudem nie wyobrażał sobie życia młodej pary bez ślubu kościelnego.

Enka podrapał się po głowie.

— Jak komuna padnie, będziecie mieli przesrane.

— Oj, to nieprędko — roześmiał się Gil. — Chodźmy stąd lepiej.

Usadowili się w fotelach, przedzieleni czarnym stołem. Po lewej straszło brudne okno, po prawej piec kaflowy, zielony i sięgający sufitu. Whisky przyjemnie rozgrzewała Enkę, zastanawiał się nawet, czy nie ściągnąć tu Gruli.

— Niech ksiądz tylko pomyśli, proszę księdza — wyzłośliwił się — teraz to przecież macie jak pączek w maśle. Wystarczy mała zmiana i ludzie was zniechęcą. Ani się ksiądz obejrzy.

Ksiądz właśnie się obejrzał, konkretnie zerknął na piec kaflowy. Już miał odwrócić głowę, gdy mignął mu kształt, ni to odbity, ni to będący częścią ciemnozielonej masy, ludzki, lecz pokraczny. Zaraz zniknął. Enka mówił dalej:

— Ten kraj zdycha. Milicja jest biedna, a rząd to ja nie wiem, czy się wyżywi. Kto ma pieniądze? Kler! Kto ma ziemię i domy! Kler! — punktował. — Przecież księdza wszyscy mogą w dupę pocałować. Uczelnia, wyjazdy, rauciki.

— Zalało mi dom — przypomniał Andrzej Gil. Co jest z tym kaflem? Był ten cień, czy może nie było? A jeśli był, to co go rzuciło?

— Kościół trwa dwa tysiące lat — przypomniał.

— Ale ksiądz dobrodziej pociągnie jeszcze kilkadziesiąt — zawyrokował Enka. — Daję księdzu słowo, że lepiej udzielić jednego ślubu partyjnemu, choćby i w piwnicy, niż dziesięciu w tej waszej kruchcie. Pieniądz ten sam, a tracicie najważniejsze — ściszył głos — przymierze. Wspólny sekret. Tracisz sojuszników, księżę doktorze.

— Tu chodzi o sakramenty — odparował Gil.

Pewno mi się zdawało, myślał, patrząc na piec. Zwykły to piec był, tylko brudny, osmalony wokół drzwiczek i opleciony przez pajęczyny. Gil nachylił się, chcąc sprawdzić, czy odbije się w kafelkach. Nic z tego, tylko marny cień, o wiele mniej wyraźny od tego, który widział – lub nie widział – wcześniej. Napili się, Enkę otrzepało.

— Kiedyśmy ostatni raz tak siedzieli?

Widziałem coś czy nie?

— No, trochę minęło. Chyba jeszcze w zimie.

— To ja wiem, że chodzi o sakramenty, ale ksiądz też musi jakoś żyć. Ludzie zbiednieją i będą wytykać palcami. Zobaczysz ksiądz doktor, wcale nie będzie wesoło. Macie tu zajebiście, a nie każdy ma. Mówię księdzu, dla was idzie ku gorszemu.

Może Enka siedział jakoś inaczej? Może to był jego cień? Z drugiej strony mogło mi się zdawać, zdawało mi się z pewnością. Za oknem coś mignęło. Wzrok płata mi figle. Przecież naprawdę, naprawdę nic się nie dzieje. Tu ludzie mieszkali, tak myślał ksiądz doktor i nagle pojął, że jeśli nie przestanie wpatrywać się w piec, to rzeczywiście zobaczy na nim coś nieprzyjemnego. Podniósł się – szklanka whisky zrobiła swoje, uczyniła go rozgrzanym i chwiejnym – by włączyć czarno-biały telewizor w rogu pokoju. Enka mruknął z aprobatą.

— Jestem też naukowcem — zaznaczył Gil i polał jeszcze.

— Czemu nie ma dźwięku? — chciał wiedzieć Enka.

— Naprawdę chce pan, żebym pogłośnił?

Telewizor wyświetlał akurat Kiszczaka z Sekułą. Panowie siedzieli, podpisywali jakieś dokumenty, niby poważni i spięci, naprawdę rozsadała ich wewnętrzna siła. Brew Kiszczaka drżała.

— Oni nas załatwią — zawyrokował Enka. — Mówię ci, to wszystko nie przyniesie niczego dobrego.

— Podać?

— A ksiądz dobrodzieju poleje.

— Gula nie czeka?

Enka wzruszył ramionami. Nie mógł oderwać wzroku od telewizora. Oceniał ludzi po zmarszczonych czołach i niepewnych rękach, takich dziwnych, ni to do bitki, ni podpisywania dokumentów. Najlepiej czułyby się w kieszeni, tylko cudzej. Co z Gula? Gula... Tak.

— Edek nawet nie ruszył z komendy — prorokował Enka. — Poczekam jeszcze trochę.

\* \* \*

Ściemniało się, wciąż grał telewizor.

Gil ułożył się na fotelu, prawą rękę rozpostarł na oparciu, na niej oparł głowę, w lewej trzymał szklanekę. Podkurczył nogi. Enka siedział sztywno, ze złączonymi kolanami, a błyszczącą twarz zwrócił w stronę odbiornika. Na stole stała pusta butelka po johnnym walkerze, obok dwie setki, reklamówki z samolotu oraz resztkę ginu Seagrams, którą panowie właśnie rozpijali.

Telewizor wciąż wyświetlał oficjeli i Enka zabawiał się, dopowiadając im różne kwestie, najczęściej śmieszne, zawsze zaś świńskie. Florian Siwicki, obecny na ekranie od dwudziestu minut, mówił, jak to poszedł w kamasze szukać szczęścia w miłości, wierzył bowiem, że partyjni lecą na mundurowych. Jaruzelski mamrotał coś o przedwczesnych wytryskach i miękkich fiutach, i Enka wyobrażałby sobie to dalej, ale nagle uświadomił sobie, że przecież siedzi z księdzem. Zrobiło mu się głupio podwójnie – raz, że ksiądz, a dwa, on, Zbigniew Enka, nie powinien się tym przejmować.

— Wkurwia mnie kłamstwo, księżę drogi. Wkurwia mnie niezmiernie. Wszyscy łąą, od Jaruzela po komendanta, a ja, kurwa, nie mam pojęcia, co naprawdę się dzieje. Ludzie ganiają po piętrach. Coś pierdolą pod nosem. Ech, kochany doktorku, pora już mi iść.

— Gruła już czeka?

Gil także gapił się w telewizor, zezując co chwilę w stronę pieca. Odbijało się w nim tylko światło latarni z za okna. A Enka wstał, łatwiej i szybciej niż można by sądzić po tym, ile wypił.

— Złe pytanie — prychnął. — Nie wiem, czy Gruła jeszcze czeka.

Uściskali się.

— Wie pan, czemu pijam whisky? — zagadnął ksiądz doktor, odprowadzając Enkę do drzwi.

— Bo księdza zawsze stać na whisky.

— Otóż nie. — Gil wskazał palcem na sufit, myśląc jednak o niebie. — Po whisky mnie nie mdli, a jak widzę te gęby w telewizji, to rzygać mi się chce. Innymi słowy, ma pan rację, panie poruczniku. I niestety z miłością bliźniego nie ma to nic wspólnego.

Enka się skłonił.

— Fizjologia księży to fascynująca sprawa. Naprawdę, fascynująca.

Ksiądz doktor Andrzej Gil został sam. Słuchał, jak urzędnicy porucznik zbiega po schodach, a gdy wyrzwał przez okno, zobaczył krępa sylwetkę, rozdzielającą nierówne siły pomiędzy próbę szybkiego marszu a utrzymanie pionu. Gdziekolwiek teraz jest funkcjonariusz Grola, pewno pęknie ze szczęścia, pomyślał ksiądz doktor, ale to nie moja sprawa.

Pogłośnił telewizor.

Przyszło mu do głowy, jak wiele z życia porucznika Enki pozostaje tajemnicą. Wiedział o kobietach, wódce, kłopotach z Grolą i głupim komendantem, domyślał się samotnych wieczorów, lecz nie miał pojęcia o jego pracy. Co Zbyszek robi na co dzień? W kryminalnej jest, czyli złodzieje, mordercy. Ilu ich złapał? Ile cel zapęłnił? A ilu zabił? Nagle przypomniał sobie cień na piecu.

Z telewizora brzmiał głos Jaruzela, brudny i spokojny:

— Toczy się walka o przyszłość Polski, o to, czy uda się nadrobić opóźnienia. Zapobiec groźbie trwałego pozostawania w tyle, o odzyskanie naszego miejsca w świecie, o sprostanie wyzwaniom współczesności.

Dosyć tego, rzekł sobie Gil.

Dochodziła dziewiąta. To musiało być rzeczywiście smutne mieszkanie, skoro wypiwszy wszystko, co miał, wciąż czuł narastające przygnębienie. Drażnił go wysoki sufit. Przywykł już do życia w blokach i nie zdołał go wypatrzyć – był tylko kolaż kątów, pajęczyn i cieni. No, pajęczyny to przynajmniej nic nowego. Meble za stare. Ściany za brudne. Mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Gracjarnia. Ech, człowieku, na co ci przyszło...

Za tydzień Rzym i święty spokój, pocieszył się Andrzej Gil. Zebrał szklanki, butelki i podreptał do łazienki. Na progu przystanął. Nie wiedział, gdzie pali się światło, a gdyby nawet wiedział, mógłby użyć najwyżej łokcia. Szczęściem Enka zostawił światło w toalecie i uchylone drzwi. Gil ruszył po omacku w tę stronę, modląc się, by nie wybić sobie zębów.

Korytarz okazał się dłuższy, niż mogłoby się wydawać – Gil szedł i szedł, a pomarańczowe światło z ubikacji nie zbliżało się ani trochę. Pulsowało w dziwny sposób, raz zimne, jak w szpitalu albo trupiarni, raz znów przyjazne niby ognisko. Gil zmrużył oczy. Zwolnił. Ile ja już idę? Rozsunął dłonie, lecz nawet nie rozprostował łokci, a już dotknął ścian. Wcześniej, Gil miał pewność, przedpokój był szeroki.

Dłonie księdza doktora przyłgnęły do ścian zewnętrznymi częściami. Gil wziął głęboki oddech. Czuł chropowaty tynk, kurz, chłód murów, w których dawno nikt nie mieszkał. Warknął na siebie samego, że przecież nie powinien przejmować się

byle czym, i w tej samej chwili, jak echo myśli, ściany napały na niego, stanowczo, lecz miękko. Jak przyjacielskie pchnięcie, synchronicznie, z dwóch stron. Szkło poszło na podłogę, pękła butelka, trzasnęły szklanki, wszelki dźwięk zginął we wrzasku księdza doktora.

Gil stał w środku korytarza i przyciskał dłonie do policzków. Wciągnął głęboko powietrze, zabolalo. Krzyknąłby, gdyby mógł – zimno wlało się do płuc. Zapomniał o stłuczonym szkłe, o Ence i o tym, gdzie jest, przetoczył się po podłodze, dalej w bok, spodziewał się ściany, lecz natrafił na pustkę. Wiatr owiał mu twarz. Jak duże jest to pomieszczenie? Wstał. Zrobił kilka niezdecydowanych kroków w niewiadomym kierunku, pomarańczowe światło ubikacji zataczało koła. Ale się urznąłem!, zaśmiał się do siebie, ale się urznąłem...

Nie powinno tu być tak chłodno, nie o tej porze roku, pewno jestem chory, tłumaczył sobie. Wróciłem z podróży, stałem w wodzie po kostki, urznąłem się, to mam, grypa albo co, może zaraziłem się od prymasa, ciocia byłaby dumna. Ruszył na oślep, po czym przywalił głową w ścianę i osunął się na ziemię.

Już normalnie, już dobrze, znajomy tynk, twardy jak trzeba, i gęste światło, zostawione przez Enkę w ubikacji. Gil wstał, nie bez trudu, szedł przy ścianie, aż chwycił się klamki, szarpnął, by zobaczyć dokładnie to, czego oczekiwał – starodawną muszlę na tle kafelków, szarą smugę zakurzonego papieru, plik gazet sprzed kilku lat i najeżoną szczotkę. Co się stało? Gilowi przypomniało się, jak, będąc dzieckiem, wchodził do mętnej wody, dno opadało równo, by nagle umknąć spod nóg, woda zalewała oczy, a on cofał się gwałtownie w poszukiwaniu gruntu dla stóp. Zawsze znajdował.

Dłoń księdza Gila wymacała kontakt i zapaliła światło. Przedpokój był w miarę szeroki, można by swobodnie tańczyć walca. Była tu szafka na buty z urwaną najniższą gałką, portret jakiegoś mężczyzny zawieszony zbyt wysoko, by można było przyglądać się twarzy, jeden wielki gwóźdź, na który ksiądz doktor mógłby się nadziać, gdyby miał mniej szczęścia. Żadnego drżenia i żadnej zmiany, tylko wysoki sufit pociemniały w rogach.

Jeśli cokolwiek złego znajdowało się w tym miejscu, odeszło, nie pozostawiając po sobie śladu.

\* \* \*

— Wybacz, Edek, że się spóźniłem.

Funkcjonariusz Gruła tylko skinął głową.

Siedzieli w jednej z tych dziwnych knajp, co się ich ostatnio namnożyło. Stoły zabrano z jakiegoś starszego baru, za to ściany pyszniły się nowością: gładź



i świeża farba, momentami drewno, zdjęcia w jasnych oprawach, plakaty zespołów, które musieli lubić młodzi: NEW KIDS ON THE BLOCK, SANDRA, MATTHIAS RIEM. Grula zaszył się w kącie i sprawiał wrażenie, jakby chciał się schować przed samym sobą.

— Czuję się jak gówno — rzekł.

— Pozbierasz się.

— Ale znów o jednego mniej. Niedziela była, wiesz?

— A co niedziela ma do tego?

— Ludzie szli z kościoła, nikt nic nie widział.

Pili okocimia, przed Grulą stały już trzy puste butelki. Garbił się nad stołem, żyły wystąpiły na jego tłustą szyję, a jego palce oplatały czwartą, świeżo otwartą butelkę. Uspokoił się trochę, tylko błędził oczyma, jakby kogoś szukał.

— Pierdolnie to wszystko, mówię ci — odezwał się Enka, zapalając papierosa.

— Gdzie piłeś?

— U księdza.

— Naszego księdza?

Enka zdziwił się, że jest jakiś „nasz ksiądz”.

— Tak. Czasy, kiedy nasi trafiają do betoniarki, nie wróżą niczego dobrego. Naprawdę nikt nic nie widział?

— Patrz. — Grula kiwnął palcem — Leżą znowu, a mamy dopiero poniedziałek.

Za oknem ulicą Dzierżyńskiego z wolna maszerował tłum, przeważnie byli to starsi, człapiący po wyboistym chodniku. Zaplątał się student, młoda matka z wózkiem, paru robotników i dziewczyna w dżinsowej spódnicy; widok jej nóg przyprawiłby Łazarza o drzenie. Wierni wracali z wieczornej mszy.

— To z kościoła Misjonarzy idą — poinformował Enka.

Grula podniósł brew ze dziwienia.

— Patrzyłeś w teczki? — zagadnął.

— Patrzyłeś i nic z tego nie wyniknęło. Edek, tak prywatnie, masz jakiś pomysł?

Oszkloną ścianę knajpy minęła para. Oboje koło czterdziestki, on w pewexowych jeansach i sportowej, skórzanej kurtce, ona uderzająco podobna do Danuty Lato, tylko cyc mniejszy, za to ściśnięty do przodu. Śmignął zachodni samochód. Proszę, proszę, pomyślał Enka, teraz każdy facet pilnuje interesu, a jego kobieta to bizneswoman.

— Adaś zarabiał dużo, a jeszcze więcej wydawał. Na alkohol i panienki — wyjaśnił Grula z nostalgią w głosie, jakby odkrywał przed Enką jakąś tajemnicę.

— Niby miał tę budkę, ale robił jeszcze jakieś interesy.

— Gadasz, jakbyś się bał.

— Mi nic nie mówił.

Wystarczyło na Grulę spojrzeć, by stwierdzić, że nie kłamie, a przynajmniej nigdy się do tego nie przyzna.

— Znasz kogoś, kto wie?

— Przecież bym ci powiedział. Pośredniczył w handlu. Nigdy nie puścił farby, przerzucali z Zachodu jakąś elektronikę czy coś, słowem się nie zająknął, tylko czasem wspomniał coś o magnetowidach. Jak dostaliśmy ten na komendę, to Adaś się śmiał, że za takie pieniądze to on kupi dziesięć — opowiadał Grula. — Nie był człowiekiem, który się zwierza. Moim zdaniem zabili go za bezcen.

Gardło Enki wyszło od whisky i ginu. Zimne piwo pomagało.

— Bez przesady — rzekł.

— A ja ci mówię, że ludzie wariują od szmalu i zabijają za byle co — odparł markotnie Grula. — Pewno Adaś nawet nie wiedział, co zrobił, jak go do tej betoniary ciągnęli.

— Do betoniary.

— Żeby nas coś takiego nie spotkało!

Enka upił duży łyk.

— Nas? Za co?

— Adaś też nie wiedział, a nawet nie był już w milicji.

Tak siedzieli i pili. Barman chciał zamykać, więc Enka machnął blachą, a Grula banknotem – zostaną tu, jak długo chcą, bo gadają o śledztwie. Tylko jakim śledztwie? Z każdym kolejnym słowem sprawa stawała się bardziej odległa, a Grula coraz czerwieńszy. Tu do niczego nie dojdą, mogą tak pleść kolejny tydzień, lecz chodziło o coś innego. Otóż z Gruli wychodził człowiek, czyli coś, czego Enka obawiał się najbardziej. Nerwowe gesty, grube ciało, idiotyczne ciuchy nie skrywały już Edka niezguły, Edka ojca, pijaka, jakiegoś tam kumpla i męczybuły – ze zwałów tłuszczu wyłaniał się ktoś, kto cierpiał.

— Niewiele o nim wiem — skłamał Enka. Pili chyba siódme piwo, było już po północy.

— Są ludzie dobrzy dla rodziny i tacy, którzy są dobrzy dla kumpli. Adaś należał do tych drugich — tłumaczył Grula. Język mu się plątał. — Znałem go od dawna, ale polubiliśmy się, jak już miał tę budkę. Wyskakiwałem sobie na hot doga, on je sprzedawał. Potem już nie. Pomógł paru takim, to pracę dał, to miejsce na placu.

— Jak myślisz, korzystał tam ze starych papierów? Z tego, co miał w archiwach.

Temat archiwaliów był jednym z głównych problemów zabierających czas pracownikom komendy. Co chwilę pojawiały się kolejne komisje, które a to spisywały niektóre akta milicji i uboli, a to po prostu zamykały się w archiwach i coś tam robiły. Tak czy inaczej problem kwitów wydawał się dla krakowskich milicjantów kluczowy.

— A bo ja wiem? — Gula wzruszył ramionami. — Ustawiał ludzi, to pewne.

Ulica już opustoszała, światła w oknach pogasły, nawet pijacy nie snuli się chodnikiem. Czasem kot przemknął, czasem szczur przebiegł z krzaków do piwnicznego okna. Barman zerkał na zegarek, panowie spojrzeli po sobie, nic nie musieli dodawać. Mają dosyć, to piwo będzie ostatnim. Stuknęli się szyjkami butelek.

— Za Adasia — powiedział Gula.

W tej właśnie chwili za oknem mignął nerwowy cień. Cień okazał się księdzem Andrzejem Gilem, pędzącym na oślep i potykającym się o własne sznurowadła. Ksiądz doktor nie miał koloratki ani skarpetek, poniżej nogawek migwały gołe łydki. Omal nie potknął się o własne sznurowadła.

— Czekaj! — Enka poderwał się od stołu, a Gula tylko podniósł zmęczone oczy i wykonał znak ręką, że jest mu wszystko jedno. I tak dziś nic nie uradzą.

Tymczasem Enki już nie było. Wypadł na zewnątrz, głównie po to, by dostrzec, jak Andrzej Gil niezdarnie próbuje przecwałować przez jezdnię, cudem tylko unikając zderzenia z furgonetką, opatrzoną napisem „Piekarnia” na boku.

— No, proszę księdza!

Gil wyhamował. Odwrócił się. W świetle latarni Enka dostrzegł, jak ksiądz jest wymęczony. Gil zmrużył czerwone oczy, nie widział zbyt dobrze.

— No, to przecież ja! — zawołał porucznik Enka, a ksiądz doktor rozpoznał głos i z wyraźną ulgą ruszył w jego kierunku.

\* \* \*

Istnieją różne rodzaje kaca. Ksiądz doktor Andrzej Gil znał je wszystkie.

Jest kac zdradziecki, zaczynający się od złudy dobrego samopoczucia. Człowiek budzi się jasny i przytomny w słonecznym świetle, nogi same niosą, w głowie pracują naoliwione tłoki, wszystko pcha ku działaniu. Po dziesiątym, setnym ruchu, najczęściej podczas jakiejś ważnej czynności, przychodzi krach, ciało łamie się niczym stare drzewo, usta wysychają, pod czaszką wszystko gaśnie, z nosa wypływa ciemność. Reszta dnia jest stracona, trzeba się snuć i cierpieć albo iść po klina.

Jest kac morderczy, niby złośliwy olbrzym pustoszący wioski ciała. Atakuje wraz z przebudzeniem, tępym bólem, suchością w ustach, wiotkością mięśni, a nade wszystko paranoją we łbie. Myśli gonią się same niby wściekłe psy, szepczą złe rzeczy: dziś nie musisz nic robić, cokolwiek się stanie, i tak zabraknie pieniędzy, a Boga nie ma i nigdy nie było, tylko zwiędłe ciało do krzyża przybite, wolne od troski o kogokolwiek.

Jest kac wychodzący z pijaństwa, cierpienie przemiany. Człowiek budzi się wciąż urznięty, w szklanej bańce wódczanej, w niej krąży, a wszystko, co chwyci, leci mu z rąk. Pojawiają się kawy i wody mineralne, magnez i witaminy, ciepła herbata, aż bańka rozdziera się powoli, przez szpary wchodzą kły i pazury. Boli i suszy, jak to na kacu, do tego przypomina o sobie żołądek: wtedy żebrak i król, profesor i spawacz, ksiądz nawet, spędza przedpołudnie z głową wetkniętą w kibel.

Ksiądz doktor Andrzej Gil obudził się z czwartym rodzajem kaca. Ledwo otworzył oczy, a już był przytomny, zarazem niezdolny do sklecenia najprostszej nawet myśli. Bolało serce, jałowcówka wysuszyła gardło, nadkwasota paliła, jakby przełyk zalać żółcią. Wiedział, że przeleży tak do świtu, może spróbować czytać, lecz nie zrozumie ani zdania, telewizor go zmęczy, a radio rozzłości. Gdyby w domu był alkohol, na przykład puszka piwa, Gil wypiłby ją i spał do południa.

Piwa jednak nie było, gin się skończył, i ksiądz doktor zastanowił się, czy w szafce kuchennej rzeczywiście leżą migdały, czy tylko mu się zdawało. Z pewnością gdzieś była butelka gazowanej mineralnej. Podniósł się z łóżka, oczy miał półprzymknięte. Owiął go chłód. Po omacku znalazł spodnie i boso poczłapał w kierunku kuchni.

Przystanął przed drzwiami do przedpokoju, kuchnia była po przeciwnej stronie, trzeba było dwóch kroków, żeby się w niej znaleźć. Gil nie miał ochoty wchodzić w ciemność, otworzył więc oczy. Mrok nie ustąpił. Obmacał ścianę wokół futryny, szukając włącznika. Na próżno. Otwarte drzwi kuchenne odsłaniały szerokie okno, drzewo i latarnię za tym oknem, wcześniej – ciemną podłogę i przysadzisty stół. Rzeczywiście, mineralna tam była.

Gil postanowił sobie, że po habilitacji ofiaruje Bogu rok trzeźwości. Albo dwa. Po prawdzie, doszło do niego, miłosierny Stwórca nie obraziłby się na ofiarę dożywotniej abstynencji, może i tak będzie, obiecał sobie, Bóg wybacza ludziom ich słabości, lecz nie wtedy, gdy słabości zwyciężają. Pokrzepiony tą myślą ksiądz doktor Andrzej Gil wszedł do przedpokoju.

Potem, wspomniawszy to zdarzenie, porównywał je do rąk wyskakujących z nicości i zaciskających się na gardle. Poczłwał niemal rzeczywisty uchwyt wokół szyi. Okręciło księdzem, mignęło okno i pokój, z którego przyszedł, chciał chwycić się czegokolwiek i poleciał w ciemność. Wylądował na czworakach, walnął się

w kolano i wrzasnął. Klęczał na zimnej podłodze, dwakroć bardziej przytomny niż pół minuty temu. Już nic nie trzymało go za gardło. Widział zamknięte drzwi do ubikacji i drewniane deski na podłodze. Wziął oddech i właśnie wtedy deska zadrżała jak powierzchnia jeziora, kiedy uderza w nią pojedyncza kropla, drewniany kształt wybił się ku górze, za nim następne, cała podłoga zafalowała niby siekana deszczem. Gil zerwał się i dostrzegł, że ściany także drżą, a sufit faluje.

Widział wyraźnie, mimo ciemności, dziesiątki kształtów, ożywionych cieni tańczących po przedpokoju. Pojawiały się tylko na moment, by zaraz się rozprysnąć lub wrócić bezgłośnie w drewno lub tynk. Niektóre większe od człowieka, inne malutkie – kwiaty, ludzie, zwierzęta, kontury, których istnienia Gil nie podejrzewał. Im dłużej skupiał wzrok na szczególe, tym szczegół stawał się wyraźniejszy.

Chmura spływająca z sufitu przemieniła się w służącą i dostawcę węgla. Ona miała czarną spódnicę zadartą na plecy i białą bluzkę, teraz rozpiętą, on – umorusane spodnie spuszczone do kolan, baki i wąsy. Brał ją od tyłu, nerwowymi ruchami, ona jęczała przy każdym pchnięciu, warkocz kołysał się miarowo. Za nimi wyrosły cienie sprzętów domowych, piec, w którym buchał ogień. Dostawca węgla był bliski szczytu, lecz wizja się rozwiała, nim zdołał go osiągnąć.

Kolejny obłok, tym razem z dołu, uniósł się niczym kłęb gorących oparów, po czym rozwiął się, odsłaniając zsiniałe ciała dwóch chłopców, ułożone koło siebie. Nogi były podkurczone, dłonie splecione na brzuchach, twarze sine i powykrzywiane, oczy wytrzeszczone, jakby zaraz miały pęknąć, przerażone tym, co zobaczyły. Chłopcy mogli mieć koło szesnastu lat. Nosili koszule z wysokimi kołnierzami, jeden miał krótkie, płócienne spodnie, drugi długie, za to podwinięte do kolan. Przerażony Gil ruszył ku nim. Przepadli.

Ksiądz doktor, przyzywając na pomoc Boga w Trójcy jedyne, Najświętszą Panią i wszystkich świętych wycofał się w stronę kuchni, chwycił framugę, po czym cofnął dłoń – taka była gorąca! Zataczając się, wszedł do środka. Błat, na który opadł, był już zimny. Wiatr akurat dmuchnął i gałęzie zabębniły o szybę. Gil machnął ręką, wywalając butelkę mineralnej – na krześle, przy drugim końcu stołu siedział cień o ludzkim kształcie, lecz wyraźnie większy od człowieka, i kiwał na księdza guzowatym palcem.

Zadziwiająco spokojny, Gil mechanicznym ruchem doskoczył do ściany i sięgnął włącznika. Światło zalało kuchnię i postać na krześle przepadła. Gil wziął głęboki oddech, schował twarz w dłoniach. Chciał zniknąć, jak widma, które przed chwilą zobaczył. Sięgnął po mineralną. Ledwo się obejrzał, a wypił pół butelki.

Wypadł na balkon, zaczerpnąć powietrza i popatrzeć na światła spokojnych domów, mieszkań, gdzie co najwyżej mąż pije i bije, lecz nie ma żadnych upiorów. Taki spokój... Fasady krakowskich kamienic łuszczyły się jak stara skóra, na drzewach pojawiały się pierwsze liście, gołębie siedziały w nieruchomych rzędach. Daleko błyskały akademiki, migotały gwiazdy i czerwone światło samolotu. Odwrócił się.

W przedpokoju siedział kot, wielkości dużego psa – właściwie przecucie kota, bez ostrych konturów i z rozmazanymi plamami oczu. Prześwitywała przez niego ściana i podłoga. Zwierzę łypnęło na struchlałego księdza i z prawdziwie kocią godnością powędrowało ku wyjściu. Zagłębiło się w ciemności, a jego kształt natychmiast się wyostrzył, barwa nabrała głębi. Kot odwrócił się jeszcze, pokazał wyraźnie zarysowane, jarzące się oczy i poszedł.

Gil spojrział w górę. Zamiast nieba zobaczył tylko dach z blachy falistej.

Nie zostanie tutaj, choćby miał iść pod most lub nawet na parafię. Tak, przytulna parafia, dobry proboszcz Sowa, tam nigdy nie stało się nic złego. Nieważne. Chwiejąc się, przeszedł przez kuchnię, zapalił światło w przedpokoju. Miejsce jak miejsce, nic niezwykłego – nie zostanie tutaj, mimo naglących pytań. To duchy czy delirium? Konsekwencja zmęczenia? Jego czy tego miejsca? Tych odpowiedzi już nie pozna. Nie wolno kusić Złego.

\* \* \*

— Ja tam nie wejść — rzekł ksiądz doktor Andrzej Gil, a porucznik Enka posłał rozpaczliwe spojrzenie w kierunku gasnących świateł knajpy. Gula musiał pojąć, co się święci, bo coś uparcie klarował barmanowi, pomagając sobie dłońmi. Na próżno. Gula cały zafalował, zacisnął pięści i wyszedł w noc. Za nim szczęknął zamek.

Jeśli nawet poczuł zdziwienie na widok księdza Gila, nie dał nic po sobie poznać.

— Szczęść Boże — mruknął. — To ja się zbieram. Nawet nie wiem, jak moje dzieci wyglądają.

Wcisnął w dłoń Enki teczkę, którą ten zostawił w środku, i podreptał środkiem ulicy, z rękami w kieszeniach. Patrzył po budynkach, wzdychał, zwalniał co chwilę, jakby nogi plątały mu własne niewesołe myśli.

— Edziu? Można tu gdzieś coś chlapnąć? — zawołał za nim Enka.

— Monopolowy to jest, koledzy, na Osiemnastego Stycznia, i też zamknięty — odparł Gula poważnym głosem — a żadna knajpa w pobliżu nie wchodzi w grę.

Enka kiwnął głową w kierunku, z którego przyszedł ksiądz doktor.

— Ja tam nie wejdę — powtórzył Gil.

— Krzyż pański z księdzem dobrodziejem — skwitował Enka — wieczór w sumie ciepły. Ksiądz poczeka, wezmę księdzu coś na wynos.

Zawrócił ku knajpie, a barman na sam jego widok jął wykonywać gesty sprzeciwu, coś machał i pohukiwał. Enka wydobył blachę, zastukał w szybę i powiedział spokojnie, że już nie zamierza wracać, tylko ślicznie prosi, żeby mu dali dwa piwa na wynos, najlepiej w puszcze, a jak w butelce, to żeby od razu otworzyć.

— Wolę mineralną — rzekł Andrzej Gil.

Przespacerowali kilkadziesiąt metrów, skręcili i znaleźli wygodny murek w jednej z bocznych uliczek. Za nimi straszyły badyle, dopiero co obsypane rzadkimi liśćmi, po drugiej stronie wznosiła się fasada kamienicy. Ence skojarzyła się ze starą babą, która przez pół wieku kładła sobie na twarz grube warstwy najpodlejszego makijażu, a teraz, skóra zeszła prawie do mięsa, nie miała siły o siebie zadbać. Gil pił powoli mineralną i wbijał wzrok w brudny mur. Dłonie mu drżały, pocił się, mimo że nie było zbyt ciepło.

— Co jest? — zagadnął Enka.

— Nic takiego.

— Omal ksiądz nie zabił się o własne buty, więc może dajmy temu spokój — mówił Enka, jeżdżąc palcem po brzegu puszek. — Znowu spiłem Edka. Właściwie to sam się spił. Maraton jakiś, najpierw ksiądz, potem Edzio, teraz ksiądz znowu. Balanga z kolegami z roboty nie przynosi nic dobrego.

Gil nie zrozumiał dowcipu.

— Trzeba było sobie wziąć to pieprzone piwo. Przecież to nie księdza parafia. Myśli ksiądz, że Bóg coś widzi przez te chmury?

— Tak uważają niektórzy muźłmanie i ja myślę, że On raczej widzi. — Wzrok księdza Gila rzeczywiście ciążył ku puszcze.

Enka wyjął papierosa, licząc, że paląc, choć trochę wzbudzi złość w rozmówcy, tymczasem z pierwszym dymem rozmowa się urwała. Enka gapił się na żar, a ksiądz doktor nie wiadomo gdzie.

— Rozumiem, że nowe mieszkanie nie bardzo — powiedział Enka po dłuższej chwili. Gil tylko wzruszył ramionami. — Ej, no! Księżę doktorze. Nie z każdym można pogadać.

— Moja ciotka jest lekko szalona, ale radziła sobie świetnie — zaczął ksiądz z lekkim wahaniem. — Widzi pan, szło jej świetnie jeszcze w czasach wojny, mówiłem już panu, z kim trzymała po wojnie, i nie zamierzam tego powtarzać.

A potem szczęście się od niej odwróciło. Bóg ukarał ją najmocniej, jak Bóg tylko umie.

— Choróbsko, co?

— Bliscy. Śmierć bliskich, panie poruczniku. Choroba przychodzi później, kiedy trzeba cierpieć w samotności.

— Tak bywa — Enka miał na końcu języka złośliwą uwagę, lecz się powstrzymał. — Ile ciotka ma tych mieszkań?

— Ze cztery. Ale wujek powiesił się właśnie w tym.

Porucznik Enka miał akurat usta pełne piwa i przez moment wydało się, że się nim zakrztusi.

— Dzisiaj?

— Dwadzieścia lat temu — opowiadał Gil — ciotka z mężem zajmowali trzypokojowe mieszkanie na Waryńskiego, ona żyje tam do dzisiaj. Wujek pomieszkiwał tutaj, na Urzędniczej, bo robił remont, a rzecz szła też o to, żeby władza tego nie przejęła. Takie czasy. Po prawdzie myślę, że wujo miał dosyć ciotki i dobrze mu się samemu pracowało.

— Mieszkanie z kobietą to ciężki kawałek chleba, a małżeństwo już całkiem. — Nie wiedzieć czemu, Enka pomyślał o Gruli, który wraca do żony, ta suszy mu łeb za pijaństwo, więc Grula, znów zaśnie na kanapie snem krótkim i przykrym. Zbudzi się razem z dziećmi, wyprawi do szkoły, będzie śmiał się z nimi, żartował, a przecież zabili mu przyjaciela.

— Wujo siedział tam trochę czasu. Mnie tylko to opowiadali. Ciotka na przykład wspominała, że najpierw przychodził na noce, potem na co drugą, a pod koniec, na parę tygodni przed śmiercią, zjawiał się na sobotę i niedzielę, a potem szedł rzekomo remont robić. Uśmiechnięty był, ale i nerwowy. Nic w każdym razie nie wróżyło nieszczęścia, ciotka myślała, że ma kochankę, i kiedy nie wrócił trzy dni pod rząd, nawet się nie odezwał, poszła zobaczyć, co się dzieje.

— Nigdy tak się nie robi — przypomniał porucznik Enka.

— Weszła bez pukania. — Gil przełknął ślinę. — Wujo wisiał w kuchni, na linie, którą zrobił z poskręcanych sznurków do prania. Zostawił list, w którym stwierdzał, że zrobił to, co musiał, nic więcej, i błagał ciotkę na wszystkie świętości, żeby pozbyła się tego mieszkania, a w każdym razie przychodziła tam najrzadziej i pod żadnym pozorem nie zostawała na noc.

— Też ciekawe. — Enka podsunął Gilowi puszkę pod nos, lecz ten odmówił. Za to w oknie kamienicy pojawiła się starsza pyzata gęba z włosami w papilotach. Usta wyduły się z oburzenia i gęba zniknęła w ciemnościach mieszkania.



— Nie wiem, czy ciotka naprawdę kochała męża, ale nikt nie miałby ochoty przebywać w mieszkaniu wisielca. Po kilku miesiącach najęła ekipę, by dokończyli remont, i z tego co wiem, nie stało się wówczas nic złego. Nikt nic nie... widział.

— A co tam niby jest do oglądania?

Gil spowaźniał.

— Mam mówić czy nie?

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Ta część Krakowa zachowała odrobinę dawnej dzikości – akurat z drzewa zbiegła kuna, przemknęła chodnikiem po drugiej stronie, zatrzymała się, węsząc przy kratce ściekowej, i wyraźnie zastanawiała się, co dalej ze sobą zrobić.

— Weź spierdalaj — powiedział porucznik Enka i wiewiórka posłuchała.

— Mieszkanie stało puste. Ciotka poprosiła synów, żeby zanieśli tam trochę swoich starych rzeczy. Rozumie pan porucznik, płyty, których nie słuchali, nielubiane ubrania, książki, trochę różnego drobiazgu. Inaczej władza mogłaby przejąć mieszkanie, a dawne kontakty mogły by nie pomóc.

Enka zorientował się, że Gil wypowiada słowo „władza” na dwa sposoby. Gdy rzecz szła o Ojca w Niebiesiech, księżowski głos drżał z szacunku i lęku, właściwego chłopcom, którzy coś zbroili i liczą, że im się upiecze. Z kolei w wypadku władzy ziemskiej, a konkretnie ludowej, Gil cedził po kolei dwie sylaby, jakby mu coś pod nosem śmierdziało.

— Tak też zrobiono — kontynuował Gil. — Wuj powiesił się z końcem zimy, a w lipcu chłopcy, synowie ciotki, pojechali na obóz żeglarski i tam utonęli. Ciotka załamała się zupełnie i chyba odtąd nie była na Urzędniczej. Wynajmowała, najczęściej lokal stał pusty i nawet nie wiem, jakim cudem zdołała go ocalić. Myślę, że nikt nie kwapił się, by go przejąć, bo widzi pan, panie poruczniku, to miejsce nie kojarzy się z niczym dobrym. — Odstawił butelkę na murek, otarł czoło rękawem i popatrzył na porucznika Enkę. — Ja ich widziałem dzisiaj. Obu chłopców. Jak pana w tej chwili.

Enka skinął głową i wydał z siebie wszystko mówiące „aha”.

— Skąd wiem, że to oni? — Gil zerwał się z murku i zaczął spacerować tam i z powrotem, szybkim, nerwowym krokiem. — Nie znałem ich, nie miałem jak, ale mieszkanie ciotki jest obwieszane ich zdjęciami. Jedno obok drugiego. Dziś tam byli. Leżeli na podłodze. Martwi. W strojach, jakie zwykle zabiera się na wycieczki, i jeśli chce mi pan teraz powiedzieć, że zwariowałem, proszę sobie darować.

— Nie mówię niczego takiego — Enka pospieszył z wyjaśnieniem. — Nie dziwię się, że ksiądz miał pełne portki. Niech mi ksiądz lepiej powie, po kiego

grzyba ciotka kazała księdzu tam zamieszkać?

— Nie kazała. Prosiła.

— To po kiego grzyba ksiądz się zgodził?

— Można to ująć w ten sposób: jak się stoi po kostki w wodzie, we własnym mieszkaniu, to perspektywa się zmienia. Słyszałem o tym mieszkaniu, jasne, ale skąd mogłem wiedzieć... Te wszystkie opowieści mają sporo lat. Nie sądziłem, że to prawda.

— Trochę razem przeszliśmy — wtrącił Enka.

— Zalane mieszkanie...

— Dobra, dobra. Co to za opowieści?

— Niewiele pamiętam. Myślę, że ciotka chciała, bym sprawdził, co się tam dzieje. Czasy się zmieniają, może ktoś miał na nie chrapkę? Nie wiem zresztą... Mało kto tam wytrzymał, ludzie wprowadzali się na miesiąc, pół roku, półtora, nie dłużej, mimo że stawka wcale nie była wygórowana.

— Zmarł tam ktoś jeszcze?

Gil nie zdołał stwierdzić, czy Enka wierzy mu, czy nie.

— Nie. To znaczy tak — poprawił się — dawno temu. Na początku wieku była słynna sprawa w Krakowie, czeladnik zabił służącą, właśnie tam. Planowali ślub, chłopak odkrył, że narzeczona ma romans z węglarzem, chwycił za siekiere i ją porąbał. Okropna sprawa — dodał bez przekonania. — Skazali go na śmierć.

— Ciekawe, co z węglarzem.

Jest właśnie u mnie.

Ksiądz doktor, który planował powiedzieć Ence, że widział także dziewczynę i węglarza, nagle zmienił zdanie.

— Teraz rozumie pan, dlaczego nie chcę tam wracać. Nie obchodzi mnie, czemu wujek się zabił, wiem za to świetnie, czemu ludzie zwiewają z Urzędniczej, gdzie pieprz rośnie. Nie wrócę — powtórzył. — Chyba to może pan porucznik pojąć?

— Właśnie nie do końca.

— To nie wiem, co jeszcze miałyby się stać.

— Zawsze można sprawdzić. Niech mi ksiądz powie, skąd ksiądz wie to wszystko. Od ciotki?

Gil potrząsnął głową.

— Nie tylko. Znajomy pracuje w Jagiellonce i pasjonuje się takimi historiami. Kiedy się dowiedział, że ciotka ma mieszkanie na Urzędniczej, właśnie to mieszkanie — zaznaczył ksiądz — stawał na uszach, żebym go tam wpuścił.

Opowiedział mi o węglarzu i stwierdził, że ciotka dostała je tak łatwo, bo z tym miejscem kłopoty były już przed wojną. Nie ma co kusić losu.

— Zawsze go kusiliśmy. — Enka dopił piwo i zgniótł puszkę. — Myślę nawet, że we dwóch jest ciut różniej.

Noga księdza doktora zamarła w pół kroku.

— Już powiedziałem...

— Ksiądz doktor daruje, ale ksiądz doktor czasem różne rzeczy gada. Co z tymi bambetlami, co je na górę niedawno wnosili? Przecież ich ksiądz nie zabrał. Tak zostaną? — zagadywał przyjaźnie Enka. — Książki księdza...

— To tylko książki.

— Przecież ksiądz bez nich żyć nie może. — Enka, bardzo powoli, ruszył w kierunku Urzędniczej. Gil dotrzymał mu kroku i tylko ciągle spoglądał za siebie.

— Myślałem czy nie zapłacić robotnikom, żeby je znieśli — powiedział.

A Enka tylko wzruszył ramionami, zapalił papierosa, zmiął pustą paczkę i cisnął w krzaki. Poklepał się po kieszeniach, sprawdzając, czy ma następną. Pomyślał o Adamie Karszce i o tym, jaki trzask musi wydawać głowa miażdżona w betoniarce.

\* \* \*

Mieszkanie, zdaniem Enki, nic się nie zmieniło, za to Gil pobladł jeszcze i nie umiał trafić kluczem w zamek. Gdy weszli do środka, natychmiast zapalił wszystkie światła.

— Nie mam wódki — wyznał.

— Herbata starczy.

Ence dość szumiało w głowie. Usiadł na blacie w kuchni, zamachał nogami i popatrzył za okno. Gil nastawił wodę, sprawdził szafki, niestety – puste. Zabrał się do przetrząsania pudeł, wyjmował jakieś puzderka, figurki świętych, krzyże, pamiątki studenckie, aż chwycił złotawy przedmiot wielkości podstawki pod piwo. Niewiarygodne, ale pobladł jeszcze bardziej. Wrzasnął, chciał cisnąć tą rzeczą. Sprawiała wrażenie przyklejonej do jego palców.

Enka położył mu dłoń na ramieniu. Rozwarł palce i zobaczył, że Gil trzyma zabytkowy kompas, pełen zdobień, bardzo piękny. Niebieska strzałka, zamiast wskazywać północ, wirowała niby wiatraczek.

\* \* \*

Na drzwiach stało TRANSPIOTREX. Porucznik Enka nacisnął klamkę. Pod pachą miał teczkę.

Wewnątrz znajdowało się zwyczajne biuro, z baterią potiomkinowskich mebli na wysoki połysk; wystarczyłoby chuchnąć, dmuchnąć i wszystkie świnki z szaf znalazłyby się na podłodze. Za biurkiem, zawałonym przez papierzyska, kubiki, z których nie zginęła chyba ani jedna karteczka, jednorazowe długopisy i baterie spinaczy, kokosiła się sekretarka. Enka zaraz pomyślał, że świeżo urwała się spod latarni, i skonstatował, że prawdziwej, tępej suki to nie miał z półtora roku albo i dłużej.

— Zbigniew Enka z milicji. Byłem umówiony z panem Radwanem.

Niesłychanie powoli, jakby wyzwalając się z niewidzialnych więzów lub wynurzając nogi z miodu, w którym tkwiły po kolana, sekretarka uniosła się z fotela, poprawiła niebieski żakiecik, posłała Ence spojrzenie najgłupszej krasuli na łące i uchyliła drzwi gabinetu. Coś tam pomamrotała. Porucznik Enka przekładał teczkę z ręki do ręki. W końcu poproszono go do środka.

Radwan siedział za szerokim biurkiem, które w wyjątkowo złym świetle mogło uchodzić za mahoniowe. Przynajmniej blat się błyszczał. Na ścianie wisiał obraz, widoczek, a na wieszaku płaszcz z lamy. Ściany były ciemne.

— Napije się pan? — padło pytanie.

Enka odmówił i Radwan nalał sobie ciemnego płynu z karafki. Nie pił. Był mężczyzną koło pięćdziesiątki, o czarnych włosach bez zakoli i twarzy niemal zupełnie pozbawionej mimiki. Tylko grube bruzdy koło małych ust drgały przy każdym słowie. Nieruchome oczy patrzyły nie na Enkę, lecz tuż obok.

— No i jak mogę panu pomóc, panie poruczniku? — Radwan splótł grube palce.

— Pamięta pan Adama Karszkę?

Radwan przymknął oczy, jakby oślepiło go słońce.

— Oczywiście, że pamiętam. Zdaje się, że już nie żyje. Nie zamierzam iść na pogrzeb, jeśli pan o to pyta.

— Dobrze go pan znał?

— Przecież każdy go znał — rzekł Radwan cicho i powoli. — To był kompan do wódki, pół dzielnicy z nim piło. Pewnie z tego powodu nie widziałem go od kilku miesięcy. Może jednak pan usiądzie?

Enka pokręcił głową. Wszystko wskazywało, że rozmowa będzie krótka i najpewniej niepotrzebna.

— Chciałem pana zapytać, czy słyszał pan o nim coś w ostatnich dniach. Albo o jego kontaktach. Bo że go pan nie widział, to już wiem.

— Czy słyszałem? No oczywiście, słyszałem, tak towarzyskiego człowieka ze świecą szukać. Miał kontakty wśród bab na placu, taksówkarzy, paserów i moczymord, czyli prawdziwych luminarzy tej okolicy. Jeśli to pana interesuje, to raz jadłem u niego w tej budce i strułem się okropnie. Jeśli żywił się sam u siebie, nic dziwnego, że umarł.

— Nie. Miał straszną śmierć — rzekł głucho Enka.

— No to bardzo mi przykro, ale ja nic tu nie poradzę. — Zerknął na złoty zegarek. — Następnym razem proszę mi przesłać wezwanie na komendę, tylko, dobry Boże, niech pan ma coś konkretnego.

Enka zacisnął palce na teczce.

— Dużo ludzi umiera.

— Tak już jest świat stworzony, panie poruczniku.

Dopiero na zewnątrz Enkę krew zalała. Ulica Dzierżyńskiego drżała w tym pieprzonym słońcu, a marcowe niebo miało konsystencję wódczanej rzygowiny. Enka pięści zacisnął i w pierwszym odruchu chciał przywalić w ścianę. Nie znosił bezsilności – tej chwili, kiedy stoi z opuszczonymi dłońmi i wyżej chuja nie podskoczy. A chuj był wysoko. Co za chuj, powiedział sobie, co za chuj. Otworzył teczkę, choć wiedział, i to dobrze, z kim ma do czynienia.

Wewnątrz gniotły się dokumenty. A na nich karteczka: „Andrzej Radwan major służby bezpieczeństwa w województwie krakowskim, odszedł ze służby na własną prośbę w roku 1988”.

\* \* \*

Andrzej Gil zdecydował się przenieść telewizor do kuchni, nie tylko dlatego, że tutaj odbierał lepiej – antena dachowa nie działała i porucznik Enka załatwił sprawę, wystawiając kawał drutu za okno. Teraz obraz już nie śnieżył, no i można było siedzieć przy stole, pić i zerkać w ekran. Akurat szła reklama – Einstein grał na skrzypcach w swoim zagraconym mieszkaniu. Przy ścianie stała tablica z równaniem, nad którym mordował się geniusz. Nagle przyszedł marynarz z jakąś paczką, równanie poprawił i powiedział, że jest z Baltony.

— Zwariować można — oświadczył Enka.

Uznali, że lepiej będzie spędzić popołudnie na trzeźwo, więc ksiądz doktor zajmował się głównie robieniem kolejnych kaw. W tym czasie Enka podnosił swój oficerski tyłek i dreptał na balkon sobie zapalić. Stał tak chwilę, oparty o barierkę, i gapił się na ciche domy. Po spadzistych dachach spacerowały koty i gołębie, siąpił deszcz, w oknach migąły twarze staruszków i porucznik Enka nabrał przekonania,

że gdziekolwiek jest, dokądkolwiek zmierza, pójdzie tam samotnie. Zawrócił. Gil garbił się nad kawą.

— Myślę ostatnio o nadziei, panie poruczniku — powiedział. — Uważam, że kiedy skończy się nadzieja, skończy się też Polska.

— Coś podobnego.

— Niech pan się nie śmieje. Pan nie rozumie, że Polska jest w czasie niedokonanym?

Enka usiadł. W telewizorze dzieci tańczyły z paczkami chipsów.

— Nigdy nie byłem dobry z gramatyki.

— Niemcy są. Francja jest. A Polska się staje albo w ogóle jej nie będzie. Najpierw zabory. Potem budowanie, zamach majowy, Hitler, teraz nasza komuna, której nie było, bo przecież się budowała. Jeśli dom się buduje, nie jest przecież domem — wskazał na otepiałego Enkę — coś się wykluwa. Nieustannie. Fascynuje mnie to.

— Nic w tym fajnego — skwitował Enka — bo z tego, co ksiądz mówi, to jak Polska wreszcie będzie, to jej właśnie nie będzie, no ale ja nie znam się na filozofii. — Odwrócił głowę do ekranu. Spiker coś tam bełkotał, a kamera pokazywała okrągły stół pośrodku wytwornej sali, sala zaś, w domyśle, znajdowała się po środku Polski, która już nie była wytworna. Enka dodał — cholernie paskudne kurestwo. Myśli ksiądz, że będzie coś z tego?

— Ze stołu? — Gil podrapał się w nos, nie chciał rozmawiać o polityce. — Nie mam pojęcia, wiem, że to ludziom daje nadzieję.

— Czyli Polska będzie bardziej. Zdaniem księdza to dobrze czy źle?

Gil nigdy nie rozmawiał z Enką w ten sposób i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

— Jaki alkohol pan porucznik lubi?

— Mieliśmy nie pić.

— Pytam na przyszłość.

— Bo ja wiem? Może jakieś whisky albo co? Ten czarny Jasio był całkiem dobry, ale ja, wie ksiądz, to wolę jacka danielsa. Człowiek się jakoś po tym lepiej czuje. — Odchylił się, by spojrzeć za okno. Ściemniało się, za to przestał padać deszcz. — A co, ksiądz dobrodziej dostał bony do Pewexu czy jak? Bo ja mogę, mam kolebę...

— Da pan spokój, panie poruczniku. — Gil napił się kawy. — Jadę niedługo do Rzymu — przypomniał, a oczy Enki rozbłysły. — To tak, jakby pan został komendantem — zażartował — i kupię coś dobrego, na powrót, w bezcłowym.

— No i gra gitara — ucieszył się Enka. — A czemu akurat Rzym?

— Rzym? Widzi pan, panie poruczniku, ja akurat tam mam komendę główną.

Śmiali się tak długo, aż zapadła cisza, a z nią – zmrok. Siedzieli chwilę w milczeniu, patrząc to na ekran, to za okno, na ciemniejące niebo i dachy, zlewające się z kotami, gołębiami i sobą nawzajem. Enka poczuł się trochę nieswojo, ale nie wiedział, co powiedzieć. Jedyne światło dawała żarówka nad blatem, z telewizora bił srebrnawy blask, kąty ginęły w ciemności.

— W każdym razie napijemy się jak ludzie — powiedział wreszcie ksiądz doktor Andrzej Gil.

— No — zgodził się Enka. — Rzym to jest coś. Myśli ksiądz, że Kościół odnajdzie się w tym wszystkim?

Chwila ciszy.

— Znaczy, w czym?

— W tych zmianach. W tym, że można handlować dolarami, założyć firmę i trzepać kapustę. Mówiliśmy o tym niedawno przy okazji tego chrztu.

— Ślubu.

Enka przełknął ślinę.

— Strasznie ciemno tutaj.

Strasznie, w opinii księdza Gila, było bardzo dobrym słowem. Noc zapadła dziwnie szybko, a może oni tak długo rozmawiali? Mieszkanie zdawało się szeptać i drzeć, widok z okna był dziwnie odległy, jakby z innej planety. Enka miał rację, zrobiło się ciemno. Gil przełączył kontakt – pod sufitem dyndała żarówka zakryta ubitym kloszem. Dawała mdłe, ciemnożółte światło. Właściwie zrobiło się jeszcze gorzej. Spojrzał na swoje dłonie. Mogły należeć do trupa.

— Teraz lepiej — skłamał porucznik Enka.

Kuchnia zrobiła się brudnokremowa, na ścianach, w miejscu pęknięć, zaległy grube cienie, za to sufit stał się całkiem czarny, podobnie jak okno i świat za nim. Jeśli nawet coś działo się na zewnątrz: psy czekały, ludzie rozmawiali, grały radia i telewizory, to tutaj, do środka, nie dochodził żaden dźwięk.

— Wie pan, o czym jeszcze myślę? — Gil mówił niespiesznie, dobieranie słów sprawiało mu trudność. — Ma pan rację z tym, że jak Polska będzie, to jej nie będzie.

— To był żart — wykrztusił Enka.

— Żart. Może. Ale myślę sobie, że jak Polska będzie już prawie, to... no, nie wiem. Może się okazać, że przez moment nastaną porządne czasy.

— Czasy katolickie — skomentował pan porucznik i napił się kawy. Porządny łyk. Prawie do dna. Jego policzki raptem się wykrzywiły, oczy wyszły na wierzch i spluął prosto na stół. Popędził do kranu, szarpał się z kurkiem, ale mu nie szło.

— Co się stało? Co jest? — dopytywał Gil.

— Ta kawa jest słona. Kurwa, co ksiądz mi dał!?

— Przecież przed chwilą była dobra!

Żarówka zamigotała. Enka wreszcie odkręcił kurek, porwał pierwszy lepszy kubek, napełnił, napił się i znów spluął. Tym razem do zlewu. Otarł usta i miał minę, jakby zaraz zamierzał zwymiotować.

— Woda dla odmiany jest gorzka — powiedział, opanowując drzenie szczęki — jak cholera. Księżę drogi, co tutaj się dzieje?

Światło żarówki jeszcze osłabło, pod stołem wydłużyły się cienie. Enka skoczył do telewizora, wyłączył dźwięk. Oparł się o przeciwległą ścianę.

— Wkurwia mnie to.

Gil nie odpowiedział.

— Mówię, że mnie to wkurwia — gadał dalej Enka. — Zawsze zaczyna się to w ten sam sposób, jeden przychodzi do drugiego i mówi, że jest sprawa. No i sprawa jest i nagle, zupełnie niespodziewanie, a raczej spodziewanie, znajduję się w środku jakiegoś bajzlu. Gdyby w Szczytnie powiedzieli mi, że będą takie jaja, popukałbym się w łeb.

Tymczasem ksiądz doktor znieruchomiał, nogi miał sztywne, ciut rozkraczone i patrzył we wnętrza swoich dłoni. Ruszał ustami, lecz nic nie mówił. Enka zdawał się tego nie dostrzegać.

— Wie ksiądz, czego mi brakuje? Żebym, na przykład, wpadł do księdza tu albo gdzieś indziej, żeby ksiądz powiedział mi: „O, dobry wieczór, panie Zbyszku, niech pan siada i powie, co u pana”. A ja bym siadł i powiedział, że poznałem taką a taką dziewczynę, Grula zrobił to lub to, a w ogóle to zapierdol mamy na komendzie — Enka wyrzucał z siebie słowa — a potem zapytałbym księdza, jak habilitacja, jak na uniwersytecie, czy parafianie dają w kość, czy nie dają, no i pogadalibyśmy sobie, najpierw o nas, potem o życiu, a na końcu o pierdołach. I tak bym chciał, księżę doktorze, i to jak cholera.

Dwie ścieżki łez popłynęły po policzkach księdza Gila. Dotknął powiek, nacisnął, obrócił ku Ence przerażoną twarz.

— Moje oczy — rzekł sucho — zgubiłem je. Właśnie mi wypadły i nie wiem, kiedy to się stało.

Zgiął się i zaczął na kolanach sunąć po podłodze. Macał otwartymi dłońmi miejsce po miejscu, rozczapierzał palce, policzki mu drżały, po skroniach spływały



strugi potu. Porucznik Enka uklęknął przy nim, chwycił za nadgarstki, spróbował szarpnąć, nie pomogło. Spojrzał gniewnym wzrokiem.

— Gdzieś tu są — powiedział ksiądz Andrzej Gil i uwolnił się z uścisku. Szukał dalej, bardzo ostrożnie, uważając, by oczu sobie nie rozdeptać. Przez chwilę Enka nie wiedział, co robić, chwycił wreszcie szklanę z resztką wody i chlusnął w twarz księdza doktora. Gil skamieniał, warknął, zupełnie po psiemu, a Enka już klęczał przy nim, z jedną ręką na jego przedramieniu, a drugą tuż przed twarzą.

— Ile palców? Ile palców widzisz.

Gil zamrugął.

— Trzy — odpowiedział, bo tyle akurat było wysuniętych.

— Gównu — Enka roześmiał się sztucznie. — Taki żart... Palców jest pięć, rozumie ksiądz? Pięć palców.

I osunął się przy nim. Podłoga była twarda. Próbował ocenić, czy z Andrzejem jest już lepiej, i chyba było, bo mrugał i wodził oczami za dłonią, ale przede wszystkim walczył z własnym strachem. Wydawało mu się, że ktoś mierzy do niego zza pleców, z ciemności. Odwrócił się, ale nikogo tam nie było.

Za to przed nimi z mroku i światła tkąła się dziewczyna w białej sukni, o twarzy podłużnej i pięknej, niby z ożywionej ikony; przez jej długie palce przenikały pomarańczowe płomienie, a paznokcie lśniły niczym płonąca stal. Suknia sięgała do smukłych kolan, nogi kończyły się zaraz niżej, traciły ostrość i rozmywały nad podłogą. Kobieta była w ciąży. Przez napięty materiał widzieli brzuch z wyraźnym półokręgiem pępka. Dziewczyna patrzyła wprost na nich, a jej wzrok był nieodgadniony.

Gil poczuł łzy w oczach i przez moment miał ochotę klęknąć przed tą cudowną istotą, złożyć dłonie do modlitwy. Enkę aż coś przygięło, oklapnął tyłkiem, ciężko i boleśnie, oczu nie mógł oderwać, było mu i strasznie, i dziwnie, i pięknie, a nade wszystko głupio, bo poczuł, jak coś – wiadomo co – rozpiera mu spodnie w kroku.

Dziewczyna rozłożyła dłonie, cofnęła się w głąb kuchni, a przed nią zawirowały inne postacie. Po lewej wyrósł muskularny mężczyzna, czarna broda opadała na tors, w lewej dłoni trzymał bicz, prawą zaciskał na szyi szarpiącego się lwa. Po prawej jej ręce stał drugi człowiek, też brodaty i zarośnięty, a wysunięta żuchwa czyniła go podobnym do małpy. Był nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach, paznokcie u rąk przypominały pazury. Szybkim ruchem wbił włócznię w lwi kark i zwierzę skrzyknęło się w agonii.

Rozwiali się, jedno po drugim: lew, brodacze, dziewczyna.

Dom ożył i zatańczył w sennym wirowaniu, ściany ciągnęły się jak miód, podłoga unosiła się i opadała, oblewana rosą szyb. Lampa była już miękka,

gąbczasta, pełna guzów i narośli, coś sunęło pod żarówką, coś o miękkim brzuchu i wielu odnóżach, z odwłoku wysunęła się rozświetlona głowa. Pęknięcia na suficie napęczniały, zatraciły ostrość i splotły się ze sobą. Z każdym oddechem było ich więcej, wiało z nich gorącym powietrzem.

Z korytarza szedł delikatny dym, brązowawe kłęby, a w nich kawałek twarzy, dłoni, albo ogon pokryty łuską. Pchały się te kłęby do kuchni, brzmiał też oddech z głębi mieszkania.

Gil miał w głowie pustkę i z tej pustki niesłychanie opornie zrodziła się myśl, że chyba niepotrzebnie tutaj przychodził na drugą noc, skoro świetnie wiedział, co to za miejsce. Więc jesteś, księżu doktorze, coraz starszy i coraz głupszy. Zaś porucznik Enka nic nie myślał i z głową pustą niczym globus zerwał się i spróbował pobiec. Parł do przodu, coś plątało mu nogi, niemal czuł, jak ciemna maź opływa mu łydki i jak coś innego, lodowatego, wlewa się do butów. Przechylił się do przodu i rzucił do wyłącznika. Gil ruszył za nim i zrównali się dokładnie w chwili, gdy Enka włączył światło.

Ściany natychmiast zastygły, żarówka była najzwyczajniejszą żarówką i tylko milicjant z księdzem patrzyli na siebie w osłupieniu.

Enka przyłożył rękę do ust.

— Chce ksiądz wiedzieć coś jeszcze?

— Jezu — odpowiedział ksiądz doktor Andrzej Gil. Chciał dodać, że gdyby tylko przypuszczał, co się tutaj dzieje, od razu polazłby na parafię i nawet nie rozmawiał z ciotką. Zabrział dźwięk przypominający wystrzał i zapadła ciemność. W pierwszej chwili nie widzieli nawet siebie samych. Natrafili tylko na własne dłonie. Enka przesunął się ku drzwiom.

— Korki poszły. Jebane. Ksiądz czeka. Chyba widzę świetlik.

— Jaki znów świetlik? — pisał Gil.

Enka go nie słuchał, tylko poszedł pomału do przedpokoju, na którego końcu migiała kropka światła. Światło na korytarzu pozostawało zapalone. Gdzieś z tyłu zabrzmiał jęk księdza doktora, który bardzo bał się zostawać sam w tych ciemnościach. Enka nie odpuścił, zrobił kolejny krok, lecz noga w czymś mu ugrzęzła i pojawił się nowy, nieproszony gość – ból. Dziesiątki igiełek wbiły się mu się w uda i łydki, wrzasnął, poczuł, że otwierają mu się żyły i tętnice, a spodnie momentalnie nasiąkają juchą. Dotknął. Były suche. Zbliżył palce do wargi.

Szedł dalej, mimo bólu, a jasny ćwiek wcale nie chciał się zbliżyć, drżał i tańczył. Nogi Enki grzęzły coraz bardziej, igieł było coraz więcej. Odruchowo osłonił oczy – twarz obsypał mu stalowy pył. Oczy zapiekły, w ustach zagościła

suchość, zgrzytnęło w stawach kolanowych, brzuch raptem rozbolał i coś rozlewało się w nim, niby ciepła, gnijąca masa. Enka kaszlnął.

Ksiądz doktor został w przedpokoju, nie mógł iść, nawet się nie starał. Przeczougał się o metr, spróbował wstać, nie wyszło, więc uklęknął. Porucznik widziany z jego perspektywy stał się jedynie cieniem na tle ciemności, jego ruch był pozorny i tylko cierpienie prawdziwe. Pył zgęstniał, Gil dmuchnął, nic nie chciało się rozwiać. Wyciągnął dłoń, ta niemal zniknęła, owiana czarnymi drobinami. I z drobinek tych, z wirów i czarnych kłębow, zaczęły się wyłaniać kształty, jeden za drugim, najpierw postrzępione, potem niemal realne, pełne szczegółów i jasne, jakby widziane w pełnym słońcu. Gil patrzył. Oddech miał płytki.

Dwaj chłopcy, lat na oko dwanaście, śmiali się, siedząc na parapecie. Machali nogami, było im cholernie wesoło, coś tam jedli z papierowych toreb, pewno kasztanki, aż ten z lewej, o ciemnych włosach opadających na czoło, pogrzebał w niebieskim, szkolnym chałacie, wyjął zmiętego papierosa i oczy obu rozszerzyły się. Zapalił, nie umiał się zaciągać, za to drugi poszedł na całość – wziął kłęb dymu do płuc i wstydział się zakaszleć. Zrobił dziwną minę, oczy nabiegły mu łzami. Raptem otworzył usta jakby chciał rzygać, lecz kaszlnięcie poszło skądinąd. To Enka charczał ze środka korytarza. Gil znał tych chłopców, widywał ich na zdjęciach oraz martwych, zaledwie wczoraj. Dzieci jego ciotki.

Wirujący dym stał się ciężki i lepki i Gil zorientował się, że jeśli przed chwilą jeszcze oddychał z trudem, to teraz idzie mu znacznie gorzej. Coś drapało w płuca, kurczyły się, nie mógł nabrać powietrza. Z jakiegoś powodu nic sobie z tego nie robił, głowę miał lżejszą, mógł patrzeć i patrzeć, tak, to dobre miejsce, przecież oddychanie mogłoby w patrzeniu przeszkadzać.

Synowie ciotki zniknęli, a na ich miejsce pojawiła się czwórka innych młodych ludzi, dwie dziewczyny, dwóch chłopców. Pewno Amerykanie, pomyślał ksiądz doktor, w Polsce nikt tak się nie nosi. Gówniarz o pociągłej twarzy miał włosy zadbane, sztywne i dziwnie przycięte, tak że zachodziły trójkątem na czoło. Nosił obcisłą i krótką skórzaną kurtkę oraz biały podkoszulek z jakimiś esami-floresami. Jego kumpel strzygł się na krótko, miał na sobie przylegający do ciała sweterek, pod którym rysowała się nierzeczywista muskulatura: wypięta kłata, kanty bicepsów, brzuch płaski, wszystko wzięte jak z karykatury rzeźby greckiej, sprawiało wrażenie doklejonych. Barki opinały mu ramiączka plecaka. Urody dziewczyn Gil ocenić już nie umiał – błyszczały im usta, włosy miały ścięte asymetrycznie, a jedna, ta z dużym nosem, nosiła na szyi coś dziwnego: lśniące, srebrne pudełeczko z ekranikiem z migającą diodą dyndające na czarnym sznurku.

Młodzi patrzyli na coś w rosnącym przerażeniu. Pierwszy czmychnął chłopak z półdługimi włosami, za nim dziewczyny, krótko ostrzyżony jeszcze się wahał, wyciągał dłoń, w końcu pognał za nimi. Dym zgęstniał, było ciemno, lecz Gil wyraźnie widział kwadratowy plecak z wielkim napisem pośrodku: „PEKIN 2008”. Poniżej splatały się olimpijskie kółka.

Młodzi ludzie lecieli wprost na Enkę, rozwiali się tuż przed nim, a z mroku po drugiej stronie korytarza wyleciało dwóch następnych, dziewczyna w dzwonach i chłopak, z rzadkimi, długimi włosami, w starej, skórzanej kurtce i spodniach tak wąskich, że nie powinien w ogóle się w nich ruszać. Jednak pędził, przemknął przez Gila, dosłownie, i zniknął jak poprzedni. Ksiądz doktor rozdarł kołnierzyk, było piekielnie duszno. Znow spróbował wstać i znow mu nie wyszło. Opadł dłońmi na podłogę. Krew tłukła się w skroniach.

Wyrósł przed nim krępy człowiek o świńskich oczkach – rzadkie włosy oblepiały białą czaszkę, błysnął złoty zegarek, człowieczek coś mówił, jakby do siebie. Rozglądał się nerwowo, poprawił krawat, poklepał się w kamizelkę i nagle znieruchomiał. Zacisnął pięści. Trwał tak, stojąc tuż nad księdzem doktorem. Zgięło go w pół, jakby oberwał w środek pleców. Coś wypełniło jego usta i rozdziawił je, zdziwiony, a pomiędzy tłustych warg wyłonił się robak, niby szare gówno. Gila zemdliło. Nie, to nie robak, lecz beton – wychlapywał się na koszulę i kamizelkę. Oczy mężczyzny zrobiły się jeszcze większe, próbował nawet ten beton chwycić, żyły wyszły na czoło niby fioletowe pęknięcia i nagle głowa pękła, sama z siebie, zmiądzona czymś niewidocznym. W czole ziała teraz dziura, okolona postrzępionymi kawałkami czaszki. Prawy policzek zsunął się razem z kością. Gil wrzasnął, lecz nie słyszał swojego krzyku.

Mężczyzna wisiał nad nim jeszcze chwilę, po czym upadł, a Gil spróbował się osłonić. Nic jednak się nie stało. Uniósł mokre powieki i nie było nad nim nikogo, tylko kłęby pyłu. Przypadkiem wziął oddech, zabolalo jak diabli, jakby oddychał oparami azotu. Płuca jeszcze się ścisnęły, księdzu doktorowi pociemniało w oczach. Duszę się, pomyślał.

Na ścianie pojawił się miraż okna. I z okna wyszła dwudziestolatka w golfie i czapie ze sztucznego futra. Gil mógł przysiąc, że patrzy na niego tymi głębokimi, brązowymi oczyma, że śliczny nosek marszczy się na jego widok, usta wyginają się do nieśmiałego pocałunku. Do piersi przyciskała dziecko, może roczne, w przyciasnym kombinezonie. Zeskoczyła z parapetu, spojrzała w ciemność i pobiegła, by zniknąć w poruczniku Ence.

Byli też inni, dzieci i starcy, postawni mężczyźni, garbusy, grube trolle, matrony, kurwy – wyłaniali się z dymu, by zaraz w nim przepaść: ze skargą na ustach, łzami w oczach, drżeniem dłoni, lękiem, walką o życie i rozpadem. Aż Gil rozpoznał

wujka, najpierw po charakterystycznym, miękkim garniturze i niteczce krawata, potem zaś po twarzy: pucułowatych policzkach, podgardlu, okularach w grubej oprawie. Wujek zdjął marynarkę, powiesił w powietrzu, za marynarką poszła koszula i krawat. Został w podkoszulku na ramiączkach, dobył młotka i zabrał się do podważania progu między pokojem a łazienką. Gil zawiesił wzrok na muskularnym przedramieniu i nagle poczuł, że jest pod wodą. Opadał, płuca już nie bolały i tylko coś głęboko w nim wołało: cokolwiek znajdziesz na dnie, nie będzie to dobrze. Po co się martwić? I po co szarpać? Lepiej odejść, zniknąć, tutaj, w tym dymie. Oto swąd upiorów i starego domu.

Ciało księdza słabło, coś jednak kazało mu pełznąć, z twarzą przy ziemi, jak robakowi pod Bożym paluchem. Czuł chropowatość podłogi, kurz w nosie, i tylko trochę żałował, że nie widzi już tak dobrze i zaraz całkiem oślepie.

Ból owładnął ciałem porucznika Enki. Za to świetlik był wyraźnie bliżej, raz po raz Enka wyciągał więc rękę w poszukiwaniu klamki, lecz nieodmiennie trafiał w pustkę. Charczał i pluł. Ciemność darła mu skórę na pasy, wwiercała się w kości, wpychała pięść do gardła. Wiedział, że tam na dole jest lepiej. Wystarczy klęknąć albo się położyć, odpocząć, może przejdzie. Pełzanie ma swoje dobre strony, pomyślał, bicz przeszedł mu przez plecy, na kark opadły elektroniczne węże. Szedł. I z dymu, mroku, mgły wyłonił się kształt klamki. Kurewsko realny, zdaniem porucznika, lecz człowiek, który wyłonił się przed nią, realny już nie był.

Mężczyzna, w trzyczęściowym garniturze, lecz bez krawata, o ciemnych włosach zakreślających linię na czole, unosił dłonie i wyraźnie usiłował coś powiedzieć. Patrzył wprost na Enkę, a dokładnie w chwili, gdy powinno paść pierwsze słowo, facetem zatrzęsło, a na piersi zaczęła rosnać czerwona plama. Enka, któremu zakręciło się w głowie, nie czekał, tylko opadł na drzwi. Palce znalazły klamkę i światło zalało korytarz. Krwawiący mężczyzna, wujek, duchy i pył zniknęły w jednej chwili. Enka klęczał na wycieraczce.

Odwrócił się. Pośrodku przedpokoju leżał ksiądz doktor i delikatnie poruszał prawą ręką. Dłoń porucznika przyjął z wdzięcznością. Enka pomógł mu wstać. Gil z wolna dochodził do siebie. Popatrzył w stronę pustego przedpokoju, dostał mdłości – snop światła rozświetlał korytarz, jednak pod sufitem, w ciemnych rogach wciąż wirowały kształty i pył. Enka zrozumiał. Zatrzęsnał drzwi.

— Ksiądz sobie koloratkę poprawi — rzekł ciężko.

Dopiero teraz spostrzegli studenta trzęsącego się na progu mieszkania po drugiej stronie. Wyglądał, jakby rozważał pospieszne wycofanie się do siebie lub ucieczkę po schodach. Enka wydobył blachę i rzucił uspokajająco:

— Wszystko w porządku. Jestem z milicji.

Na to chłopak zbladł już całkiem, obrzucił wzrokiem faceta w wojskowej kurtce, który okazał się funkcjonariuszem, oraz z maltretowanego księdza wyglądającego jak po kilkudniowym przesłuchaniu. Jęknął, Enka odpowiedział westchnieniem. Za chłopakiem zamknęły się drzwi. Trzasnął zamek, za nim drugi. Zaległa cisza.

— Ja wiem, proszę księdza, że pomoc cioci to sprawa pierwszorzędna — oświadczył Enka — ale kanapa u mnie może do czegoś się nada.

\* \* \*

Kanapa nadała się do siedzenia na razie – Gil, ledwo się za nim drzwi zamknęły, zrozumiał, że nie zaśnie jeszcze przez wiele godzin. Enka także to wiedział. Nie mówili wiele. Gil dostał swoją półkę w szafie, co było łatwe, bo prawie nie było w niej ubrań, oraz taboret, który miał służyć za stolik nocny.

Mieszkanie Enki wyglądało jeszcze upiorniej niż wcześniej; nowych elementów nie przybyło, za to stare ulegały powolnej degradacji. Meblościanka straciła połysk, barek też pobleadł, tapeta odchodziła w kilku miejscach. Za to stos prasy się powiększył, przybyło kilka książek, głównie cienkich powieści sensacyjnych, no i telewizor był nowy: przysadzisty Grundig z kineskopem nabrzmiałym jak chore oko i brązową ramą dookoła. Migąła czerwona dioda. Enka pokręcił się chwilę, niewiele mówiąc, przytargał butelkę wistuli, kieliszki, chleb, kiełbasę.

— Mogę dostać trochę gazet?

Ręka Enki powędrowała w kierunku tygodników.

— Wolę dzienniki.

Cała ich kupa leżała na półce pod telewizorem, Ence nie chciało się wstawać, nie wiedział też, po co księdzu stara prasa, ale nie pytał. Po chwili Gil miał na kolanach plik szarego papieru.

— Pan porucznik rozleje?

Pan porucznik rozlał. Napili się równocześnie i tak też skrzywili.

— Myślę, że to nam starczy. — Enka odstawił butelczynę.

Tymczasem Gil zagłębił się w gazetach. Przerzucał strony z artykułami, dochodził do ogłoszeń i wodził palcem po kolumnach.

— Nie rozumiem, czemu ludzie piją takie rzeczy — rzekł ksiądz doktor.

— Ja z całego dzisiejszego wieczoru niewiele rozumiem. Z całych ostatnich dni — odparł Enka, myśląc o zmasakrowanym Karszce, powietrzu, które zadawało ból, nie zostawiając ran, dziwnych postaciach, które widzieli w kuchni. Pobleadł.

— Widziałem takie rzeczy wcześniej — powiedział Gil.

— A ja nie widziałem i w gruncie rzeczy mogło być mi to oszczędzone. A gdzie się księdzu taka radość trafiła?

— W Stachowartach. W starym kościele.

— No tak — zgodził się Enka. Wracanie wspomnieniami do tamtej nocy nie było przyjemne. Dotknął małej blizny na czole. — Co mi teraz ksiądz powie?

Gil nerwowym ruchem zsunął gazetę z kolan i zabrał się do następnej.

— Nic nie powiem, bo nie wiem, co widziałem.

— Duchy.

— Niekoniecznie. Była ta kobieta w ciąży. Te dwie dziwne postacie.

— One mi się nie podobały. Nie pasowały tam.

Enka wykonał skomplikowaną operację polegającą na przesunięciu się na oparciu fotela i ustawieniu popielniczki niemal za sobą, jak najdalej od księdza. Dopiero teraz zapalił.

— Albo my czegoś nie rozumiemy. — Gil opornie streścił to, co zobaczył na Urzędniczej — widziałem ludzi. Różnych. Niektórzy wyglądali jak z przedwojnia albo z lat sześćdziesiątych. Inni wyraźnie byli z innego kraju lub czasu.

Kolejna gazeta poszła w odstawkę. Teraz czytał już szybciej, nerwowo przerzucał szpalty i próbował nie patrzeć na Zbigniewa Enkę.

— Czasu? Tam ma ksiądz pieprzony wehikuł?

— A przenieśliśmy się gdzieś? — padła odpowiedź. — Tylko coś widziałem. Przecież mówię, że nie wiem co, że nie rozumiem. Wydaje mi się tylko, że ta kobieta, te dwie figury...

— Nie mów mi o nich.

— ... były z innego porządku. — Tym razem zmiął gazetę w kulę, potoczyła się po kolanach. Otarł czoło, już nie unikał wzroku Enki — też mi się one nie podobały, panie poruczniku.

— Nie podoba mi się ksiądz dobrodziej. One to...

— Widzi pan, panie poruczniku — Gil czytał i mówił jednocześnie. Każde słowo wydawało się osobne i niepowiązane z innymi — mnie się wydało, że jesteśmy na przecięciu prądów. Jakby skrzyżowały się strumienie. I coś przyniosły. Może kamienica nie jest ważna... — Palec księdza zatrzymał się gwałtownie. Gil podniósł głos — no i mamy, znalazłem! No tak. — Poluzował koloratkę. — Chcę powiedzieć, że może nie kamienica jest ważna, lecz miejsce, w którym stoi.

Enka zrobił głupią minę.

— O tym porozmawiamy jeszcze jutro — uzupełnił Gil. — Musi pan tylko zadzwonić po fachową pomoc.

Podał szpalnę ogłoszeniową z „Dziennika Polskiego”. Między ofertami korepetytorów, drobnych handlarzy, a także dziewczyn szukających towarzystwa znajdowało się coś takiego: „Aaaaby ducha wyrzucić. Całodobowo”. Ogłoszenie zaznaczono wgłębieniem po paznokciu. Mina porucznika Enki z głupiej przeszła w głupią bezbrzeżnie.

Gil wolnym ruchem zdjął koloratkę.

— Skoro pan porucznik ma niskie zdanie o mnie, to poczekamy sobie na czarodzieja.

Enka nie odpowiedział, dostrzegł tylko, czego brakuje na stoliku. Zniknął w drzwiach kuchennych, by wrócić ze słoikiem musztardy, zestawem noży i widelców. Musztardę rozchlapał na talerzach. Wciąż milczał.

Jedli.

\* \* \*

Magik przyszedł zaraz po ósmej. Okazał się łysym człowieczkiem po trzydziestce, przedwcześnie postarzałym przez używki lub jakieś straszne wydarzenie. Brwi miał rzadkie, zarost mikry, wzrost też taki, za to nosił szykowny gładki garnitur. Wszedł, ledwo Enka mu otworzył. Palce zaciskał na skórzanej teczce.

— Przeszedłem zło zwyciężyć. Gdzie jest miejsce nawiedzone? — zadudnił.

— Michaś, nie pitol. — Książd Gil właśnie podnosił się z kanapy. Spał w ubraniu i tylko stopy miał bose.

Wróżbita, mag, czarodziej, egzorcysta, w każdym razie Michaś najpierw zbaraniał, a potem się ucieszył. Uszło zeń powietrze, teczka poszła w kąt. Uściskali się. Gil przedstawił Enkę.

— Chodziliśmy razem na studia — wyjaśnił.

— Nie skończyłem, a żyć trzeba — dopowiedział Michał. Głos miał zaskakująco wysoki, piskliwy i musiał obniżyć go sztucznie.

— Jak stare kłopoty? — zapytał Gil ostrożnie. Enka krzątał się w kuchni nad kawą.

— Nie biorę.

— Fiu, fiu! — dobiegło znad zlewu.

Michał roześmiał się nerwowo i zapytał, gdzie może usiąść. Gil pokazał mu samotny fotel o drewnianych oparciach i egzorcysta natychmiast w nim zatonął. Nie mógł znaleźć sobie miejsca, nieustannie zerkał na siebie, zakładał nogę na



nogę, rozkraczał je, drapał się w nos i prychał. Podwinął rękawy koszuli. Skórę miał zniszczoną.

— Powiedźcie mi, moi panowie — Enka, blady i lśniący jak kawał łożu, wparował do pokoju z kawą na tacy — jaka jest różnica między egzorcystą kościelnym a egzorcystą.

— Jak pomiędzy milicjantem a prywatnym detektywem — odparł Michał.

— Albo cukiereczkiem i wódeczką. — Gil wydawał się w wyjątkowo dobrym nastroju.

Obaj faceci skojarzyli się Ence z konkurującymi ze sobą na śmierć i życie sprzedawcami szczotek, których złośliwy los raptem posadził przy wigilijnym stole.

Gadali chwilę o bzdurach, a potem Enka z Gilem opowiedzieli, co zdarzyło się na Urzędniczej. Jednocześnie porucznik nabrał niepokojącego przekonania, że Michał należy do tego typu, który wyjaśniając, czemu deszcz pada, zaczyna od opisu naszego wszechświata wraz z przyległościami, a gadając nawet o piłce nożnej, przejdzie na Boga szybciej, niż można strzelić bramkę.

— Słyszeliście o centrach energetycznych?

— Po prostu mów — poprosił Gil.

I Michał mówił:

— Hindusi twierdzą, że na ziemi znajduje się siedem energetycznych centrów, odpowiadających poszczególnym częściom ciała człowieka. Nazywają je czakramami. W pobliżu czarkamów człowiek rozwija się optymalnie, odnawia się i znajduje dobrą energię. Nic dziwnego, że Hindusi pielgrzymują do tych miejsc. Trudno mi wam przybliżyć, czym jest czakram. Dla uproszczenia możemy mówić o świętym kamieniu. Jest takich siedem.

— Zaraz mi pan powie, że jeden mamy w piwnicy — rzucił Enka.

— Nie, bo na Wawelu — zripostował Michał, wyraźnie z siebie zadowolony — a także w Mekce, Jerozolimie, Rzymie i paru innych miejscach. Hindusi jeździli do nas jeszcze w międzywojniu, a kilkadziesiąt lat temu przeprowadzono badania radiestetyczne. Stwierdzono dwa źródła promieniowania, jedno kilometr pod ziemią i drugie, słabsze, dwieście pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią.

— Na Wawelu?

— Nie, panie poruczniku. Przed Wawelem. I moim zdaniem zamek zbudowano tam nie bez powodu. Nie dlatego, że książę, który to nakazał, wiedział o czakramie. On go czuł. Tak jak jego poprzednicy na wzgórzu. To miejsce siły, które działa na wszystkich.

Enka pomyślał chwilę i powiedział:

— Tylko gdzie Rzym, gdzie Krym? Co pieprzony Wawel może mieć wspólnego z Urzędniczą?

Michał napił się kawy, tak śmiesznie – ledwo zwilżył wargi i zaczął ssać.

— Nie powiedziałem, że to jedyne miejsce w Krakowie.

— Aha — mruknął Enka — jakiś czarodziejski kamień w piwnicy?

— To nie jest kamień — przypomniał ksiądz doktor. A Michał się uśmiechnął.

— Właśnie tak — rzekł, ale nikt nie wiedział, co ma na myśli.

Zadzwoił telefon.

\* \* \*

Porucznik Enka stał nad trupem i dłubał sobie w zębie.

Trup miał około czterdziestki, łysiejącą czaszkę i wytrzeszczone oczy. Policzki już się zapadły, opuszki były sine. Pośrodku klatki piersiowej tkwiła czarna dziura wielkości monety. Uwagę Enki zwróciły ślady po elektrodach na jądrach. Cóż, ten człowiek dowiedział się przed śmiercią, co znaczy porządne przesłuchanie. Porucznik widział go już wcześniej. Mężczyzna miał wówczas trzyczęściowy garnitur, unosił dłonie i chciał coś powiedzieć. Było to na Urzędniczej.

— No to mamy kolejnego — powiedział Grula. Stał nieco z tyłu i trzymał ręce w kieszeniach. Zerknął na technicznego, jakby szukał potwierdzenia.

Kostnica jak to kostnica, była ponurym pomieszczeniem, zalanym światłem jarzeniowym. Nie okazywało zrozumienia dla barw brudnych czy też pośrednich: wściekła biel ścian odcinała się od srebra szuflad, brąz podłogi zderzał się z żółcią trupa. Funkcjonariusz Juszcak zupełnie tutaj nie pasował, więcej, mało kto powiedziałby, że ma do czynienia z policjantem. Z falą siwych włosów spadającą na kark, rzadką brodą i wielkimi okularami przypominał studenta mordującego się dwudziesty rok na teatrologii, takiego, który je tylko makaron, konserwy i śni, że jest Robertem Plantem.

— Biorą się do naszych i wcale mi się to nie podoba — rzekł Enka.

— Kto jak kto, ale Staszczyszyn sobie nagrabił — odparł Grula. Technik kiwnął głową.

— Niewiele o nim wiem — przyznał Enka. — Zderzaliśmy się, a potem poszedł na swoje, jak ten twój Karszka.

— To nie jedyny związek, jaki widzimy — wtrącił Juszcak. Miał niski głos i gdy mówił, to zawsze się rozglądał.

— Co wiesz o Staszczyszynie?

Odpowiedział jednak Grula:

— Miał kumpli wysoko i wiedział rzeczy, o których nie wiemy. Przejął magazyn z trzema takimi kolegami, nawet nie wiem, co tam było, ważne, że wiedzieli, kiedy ceny skoczą. Pamiętam, jak chwalił się przy wódce, że w dzień zarobił tyle co my przez rok na tej pieprzonej komendzie.

Enka pochylił się nad trupem. Wyciągnął rękę, jakby chciał mu zamknąć oczy, i zaraz cofnął.

— Nie wygląda na takiego, co by teraz to powtórzył.

— Robił też w bankach — rozgadał się Grula — opowiadał mi o tym, ale bez szczegółów. Chodzi mniej więcej o coś takiego: otóż ceny rosną, prawda? Rosną jak cholera.

— Nazywamy to inflacją.

— ... Czy jakoś tak. I na mój rozum, to jeśli bank pożycza forszę, to oczekuje, że ktoś odda więcej, niż wziął. I uwzględnia wzrost cen. No a czasem jest tak, że bank nie uwzględni. I ktoś wie to wcześniej, idzie do kumpla z takim ciasteczkiem. Jedzą je razem.

— Jeśli dobrze zrozumiałem, to Staszczyszyn wiedział, że pożyczka nie będzie waloryzowana. Czyli wziął dużo, a oddał grosze. — Enka podrapał się w głowę. — Mimo wszystko bym się z nim nie zamienił. Jak na mnie to bezczelne ciągnięcie szmalu i tyle.

— Tyle że w pełni legalne — wtrącił Juszczak. — Wydaje mi się, że ten trop wiedzie donikąd.

— Jak to, kurwa, legalne? — warknął Enka.

— Czy jeśli ci powiem, że w piątek będzie padać, popełniam przestępstwo? Otóż nie popełniam. Informacja o kredycie jest taka sama jak każda inna.

— No ale czemu nie wszyscy o tym wiedzieli?

— Bo wtedy państwo zawaliłoby się nam na głowy.

Coś spięło się w poruczniku Ence, cały stężał. Zerknął nerwowo na martwego Staszczyszyna, po czym przeniósł wzrok na bezmyślne oblicze technika. Opuścił dłonie.

— Leży tu jeden z naszych, z pochlastaną klatą. Widziałeś jego jajca? Jeszcze go przesłuchali. Więc możesz, Juszczak, klarować mi do wiosny, że sprawy nie ma. Ile trzeba, żebyś przejrzał?

— Ty chyba naprawdę mieszkasz w dziupli — odparł spokojnie Juszczak. — Prędzej czy później wszystko runie, będzie rozpizd, jakiego świat nie widział, a pierwsze efekty widać tutaj, na tym stole. — Wskazał na Staszczyszyna. — Więc tak, w pewien sposób masz rację. Jak na mnie im ciszej wokół tej sprawy, tym lepiej.

Enka poszukał wzrokiem sojusznika. Nie znalazł go w techniku, kompletnie już ogłupiałym, ani w Gruli, który udawał, że nie istnieje.

— O to niech cię głowa nie boli. Już ja się postaram, żeby za tym trupem, za trupem Karszki biegał każdy w wydziale.

— Skoro już o głowie, to nie jest to gra na twoją.

— Już tak się o nią nie martw. — Enka pochylił się, jakby chciał przywalić Juszczakowi z byka. — Co ty chcesz mi właściwie powiedzieć?

Juszczak skłonił się z godnością, miękkim ruchem wydobył papier z teczki i podsunął Ence pod nos.

— Widzę, że do ciebie trzeba mówić dużymi literami — powiedział zadowolony z siebie, a osłupiały Enka nie odrzekł nic, nie wierząc i patrząc na dokument o utajnieniu śledztwa. Podpis komendanta wyglądał, jakby jeszcze nie wysechł. Zerknął na Staszczyszyna, jego grube wargi i ranę w poprzek piersi, znów na dokument i znów na trupa.

— Edek, wiedziałeś o tym?

Grula przytaknął. Enka położył dokument koło trupa – niech Juszczak weźmie go sobie, jeśli potrzebuje.

— Miło tak, dowiadywać się na końcu — rzekł zimno i trzasnął drzwiami. Nie uszedł dziesięciu kroków, gdy za nim wypadł zaaferowany Grula. Zrównali się. Grula nieustannie zerkał za siebie.

— Zastanawiam się, ile razy jeszcze wyjdę na durnia tylko dlatego, że czegoś nie wiem — stwierdził Enka.

— To były magazyny meblowe, na Saskiej — szepnął Grula. — Staszczyszyn przejął je i już się rozglądał za kolejnymi. Dużo wydawał. Chwalił się pieniędzmi i na mój rozum to go zgubiło. Ta gnida — chodziło o Juszczaka — ma trochę racji. Za wysokie progi na twoje nogi.

Przystanąli. Enka przyglądał się Gruli.

— Co się z tobą, Edek, stało? Siedzisz u kogoś w kieszeni?

Jeśli Grula poczuł się urażony, to nie dał nic po sobie poznać.

— Mam żonę i dzieci, a ty jesteś sam.

— Przepraszam — Enka rozłożył ręce — po prostu nie wiem, co robić.

— Pocieszam się tym, że, w pewien sposób, ci ludzie giną na własne życzenie. Może mają to, na co zasłużyli? — zastanawiał się Grula. — Wiesz, że lubiłem Karszkę, ale, kurwa, ślepy nie jestem. Poza tym to kolejne morderstwo na obrzeżach kół Breżniewa i nie bardzo rozumiem, dlaczego do niego doszło. Pamiętasz te koła? Kupa śmiechu swoją drogą.

Oczy Enki rosły z każdym kolejnym słowem, w głowie coś przeskoczyło, klepnął Grulę w ramię i popędził korytarzem. Dopiero przy schodach przystanął, machną ręką, wrzasnął:

— Edek, jesteś wielki!

Mapa wisiała na swoim miejscu. Enka przyglądał się okręgom. Pięć z nich przecinało się w rejonach Urzędniczej. Zapalił. Znalazł zimną kawę, pił i patrzył. Kręgi były urwane, układały się trochę jak te olimpijskie. Na ich brzegach gromadziły się czarne kropki, miejsca przestępstw: morderstw, rozbojów i gwałtów z ostatniej dekady. W środku okręgów nie było ani jednego, jakby coś, jakaś tajemnicza siła spychała zbrodnie na obrzeża.

Na parkingu Enka spotkał Juszcza. Milicjant stał oparty o swojego fiata i palił krótką fajeczkę. Wydmuchiwał dym nosem i gryzł cybuch.

— Niepotrzebnie żeśmy się pożarli — rzucił pojednawczo.

— Niepotrzebnie to ja gadam z tobą.

— Przecież chodzi mi właśnie o ciebie. Na co ci ta sprawa? Tylko się poparzysz, po cholere ci to, a splendor żaden.

Enka także zapalił. Nie miał ochoty na tę rozmowę, za to marzył o czymś innym: mianowicie najchętniej chwyciłby Juszcza za gardło i tak długo tłukł tym fałszywym łbem o samochód, aż na masce pojawiło się wgniecenie o kształcie pyska tego sukinsyna.

— Jestem prostym człowiekiem, Juszcza. Powiem ci, co myślę. Są dwa trupy i to od nas, z zabójstw i gospodarczego. Dla mnie trup to trup i gówno obchodzi mnie polityczna koniunktura. Robię swoje i cześć.

Juszcza przyjrzał mu się badawczo. Coś chodziło mu po głowie, jakieś myśli, których Enka nie rozpoznawał.

— Jesteś jak dziecko. Wściekłe, dzielne dziecko, Zbyszku.

— Wiesz co? Może odpuść sobie i nie próbuj mnie oceniać. Napierdalaj na mnie do skurwysynów z którymi moczysz ryja, ale ode mnie się odpieprz.

— Ty widzisz fakty, a ja je rozumiem. — Juszcza jakby go nie słyszał. — Jak zabili dwóch naszych, to znaczy, że lepiej się odpieprzyć, nie od ciebie, ale od tej sprawy.

Teraz Enka przyglądał się Juszcza. Co za facet, myślał, co za morda zakazana, baran miękkim chujem robiony. I jeszcze ta morda profesorka, ta marynareczka w beż i paski, te zamszowe buciki i delikatne łapki. Oczka francowate.

— Żebyś się nie zdziwił — wysunął pięść przez siebie — mi polityka lata. A ty skąd masz ten nowy domek, garniturki, wódeczki, panienki? Dobrze ci się ostatnio

żyje, co Juszczak? — Zmrużył oczy. — Gównu mnie obchodzi, kto trzyma palec w twojej dupie i tobą kręci, ale dojadę cię, koleżko, i to tak, że zobaczysz wszystkie gwiazdy. — Juszczak zamarł, przełknął ślinę.

Enka opuścił rękę.

— Wiesz, że nie rzucam słów na wiatr — powiedział i odszedł.

Juszczak odprowadzał go wzrokiem.

\* \* \*

Mieszkanie za dnia było mniej przerażające. Ale tylko trochę.

Wychodziła bolesna nijakość tego miejsca: brud ścian, starość mebli, raczej przykra niż przynosząca chwałę. Istnieje różnica między antykiem a gratem, tak jak pomiędzy seniorem a dziadem. W świetle dnia wyraźnie widać było, że komoda, kredens czy sekretarzyk z wolna, konsekwentnie tracą barwy i kształty, zwracają się ku bezkształtnym bryłom drewna. Słońce przebijało się przez brudne okna, szyby coś zabierały światłu. Gilowi wydawało się zimne.

Stare mieszkania mają swoją własną mowę: szept podłóg i obłoków kurzu, jęk ścian, język szkła. Gil mieszkał w wielu starych miejscach i wiedział, że nie znają one ciszy, ich milczenie jest pozorne. Zawsze skrywają w sobie dźwięk. Tymczasem mieszkanie na Urzędniczej było ciche całkowicie i skończenie, jeśli nawet coś w nim żyło, to spało głęboko. Jednak tu wrócił.

Herbatę trzymał w metalowej puszcze z czerwonym napisem „HERBATA JUBILEUSZOWA”. Nie mógł za to wybrać sobie kubka, żaden bowiem mu się nie podobał. Brzegi jednego wydawały się nazbyt ostre, tak że pokaleczyłyby sobie wargi. Inny znów był ubity i brakowało mu uszka, przez trzeci szła rysa na całą długość – co, jeśli pęknie pod wpływem gorąca i poparzy księdza doktora? Wreszcie ten ostatni, cały i mocny, szkoda tylko, że żółty, dokładnie koloru moczu. Poszukał dalej. Filiżanek nie było, ale znalazł wysoką szklankę i srebrny koszyczek, pełen ozdób, z fantazyjnym uchwytem. Przyglądał mu się chwilę, zaparzył herbatę i wcisnął cytrynę.

Usiadł. Na balkonie pojawił się kot, całkiem zwyczajny, pozbawiony nawet pospolitej demoniczności właściwej tym zwierzętom. Był bury, nieładny. Przycupnął na poręcz, przeszedł po niej z gracją i przeskoczył na drzewo. Gil odprowadzał go wzrokiem i myślał o swoim życiu, jak bardzo się zmieniło przez ostatni rok. Najpierw Stachowarty: ponura wieś, gdzie odżyły zbrodnicze kultury, a on, ksiądz doktor, po raz pierwszy zobaczył ducha. Potem ta dziwna sprawa w Krakowie, kiedy zdemolowali pół muzeum etnograficznego w pogoni za opętanym. Dziwne ptaki pod Krakowem, szalony Rosjanin, no i ostatnio Nowy

Świat na ostatnim piętrze krakowskiego akademika. Dziwne to bardzo. Czuł się pchany, właściwie od dnia, w którym poznał Enkę, nie wiedział jednak, co go tak popycha i czy ta siła jest dobra. No bo jeśli nie Bóg, to kto? Napił się herbaty. Gdzie w tych wszystkich wydarzeniach jest miejsce dla Boga? Może z Bogiem jest tak, że świadomie opuszcza niektórych ludzi i miejsca, są w świecie pokoje, do których On nie wchodzi, z sobie tylko znanych powodów.

Gil nagle uświadomił sobie, że może być zupełnie na odwrót – to nie Bóg opuścił księdza doktora, lecz ksiądz doktor gdzieś odszedł. Już jako teolog, badacz, zajmował się raczej obrzeżami, grzebał w dziwnych sprawach tak długo, aż dziwne sprawy do niego przyszły. Niektóre rzeczy dzieją się tak po prostu i trzeba się z tym pogodzić. I Gil pogodził się czynem, dopił herbatę, wstał i kierowany niewytłumaczalnym impulsem poszedł do przedpokoju, z szafki nad butami wziął młotek i zabrał się do demolowania progu w ubikacji.

Nie miał dużo siły, ale robota szła łatwo. Próg był stary, wystarczyło podważyć, przyłożyć dźwignię i gotowe: drewno jęknęło głośno, jakby skarżyło się na taką brutalność. Gil poczuł dreszcz. Obejrzał się za siebie. Ostrożnie odłożył młotek i powolnym ruchem ujął szary brulion, ukryty dotąd pod progiem. Że to brulion właśnie, Gil dowiedział się z napisu na okładce.

Otworzył. Zakręciło mu się w głowie od drobnych, eleganckich literek, jakich nikt już nie stawia. Biegły równiusieńko, brzuszki były okrągłe, kropki mocne, a kreski proste, jak wygięte, to miękko – łatwo zaufać takim słowom. Nie odważył się przeczytać od razu, wrócił do kuchni i zrobił sobie kolejną herbatę, jeszcze mocniejszą. Głowa opadła mu sama, powietrze zadrżało, jak we śnie, nie umiał nawet ocenić odległości: szafka, zawieszona na drugim końcu kuchni, wydawała się równie blisko co drzwi balkonowe, których mógł dotknąć, nie wstając z krzesła.

„Jak ktoś to przeczyta, to znaczy, że mnie widział po tym, jak umarłem. I chce poznać prawdę” – głosiły słowa na okładce. Gil spojrział jeszcze na datę: zeszyt wydrukowano w 1962 roku, zapiski musiały być niewiele młodsze. Przyjrzał się literom, zlewały się ze sobą, ich elegancja wciąż robiła wrażenie, lecz ksiądz doktor dostrzegł pewną nerwowość, jakby słowa żyły, ocierały się o siebie, napierały, próbowały rozsadzić kartkę.

Zaczął czytać: „Gdy skończę pisać, to schowam zeszyt pod progiem. Kiedy robiłem remont, to też znalazłem zeszyt w tym miejscu. Zapisał go człowiek, który żył tu przed wojną. Dlatego ten pomysł wydaje mi się dobry”. Gil przełknął ślinę, sięgnął po herbatę. Nie smakowała mu, zapomniał o cytrynie. Chciał już mieć za sobą tę lekturę, przerzucał więc kartki. Zeszyt zapisał jego wujek.

Wychodziło na to, że wuj nigdy nie lubił tego mieszkania i namawiał ciotkę, żeby je sprzedać, oddać nawet – „nich męczy się kto inny”. Zarazem coś

przyciągało go do tego miejsca, ta sama siła, która kazała wrócić tutaj księdzu doktorowi. Wuj najpierw tu tylko bywał („zaglądałem po pracy, sprawdzałem, czy wszystko w porządku. Nie chciałem tego. Zasnąć nie mogłem. Myślałem o mieszkaniu”). Z czasem spędzał tam całe dni, nie zostawał na noc i chyba nie czuł się z tym dobrze – ciotka podejrzewała, że ma drugą kobietę.

Aż zabrał się do remontu i pierwszym, co znalazł, był zeszyt pod progiem: „Tam przeczytałem, co tutaj jest, i że mieszkanie stało puste, odkąd zbudowano kamienicę”. Podobno zginął tu ktoś, nim ją wzniesiono. Nie wiem nic o śmierci tego robotnika. Nikt nie chciał tam mieszkać, aż w połowie lat trzydziestych zjawiał się pewien Hindus, żywo zainteresowany „magiczną skałą” spod Wawelu. Zapłacił za rok, pomieszkał dwa tygodnie, po czym wrócił do Indii, ostrzegając wcześniej właścicieli, że miejsce jest przeklęte i nic z tym nie można zrobić. „Nawet ksiądz nie pomoże”. Słowa te wpadły w Gila i obijały się po jego wystraszonej, umęczonym ciele.

„Hindus zostawił taką rzecz, której nie umiem opisać, bo jej nie widziałem. Ten, kto tu żył, też nie potrafił. Pisał, że przypominało jakąś rzecz wygrzebaną z ziemi. Wielkości filiżanki. Podstawa była okrągła, zwężała się do środka, a potem rozszerzała znowu. Z boku był dziubek, a na górze walec. Wszystko odlane z jednej bryły i dość ciężkie” – przeczytał ksiądz doktor na wydechu i spróbował wyobrazić sobie ten przedmiot. Leżał na Urzędniczej aż do wojny, kiedy mieszkanie splądrowali Niemcy, szukając jakiegoś AK-owca czy kogoś podobnego. Żołnierz umknął, więc naziści wyładowali złość na miejscu, w którym się ukrywał. Któryś prawdopodobnie zabrał tę dziwną rzecz. „Może domyślił się jej przeznaczenia. Niemcy blisko diabła byli”.

Gil przerzucił kartkę. „Nie wiem, jak nazywał się człowiek, co schował swoje zapiski pod progiem, ale w końcu spędził tu noc. Nie bardzo umiał pisać o tym, co zobaczył, i ja też nie umiem. Widział tych Niemców niszczących mieszkanie, dwoje młodych uprawiających miłość. Oraz anioły. Czyli istoty, które za anioły uznał. Jeśli zobaczył, co ja, to myślę, że chodzi jednak o ludzi, tylko z innego kraju. Powietrze jest tu gęste, nawet teraz. Aż zostałem na noc”.

Gil westchnął, wiedział, czego może się spodziewać. Mieszkanie otworzyło się przed wujem, pokazało obrazki z międzywojnia, a także kilka scen z okolicy: wuj był w mieszkaniu i na pobliskim targu jednocześnie, opisał kobietę sprzedającą kurczaki z nylonowej torby i wyraził przekonanie, że niedługo wydarzy jej się coś strasznego. „Tramwaj obciął jej nogi nad łydkami”. A potem zobaczył dziewczynę, „brzydko się kochającą” z jakimś młodzieniaszkiem w obskurnym mieszkaniu. Widok za oknem świadczył, że mieszkali przy ulicy Dzierżyńskiego, tuż obok.



„Przypomniałem sobie, że Pierwszy z Krakowa szuka córki, co zwała z domu tydzień temu” – pisał wuj, wyraźnie zadowolony z własnego sprytu. Dał cynk, milicja poszła na Dzierżyńskiego i dziewczyna się znalazła, nie chciała za bardzo wracać, ale tato zagroził chłopakowi oskarżeniem o gwałt na nieletniej i tak skończyła się miłość. Wuj zapunktował i chyba nawet się zastanawiał, czy nie używać mieszkania do wzbogacenia się: „Pokazuje przyszłość i przeszłość. Ono nie kłamie. Nigdy” – zanotował, a potem zobaczył swoich dwóch synów, martwych.

„Mógłbym przejść przez wszystkie złe rzeczy na świecie poza tą jedną. Planuję grzech podwójny, bo odbieram sobie życie i jeszcze zostawiam Halinę samą z tym wszystkim. Wczoraj siedziałem i myślałem, czy nie powinienem zabić także jej. Oszczędzić jej tego, czego oszczędzam sobie. Nie umiałbym chyba. Przynajmniej patrząc w oczy. Chciałbym, żeby chłopcy zrozumieli, i boli mnie, że tak nie będzie”. Tymi słowami kończyły się zapiski i Gil zamknął brulion. Jeszcze chwilę miał przed oczyma te literki, nakreślone w przekonaniu, że pewne rzeczy, które dzieją się w naszym życiu, są naprawdę nieuchronne.

Ściemniało się z wolna i Gil nie chciał zostawać w tym miejscu ani minuty dłużej. Schował zeszyt do torby, zastanawiając się, co tak naprawdę przeczytał i czy powinien powiedzieć o tym ciotce. Nie umiał się zdecydować, więc pewno sprawę zmilczy, za to Enka dowie się niezawodnie.

Przedpokój był ciemny jak w nocy i Gil poczuł niewiarygodną ulgę, kiedy położył rękę na klamce. Z wdzięcznością przyjął mdłe światło korytarza. Obrócił się na wycieracze, by zamknąć drzwi, i zobaczył zarys postaci stojącej pośrodku przedpokoju. Był to potężny mężczyzna w miękkim płaszczu, chyba bardzo drogim. Twarz tego człowieka ginęła w ciemnościach, za to na ręce lśnił złoty zegarek. Dłoń była wyciągnięta, jakby zaciskała się na czyimś gardle.

\* \* \*

Porucznik Enka stał obok swojego poloneza, klął i nie wiedział, co robić. Właściwie powinien się cieszyć, że żyje, choć coś mu szeptało, że może być to radość przedwczesna.

Wbrew księdzu Gilowi cuda dzieją się zawsze gdzie indziej albo wcale, a to, że dwie opony szlag trafia synchronicznie, i to na środku skrzyżowania, niewątpliwie do cudów można zaliczyć. Enka prychnął. Znał tę metodę: w oponę wbija się kołek, kołek sobie w niej tkwi, pozostając niewidocznym i właściwie nie przeszkadza, aż auto nabierze prędkości – wtedy puff, opona idzie w jasną cholere i najczęściej jest po sprawie.

Enka regularnie jeździł jak szatan i ludzie o tym wiedzieli.

Polonez stał teraz na poboczu długiej, niesprawny i niepotrzebny. Koła sflaczały. Enka trącił jedno butem, wzruszył ramionami i stwierdził, że nic nie wskóra, więc nie ma potrzeby się złościć. Miał inne kłopoty. Nim doszedł do ulicy Filipa, rozumiał wystarczająco jasno, że Juszcak miał odrobinę racji – sprawa przerasta go nie dlatego, że nie dotrze do prawdy, tylko prawda ta może mu ukręcić łeb. Co ochroni go przed losem dwóch kolegów z wydziału? Nic.

Nigdy nie myślał o sobie zbyt dużo, ale teraz poczuł się jak postać z filmu, jeden z tych amerykańskich, prawych gliniarzy, którzy dążą do prawdy wbrew bliskim, kolegom, przyjaciom, walczą o wszystko i wygrywają. Nie chciał być kimś takim i właściwie nie miał poczucia, że robi coś wyjątkowego. Jest trup, trzeba znaleźć tego, kto zabił, proste, bo jeśli człowiek zacznie nad tym myśleć, to prędzej czy później przestanie się nadawać na glinę.

Ruszył przed siebie i szybko się zorientował, że nie jest sam – wędrował za nim facet w sztruksowych spodniach, zmiętej koszuli i marynarce, co wyglądało dziwnie w tak ciepły dzień. Enka zwolnił i tamten przystanął, udając, że przygląda się wystawie.

Enka pomyślał, że Juszcak mógłby postarać się o lepszego tajniaka, co stanowiło dobrą wróżbę – nie zależało im za bardzo, więc nie stanowił zagrożenia. Poszedł Filipa, ulicą, gdzie w dzień zawsze stoją samochody, za to nocą kurwy. Mężczyzna w marynarce zaraz wyłonił się zza rogu. Enka próbował się nim nie przejmować, palił sobie, myślał trochę o Juszczaku, o Karszce, wreszcie o kołach Breżniewa. Nie wiedział już, kto przyniósł tę nazwę – poszło o to, że stary, zdebilowaciały Breżniew otwierał olimpiadę w Moskwie, tę samą, na którą nie przyjechali Niemcy i Chińczycy, przez ten cholerny Afganistan. Breżniew popatrzył na kartkę z przemówieniem i zaczął: „O... O...O...”. — Towarzyszu, to są koła olimpijskie, tekst niżej — powiedział Enka do siebie i do siebie też się uśmiechnął. Facet za nim trochę zwolnił i udawał zainteresowanie samochodami.

Tak jak koła Breżniewa przecinały się ze sobą, tak dwa światy, Gila i Enki, spotkały się w jednym punkcie. Zwykła tablica na komendzie, zaznaczone nań okręgi wskazywały miejsce, gdzie mieszkał ksiądz doktor – te same okręgi, na których obrzeżach pełno było zbrodni, a pośrodku panował spokój. Tu morderstwo, tam nawiedzony dom. Enka próbował to zrozumieć, ale nie potrafił.

Wrócił myślami do Juszczaka i jego tajemniczych kumpli. Nabrał przekonania, że skoro już wszystko się wali, to z tego zamętu ocaleją ludzie ich pokroju, cwane, prymitywne świny, znajdujące się głównie na przesłuchiwanie, więcej, ledwo oderwane od bicia. Tego zastraszą, tamtego przekupią, dogadają się i będą rządzić. Tych ludzi nie interesuje splendor, przywykli do życia w cieniu, czują się dobrze

w półmrokach i nie mają potrzeby zmiany. I żadnych oporów. Taki Radwan podpaliby sierociniec, żeby upiec sobie kiełbaski w dogasającym ogniu.

Powoli w głowie Enki ułożył się plan dnia. Siądzie sobie w knajpie naprzeciwko Akademii Sztuk Pięknych, tam spróbuje przestać się wkurwiać i pojedzie po Gila. Pogadają, co zrobić z tym szajsem, choć, jeśli Enka miał jakiś pomysł na rozwiązanie sprawy, w której bruździł mu Juszcak, to odnośnie do Urzędniczej czuł się bezradny.

Wyszedł na plac Matejki z pomnikiem upamiętniającym Grunwald pośrodku. Dokładnie przed Enką tyłek wypręzał koń króla Jagiełły, niżej przycupnęli rycerze, leżał powalony Krzyżak. Enka powiódł po nim wzrokiem i cisnął niedopałek. Przed nim gwałtownie zahamował samochód dostawczy z piekarni. Kierowca opuścił szybę. Miał wąsy i mnóstwo krost na nalanej twarzy.

— Panie! Jak dojechać na róg Brackiej i Reformackiej?

Jebał cię pies, pomyślał Enka, po cholere sobie ze mnie jaja robisz? Kątem oka zerknął na tajniaka – dochodził do placu. I wtedy na głowę pana porucznika spadło coś ciężkiego, a on sam odpłynął w ciemność.

\* \* \*

Kościół na Prądniku Białym w pewien sposób odpowiadał księdzu Andrzejowi Gilowi. Znajdował się bowiem w budowie: betonowy szkielet ukazywał już kształt wielkiego garnka z kanciastą wieżą, nieznane były jednak kolory i wykończenia. Jaką będzie miał barwę? Biel czy może brązy, zgra się ze świętością czy jesienią Polski? Jeszcze nie wiadomo było, co znajdzie się obok, co zapełni pustą przestrzeń wokoło – może wzniesie się tu dom parafialny albo boisko, które przydałoby się w tym smutnym miejscu, może zasadzą drzewa lub też zostanie tak jak jest, bo akurat skończy się kasa. Gilowi podobało się to, bo czuł pokrewieństwo z Kościołem jako takim, który wznosi się nieustannie w ludzkich duszach i sercach, odkąd dwa tysiące lat temu stanął na Piotrowej skale.

Wnętrze kościoła Najświętszej Marii Panny Matki Kościoła również znalazło upodobanie księdza doktora. W miarę wykończono tylko parter oraz część podziemi, co kojarzyło się Gilowi z katakumbami w starożytnym Rzymie, gdzie spotykali się pierwsi chrześcijanie.

Składały się nań ponure, betonowe ściany, zabrudzone okna, a zamiast ryby, w centralnym miejscu wisiał obraz Maryi z Dzieciątkiem. Matka Boska, niezadowolona z życia, trzymała Jezusa, jakby zaraz miała nim prasnąć i pójść do kosmetyczki, za to sam Zbawiciel unosił dłoń w uspokajającym geście, że wszystko będzie spoko. Korona przekrzywiła się niedbale na Jego płowej głowie

niczym czapka bejsbolowa. Były też styropianowe plansze, na których wielobarwne litery układały się w sentencje w rodzaju „Jezu ufam Tobie”. Sufit podierały betonowe słupy.

Gil siedział z boku, po lewej stronie ołtarza, mając przy sobie dwóch ministrantów, i zerkał co chwilę na ten obraz. Pomyślał, że w sumie dobrze się stało, że ten kościół jest brzydki i smutny. W ładnym miejscu uwierzenie w Boga byłoby zbyt proste, zaowocowałyby wiarą krótkotrwałą i płytką, zakochaniem, a nie miłością. Tu, między smutną szarością a potwornym kiczem uwierzyć w Obecność było odrobinę trudniej, należało się skupić, spróbować zrozumienia, popatrzeć w siebie, a potem gdzieś wyżej.

Żaden z ministrantów nie wyglądał na zdolnego do takiego wysiłku. Zwłaszcza ten niższy, przysypiający, któremu zwieszona głowa kołysała się w rytm pieśni organisty. Drugi, o jasnych włosach i twarzy szczura, wyraźnie usiłował zachować pozory pobożności i Gil próbował się od niego uczyć. Dopiero tu, w kościele, opadło go zmęczenie, przypomniały o sobie lęki, nieprzespane noce i alkohol, znów wypity w nadmiernych ilościach, wbrew wcześniejszym obietnicom. Gil gapił się chwilę na swój zielony ornat z wyszytymi nań kwiatami i przeniósł wzrok na zgromadzonych wiernych.

Była to msza popołudniowa w środku tygodnia, więc zjawilo się kilkanaście osób. Większości Gil nie znał i nie próbował się domyślać ich przeszłości: sześćdziesięciolatek w tureckim swetrze nazbyt przypominał mu byłego boksera, takiego, któremu kariera nie wyszła, bo walił po jajach, więc odnalazł się w przesłuchaniach. Pociągał połamanym nosem, mrużył oczy i co chwilę zerkał po innych. Wytworna matrona chlipała, nie pozwalając sobie jednak na łzy, które zrujnowałyby jej gruby makijaż; przyczyny tej rozpaczki Gil szukał w fakcie, że msza była za duszę jej męża, którego niezawodnie wpędziła do grobu.

I młodzi, troje – zasmucona parka w szarości i beżach oraz dwudziestolatek z tak idealnie kwadratową szczęką, że mogłaby służyć za formę do klocków. Akurat jego Gil pamiętał ze spowiedzi: chłopakowi było Mariusz, robił na hurtowni i nieustannie oszukiwał w kartach. Grał głównie z klientami, kierowcami oraz w knajpach, gdzie go nie znano, oszukiwał bowiem świetnie i rzadko dawał się złapać. Nikt nie przeszedł jego metody, karty były nowe, nie chował nic w rękawie, zwyczajnie wygrywał i cześć – nawet Gilowi nie zdradził swej metody. Po każdym oszustwie, gdy już wytrzeźwiał, pędził na mszę, dziękował Bogu i oddawał w dowód wdzięczności dwadzieścia procent wygranej.

W drzwiach mignęła znajoma twarz. Tylko na moment i może się księdzu doktorowi wydało – czyżby był to Grula, ten sam Grula, który zjawia się w kościele z okazji chrztu lub komunii któregoś dziecka? Była to co prawda msza

za duszę tego faceta, może się znali, ale przecież nie na tyle, by bezbożnik pokroju funkcjonariusza Edwarda stanął w ławie z podniesionym czołem. Nie, to nie mógł być Gula, ot, zwykły grubas.

Tymczasem proboszcz Sroka podniósł się ociężale ze swojego miejsca i stanął przy mównicy. Przygładził przerzedzone włosy, zafalował godnie podbródkiem i zmarszczył czoło, zgarbiony nad kartką, którą zabrał ze sobą. Kiedy tylko zaczął od słów: „Najmilsi”, Gil wiedział, że pora się wyłączyć – uczynił to z ochotą. Zaraz zaczęły się ogłoszenia parafialne, właściwie wyliczanka kościelnych potrzeb lub potrzeb samego Sroki, nawarstwiających się w tych trudnych czasach. Kościół wznoszono w dużej mierze z kieszeni wiernych i Sroka żył w ciągłym lęku, że forsy zabraknie albo budowa rozciągnie się poza horyzont jego proboszczowania.

Msza się skończyła, Gil zdjął ornat, włożył marynarkę i pospiesznie wyszedł na zewnątrz. Przemaszerował przez wielki plac budowy, w który zmieniała się przestrzeń otaczająca kościół. Spojrzał za siebie i stwierdził, że jednak się pomylił – siermiężność nowoczesnych katakumb wnętrza dawała od biedy jakieś ciepłe religijne skojarzenia, ale sam budynek w jaskrawym słońcu wydawał się straszny. Co prawda Kościół zaczął od nor w ziemi, domów i pomieszczeń handlowych przerabianych na miejsca nabożeństw, ale potem wymyślono gotyckie katedry i fasady barokowe. Teraz buduje się jakieś cuda, podobne do nadmuchanych rotund albo okrągłaków, gdzie kroi się mięso. Wystarczy krzyż zdjąć z czubka, zamontować neony, w ławach ustawić stragany, knajpę w miejscu ołtarza, i miejsce zmieni swoje przeznaczenie. Katedra miała stać wieki i służyć do jednego celu, ten budynek na Prądniku ma charakter przechodni: dziś kościół, jutro sklep lub dyskoteka. Ot, rzecz wzniesiona w poczuciu kruchości wszystkiego.

Ksiądz dotarł do ulicy i zamarł – tuż przed nim mały fiat zahamował z piskiem opon. Spojrzał za siebie, ocenił odległość – nie da rady. Mają go? Rozejrzał się za czymkolwiek do obrony, zacisnął pięści, lecz już po chwili odetchnął z ulgą. W samochodzie siedział Gula, czerwony jak pomidor, i otwierał mu drzwi.

— Ksiądz dobrodziej wsiada — zawołał i zaraz się rozejrzał.

Gil wsiadł, ale się nie rozglądał. Już miał pytać, czym Gula jest tak przejęty, czemu bije palcami o kierownicę no i gdzie, do diabła, jada, gdy przynajmniej jedna sprawa została wyjaśniona. Fiat przemknął może kilkaset metrów, zahamował ostro przy przystanku. Wysiedli. Gula zaraz schronił się pod wiatą.

— Co tak nerwowo, panie Edwardzie? — Gil pozwolił sobie na kontrolowany luz. — Trzeba było zostać na nabożeństwie.

W odpowiedzi Gula otworzył usta. Jego oczy błyszczały, jakby zaraz miał powiedzieć coś ważnego, a może też mądrego, po czym zaniósł się straszliwym

szlochom. Gil spróbował otoczyć go ramieniem, lecz równie dobrze mógłby obejmować galaretę przez którą idą elektrowstrząsy.

— Proszę księdza... proszę księdza. — Grula spróbował się opanować. Usiadł, rozkraczył nogi, wielki i zupełnie bezradny. — Ja naprawdę nie wiem, co się teraz dzieje, nic nie rozumiem, wychodzę sobie rano, tak żeby odetchnąć przed pracą i coś sobie przemyśleć, nie wiem już, co jest czym, czemu tak się kręci. — Otarł łzy, podniósł głowę. — On naprawdę zwariował, księżo doktorze!

— Kto zwariował? — Gil chciał uklęknąć przed Grulą, ale tego nie zrobił.

— Świat! Świat, proszę księdza. Kiedyś to człowiek wiedział, jak kierować swoim życiem, kto jest mocny, a kogo trzeba unikać, jak trzeba było, to się do partii zapisywało i słuchało mądrzejszych, czasem napiło się albo wsparło kogoś tam, z drugiej strony z opo... opo... — zakrztusił się — z opozycji, no! I człowiek tak szedł, żył życiem dobrym, spokojnym. To działało zawsze! A teraz nie wiadomo, kto kogo trzyma za łeb, za dupę, przepraszam za moje słowa, inaczej już nie umiem. Jak teraz żyć, w takiej niepewności? Jak wychować dzieci?

Zapadła chwila ciszy, przerywana pochlipywaniem. Grula otarł twarz rękawem, pociągnął nosem i oparł się o wiatę.

— Co się stało? — spytał ksiądz Gil. — Co naprawdę chce mi pan powiedzieć?

— Ja pieprzę lojalność, ja już nie mogę. Tak bardzo się boję. Cicho siedziałem. Nie brałem w tym udziału. Naprawdę. Ja próbuję żyć jak wszyscy, a że dużo się dzieje, to dużo wiem i milczę, to znaczy milczałem, ale już nie mogę — nabrał powietrza i mówił dalej, już spokojnej — wielu ostatnio odchodzi z milicji. Nie takich jak ja czy Zbyszek, ale tych, no sam ksiądz wie. Bo oni i my to nie to samo. Firma — chlipnął. — Powchodzili w biznesy, proszę księdza, jak kto był duży, to i bank wziął, inni brali magazyny, hurtownie, co tylko było. Za grosze, czyli za darmo.

Tym razem Gil uklęknął. Tylko spojrzął na siebie. Czuł się trochę, jakby Grulę spowiadał, miał w dłoniach niewidzialny sznur, nawlekał nań winy delikatnie wyciągane z grzesznika. W takich chwilach mówi się niewiele lub zgoła nic.

— Mnie można zaufać — szepnął.

— Wiem! A jak ktoś próbował fiknąć, zbuntować się, zrobić większą przewalkę, albo, nie daj Boże, paplał przy wódce, jak ten mój Karszka, co pijał z byle kim na placu, to zaraz załatwiali sprawę. Dwa trupy już były, Zbyszek w tym grzebał. Mówiłem mu. Ale musiał. Ksiądz wie, jaki on jest. A dziś go zgarnęli. Na placu Matejki. Jeżdżą taką furgonetką, udają, że z piekarni, jaka tam piekarnia. Mój człowiek go widział, szedł za nim. Sam prosiłem, bo się bałem o niego.

Ulicą przemknął mały fiat z uciętym dachem – ktoś musiał go palnikiem na kabriolet przerabiać – maskę pokrywał wielokolorowy, abstrakcyjny ornament. W środku siedzieli dwaj poważni, młodzi ludzie z papierosami w pyskach. Mijając wiatę, przyspieszyli.

Gil usiadł koło Gruli. Kotłowało mu się w głowie i nie wiedział, o co pytać.

— Dokąd możemy z tym pójść? — rzekł wreszcie.

Gruła zdawał się go nie słyszeć.

— To zawsze wygląda podobnie, zgarniają człowieka, a gdzie wiozą, nie wiem. Ekipa z furgonetki tylko go zawozi, tam czeka kilku innych, w tym taki Kamil, potwór prawdziwy, pół Gruzin, bestia. I on ich dręczy. Przypala jądra, bije, topi, wyrывa paznokcie albo co, nie wiem. O świcie, jak się zmęczy, zabija, trupa wyrzucają. Biednego Karszkę w betoniarce zmiażdżyli. Kto może pomóc? Do kogo iść? Jakbym wiedział, tobym poszedł — jęknął Gruła. — Nie wiem, komu ufać, każdy w czymś siedzi, a jak nie siedzi, to jest za głupi, by cokolwiek zrobić. Przecież to ja przychodzę do księdza po ratunek. O Karszce dowiedziałem się za późno, myśli ksiądz, że ja coś mogę? — Zatrząsł się jeszcze, zacisnął szczęki, oczy teraz miał zimne i zupełnie nieswoje. — Ale Zbyszka im nie dam. On rana nie dożyje, a ja nie wiem, co robić. Tylko cud może mu pomóc.

Przed oczyma Gila zrobiło się ciemniej – rozumiał niejasno, że wyobraźnia Gruli stworzyła w strukturach Kościoła sieć równie potężną i złowrogą co Urząd Bezpieczeństwa i świeży biznesmeni, a on właśnie, ksiądz doktor, ma z nią jakieś kontakty i na pewno pomoże. Nie wiedział, czy Gruła jest tak głupi, czy zrozpaczony, żałował tylko, że takiej organizacji nie ma lub nie jest w stanie doń dotrzeć.

Gil przypominał sobie starych znajomych i modlił się jednocześnie, aż rozwiązanie pojawiło się samo, mroząc krew w żyłach. Powoli nabrał powietrza głęboko w płuca, a świat, który drżał jeszcze przed chwilą, nagle stał się ostry.

— Teraz pojedziemy — usłyszał własny głos.

Gruła popatrzył pytająco. Wstał, wytarł ręce w spodnie.

— Pojedziemy na Urzędniczą. Jeśli jakiś cud na nas czeka, to tylko tam.

\* \* \*

Po raz pierwszy w życiu ksiądz doktor chciał zapalić. Nigdy wcześniej nie miał papierosa w ustach i unikał miejsc, gdzie się pali: dym wzmagał jego bezdech. Słyszał, że palenie przynosi spokój, którego akurat potrzebował. Napić się jednak nie mógł. Gdyby był tu Enka, może poprosiłby go o camela i obserwował, jak małpio włochata twarz rozszerza się ze zdumienia.

Zapadał zmierzch, na zewnątrz i w księdzu doktorze – Gil uświadamiał sobie, że jeśli nawet nie będzie musiał dać z siebie wszystkiego, bo na pewno nie zdoła, to z pewnością będzie musiał dać więcej niż kiedykolwiek. Grula w tym czasie coś paplał, lecz ksiądz słyszał jedynie biały szum, jakby milicjant przemienił się w radio, nienastawione na żaden kanał.

Gil rzadko pytał siebie samego, czemu robi to, co robi. Jadąc na Urzędniczą, tłumaczył sobie, że zwyczajnie spłaca stary dług – przecież Enka ocalił mu życie w Stachowartach. Szło o coś więcej, czego ksiądz doktor nie umiał zdefiniować. Proste pytania, które czasem pojawiały się w jego głowie, kiedy urznął się nadprogramowo, rozstrzygał ludzkie dylematy podczas spowiedzi albo miał kłopot, jak ten na Urzędniczej. Co powiedziała by na to Zbyszek Enka? Co doradził? Gdy Gil nie umiał czemuś sprostac, myślał właśnie o nim.

Gadanina Gruli weszła w fazę krytyczną, na deskę rozdzielczą poleciały kropelki śliny i z białego szumu jęły się wyłaniać słowa, ze słów zdania, coś o tym, że owszem, przyjechaliśmy tutaj, trzeba było, lecz jest już późno i on, Edward Grula, zrobił dosyć, chce wracać do dzieci.

— Dlaczego tutaj siedzimy? — dopytywał. — Czekamy na kogoś? Od księdza? Z kurii? Ksiądz doktor gdzieś tu mieszka? O, w tym budynku? Miałem kiedyś...

— Myślę — rzekł wolno Andrzej Gil. — Niechże mi pan pozwoli.

Grula natychmiast się zamknął i Gil zyskał rzadką okazję obserwowania go milczącego. Funkcjonariusz Edward zaczął się kokosić na fotelu, wzdychać i sapać, ocierać twarz i obficie się pocić. Jego sweter natychmiast stał się mokry i Grula wydał z siebie coś pomiędzy szczeknięciem a cichym, pełnym rezygnacji westchnieniem. Nie było na co czekać.

— Skoro się panu tak spieszy, to idziemy. — Gil otworzył drzwi ze swojej strony.

— Idziemy? Ja muszę...

Gil spojrział na niego badawczo.

— To zabierze chwilę. Ma pan kajdanki?

— Tak — odparł obojętnie Grula, jakby nie zrozumiał pytania.

— Pan mi da.

Grula zrobił minę, jakby Gil rozebrał się do rosołu i zaczął tańczyć.

— Przecież to sprzęt służbowy.

— Nie jesteśmy tu w celach służbowych, ale ludzkich — odparł twardo ksiądz doktor Andrzej Gil. — Da mi pan te kajdanki czy nie da?

— Żeby nie miał kłopotów...



— Już pan ma.

Oczy funkcjonariusza Gruli mówiły, że owszem, kłopoty są, lecz to dzisiejsze nieszczęście przybrało rozmiary przekraczające Grulową wytrzymałość. Jeszcze kamyczek, jeszcze ziarno lub kropla i wszystko pęknie, grzebiąc dzielnego milicjanta. Gil poczuł się źle, z tym co zaplanował, jednak złe samopoczucie nie przeszkodziło mu w zabraniu kajdanek wraz z kluczykiem. Ścisnął je w lewej dłoni.

— Co to za miejsce? — zapytał Grula.

Szli chodnikiem.

— Mój dom.

Wewnątrz kamienicy natychmiast zrobiło się chłodniej. Gil zapominał, gdzie jest włącznik – ilekroć tu wchodził, macał ciemną ścianę, aż znalazł. Chyba wolał już mrok od tego mdłego światła odsłaniającego napisy wyryte gwoździem lub długopisem na żółtych, brudnych ścianach. Weszli po wyslizganych stopniach, a w miarę jak zbliżali się do mieszkania, nikły zapachy i dźwięki. Za otwartym oknem na półpiętrze rosło ciemne drzewo. Grula zagapił się na nie, sapiąc i klepiąc się w brzuch. Oparł się dłonią o ścianę. Gil rzucił się do przodu i kajdanki zatrzasnęły się na grubym nadgarstku.

Grula spał się, wyraźnie nie wierzył, obrócił zdumioną głowę ku księdzu, już miał nań spojrzeć, ale zdarzyło się coś jeszcze. Matowy kluczyk wystrzelił z ręki Gila i pomknął za okno, w ciemną trawę. Kajdanki szczęknęły ponownie, ksiądz uniósł lewe ramię, ciągnąc Grulę za sobą. Ten nic nie powiedział, zapał się jednak, próbując wykorzystać przewagę masy.

— Pan się nie wygłupia, bo razem zlecimy.

Ucisk zelżał.

— Co...? Co?! — Grula szarpał się, lecz słabiej.

— Nie co, tylko chwila — Gil nie miał pojęcia, skąd znajduje w sobie spokój — zaraz wrócimy. Jeszcze pójdzie pan do dzieci. Sam pan mówił, tu chodzi o Enkę.

Grula zebrał się w sobie, zamachał wolną ręką i pisnął:

— Nie! Tak nie będzie! Pójdę! Powiem! Teraz się nie boję!

W odpowiedzi Gil łagodnie pociągnął go ku stopniom.

— Co pan powie i komu?

Grula ruszył potulnie, choć z podniesioną głową, jakakolwiek toczyła się w nim walka, dobiegła końca. Być może, myślał ksiądz doktor, Edward Grula nie umie decydować o sobie i trzeba kajdanek, żeby wybrał dobro. Są tacy ludzie pośrodku drogi między dobrem i złem, ich los zależy od tego, w którą stronę zostaną

pchnięci. Wraz z ostatnim pytaniem Grula zamilkł, nie sapał, nie jęczał, tylko patrzył po ścianach, zaciskał usta i wreszcie było w nim coś z gliny.

Zaprotestował dopiero przed drzwiami. Stał na rozstawionych nogach, zaparł się i Gil równie dobrze mógłby wyrywać spod Wawelu ten nieszczęsny czakram.

— Nie wejdę...

— Musi pan.

Grula przełknął ślinę.

— Nie wejdę, dopóki nie powie mi ksiądz, co tam jest. Mam kajdanki, to chcę wiedzieć.

— W tym miejscu widać różne rzeczy. Przeszłość i przyszłość. Może pan wierzyć albo nie.

Wzrok Gruli spoczął na wysokich drzwiach. Nie sposób określić, udawał że wierzy, czy udawał, że kpi.

— To po co ja tutaj księdzu?

— Sam boję się wejść — odparł Andrzej Gil. — Ludzie tu umierali.

— Przeszłość, przyszłość — zadumał się Grula, podczas gdy Gil mordował się z zamkiem — duchy. Zastanawiam się, za czym wy ze Zbyszkiem ganiacie.

Gil pociągnął go w półmrok przedpokoju.

— Jakby coś mi się stało, pan mnie wyciągnie, prawda?

Na te słowa Grula nie znalazł odpowiedzi, zwyczajnie poszedł, bez oporu czy skargi. Światło niewiele dało – kąty, cały sufit wciąż ginęły w mroku, jeszcze gęstsza ciemność ziała z kuchni i pokoju, próg leżał dokładnie tak, jak go Gil zostawił. Szli w stronę pieca kaflowego, z którego właśnie zeskokczył koci cień, ta dziwna obecność Gilowi już znana. Drzwi do łazienki stały otworem, dobiegło z nich charczenie. Jedno, krótkie. Za nim głuchy odgłos, jakby ktoś kopnął muszlę.

W ubikacji rozbłysło światło, na moment krótki, lecz wystarczający, by oświetlić wisielca – jego wywalone oczy, drżące dłonie, nogi, bezradnie kopiące w poszukiwaniu oparcia. Mężczyzna gwałtownie ruszył głową w bok, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie zgadza się na to wszystko. Światło zgasło. Grula nawet nie wrzasnął, pisnął jedynie i pociągnął słabo ku wyjściu. Gil był stanowczy, milicjant uległ. Z każdym krokiem w kierunku pokoju z piecem kaflowym rżenie narastało, pojawił się też drugi odgłos – przejmujący jęk naprężonego sznura.

Z początku piec wydawał się nieruchomy, ot, czarna bryła, wciśnięta w róg i niepasująca do nowych czasów. Gil stanął przed piecem, ten zafalował odrobinę, jakby widziany przez tafłę wody. Trwało to moment, piec znieruchomiał poza jednym kaflem, na wysokości ramienia. Ten wibrował, osypywały się kawałki

zaprawy, i znieruchomiał, dopiero gdy Gil go dotknął. Ciszę przeciął świst. To funkcjonariusz Grula gwałtownie wciągnął powietrze.

Ksiądz doktor wsunął palec w powstałą szczelinę, podważył i kafelek roztrzaskał się na podłodze. Na początku można by sądzić, że skrzynka jest pusta. Dłoń Gila zagłębiła się aż po łokieć, cofnął ją i ze zdumieniem spojrzął na przedmiot, który ścisnął w dłoni. Ciężką, litą bryłę o kształcie tłustej klepsydry, z dzióbkiem i walcem, dokładnie taką, o jakiej wuj wspominał w swoich zapiskach. Gil przejechał palcem po jej obrębie, po czym zwrócił się do Gruli:

— Lingram. Jesteśmy w ostatnim miejscu, gdzie spodziewałem się znaleźć coś takiego.

Twarz Gruli nie zdradzała wątpliwości – wartość bojową przedmiotu ocenił nisko, wolałby chyba znaleźć nóż do odcinania widmowych wisielców albo krzyż strzelający ogniem pojedynczym i ciągłym. Mruknął tylko i wzrokiem pełnym rozczarowania obdarzył własne przedramię skute kajdankami. Gil mówił dalej, w swych słowach próbując znaleźć spokój.

— Takie przedmioty znajduje się w Indiach. Zdaniem Hindusów gromadzą siłę, witalność, energię, pomagają przetrwać złe chwile no i... — zaplątał się, z sufitu spadła ciemna kropla, by rozmyć się bez śladu nad podłogą. — W każdym razie lingramy są w wielu domach i wioskach. Najczęściej to zwykłe kamienie o odpowiednim kształcie, panie poruczniku... Ten jest zrobiony. Nie powinien tu być, to nie Indie, ale Polska — roześmiał się. — Wujek mi o nim pisał, a ja kiedyś widziałem film o facecie, takim archeologu w kapeluszu, który właśnie szukał czegoś takiego. — Znów parsknął śmiechem. Dłuższym, nerwowym.

— To podróba, prawda? — zapytał Grula.

Lingram wyraźnie ciążył w dłoni, chciało się go trzymać i odrzucić zarazem. Gil roześmiał się po raz trzeci, najdłużej, najmniej szczerze – tak może rechotać błazen zabawiający gości z lufą napierającą na łopatki. Wydało się, że Grula podziela tę wesołość albo głos księdza Gila się rozdzielił, śmiały się bowiem już dwie osoby. Ksiądz zamilkł, dźwięk szedł dalej, spod sufitu, zimnymi falami śmiechu skręconego z szurania o deski, drapania w tynk i wyładowań elektrycznych. Cokolwiek kryło się w ścianach kamienicy, cokolwiek żyło tutaj na długo wcześniej, nim ją wzniesiono, cieszyło się na powrót Andrzeja Gila.

Ksiądz poczuł szarpnięcie i myślał, że Grula próbuje jakoś wyśliznąć dłoń z kajdanek. Odwrócił głowę i dostrzegł Grulę innego niż wcześniej, wciąż przejętego, przerażonego nawet, lecz sztywnego niczym kawał stali, jakby niewidoczne wcześniej mięśnie związały sobą tłuszcz. Milicjant uniósł rękę bezwiednie, zapominając o kajdankach, chciał tylko zetrzeć kroplę potu z nosa,

oczy przetrzeć, przekonać się, czy go nie mają. Zadzierał głowę, wolną dłoń zacisnął na brodzie i najwyraźniej o niej zapomniał.

Oczy księdza doktora uniosły się i tak już zostały. Przekrzywił głowę i czuł, że coś powoli i konsekwentnie wbija go w podłogę. Pod sufitem błyskały ciemne światła, niby błyskawice przeskakujące pod kłębowiskiem chmur, nie rozświetlając niczego poza sobą nawzajem. Z zimnego światła wyłaniali się ludzie, okruchy zdarzeń, budynki. Słońce przelewało się po niebie i stukwały konie. Znikąd i w nicość pędziły strzępy ubrań, buty, samoloty i dzikie zwierzęta, na oczach księdza i milicjanta drewniane domy rozrastały się w kamienice, te mnożyły się na obrębach prostopadłych ulic, by zginąć w wielkiej burzy.

Ludzie przechodzili w siebie i parzyli się ze sobą, różne czasy i miejsca, lecz wszyscy jednocześnie, tutaj właśnie: służąca i węglarz, biel jej szyi ginęła w czerwieni jego dłoni, i z tej bieli i czerwieni wyszło dwóch mężczyzn splecionych ze sobą, pajęczko chudych. Było w nich coś z małych chłopców bawiących się w zakazane gry, topiących koty albo kurzących ojcowskie cygara. Żyłasta dłoń przesunęła się po brodatej twarzy, jakby chciała ją chwycić i zatrzymać tylko dla siebie. Zniknęli, raczej zatopili w innych: pięćdziesięciolatkach cieszących się wspomnieniem młodości, on chwycił ją za brzuch i ścisnął, zagłębiał kciuk w pępek, ona szarpnęła go za włosy i przyciągnęła ku sobie, blada, ramionami, z których zwisała więdnąca skóra. Byli studenci i żołnierze, małżeństwa i trójkąty, zdradzające żony i mężowie, onaniści i lesbijki. Sufit przygasł i wystrzelił ponownie, w elektrycznym blasku zobaczyli pijanego w trzy gwizdy męża wtaczającego się na swą noc poślubną, miał wąs i mundur carskiego oficera, zdarł go z siebie, ona już była naga. Spróbował, najpierw od przodu, później od tyłu, tak łatwiej, nie wyszło – członek wisiał jak flaga pokonanego kraju. Błysnęło, oficer chyba coś zawył, wciągnął spodnie, wypadł z pokoju, widzieli, jak wychodzi na pobliskie pola i strzela sobie w głowę.

Byli też inni, robiący rzeczy odmienne: faceci w surdutach ciupali w karty, na stole leżały ciemnoczerwone kupki banknotów, sterty monet, butelki z grubego, ciętego szkła. Otyłe małżeństwo zapychało się połówką i popijało winem, równie tłuste pacholęta śmigły wokół stołu, trzask, z szafy rozpełzło się coś innego, niemieccy oficerowie kłócili się o coś, jeden strzelił drzwiami, drugi cisnął czapką i opadł na łóżko, zwyczajnie, zwyczajnie: wnoszono nowe meble i rozwieszano ubranie w szafach. Znów mignęło, mieszczanin usiłował oblec się w ubranie z czerwonego sukna, nawlekał pierścienie na palce, coś klarował służce o oczach tępych i przerażonych, a gdy stanął plecami do niej, dziewczyna zacisnęła usta w bezradnej wściekłości.

Przewalało się, przewalało: na podłodze kulił się chłopak w szarej, dresowej koszuli z wielkimi kieszeniami na przedzie, próbował się cofać, w czym przeszkadzały mu połamane nogi i okaleczone palce, w miejscu paznokci ciemniały skrzepy. Nad chłopakiem stało dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach, wymieniali jakieś uwagi, wyższy przyklęknął przy dzieciaku, wpakował lufę w usta, tak że poszły zęby, nie strzelił jednak, tylko poruszał. Padło pytanie. Chłopak zaprzeczył ruchem głowy, tamten, wściekły, wyszarpnął pistolet z ust, chwycił za lufę, uderzył. Chłopak runął, wywrócił oczyma. W tle błyskały siekiery, noże, nagany.

Ojcowie bili na śmierć swoich synów, wiązali im dłonie i kazali klęczeć na stalowych łożyskach, mężowie dusili żony, a te ich truły, wsypując do wina ciemnozółty proszek, kochankowie wili się z ropiejącymi dziurami w twarzach, syfilitykom odpadały nosy i palce, wąskie ostrza zagłębiały się w oczodołach, wypalano języki rozgrzanym żelazem, obcinano dłonie i piersi, cięto na odlew. Sufit spływał czerwienią.

Betoniarka miała czyjaś głowę, chyba nie Karszki, kogoś dużo młodszego, co zachowywał się, jakby był pod wodą: walczył o oddech, jego oczy pęczniały, siła napierała na twarz z dwóch stron – najpierw rozciągnęła się skóra, potem coś trzasnęło w szczękę, na koniec poszedł policzek i góra czaszki, czerwony zygzak przebiegł czołem; facet zniknął, wystrzelił pod sufitem.

Juszczak i Radwan – Grula ich poznał, dla Gila byli tylko mężczyznami o zakrwawionych dłoniach – stali nad skatowanym czterdziestolatkiem, który próbował wstać i zarazem błagał o litość. Juszczak bił go na odlew, przy każdym uderzeniu głowa odskakiwała, jakby miała zlecieć z szyi, a na wargach otwierały się nowe pęknięcia, z ust poszedł strumień krwi. W ostatniej próbie obrony, mężczyzna spróbował się osłonić, odepchnąć swojego kata, lecz Juszczak chwycił go za przedramię, pociągnął ku schodom i przełożył je przez stopień. But Radwana spadł szybko, ramię pękło, lecz do uszu Gila i Gruli nie doszedł żaden dźwięk.

Porucznik Enka siedział przy ścianie, z rękami za plecami związanymi wokół szerokiej deski. Usta przypominał wrzód, gotowy do pęknięcia, oczu nie było widać wcale, tylko dwie czarne plamy, przez czoło szła szrama, bark miał wybity. Nad Enką stał Juszczak z małym pistoletem i szykował się do strzału. Ta chwila sprawiała mu przyjemność i wyraźnie ją przedłużał.

Grula próbował rozpoznać to miejsce: zwykłe, duże pomieszczenie o beżowych ścianach i małych oknach, gdzieś wysoko. Wylewka na podłodze, brud, papiery, kłęby kurzu i skrzepy. Sufit zadrżał, rozsunał się, a ciemna błona rozstąpiła, ukazując Radwana wskazującego na wielki piec kafłowy. Gil znał to miejsce.

Juszczak schował pistolet za pas z tyłu spodni, schylił się, Enka podniósł głowę, spróbował otworzyć oczy. Między czarnymi powiekami pojawiły się dwie szparki i zaraz zniknęły. Juszczak pociągnął go w stronę pieca, ku wielkim, otwartym drzwiczkom, w których płonął ogień.

Gil zemdlał.

\* \* \*

Na granicy snu i przebudzenia myślał, że jest porucznikiem Enką: miał wiele kobiet, łapał przestępców, prał ludzi po pyskach, a teraz tkwił przykuty do czegoś ciężkiego i zaraz pociągną go do płonącego pyska. Jak na suficie wcześniej, teraz w sobie samym czuł tchnienia cudzego życia – zapach perfum, krwi w ustach, prochu. Wiedział, jak boli uderzenie i ile trzeba oberwać, by samemu umieć rozdawać ciosy. Poczuł, że coś go ciągnie, zaparł się, nie, tylko nie do pieca. Im mocniej się zapierał, tym mocniej go ciągnięto. Więc zaparł się cały i oberwał po pysku.

Otworzył oczy.

— Przepraszam księdza — Gula jeszcze nie opuścił ręki — strasznie ciężki jest ksiądz.

Ksiądz był może i ciężki, ale Gula zdołał go przetaszczyć za próg mieszkania. Gil wstał, zakręciło mu się w głowie. Zerknął za siebie, w otwarte drzwi. Nic. Tylko ciemność. Szarpnął kajdankami.

— Wiem, gdzie on jest.

— Niewiele widziałem.

— Byłem tam kiedyś. Ze studentami. To sala w podziemiach AGH, tam mają takie piece. Studenci, no, tam z nimi poszedłem. — Przejechał dłonią po policzku. — Dziękuję panu, panie poruczniku.

Gula wzruszył ramionami:

— Jestem w tym po uszy, prawda?

— On jeszcze żyje. — Gil szarpnął ku schodom, kajdanki wbiły mu się w nadgarstek. — Ma pan latarkę? Ciemno, nie znajdę kluczyka.

W myślach ksiądz doktor zganił samego siebie. Na pomysł z kajdankami wpadł w samochodzie i nie przyszło mu do głowy, że w końcu będzie trzeba je ściągnąć.

— A na co mi latarka? Długopis ksiądz mi da.

Widocznie Gula uznał, że każdy ksiądz nosi przy sobie długopis, ale się nie pomylił. Gil miał jednorazówkę z niebieską skuwką, włożył ją w grube palce. Te

błyskawicznie wydobyły wkład, wsadziły go w kajdanki, poruszały chwilę i już byli wolni.

— Mam rodzinę... — rzekł Gula. Podniósł kajdanki i schował do kieszeni. — Książd się nie martwi, tego szmelcu u nas zatrzesienie.

W tej chwili przypominał Gilowi Enkę.

— Ja to zrozumieć — rzekł Gil.

— No i jak bym do nich teraz wrócił? — Gula machnął ręką i popędził schodami, cała kamienica trzęsła się od jego ciężaru. Spotkali się na dole. Gula patrzył na kamienicę w skupieniu.

— Miał książd doktor rację z tym miejscem.

Gil trącił go w ramię.

— Idziemy czy jedziemy? To niedaleko.

\* \* \*

Pod ścianą stała łopata.

Gdyby Enka chciał coś powiedzieć, i tak by nie mógł. Leżał pod kaloryferem, przywiązany do deski, obity, dokładnie tak, jak widział go książd doktor. Gil nie mógł tylko zobaczyć, że koszula na plecach jest porwana, a przez kręgosłup aż do samego dołu idą sine ślady. Dla odmiany Enka nie chciał jęczeć, lecz coś jęczało za niego. Krótkie, płaczące spazmy, których się wstydził. Krew zbierała mu się w ustach, nie zdołał ułożyć opuchniętych warg tak, aby splunąć. Ostrożnie, przechylił głowę i pociekła kącikiem ust. Osunął się niżej, lecz nie zdołał utrzymać równowagi i grzotnął o ziemię wybitym barkiem. Zabolało tak, że wrzasnął, rozrywając świeże rany. Chlusnęła krew.

Przez chwilę nie widział nic. Spróbował się podnieść, usiąść, nie dał rady. Przez obite oczy dostrzegł Juszczaka z kamerą na ramieniu i słuchawkami nasadzonymi na uszy w ten sposób, że ramiączko oplatało kark. Esbek miał minę reżysera, który po latach proszenia, błagania i szorowania dywanów na wysoki połysk otrzymał swój pierwszy metraż. I gdzie teraz jesteś?, pytały jego oczy.

Ano, w żadnym dobrym miejscu, pomyślał porucznik Enka.

Juszczak zaczął kręcić, majstrował coś przy kamerze i chodził tam i z powrotem, kucał, warczał coś, tak pochłonięty swoim zajęciem, że zdawał się nie pamiętać o Radwanie mordującym się z piecem kafłowym. Ostrożnie podszedł do porucznika i Enka widział teraz ślepe oko kamery. Kojarzyło mu się ze studnią. W odruchu wściekłości rzucił się do przodu. Juszczak odsunął się miękko.

— Pomógłbyś — zawołał Radwan.

Drzwi od pieca broniły trzy klamki. Radwan zaciskał na nich grube dłonie, szarpał, sapał. Dwie poszły, lecz trzecia nie chciała.

— Niech tamci pomogą! — Juszcak nie przestał kręcić, niedbałym ruchem wskazał na drzwi. W obolałej głowie Enki zrodziła się oczywista myśl, że Radwan z Juszczakiem mogą pobrudzić sobie ręce, bijąc go po pysku, ale raczej nie zasuważą furgonem z piekarni. Mają swoich, tamci czekają na zewnątrz, więc jeśli jakimś cudem stąd się wydostanie – a wydostanie się przecież, nikt nie może umrzeć tak głupio – będzie miał z nimi do czynienia.

— Nie dadzą rady.

— A co w tym trudnego? — Juszcak trącił Enkę butem.

— Dla niektórych to jest trudne. Wyłączyłeś pieprzony dźwięk.

— Wyłączyłem pieprzony dźwięk.

Radwan szarpnął za klamkę. Drgnęła. Enka zrozumiał, czemu go kręcą – takie filmy powstawały wcześniej, robione po piwnicach, gdzie dręczono ludzi. Pokazywano taśmę temu, który węszył, żeby dał sobie spokój. Po raz pierwszy, odkąd się tu znalazł, zaczął się bać, że nie da rady. A potem Radwan opadł całym ciężarem na klamkę, drzwi uchyliły się i Enka zobaczył ogień tańczący wewnątrz pieca.

Żar dochodził aż pod kaloryfer. Radwan cofnął się, osłonił oczy, a Enka znów jęknął. I jeszcze raz. Odruchowo cofnął się pod ścianę. Rozważał swoje położenie, ale nie było wiele do rozważania. Coś trąciło go w nos. Popatrzył. Kamera.

— Uśmiechnij się — rzekł Juszcak.

Radwan zdjął marynarkę, starannie odłożył złoty zegarek i podwinął rękawy. Juszcak odsunął się w głąb pomieszczenia, dla Enki był już cieniem. Gorączkowo ustalane plany, jak uderzyć, zaskoczyć, odnaleźć przewagę, zawiodły, Enka mamił się tylko, że tamci żartują – obili go, pokażą piec i puszcza, muszą puścić, po co tak straszyć, skoro można zwyczajnie zabić. Czy do torturowania innych można przywyknąć? Radwan szarpnął za deskę, do której przywiązany był Enka.

Jakaś część pana porucznika – ta, która nie odzywała się zbyt często – pragnęła rozmowy, takiej pogaduszki między oficerami, podczas której Enka zalałby się łzami, wylizał brud spod paznokci, przysiągł, że nigdy więcej nie będzie, wystąpi z milicji, wyjedzie z Krakowa, słowa nie piśnie, a jak muszą, to niech go zastrzelą, byle nie do ognia. Podobno, tak słyszał, wcale nie jest najgorzej. Końcówki nerwów zwęglały się błyskawicznie, nie boli nic a nic, potem serce staje z przegrzania.

Radwan pociągnął go ponownie. Przez Enkę, jak prąd, przewinał się Bóg, o którym mówił mu ksiądz doktor i o którym czasem, po pijaku, Enka myślał. Nie



była to obecność, raczej słaby uchwyt, hak, który pojawia się, gdy lecisz z wysoka, i zaraz wyślizguje się z rąk. Wszystko, co widział dotąd, duchy i opętanych, zlały się w cień wielkiej postaci, bez twarzy, samej sylwetki rozplywającej się po kotłowni. Wymknęła mu się i nim dostrzegł ją dobrze, owiało go ciepło.

Nie mógł mówić, więc piszczał, pisk przeszedł w skowyt, a skowyt w łkanie, zapierał się nogami, lecz Radwan był nieubłagany. Szarpnął, mocniej, koniec deski wylądował w piecu, Enka poczuł swąd palonego drewna. Mignięcie za mignięciem pojawiały się kobiety, puste miejsca, martwe twarze, przyjaciele, których utracił, ksiądz doktor, który wciąż był, a całość schodziła się w czarny punkt – to ze mnie zostanie? Nie chcę umierać. Nikt nie chce, ale nigdy nikt nie chciał tak bardzo jak ja. Zapał się najsilniej, nie pomogło. Żar stawał się nieznośny, znów szarpnięcie. Enka rąbnął głową o piec, szkoda, że nie mocniej, poszedłby w ogień nieprzytomny, a nie tylko zamroczony.

Głowa Enki opadła, uniosł ją przy kolejnym szarpnięciu, słabszym, niby czymś przerwany. Spróbował dostrzec coś poza beżowoszarą zupą – jego powieki uniosły się, krusząc świeże skrzepy, piwnica zafalowała i w tej mazi Enka dostrzegł dwie sylwetki. Coś w nim szepnęło, że przeniósł się w zaświaty albo do Disneylandu. Aniołowie przyszli? Flip i Flap?

Spodziewał się kolejnego szarpnięcia, takie nie nastąpiło. Tym razem, splunął skutecznie, grubą, czerwoną melą. Oczy same otwały się szerzej i Enka zobaczył widok, jakiego się nie spodziewał: Edwarda Grulę mierzącego z broni krótkiej wprost do Juszcza. Juszcza nie przestawał kręcić, ale uśmiech zamarł mu na pysku. Enka spróbował wstać, podpierając się o piec, i upadł prosto w ręce księdza doktora.

Gil rozplątał więzy, odsunął deskę, a w jego oczach Enka dostrzegł, że nie wygląda, jakby właśnie udzielał Eucharystii. Przyjął pomocną dłoń, podniósł się, choć sądził, że nie da rady. Pierwsze kroki zrobił z pomocą księdza, do łopaty doszedł już samodzielnie. Radwan wciąż gapił się na Grulę, oceniał, czy Gula wystrzeli. Zaryzykował i pewnie by podszedł, gdyby łopata nie spadła na jego tłustą gębę. Gil jęknął, Enka omal nie upadł, za to Radwan runął, z trudem osłaniając twarz. Obrócił się na plecy i coś rzeził.

Enka kopnął go, trzasnęły żebra i Radwan już nie jęczał. Juszcza nie przestał filmować. Radwan pojął, co się dzieje, wrzasnął na kolegę, znowu oberwał i Enka stracił nim zainteresowanie. Ostrożnie, niemal z wdzięcznością, wyjął kamerę z trzęsących się dłoni Juszcza, tylko po to, by natychmiast roztrzaskać mu ją na głowie.

Juszcza osunął się na kolana, bojąc się dotknąć czoła, ozdobionego teraz diademem plastikowych ostrzy. Wyjął jedno, spojrział ze zgrozą, a zaraz potem

zobaczył but obalający go na ziemię. Pełznął jeszcze metr, dwa i uznał, że Radwan miał rację. Lepiej się nie ruszać. Przeczekać. To dobrzy ludzie, nic im nie zrobią.

Enka podał kasetę Gilowi. Nie zdołał wymówić choć słowa, nie pozwolił się też wyściskać. Po prostu poszedł, podtrzymywany przez księdza i Grulę, upustoszałymi korytarzami Akademii Górniczo Hutniczej.

Na zewnątrz stała furgonetka z piekarni. Dwóch mężczyzn spało na przednich siedzeniach, głębokim snem niesprawiedliwych.

Przez całą drogę porucznik Enka zbierał się, żeby coś powiedzieć, ale jakoś mu nie szło. Dopiero kiedy usiadł na tylnym siedzeniu Grulowego malucha i Gil zabrał się do przemywania mu twarzy wodą utlenioną, wybełkotał:

— Płeeepłaaam.

— Tak? Tak, panie poruczniku?

Grula zapalił silnik.

— Pszepłaaam — powtórzył Enka z niemałym wysiłkiem.

Gil uśmiechnął się smutno. Z każdym pociągnięciem wilgotnej chusteczki odkrywał rozmiar zniszczeń. Enka odsuwał się i dygotał przy każdym dotknięciu. Samochód wypełnił zapach krwi, potu i czegoś jeszcze.

— Nie ma sprawy — odparł Gil. — Nawet tak mówić nie wolno.

— Pszepłaaam, bo sze zesłałem — wyznał Enka.

— Nie ma sprawy — powtórzył Grula słabym głosem.

Ruszyli.

\* \* \*

Enka otworzył drzwi. Pod pachą miał szarą kopertę.

Nastrój w firmie u Radwana kojarzył się Ence z domem umierającego, kiedy wszyscy chodzą na palcach, próbują śmierć zamilczeć, uśmiechają się dwa razy mocniej i mówią wyłącznie krótkimi zdaniami. Sekretarka wyglądała, jakby właśnie sam diabeł wpadł z wizytą. Siedziała sztywno, a gdy Enka stanął w drzwiach, spięła się i zacisnęła usta. Nie pytał o nic, słowem się nie odezwał, tylko przeszedł przez pokój i otworzył sobie drzwi do gabinetu. Sekretarka spuściła głowę.

Na Ence pozostały ślady pobicia, lecz przy Radwanie wyglądał na okaz zdrowia. Siniaki, napuchnięte usta i dwa plastry przyklejone na łukach brwiowych bledły przy pokiereszowanym, tłustym pysku – można by pomyśleć, że biznesmen dopiero co rozpędził się i przywalił w ścianę. Koszulę miał rozpiętą, tak by

zmieścił się kołnierz ortopedyczny. Siedział sztywno, spojrzenie miał puste. Enka położył kopertę na biurku.

Radwan rozerwał papier, wsunął rękę do środka. Zaraz cofnął. Wiedział, co tam jest. Kasetka.

— Zrobiłem kilka kopii, leżą w bezpiecznych miejscach. Jeśli komuś, kto jest mi bliski, albo mnie samemu coś się przydarzy, nawet jeśli gołąb mnie osra, sprawa trafi gdzie trzeba. — Przełknął ślinę. — Nie na górę, tych sobie kupisz. Ale na dół, tak żeby każdy od nas wiedział, jak traktuje się milicjanta, który wsadził nos w nie tę dziurę, co trzeba. To samo dotyczy twojego kumpla i wcale się nie dziwię, że nie miał odwagi się pokazać na komendzie. W czym teraz robi nasz słodki Juszcak? Kantor? Bar? Tak słyszałem.

Pchnął kopertę, tak że odbiła się od brzucha Radwana, i zamknął za sobą drzwi.

\* \* \*

— Księżę doktorze, jak ksiądz myśli? Jest więcej takich miejsc?

— W Krakowie czy wszędzie?

— I tak, i tak.

— Nie wiem. Dlaczego pan pyta? Swoją drogą przykro patrzeć, jak pana sprali.

Stali na przystanku pod Teatrem Bagatela. Padał drobny deszcz, zadaszenie dało im schronienie. Wolno sunęły rozgrzechotane tramwaje, ludzie gdzieś pędzili, chcąc zostawić środek tygodnia za sobą.

— Wie ksiądz, jak jeszcze byłem w bidulu, tak pod koniec, pojechałem sobie na koncert. Nie pamiętam nawet, co grało, wtedy jeździliśmy na wszystko, rock, metal, byle z Zachodu, zresztą nie mam co pamiętać, bo do Spodka nie wszedłem. Trochę popiłem i zaczepiałem ludzi. Wie ksiądz, zabierało się koszulki czasem. Pytało o składy — mówił, a oczy księdza doktora robiły się coraz szersze — no i krótko mówiąc, nagrałem sobie tak, że na mnie i kumpla ruszyło tak pięćdziesięciu chłopów, zwiewałem aż do ronda. Był ksiądz kiedyś w Katowicach? Tam zrozumiałem, że mnie dojadą, więc zawróciłem, może ze trzech nawet położyłem, a potem mnie dopadli. To się dopiero nazywa łomot, proszę księdza.

Z kadłuba ósemki wysypali się ludzie. W deszczu byli identyczni, ani grubi, ani chudzi, wysocy czy niscy. Tylko cienie.

— Co to takiego te składy? — zapytał ksiądz doktor.

— Normalnie. Jakby ksiądz miał koszulkę z zespołem, to ksiądz powinien znać skład tego zespołu i co wydali. A czemu o tym myślę? O mieszkaniu? Bo to takie dziwne. Za ścianami dzieją się rzeczy, które nie mieszczą się nam w głowach.

Zwykli ludzie, zwykłe miejsca, a wszystko pokręcone — zastanawiał się Enka. — Czasem mam wrażenie, że wszyscy widują to co my, tylko nikt nie puści pary z gęby.

Na to ksiądz doktor nie znalazł już odpowiedzi. Ścisnął mocniej teczkę i powiedział, że musi iść i że jest bardzo wdzięczny za to, co Enka zaraz zrobi.

— No to co, pozdrowi ksiądz Rzym ode mnie? — spytał porucznik. — Rozumiem, że po powrocie to napiję się z doktorem habilitowanym.

Andrzej Gil popatrzył w niebo.

— Daj Boże — rzekł — daj Boże.

I tak się rozstali.

Porucznik Enka patrzył za malejącą czarną sylwetką i przyszło mu do głowy, chyba po raz pierwszy, że nie wie o tym człowieku nic, a zarazem wie wszystko. Nic z tego myślenia nie przyszło, podobnie jak z jakichkolwiek innych rozważań, którym poświęcał się pan porucznik. Zabrał się więc, wszedł w tramwaj i pojechał na Urzędniczą. Żuł gumę.

Na podwórku znalazł kilka desek. Przytargał je na górę. Z mieszkania zabrał młotek, ten sam, którym ksiądz doktor podważył próg. Zamknął drzwi, w zamek wepchał gumę do zucia. Klucz wyrzucił przez okno i zabił drzwi, używając desek i długich gwoździ.

Cokolwiek próbowało wejść do jego głowy, zostało odepchnięte.

Patroni medialni:





**powergraph**

**sklep.powergraph.pl**

pełna oferta wydawnictwa